

JAMES ROLLINS

BURZA PIASKOWA

Sigma 01

Z angielskiego przełożył GRZEGORZ SITEK

Tytuł oryginału: SANDSTORM

Wydanie I
ISBN 978-83*7359-553-8

WYDAWNICTWO ALBATROS 2004

Dla Katherine, Adrienne i R. J., następnego pokolenia

PODZIĘKOWANIA

Należą się wielu ludziom.

Najpierw Carolyn McCray za nieustanną przyjaźń i przewodnictwo od pierwszego słowa do ostatniego... i jeszcze dalej. I Steve'owi Preyowi, za jego staranną i szczegółową pomoc przy schematach, logistyce, rzemiośle artystycznym i dźwiękowy wkład o kluczowej naturze. I jego żonie, Judy Prey, za trzymanie się nas ze Steve'em i za mnóstwo próśb „z ostatniej chwili”, które do niej miałem. Takie same „wyżej i niżej wymienione” wysiłki podejmowała, akceptowała i przekraczała Penny Hill (z pomocą Berniego i Kurta, oczywiście). Za pomoc przy szczegółach w tej powieści muszę podziękować Jasonowi R. Manciniemu, starszemu researcherowi w Mashantucket Pequot Museum. I za pomoc językową Dianę Daigle i Davidowi Evansowi. Ta książka nie byłaby tym, czym jest, bez moich głównych doradców, którzy na bieżąco zapewniali mi wszelkie potrzebne informacje bez szczególnej kolejności: Chrisa Crowe'a, Michaela Gallowgłasa, Lee Garretta, Davida Murraya, Dennisa Gray-sona, Dave'a Meeka, Royale Adams, Jane O'Rivy, Kathy Duarte, Steve'a Coopera, Susan Tunis i Caroline Williams. Za mapy wykorzystane tutaj muszę podziękować u źródła: „The CIA World Factbook 2000”. Wreszcie, czworo ludzi, którzy stale są mym najbardziej lojalnym wsparciem: mój wydawca, Lyssa Keusch; moi agenci, Russ Galen i Danny Baror; oraz mój publicysta, Jim Davis. I, jak zawsze, muszę podkreślić, że za wszystkie błędy odpowiadam ja.

1 OGIEŃ I DESZCZ

14 LISTOPADA, 1.33 BRITISH MUSEUM LONDYN, ANGLIA

Harry Masterson miał umrzeć za trzynaście minut.

Gdyby o tym wiedział, wypaliłby ostatniego papierosa do samego filtra. Zamiast tego zgasił go po zaledwie trzech pociągnięciach i machając ręką, odpędził dym sprzed twarzy. Jeśli zostałby przyłapany na paleniu poza pokojem socjalnym ochrony, Fleming, szef ochrony muzeum, wywaliłby go z roboty. Harry już i tak miał warunek za dwugodzinne spóźnienie w zeszłym tygodniu.

Zaklął pod nosem i schował niedopalonego papierosa do kieszeni. Skończy na następnej przerwie - o ile tej nocy w ogóle będzie jakaś przerwa.

Wśród kamiennych ścian rozległo się echo grzmotu. Zimowa burza uderzyła tuż po północy salwami gradu, po których runęła ulewa grożąca zmyciem Londynu do Tamizy. Błyskawice tańczyły po niebie, widlastymi krechami przebiegając przez horyzont. Według meteorologa z BBC była to jedna z najintensywniejszych burz dziesięciolecia. Pół miasta w ciemnościach, zasypywane efektownym ogniem zaporowym błyskawic.

Zrządzeniem losu było to jego pół miasta, łącznie z British Museum przy Great Russell Street. Mimo awaryjnych agregatów wezwany został cały zespół ochrony, by pilnować zbiorów. Powinni być w ciągu pół godziny. Jednak pracujący na nocnej zmianie Harry kiedy zgasły światła, robił obchód. I chociaż dzięki awaryjnemu zasilaniu nadzór wideo działał, Fleming polecił ochroniarzom natychmiastowe sprawdzenie czterech kilometrów korytarzy muzeum.

Co oznaczało rozdzielenie się.

Włączywszy latarkę, Harry oświetlił korytarz. Nie cierpiał nocnych obchodów, kiedy muzeum było pogrążone w mroku. Jedyne światło pochodziło z ulicznych lamp za oknami. Teraz jednak zabrakło nawet tego. Muzeum tonęło w makabrycznych cieniach przełamanych karmazynowymi plamami niskonapięciowych lampek awaryjnych.

Przydałaby mu się porcja nikotyny dla uspokojenia nerwów, ale nie mógł dłużej odkładać wykonywania obowiązków. Jako stojącemu najniżej w hierarchii nocnej zmiany polecono mu obejście korytarzy północnego skrzydła, najbardziej oddalonego od pomieszczenia ochrony. Nie oznaczało to jednak, że nie mógł pójść na skróty. Odwróciwszy się, ruszył ku drzwiom prowadzącym na Wielki Dziedziniec królowej Elżbiety II.

Dwuakrowy dziedziniec otaczały cztery skrzydła British Museum. W środku wznosił się kryty miedzianą kopułą Round Reading Room, jedna z najpiękniejszych na świecie bibliotek. Wyżej całą powierzchnię zamykał zaprojektowany przez Fostera i jego współpracowników gigantyczny kopulasty dach, tworząc największy w Europie kryty plac.

Harry otworzył drzwi kluczem uniwersalnym i zanurzył się w mroku. Jak i właściwe muzeum, dziedziniec tonął w ciemnościach. Wysoko nad głową deszcz bił niczym w werbel o szklany dach, mimo to słychać było, jak kroki Harry'ego odbijają się echem od ścian. Kolejna błyskawica rozdarła niebo. Podzielony na tysiąc trójkątnych tafli dach rozświetlił się na oślepiającą chwilę, po czym szumiąca deszczem ciemność ponownie załała muzeum.

Grzmot był tak głośny, że Harry'emu zadudniło w piersiach. Dach zagrzecotał. Strażnik schylił się w obawie, że cała konstrukcja się zawali.

Oświetlając drogę przed sobą, przeciął dziedziniec, idąc w stronę północnego skrzydła. Obszedł Round Reading Room. Znów rozbłysła błyskawica, na kilka uderzeń serca rozjaśniając dziedziniec. Zagubione w mroku gigantyczne posągi pojawiły się jakby znikąd.

Lew z Knidos stał za masywną głową z Wyspy Wielkanocnej. Gdy błyskawica zgasła, wszystko pochłonęła ciemność.

Harry poczuł, że ma gęsią skórę.

Przypieszył. Przy każdym kroku kłął pod nosem.

- Jasny, cholerny, pieprzony szlag by to... - Ta litania pomagała mu się uspokoić.

Doszedł do drzwi wiodących do północnego skrzydła i wszedł do środka, witany znajomymi zapachami stęchlizny i amoniaku. Ucieszył się, że jest za solidnymi murami. Oświetlił korytarz. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, ale musiał sprawdzić każdą galerię w tym skrzydle. Szybko policzył: jeśli się pospieszy, skończy obchód, mając dość czasu na szybkiego dymka. Wiedziony tą obietnicą ruszył korytarzem poprzedzany światłem latarki.

Północne skrzydło gościło rocznicową wystawę, zbiory etnograficzne obejmujące wszystkie kultury i ukazujące ludzkie osiągnięcia na przestrzeni wieków. Jak galeria egipska, z tymi wszystkimi mumiami i sarkofagami. Szedł szybko, odhaczając ekspozycje różnych kultur: celtycką, bizantyjską, rosyjską, chińską. Każdą galerię zamykała krata bezpieczeństwa, która w przypadku przerwy w zasilaniu opadała automatycznie.

Wreszcie korytarz się skończył.

Większość zbiorów znajdowała się w muzeum tymczasowo, przeniesiona z Muzeum Człowieka na czas uroczystości rocznicowych. O ile jednak Harry pamiętał, galeria na końcu holu od zawsze mieściła bezcenny zbiór antyków z całego Półwyspu Arabskiego. Nadzorowała ją i finansowała rodzina, która wzbogaciła się na przedsięwzięciach związanych z ropą w tym regionie. Donacje mające utrzymać tę wystawę w British Museum - jak mówiono - sięgały pięciu milionów funtów rocznie.

Należało szanować takie poświęcenie.

Albo i nie.

Parskając na takie tracenie kasy, Harry przesunął promieniem latarki po napisie na mosiężnej tabliczce głoszącej GALERIA KENSINGTON. Znana także jako „Suczy Strych”.

Mimo że Harry nigdy nie spotkał osobiście lady Kensington, wiedział z rozmów między pracownikami, że najdrobniejsze uchybienie w jej wystawie - czy to kurz na gablocie, smuga na tabliczce informacyjnej lub jakiś niedokładnie ustawiony przedmiot

- spotykało się z najsurowszą reprimendą. Wystawa była jej oczkiem w głowie i każdy bał się ataków gniewu lady Kensington. Ciągnął się za nią sznur straconych etatów, podobno nawet poprzedni dyrektor pożegnał się z posadą przez nią.

Właśnie wiedza o tym zatrzymała Harry'ego kilka chwil dłużej przed kratą. Przesunął światłem latarki po sali wejściowej. Wszystko było w porządku.

Kiedy się odwracał, jego uwagę przyciągnął jakiś ruch.

Zamarł z latarką wycelowaną w podłogę.

Głęboko w Galerii Kensington, w jednej z dalszych sal, wędrował powoli niebieskawy poblask.

Inna latarka... ktoś tam jest...

Harry czuł w gardle bijące serce. Włamanie. Oparł się o ścianę i wyciągnął radiotelefon. Rozległo się echo grzmotu, dźwięczne i głębokie.

Włączył radio.

- W północnym skrzydle prawdopodobnie jest intruz. Zgłoś się.

Czekał na odpowiedź szefa zmiany. Gene Johnson mógł być łajdakiem, ale był też byłym oficerem RAF-u. Znał się na swojej robocie.

Odpowiedział męski głos, ale z powodu burzy trudno było cokolwiek usłyszeć.

- ...możliwe... jesteś pewny?... zaczekaj, aż... kraty na miejscu?

Harry spojrzał na opuszczone kraty. Jasne, powinien sprawdzić, czy ich nie otwierano. Każda wystawa miała tylko jedno wejście od strony korytarza. No i były jeszcze wysokie okna, ale te miały zabezpieczenie antywłamaniowe. I mimo braku prądu zapasowe generatory

utrzymywały się zabezpieczeń w stanie gotowości. W centrum dowodzenia nie odezwał się żaden alarm.

Harry wyobraził sobie, jak Johnson przełącza kamery i sprawdza całe skrzydło, zbliżając się do Galerii Kensington. Zaryzykował rzut oka na pięciosalową galerię. W głębi wystawy wciąż widać było odbłask światła. Jego ruch wydawał się bezcelowy, przypadkowy, nie przypominał zdecydowanego działania złodzieja. Szybko sprawdził kratę bezpieczeństwa. Wskaźnik jarzył się zielenią. Nie było włamania.

Znów spojrzał na odbłask. Może to tylko światła przejeżdżającego samochodu za oknami galerii?

Urywany głos Johnsona zaskoczył Harry'ego.

- Na wideo niczego nie łapiemy... Kamera piąta nie działa. Zostań tam, gdzie jesteś... zaraz będą inni...

Dalsze słowa zagłuszyła interferencja.

Harry stał przy kracie. Spieszyli mu na pomoc inni strażnicy. A co, jeśli nie ma żadnego intruza? Jeśli to tylko światła przejeżdżającego auta? Z Flemingiem miał już na pieńku. Brakowało tylko, żeby zrobił z siebie durnia.

Zaryzykował i podniósł latarkę.

- Hej, ty tam! - zawołał.

Myślał, że zabrzmiał to rozkazująco, ale wyszło raczej drżąco i jęklawie.

Jednak wzór ruchu odbłasku nie uległ zmianie. Zdawało się, że zmierza w głąb wystawy - nie w panicznym odwrocie, lecz powolnym, spokojnym krokiem. Żaden złodziej nie ma aż tak zimnej krwi.

Harry otworzył kratę kluczem uniwersalnym. Magnetyczne zamki puściły. Podniósł kratę na tyle, by się pod nią przeczołgać, i wszedł do pierwszej sali. Wyprostował się i podniósł latarkę. Stłumił panikę. Powinien dokładnie sprawdzić, co się stało, zanim podniesie alarm.

Szkoda jednak została uczyniona. Najlepsze, co mógł zrobić, żeby zachować twarz, to wyjaśnić zagadkę samemu.

- Ochrona! Nie ruszaj się! - krzyknął na wszelki wypadek.

Nie dało to żadnego efektu. Odblask nie przerwał chwiejnego, powolnego ruchu w głąb wystawy.

Rzucił okiem za siebie, na kratę. Strażnicy będą za niecałą minutę.

- Chrzańc to - wymamrotał pod nosem. Pospieszył za odbłaskiem, zdeterminowany odnaleźć jego źródło, zanim dotrą pozostali.

Nie zerknąwszy nawet na gablotki, mijał bezcenne skarby: gliniane tabliczki asyryjskiego króla Assurbanipala, pękate statuetki datowane na czasy przedperskie, miecze i inną broń z wszystkich wieków, fenickie tabliczki z kości słoniowej, opisujące starożytnych królów i królowe, a nawet pierwsze wydanie Baśni z tysiąca i jednej nocy, jeszcze pod tytułem Moralista Wschodni.

Harry szedł przez sale, mijając dynastię za dynastią - od krucjat do narodzin Chrystusa, od chwały Aleksandra Wielkiego do czasów króla Salomona i królowej Saby.

Wreszcie doszedł do ostatniej sali, jednej z największych. Wyeksponowano tu przedmioty będące raczej w kręgu zainteresowań naturalisty niż etnografa, wszystkie z tego samego regionu: rzadkie kamienie i klejnoty, skamieliny, narzędzia z okresu neolitu.

Źródło blasku stało się widoczne. Niemal w centrum kopulasto sklepionej sali leniwie płynęła kula niebieskiego światła półmetrowej średnicy. Jej powierzchnia mieniła się, jakby przebiegał po niej błękitny płomień widmowo płonącego oleju.

Na oczach Harry'ego kula przepłynęła przez szklaną gablotkę jak przez powietrze. Stał oszołomiony. Do jego nozdrzy doleciał wydzielany przez kulę zapach siarki.

Kula przepłynęła przez jedną z karmazynowych lampek, zwierając ją na krótko z cichym skwierczeniem. Dźwięk wystraszył Harry'ego, który cofnął się o krok. Taki sam los musiał spotkać kamerę numer pięć w poprzedniej komnacie. Spojrzał na tutejszą kamerę. Dioda świeciła na czerwono. Działała.

Jakby nic się nie działo, przez radio znów odezwał się Johnson. Z jakiegoś powodu nie pojawiły się żadne zakłócenia.

- Harry, może lepiej się stamtąd zabieraj!

Harry stał jak wryty, na pół ze strachu, na pół ze zdumienia. Zjawisko oddalało się od niego ku mrocznemu kątowi sali.

Łuna kuli oświetliła kawał metalu w szklanym sześcianie. Była to bryła czerwonego żelaza wielkości klęczącego cielaka. Plakietka informacyjna określała ją jako wielbłąda. Podobieństwo było odległe, ale Harry przypuszczał, że przedmiot został odkryty na pustyni.

Łuna unosiła się właśnie nad tym żelaznym wielbłądem.

Harry ostrożnie cofnął się jeszcze o krok i podniósł radio do ust.

- Chryste!

Kula mieniącego się światła opadła przez szkło i wylądowała na wielbłądzie. Łuna znikła, jak zdmuchnięta świeca.

Na sekundę ciemność oślepiła Harry'ego. Podniósł latarkę. Żelazny wielbłąd stał nienaruszony w szklanym sześcianie.

- Zniknęło...

- Jesteś bezpieczny?

- Taa. Co to, u diabła, było?

- Chyba cholerny piorun kulisty! - odpowiedział Johnson. - Słyszałem opowieści kumpli, którzy na maszynach bojowych przelatywali przez chmury burzowe. Pewnie burza toto wypluła. Ale niech mnie szlag, jeśli to nie było kapitalne!

Na szczęście już przestało być kapitalne, pomyślał Harry z westchnieniem i pokręcił głową. Cokolwiek to było, oszczędziło mu zażenowania i drwin kolegów.

Opuścił latarkę, kiedy jednak jej światło przestało padać na wielbłąda, on nadal jarzył się w mroku głęboko czerwoną barwą.

- A teraz co znowu? - mruknął i chwycił radio. Kopnęło go ostro. Zaklął, strzepnął palcami i podniósł radio do ust.

- Dzieje się coś dziwnego. Nie wiem...

Łuna w żelazie rozjarzyła się jaśniej. Harry upadł na plecy. Żelazo płynęło po powierzchni wielbłąda, topniało, jakby poddane kwasowej kąpieli. Nie tylko Harry zauważył tę zmianę.

Radio w jego ręku warknęło:

- Harry, więcej stamtąd!

Nie dyskutował. Zaczął się podnosić, ale było już za późno.

Szklane zamknięcie wybuchło. Igły odłamków wbiły się w jego lewy bok, jeden z nich czysto przeciął policzek. Nie czuł jednak tych cięć, gdyż wybuch fali gorąca, jak z paleniska, uderzył go i spalił.

Krzyk nigdy nie opuścił jego ust.

Następny wybuch cisnął ciało Harry'ego przez galerię. Jego płonące kości uderzyły w stalowe kraty.

1.53

Safia al-Maaz obudziła się spanikowana. Syreny wyły ze wszystkich stron. Błyski czerwonych świateł alarmowych pełgały na ścianach sypialni. Była sparaliżowana ze strachu. Nie mogła oddychać, jej czoło pokrył zimny pot. Zaciskając kurczowo palce, podciągnęła

prześcieradło pod brodę. Niezdolna nawet mrugnąć, tkwiła w pułapce chwili między przeszłością i terażniejszością.

Ryczące syreny. Echa dalekich wybuchów... i coraz bliżej krzyki rannych, umierających, jej własny głos dołączający do chóru bólu... Na ulicy zawyły megafony:

- Droga dla wozów! Cofnąć się, wszyscy!!

Angielski... nie arabski... nie hebrajski...

Ciche dudnienie przetoczyło się przez jej apartamentowiec i ucichło w oddali. Głosy ludzi z brygad ratunkowych ściągnęły ją na powrót do łóżka i terażniejszości. Była w Londynie, nie w Tel Awiwie. Długo wstrzymywany oddech wydostał się na zewnątrz. W jej oczach błysnęły łzy. Wycierała je drżącymi palcami.

Atak paniki.

Przez kilka następnych oddechów siedziała owinięta wełnianą kołdrą. Nadal chciało jej się płakać. Zawsze tak jest, powtarzała sobie, ale słowa nie pomagały. Otuliła się szczelniej kołdrą, oczy zamknięte, serce bijące w uszach. Zastosowała uspokajające ćwiczenia oddechowe zalecane przez terapeutę. Wdech na dwa, wydech na cztery. Pozwalała napięciu ulatywać z każdym oddechem. Zmarznięta skóra powoli się ogrzewała.

Na łóżku wylądowało coś ciężkiego. Towarzyszył temu cichy dźwięk, jakby skrzypiących zawiasów.

Wyciągnęła rękę, rozległo się powitalne mruczenie.

- No, chodź, Billie - wyszeptła do grubego czarnego kota. Oparłszy się o jej dłoń, ocierał się brodą o palce, po czym nagle opadł na uda Safii, jakby ktoś przeciął sznurki, które go podtrzymywały. Syreny musiały kotu przeszkodzić w zwyczajowym nocnym wędrowaniu po domu.

Ciche zadowolone mruczenie trwało w jej objęciach.

To, bardziej niż ćwiczenia oddechowe, rozluźniło napięte mięśnie barków. Dopiero wtedy zauważyła, że garbi się nieufnie, jakby bała się ciosu. Z wysiłkiem rozprostowała ramiona i szyję.

Zgiełk i syreny trwały nadal przecnicę dalej. Powinna wstać i sprawdzić, co się dzieje. Coś prostego, żeby się rozruszać. Panika przekształciła się w nerwową energię.

Przesunęła nogi, delikatnie, żeby Billie ześlizgnął się na kołdrę. Mruczenie na chwilę ucichło, ale kiedy kot przekonał się, że to nie eksmisja, znowu zamruczał. Urodził się na londyńskiej ulicy, niewychowany dachowiec, dziki kłęb sparszywiałego futra. Safia

znalazła go przed wejściem do domu, miał złamaną nogę, był umazany olejem, bo potracił go samochód. Mimo że mu pomagała, wbił zęby w opuszkę jej kciuka. Przyjaciele radzili, żeby oddała go do schroniska, ale Safia dobrze wiedziała, że to nic lepszego od sierocińca. Owinęła go więc w płócienną poszewkę i zaniósła do najbliższej kliniki weterynaryjnej.

Łatwo byłoby tamtego wieczoru zrobić krok i pójść do domu, ale ona sama była kiedyś porzucona jak ten kociak. Wtedy też ktoś się nią zajął. I, podobnie jak Billiego, ją również ktoś udomowił - ale też żadne z nich nie zostało udomowione do końca, nadal lubili dzikie miejsca i penetrowanie odludnych zakątków świata.

Wszystko jednak zakończył pewnego jasnego, wiosennego dnia jeden wybuch.

To moja wina... Płacz i wrzaski ponownie wypełniły jej głowę, zmieszały się z syrenami na ulicy.

Oddychając ciężko, Safia sięgnęła do lampy przy łóżku, małej repliki Tiffany'ego w witrażowe ważki. Kilkakrotnie pstrykała przełącznikiem, ale nie było prądu. Burza musiała uszkodzić trakcję.

Może to tylko to. Niech to będzie takie proste.

Wyślizgnęła się z łóżka na bosaka, ale w ciepłej flanelowej koszuli nocnej sięgającej za kolana. Podeszła do okna i odsunęła żaluzje, żeby wyjrzeć na ulicę. Mieszkała na trzecim piętrze.

Ulica, zwykle dostojna, z żelaznymi lampami i szerokimi chodnikami, teraz stała się surrealistycznym polem bitwy. Wozy strażackie i policyjne zakorkowały przejazd. Mimo deszczu buchał dym, przynajmniej jednak burza przycichła do zwyczajnej londyńskiej mżawki. Wskutek braku zasilania nie paliły się latarnie, więc jedynym źródłem światła były migające koguty pojazdów służb ratowniczych. Mimo to gdzieś dalej, poprzez dym i mrok, prześwitywał głęboki karmazyn. Pożar.

Serce Safii zabiło mocniej, oddech zamarł - nie z powodu zgrozy z przeszłości, ale ze współczesnego strachu. Muzeum! Otworzyła okno i wychyliła się na deszcz. Prawie nie zauważała lodowatych kropli.

British Museum znajdowało się zaledwie kilka kroków od jej mieszkania. Północno-wschodni róg muzeum leżał w ognistych gruzach. Płomienie błyskały między potrzaskanymi oknami górnych pięter, dym buchał konwulsyjnie ciężkimi kłębami. Ludzie w maskach ciągnęli węże. Strumienie wody leciały wysoko. Drabiny wyrastały w ciemność z platform na strażackich wozach.

I jeszcze, co najgorsze, na pierwszym piętrze północno-wschodniego rogu zionęła dymem wielka dziura. Gruz i okopcone bloki cementu leżały porozrzucane na ulicy. Najpewniej nie usłyszała wybuchu albo przypisała go burzy. Ale to nie był skutek uderzenia pioruna.

Raczej wybuch bomby... atak terrorystyczny. Nie, znowu...

Poczuła, że miękną jej kolana. Północne skrzydło... jej skrzydło. Wiedziała, że dymiąca dziura prowadzi do galerii na końcu holu. Cała jej praca, trwające całe życie badania, zbiory, tysiące antyków z jej ojczyzny... Nie do pojęcia. Niedowierzenie czyniło ten widok jeszcze bardziej nierealnym koszmarem, z którego za chwilę się obudzi.

Cofnęła się ku bezpieczeństwu i normalności pokoju. Odwróciła się od krzyków i błyskających świateł. W ciemności witrażowe ważki zakwitły życiem. Patrzyła, nie potrafiąc zrozumieć. Wreszcie przywrócono zasilanie.

W tej samej chwili zadzwonił stojący na nocnym stoliku telefon. Drgnęła przestraszona.

Billie podniósł głowę i postawił czujnie uszy.

Pospieszyła do aparatu i podniosła słuchawkę.

- Halo?

Odezwał się surowy, profesjonalny głos:

- Doktor al-Maaz?

- Tak?

- Tu kapitan Hogan. W muzeum doszło do wypadku.[]

- Wypadek? - Cokolwiek zdarzyło się w muzeum, na pewno było to więcej niż tylko wypadek.

- Tak. Dyrektor muzeum zażądał, żebym po panią zadzwonił. Odbędzie się narada. Czy może pani przyjechać w ciągu godziny?

- Tak, kapitanie, zaraz będę.

- Świetnie, zostawię pani nazwisko w punktach kontrolnych. - W słuchawce szcęknięło, kapitan przerwał połączenie.

Safia rozejrzała się po sypialni. Billie uderzał ogonem o kołdrę w kocim wyrazie niezadowolenia z powodu niekończących się nocnych zakłóceń.

- Niedługo wrócę - wymamrotała Safia, niepewna, czy to prawda.

Za oknem syreny nadal wyły.

Panika, która ją obudziła, nie zniknęła do końca. Poczucie bezpieczeństwa, jakiego doznawała w muzealnych wnętrzach, zostało zagrożone. Cztery lata temu uciekła ze świata, w którym kobiety przypinają sobie na piersiach bomby. Uciekła do bezpieczeństwa i uporządkowania akademickiego życia, porzuciła pracę w terenie na rzecz papierkowej roboty, cisnęła kilof i łopatę dla komputerów i wydruków. Stworzyła sobie w muzeum niewielką niszę, w której czuła się bezpieczna. To był jej dom.

Katastrofa jednak znalazła ją i tutaj.

Ręce jej się trzęsły. Musiała złapać jedną rękę drugą, żeby zwalczyć kolejny atak. Chciała tylko jednego - wczłgać się z powrotem do łóżka i naciągnąć kołdrę na głowę.

Billie wpatrywał się w nią, a w jego oczach odbijało się światło lampy.

- Nic mi nie będzie. Wszystko w porządku - powiedziała spokojnie, bardziej do siebie niż do kota.

Żadne z nich nie było o tym przekonane.

GODZ. 2.13 GMT (GODZ. 9.13 EST) FORT MEADE, MARYLAND, USA

Thomas Hardey nie cierpiał, gdy mu przerywano rozwiązywanie krzyżówki w „New York Timesie”. Kulturował rytuał: należała też do niego szklaneczka czterdziestoletniej szkockiej i dobre cygaro. W kominku trzaskał ogień.

Rozparł się w wielkim skórzanym fotelu, popatrzył na do połowy rozwiązana krzyżówkę, dziurawiąc środek czubkiem montblanca.

Zmarszczył brwi nad dziewiętnaście pionowo. „Suma wszystkich ludzi”.

Kiedy zastanawiał się nad odpowiedzią, zadzwonił telefon. Wzdychając, przesunął okulary do czytania z nosa na czoło ku linii rzadziejących włosów. Zapewne to kolejna koleżanka córki dzwoni z pytaniem, jak się udała weekendowa randka.

Pochylił się i zauważył, że błyska lampka piątej linii - jego prywatnej. Ten numer miały tylko trzy osoby: prezydent, szef połączonych sztabów, i jego zastępca w NSA.

Położył złożoną gazetę na kolanach i stuknął w czerwony guzik. Jednym dotknięciem uruchomił zmienny kod algorytmiczny zagłuszający połączenie.

Podniósł słuchawkę

- Tu Hardey.

- Dyrektor.

Wyprostował się zaniepokojony. Nie rozpoznał tego głosu, a przecież znał głosy wszystkich trzech osób mających ten numer, tak samo, jak znał głosy członków swojej rodziny.

- Kto mówi?

- Tony Rector. Przykro mi, że przeszkadzam o tak późnej porze.

Przebiegł w myślach wizytówki. Wiceadmirał Anthony Rector. Związany z pięcioliterowym skrótem: DARPA. Defense Advanced Research Project Agency. Departament, który nadzorował dział badawczo-rozwojowy Ministerstwa Obrony. Ich motto brzmiało: „Być pierwszymi”. Kiedy chodziło o postęp technologiczny, Stany Zjednoczone nie mogły znaleźć się na drugim miejscu.

Nigdy.

Narastało w nim uczucie grozy.

- W czym mogę panu pomóc, admirale?

- W British Museum w Londynie doszło do wybuchu - zaczął admirał, po czym podał szczegóły. Thomas sprawdził czas. Od eksplozji minęło mniej niż czterdzieści pięć minut. Zebranie tak dobrego wywiadu w tak krótkim czasie zrobiło na nim wrażenie.

Kiedy Rector skończył, Thomas zadał najbardziej oczywiste pytanie: - Więc DARPA interesuje się tym wybuchem? - Rector odpowiedział.

Thomasowi wydało się, że w pokoju temperatura spadła o dziesięć stopni.

- Na pewno?

- Jest już tam mój zespół powołany do zbadania tej sprawy. Będę jednak musiał współpracować z brytyjskim MI5... albo może...

Alternatywa zawisła w powietrzu, niewypowiedziana nawet na bezpiecznej linii.

MI5 było brytyjskim odpowiednikiem organizacji Thomasa. Rector chciał, żeby Hardey zrobił zasłonę dymną, by zespół DARPA mógł wejść i wyjść, zanim ktokolwiek zacznie podejrzewać, co się stało. Wraz z pracownikami brytyjskiego wywiadu.

- Rozumiem - odpowiedział wreszcie Thomas. „Być pierwszymi”. Miał nadzieję, że dożyje końca tej misji. - Czy zespół jest gotowy?

- Będą gotowi na rano.

Ponieważ dalszych wyjaśnień nie było, Thomas wiedział, kto się tym zajmie. Na marginesie gazety narysował grecki znak sigma.

- Otworzę im drogę - powiedział.

- Świetnie. - Linia zamilkła.

Thomas odłożył słuchawkę na widełki, już planując kolejne posunięcia. Musi działać szybko. Popatrzył na nierozwiązaną krzyżówkę. Dziewiętnaście pionowo.

Pięcioliterowe słowo na określenie sumy wszystkich ludzi.

Jakże stosownie.

Podniósł pióro i wpisał dużymi literami. SIGMA.

2.22 GMT LONDYN, ANGLIA

Safia stała przed czarno-żółtą taśmą. Obejmowała się ramionami, zdenerwowana i zmarznięta. W powietrzu wisiał dym. Co tu się stało? Policjant stojący za taśmą trzymał jej portfel i porównywał zdjęcie z osobą, którą miał przed oczami.

Safia zdawała sobie sprawę, że policjant może mieć problemy. W rękę trzymał kartę identyfikacyjną muzeum przedstawiającą inteligentną trzydziestolatkę o cerze koloru kawy z mlekiem, hebanowych włosach zaplecionych w ciasny warkocz i o zielonych oczach ukrytych za okularami do czytania. Przed młodym strażnikiem stała natomiast przemoczona, potargana kobieta, której włosy luźnymi kosmykami przyklejały się do twarzy. Jej oczy były zagubione, skupione na czymś za taśmą, niedostrzegające gorączkowej bieganiny dookoła.

Ekipy telewizyjne pracowały otoczone poświatą kamer. Kilka wozów transmisyjnych parkowało w bocznych przejściach. Safia zauważyła także dwa wozy wojskowe i ich załogi uzbrojone w karabiny.

Nie można było odrzucić hipotezy ataku terrorystycznego. Już słyszała takie pogłoski, gdy przepychała się przez tłum i od jakiegoś reportera. Kierowano w jej stronę podejrzliwe spojrzenia, była jedyną Arabką na ulicy. Zawarła znajomość z terroryzmem, ale nie taką, o jaką podejrzewali ją ci ludzie. A może źle interpretowała te reakcje? Forma paranoi zwanej przeczuleniem, była naturalnym następstwem ataku paniki.

Safia przepychała się przez tłum, oddychając głęboko, skupiając się na swoim celu. Żałowała, że nie wzięła parasolki. Wyszła z mieszkania natychmiast po telefonie, tracąc czas tylko na włożenie spodni khaki i białej bluzki w kwiaty. Na wierzch włożyła długi do kolan prochowiec burberry, ale parasolka została na stojaku przy drzwiach. Że jej nie zabrała, Safia zorientowała się dopiero, kiedy już wyszła na deszcz. Niepokój nie pozwolił jej po nią wrócić.

Musiała się dowiedzieć, co się stało w muzeum. Ostatnie dziesięć lat spędziła, tworząc kolekcję, a przez ostatnie cztery prowadziła własne projekty badawcze poza muzeum. Co zostało zniszczone? Co da się uratować?

Deszcz znów się rozpadał, ale niebo przynajmniej nie było już takie wściekłe. Zanim dotarła do prowizorycznego przejścia w kordonie otaczającym teren, przemokła do suchej nitki.

Trzęsa się, kiedy strażnik poczuł się usatysfakcjonowany identyfikacją.

- Może pani przejść. Inspektor Samuelson czeka na panią.

Inny policjant zaprowadził ją do południowego wejścia do muzeum. Popatrzyła na kolumnową fasadę. Była solidna jak bankowy skarbiec, trwała.

Do dzisiaj...

Wprowadzono ją przez wejście, potem w dół kilkoma ciągami schodów. Minęli drzwi z napisem: TYLKO DLA PERSONELU MUZEUM. Wiedziała, dokąd idą - do podziemnego centrum ochrony.

Przed drzwiami stał uzbrojony strażnik. Skinął głową, kiedy się zbliżyli; oczekiwano ich. Otworzył drzwi.

Teraz asystował jej inny człowiek: ciemnoskóry, w niewyróżniającym się granatowym garniturze. Był o kilka centymetrów wyższy od Safii, miał siwe włosy, a jego twarz była jak zużyta skóra. Zauważyła szary cień na jego policzkach. Nie zdążył się ogolić. Zapewne wyrwano go z łóżka.

Wyciągnął twardą dłoń.

- Inspektor Geoffrey Samuelson - powiedział pewnie, mocno ściskając dłoń Safii. - Dziękuję, że przyszła pani tak szybko.

Skinęła głową, zbyt zdenerwowana, by się odezwać.

- Może pójdzie pani ze mną, potrzebujemy pani pomocy przy badaniu przyczyny wybuchu.

- Ja? - wykrztusiła wreszcie. Przeszła przez pokój socjalny wypełniony ochroniarzami. Wyglądało na to, że wezwano wszystkich, z każdej zmiany. Rozpoznała kilkoro mężczyzn i kobiet, ale ci patrzyli na nią, jakby była obca. Na jej widok ucichł pomruk rozmów. Musieli wiedzieć, że została wezwana, lecz nie znali powodu. Tak jak ona. Za tą ciszą wyraźnie czuło się podejrzenia.

Wyprostowała się, irytacja wzięła górę nad niepokojem. To byli koledzy, współpracownicy. No, ale znali jej przeszłość.

Inspektor poprowadził ją korytarzem do pomieszczenia w głębi korytarza. Wiedziała, że mieści się tam „gniazdo”, owalny pokój, którego ściany całkowicie pokrywały monitory.

Dostrzegła szefa ochrony, Ryana Fleminga, niskiego, krępego mężczyznę w średnim wieku. Łatwo było go poznać po łysej głowie i zakrzywionym nosie, co zapewniło mu przydomek „Łysy Orzeł”. Stał obok szczupłego, wysokiego, trochę niezgrabnego mężczyzny w mundurze, który miał broń. Obaj pochyłali się nad technikiem siedzącym przed monitorami. Kiedy weszła, odwrócili głowy w jej stronę.

- Doktor Safia al-Maaz, kustosz Galerii Kensington - przedstawił ją Fleming. Prostując się, skinął, żeby podeszła.

Fleming pracował w muzeum, jeszcze zanim Safia objęła swoje dzisiejsze stanowisko. Wtedy był tylko strażnikiem, przeszedł kolejne szczeble i został szefem ochrony. Cztery lata temu udaremnił kradzież preislamskiej rzeźby z jej galerii. Temu właśnie czynowi zawdzięczał funkcję, jaką pełnił obecnie. Kensingtonowie wiedzieli, jak odwdzięczać się tym, którzy się dla nich zasłużyli. Od tamtej pory szczególnie dbał o Safię i jej galerię.

Dołączyła do grupki przy ekranach, inspektor Samuelson stanął za nią. Fleming dotknął jej ramienia, w oczach miał ból.

- Tak mi przykro. Twoja galeria, twoja praca...

- Jak dużo straciliśmy?

Fleming wyglądał, jakby był chory. Wskazał jeden z ekranów. Przekaz na żywo. Biało-czarny, przedstawiał widok głównego korytarza północnego skrzydła. Kłębził się w nim

dym. Ludzie w ochronnych kombinezonach pracowali w całym skrzydle. Kilkoro z nich zebrało się przed bramką prowadzącą do Galerii Kensington. Zdawało się, że patrzą na postać przywiązaną do kraty, chudy, szkieletowaty kształt, jakby wyniszczony strach na wróble.

Fleming pokręcił głową.

- Niedługo będzie koroner, żeby zidentyfikować te szczątki, ale my jesteśmy pewni, że to Harry Masterson, jeden z moich.

Kości nadal dymiły. To kiedyś był człowiek? Safii zmięły nogi, cofnęła się o krok. Fleming ją podtrzymał. Płomienie o sile zdolnej wypalić ciało z kości - to przekraczało jej granice pojmowania.

- Nie rozumiem - wymamrotała. - Co tu się stało?

Człowiek w mundurze odpowiedział:

- Mamy nadzieję, że pani rzuci na to nieco światła. - Odwrócił się do technika. - Przewiń z powrotem do pierwszej zero zero.

Technik skinął głową.

Kiedy wykonywano polecenie, wojskowy odwrócił się do Safii. Jego twarz była twarda, nieprzyjazna.

- Jestem komandor Randolph, przedstawiciel wydziału antyterrorystycznego Ministerstwa Obrony.

- Antyterrorystycznego? - Safia popatrzyła na obecnych. - Była bomba?

- To trzeba sprawdzić, proszę pani - rzekł komandor.

Technik poruszył się.

- Gotowe, sir.

Randolph wskazał Safii monitor.

- Chcielibyśmy, żeby pani to obejrzała, ale to jest tajne, rozumie pani? Nie rozumiała, ale skinęła głową.

- Puść to - rozkazał Randolph.

Kamera pokazywała tylną salę Galerii Kensington. Było ciemno, paliły się tylko lampy awaryjne.

- Tak było tuż po pierwszej w nocy - powiedział komandor. Safia patrzyła na światło płynące z sąsiedniego pomieszczenia.

Z początku wyglądało na to, że ktoś wszedł z latarnią. Wkrótce jednak okazało się, że światło porusza się samodzielnie.

- Co to jest? - spytała.

- Studiowaliśmy taśmę przy użyciu szeregu filtrów - odpowiedział technik. - Wydaje się, że to zjawisko zwane piorunem kulistym. Swobodna kula plazmy wyrzucona przez burzę. Po raz pierwszy udało się to paskudztwo sfilmować.

Safia słyszała o takich zjawiskach. Kule naelektryzowanego powietrza, świecące, poruszające się horyzontalnie nad ziemią. Pojawiały się na otwartych przestrzeniach, wewnątrz domów, na pokładach samolotów, a nawet w łodziach podwodnych. Tyle że zjawiska te nie powodowały żadnych szkód. Popatrzyła znowu na monitor pokazujący dymiące zgliszczka. To na pewno nie była przyczyna wybuchu.

Kiedy się nad tym zastanawiała, na ekranie pojawiła się postać - strażnik.

- Harry Masterson - wyjaśnił Fleming.

Safia wzięła głęboki wdech. Jeśli Fleming miał rację, to był ten sam człowiek, którego kości dymiły na innym monitorze. Chciała zamknąć oczy, ale nie mogła.

Strażnik podązał za poświatą. Wydawał się tak samo zdezorientowany jak obecni w pokoju. Podniósł krótkofalówkę do ust i meldował, ale nagranie nie zawierało dźwięku.

Potem kula zatrzymała się nad podestem z jednym z eksponatów, z jakąś żelazną figurą. Zniżyła się, przeniknęła przez szkło i znikła. Safia skrzywiła się, ale nic się nie stało.

Strażnik nadal mówił do krótkofalówki... aż nagle coś go zaniepokoiło. Odwrócił się, kiedy gablota zawierająca eksponat eksplodowała. Chwilę później następny wybuch pojawił się jako biały błysk, potem ekran ściemniał.

- Zatrzymaj i cofnij o cztery sekundy - rozkazał komandor Randolph.

Obraz zamarł i zaczął się cofać, migwały klatki. Znowu pojawił się pokój, a potem gablota z żelaznym eksponatem.

- Zatrzymaj.

Obraz lekko drżał. Żelazny artefakt był teraz dobrze widoczny. Właściwie za dobrze. Zdawało się, że świeci własnym światłem.

- Co to, do cholery, jest? - warknął komandor.

Safia wpatrywała się w eksponat. Teraz pojęła, dlaczego została wezwana. Nikt nie rozumiał, co się stało. Nic nie miało sensu.

- Czy to rzeźba? - dopytywał się komandor. - Od kiedy jest w muzeum?

Safia wyczytała ledwie skrywane oskarżenie. Może ktoś umieścił bombę w eksponacie? A skoro tak, to ktoś najprawdopodobniej przy tym współpracował. Kto, jeśli nie wtyczka? Ktoś, kto w przeszłości miał do czynienia z materiałami wybuchowymi.

Pokręciła głową.

- To... to nie jest rzeźba.

- No to co to jest?

- Ta żelazna figura to kawałek meteorytu... odkrytego na pustyni w Omanie pod koniec dziewiętnastego wieku.

Safia wiedziała, że historia tej figury sięga o wiele głębiej w przeszłość. Przez całe wieki arabskie mity mówiły o zaginionym mieście, którego wejścia strzegł żelazny wielbłąd. Bogactwo tego miasta najprawdopodobniej przekraczało granice pojmowania. Było tak wielkie, że czarne perły leżały w stosach pod bramami, jak śmiecie. W dziewiętnastym wieku pewien beduiński tropiciel zawiódł brytyjskiego badacza w to miejsce, ale ten nie odnalazł zaginionego miasta. Znalazł jedynie kawał meteorytu na pół zagrzebany w piasku, z grubsza podobny do klęczącego wielbłąda. Czarne perły okazały się jedynie kawałkami piasku zeszkłonego wskutek uderzenia meteorytu.

- Ten meteoryt przypominający wielbłąda - ciągnęła Safia - znajduje się w zbiorach British Museum od jego założenia... chociaż leżał w magazynie, aż wreszcie znalazłam go w katalogu i dołączyłam do kolekcji.

- Kiedy to nastąpiło? - spytał detektyw Samuelson.

- Dwa lata temu.

- A więc jest tutaj dość długo - stwierdził, spoglądając na komandora, jakby to było rozwiązanie jakiegoś dawnego sporu.

- Meteoryt? - wymamrotał komandor, kręcąc głową, wyraźnie zdegustowany, że jego spiskowa teoria nie ma racji bytu. - To bez sensu.

Zamieszanie przy drzwiach sprawiło, że wszyscy odwrócili głowy. Safia zobaczyła dyrektora muzeum, Edgara Tysona, przechodzącego przez pomieszczenie ochrony. Zwykle elegancki i zadbany, teraz miał na sobie pomięty garnitur pasujący do zatroskanego wyrazu twarzy. Szarpał nerwowo białą kozią bródkę. Dopiero teraz Safia zastanowiła się nad jego podejrzaną nieobecnością. Muzeum było przecież całym jego życiem.

Jednak powód nieobecności wyjaśnił się niebawem. Właściwie to deptał dyrektorowi po piętach. Do pomieszczenia wparowała kobieta, osobowość niemal wyprzedzała osobę, jak podmuch wiatru poprzedza burzę. Wysoka, miała na sobie długi płaszcz ociekający wodą, ale sięgające ramion piaskowobłond włosy były suche i ułożone w łagodne fale poruszające się jak za sprawą podmuchów. Najwidoczniej nie zapomniała parasolki.

Komandor Randolph wyprostował się i zrobił krok do przodu. W jego głosie zabrzmiał szacunek.

- Lady Kensington.

Kobieta zignorowała go i zaczęła rozglądać się po pokoju. Zatrzymała wzrok na Safii. W jej oczach błysnęła ulga.

- Safio, dzięki Bogu! - Rzuciła się do przodu, objęła Safię i wyszeptała jej do ucha: - Kiedy usłyszałam... Tak często pracujesz do późna. No i nie mogłam cię złapać telefonicznie...

Safia odwzajemniła uścisk, czuła drżenie ramion kobiety. Znały się od dzieciństwa, były sobie bliższe niż siostry.

- Nic mi nie jest, Karo.

Była zaskoczona autentycznym łękiem w głosie tej skądinąd silnej kobiety. Nie widziała, by była tak poruszona, od czasu śmierci jej ojca.

Kara drżała.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby cię zabrakło. - Uścisk stał się mocniejszy.

Oczy Safii wypełniły się łzami. Przypomniała sobie inny uścisk, podobne słowa: „Nie chcę cię stracić”.

Kiedy miała cztery lata, Safia straciła matkę w wypadku autobusowym. Ponieważ jej ojca dawno już nie było, została umieszczona w sierocińcu - straszliwym miejscu dla kogoś o mieszanym pochodzeniu. Rok później Kensingtonowie zabrali Safię jako towarzyszkę zabaw dla Kary, dając jej własny pokój. Safia słabo pamiętała tamten dzień. Przyszedł wysoki pan i ją zabrał.

Był to Reginald Kensington, ojciec Kary.

Z racji zbliżonego wieku i dzięki natury Kara i Safia stały się serdecznymi przyjaciółkami. Dzieliły się w nocy sekretami, bawiły wśród palm i daktylowców, wymykały do kina, pod kołdrą szeptały o marzeniach. To był cudowny czas, słodkie lato bez końca.

Kiedy Safia miała dziesięć lat, przyszła dramatyczna wiadomość: lord Kensington postanowił, że Kara wyjedzie na dwa lata do Anglii, żeby się uczyć. Złamana Safia nie potrafiła nawet przeprosić, pobiegła do swojego pokoju ze złamanym sercem, zrozpaczona, że będzie musiała wrócić do sierocińca. Czuła się jak zabawka odłożona do pudelka. Kara jednak ją odszukała. „Nie chcę cię stracić - mówiła wśród uścisków i łez. - Przekonam ojca, żebyś pojechała ze mną”.

I dotrzymała słowa.

Safia pojechała z Karą. Uczyły się razem, jak siostry, jak najlepsze przyjaciółki. Kiedy wróciły do Omanu, nadal były nierozłączne. Razem ukończyły szkołę w Maskacie. Wszystko układało się wspaniale, aż Kara wróciła z urodzinowego polowania spalona słońcem i zrozpaczona.

Ojciec z nią nie wrócił.

„Zginął w ruchomych piaskach”, brzmiała oficjalna wersja, ale ciała Reginalda Kensingtona nigdy nie odnaleziono.

Od tej pory Kara nie była sobą. Nadal trzymała Safię przy sobie, ale bardziej z potrzeby bliskości niż z prawdziwej przyjaźni. Pochłonęła ją konieczność ukończenia studiów i proces przejmowania ojcowskich firm. W wieku dziewiętnastu otrzymała dyplom Oksfordu.

Młoda kobieta okazała się finansowym mędrce, potrając wartość ojcowskiej fortuny na uniwersytecie. Firma Kensington Wells, Inc. kontynuowała wzrost, wchodząc w kolejne dziedziny: platformy technologii komputerowych, patenty dotyczące odsalania, telewizja. Jednak Kara nigdy nie zapomniała o podstawowym źródle dobrobytu rodziny, ropie naftowej. Nie dalej jak w zeszłym roku Kensington przewyższył korporację Halliburton w najbardziej zyskownych kontraktach naftowych.

I - podobnie jak naftowe przedsięwzięcia Kensingtona - Safia także nie została zostawiona samej sobie. Kara nadal opłacała jej studia, łącznie z sześcioletnim pobytem w Oksfordzie, gdzie Safia zdobyła doktorat z archeologii. Zaczęła pracować w Kensington

Wells, Inc. W końcu przyszło jej nadzorować ulubiony projekt Kary tutaj, w muzeum - zbiór starożytności z Półwyspu Arabskiego zapoczątkowany przez Reginalda Kensingtona. Znow - podobnie jak jego firmy - i ten projekt prosperował pod opieką Kary, stając się największą kolekcją na świecie. Dwa miesiące temu rodzina władająca Arabią Saudyjską próbowała odkupić kolekcję, by wróciła na arabską ziemię. O transakcji plotkowano, że opiewa na setki milionów.

Kara odmówiła. Kolekcja znaczyła dla niej więcej niż pieniądze. Była hołdem złożonym ojcu. Mimo że ciała nigdy nie odnaleziono, jego grób znajdował się tutaj, w samotnym skrzydle British Museum, wśród bogactw i historii Arabii.

Ponad ramieniem przyjaciółki Safia wpatrywała się w monitor pokazujący dymiące zgliszcza. Potrafiła sobie wyobrazić, co ta strata oznacza dla Kary. Jakby ktoś zbezczeszczył grób jej ojca.

- Karo... - zaczęła Safia, starając się złagodzić nadchodzący cios słowami pochodzącymi od kogoś, z kim dzieliła pasję - galeria... nie istnieje.

- Wiem. Edgar już mi powiedział. - W głosie Kary nie było wahania. Wsunęła się z uścisku Safii, jakby nagle zrobiło jej się głupio. Popatrzyła na zebranych. Wrócił znajomy władczy ton: - Co się stało? Kto to zrobił?

Strata kolekcji tak szybko po odrzuceniu saudyjskiej oferty najwyraźniej wzbudziła i jej podejrzenia.

Ponownie odtworzono nagranie. Safia przypomniała sobie, że była poproszona o zachowanie tajemnicy. Pod adresem Kary nie skierowano takiej prośby. Bogactwo daje przywileje.

Safia nie patrzyła na monitor. Spoglądała na przyjaciółkę w obawie, że nagranie może ją zranić. Kątem oka dostrzegła ostatni błysk wybuchu i ekran pociemniał. Wyraz twarzy Kary nie zmienił się, była marmurowym obrazem skupienia - Atena zamyślona.

Jednak pod koniec jej oczy zamknęły się powoli. Nie z powodu wstrząsu czy zgrozy - Safia знаła aż za dobrze nastroje przyjaciółki - ale z powodu ulgi. Jej usta poruszyły się w bezgłośnym szepcie, wydobyło się z nich jedno słowo, które usłyszała tylko Safia.

- Nareszcie...

2

POLOWANIE NA LISA

14 LISTOPADA, 7.04 EST

LEDYARD, CONNECTICUT, USA

Cierpliwość to klucz do sukcesu w każdym polowaniu.

Painter Crowe patrzył z góry na swój rodzinny kraj, ziemię, którą plemię jego ojca zwało Mashantucket - „bardzo zalesiona kraina”. Tam jednak, gdzie stał Painter, nie było drzew, śpiewu ptaków, powiewu wiatru na policzku. Rozlegały się za to dzwonek automatów do gry, brzęk monet, unosił się intensywny zapach dymu z cygar, klimatyzatory chłodziły martwe powietrze.

Foxwoods Resort and Casino był największym kompleksem kasyn na świecie, większym od Las Vegas i Monte Carlo. Ulokowany nieopodal bezpretensjonalnej wioski Ledyard w stanie Connecticut, wyrastał dramatycznie ponad gęste lasy rezerwatu Mashantucket. Jako dodatek do kasyna z sześcioma tysiącami automatów i setkami stołów wybudowano trzy światowej klasy hotele. Całość należała do plemienia Pequot, Ludu Lisa, które polowało na tej ziemi od dziesięciu tysięcy lat.

Teraz jednak to nie jeleń ani lis był przedmiotem polowania.

Painter czaił się na zdobyc, którą miał być Xin Zhang, chiński informatyk. Zhang zaś, lepiej znany pod pseudonimem Kaos, był hakerem i łamaczem kodów o niezwykłym talencie, jednym z najlepszych w Chinach. Po lekturze jego dossier Painter nabrał szacunku do szczupłego mężczyzny w garniturze od Ralpha Laurena. W ciągu ostatnich trzech lat zorganizował on z powodzeniem na terenie USA siatkę szpiegostwa komputerowego. Ostatni nabytek - technologia broni plazmowej prosto z Los Alamos.

Cel Paintera wreszcie wstał od stołu do gry w pokera Pai Gow.

- Doktorze Zhang, życzy pan sobie policzyć? - zapytał szef boksu, stając nad stołem niczym kapitan na dziobie swej łodzi.

O siódmej rano był tu tylko jeden gracz... i jego goryle.

Painter śledził zdobyc z bezpiecznej odległości. Nie wolno wzbudzić podejrzeń. Szczególnie nie na tak późnym etapie łowów.

Zhang przesunął stos czarnych sztonów w stronę krupierki, kobiety o znudzonym spojrzeniu. Kiedy ustawiała wygraną, Painter obserwował cel.

Zhang był przykładem stereotypu nieodgadnionego Chińczyka. Miał pokerową twarz, z której nie dawało się niczego wyczytać, żadnego idiosynkratycznego tikusu wskazującego na dobrą lub złą passę. Po prostu robił swoje.

Patrząc na tego człowieka, nikt by nie zgadł, że ma do czynienia z mistrzem zbrodni poszukiwanym w piętnastu krajach. Nosił się jak typowy zachodni biznesmen: szyty na miarę garnitur w niemal niewidoczne prążki, jedwabny krawat, platynowy rolex. Otaczała go aura sztywnej elegancji. Czarne włosy miał wygolone nad uszami i z tyłu, na czubku głowy tworzące błyszczącą koronę, nie całkiem niepodobną do mniszki. Okulary w cienkiej oprawce z okrągłymi szklami lekko zabarwionymi na niebiesko nadawały mu wygląd naukowca.

Krupierka w końcu pomachała rękami nad stosem sztonów, pokazując puste dłonie i palce kamerom ochronnym ukrytym na suficie w kopułkach z czarnych luster.

- Równo pięćdziesiąt tysięcy - zakończyła.

Szef boksu skinął głową. Krupierka wyliczyła kwotę w sztonach tysiąc dolarowych.

- Życzymy więcej szczęścia, sir - rzekł szef i się uklonił. Zhang odszedł wraz ze swymi gorylami, nie skinąwszy nawet na pożegnanie. Grał przez całą noc. Świt zaczynał rozjaśniać niebo. Za trzy godziny znów ruszy konferencja CyberCrime dotycząca kradzieży tożsamości, ochrony infrastruktury i miriadów innych tematów związanych z bezpieczeństwem i ochroną.

Za dwie godziny rozpocznie się śniadaniowe sympozjum Hewletta Packarda. Podczas tego spotkania Zhang dokona transferu. A jego amerykański kontakt pozostawał nieznany. To był jeden z głównych celów tej operacji. Oprócz zabezpieczenia danych na temat broni poszukiwali kontaktów Zhanga w kraju, kogoś związanego z mroczną siecią handlującą militarnymi sekretami i technologiami.

Ta misja nie może się nie powieść.

Painter ruszył za grupą. Jego zwierzchnicy w DARPA wyznaczyli go osobiście do tego zadania po części z racji jego wiedzy i umiejętności dokonywania mikropomiarów i znajomości inżynierii komputerowej, ale bardziej dla jego zdolności wtopienia się w środowisko w Foxwoods.

Crowe, choć tylko półkrwi, ale odziedziczył dość rysów swego ojca, żeby uchodzić za Indianina z plemienia Pequot. Wystarczyło kilka wizyt w solarium, by pogłębić brąz cery, i brązowe szkła kontaktowe, by ukryć błękit oczu po matce. Kruczoczarne, sięgające do ramion włosy związał w koński ogon i wyglądał zupełnie jak ojciec. Przebrania dopełniał garnitur z symbolem plemienia na kieszeni - drzewem na wzgórzu na tle czystego nieba. Poza tym, kto zwraca uwagę na co innego niż garnitur?

Painter bardzo uważał, idąc za Zhangiem. Nie skupiał wzroku na tych, których śledził. Rozglądał się i wykorzystywał naturalne osłony. Tropił zdobyc w neonowym lesie

błyskających automatów do gry, kroczył przez polany zielonego filcu stołów. Zachowywał dystans i zmieniał tempo oraz kierunki.

Słuchawka w jego uchu przemówiła po mandaryńsku - głos Zhanga wychwycony przez mikroprzełącznik. Zhang zmierzał do swojego apartamentu. Painter dotknął mikrofonu na gardle.

- Sanchez, jak odbierasz? - zapytał.

- Głośno i wyraźnie, dowódco.

Cassandra Sanchez, jego zastępczyni podczas tej misji, siedziała w apartamencie naprzeciwko apartamentu Zhanga i obsługiwała aparaturę.

- Jak z tym podskórnym? - zapytał.

- Lepiej niech szybko loguje się do komputera. Pluskwa ma mało soku.

Painter zmarszczył czoło. Pluskwa została umieszczona na Zhangu wczoraj, podczas masażu. Latynoskie rysy Sanchez mogły ujść za indiańskie. Wszczepiła przełącznik podskórny poprzedniego wieczoru podczas głębokiego masażu, kiedy silne uciski kciukami zamaskowały wnikięcie przedmiotu pod skórę. Niewielką ranę pokryła anestetyczną maścią chirurgiczną. Pod koniec masażu ranka zagoiła się i zaschła. Cyfrowy przełącznik miał czas nadawania zaledwie dwanaście godzin.

- Ile czasu zostało?

- W najlepszym razie... osiemnaście minut.

- Cholera.

Painter znów skupił uwagę na tym, co mówi Zhang.

Chińczyk mówił cicho do ochroniarzy. Painter, doskonale znający mandaryński, słuchał uważnie. Miał nadzieję, że Zhang poda jakieś wskazówki, kiedy przekaże pliki dotyczące broni plazmowej. Rozczarował się.

- Niech dziewczyna będzie gotowa, kiedy wezmę prysznic.

Painter zacisnął pięść. „Dziewczyna” miała trzynaście lat - kontraktowa niewolnica z Korei Północnej. „Moja córka”, wyjaśniał zapytany. Gdyby to była prawda, to do długiej listy przestępstw Zhanga należałoby dodać kazirodztwo.

Painter okrążył budkę wymiany i ruszył wzdłuż długiego ciągu automatów, równoległe do celów. Dolarowy automat zadzwonił, obwieszczając główną wygraną. Zwycięzca, mężczyzna w średnim wieku ubrany w strój do joggingu, uśmiechnął się i rozejrzał za kimś, z kim mógłby się podzielić radością. Był tylko Painter.

- Wygrałem! - wrzasnął. Jego oczy podkreślały czerwone obwódki - skutek całonocnej gry.

Painter skinął głową.

- Życzę jeszcze więcej szczęścia, sir. - Posłużył się słowami, które usłyszał wcześniej od szefa boksu, i pomaszerował dalej. Prawdziwych wygranych, poza kasynem, nie było. Same automaty w zeszłym roku przyniosły osiemset milionów dolarów netto. Najwyraźniej plemię Pequot przeszło daleką drogę od interesów typu „kup pan cegłę” z lat osiemdziesiątych.

Na nieszczęście ojca Paintera ominął ten boom, ponieważ opuścił rezerwat na początku lat osiemdziesiątych, kiedy wyjechał szukać fortuny w Nowym Jorku. Tam właśnie poznał matkę Paintera, ognistą Włoszkę, która w końcu zasztyletowała męża po siedmiu latach małżeństwa i urodzeniu dziecka. Mając matkę w celi śmierci, Painter dorastał w rodzinach zastępczych, gdzie szybko nauczył się, że najlepiej być cichym i niewidocznym. Był to jego pierwszy trening podchodów... ale nie ostatni.

Grupa Zhanga dotarła do wind w Grand Pequot Tower, pokazując ochronie przy wejściu klucz do apartamentu.

Painter ominął bramkę. W kaburze pod pachą miał dziewięćmilimetrowego glocka. Musiał stłumić chęć wyciągnięcia pistoletu i strzelenia Zhangowi w tył głowy. To jednak nie

pozwoliłoby osiągnąć celu: odzyskać planów i analiz dotyczących działu plazmowego. Zhangowi udało się ściągnąć te dane z zabezpieczonego serwera federalnego, po zostawieniu wirusa. Następnego ranka w Los Alamos technik nazwiskiem Harry Klein otworzył plik, nieodwracalnie uruchamiając wirusa, który zaczął zjadać wszystkie odniesienia do broni, tworząc jednocześnie ślad prowadzący do Kleina. Podążanie tym fałszywym tropem zajęło śledczym dwa tygodnie.

Potrzeba było dwóch tuzinów agentów DARPA, żeby przesiać mierzwę zostawioną przez wirusa i odkryć prawdziwego złodzieja, Xina Zhanga, szpiega ulokowanego na etacie technologa w Changnecie, szybko rozwijającej się firmie telekomunikacyjnej z Szanghaju. Według wywiadu CIA dane znajdowały się w laptopie Zhanga w jego apartamencie. Twardy dysk jego komputera został zabezpieczony pułapkami i innymi zakodowanymi środkami obrony. Jeden błąd przy próbie wejścia starłby wszystkie dane.

Nie wolno ryzykować. Wirus nie zostawił w Los Alamos niczego. Szacowano, że ta strata cofnęłaby program o całe dziesięć miesięcy. Najgorszą konsekwencją było jednak to, że skradzione wyniki popchną chińskie badania do przodu o całe pięć lat. Pliki zawierały szereg fenomenalnych, przełomowych osiągnięć i wynalazków. Zadaniem DARPA było je odzyskać. Cel akcji: poznać hasło Zhanga i odzyskać laptop. Czas uciekał.

W odbiciu automatu „Koło fortuny” Painter obserwował Zhanga wchodzącego z ochroniarzami do ekspresowej windy jadącej do prywatnych apartamentów na szczycie wieżowca.

Dotknąwszy mikrofonu na gardle, Painter wyszeptał: - Jadą na górę.

- Przyjęte. Gotowi na rozkaz.

Gdy tylko drzwi się zasunęły, Painter pospieszył do windy obok. Zasłaniały ją skrzyżowane jasnożółte taśmy z czarnym napisem: WINDA NIECZYNNNA. Painter zerwał je i nacisnął guzik. Drzwi się otworzyły, wskoczył i znów dotknął mikrofonu: - Czysto! Ruszać!

Sanchez odrzekła: - Trzymaj się.

Kiedy drzwi windy zamykały się z sykiem, Painter oparł się o mahoniową boazerię, rozstawiwszy szeroko nogi.

Winda skoczyła do góry, cisnąc go w dół. Napiął mięśnie. Spoglądał na coraz szybciej rosnące liczby. Sanchez przestawiła tę windę na maksymalne przyspieszenie, jednocześnie spowolniła windę Zhanga o niezauważalne dwadzieścia cztery procent.

Kiedy winda Paintera dotarła do trzydziestego drugiego piętra, wyhamowała z szarpnięciem. Jego nogi oderwały się od wykładziny, zawisł na jeden oddech i opadł z powrotem. Wskoczył, gdy tylko drzwi się otworzyły, ostrożnie, żeby nie naruszyć taśm. Sprawdził sąsiednią windę - trzy piętra niżej, ale zbliżała się.

Musi się pospieszyć.

Pobiegł wzdłuż korytarza i znalazł apartament Zhanga.

- Jak stoimy? - wyszeptał.

- Dziewczynka przykuta kajdankami do łóżka. Dwaj strażnicy grają w karty w głównym salonie.

- Zrozumiano. - Sanchez umieściła ołówkowe kamery w kaloryferach. Painter przeciął korytarz i wszedł do apartamentu naprzeciwko.

Cassandra Sanchez usadowiła się pośród aparatury elektronicznej śledzącej i monitorów niczym pająk w sieci. Ubierała się na czarno, od butów po bluzę. Pasowało to do sytuacji.

Pod pachą miała kaburę z automatycznym sigiem czterdziestkąpiątką. Dostosowała go do swoich potrzeb gumowanym uchwytem Hogue'a i zamontowała przycisk zwalniający magazynek po prawej stronie, żeby mogła zmieniać go kciukiem lewej ręki. Była śmiertelnie dokładnym snajperem, podobnie jak Painter szkoliła się w siłach specjalnych, zanim wstąpiła do Sigmy.

Powitała go błyskiem w oczach, zbliżał się finisz.

Na jej widok Painter zaczął szybciej oddychać. Jej piersi opychały cienki materiał jedwabnej bluzki. Z wysiłkiem odwrócił oczy. Współpracowali od pięciu lat i dopiero ostatnio jego uczucia wobec niej się zmieniły. Służbowe obiady przeszły w drinki po pracy i wreszcie w długie kolacje. Jednak pewne granice były jeszcze do przekroczenia, a dystans zachowany. Cassandra jakby czytała w jego myślach i odwróciła wzrok.

- Skurczybyk, powinien już być - mruknęła i spojrzała na monitory. - Lepiej, żeby włączył te pliki w ciągu najbliższego kwadransa albo... cholera!

- Co się stało? - Painter podszedł do monitora. Widział na nim trójwymiarowy przekrój wyższych poziomów Grand Pequot Tower. Wśród linii jarzyło się małe „x”.

- Zjeżdża na dół!

Owo „x” pokazywało znacznik położenia wbudowany w mikro-przełącznik.

Painter zacisnął pięść.

- Coś go spłoszyło. Czy od jego wejścia do windy miał łączność z apartamentem?

- Ani dudu.

- Laptop nadal tam jest?

Cassandra wskazała inny monitor z biało-czarnym obrazem apartamentu Zhanga. Laptop nadal leżał na stoliku. Gdyby nie był zakodowany, można byłoby się włamać i go ukraść. Ale musieli mieć kody Zhanga. Umieszczony w urządzeniu wirus nagrałby każde uderzenie w klawisze i już by je mieli. A wtedy mogliby zamknąć Zhanga i jego ludzi.

- Muszę wrócić na dół - stwierdził Painter. Znacznik miał zasięg zaledwie dwustu metrów. - Nie możemy go zgubić.

- Jeśli nas przechytrzy...

- Wiem. - Skierował się do drzwi. Trzeba będzie zlikwidować Zhanga. Stracą pliki, ale przynajmniej dane nie dotrą do Chin. Taki był plan B. Mieli zabezpieczenia zabezpieczeń. Był nawet niewielki granat EM umieszczony w jednej z kratki wentylacyjnych apartamentu. W ułamku sekundy mogli go aktywować, uruchamiając impuls elektromagnetyczny, który z kolei uruchamiał zabezpieczenia komputera, a te wymazywały dane. Nie wolno, żeby Chiny dostały te wyniki.

Painter ruszył korytarzem i wślizgnął się do windy.

- Możesz mnie sprowadzić na dół przed nim? - odezwał się do mikrofonu.

- Lepiej trzymaj jaja - odrzekła Cassandra.

Zanim mógł skorzystać z jej rady, winda umknęła mu spod nóg. Przez długą chwilę nic nie ważył, żołądek podjechał mu do gardła. Winda spadała swobodnie. Painter stłumił napad paniki i przełknął żółć. Nagle podłoga windy podskoczyła. Nie było sposobu, żeby utrzymać się w pozycji stojącej. Opadł na kolana. Wreszcie tempo hamowania zmalowało i winda stanęła.

Syknęły otwierane drzwi.

Painter wstał. Trzydzieści pięter w mniej niż pięć sekund. To chyba rekord. Przepchnął się przez drzwi i ruszył korytarzem. Zerknął na wskaźnik nad windą Zhanga.

Jeszcze jedno piętro.

Cofnął się kilka kroków, stając wystarczająco blisko, by kryć drzwi, ale nie na tyle, by wzbudzić podejrzenia. Znowu był ochroniarzem w kasynie.

Drzwi windy Zhanga otworzyły się na głównym poziomie.

Painter widział je, odbijające się w polerowanych mosiężnych drzwiach windy znajdującej się naprzeciwko. No nie... Odwrócił się i spojrzał do środka. Nikogo.

Czy Zhang wysiadł na innym piętrze? Painter wszedł do pustej windy. Niemożliwe, to winda ekspresowa, nie zatrzymuje się - jedzie prosto do apartamentów na górze. Chyba że Chińczyk pociągnął hamulec bezpieczeństwa i uciekł, sforsowawszy drzwi.

Nagle zobaczył. Do ściany przyklejony był połyskujący kawałek plastiku. Pluskwa.

Painter czuł, jak serce wali mu o żebra, kiedy wchodził do windy. Wzrok skupił na mikroprzełączniku. Oderwał go i przyjrzał mu się uważnie. Zhang wyprowadził go w pole.

Boże...

Dotknął mikrofonu.

- Sanchez!

Jego serce nadal biło głośno. Żadnej odpowiedzi.

Odwrócił się i nacisnął guzik z napisem: APARTAMENTY. Drzwi zamykały się za nim wolno. Chodził po windzie jak lew po klatce. Ponownie wezwał Cassandrę. Znow cisza.

- Cholera... - Ekspresowa winda zaczęła się wznosić. Painter uderzył pięścią w ściankę i mahoniowy panel trzasnął pod knykciami. - Ruszaj się, skurwielu! Ale wiedział, że jest już za późno.

14.38 GMT

LONDYN, ANGLIA

Stojąc w holu kilka kroków od Galerii Kensington, Safia z trudem oddychała. Nie z powodu odoru spalonego drewna i izolacji, ale dlatego, że musiała czekać. Przez cały ranek obserwowała śledczych i inspektorów z wszelakich brytyjskich biur, jak znużeni wchodzą i wychodzą. Ona nie mogła nigdzie wejść.

Cywilom nie wolno było przekraczać żółtych taśm. Nie pozwalały na to czujne oczy wojskowych strażników.

Dopiero po południu pozwolono jej wreszcie wejść do środka i na własne oczy zobaczyć zniszczenia. Miała wrażenie, jakby jej klatkę piersiową ścisnął w pięści olbrzym. Serce stało się spanikowanym gołębiem bijącym o pręty żeber.

Co znajdzie? Co da się uratować?

Cierpiała, zdruzgotana jak galeria.

Jej praca była czymś więcej niż tylko życiem akademickim. Po Tel Awiwie właśnie tu uleczyła swoje serce. I chociaż opuściła Arabię, nie porzuciła jej. Nadal była córką swojej matki. Tak więc odbudowała Arabię w Londynie - Arabię sprzed czasu terrorystów, namacalne świadectwo historii jej kraju, jego cudów, czasów starożytnych i tajemnic. Otoczona antykami, idąc przez galerię, słyszała skrzyp piasku pod stopami, czuła na twarzy ciepło słońca i smakowała słodysz świeżo zerwanych daktyli. To był dom, bezpieczne miejsce.

I o wiele więcej. Jej żal jeszcze się pogłębił.

W swoim sercu zbudowała dom nie tylko dla siebie, ale i dla matki, której nie znała. Czasami, kiedy pracowała do późna, czuła w powietrzu subtelną woń jaśminu, wspomnienie z dzieciństwa, wspomnienie matki. Mimo że nie dzieliły życia, mogły dzielić to miejsce, kawałek domu.

A teraz to odeszło. Wpuszczają nas.

Safia zadrzała. Zerknęła na Ryana Fleminga. Szef ochrony czuwał wraz z nią, choć wyglądało na to, że z braku snu ledwo trzyma się na nogach.

- Będę przy tobie - szepnął.

Zmusiła się do wdechu i skinęła głową. Tylko tak mogła teraz podziękować za jego uprzejmość i towarzystwo. Ruszyła za ekipą muzeum. Wszyscy zgodzili się pomóc w katalogowaniu i dokumentowaniu zawartości galerii. To zajmie całe tygodnie.

Safia szła, jednocześnie ciekawa i pełna obaw, co znajdzie. Okrążyła ostatnią barierę. Krata bezpieczeństwa została usunięta przez biuro koronera. Poczwała ulgę. Wcale nie chciała oglądać szczątków Harry'ego Mastersona.

Podeszła do wejścia i zajrzała.

Mimo że widziała salę na monitorze, nie była przygotowana na to, co zobaczyła.

Jasna galeria stała się mrocznym labiryntem jaskiń, pięcioma salami pełnymi potrzaskanych kamieni.

Wstrzymała oddech. Ktoś za nią aż się zachłysnął.

Ognista burza na wszystkim zostawiła ślady zniszczenia. Ściana została spopielona do cegieł u podstawy. Nic nie stało prosto poza babilońską wazą na samym środku. Wysoka na pół metra - choć okopcona - stała. Safia czytała, że tornada, siejąc wokół zniszczenie, zostawiają nietknięty rower stojący w samym środku zamieszania.

Wciąż cuchnęło dymem, a podłogę pokrywała kilkucentymetrowa warstwa mokrej sadzy.

- Będziesz potrzebowała gumiaków - stwierdził Fleming, kładąc rękę na ramieniu Safii i kierując ją ku rzędom butów. - I kasku.

- A skąd w ogóle mamy zacząć? - mruknął ktoś. Stosownie ubrana Safia wkroczyła do galerii. Poruszała się jak we śnie, mechanicznie, nawet nie mrugała. Mijała kolejne sale. Kiedy doszła do ostatniej, coś chrupnęło pod butem. Schyliła się, pogmerała w sadzy i podniosła jakiś kamień. Na jego powierzchni rysowało się kilka linijek pisma klinowego. Był to kawałek asyryjskiej tabliczki datowanej na czas starożytnej Mezopotamii. Wyprostowała się i spojrzała na ruiny Galerii Kensington. Tyle że teraz zauważyła innych ludzi. Obcych w jej domu.

Pracowali w grupkach, rozmawiali przyciszonymi głosami, jak na cmentarzu. Inspektorzy budowlani badali strukturę ścian, podczas gdy śledczy ze straży pożarnej analizowali odczyty z urządzeń. Grupka inżynierów spierała się w kącie na temat budżetów i ofert, a kilku policjantów stało na straży przy zniszczonej ścianie zewnętrznej. Robotnicy już montowali płyty mające zakryć otwór.

Przez szparę Safia dostrzegła stojących za taśmami gapiów po przeciwnej stronie ulicy. Byli zaskakująco wytrwali, choć poranna mżawka po południu przeszła w ulewę. Migały flesze. Turyści.

Przez jej otepienie przebił się gniew. Chciała wyrzucić wszystkich tych ludzi. To jej skrzydło, jej dom. Gniew pomógł jej się skupić, sprowadził ją na ziemię. Musi wypełnić zobowiązanie.

Skierowała uwagę na innych uczonych i studentów z muzeum. Zaczęli już przesiewać zniszczenia. To, że teraz codzienne niesnaski odsunięto na bok, podnosiło na duchu.

Skierowała się do wejścia, gotowa skrzyknąć ochotników. Kiedy jednak doszła do pierwszej galerii, pojawiła się spora ich grupa. Na czele kroczyła Kara w roboczym kombinezonie i czerwonym kasku z logo Kensington Wells. Prowadziła dwadzieścioro mężczyzn i kobiet. Byli ubrani tak samo jak ona i mieli takie same czerwone kaski.

Safia zastąpiła jej drogę.

- Kara?

Nie widziała jej przez cały dzień. Zniknęła wraz z dyrektorem muzeum, przypuszczalnie po to, żeby koordynować pracę rozmaitych zespołów śledczych ze straży i policji. Wyglądało na to, że kilka miliardów funtów daje władzę.

Kara machnięciem skierowała grupę w głąb galerii.

- Do roboty! Odwróciła się do Safii.

- Wynajęłam własny zespół specjalistów.

Safia patrzyła na grupę maszerującą niczym mała armia. Zamiast broni nieśli różnego rodzaju aparaty i przyrządy.

- Co się dzieje? Dlaczego to robisz?

- Żeby się dowiedzieć, co się stało.

Kara patrzyła, jak zespół zabiera się do pracy. W oczach miała gorączkowy błysk, ognistą determinację. Safia już dawno nie widziała jej w takim stanie. Coś wyzwoliło w Karze napięcie, którego brakowało jej od lat. Tylko jedno mogło ją tak rozpalić.

Ojciec.

Przypomniała sobie wyraz oczu Kary, gdy oglądała nagrania z eksplozji. Ta dziwna ulga. I jedno słowo: „Nareszcie...”.

Kara weszła do galerii. Jej zespół już zaczął pobierać próbki z plastiku, szkła, drewna, kamienia. Podeszła do dwóch ludzi z wykrywaczami metalu, które przesuwali nad podłogą. Jeden z nich podniósł z kupki gruzu kawałek stopionego brązu i odłożył na bok.

- Chcę, żebyście znaleźli każdy kawałek meteorytu - rozkazała.

Mężczyźni skinęli głowami. Safia dołączyła do Kary.

- Czego tak naprawdę szukasz? - spytała.

Kara odwróciła się do niej, w jej oczach jarzyła się determinacja.

- Odpowiedzi.

Poza zaciśniętymi ustami przyjaciółki Safia ujrzała na jej twarzy nadzieję.

- Na temat ojca?

- Na temat jego śmierci.

16.20

Kara siedziała w korytarzu na składanym krześle. W galeriach wrzała praca. Wentylatory kręciły się z warkotem. Nie docierały do niej pogaduszki pracowników. Wyszła na papierosa. Palenie rzuciła dawno temu, ale teraz musiała zająć czymś ręce. Jej palce drżały

Czy ma dość siły? Siły, by mieć nadzieję.

W wejściu pojawiła się Safia, dostrzegła ją i skierowała się w jej stronę.

Kara wskazała papierosa.

- Tylko chwilę.

Safia zatrzymała się, skinęła głową i wróciła do galerii.

Kara zaciągnęła się kolejny raz, wypełniła płuca dymem, ale to jej nie uspokoiło. Była zbyt rozdygotana, nocna adrenalina powoli się wypalała. Patrzyła na brązową płytę obok wejścia. Była na niej podobizna ojca, założyciela galerii.

Wydmuchnęła dym, zacierając widok. Papa...

Gdzieś w głębi galerii coś upadło z głośnym „bang”, dźwięczącym jak wystrzał, wspomnienie przeszłości, polowania wśród piasków.

Kara podryfowała w przeszłość.

Jej szesnaste urodziny.

Polowanie było prezentem od ojca.

Arabski oryks uciekał w górę wydmy. Biała sierść antylopy odbijała się od czerwieni piasku. Tylko dwie plamy kaziły śnieżne umaszczenie: czarny koniec ogona i obwódki wokół oczu i nosa. Wilgotna karmazynowa krew kapała ze zranionego brzucha.

Im rozpaczliwiej zwierzę próbowało uciec przed myśliwymi, tym jego kopyta coraz głębiej wbijały się w piasek. Im bliżej grzbietu, tym większym strumieniem ciekła krew. Stożkowate rogi cięły powietrze, gdy mięśnie karku skręcały się z wysiłku podczas bolesnego pokonywania kolejnych metrów.

Będąca ćwierć kilometra dalej Kara słyszała odbijający się echem płacz oryxa ponad warkotem silnika quada, na grubych oponach. Sfrustrowana ścisnęła kierownicę, kiedy pojazd wyskoczył na wierzchołek ogromnej wydmy. Przez zapierającą dech w piersi chwilę była w powietrzu, uniesiona nad siodełkiem.

Gniewnie zaciśnięte wargi pozostawały ukryte pod chustą pasującą do stroju safari koloru khaki. Sięgający do połowy pleców warkocz powiewał za nią jak ogon dzikiej klaczy.

Ojciec jechał za nią, ze strzelbą przewieszoną przez plecy. Twarz miał opaloną na kolor skóry siodła, a włosy piaskowoszare. Podchwycił jej spojrzenie.

- Już blisko! - starał się przekrzyczeć ryk silników. Dodał gazu i zjechał po nawietrznej stronie wydmy.

Kara pognąła, pochylona nad kierownicą, a beduiński przewodnik tuż za nią. To właśnie Habib doprowadził ich do zdobyczy. I to jego celny strzał zranił oryksa. Choć była pod wrażeniem jego celności - trafił antylopę podczas skoku - wściekła się, że strzał oddano, by zranić, a nie zabić.

- Żeby spowolnić... dla dziewczyny - wyjaśnił Habib. Zirytowało ją to okrucieństwo... I obraziło. Polowała z ojcem od czasu, gdy miała sześć lat. Potrafiła całkiem sporo i wołała czyste zabijanie. Celowe ranienie zwierzęcia uważała za barbarzyństwo.

Niektórzy, szczególnie w Anglii, unosili brwi na widok jej zachowania, uważając ją za chłopczycę, tym bardziej że dorastała bez matki. Kara jednak wiedziała swoje. Podróżując przez pół świata, wychowywała się, nie znając linii oddzielającej mężczyzn i kobiety. Wiedziała, jak się bronić, jak walczyć pięścią lub nożem.

Dotarwszy do końca zbocza, Kara i jej przewodnik dogonili ojca, bo jego pojazd zabuksował w łące piasku. Minęli go w chmurze pyłu.

Ojciec wypchnął quada i popędził w górę następnej wydmy, wielkiej góry czerwonego piachu.

Kara z Habibem wjechali na grzbiet pierwsi, zwalniając, żeby dziewczyna mogła zobaczyć, co jest dalej. Druga strona wydmy opadała stromo jak urwisko, kończąc się rozległą równiną. Z łatwością można się było z niej stoczyć i połamać.

Habib machnął ręką, żeby się zatrzymała. Posłuchała, wiedząc, że tak będzie lepiej. Zgasiała motor. Poczwała skwar kładący się ciężarem na jej ramionach, ale nie zwracała na to uwagi. Oszołomiona widokiem powoli wypuściła powietrze.

To było wspaniałe. Słońce, chylące się ku zachodowi, zmieniło połacie piasku w czyste szkło. Upalne miraże błyszcząły, dając złudzenie jezior pełnych wody - kłamliwe obietnice bezwzględne krajobrazu.

Wzrok Kary przyciągnął stożkowy słup piasku wirujący z dołu do góry, ginący wysoko w chmurze pyłu.

Piaskowy diabeł.

Kara już widywała takie rzeczy, łącznie z burzami piaskowymi, które potrafiły uderzyć znikąd i donikąd uciec. Jednak ten widok głęboko ją poruszył: samotna natura tego wiru, jego doskonała nieruchomość na równinie... Była w tym tajemnica i obcość.

Słyszała, jak Habib mamrocze coś z opuszczoną głową, jakby się modlił.

Po chwili dołączył do nich ojciec.

- Tam jest! - powiedział zdyszany wskazując w dół strome go zbocza.

Oryks włókł się przez równinę, kulejąc. Habib podniósł rękę, przerywając modlitwę.

- Nie, dalej nie idziemy.

Ojciec zmarszczył brwi.

- O czym ty mówisz?

Przewodnik nadal patrzył przed siebie. Jego myśli kryły się za ciemnymi goglami Afrika Korps i wełnianym omańskim nakryciem głowy zwanym shamaq.

- Dalej nie idziemy - powtórzył grubym głosem. - To kraj nisnasów, zakazanych piasków. Musimy zawrócić.

Ojciec się roześmiał.

- Bzdura, Habibie.

- Papo? - odezwała się Kara. Pokręcił głową i wyjaśnił:

- Nisnasy to upiory głębokiej pustyni. Czarne dżiny, duchy nawiedzające piaski.

Kara spojrzała na twarde rysy przewodnika. Część Arabii zwana Rub al-Khali stanowiła największą na świecie masę piachu, była większa od Sahary, a fantastycznych opowieści dotyczących tego regionu było mnóstwo i jedna bardziej dziwaczna od drugiej.

Zdarzali się jednak tacy, którzy w nie wierzyli. Najwyraźniej przewodnik do nich należał. Ojciec zmniejszył gaz.

- Przynajmniej ci polowanie, Karo, nie chcę cię rozczarować. Jeśli jednak chcesz wracać...

Kara zawahała się, popatrywała to na ojca, to na Habiba, zawieszona między lękiem i determinacją, między mitologią i rzeczywistością. Tutaj, w dziczy pustyni, wszystko wydawało się możliwe.

Wpatrzyła się w uciekające zwierzę, kulejące na gorącym piasku, walczące o każdy krok, podążające ścieżką bólu. Wiedziała, co musi zrobić. Cała ta krew, cały ten ból były z jej powodu. Musi to zakończyć.

Poprawiła chustę i zapaliła silnik. - Tam jest łatwiejszy zjazd. Bardziej w lewo. Ruszyła wzdłuż grzbietu, kierując się ku łagodniejszemu spadkowi.

Nie musiała się odwracać, żeby widzieć ojcowski szeroki uśmiech dumy i zadowolenia. Oświetlał ją jak słońce. No, ale w tym momencie nie dawał ciepła.

Patrzyła na równinę, daleko, poza samotnego oryksa, na pojedynczą spiralę piasku. Piaskowe diabły były czymś zwyczajnym, lecz widok tego jednego ją dziwił. Nie poruszał się.

Osiągnąwszy łagodniejszy stok, dziewczyna skierowała czterokołowca w dół, ku równinie. Było stromo, pojazdem rzucało w prawo i w lewo, ale trzymała się na luźnym piachu. Kiedy dojechała do równiny, koła złapały lepszą przyczepność i przyspieszyła.

Słyszała za sobą pojazd ojca. Dźwięk doleciał także do uszu oryksa. Boleśnie potrząsnął głową i przyspieszył kroku.

Dystans wynosił mniej niż ćwierć kilometra. Już niedługo. Po równym quad dogoni zwierzę i szybki, czysty strzał zakończy jego nieszczęście i polowanie.

- Chce się ukryć! - krzyknął ojciec. - Idzie na ten wir!

Pojazd ojca wystrzelił przed nią. Kara ruszyła w pościg, nisko pochylona nad kierownicą. Ścigali zranione stworzenie, ale desperacja sprawiała, że było bardzo szybkie.

Oryks kłusował ku skrajowi trąby.

Ojciec zaklął paskudnie, ale nie zwolnił.

Kara podążała za nim, jakby wciągnięta w jego kilwater.

Zbliżywszy się do pylis tej burzy, odkryli w piasku głęboką dziurę. Oba pojazdy zatrzymały się na jej krawędzi. Pylny diabeł wyrastał ze środka dziury, jakby wkopywał się w pustynię, wyrzucając piasek wysoko w górę. Kolumna pyłu miała dobre pięćdziesiąt metrów średnicy, a piaskowa niecka z pięćset metrów.

Wulkan dymiący wśród piasków.

Błękitne kreski wyładowań przesywały diabła z denerwująco cichymi trzaskami. Kara czuła zapach ozonu. Było to zjawisko charakterystyczne dla burz piaskowych na suchych pustyniach - elektryczność statyczna.

Ignorując widok, ojciec wskazał środek niecki.

- Tam jest!

Kara spojrzała w dół. Kulejąc, oryks zmierzał do twardszego piasku, cyklonu wirującego w pobliżu środka.

- Przygotuj strzelbę! - krzyknął ojciec. Dziewczyna nie drgnęła, nie była w stanie się poruszyć.

Oryks na drżących nogach dotarł do skraju diabła, chciał się ukryć za zasłoną wirującego piasku.

Ojciec zaklął pod nosem i zanurkował quadem w dół zbocza.

Kara, pełna lęku, przygryzła dolną wargę, przepchnęła pojazd przez krawędź i ruszyła za ojcem. Gdy tylko wjechała w nieckę, poczuła wyładowania elektryczne wewnątrz dziury.

Włoski na jej skórze stawały dęba, dolewając oliwy do ognia jej lęku. Zwolniła, tylne opony zagłębiały się w piachu zbocza.

Ojciec dojechał do dna niecki i ostro zahamował. Utrzymał się jednak na siodełku, ze strzelbą przy ramieniu.

Kara usłyszała głośny trzask wystrzału marlina, strzelby ojca. Wypatrywała oryksa, ale był już wewnątrz pyłowej burzy. Odchylił się na bok, upadł.

Ojciec dobił go jednym strzałem.

Karze nagle zrobiło się głupio. Pozwoliła, żeby zapanował nad nią strach, i straciła polowanie.

- Tato! - krzyknęła, gotowa do pochwał, dumna z jego pragmatyczności w tym pościgu.

Jednak nagły krzyk zdusił wszelkie słowa. Dobiegł z piaskowego diabła i brzmiał, jakby dochodził z piekła - przerażający krzyk agonii. Mroczny cień oryksa wpadł w sam środek diabła, zamazany wirującym piaskiem. Z jego gardła wyrwał się jęk konania. To była rzeźnia.

Ojciec, nadal podpierając nogą pojazd, walczył, by zawrócić.

- Karo! Wynoś się stąd! - krzyknął.

Nie była w stanie nawet drgnąć. Co się dzieje?

Potem jęk zwierzęcia zamarł jak zdmuchnięta świeczka. Rozszedł się smród palonego ciała i sierści. Płynął w górę i w dół niecki, unosił się nad Karą, dławił ją. Widziała, jak ojciec wciąż walczy z quadem, ale koła ugrzęzły w piasku.

Jego oczy odszukały ją, zamarła w miejscu.

- Karo! Uciekaj! - Machnął ręką. Jego opalona twarz śmiertelnie pobladła. - Uciekaj, kochanie!

Wtedy to poczuła. Zawirowanie piasku. Z początku zaledwie delikatne pociągnięcie, jakby nagle wzrosła grawitacja. Ziarnka piasku podrywały się do tańca i spadały, szybko stając się strumykami, które spływały, kierując się ku piaskowemu diabłowi.

Ojciec też to wyczuł. Zapalił silnik, lecz koła buksowały w piachu, wzbijając całe jego fontanny.

- Wiej, cholera! - wrzasnął znów.

Kara była wstrząśnięta. Ojciec rzadko krzyczał - a już nigdy, gdy był spanikowany.

Kopnęła starter, wdusiła sprzęgło. Ku swemu przerażeniu spostrzegła, że piaskowa kolumna rozszerza się, karmiona niewytłumaczalnymi prądami krążącymi po pustyni. Ciągnęła w stronę jej ojca uwięzionego w piasku.

- Tatusiu! - krzyknęła ostrzegawczo.

- Uciekaj, dziecko! - Wreszcie uwolnił pojazd, bodaj samą siłą woli. Kara skrzyła, dodała gazu i zaczęła zjeżdżać w dół zbocza. Piach pod kołami wsysał pojazd, jakby to był wir wodny, ściągając Karę z siodełka. Walczyła z piachem jak umiała.

Dotarłszy wreszcie na skraj niecki, obejrzała się. Ojciec nadal był blisko jej dna, miał twarz pokrytą piaskiem i potem, oczy zmrużone w skupieniu. Zbliżał się do niego wirujący piach, błyskając pasmami wyładowań elektrycznych.

Kara nie potrafiła odwrócić wzroku. W sercu pylnego diabła gęstniał mrok, rósł i ciemniał coraz bardziej, stawał się też coraz bardziej masywny. Rozjaśniały go błyski wyładowań. Smród spalonego mięsa nadal unosił się w powietrzu. Kara przypomniała sobie ostrzeżenia przewodnika i ogarnęła ją groza.

Czarne duchy... niszasy.

- Tatusiu!

Ojciec jednak tonął w nurtach wiru, niezdolny do ucieczki. Jego oczy napotkały jej spojrzenie, malował się w nich strach nie tylko o siebie, lecz i o nią.

Uciekaj - wypowiedział samymi wargami i zniknął w mroku wypełniającym diabła.

- Tatusiu...!

Rozległ się przerażający krzyk.

Zanim była w stanie zareagować, piaskowa kolumna eksplodowała z nieprawdopodobną siłą. Karę wyrwało z siodełka i cisnęło wysoko. Obracała się w locie. Trwało to długo, aż nagle ziemia urosła i uderzyła ją. Coś trzasnęło w ramieniu, poczuła ledwo zauważalny błysk bólu. Toczyła się po piasku, wreszcie zatrzymała twarzą w dół.

Leżała przez kilka oddechów, niezdolna do ruchu. Jednak lęk o ojca sprawił, że przekreśliła się na bok. Spojrzała za siebie na wulkan dymiący wśród piasków.

Diabeł zniknął jak zdmuchnięty. Została po nim chmura pyłu wisząca w powietrzu. Kara zmusiła się, żeby usiąść, rozkasła się, przyciskając do brzucha zranioną rękę. To nie miało sensu. Rozejrzała się.

Zobaczyła piaski nieskalane koleinami czy śladami. Wszystko znikło: żadnej dziury, żadnego krwawiącego oryksa, żadnego pojazdu.

Wpatrzyła się w piaszczysty bezmiar.

- Tatusiu...

Okrzyk dobiegający z galerii sprawił, że Kara powróciła do terażniejszości. Zapomniany papieros wyzarzył się do filtra. Wstała i ruszyła ciężkim krokiem.

- Tutaj! - zawołano ponownie. To jeden z jej techników. - Znalazłem coś!

8.02 EST

LEDYARD, CONNECTICUT, USA

Painter Crowe kucnął na podłodze windy, kiedy drzwi otwierały się na najwyższym piętrze Grand Pequot Tower. Przygotowany na zasadzkę trzymał gotowego do strzału glocka - pocisk w komorze, palec na spuście.

Ta część korytarza, w której znajdowały się windy, była pusta. Nasłuchiwał, wstrzymując oddech. Żadnych głosów, żadnych kroków. Gdzieś daleko grał telewizor, ryczący muzyczny temat z Dzień dobry Ameryko. Dla niego nie był to szczególnie dobry dzień.

Wstając, zaryzykował rzut oka na zewnątrz, a broń podążyła za wzrokiem. Nic. Zrzucił buty i jednym zablokował drzwi windy na wypadek, gdyby potrzebował drogi szybkiego odwrotu. Zrobił w skarpetkach trzy szybkie kroki ku przeciwległej ścianie i sprawdził korytarz.

Czysto.

Przeklął brak ludzi. Mimo wsparcia w postaci ochrony hotelowej i lokalnej policji, które już obstawiły wszystkie wyjścia, żaden dodatkowy agent federalny nie miał tu prawa wstępu ze względu na szacunek dla indiańskiej suwerenności.

Poza tym to miała być prosta akcja typu „złap-i-zamknij”. Najgorszy scenariusz przewidywał, że będą musieli raczej zniszczyć dane, niż pozwolić, by wpadły w ręce Chińczyków.

A teraz to wszystko poszło w diabły. Własny sprzęt zrobił go na szaro. W tej chwili jednak miał poważniejszy problem.

Cassandra...

Modlił się, żeby to była pomyłka, ale tak naprawdę nie miał nadziei.

Prześlizgnął się pod ścianą korytarza z windami. Wyszedł na środek głównego korytarza, po obu stronach którego znajdował się szereg drzwi do apartamentów. Pochylony spojrzał w prawo i w lewo. Pusto. Ani śladu Zhanga i jego obstawy.

Zmysły wyostrzyły mu się jak żyłotka. Na dźwięk otwieranych z tyłu drzwi błyskawicznie odwrócił się, opadł na kolano z bronią gotową do strzału. Na końcu korytarza

pojawiła się starsza pani w szlafroku. Podniosła z progu egzemplarz „USA Today” i wróciła do pokoju, nie zauważywszy Paintera.

Znów się odwrócił. Szybko pokonał odległość dzielącą go od jego apartamentu. Nacisnął klamkę. Zamknięte. Sięgnął do kieszeni po kartę, jednocześnie mierząc z pistoletu w drzwi Zhanga. Przesunął kartę przez szczelinę czytnika i zabłysła zielona lampka.

Otworzył drzwi pchnięciem, opierając się o ścianę na zewnątrz.

Żadnych strzałów. Żadnych krzyków.

Wpadł do pomieszczenia i zatrzymał się po pięciu krokach - nogi szeroko rozstawione, uniesiona broń. Z tego miejsca dobrze widział i salon, i sypialnię.

Nikogo.

Sprawdził sypialnię i łazienkę. Żadnych wrogów... i ani śladu Cassandra. Wrócił do pokoju ze sprzętem. Spojrzał na monitory. Nadal pokazywały różne ujęcia apartamentu Zhanga. Zmyli się. Komputer zniknął. W apartamencie Chińczyka była tylko jedna osoba.

- Boże... nie...

Zapomniawszy o ostrożności, dopadł drzwi. Przeciął korytarz i zaczął szukać w kieszeniach klucza uniwersalnego, otwierającego wszystkie hotelowe drzwi. Przebiegł przez główny salon do sypialni.

Wisiąca naga na linie umocowanej do sufitu. Jej twarz była sina. Nogi, które na monitorze jeszcze kopały, teraz zwisały bezwładnie.

Schowawszy pistolet do kabury, Painter przeskoczył nad fotelem. Wyciągnął nóż z pochwy na przedramieniu i jednym cięciem odciął linę i złapał spadające ciało. Położył ją na łóżku i opadł na kolana, próbując przeciąć sznur.

- Jassna cholera!

Linka głęboko werżnęła się w jej cienką szyję, ale pętla wreszcie puściła swą ofiarę. Rozciął linkę. Palcami delikatnie sprawdził kark. Nie był złamany. Czy jeszcze żyje?

Odpowiedzią było zachłyśnięcie się i gwałtowne drżenie, które wstrząsnęło całym jej ciałem. Jej oczy się otworzyły, spanikowane i zagubione. Wstrząsały nią kolejne ataki kaszlu. Ramiona walczyły z niewidzialnym wrogiem.

Próbował ją uspokoić, mówiąc po mandaryńsku:

- Jesteś bezpieczna. Leż spokojnie. Jesteś bezpieczna.

Dziewczynka wyglądała na mniej nawet niż trzynaście lat. Na jej nagim ciele widniały siniaki w miejscach, gdzie dziecko siniaków mieć nie powinno. Zhang dręczył ją okrutnie, a potem zostawił, wiszącą na linie, żeby powstrzymać Paintera przed dalszym pościgiem.

Usiadł na piętach. Dziewczynka skuliła się i zaczęła szlochać. Nie dotknął jej, wiedział, że lepiej tego nie robić.

W jego uchu zabrzmiał komunikator LASH.

- Komandorze Crowe - zabrzmiał głos szefa hotelowej ochrony - strzelanina przy wyjściu z północnej wieży.

- Zhang? - Wstał i podszedł do okna balkonowego.

- Tak. Raportuję, że twojej partnerki używa jako żywej tarczy. Może zostać trafiona. Posłałem tam więcej ludzi.

Otworzył okno. Miało zabezpieczenie, więc mógł tylko wystawić głowę.

- Musimy zablokować drogi. Poczekaj.

Dobiegł go pisk opon. Z parkingu wyprysnął lincoln town i skierował się ku wieży. Samochód Zhanga, jadący, żeby go zabrać. Ochrona zgłosiła się przez radio:

- Przebił się przez wyjście północne. Nadal ma pańską partnerkę.

Lincoln dojeżdżał do rogu wieży. Painter wrócił do środka.

- Zablokujcie te cholerne drogi!

Brakowało jednak czasu. Wszczął alarm niecałe cztery minuty temu. Tutejsze siły porządkowe miały do czynienia jedynie z pijackimi bójkami, jazdą „pod wpływem”, drobnymi kradzieżami, a nie ze sprawami dotyczącymi bezpieczeństwa narodowego.

Schylił się po nóż.

- Zostań tutaj - powiedział miękko po mandaryńsku, pospieszył do salonu i zabrał się do podważania nożem kratki przewodu wentylacyjnego. Otworzyła się z trzaskiem wyskakujących śrub. Sięgnął do środka i zabrał granat EM. Miał on z grubsza rozmiar i kształt piłki do futbolu amerykańskiego. Z urządzeniem w dłoni wybiegł z apartamentu na korytarz. Nadal bez butów, puścił się sprintem po dywanie holu. Analizował w myśli plan pomieszczeń, ustalając, gdzie jest wyjście północne.

Ośmioro drzwi dalej zatrzymał się i ponownie wyjął kartę uniwersalną. Przesunął ją przez szczelinę elektronicznego zamka i skoro tylko zabłysło zielone światelko, pchnął drzwi.

- Ochrona! - ryknął i wbiegł do pokoju.

Starsza pani, ta sama, którą już dzisiaj widział, siedziała w fotelu i czytała „USA Today”. Upuściła gazetę i zaciśnęła szlafrok pod szyją.

- Was ist los? - spytała po niemiecku.

Minał ją, spiesząc do okna i zapewniając, że nie stało się nic złego.

- Nichts, sich ungefahr zu sorgen, Fraulein - rzucił. Otworzył okno i spojrzął w dół.

Lincoln stał na jałowym biegu. Trzasnęły zamykane tylne drzwi. Trwała strzelanina. Pociski uderzały w bok samochodu, którego opony piszcząły i dymiły, ale wóz był kuloodporny, czołg produkcji amerykańskiej.

Painter wystawił za okno granat EM, nacisnął guzik aktywujący i rzucił go, mając nadzieję, że trafi jak na mistrzostwach. Koła lincolna przestały piszczeć, kiedy złapały przyczepność. Pomodlił się do przodków. Zasięg impulsu generowanego przez granat wynosił tylko dwadzieścia metrów. Wstrzymał oddech. Jak brzmiało to stare powiedzenie? „Blisko liczy się tylko w rzucie podkową i granatem”.

Wstrzymywał oddech, gdy wreszcie rozległ się głuchy odgłos wybuchu. Czy był dość blisko?

Wyjrzał przez okno. Lincoln jechał nieopodal rogu wieży, ale zamiast wejść w zakręt, nagle skręcił w sposób niekontrolowany i czołowo uderzył w szereg zaparkowanych samochodów. Przód lincolna wjechał na maskę volkswagena passata i tam się zatrzymał.

Painter westchnął.

To, co było dobre w impulsach EM, to to, że nie dyskryminowały żadnych systemów komputerowych, tylko smażyły wszystkie. Nawet te działające w lincolnach.

W dole umundurowani ochroniarze wylewali się z wejścia i szybko otaczali samochód.

- Was ist los? - powtórzyła za jego plecami stara Niemka. Odwrócił się i ruszył przez pokój.

- Etwas Abfall gerade entleeren. - Po prostu wymiatanie śmieci.

Szybko przeciął korytarz i znalazł się przy windach. Wyjmując buty blokujące drzwi, nacisnął guzik głównego piętra.

Jego wyczyn zapobiegł ucieczce Zhanga, ale także wymazał wszystkie dane z jego komputera. Nie tym jednak Painter przejmował się teraz najbardziej.

Cassandra.

Musi do niej dotrzeć.

Gdy tylko drzwi windy się otworzyły, pognął przez kasyno, w którym rozpętało się pandemonium, choć kilkoro ludzi nadal spokojnie siedziało przed automatami, naciskając guziki z zacięłą determinacją.

Poszedł do północnego wyjścia i musiał przebiec przez szereg blokad, błyskając legitymacją, sfrustrowany, że go zatrzymują, wreszcie dostrzegł Johna Fentona, szefa

ochrony, i zawołał go, ten zaś przeprowadził Paintera przez potrzaskane wejście. Szkło trzeszczało pod stopami, a w powietrzu wisiał zdradzający wszystko i zanieczyszczający atmosferę zapach prochu.

- Nie rozumiem, dlaczego ten samochód tak się zachował - powiedział Fenton. - Na szczęście dla nas.

- To nie tylko szczęście - rzekł Painter, po czym powiedział o impulsie EM i dwudziestometrowym zasięgu. - Kilku gości może mieć dzisiaj spore kłopoty z zapaleniem samochodu. No i zapewne będzie kilka usmażonych telewizorów na niższych piętrach.

Na zewnątrz Painter zobaczył, że lokalna ochrona ma wszystko pod kontrolą. Na dodatek przez parking przejeżdżał rząd szarych jak węgiel drzewny policyjnych wozów z błyskającymi kogutami, okrążając miejsce zdarzenia. Policja Plemienna Mashantucket Pequot.

Painter przeszukiwał teren. Obstawa Zhanga klęczała, z rękami na głowach. Na ziemi leżały dwa ciała, z twarzami przykrytymi marynarkami ochrony. Painter podszedł i odchylił jedną z marynarek. Ochroniarz - brakowało mu połowy twarzy. Tego drugiego nie musiał oglądać. Rozpoznał wyglansowane skórzane buty Zhanga.

- Sam się zastrzelił - powiedział znajomy głos kogoś stojącego w grupie hotelowych ochroniarzy i policji. - Wolał to od zatrzymania.

Painter odwrócił się i zobaczył Cassandrę. Była blada, uśmiechała się powściągliwie. Miała na sobie tylko biustonosz. Lewe ramię zniknęło pod bandażem.

Skinęła głową w stronę czarnej walizeczki leżącej kilka metrów dalej. Komputer Zhanga.

- No to straciliśmy dane - westchnął Crowe. - Impuls EM je starł.

- Może jednak nie. Walizka jest chroniona miedzianą klatką Faradaya, która powinna izolować ją od impulsu.

Odetchnął z ulgą. Więc dane są bezpieczne. Jeszcze... nie wszystko stracone, to znaczy, o ile uda im się odzyskać kod dostępu. Zrobił krok w stronę Cassandry. Uśmiechnęła się do niego, jej oczy błyszczały. Wyjął glocka i przystawił jej do czoła.

- Painter, co ty... - Cofnęła się o krok. Nie opuścił broni.

- Jaki jest kod?

- Komandorze? - zagadnął Fenton, który właśnie podszedł.

- Trzymaj się z daleka. - warknął Painter i skupił uwagę na Sanchez. - Czterej goryle i Zhang. Wszyscy są tutaj. Jeśli Zhang wiedział, że za nim chodzimy, to miał dobrą okazję ostrzec swój kontakt podczas konferencji. Mogli uciec razem i dokończyć transakcję.

Kobieta spróbowała zerknąć na ciała, ale Painter jej nie pozwolił.

- Myślisz, że to ja? - powiedziała z lekkim uśmiechem.

- Poznaję robótkę czterdziestkipiątki, takiej, jak ten sig sauer, który nosisz.

- Zhang mi go zabrał. Painter, wpadasz w paranoję. Ja...

Sięgnął do kieszeni i wyjął pluskwę, którą znalazł przyczepioną do ściany windy. Podetknął ją pod oczy Cassandry. Zesztywniała, ale nie chciała spojrzeć.

- Ani śladu krwi, Cassandro. Ani śladu. Co znaczy, że wcale jej mu nie wszczepiłaś, choć takie było twoje zadanie.

Wyglądała, jakby jej rysy wyrzeźbił ostry nóż.

- Kod dostępu? - powtórzył Painter. Patrzyła na niego chłodno i beznamytnie.

- Wiesz, że nie mogę.

Szukał w tej obcej twarzy partnerki, którą znał, ale jej tam już dawno nie było. Nie było żalu, winy, tylko determinacja. Nie miał czasu ani ochoty, żeby ją teraz złamać. Skinął głową Fentonowi.

- Niech twoi ludzie ją skują. Nie wolno spuścić jej z oczu.

Kiedy ją zakuwali, odezwała się do niego, wyraźnie wymawiając każde słowo:

- Painter, pilnuj się najlepiej, jak umiesz. Nie masz pojęcia, w jakie gówno właśnie wdepnąłeś.

Painter podniósł z ziemi walizkę z komputerem i odszedł.

- Pływasz na głębini, Painter, a rekiny wokół ciebie krążą i krążą, są tuż-tuż - dodała. Zignorował ją i poszedł do północnego wejścia. Musiał przyznać sam przed sobą: nie rozumiał kobiet.

Zanim wszedł do środka, drogę zastąpiła mu wysoka postać w kapeluszu szeryfa. Był to człowiek z policji plemiennej.

- Komandor Crowe?

- Tak?

- Jest pilny telefon do pana. Proszę do naszej centrali.

Painter zmarszczył brwi.

- Od kogo?

- Od admirała Rectora, sir. Może pan rozmawiać przez jeden z naszych radiotelefonów.

Painter zachmurzył się. Admirał Tony „Tygrys” Rector był dyrektorem DARPA. Painter nigdy z nim nie rozmawiał, widywał jedynie jego nazwisko na notatkach i listach. Czyżby wiadomość o balaganie tutaj już dotarła do Waszyngtonu?

Pozwolił się zaprowadzić do jednego z zaparkowanych szarych samochodów, na którego dachu ciągle błyskał kogut. Wziął podane radio.

- Tu komandor Crowe. Czym mogę służyć, sir?

- Komandorze, musimy pana mieć tu, w Arlington, i to natychmiast. Już leci po pana helikopter.

Jak na zawołanie w oddali dał się słyszeć terkot nadlatującego śmigłowca.

Admirał Rector ciągnął:

- Zastąpi pana komandor Giles. Proszę go poinformować, na jakim etapie jest pańska operacja, a potem proszę się zameldować tutaj, gdy tylko wyląduje pan na lotnisku Dullesa. Będzie tam na pana czekał samochód.

- Tak jest, sir - odpowiedział Painter, ale połączenie zostało przerwane.

Wysiadł z samochodu i popatrzył na szarzielony helikopter lecący nad lasami, ziemią jego przodków. Ogarnęło go poczucie straty, jakie jego ojciec zwał „niewiarą białych oczu”. Dlaczego admirał Rector wezwał go tak nagle? Wciąż słyszał słowa Cassandry.

„Pływasz na głębokiej wodzie, Painter. A rekiny wokół ciebie krążą i krążą, są tuż-tuż”.

3

SPRAWY SERCOWE

14 LISTOPADA, 17.05 GMT LONDYN, ANGLIA

- Tutaj! Znalazłem coś!

Safia odwróciła się i zobaczyła mężczyznę wyposażonego w wykrywacz metalu. Co teraz? Pracownicy odwracali kawałki brązowych statuetek, żelaznych podstawek pod kadzidelka i miedziane monety. Safia poczłapała po mokrej podłodze sprawdzić, co też odkryli.

Usłyszawszy krzyk, z przeciwnej strony galerii nadeszła Kara.

- Co pan znalazł? - spytała z chłodną władczością.

- Nie jestem pewien - odrzekł mężczyzna, wskazując głową detektor. - Ale mam bardzo silny odczyt.

- Kawałek meteorytu?

- Nie jestem pewny. Jest pod tym kamiennym blokiem.

Safia widziała, że blok kiedyś był tułowiem i górną częścią nóg posągu z piaskowca, teraz leżącego na plecach. Mimo że głowę i górne kończyny zniszczył wybuch, Safia poznała statwę - stała kiedyś na straży grobu w Salalah. Datowana na 200 rok p.n.e. przedstawiała mężczyznę z długim przedmiotem uniesionym na wysokości ramienia. Niektórzy uważali, że wygląda to jak karabin, ale w rzeczywistości była to pogrzebowa kadzielnica niesiona na ramieniu.

Zniszczenie posągu było tragiczną stratą. Został jedynie tułów i roztrzaskane nogi. A nawet i to było poddane takiemu uderzeniu ciepła, że piaskowiec stopił się i stwardniał, tworząc szklistą polewę.

Kara już zdążyła zebrać resztę swoich ludzi w czerwonych kaskach.

Człowiek, który wykrył meteoryt, wskazał detektorem zniszczony posąg.

- Musimy to odtoczyć, żeby zobaczyć, co jest pod spodem.

- Więc zróbcie to - rzekła Kara, kiwając głową. - Będziemy potrzebowali łomów.

Dwóch mężczyzn ruszyło do stosu narzędzi. Safia zastąpiła im drogę.

- Karo, poczekaj. Nie poznajesz tego posągu?

- O co ci chodzi?

- Przyjrzyj się. To posąg odkryty przez twego ojca. Ten znaleziony przy grobie w Salalah. Musimy zachować, ile się da.

- Nie dbam o to. - Kara łokciem odsunęła przyjaciółkę. - Ważne jest to, że coś, co może pomóc mi wyjaśnić, co się stało z moim ojcem, jest pod spodem.

Safia spróbowała odciągnąć Karę na stronę.

- Karo... tak naprawdę nie myślisz, że to, co się tu stało, może mieć związek ze śmiercią twojego ojca?

Kara machnięciem ręki przywołała jednego z ludzi z łomem.

- Niech mi pan to da.

Safia spojrzała na pozostałe pomieszczenia galerii, teraz widząc wszystko w innym świetle. Cała jej praca, lata spędzone w pracowni... czy było to coś więcej niż tylko hołd składany przez Karę pamięci Reginalda Kensingtona? Czy może także zebranie materiałów w jednym miejscu, żeby określić, co właściwie przytrafiło się jej ojcu tam, na pustyni, tak dawno temu?

Safia pamiętała tę historię, usłyszała ją, gdy były jeszcze nastolatkami, opowiedzianą wśród łkań. Kara była przekonana, że jej ojca zabiło coś nadnaturalnego.

Nisnasy... Duchy głębokiej pustyni.

Ona i Kara starały się dowiedzieć wszystkiego o mitologii nisnasów. Według legendy były one tym, co zostało z ludzi, którzy niegdyś zamieszkiwali wielkie miasto na pustyni. Nosilo ono wiele nazw: Iram, Wabar, Ubar, Miasto o Tysiącu Kolumn. Wzmianki o jego upadku można było znaleźć w Koranie, w Baśniach z tysiąca i jednej nocy i w Księgach Aleksandra. Założony przez praprawniki biblijnego Noego Ubar był bogaty i dekadentki, zamieszkały przez ludzi niemoralnych, parających się mrocznymi praktykami. Król tego miasta zbagatelizował ostrzeżenia proroka imieniem Hud, więc Bóg pokarał miasto, przenosząc je między piaski, by nikt nigdy więcej go nie widział, i stało się ono prawdziwą Atlantydą pustyni. Legenda głosiła, że miasto nadal trwa pod piaskami, nawiedzane przez zmarłych, jego mieszkańcy skamieniali, a na obrzeżach krążyły złe dziny i jeszcze podlejsze nisnasy, dzikie stwory mogące rzucić urok.

Safia uważała, że Kara uznała te mity za bzdury. Szczególnie wtedy, gdy śledczy przypisali śmierć Kensingtona nagłemu otwarciu dziury z ruchomymi piaskami. Takie śmiertelne pułapki w tym rejonie nie były niczym niezwykłym, pochłaniały samotne ciężarówky lub nieuważnych wędrowców. Skalne podłoże pod pustynią tworzył głównie wapień - porowata skała podziurawiona jaskiniami wypłukanymi przez opadające lustro

wody. Zapadnięcia tych jaskiń zdarzały się regularnie, często też towarzyszyły im zjawiska opisane przez Karę: kolumna pyłu nad wirami piasku.

Kara także wzięła łom z zamiarem dołączenia do mężczyzn. Najwyraźniej nie czuła się usatysfakcjonowana wyjaśnieniami geologów.

Safia mogła się tego domyślić, szczególnie widząc zaciekle upór przyjaciółki i jej zainteresowanie starożytną Arabią, wydawanie miliardów na badanie przeszłości, zbieranie artefaktów z różnych epok, wynajmowanie najlepszych ludzi, łącznie z Safią. Zamknęła oczy, zastanawiając się, ile czasu zmarnowała na te bezowocne poszukiwania. Na ile Kara wpłynęła na jej wybór kierunku studiów? Na jej projekty badawcze już tutaj? Pokręciła głową. Za dużo tego. Przemyśli to później. Otworzyła oczy i podeszła do posągu.

- Nie mogę na to pozwolić - rzekła stanowczo.

Kara odezwała się na to spokojnym głosem: - Jeśli pod tym znajduje się kawałek meteorytu, to jego odzyskanie jest ważniejsze od kilku zadrapań na rozbitym posągu.

- Ważniejsze dla kogo? - Safia starała się być tak samo niewzruszona jak przyjaciółka, ale jej pytanie zabrzmiało bardziej jak oskarżenie. - Ten posąg jest jednym z niewielu z tego okresu Arabii. Nawet potrzaskany jest bezcenny.

- Meteoryt... - zaczęła Kara.

- ...może poczekać - wpadła jej w słowo Safia. - Przynajmniej do czasu, gdy posąg będzie można bezpiecznie przenieść.

Kara wbiła w nią stalowe spojrzenie, którym łamała większość mężczyzn. Safia je wytrzymała, bo знаła dziewczynkę, którą była kiedyś ta kobieta.

Safia podeszła do Kary i wzięła z jej rąk łom, zaskoczona, że palce przyjaciółki drżą.

- Wiem, na co liczysz - wyszeptała. Obie usłyszały historię wielbłądkształtnego meteorytu od brytyjskiego odkrywcy. Podobno ów meteoryt miał strzec wejścia do zagrzebanego w piaskach zaginionego miasta.

Miasta zwanego Ubar.

A teraz ta historia wypłynęła w tak dziwnych okolicznościach.

- Musi być jakiś związek - wymamrotała Kara.

- Wiesz, że Ubar już został odnaleziony - przypomniała Safia.

W 1992 roku legendarne miasto zostało odkryte przez Nicolasa Clappa, archeologa amatora, przy wykorzystaniu GPRS*. Założone około 900 roku p.n.e. przy jednym z niewielu zbiorników wodnych w tamtych okolicach, to starożytne miasto stanowiło ważny punkt handlowy na Szlaku Kadzidlanym, łączący żywiczne gaje nadbrzeżnych Gór Omańskich z bogatymi miastami północy. Przez stulecia Ubar świetnie prosperował i rozwijał się, aż pewnego dnia został pochłonięty przez wielkie zapadlisko i przesądni mieszkańcy porzucili go na pastwę piasku.

- To był tylko zwykły punkt handlowy - dodała Safia.

Kara pokręciła głową, ale Safia nie miała pewności, czy odnosiło się to do ostatniego zdania, czy oznaczało powrót do rzeczywistości. Safia pamiętała podniecenie Kary po wiadomości o odkryciu Clappa. Głosiły je wielkie tytuły w gazetach na całym świecie: BAJECZNE ZAGINIONE MIASTO ARABII ODNALEZIONE! Wyruszyła, by osobiście zobaczyć to miejsce i pomóc we wstępnych odkrywkach. Jednak po dwóch latach znajdowania skorup i kilku artefaktów Safia stwierdziła, że stanowisko archeologiczne nie okazało się bardziej ekscytujące niż zwykły punkt handlowy.

Żadnych skarbów, żadnego tysiąca kolumn, żadnych czarnych duchów... jedyne, co tam pozostało, to bolesne wspomnienia nawiedzające żyjących.

- Lady Kensington! - zawołał mężczyzna z detektorem. - Może doktor al-Maaz ma rację? Nie ruszajmy tego cholernego czegoś.

Kobiety popatrzyły na przewrócony posąg. Stali obok niego dwaj członkowie zespołu Kary, którzy mieli wykrywacze metalu. Trzymali urządzenia po obu stronach torsu, oba piszczały.

** Ground Penetrating Radar.*

- Myliłem się - powiedział pierwszy. - Cokolwiek wykryłem, nie jest pod kamieniem.

- No to gdzie? - zapytała zirytowana Kara.

- Jest w środku tego - odpowiedział drugi.

Zapadła pełna oczekiwania cisza, wreszcie przerwała ją Kara:

- Wewnątrz?

- Tak jest. Przepraszam, powinienem wcześniej pomyśleć o triangulacji. Ale nigdy bym nie przypuszczał, że coś może być wewnątrz kamienia.

Safia zrobiła krok do przodu.

- To pewnie jakaś domieszka żelaza.

- Nie. To silny sygnał.

- Będziemy musieli to rozbić - orzekła Kara.

Safia ściągnęła brwi. Jasna cholera. Uklękła obok rzeźby, jej spodnie natychmiast przemokły.

- Potrzebuję latarki.

Ktoś z zespołu podał jej latarkę.

- Co masz zamiar zrobić? - chciała wiedzieć Kara.

- Zajrzeć do środka. - Safia przesunęła ręką nad powierzchnią posągu, która teraz była stopionym szkłem. Umieściła latarkę reflektorem na korpusie i włączyła.

Cała szklista powierzchnia rzeźby rozświetliła się. Szczegóły niewyraźnie rysowały się pod ciemnym szkliwem. Nie widziała niczego szczególnego, ale szklivo miało grubość zaledwie pięciu centymetrów. Czegokolwiek szukali, zapewne było głębiej.

Kara prychnęła, patrząc nad ramieniem Safii.

- Co? - Safia zaczęła odsuwać latarkę.

- Nie - ostrzegła Kara - bardziej na środek.

Safia przeniosła snop światła na środek posągu.

Pojawił się cień, jakiś odłamek, głęboko, w miejscu, gdzie szklivo stawało się kamieniem. Oświetlony jaśniał głębokim karmazynem. Kształt nie dawał się pomylić z niczym.

- To serce - wyszeptała Kara. Safia cofnęła się oszołomiona.

- Ludzkie serce.

20.05

Kilka godzin później Kara stała w prywatnej łazience poza działem starożytnego Bliskiego Wschodu.

Jeszcze tylko jedną...

Wytrząsnęła pomarańczową tabletkę na dłoń. Adderal, amfetamina na receptę, dwadzieścia miligramów. Zważyła pigułkę w dłoni. Taki kop w takim maleństwie. Może jednak okazać się za mało. Dołożyła jeszcze jedną. Nie spała poprzedniej nocy, a było jeszcze tyle do zrobienia.

Wrzuciła tabletki do ust, przełknęła je bez popijania, i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Cera zarumieniona, oczy nieco zbyt szeroko otwarte. Przesunęła ręką po włosach, chcąc uczynić je bardziej puszystymi. Nie udało się.

Odkręciła zimną wodę, zmoczyła ręce i przycisnęła je do policzków. Oddychała głęboko. Wydawało się, że minęły dni, a nie godziny, od kiedy obudzono ją w rodzinnej posiadłości we wsi Blackheath. Wieść o wybuchu w muzeum spowodowała, że jej kierowca gwał nieprzytomnie limuzyną przez smagane deszczem ulice do muzeum.

A teraz co?

W ciągu całego długiego dnia rozmaite zespoły badawcze pobrały w galerii wszystkie niezbędne próbki: zwęglone drewno, plastik, metale, nawet kości. Odnaleziono też w gruzach kilka stopionych fragmentów meteorytu. Wstępne analizy sugerowały, że to wyładowanie elektryczne spowodowało zapalenie się jakichś łatwopalnych elementów znajdujących się głęboko w żelazie meteorytu. Nikt nie miał ochoty zastanawiać się, jakie to miałyby być elementy. Od tej pory badania przeniesiono do laboratoriów tak brytyjskich, jak i zagranicznych.

Kara nie potrafiła ukryć rozczarowania. Jarząca się kula pioruna na filmie wideo przeniosła ją do dnia, kiedy jej ojciec zniknął we wnętrzu chmury pyłu, spirale piasku iskrzyły podobnymi strzępami niebieskawej elektryczności. Potem eksplozja... kolejna śmierć. Musi być związek między przeszłością i teraźniejszością.

Ale jaki? Czy to znów ślepy zaulek, jak tyle razy do tej pory?

- Karo, jesteśmy gotowi do badania. - To była Safia. Kara słyszała przejście w jej głosie. Tylko ona rozumiała, jak wielki ciężar leży na sercu Kary.

- Już idę.

Wrzuciła plastikową fiolkę do torebki i zatrzasnęła ją. Narkotyk już brał górę nad rozpaczą. Ostatni raz na próżno przejechała ręką po włosach, podeszła do drzwi, odblokowała je, otworzyła pchnięciem i weszła do jednego z najbardziej reprezentacyjnych pomieszczeń British Museum - słynnej sali Arched Room.

Zbudowana w 1839 roku dwukondygnacyjna, łukowo sklepiona, ulokowana w zachodniej części budynku, była zaprojektowana w stylu wczesnowiktoriańskim: podwójne galerie bibliotecznych regałów, ażurowe żelazne kładki i schody, łukowate mostki wiodące do wewnętrznych nisz. Historia tego miejsca sięgała czasów Karola Darwina, Stanleya i Livingstona, Królewskiego Towarzystwa Naukowców, gdy badacze nosili długopole marynarki i zbierali się w skupieniu wśród stosów ksiąg i pulpity do czytania. Dział starożytnego Bliskiego Wschodu wykorzystywał to nigdy nie-otwierane dla publiczności pomieszczenie jako ośrodek studencki i rezerwowe archiwum.

Dziś jednak służyło za prowizoryczną kostnicę. Kara patrzyła na pozbawioną głowy i ramion kamienną postać spoczywającą na noszach na kółkach. To było wszystko, co zostało ze starożytnej rzeźby znalezionej w północnym skrzydle. Safia uparła się, żeby wynieść to z gruzu i przynieść tutaj.

Dwie lampy halogenowe oświetlały korpus, narzędzia poukładano na ławie bibliotecznej - chirurgiczne skalpele, szczypce i zaciski, a także różnych rozmiarów młotki i szczołki. Brakowało tylko chirurga.

Safia naciągnęła lateksowe rękawiczki. Miała ochronne okulary i fartuch.

- Gotowa?

Kara skinęła głową.

- Otwórzmy klatkę temu staruszkowi! - zawołał młodzieniec z głupawym amerykańskim entuzjazmem. Kara, znająca dobrze wszystkich pracowników galerii, wiedziała, że to Clay Bishop, który ukończył Uniwersytet Northwestern. Majstrował przy kamerze cyfrowej umieszczonej na trójnogu, pełnił funkcję dokumentalisty.

- Trochę szacunku, panie Bishop - upomniała go Safia.

- Przepraszam - wykrzywił się w uśmiechu, bynajmniej niezażenowany. Nie był brzydki, jak na kościstą wersję przedstawiciela Generation X. Nosił džinsy, T-shirt reklamujący koncert zespołu Clash i reeboki, które kiedyś były białe, ale bardzo dawno temu.

Wyprostował się, przeciągnął, pokazując pasek gołego brzucha i przesunął ręką po rudych włosach. Jedyłą wskazówką że jest oddany nauce, były okulary w grubych czarnych oprawkach, na tyle nieludzackie, że mogły być modne.

- Wszystko ustawione, doktor al-Maaz.

- Bardzo dobrze. - Safia przeszła pod halogenami i stanęła obok ławy z narzędziami.

Kara obeszła stół dookoła i dołączyła do jedyne go świadka tej autopsji - Ryana Fleminga, szefa ochrony. Musiał przybyć, kiedy była w łazience. Skinął głową, ale zeszywniał, kiedy się zbliżyła, zdenerwowany jej bliskością, jak większość pracowników muzeum.

Odchrząknął, kiedy Safia wykonywała pomiary.

- Zszedłem, gdy tylko usłyszałem o odkryciu - powiedział.

- Czemuż to? - spytała Kara. - Czy to sprawa ochrony?

- Nie, po prostu ciekawość. - Kiwnął głową w stronę rzeźby. - Niecodziennie znajdujemy posąg z sercem w środku.

Niewątpliwie była to prawda, chociaż Kara podejrzewała, że była też jakaś inna, sercowa sprawa, która ściągnęła Fleminga. Jego oczy częściej spoglądały na Safię niż na rzeźbę.

Kara skierowała uwagę na leżącą rzeźbę. Pod skorupą szkliva głębszy odcień karmazynu jarzył się w świetle halogenów.

Serce, ludzkie serce.

Safia pochyliła się nad posągiem z narzędziem zakończonym diamentem. Uważnie obrysowała miejsce pogrzebanego serca.

- Chcę zachować tak dużo, jak się da - wyjaśniła.

Umieściła przyssawkę na wierzchu zaznaczonego kwadratu i ujęła uchwyt.

- Spodziewam się, że warstwa między szkłem i piaskowcem będzie cienka.

Wzięła gumowy młotek i zaczęła uderzać nim pewnie po wewnętrznej stronie wzdłuż zaznaczonych linii. Pojawiły się niewielkie pęknięcia. Każde uderzenie wywoływało nerwowe grymasy na twarzach zebranych. Nawet Kara stwierdziła, że zaciska palce.

Spokojna pozostawała tylko Safia. Kara знаła łatwość, z jaką przyjaciółka wpadała w panikę w sytuacjach stresowych, ale kiedy pracowała, stawała się twarda jak diament w końcówce jej narzędzia... i równie ostra, była w swoim żywiole. Pracowała ze spokojem mistrza zen. Kara zauważyła jednak błysk podniecenia w jej oczach. Dużo czasu minęło, od kiedy widziała taki błysk. Może jeszcze jest dla niej nadzieja...

- To powinno wystarczyć - mruknęła Safia. Odłożyła młotek i wzięła szczoteczkę, żeby usunąć odłamki, następnie złapała uchwyt przyssawki i lekko pociągnęła, najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Wreszcie pociągnęła w górę, unosząc szklany blok.

Kara podeszła, wpatrując się w otwartą pierś posągu. Serce wykonano bardziej precyzyjnie, niż sobie wyobrażała. Widać było wyraźnie obie komory, arterie i żyły. Spoczywało w piaskowcowym łożu, jakby rzeźba uformowała się w naturalny sposób wokół niego, jak ostryga wokół perły.

Safia ostrożnie uwolniła szkło ze ssawki i obróciła. Na powierzchni dotykającej serca był jego odcisk. Zwróciła się do kamery:

- Clay, masz dobre ujęcia?

Skulony za kamerą Clay kołysał się na piętach.

- O rany, to fantastyczne.

- Przyjmuję, że to znaczy „tak”. - Safia położyła szkło na stoliku.

- A co z sercem? - zapytał Fleming. Safia odwróciła się i wpatrzyła w otwartą pierś posągu. Postukała rączką szczotki w serce. Wszyscy usłyszeli brzęk.

- Z pewnością metal. Z koloru wnoszę, że to brąz.

- Brzmiało, jakby w środku było puste - zauważył Clay, poprawiając kamerę na trójnogu, żeby lepiej ująć wnętrze otworu w piersi. - Pani stuknie jeszcze raz.

Safia pokręciła głową.

- Lepiej nie. Popatrz, jak piaskowcowe wypustki trzymają je na miejscu. Całkiem porządnie je mocują. Musimy zostawić serce tam, gdzie jest. Inni badacze powinni obejrzyć je in situ, zanim je wyjmujemy.

Przez ostatnią minutę Kara nie odważyła się odetchnąć. Czowała pulsowanie krwi w uszach, i to nie z powodu amfetaminy. Nikt tego nie zauważył?

Zanim zdążyła zapytać, na końcu Arched Room trzasnęły drzwi. Wszyscy lekko podskoczyli. Nadchodziło dwóch mężczyzn.

Safia przesunęła halogen, żeby oświetlić hol.

- Dyrektorze Tyson?

- Edgarze. - Kara wyszła im naprzeciw. - Co ty tutaj robisz?

Dyrektor muzeum odsunął się, by zrobić miejsce towarzyszącej mu osobie. Był to inspektor z wydziału zabójstw z komendy London Central.

- Inspektor Samuelson był u mnie, kiedy usłyszałem o waszym wspaniałym odkryciu. Właśnie skończyliśmy, więc zapytał mnie, czy może na własne oczy zobaczyć to zdumiewające znalezisko. Jak mógłbym odmówić, skoro tak bardzo nam pomógł?

- Z pewnością - rzekła Kara swym najbardziej dyplomatycznym tonem, kryjąc ukłucie irytacji. - Przyszlście w samą porę. - Zaprosiła ich skinieniem ręki do prowizorycznej kostnicy. Jej własne odkrycie będzie musiało poczekać.

Fleming skinął głową, pozdrawiając szefa.

- Ja chyba już dosyć zobaczyłem. Powinienem sprawdzić nocną zmianę - rzekł, po czym zwrócił się do Safii: - Dziękuję, że pozwoliłaś mi popatrzeć.

- Proszę bardzo - powiedziała z roztargnieniem, wpatrując się w serce.

Kara zauważyła, że szef ochrony nie może oderwać wzroku od Safii, wreszcie odwrócił się urażony i odszedł. Safia zawsze była ślepa na wszystko poza pracą. Pozwoliła wymknąć się ze swego życia ciekawszym ludziom niż Fleming.

Inspektor Samuelson zajął miejsce szefa ochrony. Marynarkę miał przewieszoną przez ramię, podwinął rękawy koszuli.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Skądże - odrzekła Safia. - To wspaniałe odkrycie.

- W istocie.

Inspektor pochylił się nad posągiem. Kara miała pewność, że przywiodła go tutaj nie tylko zwykła ciekawość. Zbiegi okoliczności to sprawy wymagające śledztwa.

Edgar stanął obok inspektora.

- Wspaniałe, prawda? To odkrycie przyciągnie uwagę całego świata.

Samuelson się wyprostował.

- Skąd się wzięła ta statua?

- Została znaleziona przez mojego ojca - odpowiedziała Kara.

Samuelson zerknął na nią, unosząc brew.

Kara zauważyła, że Edgar się cofa i zaczyna podziwiać czubki swoich butów.

Safia uniosła okulary ochronne i kontynuowała wyjaśnienia, uwalniając Karę od tego obowiązku:

- Reginald Kensington sfinansował pracę zespołu archeologów nadzorujących odkrywki na terenie przeznaczonym pod budowę nowego mauzoleum przy grobowcu w mieście Salalah na omańskim wybrzeżu. Odkrył posąg datowany na dwusetny rok przed nasze erą, był w świetnym stanie. Grobowiec był czczony przez dwa tysiąclecia, dzięki temu to stanowisko nie zostało zdeptane ani zbezczeszczone. To prawdziwa tragedia, że tak świetnie zachowane znalezisko uległo zniszczeniu.

Samuelsona to nie wzruszyło.

- Zniszczenie jednak pozwoliło na to odkrycie. Jest w tym jakaś równowaga. Nie można tego samego powiedzieć o nieszczęsnym Harrym Mastersonie.

- Oczywiście - szybko odrzekła Safia. - Nie chciałam implikować... jego śmierć była prawdziwą tragedią. Ma pan najświętszą rację.

Samuelson spojrzął na zebranych. Jego wzrok spoczął na dłużej na studencie Clayu Bishopie, po czym powędrował z powrotem ku rzeźbie.

- Wspomniała pani o grobowcu, obok którego znaleziono tę statuetkę.

- Tak. Grobowiec Nabi Imrana.

- Jakiś faraon? - Safia się uśmiechnęła.

- To nie był egipski grobowiec. - Podobnie jak Kara wiedziała, że inspektor tylko udaje tępego. - W Arabii najsławniejsze grobowce to te, w których pochowane są osoby z Biblii lub Koranu. W tym przypadku to postać z obydwu.

- Nabi Imran? Nie przypominam sobie tego imienia z Biblii.

- A naprawdę był bardzo ważny. Słyszał pan o Maryi Dziewicy?

- Coś niecoś. - Powiedział to tak szczerze, że znów przywołał uśmiech na twarzy Safii.

Drażniła się z nim, opóźniając wypowiedzenie tej rewelacji, ale w końcu ją ujawniła:

- Nabi Imran był ojcem Maryi.

13.54

ARLINGTON, WIRGINIA

Painter Crowe siedział na tylnym siedzeniu srebrnego mercedesa sedana S500, sunącego gładko międzystanową 66 z lotniska Dulles International, prowadzącą na wschód do Waszyngtonu, ale aż tak daleko nie jechali. Kierowca, milczący gość zbudowany jak skrzydłowy drużyny futbolowej, skręcił do Arlington w zjazd Glebę. Dojeżdżali do kwatery głównej DARPA, mieli jeszcze mniej niż kilometr.

Painter popatrzył na zegarek. Zaledwie parę godzin temu był w Connecticut, ostro konfrontując się z partnerką, której ufał przez ostatnie pięć lat. Choć starał się tego unikać, jego myśli wciąż krążyły wokół tego bolesnego tematu.

Zostali rekrutowani z sił specjalnych w tym samym czasie: on z Navy SEALs, ona z Rangersów. DARPA wybrała ich do nowego, w najwyższym stopniu utajnionego zespołu, działającego w ramach organizacji o kryptonimie Sigma Force. Większość pracowników DARPA nie wiedziało nawet o jej istnieniu. Był to tajny zmilitaryzowany zespół wyszkolonych technicznie agentów, wysyłanych na akcje wysokiego ryzyka w celu pozyskania lub ochrony nowych badań lub technologii. Tam gdzie Delta Force ustabilizowała się jako oddział antyterrorystyczny, Sigmę stworzono, by chronić i utrzymać technologiczną przewagę Stanów Zjednoczonych.

Nieważne jakim kosztem.

A teraz wezwano go z powrotem do Waszyngtonu.

To na pewno nowa misja. Ale skąd ten pośpiech?

Sedan przemknął przez North Fairfax Drive i wjechał na parking. Przejechali „ścieżkę zdrowia” środków bezpieczeństwa i wkrótce mogli zaparkować. Kolejny człowiek, o klatce piersiowej jak beczka i twarzy bez wyrazu, podszedł i otworzył drzwi auta.

- Zechce pan pójść za mną, komandorze Crowe.

Painter został zaprowadzony do głównego budynku, odeskortowany do biur dyrektora i poproszony, by zaczekał, podczas gdy jego przewodnik poszedł dalej, by zaanonsować jego przybycie. Painter patrzył na zamknięte drzwi.

Wiceadmirał Tony Rector był szefem DARPA przez cały czas służby Paintera. Wcześniej Tygrys szefował Biuru Czujności Informacyjnej, działowi DARPA, zajmującemu

się zbieraniem informacji wywiadowczych, kluczowym po jedenastym września dla monitorowania płynących przez sieci komputerowe danych w poszukiwaniu terrorystycznych spisków, działalności terrorystów i podejrzanych transakcji finansowych. Inteligencja, erudycja i sprawiedliwy sposób zarządzania załatwiły mu w końcu stanowisko dyrektora DARPA.

Drzwi się otworzyły. Przewodnik przywołał Paintera skinieniem ręki i odsunął się, żeby go przepuścić.

Ściany pokoju pokrywała mahoniowa boazeria, pachniało tytoniem fajkowym. Na środku stało mahoniowe biurko. Tony „Tygrys” Rector wstał, żeby uścisnąć mu rękę. Admirał był wielkim mężczyzną - jak ktoś, kto kiedyś był dobrze umięśniony, a po sześćdziesiątce nieco zwiotczał. Tyle że ciało było jedynym, co mogło być w nim miękkie. Oczy miał jak niebieskie diamenty, włosy przylizane i srebrne. Kiedy potrzasał ręką Paintera, jego uścisk okazał się żelazny. Skinął głową, wskazując jeden ze skórzanych foteli.

- Proszę spocząć. Wezwałem doktora McKnighta. Zaraz do nas dołączy.

Doktor Sean McKnight był założycielem i dyrektorem Sigmy, bezpośrednim przełożonym Paintera, kiedyś służył w jednostce SEAL, po czym odszedł, by zrobić doktorat z fizyki i z technologii informatycznych. Skoro wzywano McKnighta, znaczyło, że sprawa jest poważna.

- Mogę spytać, o co chodzi, sir? - odezwał się Crowe. Admirał usadowił się w fotelu.

- Słyszałem o małych nieprzyjemnościach w Connecticut - powiedział, uchylając się od odpowiedzi. - Chłopaki z Biura Zaawansowanych Technologii czekają na dostarczenie szpiegowskiej walizeczki. Miejmy nadzieję, że uda nam się odzyskać te dane o broni plazmowej.

- Przepraszam, że nam... nie udało mi się pozyskać hasła.

Admirał Rector wzruszył ramionami.

- Przynajmniej Chińczycy nie położyli na nich swoich łap. A zważywszy, na co pan się tam natknął, wykonał pan dobrą robotę.

Painter powstrzymał się od zapytania o Cassandrę. Najprawdopodobniej prowadzono ją na przesłuchanie. A stamtąd, kto wie? Guantanamo, Fort Leavenworth, może jakieś więzienie wojskowe? To już nie jego problem. Niemniej ból w piersi pulsował. Miał nadzieję, że to tylko niestrawność. Z pewnością nie było powodu, żeby zamartwiał się jej losem.

- Co do pańskiego pytania - ciągnął admirał, przywracając Paintera do teraźniejszości - coś przyciągnęło naszą uwagę za pośrednictwem Biura Badań Obronnych. Zeszłej nocy w British Museum miała miejsce eksplozja.

Painter skinął głową, po drodze słuchał wiadomości w CNN.

- Uderzenie pioruna. - Tak to ujęto.

Painter wyprostował się. Zanim mógł zapytać o więcej, otworzyły się drzwi. Do gabinetu wkroczył doktor Sean McKnight - czerwona twarz, wilgotne brwi, jakby całą drogę biegł.

- Potwierdzono - powiedział szybko do admirała.

Rector skinął głową.

- No to siadaj. Nie mamy za dużo czasu.

Kiedy szef siadał, Painter spojrzał na niego. McKnight pracował dla DARPA od dwudziestu dwóch lat, łącznie z oddelegowaniem jako dyrektora jego Biura Projektów Specjalnych. Jednym z pierwszych „specjalnych projektów” było sformowanie Sigma Force. Miał wizję zespołu agentów operacyjnych będących zarówno oblatanymi w najnowszych technologiach, jak i wyszkolonymi wojskowo - „mózgi i męstwo”, jak mawiał - potrafiących działać z chirurgiczną precyzją, by zabezpieczać i chronić tajne technologie.

Wynikiem była Sigma Force.

Painter był jednym z pierwszych rekrutów, osobiście wyszukany przez McKnighta, gdy leczył złamaną podczas misji w Iraku nogę. Kiedy odzyskiwał siły, McKnight nauczył go, że o umysł trzeba dbać tak samo jak o ciało. Wysłał Paintera na obóz naukowy, który okazał się cięższy niż wstępne odsiewowe szkolenie do Navy SEAL. Na tej planecie nie było nikogo, kogo Painter darzyłby większym szacunkiem.

A teraz widział go wstrząśniętego...

McKnight usiadł na brzegu fotela sztywno wyprostowany. Wyglądało na to, że spał w garniturze, wyglądał na swoje pięćdziesiąt lat - przekrwione oczy, zaciśnięte usta, nieuczesane piaskowoszare włosy.

Ewidentnie coś było nie tak.

Admirał Rector odwrócił plazmowy ekran w stronę Paintera.

- Komandorze Crowe, najpierw powinien pan obejrzeć to nagranie.

Painter przysunął się bliżej. Na ekranie ukazał się czarno--biały obraz.

- To nagranie z nadzoru w British Museum.

Painter patrzył w milczeniu. Najpierw pojawił się strażnik wchodzący do jakiejś galerii w muzeum. Nie trwało to długo - eksplozja zakończyła nagranie, rozbielając ekran. Painter odchylił się w fotelu. Zwierzchnicy spojrzeli na niego.

- Ta jaśniejąca sfera - powiedział powoli - to piorun kulisty, Jeśli się nie mylę.

- Istotnie - potwierdził admirał Rector. - Właśnie ta koncepcja przyciągnęła uwagę pary przebywających w Londynie naukowców z Biura Badań Obronnych. Nigdy dotąd nie sfilmowano pioruna kulistego.

- Ani żaden nie dokonał takich zniszczeń - dodał doktor McKnight.

Painter przypomniał sobie wykład z inżynierii elektryczności podczas szkolenia dla Sigma Force. O piorunach kulistych wspominało już od czasów starożytnych Greków, były widywane przez wielu ludzi w wielu miejscach. Rzadkość tego zjawiska potęgowała jego tajemniczość. Teorie na temat jego pochodzenia sięgały od swobodnej plazmy wywołanej jonizacją powietrza w czasie burzy po parowanie dwutlenku krzemu z gleby po uderzeniu błyskawicy.

- Co więc stało się w British Museum? - zapytał.

- To. - Admirał Rector wyjął coś z szuflady biurka. To coś wyglądało jak poczerniały kawałek skały o rozmiarach piłeczki do softballu. - Dostarczono nam to dziś rano samolotem wojskowym.

- Co to jest?

Admirał skinięciem głowy kazał Painterowi wziąć to coś do ręki. Okazało się nadspodziewanie ciężkie. Nie skała. Czuło się gęstość porównywalną z ołowiem.

- Żelazo meteorytowe - wyjaśnił McKnight. - Próbką z artefaktu, który widział pan, jak wybuchał.

Painter odłożył odłamek na biurko.

- Nie rozumiem. Chcecie powiedzieć, że meteoryt spowodował wybuch? Nie piorun kulisty?

- Tak i nie - odrzekł tajemniczo McKnight.

- Co pan wie o meteorycie tunguskim w Rosji? - spytał Rector.

Ta nagła zmiana tematu zaskoczyła Paintera. Zmarszczył brwi i szukał w pamięci.

- Nie za wiele. Coś w związku ze spadnięciem meteorytu około tysiąc dziewięćset ósmego roku, gdzieś na Syberii, spowodowało to wielki wybuch.

Rector odchylił się w fotelu.

- „Wielki” to za mało powiedziane. Eksplozja wyrwała z korzeniami las w promieniu sześćdziesięciu paru kilometrów na powierzchni równej połowie Rhode Island. Wybuch uwolnił energię równoważną wybuchowi dwóch tysięcy bomb atomowych. Konie były

zwalane z nóg sześćset kilometrów dalej. „Wielki” po prostu niedokładnie oddaje rozmiar tego wybuchu.

- Były przy tym inne efekty - włączył się McKnight. - Burza magnetyczna stworzyła wir rozciągający się na dziewięćset kilometrów. W następnych dniach nocne niebo od wielkich ilości pyłu świeciło tak jasno, że można było czytać gazetę. Drgania elektromagnetyczne objęły połowę kuli ziemskiej.

- Chryste... - wymamrotał Painter.

- Świadkowie, którzy obserwowali wybuch z odległości setek kilometrów, widzieli na niebie porażająco jasne światło, jaśniejące jak słońce, rozpościerała się tęcza jaskrawych kolorów.

- Meteor - wymamrotał Painter. Admirał Rector pokręcił głową.

- Taka była jedna z teorii. Kamienna asteroida albo kometa. Tyle że z tą teorią wiąza się pewne problemy. Po pierwsze, nie znaleziono żadnych fragmentów. Nawet żadnego wartego wzmianki irydowego pyłu.

- Meteority węglowe zwykle pozostawiają irydowe „odciski palców” - wyjaśnił McKnight. - W Tungusce jednak nie znaleziono niczego takiego.

- I nie było krateru - dodał admirał. McKnight potwierdził skinieniem głowy.

- Siła uderzenia wynosiła czterdzieści megaton. Wcześniej ostatni meteor, który spadł z podobną siłą, uderzył tam, gdzie teraz jest Arizona, jakieś pięćdziesiąt tysięcy lat temu. Miał tylko trzy megatony, ułamek tunguskiego, a zostawił ogromny krater szeroki na półtora kilometra i głęboki na sto pięćdziesiąt metrów. Czemu więc nie ma krateru, tym bardziej że wnioskując z tego, iż drzewa rosnące wokół punktu zerowego upadły promieniście, wiemy, gdzie było epicentrum.

Painter nie miał na to gotowej odpowiedzi. W jego umyśle natychmiast pojawiło się pytanie: co to, u licha, ma wspólnego z wybuchem w British Museum?

McKnight ciągnął:

- Po eksplozji zanotowano w okolicy interesujące biologiczne następstwa: przyspieszony wzrost niektórych nagozależkowych, zwiększoną ilość mutacji łącznie z genetycznymi zmianami w ziarnach i igłach sosnowych, a nawet w populacjach mrówek. Ludzie też nie uniknęli zmian. Lokalne plemiona Ewenków w tym rejonie wykazywały nienormalne zmiany w czynniku Rh. Wszystko to jasno dokumentuje wystawienie na promieniowanie, najprawdopodobniej gamma.

Painter starał się objąć umysłem eksplozję bez krateru, niezwykle zjawiska atmosferyczne i szkodliwe promieniowanie.

- Cóż więc spowodowało te wszystkie zjawiska?

- Coś bardzo małego - odpowiedział admirał. - Jakies trzy kilogramy.

- Niemożliwe!

Admirał wzruszył ramionami.

- Gdyby to była zwykła materia...

Tajemnica na długą chwilę zawisa w powietrzu. Wreszcie odezwał się dr McKnight:

- Najnowsze badania z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku sugerują, że to, co uderzyło w rejonie rzeki Podkamienna Tunguska, istotnie było meteorem, ale zbudowanym z antimaterii.

Painter otworzył oczy jeszcze szerzej.

- Antymateria?

Teraz zrozumiał, dlaczego został wezwany na to spotkanie. Podczas gdy większość ludzi uważała antymaterię za coś z dziedziny science fiction, w minionej dekadzie stała się ona rzeczywistością, ponieważ wytworzono cząstki antymaterii w laboratoriach. Wiodącą rolę w tych badaniach odgrywało laboratorium CERN w Genewie. W podziemnym cyklotronie wolnych anty-protonów wytwarzano antymaterię od prawie dwóch dziesięcioleci. Tyle że do

dzisiaj cała antymateria tam wyprodukowana mogłaby najwyżej spowodować, że na kilka chwil zapaliłaby się żarówka.

Antymateria jest niezwykle intrygująca. Jej gram daje energię równą energii bomby atomowej. Oczywiście najpierw ktoś musi wynaleźć tanie, łatwo dostępne źródło antymaterii. A to niemożliwe.

Painter stwierdził, że jego wzrok wbity jest w kawałek meteorytowego żelaza spoczywającego na biurku admirała. Wiedział, że górne skrawki ziemskiej atmosfery są nieustannie bombardowane przez cząstki antymaterii w promieniowaniu kosmicznym, ale też są natychmiast anihilowane przy kontakcie z materią tejże atmosfery. Postulowano, że gdzieś w pustce kosmosu istnieją całe asteroidy złożone z antymaterii, pozostałe po Wielkim Wybuchu.

Zaczął łączyć poszczególne wątki.

- Więc wybuch w British Museum...

- Sprawdziliśmy kilka próbek szczątków ze zniszczonej galerii - rzekł McKnight. - Metal i drewno.

Painter przypomniał sobie stwierdzenie szefa, kiedy tu wszedł: „Zostało potwierdzone”. Poczul ucisk w żołądku. McKnight dodał:

- Pozostałości po wybuchu wykazują podobne, jak w przypadku meteorytu tunguskiego, niskie promieniowanie.

- Mówi pan, że wybuch w British Museum został spowodowany przez anihilację antymaterii? Że ten meteor to właśnie antymateria?

Admirał Rector toczył palcem próbkę po blacie tam i z powrotem.

- Oczywiście, że nie. To zwykłe żelazo meteorytowe. Nic więcej.

- No to nie rozumiem.

- Nie można zignorować promieniowania - włączył się McKnight. - Jedyne wyjaśnienie jest takie, że meteor miał antymaterię wewnątrz, w jakiejś nieznannej, stabilnej formie. Wyładowanie elektryczne pioruna kulistego tę formę zdestabilizowało i spowodowało efekt kaskadowy, który zaskutkowało eksplozją. Ile antymaterii tam było, całą pochłoniął wybuch.

- Pozostawiając tylko tę skorupę. - Admirał wskazał kamyk.

Zapadła cisza.

Admirał Rector podniósł kawałek żelaza.

- Może pan sobie wyobrazić, jakie to miałyby znaczenie, gdyby się okazało, że mamy rację? Źródło niemal nieograniczonej mocy. Jeśli istnieje jakakolwiek koncepcja, jak to się stało, albo, jeszcze lepiej, jakaś próbka, nie może pod żadnym pozorem wpaść w obce ręce.

Painter kiwał głową.

- To co teraz?

Admirał Rector spojrzał mu twardo w oczy.

- Nie możemy pozwolić na najmniejszy przeciek. Zbyt wiele uszu jest powiązanych ze zbyt wieloma ustami. - Skinieniem nakazał McKnightowi, by kontynuował.

Ten wziął głęboki wdech.

- Komandorze, chcemy, żeby poprowadził pan niewielki zespół, który będzie pracował w muzeum. Przykrywka dla pana już jest gotowa: jest pan amerykańskim specjalistą w dziedzinie badań błyskawic. Ma pan się kontaktować, kiedy tylko będzie to możliwe. Na miejscu ma pan po prostu trzymać ucho przy ziemi i obserwować wszystko, co się tam dzieje. My będziemy kontynuowali badania, mobilizując wszystkie działy. Jeżeli pojawi się potrzeba przeprowadzenia dodatkowych analiz na miejscu, będziecie naszym przedłużonym ramieniem.

- Tak jest, sir.

Spojrzenia admirała i doktora spotkały się na chwilę, a było w nich niewypowiedziane pytanie.

Painterowi przebiegł po plecach lodowaty dreszcz.

Admirał skinął głową.

McKnight zwrócił się do Paintera:

- Jest jeszcze jeden czynnik. Możemy nie być jedyni, którzy będą tam pracowali z takim nastawieniem.

- Co pan ma na myśli?

- Jeśli pan pamięta, dyrektor wspomniał o parze badaczy z Biura Badań Obronnych, którzy już są w Londynie.

- Ci, którzy badali piorun kulisty?

- Właśnie. - Znów błyskawiczny kontakt wzrokowy między zwierzchnikami Paintera. McKnight wbił twarde spojrzenie w komandora. - Cztery godziny temu znaleziono ich zastrzelonych w pokoju hotelowym, ewidentna egzekucja. Lokal został splądrowany. Skradziono kilka przedmiotów. Policja uważa, że to zabójstwo na tle rabunkowym.

Admirał Rector zaczął wiercić się za biurkiem.

- Ja jednak nie znoszę zbiegów okoliczności. Dostaję od tego ataku serca.

McKnight skinął głową.

- Nie wiemy, czy te morderstwa mają związek z naszą linią śledztwa, ale chcemy, żeby pan i pański zespół działał, jakby miały. Pilnujcie jeden drugiego i bądźcie czujni.

Painter potwierdził skinieniem głowy.

- Tymczasem - rzekł admirał - miejmy nadzieję, że jak na razie nie odkryli tam niczego znaczącego.

21.48 LONDYN

- Musisz wyjąć serce.

Safia podniosła wzrok. Arched Room tonął w mroku. Zostało ich tylko troje: Kara, Clay i ona. Edgar i inspektor wyszli dwadzieścia minut temu. Najwyraźniej dokonywanie pomiarów i notowanie wyników ich nie interesowało, jakby pomniejszało fakt, że oto okazało się, iż posąg stał na straży grobu Maryi Panny.

Safia wróciła do pomiarów.

- W końcu je wyjmę.

- Nie, dzisiaj.

Safia spojrzała na przyjaciółkę. Twarz Kary w świetle halogenów wyglądała jak narysowana. Ostry blask zmył kolory, ale Safia zauważyła srebrzysty połysk cery, rozszerzone źrenice. Znów amfetamina. Trzy lata temu Safia była jedną z nielicznych osób, które wiedziały, że miesięczne „zagraniczne wakacje” Kary były tak naprawdę wyjazdem na odwyk do ekskluzywnej prywatnej kliniki w hrabstwie Kent. Od kiedy znów bierze? Zerknęła na Claya. To niewłaściwy moment na konfrontację.

- Skąd ten pośpiech? - spytała.

Kara przebiegła wzrokiem pomieszczenie. Ściszyła głos.

- Zauważyłam coś, zanim wszedł inspektor. Ciekawe, czy ty też to zauważyłaś.

- Co?

Kara nachyliła się i wskazała prawy przedsionek serca.

- Popatrz tutaj, na tę wznoszącą się linię. - Prześledziła jej bieg czubkiem suwmiarki.

- To jedna z arterii lub żył - powiedziała Safia, pełna podziwu dla artyzmu wykonawcy.

- Doprawdy? Widzisz, jak idealnie pozioma jest część górna, potem opada pionowo w dół po obu stronach, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. - Pociągnęła dłonią nad biegiem linii Jej palce drżały charakterystycznym amfetaminowym drżeniem.

- Wszystko w tym sercu jest zgodne z naturą. Nawet Leonardowi da Vinci byłoby trudno tak dokładnie oddać anatomię. - Wpatrzyła się w Safię. - Natura nie lubi dziewięćdziesięciostopniowych kątów.

Safia pochyliła się niżej i też przesunęła palcami po liniach, jakby czytając alfabet Braille'a. Wątpliwość stopniowo przekształciła się we wstrząs.

- Końce... one po prostu nagle się urywają. Nie łączą się z niczym.

- To litera - powiedziała Kara.

- Pismo południowoarabskie - zgodziła się Safia, nazywając starożytne pismo poprzedzające hebrajski i aramejski. - To litera „b”.

- I patrz, co widzimy na górnej komorze serca.

- Prawym przedsionku - poprawił Clay. Spojrzały na niego.

- Byłem sanitariuszem, zanim zrozumiałem, że widok krwi ma taki... no, negatywny wpływ na to, co jadłem na lunch.

Kara wróciła do rzeźby i suwmiarką ponownie wskazała serce.

- Duża część tego górnego przedsionka nadal kryje się pod piaskowcem, ale uważam, że pod spodem jest kolejna litera.

Safia pomacała serce. Widoczne naczynia krwionośne urywały się raptownie, jak w pierwszym przypadku.

- Muszę pracować ostrożnie - mruknęła.

Sięgnęła do zestawu szpikulców, dłutek i małych młotków. Mając w dłoniach właściwe narzędzia, zabrała się do pracy z chirurgiczną precyzją. Młoteczek i dłutko, żeby usunąć większe kawałki stopionego piaskowca, potem szpikulce i szczoteczka, by oczyścić prawy przedsionek.

Safia patrzyła na płataninę czegoś, co wydawało się naczyniami krwionośnymi, lecz układały się one w literę.

Zbyt skomplikowane, jak na przypadek.

- Co to za litera? - zapytał Clay.

- W angielskim nie ma precyzyjnego odpowiednika - odrzekła Safia. - Tę literę wymawia się mniej więcej jak wa... więc w tłumaczeniach występuje często jako W-A albo nawet U, bo tak właśnie brzmi, gdy się ją wymawia. Chociaż tak naprawdę w inskrypcjach południowoarabskich nie ma samogłosek.

Spojrzenia Kary i Safii spotkały się.

- Musimy wyjąć serce - powtórzyła Kara. - Jeśli jest więcej liter, będą na drugiej stronie.

Safia skinęła głową. Lewa strona serca nadal tkwiła w kamiennej piersi. Safia bardzo nie chciała naruszyć posągu, ale ciekawość zmusiła ją do wzięcia do ręki narzędzi. Usunięcie piaskowca wokół serca zajęło jej pół godziny. Wreszcie umocowała przysawkę i złapała uchwyt obiema rękami. Modląc się do dawnych bogów Arabii, pociągnęła z całej siły.

Z początku wydawało się, że serce utknęło, ale było po prostu cięższe, niż się spodziewała. Z twarzą wykrzywioną z wysiłku i determinacji wyjęła serce z piersi. Posypały się okruchy piaskowca. W wyciągniętych rękach przeniosła serce nad stół.

Kara pospieszyła do niej. Safia umieściła serce na kawałku zamszu, po czym odczepiła przysawkę. Serce zakotłowało się lekko i zamarło w bezruchu. Towarzyszył temu cichy plusk.

Safia popatrzyła na zebranych. Czy oni też to słyszeli?

- Mówiłem wam, że to coś jest chyba wydrążone - wyszeptał Clay.

Safia zakołysała sercem. Środek ciężkości się przesunął. W dziwny sposób przypomniało jej to jedną ze starych zabawek, „Osiem Magicznych Kul”.

- W środku jest jakaś ciecz.

Clay cofnął się o krok.

- Świetnie, byle to nie była krew. Wolę moje trupy wysuszone i owinięte jak mumie.

- Jest dobrze zamknięte - zapewniła go Safia, badając serce. - Nie umiem nawet wymyślić, jak je otworzyć. Wygląda tak, jakby zawartość okuto brązem.

- Zagadki otaczające zagadki - westchnęła Kara i teraz ona oglądała dokładnie serce. - A gdzie są inne litery?

Safia dołączyła do niej. Po chwili znalazły pozostałe dwie komory. Safia przesunęła palcami po największej, lewej. Była idealnie gładka.

- Nic - powiedziała zaskoczona Kara. - Może się starło?

Safia sprawdziła dokładniej, przecierając serce alkoholem izopropylowym.

- Nie widzę ani zadrapań, ani śladów. Gładko.

- A co z lewym przedsionkiem? - zapytał Clay.

Safia skinęła głową i odwróciła serce. Od razu zauważyła linię biegnącą łukiem na powierzchni przedsionka.

- To litera „r” - szepnęła Kara, nieco przestraszona. Opadła na krzesło. - Niemożliwe.

Clay ściągnął brwi.

- Nie rozumiem. Litery B, WA lub U, i R. Co to znaczy?

- Te trzy litery w piśmie południowoarabskim, panie Bishop, powinny być panu znane - powiedziała Safia. - Choć może nie w tej kolejności. - Wzięła ołówek i zapisała je odpowiednio.

Twarz Claya wydłużyła się.

- Te inskrypcje czyta się tak samo jak hebrajski czy arabski, czyli od lewej do prawej, odwrotnie niż w angielskim. WABR.

- Ale między spółgłoskami nie ma samogłosek. - Oczy młodego człowieka rozszerzyły się. - U-B-A-R to cholerne zaginione miasto w Arabii, Atlantyda piasków.

Kara pokręciła głową.

- Najpierw wybucha kawałek meteorytu, który przypuszczalnie miał strzec Ubaru... a teraz znajdujemy tę nazwę wyrytą na sercu z brązu.

- O ile to jest brąz - mruknęła Safia, wciąż pochylona nad sercem.

- Co masz na myśli? - spytała zaszokowana Kara.

Safia wzięła serce do rąk i je uniosła.

- Kiedy wyjęłam je z posągu, wydawało się zbyt ciężkie, tym bardziej że jest wydrążone i wypełnione jakimś płynem. Widzicie miejsce, gdzie przetałam lewą komorę alkoholem? Jest bardziej czerwone, niż powinno.

W oczach Kary błysnęło zrozumienie.

- Myślisz, że to żelazo? Jak ten fragment meteorytu?

Safia skinęła głową.

- Może nawet to samo żelazo meteorytowe. Muszę zrobić testy, ale w żadnym razie nie ma to sensu. Kiedy wykonano tę rzeźbę, ludy Arabii nie potrafiły wytapiać i obrabiać żelaza takiej jakości. Jest tyle tajemnic, że nie wiem, od czego zacząć.

- Jeśli się nie mylisz - rzekła z zapalem Kara - to ten nudny punkt handlowy odkopany w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim to tylko odległy zwiastun całej historii. Czegoś jeszcze nie odkryto. - Wskazała artefakt. - Na przykład prawdziwego serca Ubaru.

- Co jednak wiemy teraz? Jaki ma być nasz następny krok? Nie jesteśmy ani o krok bliżej wiedzy o Ubarze.

Clay oglądał serce.

- Trochę dziwne, że na lewej komorze nie ma liter - stwierdził.

- Słowo Ubar ma tylko trzy litery - wyjaśniła Safia.
- To po co używać czteroczęściowego serca i pisać w kierunku przepływu krwi?

Safia odwróciła się do niego.

- Wytłumacz to jaśniej.

- Krew wpływa do serca żyłą główną, do prawego przedsionka. Litera U. - Wcisnął palec do otworu wielkiego naczynia krwionośnego wiodącego do prawego przedsionka i ciągnął wykład anatomii, pokazując drogę, jaką przebywa krew. - Potem płynie przez zastawkę do prawej komory. Litera B. Stąd krew dostaje się do płuc przez arterię płucną, potem utleniona wraca żyłą płucną do lewego przedsionka. Litera R. „Ubar”. To dlaczego tu następuje koniec?

- Faktycznie, dlaczego? - wymamrotała Safia ze ściągniętymi brwiami.

Nazwa „Ubar” została napisana zgodnie z obiegiem krwi. To implikowało kierunek, płynięcie dokądś. Coś zaświtało jej w głowie.

- Dokąd płynie krew po opuszczeniu serca?

Clay wskazał grube, wygięte naczynie krwionośne, sterczące z samego szczytu.

- Aortą do mózgu i reszty ciała.

Safia przetoczyła serce, podążyła za aortą aż do jej końca i zajrzała do środka. Utkwił tam okruch piaskowca. Nie usunęła go, zbyt zajęta oglądaniem komór.

- I co myślisz? - zapytała Kara.

- Jest tak, jakby pismo wskazywało jakiś kierunek.

Położyła serce na zamszu i zabrała się do usuwania piaskowca z końcówki aorty. Okruch łatwo wypadł. Gdy zobaczyła to, co zasłaniał, musiała usiąść.

- Co to jest? - spytał Clay, zaglądając jej przez ramię.

- Coś, co starożytne ludy Arabii ceniły bardziej od złota. - Szpikulcem wyjęła kilka kawałków wyschniętej żywicy. Czowała ich słodki zapach, zachowany przez długie stulecia. Zapach z czasów przed Chrystusem.

- Kadzidło - powiedziała Kara z zachwytem w głosie. - Co to znaczy?

- To symbol - odrzekła Safia. - Jak płynie krew, tak płyną bogactwa Ubaru. - Odwróciła się do przyjaciółki. - Ten znak musi wskazywać Ubar, to kolejny krok na drodze do jego bram.

- Ale gdzie jest ten symbol?

Safia pokręciła głową.

- Nie jestem pewna, ale miasto Salalah jest początkiem sławnego Szlaku Kadzidlanego. - Dotknęła szpikulcem żywicy. - A grobowiec Nabi Imrana leży w tymże mieście.

Kara wyprostowała się.

- Więc tam właśnie musimy rozpocząć poszukiwania.

- Poszukiwania?

- Musimy niezwłocznie zorganizować ekspedycję. - Mówiła szybko, z szeroko otwartymi oczami. Jednak to nie amfetamina była paliwem jej podniecenia. Była nim nadzieja. - Najwyżej tydzień, nie dłużej. Moi ludzie w Omanie poczynią wszystkie niezbędne przygotowania. Będziemy potrzebowali najlepszych specjalistów. Pojedziesz oczywiście ty i każdy, kogo uznasz za odpowiedniego.

- Ja? - Serce Safii zamarło na jedno uderzenie. - Ja... ja nie... Ja lata całe nie pracowałam przy wykopaliskach.

- Jedziesz - twardo powiedziała Kara. - Nadszedł czas, żebyś wreszcie przestała się chować w tych zakurzonych korytarzach. Wracasz do świata.

- Mogę koordynować prace stąd. Nie jestem niezbędna w terenie.

Kara wpatrywała się w nią, a jej głos opadł do szorstkiego szeptu.

- Saff, ja cię potrzebuję. Jeśli tam jest coś naprawdę... jakaś odpowiedź... - Pokręciła głową, bliska łez. - Potrzebuję cię. Sama nie dam rady.

Safia przełknęła ślinę. Jak mogłaby odmówić przyjaciółce? Patrzyła w pełne strachu i nadziei oczy Kary. W głowie Safii jednak nadal odbijały się echem krzyki z przeszłości. Nie potrafiła ich uciszyć. Krew dzieci nadal plamiła jej ręce.

- Ja... nie mogę...

Coś musiało być w wyrazie jej twarzy, bo Kara w końcu pokręciła głową i powiedziała:

- Rozumiem. - Sądząc jednak po załamującym się głosie, nie rozumiała. Nikt nie rozumiał. Kara ciągnęła: - Ale masz rację co do jednego: potrzebujemy doświadczonego archeologa. A skoro ty nie jedziesz, to ja znam doskonałego kandydata.

Safia uświadomiła sobie, o kim myśli przyjaciółka. No, nie...

Kara wyczuła jej rozterkę.

- Wiesz, że on ma największe doświadczenie w pracy w tym regionie. - Wyjęła z torebki telefon komórkowy. - Jeśli ma nam się udać, potrzebujemy Indiany Jonesa.

4

BIAŁA WODA

15 LISTOPADA, 7.02 RZEKA JANGCY, CHINY

- Nie jestem Indianą Jonesem! - wrzeszczał do słuchawki telefonu satelitarnego umieszczonej na głowie, żeby przekrzyknąć ryk silnika motorówki. - Nazywam się Omaha... Doktor Omaha Dunn! Karo, dobrze o tym wiesz!

Odpowiedziało mu przesadne westchnienie.

- Omaha, Indiana, a co to za różnica? Wasze amerykańskie imiona brzmią zawsze tak samo.

Trzymał mocno koło sterowe, pędząc ku zdradzieckiemu urwisku. Urwiska opadały także po obu stronach błotnistej Jangcy. Za kilka lat Tama Trzech Urwisk spowoduje zatopienie całego tego regionu na głębokość ponad stu metrów, ale teraz podwodne skały i bystrza stanowiły nieustające zagrożenie, gdy wartka rzeka dławiała się w przewężeniu.

Skały i bystrza nie były jedynym zagrożeniem.

Nagle od kadłuba łodzi odbił się pocisk. Strzał ostrzegawczy. Goniący raptownie zmniejszyli dystans, mieli dwie motorówki Scimitar 170. Cholernie szybkie.

- Karo, czego ty chcesz? - Jego łódka trafiła na wypiętrzenie i przez sekundę leciała w powietrzu. Omaha mocniej ścisnął ster. - Chwileczkę! - wrzasnął do słuchawki.

Łódź uderzyła w wodę. Zaraz potem rozległ się jęk.

- Mów.

Rzut oka za siebie potwierdził, że jego młodszemu bratu, Danny'emu, nic się nie stało. Kulił się pod sterem, głowę schował w szafce na zapasy pod tylnym siedzeniem. Za rufą scimitary kontynuowały pościg.

Omaha zasłonił dłonią słuchawkę.

- Weź strzelbę! - rzucił do brata.

Brat wysunął głowę z szafki, wyciągając broń. Poprawił okulary.

- Już mam!

- A naboje?

- A, tak. - Danny znów zanurkował w szafce.

Omaha pokręcił głową. Brat był sławnym paleontologiem, doktorat zrobił w wieku dwudziestu czterech lat, często jednak zachowywał się, jakby był niedorozwinięty. Omaha podniósł telefon.

- Karo, o co chodzi?
- Co się tam dzieje? - zapytała Kara, zamiast odpowiedzieć.
- Nic, ale właśnie mamy coś do roboty. Dlaczego dzwonisz?

Nastąpiła długa pauza.

Nie wiedział, czy to z powodu opóźnienia na łączach między Londynem i Chinami, czy to tylko chwila wahania. Nieważne, dało mu to czas na zastanowienie się. Cztery lata nie widział Kary Kensington. Ani razu od zerwania z Safią al-Maaz. Zdawał sobie sprawę, że Kara nie dzwoni, żeby zapytać, co słycać. Jej głos brzmiał poważnie i stanowczo. On zaś nie był w stanie zadzwonić, póki nie dowiedział się, że z Safią wszystko w porządku.

- Organizuję ekspedycję do Omanu. Chciałabym, żebyś kierował wykopaliskami. Jesteś zainteresowany? - odezwała się wreszcie Kara. .

Miał ochotę się rozłączyć. Durny telefon w interesach. - Nie, dzięki.

- To ważne... - Usłyszał napięcie w jej głosie. Jęknął.

- Termin?

- Zbieramy się w Maskacie za tydzień. Przez telefon nie podam ci szczegółów, ale to poważne odkrycie. Może spowodować, że historię całego Półwyspu Arabskiego trzeba będzie napisać od nowa.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Danny przepchnął się i stanął obok niego.

- Załadowałem obie lufy. - Podał broń bratu. - Ale nie wiem, jak chcesz ich powstrzymać, nie mając nic poza sobą.

- Ja nie. Ty. - Wskazał do tyłu. - Celuj w kadłuby. Po prostu ich przestrasz na tyle, żebym zyskał na czasie. Widzisz, że mam zajęte ręce.

Danny skinął głową i odwrócił się. Omaha przysunął telefon do ucha.

- ...dzieje? Co to za strzelanina? - dopytywała się Kara.

- Uspokój się. Po prostu uciekam przed parą dużych szczurów rzecznych...

Przerwał mu strzał z dubeltówki.

- Chybiłem. - Danny zaklął szpetnie.

- Co z ekspedycją? - chciała wiedzieć Kara. Danny szczerknął następnym nabojem.

- Mam znów strzelić?

- Tak, do cholery!

- Świetnie. - Kara źle zrozumiała jego wybuch. - Więc spotykamy się w Maskacie za tydzień. Wiesz gdzie.

- Czekaj! Ja nie...

Jednak połączenie już zostało przerwane. Odłożył telefon. Kara doskonale wiedziała, że nie zgodził się na udział w ekspedycji. Jak zwykle wykorzystała sytuację.

- Trafiłem jednego ze sterników w twarz! - zawołał Danny zaskoczony. - Kieruje się do brzegu. Ale uwaga! Ten drugi zachodzi od sterburty!

Omaha zerknął w prawo. Smukła czarna łódź pędziła obok. Czterech mężczyzn w zniszczonych szarych mundurach, dawni żołnierze, pochyliło się nisko. Ktoś uniósł megafon. Wydawane po mandaryńsku rozkazy znaczyły mniej więcej tyle co: „Stójcie... albo zginiecie!”. Dla podkreślenia wagi słów pojawiła się wycelowana w ich łódź wyrzutnia rakiet.

- Nie wydaje mi się, żeby teraz sól mogła pomóc - rzekł Danny i opadł na siedzenie.

Nie mając wyjścia, Omaha puścił sprzęgło i zwolnił. Pomachał ręką, uznając swoją przegraną.

Danny otworzył schowek. Wewnątrz znajdowały się doskonale zachowane skamieliny trzech jaj tyranozaurów, wartych swej wagi w złocie. Znalezione na pustyni Gobi były przeznaczone dla muzeum w Pekinie. Na nieszczęście, taki skarb miał wielu amatorów. Kolekcjonerzy kupowali takie i sprzedawali na czarnym rynku za bająnskie sumy.

- Trzymaj się - szepnęła Omaha. Danny zamknął schowek.

- Proszę, tylko nie to...

- Nikt mnie nie okradnie. To ja jestem jedynym rabusiem grobów w tych stronach.

Pstryknął przełącznikiem, dostarczając azotowy dopalacz do turbiny dołączonej do hamiltona 212 turbo. Zdobył tę łódź w Nowej Zelandii. Wozila turystów rzeką Black Rock niedaleko Auckland.

Wypatrywał następnego zakrętu wijącej się rzeki.

Trzydzieści metrów. Przy niewielkiej dozie szczęścia...

Nacisnął przełącznik. Azot wlał się do dopalacza, zapalając silniki odrzutowe. Języki ognia buchnęły z bliźniaczych rur wydechowych wraz ze zgrzytliwym wyciem. Dziób łodzi wystrzelił w górę, rufa osiadła głęboko.

Na ścigaczu rozległy się krzyki. Zaskoczeni Chińczycy okazali się zbyt wolni, żeby wycelować wyrzutnię.

Omaha otworzył przepustnicę. Łódź wystrzeliła jak rakieta - torpeda z aluminium i chromu.

Danny zapiął pasy.

- Bożesztyś... - jęczał.

Omaha zaś stał przy kole sterowym, ugiąwszy nogi w kolanach. Musiał wyczuwać balans łodzi. Docierali do skalnego zęba sterczącego z rzeki. Zaryzykował rzut oka przez ramię.

Chińczycy gnali za nimi, walcząc o utrzymanie tempa. Mieli jednak jedną istotną przewagę. Błysk ognia zaznaczył wystrzelenie raketowo napędzanego granatu pochodzącego z czarnego rynku chińskiego RPG typ 69 o zasięgu śmiertelnego rażenia dwudziestu metrów. Nie musieli być blisko.

Omaha szarpnął sterem w prawo, zadzierając wysoko lewą burtę. Muskali wodę, skręcając niemal w miejscu.

Granat przemknął, o włos mijając rufę.

Omaha wyprowadził łódź ze skrzyżowania i skierował na środek rzeki. Granat eksplodował w urwisku po przeciwnej stronie. Deszcz ziemi i kamieni spadał w chmurze pyłu i dymu.

Z trudem wymusił na silnikach zwiększenie prędkości, teraz łódź ledwie dotykała wody, zachowywała się, jakby pędziła po lodzie.

Łódź Chińczyków wyłoniła się zza spowitego dymem zakrętu kontynuując pościg. Ładowali kolejny pocisk do wyrzutni.

Nie mógł im pozwolić na celny strzał. Na szczęście rzeka była w nastroju do współpracy. Skręcił w prawo i w lewo na długim odcinku poza zasięgiem wzroku ścigających, ale musiał wyłączyć dopalacz i zmniejszyć szybkość.

- Zgubimy ich? - spytał Danny.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli inne wyjście.

- To może oddajmy te jajka? Nie są warte naszego życia.

Omaha tylko pokręcił głową na taką naiwność. Aż trudno uwierzyć, że są braćmi. Obaj mieli po sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, takie same piaskowoblonde włosy, ale Danny wyglądał, jakby składał się z kości połączonych drutem. Omaha był tęższy i zbudowany masywniej, bardziej szorstki, stwardniały, ze skórą spaloną przez słońce sześciu z siedmiu kontynentów. No i te dziesięć lat, które ich dzieliło, porało jego twarz bruzdami będącymi jak słoje drzewa znaczące wiek - słoneczne zmarszczki w kącikach oczu, głębokie kreski na czole od zbyt częstego marszczenia i zbyt rzadkiego uśmiechania się.

Brat natomiast pozostawał gładki - czysta tabliczka czekająca na zapisanie. Zaledwie rok temu napisał doktorat, pędząc przez Uniwersytet Columbia jak na wyścigach. Omaha podejrzewał, że przyczyną tego pośpiechu była po części chęć, by dołączyć do starszego brata w szerokim świecie.

Cóż, było tak: długie dni, rzadkie prysznice, cuchnące namioty, brud i pot. I po co? Żeby jacyś złodzieje odebrali im znalezisko?

- Jeśli damy im te jaja...
- To i tak nas zabiją- dokończył Omaha, szarpiąc łodzią na kolejnym ostrym zakręcie rzeki. - Oni nie zostawiają za sobą śladów.

Danny przeszukiwał wzrokiem przestrzeń za rufą.

- Więc uciekajmy.

- Najszybciej, jak umiemy.

Jęk silnika scimitara odbijał się echem od nadbrzeżnych skał, kiedy pościg wyszedł z zakrętu. Dystans się zmniejszał. Musieli płynąć jeszcze szybciej. Omaha miał nadzieję na krótki prosty odcinek, żeby móc włączyć dopalacz, ale nie na tyle długi, żeby Chińczycy zdążyli wycelować i strzelić.

Przeprowadzał łódź przez wąskie zakręty. Niestety, nie dostrzegł podwodnej skały. Łódź wpadła na nią, zawisła na moment, po czym ze zgrzytem rozdieranego aluminium wystrzeliła do przodu.

- To nie mogło się dobrze skończyć - skomentował Danny.

Fakt, nie mogło. Zmarszczki na czole Omahy pogłębiły się. Czuł, że łódź drży mu pod stopami. Nawet na spokojnej wodzie.

Znów usłyszeli głośny jęk silnika scimitara.

Kiedy Omaha brał kolejny zakręt, dostrzegł przez mgnienie Chińczyków siedemdziesiąt metrów z tyłu. Rozejrzał się i usłyszał jęk Danny'ego. Przed nimi rzeka wrzała i była biała od piany. Ten fragment rzeki przeciskał się między wysokimi ścianami. Długi, prosty odcinek - zbyt długi, zbyt prosty.

Gdyby tylko mogli przybić do brzegu i tam próbować szczęścia, na pewno by to zrobili. Nie mieli jednak wyboru. Omaha płynął dalej ku wąskiemu przesmykowi, badając nurt, uważając na skały. Miał już plan.

- Danny, nie spodoba ci się to.

- Co?

Nie dopływając do bystrzy, skręcił gwałtownie, zawracając po ciasnym okręgu i kierując dziób w górę rzeki.

- Co ty wyczyniasz?

- Łódź jest dziurawa, nie możemy płynąć szybciej. Będziemy musieli z nimi walczyć.

Danny wskazał strzelbę.

- Strzelanie solą przeciw wyrzutni rakietowej?

- Potrzebujemy tylko elementu zaskoczenia. No i zgrania w czasie.

Przesunąwszy sprzęgło w przód, skierował się pod prąd, w górę rzeki. Przeglądał w myślach mapę: po zewnętrznej wokół urwiska, dalej obok głębokiej kipieli, potem skrajem przy zębie dzielącym nurt po spokojniejszej stronie. Celował w stojącą falę odbojową, przejdzie nad wyniesieniem dna, gładko, dzięki wartkiemu prądowi rzeki.

Jęk silnika chińskiej łodzi stawał się coraz głośniejszy.

Oto przybywają... - Danny poprawił okulary.

Ponad grzbietem fali Omaha dostrzegł wyłaniający się zza zakrętu dziób scimitara. Pstryknął kciukiem, otwierając przełącznik zasilania dopalacza. Odkręcił dyszę na maksimum. Wszystko albo nic.

Scimitar pokonał zakręt i namierzył ich. Można było odnieść wrażenie, że łódź Omahy porusza się niezgrabnie, ustawiając się tyłem do kipieli lub wiru.

Łódź Chińczyków zwolniła, ale nurt i siła bezwładu zniosły ją na bystrza i teraz znajdowała się zaledwie dziesięć metrów od łodzi Omahy. Za blisko, by strzelać z granatnika. Wybuch mógł ich poranić i zatopić.

Na moment wszystko zamarło.

Ale tylko na pozór.

- Trzymaj się mocno! - ostrzegł brata Omaha, wciskając przełącznik.

Stało się tak, jakby ktoś pod ich rufą odpalił całą skrzynkę TNT. Łódź skoczyła do przodu, przecięła falę, uderzając o podwodną skałę. Dziób wspiął się na wzniesienie, rufa skierowana była w dół. Silniki odrzutowe wypchnęły aluminiową ramę w górę. Przelecieli nad stojącą falą, wysoko, a za nimi ciągnął się ognisty ogon.

Danny zaklął - i zaraz potem zaklął też Omaha.

Ich łódka poszybowała nad scimitarem, ale nie była jednak przeznaczona do latania. Dopływ azotu do dopalacza ustał, zgasły płomień i aluminiowy kadłub runął w dół, na łódź Chińczyków.

Uderzenie powaliło Omahę na siedzenie, zaczął się topić we wlewającej się przez burtę wodzie. Potem łódź stanęła dęba.

- Danny!

- W porządku.

Danny nadal był przypięty pasami i wyglądał na oszołomionego.

Poczołgawszy się do przodu, Omaha wyjrzał za reling.

Scimitar był roztrzaskany, kawałki dryfowały w różnych kierunkach. Na wodzie unosiło się jakieś ciało. Krew znaczyła szlak w błotnistej wodzie, tworząc własną rzekę. Powietrze przesycił zapach paliwa. Przynajmniej nurt bezpiecznie znosił ich w przeciwną stronę i nic im się nie stanie, jeśli wrak wybuchnie.

Omaha dostrzegł dwóch mężczyzn trzymających się kurczowo pływających szczątków - kierowali się w dół, ku bystrzom. Wyglądało na to, że stracili zainteresowanie jajami dinozaurów.

Wgramoliwszy się na siedzenie, Omaha sprawdził silnik, który zakaszłał i ucichł. Aluminiowa rama była pocięta, kil połamany i dziurawy, ale na morzu się utrzyma. Wyjął pagaje.

Danny odpiął się i wziął jeden.

- Co teraz? - spytał.

- Wzywamy pomocy, zanim pojawi się druga łódź.

- Kogo chcesz wezwać?

00.05 GMT

Safia starannie owijała żelazne serce w specjalny bezkwasowy papier, kiedy zadzwonił telefon leżący na ławie. Należał do Kary. Zostawiła go, kiedy znów poszła do łazienki. Odświeżyć się, jak powiedziała. Safia jednak wiedziała lepiej. Kolejna porcja pigułek.

Telefon ciągle dzwonił.

- Chce pani, żebym odebrał? - zapytał Clay, składając statyw.

Safia westchnęła i wzięła aparat. To mogło być coś ważnego.

- Halo - powiedziała. Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Halo? W czym mogę pomóc?

Chrząknięcie, brzmiające, jakby dobiegało z bardzo daleka.

- Safia? - wypowiedziane miękko, zdumionym głosem. Znany jej aż za dobrze.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Omaha?

- Ja... ja chciałem skontaktować się z Karą. Nie wiedziałem, że ty też tam jesteś.

- Kara... w tym momencie jest niedysponowana. Jeśli poczekaasz, to ja... - Safia z trudem wymawiała słowa.

- Zaczekaj! Safio...

Zamarła. Trzymała telefon, jakby zapomniała, jak się go używa. Głos Omahy brzmiał metalicznie.

- Ja... może... - wyjąkał, po czym postanowił skupić się na konkretach. - Skoro jesteś tam z Karą, to musisz wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Jaką to ekspedycją mam kierować?

Safia przysunęła aparat do ucha. Z rozmową o interesach da sobie radę.

- To długa historia, ale znaleźliśmy tutaj coś niezwykłego. Ma to związek z nową historią Ubaru.

- Ubaru?

- Dokładnie.

Znów przedłużająca się cisza.

- Więc chodzi o ojca Kary?

- Tak. I tym razem Kara być może trafiła na coś znaczącego.

- Czy ty też weźmiesz udział w ekspedycji? - zapytał drewnianym głosem.

- Nie, będę bardziej pomocna, zostając w Londynie.

- Bzdura! - Teraz słowa wylewały się ze słuchawki gwałtownie i głośno. Safia musiała znów odsunąć aparat od ucha. - Wiesz na temat Ubaru więcej niż ktokolwiek na tej planecie. Musisz tam być! Jeśli nawet nie dla Kary, to dla samej siebie.

- Ma rację - rzekła Kara, która od dłuższej chwili przysłuchiwała się rozmowie. - Jeśli w ogóle mamy rozwiązać tę zagadkę i te, na które się natkniemy, potrzebujemy cię na miejscu.

Safia wodziła oczami między telefonem i przyjaciółką, czuła, że została schwyтана w pułapkę. Kara zabrała jej aparat.

- Omaha, ona jedzie.

Safia otworzyła usta, żeby zaprotestować.

- To jest zbyt ważne. - Kara stłumiła niemy sprzeciw przyjaciółki, mówiąc jednocześnie do niej i do Omahy. Jej oczy błyszczały z podniecenia wywołanego kolejną porcją amfetaminy. - Nie przyjmę odmowy... od żadnego z was.

- Wchodzę w to - powiedział Omaha. - Właściwie to przydałaby mi się pomoc, mam problemy z wydostaniem się stąd.

Kara odeszła na bok. Przez chwilę słuchała, kiwając głową.

- Czy ty kiedykolwiek nie pakujesz się w kłopoty, Indiano? Mam twoje współrzędne na GPS-ie. Helikopter wyleci w ciągu godziny. - Zamknęła z trzaskiem telefon. - Naprawdę lepiej ci bez niego.

- Karo...

- Jedziesz. Za tydzień. Jesteś mi to winna - rzuciła Kara i wybiegła.

- Ja tam bym się nie opierał - przerwał niezręczne milczenie Clay. Safia ściągnęła brwi. Ten świeżo upieczony absolwent nie miał pojęcia o prawdziwym świecie. Może to i dobrze. Czuła, że powróciło coś, co powinno pozostać pogrzebane na zawsze.

5

CHODZENIE PO LINIE

15 LISTOPADA, 2.12 GMT LONDYN, ANGLIA

Wiele godzin po burzliwym rozstaniu z Karą Safia siedziała prawie po ciemku w swoim gabinecie. Jedyne światło dawała stołowa lampa z kopulastym abazurem, stojąca na orzechowym blacie biurka i oświetlająca morze papierów i czasopism. Jak Kara mogła oczekiwać, że Safia zdoła w tydzień przygotować się do wyjazdu do Omanu? Tym bardziej po eksplozji. Tylu spraw trzeba dopilnować.

Nie może jechać. Właśnie tak. Kara musi to zrozumieć. A jeśli nie, to nie Safii problem. Ona musi robić to, co dla niej dobre. Jej terapeuta często to powtarzał. Żeby jej

życie stało się w miarę normalne, potrzebowała czterech lat - żeby w dzień czuć się bezpiecznie, żeby skończyły się nocne koszmary. Tutaj miała dom i nie zamierzała go zamieniać na namiot w omańskim interiorze.

No i jeszcze Omaha Dunn...

Safia żuła gumkę ołówka. To był jej jedyny posiłek od dwunastu godzin. Wiedziała, że powinna wstać i wyjść, zjeść późną kolację w pubie na rogu, a potem spróbować złapać kilka godzin snu. Poza tym Billie przez cały dzień siedział sam w domu i potrzebował uwagi oraz porcji tuńczyka.

Safia jednak nie mogła ruszyć się z miejsca.

Przebiegała w myślach rozmowę z Omahą. Stary ból sprawiał, że czuła ucisk w żołądku. Gdyby nie odebrała tego telefonu...

Poznała Omahę dziesięć lat temu w Sojarze, miała wtedy dwadzieścia dwa lata, właśnie skończyła studia i zbierała materiały do dysertacji na temat wpływów partyjskich w południowej Arabii. Tkwiła beczynnie w tym nadmorskim mieście, czekając na zgodę omańskiego rządu na prowadzenie badań w odległym regionie badanego terytorium.

- Mówi pani po angielsku? - brzmiały jego pierwsze słowa skierowane do Safii. Siedziała przy małym stoliku na tarasie niewielkiego hoteliku z widokiem na Morze Arabskie i pracowała. Studenci prowadzący badania w tej części świata gościli w nim często, ponieważ był tani i serwował jedyną przyzwoitą kawę w okolicy.

Zirytowana, że ktoś przerywa jej pracę, ucieła:

- Jako obywatelka brytyjska zapewne mówię po angielsku lepiej niż pan.

Podniósłszy głowę, zobaczyła młodego człowieka o piaskowo-blond włosach, oczach błękitnych jak kwiaty kukurydzy, z cieniem zarostu, w spłowiałych spodniach khaki i tradycyjnym omańskim nakryciu głowy, uśmiechającego się z zażenowaniem.

- Proszę wybaczyć, ale zauważyłem, że pani ma piąty numer „Arabian Archaeology and Epigraphy”. Zastanawiałem się, czy mógłbym rzucić okiem na jeden artykuł.

Podniosła książkę.

- Który?

- Oman i Emiraty na mapach ptolemeuszowskich. Jadę w stronę granicy.

- Doprawdy? Sądziłam, że ten region jest zamknięty dla obcokrajowców.

Znów ten uśmiech, tyle że teraz nieco bolesciwy.

- Przyłapała mnie pani. Powinienem powiedzieć, że mam nadzieję, iż dostanę się, strefy nadgranicznej. Nadal czekam na słówko z konsulatu.

Zlustrowała go od stóp do głów.

- Co zamierza pan robić, kiedy pan tam dotrze? - zapytała Po arabsku.

Odpowiedział bez zawahania w tym samym języku:

- Pomogę uspokoić spory graniczne, pokazując starożytne szlaki wędrówek plemion Duru, potwierdzając precedens historyczny.

- W Umm al-Samim będzie pan musiał być ostrożny. - Teraz postanowiła sprawdzić jego znajomość geografii regionu.

- Tak, ruchome piaski - pokiwał głową. - Czytałem o tym zdradzieckim odcinku. -W jego oczach błyszczał zapal.

Safia podała mu periodyk.

- To jedyny egzemplarz z Instytutu Studiów Arabskich. Muszę pana prosić, żeby czytał pan tutaj.

- Z ISA? - zrobił krok do przodu. - To fundacja non profit Kensingtona, prawda?

- Tak. Czemu pan pyta?

- Próbowałem dotrzeć do kogoś, kto ma tam jakieś wpływy i może posmarować kilka kółek w omańskim rządzie. Nikt jednak nie odpowiedział ani na moje listy, ani na telefony.

To trudny orzech do zgryzienia, tak samo jak i sponsor, lady Kara Kensington. Tyle że ona albo nie żyje, albo nigdy nie istniała.

- Hmm - mruknęła Safia.

Gdy się sobie przedstawili, Omaha zapytał, czy mógłby przysiąść się do jej stolika, żeby przeczytać artykuł. Safia wskazała wolne krzesło.

- Słyszałem, że mają tu dobrą kawę - powiedział, siadając.

- Herbata jest jeszcze lepsza. No, ale ja jestem Brytyjką. Długą chwilę czytali w milczeniu, od czasu do czasu spoglądając na siebie. Wreszcie Safia zauważyła, że drzwi na taras otwierają się. Pomachała na powitanie.

Omaha odwrócił się, a kiedy kobieta podeszła do stolika, otworzył szeroko oczy.

- Doktorze Dunn - powiedziała Safia - przedstawiam panu lady Karę Kensington. Niewątpliwie uszczęśliwi pana to, że ona także mówi po angielsku.

Rozbawił ją widok rumieńca, jaki wykwitł na jego twarzy. Omaha był zaskoczony i zdezorientowany. Podejrzewała, że nieczęsto znajdował się w takich sytuacjach. Resztę popołudnia spędzili, omawiając bieżące wydarzenia w Arabii i w Anglii, dyskutując o arabskiej historii. Kara zostawiła ich przed zachodem słońca, udając się na wczesną kolację z przedstawicielami tutejszej izby handlowej, ale zdążyła obiecać Dunnowi pomoc w jego wyprawie.

- Chyba jestem pani winien przynajmniej kolację - stwierdził po odejściu Kary. - A ja chyba muszę się zgodzić - odrzekła Safia.

Tego wieczoru zjedli kolację złożoną z pieczonej ryby, której towarzyszył korzenny chleb rukhal. Rozmawiali, aż słońce zanurzyło się w morzu, a niebo rozbłysło gwiazdami.

Taka była ich pierwsza randka. Druga miała miejsce dopiero po pół roku, kiedy Omaha został zwolniony z więzienia w Jemenie, w którym zamknięto go za wejście bez zezwolenia na teren muzułmańskiego świętego miejsca. Mimo wielu trudności widywali się na czterech kontynentach. Podczas pewnych świąt Bożego Narodzenia, gdy byli w jego rodzinnym domu w Lincoln w stanie Nebraska, ukląkł i poprosił Safię o rękę. Nigdy nie czuła się szczęśliwsza. Miesiąc później wszystko zmienił jeden oślepiający błysk.

Umknęła przed tym ostatnim wspomnieniem, wstając wreszcie zza biurka. W gabinecie było zbyt duszno. Musi się przejść, poruszać się. Dobrze byłoby poczuć wiatr na twarzy, nawet w wilgotnym chłodzie londyńskiej zimy. Włożyła płaszcz i zamknęła pokój.

Mieścił się on na pierwszym piętrze. Schody na parter znajdowały się w drugim końcu skrzydła, przy Galerii Kensington, co znaczyło, że musiała znów minąć miejsce eksplozji. Nie uśmiechało jej się to, ale nie miała wyboru.

Ruszyła długim, mrocznym korytarzem, gdzieś oświetlonym przez czerwone lampy bezpieczeństwa. Zwykle lubiła puste muzeum. Czas spokoju po zgiełku dnia. Często wędrowała po galeriach, oglądając eksponaty, podniesiona na duchu wagą historii. Nie tej nocy. Kręcące się wentylatory ustawiono niczym wieże strażnicze na wysokich stojakach na całej długości północnego skrzydła. Wirowały i grzechotały głośno, próbując bez powodzenia rozproszyć smród spalonego drewna i plastiku. Wszędzie wiły się pomarańczowe węże pomp, które miały za zadanie suszyć korytarze i sale. W holu było wilgotno i gorąco jak w tropikalnym lesie. Wentylatory bezskutecznie miały powietrze.

Obcasy Safii stukwały na marmurowej posadzce, kiedy mijała galerię z etnograficznymi zbiorami muzeum: celtyckimi, rosyjskimi, chińskimi. Szkody spowodowane wybuchem stawały się coraz bardziej widoczne, w miarę jak zbliżała się do swoje działu: okopcone ściany, walające się taśmy policyjne, stos gipsowego gruzu, potłuczone szkło.

Kiedy mijała ekspozycję egipską, usłyszała za sobą stłumiony brzęk, jakby pękającego szkła. Zatrzymała się i obejrzała przez ramię. Przez chwilę zdawało jej się, że dostrzegła błysk światła w galerii bizantyjskiej. Patrzyła przez chwilę, wstrzymując oddech. Wejście pozostało ciemne.

Stłumiła narastającą panikę. Od kiedy zaczęły się ataki, miała kłopot z odróżnieniem prawdziwego niebezpieczeństwa od tego co jej się wydawało. Serce dudniło jej w gardle, a włoski na przedramionach szczypały, kiedy stojący nieopodal wentylator obracał się, astmatycznie mieszając powietrze.

To pewnie reflektory przejeżdżającego samochodu, przekonywała samą siebie.

Przełykając niepokój, zawróciła, aby natknąć się na mroczną postać w holu na zewnątrz Galerii Kensington.

Potknęła się, próbując się cofnąć.

- Safia? - Postać podniosła ręczny reflektor i włączyła go, oślepiając ją. - Doktor al-Maaz?

Westchnęła z ulgą i ruszyła do przodu, osłaniając oczy.

- Ryan... - Był to szef ochrony, Ryan Fleming. - Myślałam, że poszedłeś do domu.

Fleming uśmiechnął się i wyłączył reflektor.

- Właśnie szedłem, kiedy wezwał mnie dyrektor Tyson. Wygląda na to, że dwoje amerykańskich naukowców uparło się, żeby obejrzyć miejsce eksplozji. - Poprowadził ją ku wejściu do galerii.

Dwie postacie w identycznych niebieskich kombinezonach chodziły po ciemnej galerii. Jedyne oświetlenie stanowiły dwie lampy na statywach rzucające słabe plamy światła. W mroku jasno jarzyły się przyrządy pomiarowe wyglądające jak liczniki Geigera. Mieli też komputer i metrowej długości czarne pręty połączone z komputerem skrzyconym przewodem. Pracowali powoli, przesuwając pręty wzdłuż nadpalonych ścian i ponad kupkami śmieci.

- Fizycy z MIT* - wyjaśnił Fleming. - Przylecieli dziś wieczorem i przyjechali tu prosto z lotniska. Ktoś ich musi naciskać. Tyson nalegał, żebym się nimi zajął. Post haste, żeby zacytować naszego szanownego dyrektora, czyli jak najprędzej. Powinienem cię przedstawić.

Nadal napięta, Safia próbowała się od tego uchylić.

- Naprawdę muszę iść do domu.

Jednak Fleming już wszedł do galerii. Jeden z badaczy, wysoki i rumiany, zauważył jego, a potem Safię.

Opuścił swoją różdżkę i szybko ruszył w ich stronę.

- Doktor al-Maaz, co za szczęście. - Wyciągnął rękę. - Miałem nadzieję na rozmowę z panią.

Uścisnęła jego dłoń.

- Jestem doktor Crowe. Painter Crowe.

Jego oczy, przenikliwe i uważne, miały kolor lapis-lazuli, a sięgające do ramion włosy były hebanowoczarne. Zauważyła, że jest opalony. Domyśliła się, że jest rdzennym Amerykaninem, ale niebieskie oczy temu przeczyły. Tylko to nazwisko: Crowe. Mógłby też być Hiszpanem. Uśmiechał się miło, choć z pewną rezerwą.

- To moja koleżanka, doktor Coral Novak.

Kobieta szybko uścisnęła dłoń Safii i skinęła głową - najwyraźniej chciała jak najszybciej wrócić do pomiarów.

Tych dwoje nie mogło się bardziej różnić. W porównaniu z mrocznie przystojnym kolegą kobieta wydawała się zupełnie wyprana z pigmentu, blada jak cień. Jej skóra przypominała świeżo spadły śnieg, miała wąskie usta i lodowatoszare oczy. Naturalne białoblonde włosy ścięła krótko. Była wzrostu Safii, o wiotkich kończynach, ale miała w sobie krzepę. Wyczuwało się to w pewnym uścisku dłoni.

- Czego właściwie szukacie? - zapytała Safia, cofając się o krok.

Painter uniósł różdżkę.

- Sprawdzamy natężenie promieniowania.

- Promieniowania? - Safia nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

Crowe roześmiał się, ale nie z wyższością, tylko ciepło.

- Proszę się nie martwić. Szukamy specyficznego promieniowania, charakterystycznego dla uderzeń pioruna.

- Nie chcę wam przeszkadzać. Milo było was poznać, a jeśli jest coś, co mogę zrobić, by ułatwić wasze śledztwo, dajcie mi znać. Zaczęła się odwracać.

Painter ruszył za nią.

- Doktor al-Maaz, mam kilka wątpliwości, które chciałbym z panią przedyskutować. Może podczas lunchu?

- Obawiam się, że jestem bardzo zajęta. - Ich oczy się spotkały. Poczwała się złapana w pułapkę, nie mogła oderwać wzroku od tego mężczyzny. Na zmarszczonym czole Paintera wyczytała rozczarowanie.

- Mo... może uda się coś zorganizować. Proszę przyjść rano do mojego gabinetu, doktorze Crowe.

Skinął głową.

- Doskonale.

- Odprowadzę panią - zaproponował Fleming. Podążyła za nim, nie oglądając się za siebie. Bardzo dawno nie czuła się tak zażenowana i onieśmielona... z powodu mężczyzny. To zapewne wstrząs po niespodziewanej rozmowie z Omahą.

- Będziemy musieli zejść schodami. Windy wciąż są nieczynne.

Starła się dotrzymać mu kroku.

- Ci Amerykanie to dziwna banda - mówił, kiedy schodzili kolejnymi ciągami schodów na parter. - Zawsze się spieszą. Musieli przybyć akurat tej nocy. Upierali się, że promieniowanie, które muszą zmierzyć, może zaniknąć.

Safia wzruszyła ramionami. Doszli na dół i przemierzili krótki odcinek do wyjścia dla personelu.

- Nie wydaje mi się, żeby to była jakaś amerykańska idiosynkrazja, to dotyczy chyba wszystkich naukowców. Jesteśmy gruboskórni i zdeterminowani.

Fleming pokiwał głową z uśmiechem.

- Zauważyłem. - Kluczem uniwersalnym odblokował drzwi, żeby nie włączył się alarm, pchnął je ramieniem i wyszedł, by przytrzymać je dla Safii.

Patrzył na nią, dziwnie zakłopotany.

- Zastanawiałem się... Gdybyś kiedyś miała czas... może...

Strzał zabrzmiał nie głośniejszy niż pękający orzech. Prawa strona głowy Ryana eksplodowała, opryskując drzwi krwią i mózgiem. Kawałki czaszki odbiły się od drzwi.

Trzech zamaskowanych mężczyzn wpadło przez otwarte drzwi, zanim ciało Ryana dotknęło ziemi. Popchnęli Safię na ścianie i zatkali jej usta.

- Gdzie jest serce? - zapytał jeden z nich, przyciskając lufę do jej czoła.

Painter przypatrywał się czerwonej wskazówce skanera. Drżała w pomarańczowej strefie skali, kiedy przesuwiał różdżkę nad rozbitą gablotką.

Urządzenie zaprojektowano w laboratoriach jądrowych w White Sands. Skanery Rad-X mogły wykrywać bardzo słabe promieniowanie, te zaś konkretne urządzenia zostały skalibrowane specjalnie do wykrywania charakterystycznej sygnatury rozpadu powstałego w wyniku anihilacji antimaterii. Kiedy atom materii zderza się z atomem antimaterii i anihiluje, wyzwala się czysta energia. I właśnie do „wywężania” tego skalibrowano ich detektory.

- Mam tu szczególnie silne promieniowanie! - zawołała doktor Novak.

Podszedł do niej. Coral Novak niedawno dołączyła do Sigmy, zwerbowana z CIA zaledwie trzy lata temu, niemniej w tym krótkim czasie zdążyła zrobić doktorat z fizyki jądrowej i miała czarny pas w sześciu dyscyplinach sztuk walki. Jej iloraz inteligencji przekraczał skalę i dysponowała niemal encyklopedyczną wiedzą z wielu dziedzin.

Painter oczywiście o niej słyszał, a nawet poznał kiedyś na spotkaniu wydziału, ale żeby poznać się lepiej, mieli tylko tyle czasu, ile trwał lot z Waszyngtonu do Londynu. O wiele za mało dla osób pełnych rezerwy. Painter nie mógł się powstrzymać od porównywania jej z Cassandra, co tylko potęgowało jego zdystansowanie. Podobieństwa między nimi uruchamiały podejrzenia. Podczas gdy różnice prowokowały go do podważania jej kompetencji. To nie miało sensu. Wiedział o tym. Tylko czas może to zweryfikować.

Kiedy stanął obok, wskazała różdżką na stopioną urnę z brązu.

- Komandorze, lepiej niech pan sprawdzi, co znalazłam. Mam odczyt na końcu czerwonego odcinka skali.

Painter potwierdził to na swoim skanerze. Zdecydowanie dużo.

Coral przyklękła na jedno kolano. Obejrzała urnę, ostrożnie ją obracając. We wnętrzu coś zagrzecotało. Spojrzała na Paintera

Skinął głową. Sięgnęła do wylotu urny, szukała przez chwilę, po czym wyjęła kawałek skały wielkości napałka. Przetoczyła go na dłoni. Jedna strona poczerniała od wybuchu, reszta była czerwona metaliczna. Nie skała... żelazo.

- Kawałek meteorytu - orzekła Carol. Painter wykonał skan i odczyt potwierdził, że właśnie to było źródłem silnego promieniowania. - Patrz na odczyty pomocnicze. Oprócz bozonów Z i gluonów na tle promieniowania gamma, jak należało oczekiwać przy anihilacji antymaterii, ta próbka emituje słabe promieniowanie alfa i beta.

Painter zmarszczył czoło. Nie był najmocniejszy z fizyki. Coral umieściła znalezisko w ołowianym pojemniku.

- Wzór promieniowania taki sam jak podczas rozpadu uranu.

- Uranu? Takiego jak ten z urządzeń nuklearnych?

Skinęła głową.

- Nieoczystzonego. Być może kilka atomów złapanych w pułapkę meteorytowego żelaza. - Nadal analizowała odczyty. Jej czoło przecięła pojedyncza zmarszczka, było to bardzo ekspresyjne, jak na tak spokojną kobietę.

- Co to jest? - zapytał Painter.

Coral wpatrywała się w ekran skanera.

- Tu, po lewej, przeglądam wyniki badań DARPA. Coś mnie zaniepokoiło w ich teoriach na temat antymaterii w stabilnej formie zamkniętej w meteorycie.

- Uważasz, że to niezbyt możliwe?

- Z pewnością było to naciąganie prawdy. Antymateria zawsze i natychmiast ulegała anihilacji w kontakcie z dowolną formą materii, nawet z tlenem w powietrzu. Jak mogłaby przetrwać tutaj?

Coral wzruszyła ramionami, nie podnosząc wzroku.

- Nawet jeśli przyjąłabym taką teorię, pozostaje kwestia, dlaczego antymateria wybuchła akurat wtedy. Dlaczego właśnie ta burza elektryczna spowodowała zapłon? Czysty przypadek? A może było coś jeszcze?

- Na przykład co?

Wskazała skaner.

- Rozpad uranu. Działa jak zegarek. Uwalnia energię przez tysiąclecia w ustalony, przewidywalny sposób. Może jakiś krytyczny próg promieniowania uranu spowodował, że antymateria zaczęła się destabilizować. Właśnie ta niestabilność pozwoliła na to, by wstrząs wyładowania elektrycznego zainicjował wybuch.

- Coś jak czasowy zapalnik w bombie.

- Nuklearny zapalnik czasowy. Nastawiony tysiące lat temu. Niepokojąca myśl.

Czoło Coral nadal przecinała zmarszczka. Wyłonił się kolejny problem.

- Jeszcze coś? - zaniepokoił się Crowe.

Przysiadła na piętach i po raz pierwszy spojrzała wprost na niego.

- Jeśli jest jakieś inne źródło tej antymaterii, jakieś złoże macierzyste, może ono także ulega destabilizacji. Jeśli w ogóle mamy mieć nadzieję na znalezienie go, lepiej się nie ociągajmy. Taki sam zegar elektroniczny może już odliczać czas do eksplozji.

Painter wpatrzył się w ołowiany pojemnik.

- A jeśli nie znajdziemy tego złoza, stracimy wszelkie szanse na odkrycie tego nowego źródła energii.

- Albo jeszcze gorzej. - Coral przesunęła wzrokiem po wypalonych ścianach galerii. - To może się zdarzyć na dużo większą skalę.

Painter oswajał się z tą konstatacją.

W ciężkiej ciszy zabrzmiało szuranie kroków zbliżających się od strony schodów. Odwrócił się. Usłyszeli stłumiony głos. Doktor al-Maaz.

Painter przeszyło ukłucie niepokoju. Dlaczego ta kobieta wróciła?

Usłyszał mocniejszy głos, rozkazujący.

- Twoje biuro. Prowadź.

Działo się coś złego. Przypomniał sobie los dwojga funkcjonariuszy Biura Badań zastrzelonych w pokoju hotelowym. Odwrócił się do Coral. Jej oczy się zwęziły.

- Broń? - wyszeptał. Nie mieli czasu na zorganizowanie sobie broni, w Wielkiej Brytani zawsze był z tym kłopot. Coral schyliła się i podciągnęła nogawkę kombinezonu, odsłaniając pochwę z nożem. Painter nie miał pojęcia, że nosi coś takiego. Przylecieli zwykłym rejonowym lotem, by nie wzbudzać podejrzeń. Musiała ukryć nóż w sprawdzonym bagażu, a potem założyć w łazience na lotnisku Heathrow.

Wyjęła kilkunastocentymetrowy nóż z żelaza i tytanu, na oko niemiecki, i podała Painterowi.

- Weź go... - Lecz on zamiast noża ze stosu narzędzi zostawionych przez zespół sprzątający wziął łopatę z długim trzonkiem.

Kroki zbliżyły się do wylotu schodów. Painter pomyślał, że może to ochrona muzeum, ale nie miał zamiaru ryzykować.

Zasygnalizował Coral swój plan, po czym wyłączył lampę na statywie. Wejście pograżyło się w półmroku. Zajęli pozycje po obu stronach drzwi wiodących do zniszczonego skrzydła. Stanowisko Paintera było bliżej klatki schodowej, za stosem drewnianych palet. Mógł patrzeć przez szpary, pozostając w cieniu. Po przeciwnej stronie Coral skuliła się za trzema marmurowymi cokołami.

Painter uniósł rękę. „Na mój znak”.

Obserwował wylot klatki schodowej. Nie musiał długo czekać. Przez wejście szybko prześlizgnęła się ciemna postać i stanęła pod ścianą - zamaskowany mężczyzna z karabinem szturmowym uniesionym na wysokość ramienia.

Z całą pewnością to nikt z ochrony muzeum.

Ilu ich jest?

Pojawiła się druga postać, podobnie ubrana i uzbrojona. Przeszukali hol. Słysząc było jedynie grzechot wentylatorów. Trzeci mężczyzna trzymał Safię al-Maaz za łokieć, wciskając jej pistolet w zębra.

Po bladej twarzy Safii spływały łzy. Drżała. Zachłystując się, walczyła o oddech.

- To jest... jest w sejfie w moim biurze. - Wolną ręką pokazała w głąb korytarza.

Painter cofnął się powoli, nawiązał kontakt wzrokowy z Coral i dał znak, ta zaś potwierdziła kiwnięciem głowy, szybko zmieniając pozycję.

Safia rzuciła okiem na wejście do Galerii Kensington. Oczywiście wie, że Amerykanie nadal tam są. Czy niechęć wyda ich słowem lub gestem?

Zwolniła i podniosła głos:

- Proszę... nie zabijacie mnie!

Mężczyzna pchnął ją do przodu.

- To rób, co mówię! - warknął.

Safia potknęła się i zachwiała, ale nie upadła. Znow spojrzała na wejście do galerii, podczas gdy Amerykanie zbliżali się bezszelestnie.

Painter uświadomił sobie, że ten pełen przerażenia okrzyk miał ich ostrzec i pozwolić im się ukryć, jego szacunek do Safii jeszcze wzrósł.

Obok kryjówki Paintera prześlizgnęło się dwóch mężczyzn z karabinami gotowymi do strzału. Omietli lufami wnętrze galerii. Niczego nie odkrywając, ruszyli korytarzem.

Kilka metrów za nimi trzeci napastnik ciągnął Safię al-Maaz. Znow zerknęła w głąb galerii. Painter zauważył błysk ulgi, gdy zobaczyła, że najbliższe pomieszczenie jest puste.

Mężczyźni minęli Paintera i Coral. Painter dał znak: już!

Coral wyskoczyła zza cokołów, przetoczyła się w głąb korytarza i wylądowała skulona między dwoma napastnikami i tym, który trzymał Safię.

Jej nagłe pojawienie się zaskoczyło go. Przestał mierzyć do Safii. To ucieszyło Paintera. Nie chciał, żeby ją przypadkiem postrzelono. Painter wyslizgnął się z cienia i zamachnął łopatą. Głowa mężczyzny odskoczyła w bok, trzasnęła kość. Upadł, pociągając za sobą Safię.

- Zostań tam - rzucił Painter, biegnąc na pomoc Coral.

Nie było to konieczne.

Coral kopnęła właśnie w kolano jednego z mężczyzn, co zważyło go z nóg. Jednocześnie drugą ręką z oszołamiącą precyzją cisnęła nóż, trafiając drugiego w podstawę czaszki i przerywając rdzeń kręgowy. Odwróciła się z gracją, jak gimnastyczka, i obcas jej buta trafił pierwszego w twarz, gdy próbował wstać.

Jego głowa odskoczyła w tył, potem odbiła w przód, uderzając w marmurową posadzkę.

Przetoczyła się nad nim, gotowa walczyć dalej, ale już stracił przytomność. Mimo to zachowała ostrożność. Drugi napastnik leżał, skręcony, twarzą do ziemi. Wokół niego powiększała się kałuża krwi.

Safia próbowała wydostać się spod martwego mężczyzny. Painter podszedł, żeby jej pomóc.

- Jest pani ranna?

Usiadła, szybko odsuwając się od trupa i Paintera.

- Nie... nie wydaje mi się. - Jej wzrok błędził po sali, nie zatrzymując się. - O Boże, Ryan. Zastrzelili go... przy drzwiach na dole - jęknęła.

Painter spojrzał na klatkę schodową.

- Są tam jeszcze jacyś uzbrojeni napastnicy?

Safia pokręciła głową, miała szeroko otwarte oczy.

- Ja... ja nie wiem.

- Doktor al-Maaz - powiedział stanowczo, starając się przyciągnąć jej uwagę - proszę posłuchać. Czy był tam ktoś jeszcze?

Kilka razy głęboko odetchnęła, na jej twarzy malował się strach. Wstrząsnął nią dreszcz, ale odezwała się bardziej pewnie:

- Nie na dole. Ale Ryan...

- Zejdę i sprawdzę. - Painter zwrócił się do Coral: - Zostań z doktor al-Maaz. Sprawdź dół i ściągnę ochronę.

Podniósł pistolet napastnika, walera P38. Sam by takiego nie wybrał, wolał glocka, teraz jednak nawet ten doskonale pasował do ręki.

Coral wyciągnęła ze stosu śmieci kawałek linki, żeby związać mężczyznę, który przeżył.

- Co mam jej powiedzieć? - spytała szeptem, zerkając na Safię.

- Po prostu jesteśmy bardzo zaskakującymi naukowcami - odrzekł Painter. - Innymi słowy, trzymamy się prawdy.

Kiedy się odwracała, w jej oczach błysnęła iskierka rozbawienia.

Painter ruszył w stronę schodów. Mógłby pracować z taką partnerką. Safia obserwowowała go uważnie. Poruszał się tak cicho, jakby ślizgał się po lodzie. Kim on jest?

Chrząknięcie sprawiło, że odwróciła głowę, by spojrzeć na kobietę. Klęczała na plecach mężczyzny i wykręciła mu ręce. Sprawnie związała linką jego kończyny. Albo miała wprawę w wiązaniu cieląt na rodeo, albo też było to coś więcej niż zwykła sprawność fizyczna. Ciekawość Safii nie sięgała jednak poza tę konstatację.

Skupiła się na oddechu. Zdawało jej się, że w powietrzu nadal brakuje tlenu, mimo pracy wentylatorów. Pot spływał jej po czole i plecach.

Siedziała pod ścianą, kolana podciągnęła pod brodę i objęła je ramionami. Z trudem powstrzymywała się, żeby nie zacząć się kołysać. Nie chciała wyglądać na aż taką wariatkę. Odwróciła też wzrok od ciała. Zaraz zjawi się ochrona z pałkami, latarkami - to ją uspokoi.

Korytarz jednak pozostawał zbyt pusty, zbyt ciemny, zbyt wilgotny. Zauważyła, że jej wzrok błądzi po wylocie klatki schodowej. Ryan... Napad znów rozgrywał się w jej umyśle, przewijał się niczym krwawy film, tyle że w ciszy. Szukali żelaznego serca, jej odkrycia, tego, z czego była taka dumna. Ryan zginął z tego powodu. Przez nią.

Tylko nie znowu...

Zaszlochała. Starła się opanować, ale zaczęła się dławić.

- Nic pani nie jest? - spytała kobieta, stając obok Safii. - Safia skuliła się, drżąc.

- Jest pani bezpieczna. Doktor Crowe sprowadzi ochronę. Może przyniosę coś... - głos kobiety zamarł.

Safia podniosła głowę. Kobieta stała o krok od niej, wyprostowana, sztywna, rozpostarła ramiona, głowę odchyliła do tyłu. Drżała od stóp do głów. Jakiś atak?

Safia, na czworakach, zaczęła pełznąć ku schodom. Co się dzieje?

Kobieta nagle zwiotczała, zapadła się w sobie i runęła na podłogę. W mroku holu iskrzyły się niewielkie błękitne płomyki u podstawy kręgosłupa Coral. Z ubrania unosił się dym. Leżała bez ruchu.

Bez sensu.

Kiedy jednak płomyki zgasły, Safia dostrzegła cienki drucik. Biegł od ciała Coral do postaci stojącej trzy metry dalej w głębi korytarza.

Kolejny uzbrojony napastnik.

Trzymał w ręku dziwny pistolet. Safia już kiedyś widziała takie urządzenie. Na filmie, nigdy w prawdziwym życiu. Paralizator, cichy sposób na obezwładnienie.

Cofała się, obcasy z trudem łapały tarcie na śliskim marmurze. Przypomniała sobie, jak się bała, gdy wychodziła z gabinetu. Miała wrażenie, że coś usłyszała, że widziała błysk w galerii bizantyjskiej. Więc nie była to gra jej wyobraźni.

Człowiek odrzucił rozładowany paralizator i podążył za Safią

Udało jej się wstać dzięki adrenalinie i panice. Klatka schodowa była na wprost. Jeśli do niej dobiegnie, dostanie się do obszaru kontrolowanego przez ochronę...

Coś uderzyło w marmur tuż obok jej stopy. Zaszyczało i wypluło niebieskie iskry. Drugi paralizator.

Odskoczyła i pobiegła do klatki schodowej. Zresetowanie paralizatora powinno zająć kilka sekund... chyba... chyba że napastnik ma trzecie urządzenie. Kiedy dotarła do schodów, spodziewała się, że trafi ją w plecy błyskawica. Lub zwykła kula.

Nic takiego się nie stało. Wypadła w klatkę schodową.

Powitały ją krzyki dobiegające z dołu. Rozległ się wystrzał.

Działając instynktownie, Safia pobiegła na górę. Nie myślała o niczym, uciekała. Przeskakiwała po dwa stopnie naraz. Trzeciej kondygnacji w tej części muzeum nie było.

Schody wiodły na dach.

Złapawszy się poręczy, minęła pierwszy zakręt. Za następnym pojawiły się drzwi. Wyjście awaryjne. Zablokowane od zewnątrz, powinno samoczynnie otworzyć się od środka. Włączy się alarm, ale w tej sytuacji to dobrze. Modliła się, żeby drzwi nie były zablokowane. Usłyszała zbliżające się kroki.

Rzuciła się do drzwi.

Zamknięte.

Szlochając, uderzyła w stal. Nie...

Painter uniósł ręce, walter P38 leżał u jego stóp. Kula otarła się o jego policzek, poczuł gorąco, tylko dzięki unikowi i przetoczeniu się uniknął trafienia.

Kłęcząc nad ciałem Fleminga leżącym koło drzwi. Wpadło trzech ochroniarzy, zrobiło się zamieszanie, rozmawiał z nimi i ani się obejrzał, rzucił broń i podniósł ręce do góry.

- Doktor al-Maaz została zaatakowana! - krzyknął do strażnika z bronią. Drugi oglądał ciało, a trzeci mówił coś do radiotelefonu. - Pan Fleming został postrzelony, kiedy ją porywano. Moja partnerka i ja zdołaliśmy ich unieszkodliwić na górze.

Strażnik trzymający broń nie zareagował. Celował w Paintera. Po jego czole spływał pot.

Ochroniarz powiedział do radiotelefonu:

- Mamy go zabezpieczyć do przyjazdu policji. Są w drodze.

Painter zerknął na schody. Wystrzał musiał być słyszany na górze. Czy to wystarczy, by Coral i Safia się ukryły?

- Hej, ty - odezwał się ten z bronią - ręce na głowę. Idziesz tędy.

Machnął pistoletem w stronę korytarza. To była jedyna broń palna, jaką mieli strażnicy, a jej posiadacz zdawał się z nią kiepsko obznajomiony. Trzymał ją za nisko, zbyt nonszalancko. Wybuch zdenerwował wszystkich, stali się przeczuleni.

Painter splótł palce na głowie i odwrócił się we wskazanym kierunku. Musi odzyskać panowanie nad sytuacją. Zbliżył się do niedoświadczonego strażnika. Przeniósł ciężar ciała na prawą nogę. Strażnik przez pół sekundy na niego nie patrzył. To mnóstwo czasu. Painter lewą stopą kopnął go w przegub.

Pistolet zaklekotał na podłodze.

Painter podniósł go szybko i wycelował w oszołomionych ochroniarzy.

- Zrobimy po mojemu.

Zrozpaczona Safia ponownie szarpnęła klamkę drzwi prowadzących na dach. Bez rezultatu. Uderzyła pięścią w klamkę. Nagle spostrzegła klawiaturę na ścianie obok. Stary typ. Żaden elektroniczny skaner na karty. Trzeba było znać kod. Panika brzęczała jej w uszach jak komar.

Każdy pracownik miał przydzielony kod i mógł go sobie zmienić według woli. Kod stanowiła data urodzin pracownika, Safii nigdy nie chciało się go zmienić.

Stukot butów przywrócił ją do rzeczywistości.

Napastnik wyłonił się zza niższego ciągu schodów i stanął na podeście. Patrzyli na siebie. Tym razem trzymał w dłoni pistolet, nie paralizator. Stojąc plecami do drzwi, Safia wymacała palcami klawiaturę

Wstukwała datę swoich urodzin. Po latach pracy w muzeum była przyzwyczajona do wystukiwania cyfr na kalkulatorze.

Znów pchnęła drzwi.

Szczęknięto, ale drzwi ani drgnęły.

- Ślepy zaułek - powiedział napastnik stłumionym głosem. - Złaź lub zgiń.

Przywierając do drzwi, Safia uświadomiła sobie pomyłkę. Po zmianie tysiąclecia sieć zabezpieczeń została odnowiona. Rok to już nie były dwie cyfry, lecz cztery.

Rozprostowując palce, szybko wystukała osiem cyfr: dwa - dzień, dwa - miesiąc i cztery - rok urodzin.

Zamaskowana postać zrobiła krok w jej kierunku.

Safia napała na drzwi. Ustąpiły. Owionęło ją zimne powietrze, kiedy się potknęła i upadła. Kula odbiła się od stalowych drzwi. Zdesperowana Safia pchnęła je, zamknęła z hukiem, uderzając w twarz zamaskowanego prześladowcę, gdy ten rzucił się za nią.

Nie czekała, niepewna, czy drzwi same się zablokują, i uciekła za róg. Noc była zbyt jasna. Gdzie się podziewa londyńska mgła, kiedy jest tak potrzebna? Rozejrzała się za kryjówką.

Niektóre metalowe elementy wystające z dachu dawały pewne schronienie: kominy wentylacyjne, wyloty klimatyzacji, obudowy przewodów elektrycznych. Było ich jednak mało i zapewniały niewielką osłonę.

Tuż za nią rozległ się stłumiony strzał. Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Safia rzuciła się za niski murek, obrysowujący skraj szklano-stalowego dachu Wielkiego Dziedzińca.

Jej stopy spoczywały na metalowym obramowaniu dachu w kształcie kopuły. Rozciągała się przed nią połać szkła, podzielona na panele. Kilku brakowało wskutek wybuchu, otwory zostały zatkałe folią. Pozostałe lśniły w świetle gwiazd niczym lustra, wszystkie skierowane ku środkowi, gdzie jasna miedziana kopuła dachu Round Reading Room wyrastała z dziedzińca niczym wyspa na morzu szkła.

Safia kulila się, wiedząc, że jest widoczna.

Jeśli prześladowca zajrzy za murek, nie będzie ucieczki.

Kroki szurały po zwirowanym dachu. Krążyły, zatrzymały się na dłuższy moment, potem znów ruszały. Wreszcie skierują się i tutaj.

Nie miała wyboru. Wpełzła na dach jak krab, modląc się, by szklane panele ją utrzymały. Upadek ze stu dwudziestu metrów na twardy marmur dziedzińca okazałby się równie śmiertelny jak pocisk w głowie.

Gdyby tylko udało jej się dotrzeć do kopulastej wyspy czytelnicy, schować się za nią...

Jeden z paneli pod kolanem Safii trzasnął jak kruchy lód. Zapewne osłabił go wybuch. Przetoczyła się w bok, kiedy pękł i odpadł od stalowej ramy. Chwilę później rozległ się odgłos szkła uderzającego o marmur.

Safia kulila się w połowie drogi przez rozległy dach, jak mucha złapana w sieć. Pająk niewątpliwie nadchodził, przyciągnięty hałasem.

Musi się schować, znaleźć dziurę, do której mogłaby wpełznąć.

Popatrzyła w prawo.

Przetoczyła się z powrotem ku ramie po rozbitym panelu, wsunęła nogi w otwór i zaczęła się czołgać. Kiedy jej palce chwyciły metal ramy, zawisła na rękach nad studwudziestometrową przepaścią.

Obróciła się, twarzą do kryjówki za murkiem. Za szkłem rozświetlona gwiazdami noc była czysta i jasna. Patrzyła na prześladowcę, jak pochyla się nad murkiem, przeszukując wzrokiem dach.

Safia wstrzymała oddech. Dach jak lustro odbijał padające z zewnątrz światło. Powinna być niewidoczna. Bolały ją mięśnie rąk, a stal wpijała się w palce. Musi mieć jeszcze siłę, żeby podciągnąć się z powrotem.

Popatrzyła w dół. Za wysoko. Jedyne światło pochodziło z jarzących się czerwono lamp awaryjnych na ścianach. Dostrzegła jednak rozbite szkło panelu. To samo czeka jej kości, jeśli spadnie. Palce zacisnęły się mocniej, serce zaczęło bić szybciej.

Popatrzyła w górę. Prześladowca przechodził przez murek. Co on robi? Ruszył po dachu, stawiając stopy na ramach. Szedł prosto na nią. Skąd wie? Nagle zrozumiała. Zauważyła plastikowe płachty zatykające dziury po szybach. Wyglądały jak dziury po zębach szpecące jasny uśmiech. Tylko jedno takie miejsce pozostawało niezakryte. Prześladowca musiał domyślić się, że jego ofiara tam jest, i chciał zyskać pewność. Poruszał się płynnie, inaczej niż Safia, która pełzała rozpaczliwie. Zbliżał się do jej kryjówki z pistoletem w dłoni.

Co może zrobić? Nie ma dokąd uciec. Zastanowiła się nad puszczeniem ramy. Przynajmniej sama wybierze rodzaj śmierci. Jej oczy wypełniły się łzami. Palce bolały. Wystarczy się puścić. Palce jednak nie chciały się rozchylić. Zaciskała je panika. Safia nadal wisiała, kiedy prześladowca doszedł do ostatniego panelu.

Kiedy ją dostrzegł, zaskoczony cofnął się o krok.

Safia usłyszała cichy, ponury śmiech.

W tej samej chwili uświadomiła sobie swoją pomyłkę.

Pistolet był wycelowany w jej czoło.

- Podaj mi kombinację...

Huknął wystrzał. Szkło pękło.

Safia krzyknęła i zawisła na jednej ręce. Ból przeszywał wykręcone ramię i palec. Właśnie wtedy dostrzegła strzelca stojącego na dziedzińcu. Znajoma postać. Amerykanin.

Stał z szeroko rozstawionymi nogami i mierzył w nią.

Spojrzała w górę.

Szklany panel, na którym stał napastnik, pękł na tysiąc kawałków, które trzymały się razem tylko dzięki zabezpieczającemu pokryciu. Potknął się, zaczął machać rękami i upuścił pistolet. Ciężko spadł na strzaskany panel. Broń poleciała w dół, na dziedziniec.

Napastnik wstał i ruszył w stronę murku.

Amerykanin na dole strzelał raz za razem, niszcząc panele, podążając za uciekinierem. Ten jednak zawsze wyprzedzał go o krok. Wreszcie dotarł do murku i zniknął za nim.

Amerykanin głośno zaklął. Pospieszył z powrotem pod miejsce, nad którym na jednej ręce, jak nietoperz na krokwi, wisiała Safia. Tyle że ona nie miała skrzydeł.

Walczyła, by złapać ramę drugą ręką. Wreszcie jej się to udało.

- Da pani radę się utrzymać?! - krzyknął.

- Chyba nie mam wyboru!

- Jeśli się pani rozbija, może uda się pani zaczepić nogami o sąsiednią ramę.

Zestrzelił panel obok, zostawiając wolną ramę. Wzięła głęboki wdech, po czym z cichym okrzykiem rozbijała się, zgięła nogi w kolanach i zaczepiła je o metalową listwę.

Ból w rękach natychmiast osłabł, gdy ciężar ciała przejęły także nogi. Musiała bardzo się starać, by nie zapłakać z ulgi.

- Ochrona już do pani idzie! - krzyknął Painter.

Żeby zająć czymś myśli, zapytała:

- Pańska partnerka... czy ona...?

- W porządku. Zniszczyła sobie ładną bluzkę, ale nic jej się nie stało.

Safia zamknęła z ulgą oczy. Bogu dzięki... Nie zniosłaby jeszcze jednej śmierci. Nie po Ryanie. Odetchnęła głęboko kilka razy.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał Amerykanin.

- Tak. Ale, doktorze Crowe...

- Proszę mi mówić Painter... Chyba już przeszliśmy przez formalności.

- Po raz drugi dzisiejszej nocy uratowałeś mi życie.

- Takie są korzyści, gdy jestem w okolicy. - Chociaż nie mogła go zobaczyć, wyobraziła sobie jego ironiczny uśmiech.

- To nie jest śmieszne.

- Później będzie. - Podeszedł i podniósł pistolet złodzieja. To Safii o czymś przypomniało.

- Ten ktoś, do kogo strzelałeś, to była kobieta.

- Wiem... - powiedział, oglądając broń, którą trzymał w ręku.

Sig sauer 45 mm, z gumowaną rękojeścią Hogue'a. Niemożliwe... Kiedy go odwracał, wstrzymał oddech. Przycisk zwolnienia magazynka był po prawej - dla leworęcznych strzelców.

Znal tę broń. Znał strzelca.

Przyjrzał się ścieżce strzaskanego szkła.

Cassandra.

6

POWRÓT DO DOMU

2 GRUDNIA, 6.42 GMT

MIĘDZYNARODOWY PORT LOTNICZY HEATHROW

LONDYN, ANGLIA

Kara spotkała się z nim u stóp schodów wiodących do otwartych drzwi learjeta. Stała w nich i palcem wskazywała powód swego gniewu, mówiąc ostro:

- Chcę, żeby było jasne, doktorze Crowe, że od chwili postawienia stopy na pokładzie tego samolotu nie ma pan żadnej władzy. Udało się panu jakoś wkręcić do tej ekspedycji, ale ja na pewno pana nie zapraszałam.

- Poznałem to po ciepłym przyjęciu zgotowanym przez waszych prawników korporacyjnych - odrzekł Amerykanin, poprawiając worek na ramieniu. - Kto by przypuszczał, że tyle garniturów będzie aż tak walczyć.

- Niewiele to dało. Nadal pan tu jest.

Posłał jej w odpowiedzi krzywy uśmiech i wzruszył ramionami. Nie przedstawił żadnego wytłumaczenia, dlaczego rząd Stanów Zjednoczonych chciał, żeby on i jego partnerka wzięli udział w ekspedycji w Omanie. Pojawiły się jednak nieprzewidywane przeszkody: finansowe, prawne, a nawet dyplomatyczne. A całość skomplikował jeszcze massmedialny szum wokół próby kradzieży serca.

Kara zawsze uważała swoje wpływy za znaczące, nic one jednak dały w obliczu nacisku wywieranego przez Waszyngton. Stany Zjednoczone prowadziły w Omanie poważne interesy. Spędziła trzy tygodnie, starając się znaleźć sposób ominięcia przeszkód ale ekspedycja wciąż nie wyruszała, więc Kara dała za wygraną.

Nie oznaczało to jednak, że nie postawiła warunków.

- Od tej pory będziecie pod naszym kierownictwem - powiedziała twardo.

- Zrozumiano.

To słowo zirytowało Karę jeszcze bardziej. Ale nie miała wyboru, odsunęła się od drzwi.

Painter jednak nie ruszył się z miejsca.

- Nie musi tak być - rzekł. - Nasze cele nie są sprzeczne, lady Kensington. Wszyscy szukamy tego samego.

Ściągnęła brwi.

- Czego mianowicie?

- Odpowiedzi... rozwiązania zagadki. - Patrzył na nią błękitnymi oczami, przenikliwymi, ale nie zimnymi. Stwierdziła, że jest przystojny. Nie miał urody modela, był nonszalancko męski. Włosy dłuższe, na policzkach cień zarostu mimo szóstej rano. Czula jego wodę po goleniu - piżmo. A może to jego własny zapach?

Kara odezwała się beznamiętnie:

- A jakąż to zagadkę chce pan rozwiązać, doktorze Crowe?

Nawet nie mrugnął.

- Mógłbym zapytać o to samo, lady Kensington. Z całą pewnością to coś więcej niż tylko akademickie zainteresowanie starymi grobami.

Oczy Kary rozbłysły. Prezesi wielonarodowych korporacji nie odpowiadają na takie pytania. Painter Crowe trwał nieporuszony. Wreszcie wszedł do samolotu.

- Wygląda na to, że oboje mamy sekrety, które chcemy zachować dla siebie... przynajmniej na razie - rzucił jeszcze.

Jego partnerka, doktor Coral Novak, weszła za nim. Wysoka, silna, w wygodnym szarym kostiumie. Niosła worek z rzeczami osobistymi. Walizki i sprzęt naukowców załadowano wcześniej do luku bagażowego. Jej oczy zbadały wnętrze odrzutowca.

Kara patrzyła na nich z niezadowoloną miną. Chociaż przedstawili się jako fizycy wynajęci przez rząd Stanów Zjednoczonych, rozpoznała w nich wojskowych: zylasta atletyczność, twardy wzrok, starannie zaprasowane kanty spodni. Poruszali się swobodnie.

Jedno szło z przodu, drugie pilnowało tyłów. Zapewne nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. No i trzeba było zastanowić się nad walką w muzeum. Kara poznała dokładną relację: zamordowanie Ryana Fleminga, próba kradzieży żelaznego serca. Gdyby nie interwencja tej pary, wszystko byłoby stracone. Kara została dłużniczką doktora Crowe'a. I to nie tylko dlatego, że udaremnił kradzież serca. Popatrzyła na terminal, którego drzwi właśnie się otworzyły.

Safia spieszyła ku learowi, ciągnąc walizkę na kółkach. Gdyby w muzeum nie było tej dwójki, jej przyjaciółka z pewnością by nie żyła.

Przerażenie i szok sprawiły, że w Safii coś pękło. Zgodziła się wziąć udział w ekspedycji, nie chciała jednak powiedzieć dlaczego. Jedyne wyjaśnienie brzmiało sucho: „To już nie ma znaczenia”.

Safia dotarła do odrzutowca.

- Jestem ostatnia?

- Wszyscy są już na pokładzie. - Kara sięgnęła po jej walizkę.

Safia wcisnęła wysuwaną rączkę i podniosła ją.

- Sama wezmę.

Kara się nie spierała. Wiedziała, co jest w środku - żelazne serce, umieszczone w gumowanym kokonie. Safia nie pozwalała nikomu się do niego zbliżać, jakby to było brzemie, które musi dźwigać sama. Dług krwi był tylko jej - jej odkrycie, jej odpowiedzialność.

Poczucie winy ciążyło Safii jak kamień. Ryan Fleming był jej przyjacielem. Widziała, jak go zamordowano. Wszystko dla kawałka żelaza, który znalazła.

Kara westchnęła, kiedy Safia ją mijała.

Znów Tel Awiw.

Wtedy nikt nie potrafił pocieszyć Safii... Teraz też nie było inaczej.

Kara po raz ostatni spojrzała na dalekie zamglone wzgórza Londynu. Zastanowiła się, czy żal jej stąd wyjeżdżać. Jednak wszystko, co znalazła w swym sercu, to piasek. Tutaj nie miała Prawdziwego domu. Nigdy.

Odwróciła się plecami do Londynu i weszła do samolotu.

Umundurowany mężczyzna wychylił się zza drzwi kokpitu.

- Proszę pani, mamy zgodę z wieży. Ruszamy na pani rozkaz. - Skinęła głową.

- Doskonale, Beniaminie.

Weszła do głównej kabiny. Leara dostosowano do jej potrzeb. Wnętrze, urządzone w skórze i drewnie orzechowym z wyraźnymi słojami, mieściło cztery grupy intymnych

siedzisk. Długi mahoniowy bar, antyk z Liverpoolu, stał z tyłu kabiny. Za nim przesuwne drzwi prowadziły do prywatnych pomieszczeń Kary, gabinetu i sypialni.

Pozwoliła sobie na uśmiech zadowolenia na widok uniesionej brwi Paintera Crowe'a, kiedy ten oglądał wnętrze odrzutowca. Najwyraźniej nie przywykł do takich luksusów z pensją fizyka, nawet z rządowymi dodatkami. Pokładowy kamerdyner podał mu szklanekę. Wyglądało to na wodę sodową z lodem, który zadzwęczał, gdy Painter się odwracał.

- Cóż to... nie ma orzeszków w miodzie? - burknął, kiedy ją mijał. - Myślałem, że polecimy pierwszą klasą.

Uśmiech Kary zamarł, gdy podszedł i zajął miejsce obok doktor Novak. Impertynencki gnojek...

Wszyscy zaczęli się mościć na swoich miejscach, gdy pilot zapowiadał start. Safia usiadła osobno. Clay Bishop już zapiął pasy i przykleił nos do okna po przeciwnej stronie kabiny. Na uszach miał słuchawki podłączone do iPod'a, stracony dla otoczenia.

Widząc, że wszystko jest gotowe, Kara podeszła do baru. Jej zwyczajowy drink już czekał, kieliszek chardonnay. Pochodziło z St Sebastian, francuskiej winnicy. Pierwszy łyk wypła rankiem w dniu swych szesnastych urodzin, w dniu polowania. Od tej pory każdego ranka wznosiła toast za ojca. Zakręciła winem w kieliszku, wdychając cierpki bukiet ze śladem brzoskwini i dębu. Nawet po upływie tylu lat ta woń natychmiast przeniosła ją do tamtego jakże obiecującego poranka. Znowu słyszała śmiech ojca, postękiwania wielbłądów w oddali, szept wiatru podczas wschodu słońca.

A teraz tak blisko... po tylu latach...

Piła powoli, zagłuszając uporczywą suchość w ustach. Kręciło jej się w głowie po dwóch pigułkach wziętych po obudzeniu się dwie godziny temu. Palce trzymające kieliszek drżały. Nie należy mieszać alkoholu z lekarstwem na receptę. Tyle że to tylko jeden kieliszek chardonnay. Była to winna ojcu.

Odstawiła kieliszek i zobaczyła, że Safia się jej przygląda. Jej twarz była bez wyrazu, ale oczy jarzyły się przejęciem. Podchwyciła jej spojrzenie, wytrzymała, bez mrugnięcia. To Safia przerwała kontakt i popatrzyła w okno.

Żadna nie znalazła słów, by dodać otuchy drugiej. Już nie...

Pustynia zabrała część ich życia, część ich serc. I tylko na pustyni będzie można to wszystko odzyskać.

11.42

MASKAT, OMAN

Omaha wypadł przez drzwi Ministerstwa Dziedzictwa Narodowego. Wracające skrzydło niemal trafiło w twarz podążającego za nim brata.

- Omaha, uspokój się...

- Cholerni biurokraci... - ciągnął tyradę na ulicy. - Żeby tu wytrzeć tyłek, musisz mieć jakieś pieprzone zezwolenie.

- Dostałeś, co chciałeś - powiedział Danny uspokajająco.

- Zajęło to cały cholerny ranek. I jedynym powodem, że dostaliśmy zgodę na przewóz benzyny terenówkami... cholernej benzyny!... było to, że ten skubany Adolf bin Dupek chciał zjeść swój pieprzony lunch!

- Uspokój się. - Danny złapał brata za łokieć i pociągnął do krawężnika. Ludzie zaczęli się za nimi oglądać.

- A samolot Safii... Kary, ląduje - Omaha spojrział na zegarek - za nieco ponad godzinę.

Danny pomachał na taksówkę. Biały mercedes sedan ruszył z pobliskiego postoju i podjechał do krawężnika. Danny otworzył drzwi i wepchnął brata do środka. Co za szczęście, klimatyzacja! W południe w Maskacie było już chyba ponad czterdzieści stopni Celsjusza.

Chłodne wnętrze taksówki złagodziło jego irytację. Omaha schylił się i postukał w pleksiglasową przegrodę.

- Na lotnisko Seeb - rzucił.

Kierowca skinął głową i włączył się do ruchu bez migacza, po prostu wcisnął się w południowy ścisk.

Omaha opadł na siedzenie obok brata.

- Nigdy nie widziałem, żebyś się aż tak denerwował - rzekł Danny.

- O czym ty gadasz? Zdenerwowany? Jestem wkurzony na maksa.

Danny patrzył przez okno.

- Jasne... pewnie to, że spotkasz się ze swoją byłą narzeczoną twarzą w twarz, wcale nie zdetonowało twojego zapalnika dziś rano.

- Safia nie ma z tym nic wspólnego.

- Aha...

- Nie mam powodu, żeby się denerwować.

- Wmawiaj to sobie dalej, Omaha.

- Zamknij się.

- Sam się zamknij.

Omaha pokręcił głową. Przez ostatnie dwa tygodnie obaj za mało spali. Istniało tysiąc i jeden szczegółów, których trzeba było dopilnować, żeby ekspedycja mogła ruszyć w tak krótkim terminie: zezwolenia, papierki, wynajęcie strażników, pracowników fizycznych, ciężarówek, zdobycie dostępu do bazy lotniczej w Tumraicie, kupowanie wody pitnej, paliwa, broni, soli, suchych toalet chemicznych, zwerbowanie personelu. Wszystko to spadło na barki braci Dunn.

Kłopoty w Londynie opóźniły przybycie Kary. Gdyby była na miejscu zgodnie z planem, wszystko szłoby znacznie sprawniej. W Omanie bardzo szanowano lady Kensington za jej filantropię w stylu Matki Teresy. W całym kraju na muzeach, szpitalach, szkołach i sierocińcach widniały tablice z jej nazwiskiem. Jej firma pomagała w pozyskaniu wielu lukratywnych kontraktów - ropa, minerały i świeża woda - tak dla kraju, jak dla jego ludu.

Jednak po wydarzeniach w muzeum Kara poprosiła braci o dyskrecję, jeśli chodzi o jej udział w ekspedycji. Mają mówić o tym tylko wtedy, gdy będzie to konieczne.

Tak więc Omaha łykał mnóstwo aspiryny.

Taksówka przejechała biznesową dzielnicę Maskatu i przeciskała się przez wąskie uliczki obramowanej kamiennymi murami Starówki. Powoli podążali za ciężarówką wiozącą choinki, płacząc igłami sypiącymi się z tyłu.

Choinki na Boże Narodzenie. W Omanie.

Tak wyglądało otwarcie tego kraju na Zachód - muzułmański lyaj świętujący narodziny Chrystusa. Wygląd Omanu mógłby zostać przypisany głowie monarchii, sułtanowi Qaboosowi bin Saidowi. Wykształcony w Anglii sułtan otworzył kraj szerzej na świat, dał ludziom prawa obywatelskie i zmodernizował infrastrukturę państwa.

Taksówkarz włączył radio. Z głośników popłynęła muzyka Bacha. Ulubiona muzyka sułtana. Dekretem królewskim w południe wolno było puszczać tylko muzykę klasyczną. Omaha zerknął na zegarek. Południe.

Spojrzał przez okno. Być królem, to musi być fajne.

- Chyba ktoś nas śledzi - stwierdził Danny.

Omaha spojrzał na brata, żeby sprawdzić, czy nie żartuje.

Danny patrzył przez ramię.

- Szare bmw, cztery wozy za nami.

- Jesteś pewny?
- Tak, to szare bmw - rzekł Danny z większym przekonaniem. Jako niedoszły yuppie, zafascynowany wszystkim, co produkują Niemcy, znalazł się na samochodach. - Zauważyłem ten samochód zaparkowany na ulicy pod naszym hotelem, potem przy wjeździe na parking przy Muzeum Historii Naturalnej.

Omaha zmrużył oczy.

- Może to zbieg okoliczności, ta sama marka, inny wóz.

- Pięćsetczterdziestka. Specjalne chromowane kołpaki. Przyciemnione szyby. Nawet...

- Dość tej gadki sprzedawcy. Wierzę ci - przerwał mu Omaha.

Skoro jednak są śledzeni, pozostaje jedno pytanie: dlaczego?

Przemknęło mu błyskawicznie wspomnienie rozlewu krwi w British Museum. Nawet tutaj pisały o tym gazety. Kara prosiła go, żeby zachował dyskrecję, załatwił wszystko po cichu. Pochylił się do przodu.

- Skręć w prawo - powiedział do kierowcy po arabsku, chcąc potwierdzić lub rozwiać wątpliwości, czy są śledzeni.

Kierowca zignorował go i jechał prosto.

Omaha nagle spanikował. Spróbował otworzyć drzwi. Zamknięte.

Minęli skręt na lotnisko. Z głośników leciał Bach. Znowu szarpnął klamkę. Cholera.

12.04

NAD MORZEM ŚRÓDZIEMNYM

Safia patrzyła na litery książki, ale ich nie widziała. W ciągu ostatniej pół godziny nie przewróciła ani jednej strony. Napięcie szarpało jej nerwy. Mięśnie ramion związały się w supły, a tępy ból głowy kłuł w zęby.

Popatrzyła na rozświetlony słońcem błękit nieba. Bezchmurnie. Wielkie niezamalowane płótno. Jakby zostawiała jedno życie i leciała ku nowemu.

I tak w wielu kwestiach istotnie było.

Porzucała Londyn, mieszkanie, kamienne mury British Museum, wszystko, co przez ostatnie dziesięć lat uważała za bezpieczne. Owo bezpieczeństwo jednak okazało się iluzoryczne, tak kruche, że rozpadło się w jedną noc.

Znowu krew splamiła jej rękę. Z powodu pracy.

Ryan.

Safia nie potrafiła wymazać z pamięci ulotnego błysku zaskoczenia w jego oczach, kiedy pocisk usuwał go z tego świata. Nawet całe tygodnie później wciąż czuła nieodpartą potrzebę mycia twarzy, niekiedy także w środku nocy. Szare mydło i zimna woda. Jednak nic nie było w stanie zmyć wspomnienia tej krwi.

I mimo tego, że Safia pojęła iluzoryczność swego bezpieczeństwa w Londynie, to miasto stało się jej domem. Miała przyjaciół, kolegów, ulubioną księgarnię, kino, w którym grano stare flinty kawiarnię, gdzie podawano doskonale karmelowe cappuccino. Jej życie definiowały londyńskie ulice i pociągi.

No i jeszcze Billie. Była zmuszona oddać kota pod opiekę Juli - pakistańskiej botaniczki wynajmującej mieszkanie piętro niżej. Zanim wyjechała, wyszeptła wiele obietnic do ucha kocura, mając nadzieję, że zdoła ich dotrzymać.

Martwiła się jednak, martwiła do szpiku kości. Część tych niepokojów była niewytłumaczalna, towarzyszyło jej przejmujące przeczucie zagłady. Rozejrzała się po kabinie. A co, jeśli oni wszyscy skończą jak Ryan, w miejskiej kostnicy, a potem pochowani na zimnym cmentarzu, gdy spadnie pierwszy śnieg?

Nie radziła sobie z tym.

Już sama tylko możliwość mroziła jej wnętrzości. Na myśl o tym oddychanie stawało się bolesne. Ręce drżały. Czując, jak przetacza się przez nią znajoma fala, starała się zwalczyć panikę. Skupiła się na oddechu, skoncentrowała na otoczeniu.

Pomruk silników spowodował, że pasażerowie wyciągnęli się w fotelach, żeby złapać tyle snu, ile się da. Nawet Kara udała się do prywatnych pomieszczeń, ale nie na drzemkę. Zza drzwi dobiegały stłumione szepty. Przygotowywała wszystko na ich przybycie i zajmowała się irytującymi drobiazgami. Czy uda jej się jeszcze przespać?

Jakiś hałas przywołał Safię do rzeczywistości. Koło jej fotela stał Painter Crowe, pojawiwszy się jakby za sprawą magii. W jednej ręce trzymał wysoką szklanę wody z lodem, a w drugiej niewielki pękaty kryształowy kieliszek napełniony po brzegi czerwono-brązowym płynem. Bourbon, sądząc po zapachu.

- Wypij to - powiedział.

- Ja nie...

- Po prostu wypij. Nie po łyżku. Na raz.

Jej ręka uniosła się i przyjęła kieliszek. Bardziej bała się, że rozleje, niż czuła potrzebę przyjęcia propozycji. Nie rozmawiali od czasu tamtej krwawej nocy poza krótkim podziękowaniem po jej uratowaniu.

Crowe usiadł na siedzeniu obok i wskazał kieliszek.

- No, już.

Zamiast się spierać, Safia wlała burbon do gardła. Palił ją, ostry zapach wypełnił nozdrza, a w końcu ognistą łuną usadowił się w żołądku. Oddała kieliszek.

Painter wymienił go na szklanę z wodą. Woda sodowa z cytryną. Powoli wypija, trzymając naczynie w obu dłoniach.

- Lepiej?

- Skinęła głową.

- Już dobrze.

Patrzył na nią, opierając się lekko jednym ramieniem o fotel żeby mieć jej twarz na wprost swojej twarzy. Ona zaś nie spoglądała na niego, lecz skupiła się na jego wyciągniętych na całą długość nogach. Skrzyżował je w kostkach, wystawały skarpetki. Czarne.

- To nie twoja wina - powiedział.

Zesztywniała. Czy jej poczucie winy jest aż tak widoczne? Zarumieniła się z zażenowania.

- Nie twoja - powtórzył. W jego głosie brakowało jednak pewności, którą słyszała u innych, starających się ją pocieszyć truizmami: kolegów, przyjaciół, nawet policyjnego psychologa. Painter po prostu nazywał rzeczy po imieniu.

- Ryan Fleming. Znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. I tyle.

Zerknęła na niego i znów odwróciła wzrok. Czuła jego ciepło, jak ciepło burbona - whisky i męskość. Znalazła siłę, żeby się odezwać:

- Ryana by tam nie było... gdyby... gdybym nie pracowała tak długo.

- Gówno prawda.

Ten wulgaryzm sprawił, że się wzdrygnęła. Painter ciągnął:

- Pan Fleming był w muzeum, żeby nadzorować nas, Coral i mnie. Jego obecność w muzeum nie miała nic wspólnego z twoim odkryciem czy tobą. Czy to nas będziesz obwiniała?

Jakaś mała jej część - tak. Ale Safia pokręciła głową, wiedząc, kogo tak naprawdę powinna winić.

- Ci złodzieje przyszli po serce, po moje odkrycie.

- A ja jestem pewny, że nie była to pierwsza próba kradzieży w muzeum. Chyba przypominam sobie włamanie do British Museum o północy, jakieś cztery miesiące temu z zamiarem zrabowania etruskiego popiersia. Wdarli się przez dach.

Safia nie podnosiła głowy.

- Ryan był szefem ochrony, robił swoje. Znał ryzyko.

Choć jeszcze nie była do końca przekonana, węzeł w jej wnętrznościach powoli zaczął się rozluźniać. No, ale może to wpływ alkoholu.

Dotknął jej dłoni.

Drgnęła, ale Amerykanin nie cofnął ręki. Objął jej rękę palcami, czuła ciepło na zmarniętej od szklanki dłoni.

- Lady Kensington może niezbyt cieszy się z naszej obecności na tej ekspedycji, ale ja chciałbym, żebyś wiedziała, że nie jesteś sama. Jesteśmy w tym razem.

Safia powoli pokiwała głową, po czym uwolniła dłoń z jego palców, czując zakłopotanie z powodu intymności i uwagi, jaką poświęcił jej dopiero co poznany człowiek. Objęła jedną rękę drugą, by zachować otrzymane ciepło.

Odchylił się, być może wyczuwając jej zakłopotanie. Jego oczy błysnęły uprzejmym rozbawieniem.

- Po prostu trzymaj się... Z doświadczenia wiem, że jesteś w tym niezła.

Safia wyobraziła sobie, jak wyglądała, zwisając z dachu muzeum. Co za widok! Mimowolny uśmiech uniósł kąciki jej ust, pierwszy raz od tamtej przerażającej nocy.

Painter przyglądał jej się z wyrazem twarzy zdającym się mówić: sama widzisz. Wstał.

- Powiniennem złapać chwilę snu... Ty też.

Patrzyła, jak cicho idzie po wykładzinie do swojego fotela. Dotknęła palcem twarzy. Uśmiech zniknął. Ciepło burbona nadal ją ogrzewało, pomagając znaleźć równowagę. Jak coś tak prostego mogło przynieść tak dużą ulgę?

Czuła jednak, że to nie alkohol jej pomógł, ale współczucie. Zapomniała, jak to jest. Tak dużo czasu minęło. Nic od... nic od...

12.13

Omaha zsunął się na fotelu i ponownie kopnął w ściankę oddzielającą go od kierowcy taksówki. Bez efektu. Jakby kopał w stal. Szkło kuloodporne. Sfrustrowany, rąbnął łokciem w boczną szybę.

Złapani w pułapkę. Porwani.

- Nadal nas śledzą. - Danny kiwnął głową w stronę podążającego za nimi bmw sedana, odległego o jakieś pięćdziesiąt metrów. Widać było cienie ludzi zajmujących przednie i tylne siedzenia.

Taksówka jechała przez dzielnicę rezydencji z kamienia i stiuku, Pomalowanych na różne odcienie bieli. Odbicia słonecznego blasku oślepiły.

Bmw wciąż jechało za nimi.

Omaha znów odwrócił się do kierowcy.

- Leih? - wypluł po arabsku. - Dlaczego?

Lecz ten nadal ich ignorował, stoicki i milczący, jechał wąskimi uliczkami z dużą zręcznością.

- Musimy się stąd wydostać - stwierdził Omaha. - Zaryzykować.

Danny wpatrywał się w panel na drzwiach od swojej strony.

- Ton coupe-ongles, Omaha. - Powiedział to po francusku, żeby taksówkarz ich nie podsłuchał. Opuścił nisko lewą rękę.

Omaha szukał czegoś w kieszeni. Co Danny chce osiągnąć tym coupe-ongles. Obcinaczem do paznokci? Spytał po francusku:

- Chcesz nam wystrzyc drogę na zewnątrz?

Danny nie obejrzał się, tylko skinął głową.

- Ten skubaniec zamknął nas za pomocą zabezpieczenia dla dzieci. To ma zapobiec temu, żeby dzieci nie otwierały tylnych drzwi.

- Więc?

- Więc wykorzystamy to przeciwko niemu.

Omaha wyjął z kieszeni obcinacz. Wisiał przy kluczach. Podał Danny'emu.

- Co ty...

Danny uciszył go, otworzył obcinacz i wyjął małe pilniczki.

- W różnych pismach informowali o delikatności systemów bezpieczeństwa w mercedesach. Musisz być ostrożny przy wyjmowaniu panelu dostępu.

- Panelu dostępu?

Zanim Omaha zdążył wypowiedzieć to pytanie na głos, Danny zapytał:

- Kiedy chciałbyś wysiąść?

Teraz, pomyślał Omaha. Ale wtedy pojawił się przed nimi spory plac targowy, suk. Wskazał go dyskretnie.

- Tam byłoby doskonale. Ukryjemy się między kramami i zgubimy tych z bmw.

Danny skinął głową.

- Bądź gotowy. - Odchylił się do tyłu i wyprostował. Pilniczek przycisnął do panelu pod oknem pasażera pod trzema wytłoczonymi literami SRS.

Safety Restraint System.

- Poduszki powietrzne? - spytał Omaha, tym razem zapominając o francuskim.

- Boczne. Kiedy się nadymają, powodują odblokowanie wszystkich zamków, żeby ratownicy mieli dostęp do pojazdu.

- A więc zamierzasz...

- Już prawie suk - syknął Danny.

Taksówkarz zwolnił, mijając wjazd na targowisko, uważając na tłoczących się klientów.

- Teraz - mruknął Omaha.

Danny wbił pilniczek pod panelem SRS i obracał nim jak dentysta walczący z opornym trzonowcem.

Nic się nie stało.

Mercedes przejechał przez suk i nabierał prędkości.

Danny pochylił się niżej, klnąc pod nosem. Pomyłka. Nagle boczna poduszka powietrzna wybuchła jak petarda, walnęła Danny'ego w twarz i nadmuchaną pięścią pchnęła jego głowę w tył.

W aucie rozległ się alarm. Taksówkarz zahamował.

Danny mrugał, trzymając się za nos. Spomiędzy palców ciekła mu krew.

Omaha nie miał czasu na badanie brata. Sięgnął ponad nim i szarpnął klamkę. Drzwi się otworzyły. Dzięki Bogu za doskonałą niemiecką robotę.

- Wyłaż! - wrzasnął Omaha.

Oszołomiony Danny na wpół wytoczył się, na wpół wypadł z tylnego fotela, brat zaś pchał od tyłu. Wylądowali na chodniku i przetoczyli się kilka metrów. Hamujący wóz przejechał kawałek, po czym stanął.

Omaha wstał i pociągnął brata za ramię. Strach dodawał mu sił. Byli zaledwie kilka kroków od wjazdu na targ.

Bmw jechało bardzo szybko i gdy kierowca zahamował, autem ostro zarzuciło.

Omaha zaczął biec, Danny za nim.

Trzasnęło troje otwieranych drzwi. Z wozu wyskoczyło trzech zamaskowanych mężczyzn. Pojawiły się pistolety. Magnum i strzelba.

Omaha dotarł do skraju suku i potracił kobietę z koszem pełnym chleba i owoców. Bochenki i daktyle poleciały wysoko.

- Przepraszam - wymamrotał i wmieszał się w tłum. Dann biegł za nim, z jego nosa wciąż płynęła krew. Złamany?

Uciekali w stronę głównej alejki targowiska, które było istnym labiryntem. Czerwone daszki kryły wózki i kramy wyładowane belami jedwabiu i kaszmirskiej bawełny, koszami granatów i orzeszków pistacjowych, wypełnionymi lodem skrzynkami krabów i ryb, beczułkami pikli i ziaren kawy, pękami świeżo ciętych kwiatów, deskami z bochenkami chleba i paskami suszonego mięsa. Powietrze przesyciły rozmaite zapachy i dym unoszący się z piecyków i rusztów, szczypał w oczy smród przypalonych przypraw. Przejścia śmierdziały kozami i potem. Inne alejki pachniały lepka słodyczą - przyprawy i miód.

Tłoczyły się tu chyba wszystkie ludy z Arabii i nie tylko. Błyskały twarze w wielu odcieniach, szeroko otwarte oczy, niektóre zasłonięte, większość nie. Doganiały ich głosy w dialektach arabskich, w hindu i angielskim.

Omaha uciekał z Dannym przez tę tęczę i hałas, skręcał w lewo i prawo, zawracał, a potem znów pędził prosto. Czy goniący są za nimi? Przed nimi? W żaden sposób nie mógł się tego dowiedzieć. Jedyne, co mógł, to być w ciągłym ruchu.

W dali rozległo się wycie syren omańskiej policji, przebijające zgiełk. Nadchodzi pomoc... ale czy wytrzymają wystarczająco długo?

Omaha zerknął za siebie, gdy mijali długą, prostą alejką. Na drugim jej końcu dostrzegł zamaskowanego napastnika obracającego głowę jak czaszę radaru. Łatwo było go zobaczyć, bo wszyscy na jego widok uciekali. Zdawało się, że usłyszał syreny. Jego czas także się kończył.

Omaha nie miał zamiaru niczego mu ułatwiać. Ciągnął Danny'ego, płynął z falą tłumy. Minęli róg i schowali się w kramie z wiklinowymi koszami i glinianymi garnkami. Odziany w długą, szatę właściciel zobaczył pokrwawioną twarz Danny'ego i machnął, żeby się wynosił, warcząc coś po arabsku.

Ukrycie się tutaj wymagało pewnych umiejętności.

Omaha wyjął z portfela plik pięćdziesięciorialowych banknotów. W sumie - dziesięć. Sprzedawca spojrzął, przymknął jedno oko. Wymiana czy nie? Omaha chciał schować pieniądze, ale ręka sprzedawcy go powstrzymała.

- Khalas! - rzucił starzec i wziął pieniądze. Umowa stoi!

Omaha kucnął za stosem koszy. Danny zajął pozycję w cieniu wielkiego czerwonego dzbana. Omaha wpatrywał się w przejście. Po chwili usłyszał tupot sandałów i szelest ubrań. Zza rogu wyszedł jakiś mężczyzna z zasłoniętą twarzą. Jego oczy błyskawicznie przeszukały cztery strony świata. Syreny policyjne zbliżały się do suku. Głowa napastnika drgnęła, podążyła za nimi. Musi przestać szukać albo dać się złapać.

Omaha poczuł pewność.

Do chwili, gdy brat kichnął.

12.45

OSTATNIE PODEJŚCIE

Lear krążył nad wodą, przygotowując się do podejścia do lądowania na międzynarodowym lotnisku Seeb. Safia patrzyła przez małe okienko.

Pod nią rozciągało się miasto Maskat. Tak naprawdę były to trzy miasta, podzielone wzgórzami na odległe dystrykty.

Część najstarsza, nazywana Starówką, pojawiła się, gdy samolot skręcił w prawo. Kamienne mury i stare budowle ciągnęły się wzdłuż łuku zatoki o błękitnej wodzie, której biały piasek plaży nakrapiały palmy daktylowe. Starówka otoczona antycznymi murami z wieloma bramami mieściła pałac Alam oraz dramatycznie nad nią górujące wieże kamiennych fortów Mirani i Jalai.

Wszystko, co widziała, opromieniały wspomnienia, jasne jak odbicia na gładkich wodach zatoki. Dawno zapomniane zdarzenia ożyły: gonitwy z Karą po wąskich uliczkach, pierwszy pocałunek w cieniu miejskich murów, smak cukierków kardamonowych, wizyta w pałacu sułtana - wchodziła tam w nowej sukni throb.

Safia poczuła dreszcz nie mający nic wspólnego z klimatyzacją w kabinie. Dom i kraj rodzinny wirowały w jej głowie. Tragedia i radość.

Kiedy samolot skręcił w stronę lotniska, Starówka zniknęła, i teraz widać było dzielnicę Matrah i port. Jedną stronę doków zajmowały współczesne wielkie statki, drugą smukłe jednomasztowe chowy, antyczne żaglowce Arabii.

Safia wpatrywała się w dumną linię drewnianych masztów i zwinięte żagle, ostro skonstrastowane z behemotami ze stali i dieslami. Ten widok bardziej niż cokolwiek innego był charakterystyczny dla jej ojczyzny: antyk i współczesność obok siebie a jednak osobno.

Trzecia część Maskatu była też najmniej interesująca. Leżąca w głębi łądu za Starówką, wciśnięta pod wzgórze, Ruwi, nowoczesne centrum biznesowe, kwatery główna gospodarki Omanu. Mieściły się tutaj biura korporacji Kary.

Kurs samolotu odzwierciedlał losy Safii i Kary, od Starówki do Ruwi, od biegania po uliczkach do zamknięcia w biurach korporacji i zakurzonych muzeach.

Odrzutowiec schodził coraz niżej, celując w pas tarmaku. Safia oparła się wygodnie. Inni wyglądali przez okna.

Clay Bishop siedział naprzeciwko Safii. Kiwał głową w takt muzyki z iPod'a. Czarne okulary zjeżdżały mu z nosa, więc co chwila nasuwał je z powrotem. Miał na sobie swój zwykły uniform: dzinsy i T-shirt..

Siedzący przed Clayem Painter i Coral nachylali się do okna i rozmawiali przyciszonymi głosami. Ona wskazywała coś za oknem, on kiwał głową, bawiąc się kosmykiem włosów.

Kara odsunęła drzwi do części prywatnej i stanęła w progu.

- Łądujemy - odezwała się Safia. - Powinnaś usiąść.

Przyjaciółka machnęła lekceważąco ręką, jednak podeszła do najbliższego fotela obok Safii i ciężko na niego opadła. Nie zapięła pasa.

- Nie mogę się dodzwonić do Omahy - powiedziała.

- Co?

- Jego komórka nie odpowiada. Może specjalnie nie odbiera?

To do niego niepodobne, pomyślała Safia. Czasami zdarzało mu się zniknąć, ale w pracy był zawsze zawodowcem.

- Po prostu jest zajęty. Zostawiłaś go samego. Wiesz, jak bardzo drażliwi potrafią być attache kulturalni w Maskacie.

Kara prychnęła zirytowana.

- Lepiej niech czeka na lotnisku.

Safia zauważyła, jak wielkie są źrenice Kary nawet w dobrym oświetleniu. Wyglądała jednocześnie na wyczerpaną i pełną energii. - Skoro powiedział, że będzie, to będzie - stwierdziła Safia.

Kara uniosła pytająco brew.

- Cóż to, Pan-Godny-Zaufania?

Safię aż skręciło. Z jednej strony chciała go bronić, jak to zawsze czyniła, z drugiej wspomnienie pierścionka, który mu oddała, ścisnęło ją za gardło. Omaha nigdy się nie dowiedział, jak bardzo cierpiała.

Zmusiła się, żeby nie patrzeć na Paintera.

- Lepiej zapnij pasy - powiedziała do Kary.

Kichnięcie Danny'ego zabrzmiało jak wystrzał, strasząc dwa gołębie siedzące w klatce na dachu pobliskiego kramu. Ptaki zaczęły bić skrzydłami o bambusowe pręty.

Omaha obserwował zamaskowanego napastnika, jak odwraca się w stronę kryjówki. Danny zakrył nos i usta i wcisnął się głębiej w cień za glinianą urnę. Po jego brodzie wciąż ciekła krew. Omaha sprężył się, wparł obcasy w ziemię, gotowy do skoku. Jedyna nadzieja w zaskoczeniu.

Syreny policyjne wyły bardzo blisko targu. Gdyby tylko Danny wytrzymał jeszcze minutę...

Napastnik trzymał strzelbę gotową do strzału, poruszał się na giętych nogach. Omaha zacisnął pięści. Musi kopnąć broń w górę, a potem zanurkować w dół.

Zanim zdążył drgnąć, właściciel kramu wyszedł przed kram i stanął na ulicy. Jedną ręką się wachlował, a drugą wycierał nos.

- Hasaseeya - burczał, poprawiając kosze nad głową Omahy i przeklinając katar sienny. Udał zaskoczenie na widok zamaskowanego mężczyzny, szybko podniósł ręce do góry, a jego wachlarz wylądował na ziemi.

Napastnik cicho zaklął i machnięciem lufy kazał sprzedawcy się odsunąć. Ten posłuchał, cofając się za niską ladę, i zakrył głowę rękami.

Daleko w okolicach wejścia na targ pisk hamujących opon obwieścił pojawienie się omańskiej policji. Syreny nadal wyły.

Mężczyzna zerknął w ich stronę, po czym zrobił jedyne, co w takiej sytuacji mógł zrobić. Podeszedł do urny, za którą ukrył się Danny, i wrzucił do niej broń. Rozejrzał się, ściągnął kominiarkę i ją też tam wrzucił. Następnie, powiewając oponczą koloru piasku obrócił się i zniknął w głębi targu, zamierzając wmieszać się w tłum.

Tyle że Omaha uważnie go obserwował. A właściwie ją.

Kawowa cera, głęboki brąz oczu, pod lewym okiem tatuaż w kształcie łyzy.

Beduinka.

Odczekawszy chwilę, Omaha wyszedł z kryjówki. Danny też się wyczołgał. Brat pomógł mu wstać.

Pojawił się właściciel kramu, wyglądając na brzuchu szatę.

- Shuk ran - podziękował Danny. Kupiec wzruszył ramionami.

Omaha wyjął kolejny banknot pięćdziesięciorialowy i podał mu.

Właściciel skrzyżował ramiona dłońmi w dół. Khalas. Targu dobito wcześniej. Renegocjacja byłaby obrażą. Zamiast tego starzec podeszedł do stosu koszyków i wyjął jeden z nich.

- Dla ciebie - rzekł. - Dar dla pięknej kobiety.

- Bi kam? - spytał Omaha. - Ile?

Starzec uśmiechnął się.

- Dla ciebie? Pięćdziesiąt rialów.

Omaha odwzajemnił uśmiech, wiedząc, że go oszukano, ale podał banknot.

- Khalas.

Kiedy opuszczali targ, idąc do wyjścia, Danny spytał przez nos:

- Czemu, u diabła, ci faceci chcieli nas porwać?

Omaha wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia. Najwyraźniej Danny nie widział napastniczki. Nie faceci... dziewczyny. Teraz, kiedy się nad tym zastanowił - nad sposobem ich poruszania się - pomyślał, że to mogły być same kobiety.

Przed oczami Omahy znów stanęła twarz tamtej kobiety, Jej cera jaśniejąca w słońcu.

Co za podobieństwo.

Mogłaby być siostrą Safii.

STARÓWKA
2 GRUDNIA, 17.34
MIĘDZYNARODOWY PORT LOTNICZY SEEB

Painter szedł za wózkiem ze sprzętem i wyposażeniem. Zdawało się, że skwar wygotowuje tlen z atmosfery, zostawiając w płucach tylko ciężką wilgoć. Pomachał dłonią przed twarzą. Nie po to, by się ochłodzić, tutaj to niemożliwe, ale po prostu, żeby poruszyć powietrze dla złapania oddechu.

Wreszcie się ruszyli. Mieli trzygodzinne opóźnienie, siedzieli zamknięci w odrzutowcu ze względu na zaostrzone środki bezpieczeństwa spowodowane próbą porwania współpracowników Kary Kensington. Widocznie sprawy wyjaśniły się na tyle, że pozwolono im wreszcie opuścić samolot.

Coral maszerowała obok, uważnie obserwując otoczenie. Jediną oznaką, że odczuwa popołudniowy upał, były niewielkie kropelki potu perlące się na jej gładkim czole. Blond włosy przykryła podarowaną przez Safię beżową chustą zwaną lihaf, tradycyjnym nakryciem głowy omańskich kobiet. Painter zmrużył powieki i popatrzył przed siebie. Niskie słońce rzucało drżące miraże na lotnisko i odbijało się od każdej płaszczyzny, nawet od obskurnego szarego budynku, do którego zmierzali. Omańscy celnicy w niebieskich mundurach eskortowali ich, a niewielka delegacja przysłana przez sułtana szła po bokach. Ci ostatni byli odziani w narodowe stroje: białe suknie z długimi rękawami bez kołnierza zwane dishdasha, przykryte czarnymi opończami obramowanymi złotymi i srebrnymi haftami. Mieli także bawełniane turbany w różne wzory oraz skórzane pasy zdobione srebrem. Do pasa każdy mężczyzna przypiął khandjar tradycyjny sztylet w zdobionej pochwie. W tym przypadku były to sztylety saidi z czystego srebra lub złota, oznaka pozycji, roleksy wśród omańskich ozdób.

Kara, za którą szła Safia i jej student, prowadziła z tymi ludźmi ożywioną dyskusję. Okazało się, że przygotowujący ekspedycję doktor Omaha Dunn i jego brat zostali zatrzymani przez policję. Szczegóły dotyczące próby ich porwania nie były zbyt jasne.

- Więc Danny'emu nic nie jest? - spytała Safia po arabsku.

- Nic, nic, moja pani - odrzekł jeden z członków delegacji. - Krwotok z nosa, to wszystko. Już się nim zajęto, zapewniam panią.

- To kiedy możemy ruszać? - zapytała Kara głównego urzędnika.

- Jego wysokość sułtan Qaboos osobiście zadbał o przewiezienie was do Salalah. Nie będzie już żadnych nieporozumień. Gdybyśmy tylko wcześniej wiedzieli... że pani osobiście zechce towarzyszyć...

Kara zbyła to oświadczenie machnięciem ręki.

- Kif, kif rzuciła po arabsku. - To nie ma znaczenia. Byle tylko nie było opóźnień.

Urzędnik zgiął się w ukłonie. To, że nie okazał, iż zachowanie Kary go obraża, świadczyło o tym, jak wielkim szacunkiem cieszy się ona w Omanie.

To tyle w kwestii dyskrecji, pomyślał Painter.

Skierował uwagę na towarzyszkę Kary. Przejęcie marszczyło kąciki jej oczu. Chwilowy spokój osiągnięty pod koniec lotu rozwiął się na wieść o kłopotach. Kurczowo trzymała swój bagaż podręczny, odmawiając położenia go na wózku bagażowym.

W jej oczach nadal widać było determinację, choć może to były tylko przebliski złota w szmaragdzie jej tęczówek. Painter przypomniał sobie, jak zwisała ze szklanego dachu muzeum. Wyczuwał w niej ogromną siłę, nawet jeśli teraz chwilowo była głęboko ukryta. Nawet ten kraj zdawał się to widzieć. Słońce, które zalewało wszystko ostrym blaskiem, jej twarz oświetlało łagodniej, wydobywając brąz cery. Jej uroda, dawniej przytłumiona, zajaśniała jak klejnot w pięknej oprawie.

Wreszcie dotarli do budynku prywatnego terminalu i otworzyły się drzwi do chłodnej oazy klimatyzowanego wnętrza. Okazało się jednak, że ich pobyt w tej oazie był krótki.

Formalności celne, dzięki obecności przedstawicieli sułtana, zostały załatwione bardzo szybko. Zerknięto na paszporty, wstemplowano wize, po czym cała piątka wsiadła do dwóch czarnych limuzyn: Safia, Clay i Kara do jednej, Painter i Coral do drugiej.

- Chyba nie cenią sobie zbyt wiele naszego towarzystwa - skomentował Painter, rozsiadając się w aucie.

Z przodu, obok kierowcy, rozpiął się barczysty Irlandczyk ze strzelbą. Pod pachą miał kaburę z pistoletem. Painter zauważył także dwa samochody ochrony - jeden jechał przed limuzyną Kary, drugi zamykał karawanę. Najwyraźniej po próbie porwania kwestię bezpieczeństwa traktowano poważnie.

Painter wyjął z kieszeni komórkę. Telefon zawierał czip skramblera satelitarnego z dostępem do sieci komputerowej DOD (Ministerstwa Obrony), w aparacie mieściła się także kamera cyfrowa z błyskawicznym nagrywaniem i przekazywaniem.

Nie ruszał się z domu bez takiego sprzętu.

Wyciągnął miniaturową słuchawkę i włożył ją do ucha. Przy ustach z przewodu zwisał minimikrofon. Painter czekał, aż telefon wyemituje zakodowany sygnał przygotowania łączności, który obiegił glob i zafiksował się na konkretnym numerze.

- Komandorze Crowe - odezwał się doktor Sean McKnight, bezpośredni przełożony Paintera, szef Sigmy.

- Szefie, wylądowaliśmy w Maskacie, zmierzamy do rezydencji Kensingtonów. Zgłaszam się, żeby zapytać o napad na naszych ludzi.

- Mamy wstępny raport policji. Zabrani z ulicy. Fałszywa taksówka. Wygląda na zwykłe porwanie dla okupu. W tym rejonie to typowy sposób zdobywania funduszy.

Painter jednak usłyszał ton podejrzliwości w głosie McKnighta. Najpierw kłopoty w muzeum, a teraz to.

Uważa pan, że są związki z Londynem?

- Za wcześnie na takie wnioski.

Painter przypomniał sobie smukłą sylwetkę znikającą za murem Muzeum. Nadal czuł w ręku ciężar sig sauera Cassandry. Dwa dni po aresztowaniu jej w Connecticut uciekła spod nadzoru. Policyjna furgonetka wioząca ją na lotnisko wpadła w zasadzkę, zginęło dwóch ludzi, a Cassandra Sanchez rozplynęła się bez śladu. Painter nie spodziewał się już nigdy jej zobaczyć. Jak ona jest z tym powiązana? I dlaczego?

McKnight kontynuował:

- Admirał Rector uzgodnił z NSA zbieranie informacji wywiadowczych. Za parę godzin będziemy mieli więcej.

- Doskonale, sir.

- Komandorze, czy doktor Novak jest z panem?

Painter spojrzał na Coral, która wyglądała przez okno. Jej oczy nie wyrażały niczego, ale miał pewność, że zapamiętuje otoczenie. Na wszelki wypadek.

- Tak jest, sir. Jest tutaj.

- Niech pan jej przekaże, że analitycy w Los Alamos zdołali odkryć ślady rozpadu uranu w kawałku żelaza meteorytowego, który znaleźliście w muzeum.

Painter przypomniał sobie jej przejęcie na widok odczytów podczas skanowania próbki.

- Ponadto zgadzają się z hipotezą, że promieniowanie rozpadu uranu może służyć jako rodzaj czasowego wyzwalacza jądrowego, powoli destabilizując antymaterię, aż ta stanie się podatna na wstrząs elektryczny.

Painter wyprostował się i odezwał do mikrofonu:

- Doktor Novak sugerowała również, że taka sama destabilizacja może następować w pierwotnym źródle antymaterii, o ile takowe istnieje.

- Właśnie. Analitycy z Los Alamos niezależnie wyrazili podobne obawy. A skoro tak, to wasza misja staje się bardzo ważna. Dodatkowe złoża muszą zostać zlokalizowane. Jeśli istnieje złożo pierwotne, musi być odnalezione szybko, albo wszystko będzie stracone.

- Zrozumiano, sir. - Painter wspomniał ruiny muzeum, kości strażnika wtopione w stalową kratę. Jeśli gdzieś jest złożo pierwotne, to straty poniesie nie tylko nauka.

- Co prowadzi do ostatniego punktu, komandorze. Dostaliśmy informację dotyczącą waszej misji, z NOAA*. Mówią, że nad południowym Irakiem rozbudowuje się potężna burza i zmierza na południe.

* *National Oceanic and Atmospheric Administration.*

- Burza?

- Piaskowa. Wiatry o prędkości sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Prawdziwa niszczycielka stodół. Odcina miasto za miastem, zasypując wydmami drogi. NASA potwierdza kierunek na Oman.

Painter zamrugał gwałtownie.

- NASA potwierdza? Jak wielka...

- Na tyle, że jest widoczna z kosmosu. Przekazuję zapis satelitarny.

Painter zerknął na ekranik telefonu. Od góry linia po linii zaczął go wypełniać obraz. Był to przekaz z satelity w czasie bieżącym, mapa pogody Środkowego Wschodu i Półwyspu Arabskiego. Zdumiewające szczegóły: linia brzegowa, niebieskie morza poplamione chmurami, małe miasteczka. Poza miejscem, gdzie wielka, bura plama przemierzała Zatokę Perską. Wyglądała jak huragan, tyle że nad lądem. Rozległa czerwonawobrazowa fala sięgała nad zatokę.

- Prognozy meteo przewidują wzrost siły i rozmiaru burzy podczas drogi na południe.

- McKnight mówił, a obraz odświeżał się na ekranie. Plama burzy nasunęła się nad miasto na wybrzeżu i wymazała je. - Mówi się, że zanosi się na burzę stulecia. Układ wysokiego ciśnienia nad Morzem Arabskim wytwarza groźne wiatry monsunowe ściągane ku niżowi ponad pustynią. Burza piaskowa uderzy z siłą pociągu towarowego, potem zostanie podkręcona i wzmocniona pływami monsunowymi, tworząc układ megaburzy.

- Jezu... Rozpęta się piekło. - Jak z czasem?

- Do wybrzeża Omanu burza ma dotrzeć pojutrze. Obecne szacunki przewidują czas jej trwania na dwa do trzech dni.

- Opóźni ekspedycję.

- Oby minimalnie. - Słowa zabrzmiały jak rozkaz. Painter uniósł głowę i spojrzał na limuzynę. Opóźnienie. Kara Kensington nie będzie zadowolona.

18.48

- Uspokójcie się - nakazała Safia.

Zebrali się w ogrodzie rezydencji Kensingtonów. Wysokie wapienne mury z kruszącym się gipsem datowano na XVI wiek podobnie jak sielankowe freski przedstawiające pnące rośliny obramowujące krajobrazy i morskie pejzaże. Trzy lata temu prace konserwatorskie przywróciły freskom dawną świetność. Safia na własne oczy zobaczyła efekt dopiero teraz. Na miejscu nadzorowali prace rzemieślnicy z British Museum, a Safia kierowała wszystkim z Londynu za pomocą kamer cyfrowych i Internetu.

Cyfrowy obraz nie mógł jednak oddać bogactwa i głębi kolorów. Błękitne pigmenty pochodziły z pokruszonych muszli molusków, czerwone wyciskano z korzeni madery, tak jak to czyniono w XVI wieku.

Safia objęła wzrokiem ogrody, miejsce, gdzie bawiła się jako dziecko. Czerwone płytki kreśliły linie na gruncie pomiędzy rabatami róż, żywopłotami i artystycznie przycinanymi kępami roślin wieloletnich. Ogród angielski, kawałek Brytanii w centrum

Maskatu. Dla kontrastu w każdym z czterech rogów rosła palma daktylowa, pochylając się i ocieniając sporą część ogrodu.

Wspomnienia przesłoniły rzeczywistość, uwolnione aromatem pnącego jaśminu i piaskowym zapachem Starówki.

Pośrodku ogrodu stała tradycyjna omańska fontanna, ośmiokąta, wyłożona kafelkami. Safia i Kara zwykły w niej pływać w szczególnie gorące i pyłne dni, na widok czego ojciec Kary zazwyczaj marszczył brwi. Safia nadal słyszała jego rozbawione łajanie, odbijające się echem od murów, kiedy wracał po biznesowej naradzie i znajdował je dokazujące w fontannie. „Wyglądacie jak dwie foki wyrzucone na plażę”. Jednak czasami zdejmował buty i podwijał nogawki spodni, by pobrodzić w wodzie.

Kara przeszła obok fontanny, nawet na nią nie spojrzawszy Gorycz w jej głosie przywołała terazniejszość.

- Najpierw przygoda Omahy... a teraz ta cholerna pogoda. Zanim wyruszymy, pół Arabii dowie się o naszej ekspedycji i nie będziemy mieli ani chwili spokoju.

Safia szła za nią, zostawiając innym rozładowanie limuzyn.

Painter Crowe ogłosił złe wieści na temat pogody, gdy tylko dojechali na miejsce.

- Wstyd, że nie da się kupić dobrej pogody - zakończył obojętnie. Zdawało się, że prowokowanie Kary sprawia mu przyjemność. Niemniej po tych wszystkich przeszkodach stawianych im przez Karę Safia nie mogła mieć do niego pretensji.

Dogoniła przyjaciółkę przed łukiem wejścia do starego pałacu, trzykondygnacyjnej budowli z rzeźbionego i wyłożonego kafelkami wapienia. Wyższe poziomy ozdabiały cieniste balkony, wsparte na bogato zdobionych kolumnach. Ich wnętrza zostały wyłożone morskoniebieskimi kafelkami, uspokajająco chłodnymi dla oka po oślepiającym blasku słońca.

Nie wyglądało na to, że powrót do domu uspokoił Karę.

Safia dotknęła jej ramienia, zastanawiając się, na ile rozdrażnienie przyjaciółki wywołane jest frustracją, a na ile wzbudzone chemicznie.

- Burza to nie problem - zapewniła. - Zamierzaliśmy zacząć od wyjazdu do Salalah, by zbadać grób Nabi Imrana. To na wybrzeżu, daleko od burz. Jestem pewna, że zajmie nam to z tydzień, tak, czy inaczej.

Kara westchnęła.

- No, ale jest kłopot z Omahą. Miałam nadzieję, że uda nam się uniknąć rozgłosu...

Przerwało jej zamieszanie przy bramie. Odwróciły się obie.

Wóz omańskiej policji zatrzymał się za limuzynami, kogut migał w ciszy. Otworzyły się tylne drzwi i z auta wysiadło dwóch mężczyzn.

- O wilku mowa... - mruknęła Kara.

Safia nagle poczuła, że nie może oddychać. Jakby powietrze gdzieś uciekło. Omaha...

Czas zwolnił, jego upływ odmierzało tętno, które dudniło jej uszach. Myślała, że będzie miała więcej czasu na przygotowanie i uspokojenie... Coś pchało ją do ucieczki i zrobiła krok do tyłu. Kara położyła dłoń na jej ramieniu.

- Będzie dobrze - szepnęła.

Omaha zaczął na brata, a potem obaj przeszli między limuzynami. Na nosie Danny'ego widać było opatrunek. Omaha prowadził go za łokieć. Był w niebieskim garniturze, marynarkę przewiesił przez rękę, rękawy białej koszuli poplamionej krwią i ziemią podwinął do łokci. Jego wzrok na chwilę zatrzymał się na Painterze. Zmierzył go od stóp do głów. Skinął mu głową w ostrożnym pozdrowieniu.

Potem odwrócił się w stronę Safii. Oczy mu się rozszerzyły, zwolnił. Na jeden oddech jego twarz zamarła, uśmiech zniknął, lecz po chwili znów był taki jak przedtem. Odgarnął z oczu kilka niesfornych kosmyków piaskowych włosów, jakby nie wierzył w to, co widzi.

Jego wargi bezdźwięcznie wypowiedziały jej imię.

- Safia... Boże mój - rzekł już głośno, odchrząknął i ruszył w jej stronę, zostawiając brata.

Zanim zdołała go powstrzymać, objął ją i przytulił. Pachniał solą i potem, znajomo, jak pustynia.

- Cieszę się, że cię widzę - wyszeptał jej do ucha. Ramiona Safii zawahały się przed oddaniem uścisku. Wyprostował się, odstąpił o krok, zanim miała czas się zdecydować. Jego policzki lekko pobrały.

Safia nie wiedziała, co powiedzieć. Ponad ramieniem Omahy zauważyła jakiś ruch.

Okrążywszy brata, Danny uśmiechnął się krzywo.

Safia dotknęła ręką swojego nosa, rada z takiego przerywnika.

- Myślałam, że jest złamany...

- To tylko pęknięcie przegrody - zapewnił Danny, a w jego głosie zabrzmiał leciutki akcent z Nebraski, prosto z rodzinnej farmy. - Opatrunek jest tylko dla wzmocnienia. - Jego spojrzenie przesunęło się od brata do Safii. Uśmiech zamarł mu na ustach.

Sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna.

Nagle pojawił się Painter z wyciągniętą ręką. Przedstawił się i uściśnął dłonie obu braciom. Tylko przez ułamek sekundy patrzył na Safię, chcąc się upewnić, że wszystko w porządku. Uświadomiła sobie, że daje jej czas, by mogła dojść do siebie.

- To moja partnerka, doktor Coral Novak, fizyk z Columbii.

Danny wyprostował się, widać było, że przełyka ślinę, kiedy dyskretnie ocenił jej figurę.

- Też kończyłem. Columbię, znaczy - odrzekł pospiesznie

Coral zerknęła na Paintera, jakby oczekiwała zgody na odezwanie się. Żadnej widocznej zgody nie było, ale mimo to rzekła.

- Mały ten świat.

Danny otworzył usta, zastanowił się, zamknął. Wodził oczami za Coral, kiedy ta odchodziła na bok.

Podszedł do nich Clay Bishop. Safia przedstawiła wszystkich, znajdując ukojenie w rutynie etykiety.

- A to mój student, Clay Bishop.

Chłopak złapał obiema rękami dłoń Omahy i potrząsał nią energicznie.

- Proszę pana, czytałem pański traktat o perskich szlakach handlowych w czasach Aleksandra Wielkiego. Mam nadzieję, że będziemy mogli podyskutować o niektórych pańskich odkryciach dokonanych na granicy irańsko-afgańskiej.

Omaha zwrócił się do Kary i Safii:

- Czy on mi mówi per pan?

Kara przerwała prezentację, machnięciem kierując wszystkich do wejścia do pałacu.

- Macie wyznaczone pokoje, więc możecie się odświeżyć przed kolacją i odpocząć. - Prowadziła ich w głąb pałacu, stukając obcasami modnych pantofli od Fendi. - Ale nie rozleniwiajcie się za bardzo. Za cztery godziny ruszamy.

- Kolejny lot? - zapytał Clay Bishop, tłumiąc jęk. Omaha poklepał go po ramieniu.

- Niezupełnie. Z całego dzisiejszego zamieszania wynikła przynajmniej jedna dobra rzecz. - Skinął głową w stronę Kary. - Dobrze jest mieć wysoko postawionych przyjaciół, szczególnie gdy mają fajne zabawki.

Kara zmarszczyła brwi.

- Wszystko zorganizowane? - spytała krótko.

- Zapasy i sprzęt są już w drodze.

Safia patrzyła to na jedno, to na drugie. Podczas lotu Kara bez przerwy dzwoniła do Omahy, konsulatu brytyjskiego i ekipy sułtana Quaboosa. Jakikolwiek by był efekt działań Omahy, Kara nie była z niego tak zadowolona jak on.

- Co z phantomami? - zapytała. - Wiedzą, że mają się z nami spotkać na miejscu.
- Phantomy? - zdziwił się Clay. Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, doszli do korytarza wiodącego do południowego skrzydła przeznaczonego dla gości.

Kara skinęła głową oczekującemu kamerdynerowi o siwych włosach natartych olejkami, odzianemu w czerń i biel, z rękami założonymi za plecy. Prawdziwy Brytyjczyk.

- Henry, zechcesz zaprowadzić naszych gości do ich pokoi?

Szttywno skinął głową.

- Tak, proszę pani. - Na widok Safii błysnęły mu oczy, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił. Henry był kamerdynerem w posiadłości od czasu, gdy Safia była dzieckiem. - Tędy, proszę.

Poszli za nim.

Kara zawołała za nimi:

- Kolacja zostanie podana na górnym tarasie za trzydzieści minut. - Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż zaproszenie.

Safia ruszyła korytarzem.

- Co ty wyprawiasz? - Kara złapała ją za ramię. - Twoje dawne pokoje są przewietrzone i przygotowane. - Odwróciła ją w stronę głównego budynku.

Kiedy szły, Safia rozglądała się. Niewiele się tu zmieniło. Właściwie rezydencja była domem i muzeum. Na ścianach wisiały stare obrazy, dziedzictwo Kensingtonów sięgające XIV wieku. Pośrodku sali stał masywny mahoniowy stół, importowany z Francji, podobnie jak sześcioramienny kandelabr baccarat, wiszący nad jego blatem. Tu właśnie Safia obchodziła swoje dwunaste urodziny. Pamiętała świece, muzykę, zgiełk świętowania. I śmiech. Wtedy zawsze w pałacu rozbrzmiewał śmiech. Kroki odbijały się głębokim echem, kiedy okrążała długą salę.

Kara prowadziła ją do prywatnego skrzydła.

Kiedy Safia miała pięć lat, została przywieziona z sierocińca do posiadłości i miała być towarzyszką zabaw Kary. To był pierwszy pokój, jaki miała tylko dla siebie... i własna łazienka. Jednak i tak większość nocy spędzała z Karą w jej pokoju - szeptały o przyszłości, która nigdy nie nadeszła.

Zatrzymały się przed drzwiami.

Nagle Kara mocno przytuliła Safię.

- Jak dobrze, że znów mam cię w domu - wyszeptała. Oddając ciepły uścisk, Safia rozpoznała w Karze dziewczynkę i najbliższą przyjaciółkę. Dom. W tej chwili niemal w to wierzyła. Kara poruszyła się. Jej oczy błyszczały w świetle kinkietów.

- Omaha...

Safia odetchnęła głęboko.

- W porządku. Myślałam, że jestem gotowa. Ale zobaczyć go... W ogóle się nie zmienił.

- No właśnie - prychnęła Kara ze złością.

Safia uśmiechnęła się i szybko uściskała przyjaciółkę.

- Naprawdę, nic mi nie jest.

Kara otworzyła drzwi.

- Kazałam nalać wody do wanny, a w garderobie masz czyste rzeczy. Zobaczymy się przy kolacji.

Ruszyła korytarzem. Minęła swój dawny pokój i zbliżyła się do podwójnych drzwi z rzeźbionego drewna orzechowego na końcu korytarza, do pomieszczeń należących kiedyś do pana domu.

Safia odwróciła się i pchnęła drzwi do swojego apartamentu. Za drzwiami był mała, wysoko sklepiona sień, pokój służący kiedyś do zabaw, ale teraz będący gabinetem. Uczyła

się w nim do egzaminów doktorskich. Pachniało tu świeżym jaśminem, jej ulubionym kwiatem.

W sypialni łóżko z jedwabną pościelą wyglądało, jakby od czasu jej wyjazdu do Tel Awiwu, tak dawno temu, nikt w nim nie spał. Bolesne wspomnienia odpłynęły, gdy dotknęła kaszmirskiego jedwabiu. Garderoba znajdowała się w drugim końcu sypialni, obok okien wychodzących na ocieniony boczny ogród, mroczniejący w zachodzącym słońcu. Rośliny na rabatach były nieco mniej zadbane, niż były wtedy, gdy widziała je ostatnio. Kilka zwieszało się do studni. Safia nie miała pojęcia, że jest tak głęboka. Dlaczego wróciła? Dlaczego musiała stąd wyjechać? Nie potrafiła połączyć przeszłości z dniem dzisiejszym. Odgłos kąpiącej wody sprawił, że skierowała się do łazienki. Do kolacji nie zostało wiele czasu. Zdjęła ubranie, pozwalając, żeby opadło na podłogę. Do kąpieli służyła wpuszczona w podłogę, wyłożona kafelkami wanna, głęboka i wąska. Woda parowała, Safii zdawało się, że słyszy jej szept. A może to szeptały białe płatki jaśminu, pływające na powierzchni, będące źródłem unoszącego się zapachu?

Ten widok przywołał na twarz Safii zmęczony uśmiech, odeszła do wanny i choć nie widziała pod wodą stopni, zeszła bez wahania. Zanurzyła się w parującym cieple, opierając się o płytki, a jej włosy rozłożyły się na wodzie wśród płatków niczym wachlarz.

Coś znajdującego się głębiej od obolałych mięśni rozluźniło się i zrelaksowało.

Zamknęła oczy.

Dom...

20.02

Strażnik patrolował alejkę, oświetlając latarką brukowaną nawierzchnię. Potarł zapalką o wapienny mur otaczający posiadłość Kensingtonów. Niewielki płomień zajaśniał z sykiem. Nie zauważył czarno ubranej postaci stojącej w cieniu rzucanym przez szerokie liście palmy daktylowej.

Cassandra nacisnęła spust pistoletu i wystrzeliła stalową linkę z hakiem. Cichy trzask dobrze naoliwionego mechanizmu został zagłuszony przez szczekającego bezpańskiego psa, jakich wiele biegało po ulicach Maskatu. Jej stopy w butach na gumowych podszewkach opierały się o mur, gdy wchodziła po cienkim kablu zaczepionym na szczycie. Gdy znalazła się na murze, położyła się na nim płasko.

Ostre jak żyłki krawędzie szkła na szczycie muru, umieszczone tam, by zniechęcić włamywaczy, nie przebiły jej kombinezonu i rękawiczek z kewlaru. Czowała jednak blisko prawej skroni nacisk ostrej krawędzi. Maskę chroniła jej twarz z wyjątkiem wąskiego otworu na oczy. Na czole miała gogle noktowizyjne, których soczewki mogły zarejestrować godzinny film, były też podłączone do mikroparabolicznego urządzenia podsłuchowego.

Projekt Paintera Crowe'a.

Uśmiechnęła się lekko na tę myśl. Uwielbiała ironię. Żeby użyć narzędzi tego sukinsyna przeciwko niemu samemu...

Cassandra patrzyła, jak strażnik znika za rogiem pałacu. Uwolniła kotwiczkę i zabezpieczyła ją w lufie pistoletu. Przetoczyła się na plecy. Wyrzuciła zużyty nabój ze sprężonym powietrzem i załadowała nowy. Przygotowana, przekręciła się z powrotem na brzuch i poczołgała po poszarpanym szczycie muru ku głównemu budynkowi rezydencji.

Mur zewnętrzny otaczał pałac w odległości dziesięciu metrów. Wąską przestrzeń wypełniały małe ogrody, niektóre z fontannami. Do jej uszu dobiegały echa tryskającej, tańczącej wody.

Wcześniej obejrzała dokładnie posiadłość, sprawdzając harmonogram strażników dostarczony przez Gildię. Nie ufała atramentowi i papierowi. Osobiście sprawdziła pozycje każdej kamery, zmiany straży, plan pałacu.

Schylając się pod zwisającymi liśćmi palmy, wolno podkradała się do oświetlonej części pałacu. Z niewielkiego dziedzińca obramowanego kolumnami widać było łukowate okna długiej jadalni. Świece, rzeźbione w kształt kwiatów, migotały na stole, płynąc w srebrnych misach, inne, zwężające się ku górze, osadzone były w wyszukanych kandelabrach. Kryształ i delikatna porcelana odbijały blask płomieni. Wokół stołu kręcili się służący, napełniając szklanki wodą i proponując gościom wino.

Leżąc płasko, Cassandra nałożyła gogle. Nie uruchomiła trybu nocnego, tylko powiększenie, by lepiej widzieć. W słuchawce brzęczała metalicznie rozmowa. Cassandra musiała trzymać głowę nieruchomo, żeby nie zmienić położenia mikrofonu i słyszeć to, co ją interesowało. Znała wszystkich obecnych w jadalni.

Szczupły student, Clay Bishop, stał przy jednym z okien, zły, że nic się nie dzieje. Młoda służąca zaproponowała mu wino. Pokręcił głową. - La, shuk ran - wymamrotał. Nie, dziękuję. Za nim dwaj mężczyźni brali z tacy różne przekąski - tradycyjne omańskie potrawy, kawałki gotowanego mięsa, kozi ser, oliwki i daktyle. Doktor Omaha Dunn i jego brat Daniel. Cassandra wiedziała wszystko o ich wcześniejszej, niemal cudownej ucieczce, Kiepska robota porywaczy. Niemniej wiedziała, że nie należy niedoceniać przeciwnika, ten sposób się przegrywa. Ci dwaj są z pewnością wari obserwacji. Omaha obgryzał pestkę oliwki.

- Kiedy brałeś prysznic - powiedział - sprawdziłem prognozę pogody w lokalnych wiadomościach. Burza piaskowa dotarła do Kuwait City, zasypała całą główną ulicę.

Młodszy brat mruknął coś pod nosem. Chyba nie zwracał uwagi na to, co mówi Omaha. Jego spojrzenie podążało za wysoką blondynką, która właśnie weszła do jadalni.

Coral Novak, pracownik operacyjny Sigmy, jej następczyni.

Cassandra przyjrzała się przeciwnicze. Chłód tej kobiety wydawał się zbyt wypracowany, zważywszy na to, jak łatwo dała się unieszkodliwić w muzeum. Oczy Cassandry zwężyły się z niesmakiem. Im się wydaje, że takie coś może zająć moje miejsce u boku Paintera? Takie zielone coś do Sigmy? Nic dziwnego, że nadszedł czas zmian.

Niemal depreczując jej po piętach, pojawił się Painter. Wysoki, w czarnych luźnych spodniach i czarnej koszuli, formalnie, ale swobodnie. Nawet ze swojej grędy na murze Cassandra dostrzegła, jak bada pomieszczenie, uważnie, kątem oka. Widzi wszystko, kalkuluje, analizuje.

Zacisnęła palce na kawałkach szkła.

Zdradził ją, naraził na utratę pozycji w Gildii, poniżył. Była świetnie ustawiona, spędziła lata na umocnieniu swej roli jako wiodącej agentki operacyjnej, zaskarbiając sobie zaufanie partnera... a nawet, pod koniec, może i coś więcej...

Narastał w niej gniew, wrzała żółć. Painter wyrzucił ją poza światła reflektorów, zredukował jej rolę do pozycji pracownika operacyjnego, który musi działać w cieniu, anonimowo. Podążyła wzdłuż muru. Miała zadanie do wykonania. W muzeum, z winy Paintera, zaważyła sprawę.

Tej nocy nie zawiedzie.

Nic jej nie powstrzyma.

Idąc murem, dotarła do odległego skrzydła pałacu, gdzie ciemności rozjaśniało pojedyncze światło na zapleczu. Na palcach przebiegła pozostały odcinek. Nie mogła zaryzykować rozminięcia się ze swym celem.

Wreszcie usadowiła się przed oknem wychodzącym na zaniedbany ogród. Za zaparowaną szybą kobieta wylegiwała się we wpuszczonej w podłogę wannie. Cassandra przebiegła wzrokiem pozostałe pomieszczenia. Puste. Nasłuchiwała. Cisza.

Zadowolona, wycelowała pistolet, by linka zaczepiła się o balkon powyżej. W lewym uchu usłyszała, jak kobieta mamrocze. Brzmiało to dziwnie, jak majaczenie, zdławiony płacz:

- Nie... nie znowu...

Pociągnęła za spust. Kotwiczka poszybowała nad balustradą balkonu na trzecim piętrze, ciągnąc za sobą stalowy kabel.

Upewniwszy się ostrożnym szarpnięciem, czy kotwiczka dobrze trzyma, Cassandra zsunęła się z muru do ogrodu. Wiał wiatr. W sąsiedniej alei szczekały psy. Wylądowała, nie łamiąc ani gałązki, i przywarła do ściany pod balkonem, nasłuchując, czy nie rozlegnie się alarm.

Cisza.

Sprawdziła okno. Uchylone na palec. A za nim kobieta mówiąca coś przez sen.

Doskonale.

20.18

Safia stoi w poczekalni wielkiego szpitala. Wie, co się zaraz stanie. Naprzeciwko siebie widzi schyloną, utykającą kobietą, która wchodzi do recepcji. Ma na sobie burkę. Widać wyraźnie wypukłość pod jej ubraniem.

...nie tak, jak wtedy.

Safia rzuca się przez poczekalnię, chce powstrzymać to, co zaraz ma się stać. Ale wokół niej kłębią się dzieci, czepiają się nóg, łapią za ręce. Stara się od nich uwolnić, ale płaczą.

Zwalnia, niepewna, czy pocieszać je, czy biec dalej.

Kobieta znika w tłumie przed recepcją. Safia już jej nie widzi, ale recepcjonistka podnosi rękę, wskazuje w kierunku Safii. Wołają po imieniu.

...jak wtedy.

Tłum rozchodzi się. Kobieta promieniuje od środka, burka przypomina skrzydła.

- Nie - wypowiadają bezdźwięcznie wargi Safii. Brakuje jej powietrza, żeby się odezwać, ostrzec.

Potem oślepiający wybuch, samo światło, żadnego dźwięku.

Natychmiast powraca wzrok - ale nie słuch.

Leży na plecach, patrząc, jak ciche płomienie ścigają się po gruzie. Kryje twarz przed gorącem, ale ono jest wszędzie. Odwróciwszy głowę, widzi dzieci - niektóre płonące, inne miażdżone przez kamienie. Jedno siedzi oparte o przewrócony stół. Brakuje mu twarzy. Inne nie ma rączek. Wszędzie jest krew.

Safia uświadamia sobie, dlaczego nie może krzyczeć. To świat stał się jednym, ciągnącym się w nieskończoność krzykiem. Ten krzyk nie pochodzi od dzieci, ale wydobywa się z jej gardła.

Potem coś...

...dotyka jej.

Przestraszona Safia budzi się w wannie, dławiąc się krzykiem. To było w niej zawsze, próbowało się wydostać. Zakryła usta dłonią, zaszlochała. Trzęsła się w stygnącej wodzie, objęła się ramionami. Czekala, aż zniknie echo ataku paniki.

To tylko sen...

Chciałaby w to uwierzyć. Było to jednak zbyt intensywne, zbyt żywe. Nadal czuła w ustach smak krwi. Wytarła czoło, ale wciąż drżała. Chciała ten sen złożyć na karb wyczerpania - ale to byłoby kłamstwo. Winne było to miejsce, ten kraj, odzyskany dom. I Omaha...

Zamknęła oczy, ale sen czaił się, odległy o jeden oddech. Nie był to zwykły koszmar. To wszystko zdarzyło się naprawdę. Z jej winy. Miejscowy imam, święty przywódca islamski, próbował ją powstrzymać przed odkrywaniem grobów na wzgórzach za Qumran. Nie posłuchała, zbyt pewna autorytetu nauki.

Rok wcześniej Safia spędziła sześć miesięcy na odcyfrowywaniu tekstu z pewnej glinianej tabliczki. Sugerował on, że naczynie ze zwojami schowane jest właśnie tam, być może w kolejnej grocie, tak jak sławne zwoje znad Morza Martwego. Dwa miesiące kopania wykazały, że miała rację. Odkryła czterdzieści urn zawierających bibliotekę pism aramejskich. Było to odkrycie roku.

Przyszło jej jednak zapłacić za to wysoką cenę.

Fanatyczna grupa fundamentalistów uznała to za obrazę, za zbezczeszczenie islamskiego świętego miejsca. Tym bardziej, że dopuściła się tego kobieta mieszanej krwi, blisko związana z Zachodem. Nie zdając sobie z tego sprawy, Safia stała się celem.

Tyle że to krew i życie niewinnych dzieci okazały się ceną za jej zadufanie i pychę.

Należała do trójki tych, którzy się uratowali. Cud, jak opisywano to w gazetach, cud, że przeżyła.

Modliła się, żeby już nigdy w życiu takie cuda nie były jej udziałem.

Za wiele kosztują.

Otworzyła oczy. Kurczowo trzymała się brzegu wanny. Gniew przywołał żalobę i poczucie winy. Terapeutka powiedziała jej, że to naturalna reakcja. Powinna sobie pozwolić na wściekłość. Nie mogła pozbyć się jednak poczucia winy.

Usiadła wyprostowana. Woda plusnęła i spłynęła po kafelkach, zostawiając na podłodze szlak płatków jaśminu. Inne falowały wokół jej nagiego ciała.

Pod wodą coś otarło się o jej kolano, miękkie jak kwiat, ale cięższe. Napięła się jak królik w snopie światła reflektora.

Woda uspokoiła się. Warstwa jaśminowych płatków zasłaniała coś, co było pod wodą.

Głowa węża wynurzyła się spomiędzy płatków, kilka z nich przylepiło się do błotnistobrązowej skóry. Szare oczy stały się czarne, gdy wewnętrzna powieka opadła. Safii zdawało się, że waż patrzy wprost na nią.

Rozpoznała go natychmiast po białym krzyżu na czubku głowy. *Echis pyramidum*. Żmija dywanowa. Wszystkie dzieci w Omanie uczono rozpoznawać ten znak. To była śmierć, nie chrześcijańskie zbawienie. Taką żmiję można było spotkać wszędzie w tym regionie w cienistych miejscach, zwisającą z gałęzi drzew. Jej jad był toksyczny, od ukąszenia do śmierci mijało dziesięć minut. Żmija atakowała tak szybko, że swego czasu uważano, iż potrafi fruwać.

Metrowej długości żmija płynęła w stronę Safii, która nie odważyła się wykonać żadnego ruchu. Żmija musiała wślizgnąć się do wody, kiedy Safia zasnęła, w poszukiwaniu wilgoci dla ułatwienia zmiany skóry.

Żmija dotknęła jej brzucha, uniosła głowę nieco nad wodę, Język zatrzepotał. Safia czuła łaskotanie na skórze, gdy żmija zanurzyła się jeszcze bardziej. Na ramionach czuła gęsią skórę,

Walczyła, żeby nie zacząć się trząść. Nie czując niebezpieczeństwa, żmija ułokowała się na brzuchu, potem przesunęła wyżej, powoli oparła na lewej piersi. Znów wysunęła język. Jej łuskowata skóra wydawała się ciepła.

Wszystkie mięśnie Safii były napięte. Bała się oddychać. Jak długo wytrzyma?

Żmija trwała w bezruchu. Bardzo dziwne zachowanie. Czemu żmija nie czuje bicia jej serca?

Rusz się... rozkazywała Safia w myślach. Gdyby tylko żmija wycofała się w głąb pokoju, znalazła sobie kryjówkę w jakimś kącie, dała Safii szansę na wyjście z wanny...

Safia stwierdziła, że potrzeba zaczerpnięcia powietrza jest silniejsza od ostrego bólu w piersiach.

Proszę, odejdz...

Żmija wysunęła język. Cokolwiek poczuła, wyglądało na to, że jej to odpowiada. Przed oczami Safii zaczęły tańczyć małe gwiazdeczki - z braku powietrza i ze zdenerwowania. Jeśli się poruszy, zginie. Gdyby tylko mogła oddychać...

Nagle jej uwagę przyciągnął cień za oknem. Para skropliła się na szybie i zamazywała obraz. Safia nie miała jednak wątpliwości.

Ktoś tam był.

8 WĘŻE I DRABINY

2 GRUDNIA, 20.24
STARÓWKA, MASKAT

- A gdzie, u licha, jest Safia? - zapytał Omaha, spojrzawszy na zegarek.

Minęło dziesięć minut od pory, kiedy mieli się spotkać na kolacji. Kobieta, jaką niegdyś znał, była boleśnie punktualna, wbito jej to do głowy w Oksfordzie. Właśnie zwracanie uwagi na szczegóły czyniło z niej tak doskonałego kustosza.

- Czy nie powinna już tu być?

- Kazałam przygotować dla niej kąpiel - powiedziała Kara, wchodząc do jadalni. - Pokojówka właśnie poszła do niej na górę.

Kara włożyła tradycyjną suknię z lejącego się czerwonego jedwabiu, ozdobioną delikatnym złotym haftem. Pozwoliła swobodnie opadać czerwono-brązowym włosom, na nogach miała sandały od Prady. Jak zwykle w jej przypadku tradycję od mody dzieliła bardzo cienka linia.

- Kąpiel? - jęknął Omaha. - No, to dziś już jej nie zobaczymy.

Safia uwielbiała wodę w każdej formie: prysznice, fontanny, ciekące kurki, zabawy w strumykach i jeziorach, a szczególnie kąpiele. Miał zwyczaj drażnić się z nią, przypisując tę fiksję pustynnej przeszłości. Możesz zabrać dziewczynę z pustyni, ale nigdy nie zabierzesz pustyni z dziewczyny.

Na tę myśl nieproszone pojawiły się wspomnienia wspólnych długich kąpiei, splątanych ciał, śmiechu, cichych jęków, parującej wody i rozgrzanej skóry.

- Przyjdzie, kiedy będzie gotowa - ucięła Kara, wciągając Omahę do pokoju. Skinęła głową kamerdynerowi. - Podamy lekki omański obiad, zanim wyruszymy za kilka godzin. Siadajcie proszę.

Zajęli miejsca, dzieląc się według frakcji. Po jednej stronie usiedli Painter i Coral oraz Clay Bishop, po drugiej Omaha z bratem, Kara zaś zajęła samotne krzesło u szczytu stołu.

Na niewidoczny sygnał przez uchylone drzwi weszli służący. Nieśli przykryte tace, jedni na jednej dłoni, inni większe, trzymane oburącz.

Kiedy wszystkie naczynia zostały umieszczone na stole, służący cofnęli się o krok i unieśli pokrywki, pokazując zawartość. Najwyraźniej wszystko wyreżyserowano.

Kara podawała nazwę każdego prezentowanego dania. Maabus... ryż z szafranem na udźcu jagnięcia. Shuva... prosię pieczone w glinianym piecu. Mashuai... ryba z rożna z cytrynowym ryżem... Nazwała jeszcze szereg kolejnych dań. Pomiędzy tacami na talerzach leżały cienkie, owalne chlebki. Te Omaha znał - wszechobecne rukhal, chlebki pieczone na płonących liściach palmowych.

Kara wreszcie kończyła swoje wystąpienie.

- I na koniec moje ulubione miódowe ciasteczka z syropem z miejscowych klonów.

- Jak to... żadnych owczych oczu? - wymamrotał Omaha.

- Ten smakołyk również może się pojawić - odcięła się Kara.

Podniósł uspokajająco dłoń.

- Tym razem odpuszczę. - Kara wskazała potrawy.

- Omańska tradycja nakazuje, by każdy obsługiwał się sam. Smacznego.

Wszyscy chwycili łyżki, szpikulce, chochle czy szczypce. Omaha napelnił filiżankę ze smukłego naczynia. Kahwa. Omańska kawa. Piekielnie mocna. Arabowie mogli stronić od alkoholu, ale przeciw uzależnieniu od kofeiny nie mieli nic. Upił spory łyk i westchnął. Gorzki smak gęstej kawy został złagodzony kardamonem, odległym i mile witanym posmakiem.

Rozmowa z początku skupiła się na podróży. Pomruki wyrażały zaskoczenie delikatnością mięsa i ostrością przypraw. Clay wydawał się zadowolony, napelniwszy talerz miódowymi ciasteczkami.

Kara prawie nie jadła - pilnowała służących, kierując nimi skinieniem ręki lub ruchem głowy.

Popijając kawę, Omaha przyglądał się jej.

Zeszczuplała, zmarniała od czasu, gdy widział ją ostatnio. Jej oczy nadal błyszcząły, były jednak bardziej rozgorączkowane. Zdawał sobie sprawę, jak wiele wysiłku włożyła w tę ekspedycję. I wiedział dlaczego. Safia i on mieli swoje sekrety... przynajmniej wtedy. Wiedział wszystko o Reginaldzie Kensingtonie. Jego portret wpatrywał się w Karę ze ściany za jej plecami. Czy nadal czuje to spojrzenie?

Omaha wyobrażał sobie, że zachowywałby się podobnie, gdyby to jego ojciec zniknął na pustyni, wyspany z tego świata. Dzięki Bogu jednak mógł tylko wyobrazić sobie taką stratę. Jego ojciec, w wieku osiemdziesięciu dwóch lat nadal pracował na rodzinnej farmie w Nebrasce. Na śniadanie jadał codziennie cztery jajka, kawałek bekonu, a wieczorem wypalał cygaro. Mama Omahy była w jeszcze lepszej formie. „Solidny materiał - zwykły mawiać ojciec. - Jak moi chłopcy”.

Gdy Omaha rozmyślał o rodzinie, usłyszał ostry głos brata. Danny opowiadał o porwaniu, dla podkreślenia słów, wymachując widelcem. Omaha pokręcił głową, słysząc w głosie brata zuchwałość i pewność siebie. Sam kiedyś taki był. Nieśmiertelny. W zbroi młodości.

Popatrzył na swoje dłonie. Z widocznymi żyłami i bliznami, ręce jego ojca. Słuchał opowieści brata. To, o czym mówił Danny, to nie była wielka przygoda, ale śmiertelnie poważna sprawa.

W opowieść wdarł się nowy głos.

- Kobieta? - zapytał Painter Crowe, zmarszczywszy czoło. - Jednym z porywaczy była kobieta?

Danny pokiwał głową.

- Ja jej nie widziałem, ale mój brat tak.

Omaha zauważył, że Crowe wpatruje się w niego przeszywająco błękitnymi oczami.

- Naprawdę? - mruknął.

Omaha wzruszył ramionami.

- Jak wyglądała?

To pytanie zostało zadane za szybko. Omaha odpowiedział z namysłem.

- Wysoka. Mojego wzrostu. Ze sposobu, w jaki się poruszała wywnioskowałem, że przeszła jakieś szkolenie wojskowe.

Painter zerknął na Coral. Zdawało się, że przepływa między nimi jakaś wiadomość. Wiedzieli coś, o czym nie mówili. Naukowiec zwrócił się ponownie do Omahy.

- Co jeszcze?
- Czarne włosy i zielone oczy. Pochodzenie beduińskie. I... aha... mała czerwona łyżka wytatuowana pod okiem... lewym.
- Beduinka - powtórzył Painter. - Jest pan pewny?
- Pracowałem w tym regionie przez ostatnich piętnaście lat. Odróżniam plemiona i klany.
- Więc z jakiego plemienia była ta kobieta?
- Trudno powiedzieć. Niezbyt długo jej się przyglądałem.
Painter odchylił się na oparcie, wyraźnie opuściło go napięcie. Jego partnerka sięgnęła po miodowe ciasteczko i położyła na talerzyku. Tym razem nie wymienili spojrzeń, ale coś zostało postanowione.
- Skąd to zainteresowanie? - zapytała Kara, werbalizując myśli Omahy.
Painter wzruszył ramionami.
- Jeśli to było zwykłe porwanie dla okupu, zapewne nie ma znaczenia. Jeśli nie... jeśli jest jakoś powiązane z atakiem na muzeum, to chyba wszyscy musimy wiedzieć, kogo się strzec.
Słowa te zabrzmiały rozsądnie i poważnie, ale Omaha wyczuwał, że gdzieś w głębi, pod zwykłym zainteresowaniem, jest coś jeszcze.
Kara zignorowała tę wymianę zdań. Zerknęła na wysadzany diamentami roleksa.
- Gdzie Safia? Na pewno już skończyła się kąpać?

21.12

Safia oddychała płytko.
Nie bała się węży, jednak podczas badania ruin nauczyła się je szanować. Stanowiły część pustyni, jak piasek i wiatr. Siedziała bez ruchu. Woda stygła... albo zrobiło jej się zimno ze strachu
Usadowiona na jej lewej piersi żmija zdawała się przygotowywać do długiej kąpieli. Safia rozpoznała szorstkość zewnętrznej skóry. Stary osobnik - zrzucenie skóry stanowiło dla niego spory wysiłek.
Jakieś poruszenie za oknem znów przyciągnęło jej wzrok, kiedy jednak wpatrzyła się w ciemność, niczego nie zobaczyła.
Paranoja często poprzedza atak paniki, wszechogarniający niepokój, każący widzieć zagrożenie i niebezpieczeństwo tam, gdzie go nie ma. Jej ataki zwykle powodowane były przez stres lub napięcie, nie przez zagrożenie fizyczne. Właściwie to przyływ adrenaliny związany z bezpośrednim niebezpieczeństwem stanowił dobrą ochronę przed napadem paniki, niemniej nacisk żmii na pierś powodował osłabienie tej ochrony.
Skutki ukąszenia przez żmiję dywanową były natychmiastowe i bolesne: poczerniała skóra, ogień w żyłach, konwulsje łamiące kości. Nie było na to odtrutki.
Ręce Safii zaczęły delikatnie drżeć. 4
Zmusiła się do zachowania spokoju.
Odetchnęła powoli, znów patrząc na żmiję. Jeszcze raz bardzo powoli nabrała powietrza, smakując jego słodycz. Od zapachu jaśminu, wcześniej przyjemnego, teraz zaczynało ją mdlić.
Nagle rozległo się pukanie do drzwi.
Drgnęła. Woda się poruszyła.
Żmija uniosła głowę. Safia poczuła, że ciało zwierzęcia napina się w gotowości.
- Pani al-Maaz! - odezwał się głos zza drzwi. Nie odpowiedziała.
Żmija wysunęła język i przeslizgnęła się wyżej, trójkątna głowi przywarła do gardła Safii. d

- Pani?

To Henry, kamerdyner. Pewnie chciał sprawdzić, czy nie zasnęła. Pozostali pewnie są w jadalni. W łazience nie było zegara, ale dawało się jej, że minęła cała noc. W śmiertelnej ciszy dobiegł ją zgrzyt klucza przekręcanego w starym zamku, a potem skrzypienie otwieranych drzwi. - Pani al-Maaz...? Posyłam do środka Lizę.

Dla Henry'ego, doskonałego angielskiego kamerdynera, było nie do pomyślenia wejść do apartamentu damy, szczególnie gdy ta bierze kąpiel. Małe, pospieszne krocзки przemierzały pokoje kierując się ku łazience.

Zamieszanie zdenerwowało żmiję. Uniosła się między piersiami Safii. Żmije dywanowe znane są z agresywności, zagrożone potrafią gonić człowieka nawet przez kilometr.

Ta żmija jednak, nieco rozleniwiona ciepłą wodą, nie zaatakowała.

- Witam - odezwał się głos tuż zza ostatnich drzwi. Safia nie uczyniła nic, by ostrzec pokojówkę.

Kiedy dziewczyna podchodziła do wanny, okrytą koronkowym czepekciem głowę trzymała wstydliwie pochyloną.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam w kąpielu, pani - wymamrotała.

Wreszcie podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Safii, a potem zobaczyła żmiję, jak unosi się wyżej, sycząc groźnie i kołysząc się. Mokre łuski ocierały się o siebie, wydając odgłos przypominający chrobot papieru ściernego.

Ręka pokojówki powędrowała do ust, ale nie udało jej się stłumić krzyku.

Zdenerwowana hałasem żmija szurnęła przez wodę, przesunęła się nad szerokim kafelkowanym brzegiem wanny i skierowała ku dziewczynie.

Pokojówka za bardzo się bała, żeby drgnąć.

W odróżnieniu od Safii, która złapała żmiję za ogon, kiedy ta przesuwała się nad brzegiem wanny i szarpnęła, by uniemożliwić żmii dotarcie do pokojówki. Nie była to jednak wiotka linka.

Twarde mięśnie wiły się w jej ręku, bardziej czuła, niż widziała, że żmija zwija się i próbuje ją ukąsić. Safia usiłowała wstać, ale kafelki były zbyt śliskie. Woda wychlapała się na podłogę.

Żmija zaatakowała przegub Safii, ta jednak wykręciła rękę i kły jej nie dosięgły. Jak wyszkolony wojownik, żmija skręciła się do kolejnego ataku.

Safii wreszcie udało się wstać. Obróciła się w wannie, trzymając wyciągniętą rękę, żeby siła odśrodkowa utrzymała głowę żmiji daleko od niej. Instynkt nakazywał jej cisnąć zwierzę jak najdalej. To jednak nie zakończyłoby walki. Łazienka była niewielka, a żmija bardzo agresywna.

Szybko zgięła rękę. Używała kiedyś bicia, bo dała takowy pod choinkę w głupawym prezencie dla Omahy, nawiązując do tego, że Kara uparcie nazywała go „Indiana”. Wykorzystała teraz tę samą technikę, wykręciwszy przegub i strzelając ze żmii jak z bicia.

Oszołomiona żmija nie zdążyła zareagować. Wyciągnęła się na całą długość, a jej głowa uderzyła o kafelki z taką siłą, że pękła jedna płytka.

Bryznęła karmazynowa krew.

Ciało przeszły dreszcz, po czym opadło bezwładnie.

- Pani al-Maaz!

Safia odwróciła głowę i stwierdziła, że kamerdyner Henry stoi w drzwiach, przyciągnięty wrzaskiem pokojówki, i trzyma rękę na ramieniu przerażonej dziewczyny.

Safia spojrzała na nieżywą żmiję i na własną nagość. Powinna czuć się zawstydzona i próbować się okryć, zamiast tego jednak spokojnie wyszła z wanny.

Zdradzały ją jedynie drżące ręce.

Henry ściągnął z suszarki wielki bawełniany ręcznik. Safia podeszła, a kamerdyner ją nim owinął.

Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy, oddech stał się urywany.

Za oknem widać było księżyc wyglądający zza muru pałacu. Przez mgnienie oka przeleciało nad nim coś ciemnego. Safia wzdrygnęła się, ale to coś zniknęło.

Pewnie nietoperz, nocny drapieżnik pustyni.

Safia trzęsa się jednak coraz bardziej, ramiona Henry'ego obejmowały ją coraz mocniej, gdy prowadził ją do sypialni.

- Już jesteś bezpieczna - szeptał jej po ojcowsku do ucha.

Wiedziała, że te słowa nie mogły być dalsze od prawdy.

21.22

Za oknem Cassandra kuliła się w krzakach. Widziała, jak Safia poradziła sobie ze żmiją, jak szybko się poruszała, jak zdecydowanie zakończyła sprawę. Miała zamiar poczekać, aż kobieta wyjdzie z apartamentu i szybko ukraść torbę zawierającą żelazne serce. Żmija okazała się niepożądanym gościem dla nich obu.

Jednak w odróżnieniu od Safii Cassandra wiedziała, że żmija nie znalazła się tam przypadkiem.

Złapała w oknie niewyraźne, posrebrzone księżycem odbicie. Ktoś wspinał się po murze.

Cassandra przylgnęła plecami do ściany pałacu. W każdej ręce trzymała glocka. Zobaczyła, jak jakaś postać przeskakuje przez zewnętrzny mur.

Zabójca?

W ogrodzie był ktoś oprócz niej... a ona tego nie zauważyła.

Cholernie głupio...

Gniew przyspieszył bieg jej myśli, kiedy przypomniała sobie plan na dziś. Po zamieszeniu w apartamencie Safii straciła nadzieję, że uda jej się zniknąć z łupem.

Ale ta tajemnicza postać... to całkiem inna sprawa.

Wiedziała już o próbie porwania Omahy i Daniela Dunnów. Nie było jasne, czy to był przypadek. Mogło to być coś o wiele poważniejszego - próba wymuszenia okupu od Kensingtonów.

A teraz próba zamachu na życie Safii.

To nie przypadek. Musi istnieć związek, coś, o czym Gildia nie wie, zamieszana w to trzecia strona.

Takie myśli przebiegały błyskawicznie przez głowę Cassandry.

Mocniej ścisnęła pistolety.

Odpowiedź może przyjść tylko z jednego miejsca.

Skrzyżowawszy ramiona, Cassandra schowała pistolety do kabur pod pachami. Wycelowała pistolet, pociągnęła za spust i usłyszała bzyczenie stalowego kabla. Biegła już, gdy kotwiczka zaczepiła się o szczyt muru. Pociągnęła za dźwignię - stalowy sznur napiął się i zaczął wciągać ją do góry. Buty na miękkich podszewkach biegły po murze przy jęku silniczka.

Gdy była już na szczycie, zabezpieczyła kotwiczkę i założyła gogle noktowizyjne. Przeszukiwała teren poniżej. Ciemna alejka kwitła ostrą zielenią i bielą. Po przeciwnej stronie ktoś przekradał się po murze w stronę sąsiedniej ulicy.

Zabójca.

Cassandra zaczęła biec w tym samym kierunku. Jej kroki musiały być słyszalne. Nagle cel przyspieszył i zawirował w cieniu. Musiał ją usłyszeć.

Cholera jasna.

Dobiegła do miejsca, gdzie ponad mur wyrastała palma daktylowa. Strzępiaste liście rozpościerały się szeroko, ocieniając obie strony muru. Nie zwalniając, Cassandra śledziła cel. Dobiegłszy do drzewa, złapała się liści i zeskoczyła z muru. Liście wysunęły się z jej rąk w rękawiczkach, ale jednak spowolniły jej upadek. Wylądowała w alejce i pognała w dół ulicy.

Cassandra subwokalizowała kontrolki. W wyświetlaczach gogli pojawiła się mapa najbliższej okolicy. Trzeba było mieć sporą praktykę, żeby się zorientować w miszmaszu tego obrazu.

Tutaj, w Starówce, nie istniał ani rym, ani rytm w planie miasta. Bezpośrednie otoczenie tworzyło labirynt alejek i brukowanych ulic. Jeśli zabójca zniknie w tej płataninie...

Cassandra przyspieszyła. Trzeba go jakoś spowolnić. Cyfrowy obraz pokazywał, że boczna ulica za jakieś trzydzieści metrów przetnie się z kolejnymi alejami.

Miała tylko jedną szansę.

Zanurkowała za róg, odczepiając pistolet. Kiedy tylko wpadła w uliczkę, namierzyła cel.

Pociągnęła za spust.

Rozległ się bzyk uwalnianego kabla. Kotwiczka poleciała niskim łukiem w dół ulicy, mijając cel nad ramieniem.

Cassandra nacisnęła dźwignię wciągarki, odwracając ciąg, jednocześnie szarpiąc wstecz. Jak spinning.

Końcówki kotwiczki wbiły się w ramię celu.

Cassandra pozwoliła sobie na ponury uśmiech zadowolenia.

Smakowała jednak zwycięstwo zbyt wcześnie.

Przeciwnik kontynuował obrót, odpinając zapięcie peleryny i rzucając ją wolno ze sprawnością, której mógłby pozazdrościć Houdini. W świetle księżyca i dzięki noktowizorowi postać była widoczna jak w słońcu.

Kobieta.

Wylądowała z kocią gracją na jednej ręce, podrywając się z powrotem na nogi, i pognała w dół ulicy.

Cassandra zakłęła i ruszyła w pogoń. Część jej doceniała sprawność celu i wyzwanie. Inna część chciała strzelić kobiecie w plecy za to, że ta sprawiła, iż dzisiejszy wieczór był tak długi.

Nie potrzebowała odpowiedzi.

Doganiała kobietę, a ta poruszała się zwinnie i pewnie. Cassandra w szkole średniej była mistrzynią sprintu, a dzięki rygorystycznemu treningowi w siłach specjalnych stała się jeszcze szybsza. Żeby być pierwszą kobietą w Rangersach, musiała być szybka.

Cel skręcił za następny róg.

O tej porze ulice były puste. Po zachodzie słońca Starówka zamykała drzwi na klucz i zatrzaśniała okiennice, zostawiając ulice w mroku. Rzadkie dźwięki muzyki lub wybuchy śmiechu odbijały się echem od wewnętrznych dziedzińców. Z wyższych balkonów gdzieś padało światło.

Cassandra sprawdziła cyfrowy plan miasta. Uśmiech rozciągnął jej wargi. Płatanina alejek, w którą uciekł cel, była zwariowana, ale w ostateczności tworzyła ślepy zaułek kończący się przy fłance starożytnego fortu Jalai. Okolona murem forteca nie miała z tej strony żadnych wejść.

Cassandra nie zwalniała kroku. Planowała atak. Wyjęła glocka. Drugą ręką nacisnęła włącznik radia.

- Dajcie ewak w dziesięć - rzuciła. - Namiar na mój GPS.

Odpowiedź była sucha:

- Zrozumiano. Ewak w dziesięć.

Zgodnie z planem zastępca dowódcy zespołu miał wysłać trzy zmodyfikowane motory krosowe z dodatkowo wyciszonymi tłumikami, solidnymi oponami i uniesionymi silnikami.auta miały ograniczone zastosowanie w wąskich przejściach Starówki. Motory w tym rejonie były lepsze. Rada Cassandry: dopasuj narzędzie do zadania. W czasie gdy ona zapędzi cel w kozi róg, zespół już będzie deptał mu po piętach. Ona sama zaś zatrzyma cel w miejscu. Jeśli będzie stawiał opór, kula w kolano załatwi sprawę.

Cassandra zauważyła, że jej cel zwalnia, a dystans maleje. Kobieta musiała stwierdzić, że zmierza w pułapkę.

Wreszcie za ostatnim zakrętem ukazał się górujący nad miastem fort Jalai. Ściany magazynów z każdej strony opierały się o mury twierdzy, tworząc kamienne pudło.

Pozbywszy się peleryny, kobieta miała na sobie jedynie luźną, białą, prostą suknię. Patrząc w górę, stała u podstawy pionowego muru z piaskowca, który otaczał fort. Najbliższy chwyt lub otwór znajdował się trzy metry wyżej. Gdyby kobieta chciała wspiąć się na dach któregoś z magazynów, Cassandra zniechęciłaby ją kilkoma celnymi strzałami z glocka.

Wkroczyła w głąb zaułka, blokując wszelką ucieczkę.

Kobieta wyczuła to i odwróciła się, stając z Cassandra twarzą w twarz.

Cassandra przesunęła noktowizyjne gogle na czoło. Księżyc wystarczająco oświetlał zaułek. W zbliżeniach wołała naturalne światło. Trzymając glocka podejrzliwie wycelowanego przed siebie, zmniejszyła dystans.

- Nie ruszaj się - powiedziała po arabsku.

Kobieta wzruszyła ramionami. Suknia opadła z niej i rozlała się białą kałużą wokół kostek, zostawiając ją na ulicy nagą. Długonoga, o piersiach rozmiaru jabłek, pochyliwszy długą, pięknie ukształtowaną szyję, zdawała się nie przejmować swą nagością - w Arabii to prawdziwa rzadkość. W jej pozie była szlachetność, wyglądała jak grecki posąg arabskiej księżniczki. Jediną jej ozdobę stanowił niewielki rubinowy tatuaż pod lewym okiem. Łza.

Kobieta przemówiła. Cassandra władała dwunastoma językami, a nieźle dwudziestoma innymi. Wyteżyła słuch, wyczuwając w tej mowie coś znajomego, ale nie będąc w stanie tego umiejscowić.

Naga kobieta cofnęła się w cień wieży. Przesunąwszy się z księżycowego blasku w ciemność, jej postać zniknęła na mgnienie.

Cassandra zrobiła krok do przodu, żeby zachować dystans.

Wpatrzyła się intensywniej.

Nie...

Nasunęła gogle noktowizyjne. Cienie się rozproszyły. Obraz piaskowcowego urwiska fortu stał się ostrzejszy. Przeszukała prawą i lewą stronę.

Ani śladu kobiety.

Cassandra ruszyła do przodu z uniesionym pistoletem. Po siedmiu krokach doszła do muru. Wysunęła rękę, dotknęła muru, upewniła się, że jest prawdziwy i solidny. Oparłszy się o niego plecami, przepatrzyła zaułek noktowizją. Żadnego ruchu, żadnego śladu żywej istoty.

Niemożliwe.

Jakby zamieniła się w cień i znikła.

Prawdziwy dżin, duch pustyni.

Wystarczyło jednak popatrzeć na stos porzuconej odzieży. Od kiedy to duchy noszą ubrania?

Zgrzyt żwiru i cichy pomruk skierował uwagę Cassandry ku wlotowi zaułka. Jej wsparcie. Trzy motocykle.

Kiedy podeszła do prowadzącego motoru, zapytała:

- Widzieliście po drodze w alejce nagą kobietę?

Twarz motocyklisty kryła maska, ale oczy wyrażały zmieszanie

- Naga?

Cassandra wychwyciła w jego głosie zaprzeczenie.

- Nieważne - mruknęła.

Wspięła się na siodelko za kierowcą. Ta noc okazała się klapą. Działo się tu coś dziwnego. Musi mieć czas, żeby się w tym rozeznać.

Poklepała kierowcę po ramieniu. Zawrócił i cała trójka pojechała tą samą drogą, którą przybyła, kierując się do pustej hali, wynajętej przy dokach na bazę operacji w Maskacie. Około północy uruchomią plan wyeliminowania sił ekspedycyjnych Crowe'a.

Cassandra przebiegała w myśli szczegóły, które należało jeszcze dopracować, miała jednak trudności z koncentracją. Co się stało z tą kobietą? Czy w murze fortu znajdowało się tajne wejście nieznanie jej wywiadowi? Tak, to jedyne wyjaśnienie.

Kiedy analizowała sytuację, słowa kobiety rozbrzmiewały echem w jej uszach. Stłumiony pomruk silników pomagał się jej skupić. Gdzie już słyszała ten język?

Zerknęła na starożytny fort Jalai, na jego wieże pławiące się w księżycowym blasku. Starożytna budowla z zaginionej ery.

Uderzyło ją to. Ten jakby znajomy język.

Nie współczesny. Starożytny.

Znów słyszała te słowa, brzemienne ostrzeżeniem. Choć nadal nie rozumiała, wiedziała, czego słuchała. Martwego języka.

Aramejskiego.

Języka Jezusa Chrystusa.

22.28

- Jak to się tu dostało? - spytał Painter. Stał przy drzwiach do łazienki, patrząc na martwą żmiję pływającą wśród płatków jaśminu.

Wszyscy biorący udział w kolacji usłyszeli wrzask służącej i zerwali się z miejsc. Zostali zatrzymani przez kamerdynera i czekali, aż Kara pomoże Safii włożyć szlafrok.

Safia leżała na łóżku, a obok, w fotelu siedziała Kara.

- Te cholerne paskudztwa wszędzie wąż-mówiła - nawet przez rury kanalizacyjne. Pokoje Safii były zamknięte przez lata. Żmija mogła się gnieździć gdziekolwiek. Kiedy wietrzyliśmy i sprzątaaliśmy, poczuła się zaniepokojona, a potem przyciągnęła ją woda w wannie.

- Liniała - szepnęła ochryple Safia.

Kara dała jej pigułkę. Jej działanie spowolniło mowę, ale Safia wydawała się bardziej spokojna, kiedy pojawili się goście. Mokre włosy wiły się na jej ramionach. Z wolna wracały na twarz kolory.

- Liniejące węże szukają wody - przypomniała Kara.

- A więc bardziej prawdopodobne, że przyszła z zewnątrz - dodał Omaha, stojąc w wejściu do apartamentu. Pozostali czekali w holu.

Kara poklepała Safię po kolanie i wstała.

- W każdym razie, skończyło się. Najlepiej zrobimy, jeśli weźmiemy się do przygotowań do odjazdu.

- Na pewno możemy poczekać jeden dzień - rzekł Omaha, zerkając na Safię.

- Nie. Dam radę.

Kara potwierdziła skinieniem głowy.

- Mamy umówione spotkanie w porcie o północy.

Painter uniósł dłoń.

- Nie powiedziała nam pani, jak będziemy podróżowali.

Kara machnęła ręką, jakby odganiała brzydki zapach.

- Zobaczycie, gdy będziemy na miejscu. Ja muszę jeszcze dopilnować tysiąca drobiazgów. - Minęła Omahę i wyszła z apartamentu. Będąc już w holu, odwróciła się i dodała: - Bądźcie na dziedzińcu za godzinę.

Omaha i Painter stali naprzeciwko siebie, po obu stronach łóżka. Żaden nie drgnął, nie mieli pewności, czy właściwe byłoby pocieszenie Safii. Sprawę rozstrzygnął Henry, który wszedł z naręczem poskładanych ubrań.

Skinął głową obu mężczyznom.

- Panowie, zadzwoniłem po pokojówkę, żeby pomogła pani al-Maaz ubrać się i spakować, więc zechciejcie być tak mili... - Skinął głową w stronę drzwi. Painter podszedł do Safii.

- Jesteś pewna, że możesz jechać? - Pokiwała z wysiłkiem głową.

- Dziękuję. Poradzę sobie.

- I tak poczekam na ciebie w holu.

Safia uśmiechnęła się lekko. Odwzajemnił uśmiech.

- To nie będzie konieczne - odrzekła.

- Wiem, ale i tak tam będę.

Zauważył, że Omaha przypatruje mu się badawczo oczami odrobinę bardziej zwięzonymi, niż były uprzednio. Rysy twarzy ściągnięte. Najwyraźniej podejrzliwy, ale pod powierzchnią krył się ślad gniewu.

Kiedy Painter szedł do drzwi, Omaha nie uczynił nic, żeby go przepuścić. Crowe musiał przejść bokiem.

- Świetnie sobie poradziłaś, dziecinko - odezwał się Omaha do Safii.

- To był tylko wąż - odpowiedziała, wstając, żeby wziąć rzeczy od kamerdynera. - Mam mnóstwo do zrobienia przed wyjazdem.

Omaha westchnął.

- W porządku. Słyszę. - Podążył do drzwi za Painterem.

Wszyscy już poszli, na korytarzu było pusto. Painter stanął na posterunku przy drzwiach. Gdy Omaha go mijał, zagaił:

- Doktorze Dunn...

Archeolog zatrzymał się i spojrzał na niego.

- Ten wąż... powiedziałaś, że był z zewnątrz. Dlaczego tak sądzisz?

Omaha wzruszył ramionami, cofając się nieco.

- Nie wiem na pewno, ale żmije dywanowe lubią popołudniowe słońce, szczególnie kiedy linieją. Dlatego nie bardzo mogę sobie wyobrazić, żeby kryły się gdzieś przez cały dzień.

Painter przyjrzał się zamkniętym drzwiom apartamentu Safii; Okna wychodziły na wschód. Słońce świeciło tam tylko rano. Jeśli archeolog miał rację, żmija miałyby długą drogę do przebycia z jakiegoś nasłonecznionego miejsca do wanny.

Omaha czytał w jego myślach.

- Nie uważasz chyba, że ktoś ją podłożył?

- Może jestem trochę zbyt podejrzliwy, ale przecież jakaś zmilitaryzowana grupa próbowała już raz zabić Safię.

Painter skrzywił się, na jego twarzy pojawiło się znużenie.

- To było pięć lat temu. W Tel Awiwie. Poza tym, jeśli ktoś podłożył tę żmiję, to nie mógł być nikt z tamtych sukinsynów.

- A to czemu? - Omaha pokręcił głową.

- Ci ekstremiści zostali wykończeni przez grupę izraelskich komandosów rok później. Właściwie to zostali całkowicie wyeliminowani.

Painter znał szczegóły. To właśnie Dunn pomógł Izraelczykom wytropić terrorystów dzięki swoim kontaktom w regionie.

Omaha mówił, bardziej do siebie niż do Paintera, a w jego głosie brzmiała gorycz:

- Po tym wszystkim miałem nadzieję, że Safii ulży... że wróci tutaj... Stary, to nie takie proste.

Painter powoli poznawał Omahę. Ten gość rozwiązuje problemy od razu, wali bykiem bez oglądania się za siebie. To nie tego potrzebuje Safia. Wątpił, czy Omaha będzie w stanie kiedykolwiek to pojąć. Wyczuwał w tym człowieku ogromne poczucie straty, studnię goryczy zapelnioną przez piasek mijających lat. Spróbował mu pomóc.

- Takiej traumy nie da się przewyciężyć...

Omaha przerwał mu ostro:

- Taa, już to słyszałem. Dzięki, ale nie jesteś moim cholernym terapeutą. Ani jej. - Ruszył korytarzem i krzyknął drwiąco przez ramię: - A wąż, doktorku, czasami to tylko wąż!

Painter westchnął.

Zza sąsiedniego łuku wyłoniła się postać. Coral Novak.

- Ten gość jest nieźle odjechany - stwierdziła.

- Jak my wszyscy.

- Podслуchałam waszą rozmowę. Tylko tak z nim gadałeś, czy uważasz, że faktycznie jest w to wplątana jeszcze jedna strona?

- Z całą pewnością ktoś tu miesza.

- Cassandra?

Pokręcił wolno głową.

- Nie, to jakaś niewiadoma zmienna.

Coral skrzywiła się, co w jej przypadku oznaczało minimalne opuszczenie w dół kącików ust.

- To niedobrze.

- Nie... nie jest dobrze.

- A ta kustoszka? - Coral pokazała głową drzwi. - Czy naprawdę odgrywasz rolę troskliwego cywilnego naukowca.

Painter wychwycił nutę subtelnej ostrzeżenia, zawołaną obawę, że mógłby przekroczyć linię między profesjonalizmem i czymś bardziej osobistym.

Coral ciągnęła:

- Jeśli jest trzecia strona i węszy, to może powinniśmy poszukać jakichś dowodów?

- Zdecydowanie. Dlatego właśnie zaraz sobie stąd pójdziesz.

- Coral uniosła brew.

- Ja muszę pilnować drzwi - odpowiedział na nie zadane pytanie.

- Rozumiem. - Coral zaczęła się odwracać. - Ale czy zostajesz tutaj, żeby strzec kobiety, czy misji?

Painter postarał się, aby jego głos zabrzmiał twardo.

- W tym konkretnym przypadku to to samo.

23.35

Safia wpatrywała się w mijany pejzaż. Dwie tabletki diazepanu sprawiły, że czuła się skołowana. Światła latarni rozmywały się, tworzyły fosforyzujące smugi. Wszystkie budynki były ciemne. Przed nimi łuna znaczyła port w Maskacie. Handlowe nabrzeże pracowało całą dobę, jaśniejąc reflektorami i sodowymi lampami warsztatów i magazynów.

Port ukazał się w całej okazałości, kiedy skręcili w prawo. Zatoka była niemal pusta, większość barek z ropą i kontenerowce zostały zadokowane przed zachodem słońca. W nocy ich ładunek musiał być przeładowany i odesłany. Nawet teraz suwnice i kontenery rozmiarów

wagonu kolejowego przesuwają się w powietrze niby gigantyczne klocki. Jeszcze dalej, nad horyzontem, monstrualne cielsko liniowca płynęło niczym oświetlony świeczkami tort urodzinowy, konkurując z mnóstwem gwiazd.

Limuzyna oddaliła się od zgiełku i skierowała ku odległemu krańcowi portu, gdzie stały zacumowane bardziej tradycyjne dhowy, żaglowce Arabii. Przez tysiące lat Omańcy przemierzali na nich morza od Afryki do Indii. Były to proste drewniane skorupy z charakterystycznym trójkątnym żaglem. Różniły się wielkością od płytkiej tratwy zwanej badan i od dalekomorskich baglah. Dumny orszak tych starych statków, stłoczonych jeden przy drugim, otaczał najdalszą część przystani, żagle miały zwinięte, a maszty sterczały wysoko w płataninie lin.

- Prawie jesteśmy na miejscu - powiedziała Kara do Safii.

Poza nimi, kierowcą i ochroniarzem jedynym pasażerem limuzyny był Clay Bishop. Kiedy Kara mówiła, zachrapał lekko.

Z tyłu sunęła druga limuzyna z Amerykanami: Painterem, Coral, Omahą i jego bratem.

Safia się wyprostowała. Kara jeszcze jej nie powiedziała, jak dotrą do Salalah. Zmierzali do portu, więc domyśliła się, że będą podróżowali wodą. Salalah to miasto portowe, jak Maskat, więc podróż morzem była łatwiejsza niż lot samolotem. Statki, zarówno towarowe, jak i pasażerskie, kursowały w dzień i w nocy. Były to różne jednostki, od napędzanych dieslami promów po szybkie jak błyskawica wodoloty. Wiedząc, jak bardzo Kara chce ruszyć w drogę, Safia domyślała się, że użyją najszybszego pojazdu z możliwych.

Limuzyny przejechały przez bramę i sunęły dalej, wzdłuż pirsu, mijając rzędy zacumowanych chowów. Safia знаła terminal pasażerski, ale teraz nie jechali w jego kierunku.

- Karo...? - zaczęła.

Limuzyna minęła ostatnie biuro na końcu pirsu. Z tyłu, oświetlona reflektorami i zatłoczona ludźmi ciągnącymi liny oraz dokerami, stała prawdziwa morska piękność. Widząc zamieszanie i postawione żagle, nie można było mieć wątpliwości, że tym właśnie popłyną.

- Nie - wyszeptała Safia.

- Tak - odpowiedziała Kara, nie kryjąc niezadowolenia.

- Święty Boże - jęknął Clay, pochylając się do przodu, żeby lepiej widzieć.

Kara zerknęła na zegarek. i

- Nie mogłam odmówić, kiedy sułtan zaproponował, bym skorzystała z tego statku.

Szofer zaparkował tyłem do pirsu. Otworzył drzwi, a Safia wstała i chwiejąc się lekko, popatrzyła na czubki trzydziestometrowych masztów. Długość statku była niemal dwa razy większa

- „Shahab Oman” - wyszeptała z podziwem.

Klipper o wysokich masztach był dumą sułtana, morskim ambasadorem kraju, przypomnieniem jego morskiej historii. Zaprojektowany w klasycznym angielskim stylu, miał fokmaszt z prostokątnymi żaglami, grotmaszt i bezanmaszt z żaglami zarówno prostokątnymi jak i skośnymi. Zbudowany w 1971 roku ze szkockiego dębu i sosny urugwajskiej był w tym czasie największym na świecie statkiem tego typu, który nadal pływał. Przez ostatnie trzydzieści lat podróżował po całym świecie i uczestniczył w regatach.

Po deskach jego pokładu kroczyli prezydenci i premierzy, królowie i królowe. A teraz wypożyczono go Karze, by mogła dotrzeć do Salalah. To bardziej niż cokolwiek innego dowodziło szacunku sułtana dla rodziny Kensingtonów. Safia zrozumiała, dlaczego Kara nie mogła odmówić.

Safia musiała stłumić lekką zazdrość, zaskoczona, że coś takiego poczuła. Niepokój spowodowany przez zmię i szarpiące wątpliwości odpłynęły. Może to działanie tabletek, ale

wolała wierzyć, że to zapach soli niesiony przez bryzę oczyścił jej umysł i serce. Od jak dawna tak się nie czuła?

W tym czasie podjechała druga limuzyna. Amerykanie wysiedli i z szeroko otwartymi oczami podziwiali statek.

Jedynie Omaha wydawał się niezbyt przejęty, iż statek wywarł na nim wrażenie, choć, oczywiście, starał się to ukryć.

- Doskonale, ekspedycja zamienia się film o Sindbadzie.
- Kiedy wejdiesz między wrony... - mruknęła Kara.

23.48

Cassandra obserwowała statek z drugiego końca portu. Gildia mogła używać tej hali dzięki kontaktom z przemytnikiem pirackich kaset wideo. Tylna część przedziewiałej budowli była zapchana paletami nielegalnych DVD i kaset VHS.

Jednak dzięki temu, że w hali mieścił się kiedyś warsztat naprawczy, dysponowała ona własnym zamkniętym dokiem i miejscem do cumowania, co bardzo odpowiadało Cassandrze. Woda pluskała o pale, wzburzona przez trawler wypływający w morze.

Fale zakotyły szereg łodzi, które przybyły tutaj w zeszłym tygodniu. Jedne w częściach, złożone na miejscu, inne dostarczone w całości pod osłoną nocy. Cumowały tu trzy wielorybiczne motorówki bostońskie, na których, przymocowane linami, znajdowały się smukłe czarne skutery wodne, zmodyfikowane przez Gildię poprzez dodanie karabinów na obrotowych statywach. W doku stała także łódź Cassandry - wodolot zdolny do osiągnięcia rakietowej wręcz prędkości ponad stu węzłów.

Dwunastoosobowy zespół zajęty był ostatnimi przygotowaniem. Wszyscy ci ludzie należeli kiedyś do sił specjalnych, tak jak Cassandra, ale tych twardzieli Sigma nie zrekrutowała nigdy. Nie, żeby nie byli wystarczająco inteligentni. Po tym, jak zostali wyrzuceni z sił, większość dołączyła do rozmaitych najemnych i paramilitarnych grup na całym świecie, nabywając nowych umiejętności, jeszcze bardziej twardniejąc i stając się bardziej przebiegłymi. Spośród tych ludzi Gildia wybrała takich, którzy najszybciej potrafili się zaadaptować, byli najbardziej inteligentni, takich, którzy wykazywali się największą lojalnością wobec zespołu - cechy, które doceniłaby nawet Sigma. Tyle że w przypadku Gildii głównym kryterium było to, że ludzie ci nie mieli żadnych oporów przed zabijaniem.

- Kapitan Sanchez - odezwał się do Cassandry jej zastępcą.

Nie oderwała wzroku od obrazu przekazywanego przez zewnętrzne kamery. Liczyła ludzi, gdy grupa Paintera wchodziła na pokład i była witana przez omańskich oficjeli. Wszyscy na pokładzie. Wreszcie się wyprostowała.

- Tak, Kane?

John Kane był jedynym nie-Amerykaninem. Służył w australijskich SAS, Specjalnych Służbach Powietrznych. Gildia nie ogradzała poszukiwania talentów do terytorium USA, tym bardziej, że operowała na arenie międzynarodowej. Kane miał ponad dwa metry wzrostu, był muskularny. Głowę golił, lecz nosił czarną brodę.

Ten zespół praktycznie w całości należał do Kane'a. Stacjonowali w Zatoce, dopóki nie zostali wezwani przez Gildię. Ta organizacja dysponowała grupami rozsianymi po całym świecie - były to niezależne komórki, nie mające pojęcia o innych, każda gotowa natychmiast stawić się na wezwanie Gildii.

Ze względu na znajomość Sigmy, przeciwnika Gildii w tej operacji, właśnie Cassandrę mianowano dowódcą misji. To ona wiedziała, jak działa Sigma, znała jej strategię i procedury. Ponadto znała dobrze szefa operacji - Paintera Crowe'a.

- Załadowane i zamocowane - zameldował Kane. Cassandra skinęła głową i sprawdziła czas. „Shahab Oman” miał wypłynąć o północy. Powinni odczekać pełną godzinę, po czym ruszyć w pościg. Kolejny raz spojrzała na monitor i policzyła w myśli.

- „Argus”? - spytała.

- Nadali przez radio kilka minut temu, że są na miejscu i patrolują strefę ataku, żeby nie było „przechodniów”.

„Argus” była to czteroosobowa łódź podwodna zdolna do wyładowania nurków bez wynurzenia. Nadtlenek wodoru stanowiący napęd silników i bateria minitorped czyniły ją jednocześnie szybką i śmiertcionołą.

Cassandra ponownie skinęła głową. Wszystko jak trzeba.

Nikt na pokładzie „Shahab Omana” nie miał dożyć świtu.

PÓLNOC

Henry stał pośrodku łazienki, kiedy w wannie coś zabulgotało. Jego marynarka leżała na łóżku w sąsiednim pokoju. Podwinął rękawy i naciągnął żółte gumowe rękawice.

Westchnął. Tę sprawę powinna załatwić pokojówka, ale dziewczyny powariowały ze strachu, a on czuł się odpowiedzialny za pozbycie się z domu resztek węża. Przecież dobre samopoczucie gości pałacu spoczywało na jego barkach, a więc miał świadomość, że tego wieczoru zawiódł. I mimo że cała grupa, wraz z lady Kensington, już wyjechała, nadal czuł się odpowiedzialny za to żeby wyrzucić węża i skorygować swój błąd.

Nachylił się nad wanną i drżącymi rękami sięgnął po żmiję.

Poruszała się w spływającej wodzie, przybierając kształt litery „s”. Wydawało się, że lekko się porusza, powodowana ssaniem odpływu. Zawahał się. Te zwłoki wyglądały na żywe.

Zacisnął pięść.

- Weź się w garść, stary.

Robiąc głęboki wdech, złapał węża pośrodku. Obrzydzenie wykrzywiło mu twarz, zacisnął zęby.

- Cholerny kawałek gówna - syknął, wracając do swego dublińskiego dzieciństwa. W cichej modlitwie zwrócił się do świętego Patryka, żeby ochronił Irlandię przed takim paskudztwem.

Wyjął wiotkie ciało z wanny, by włożyć je do plastikowego wiadra. Trzymając żmiję ogonem w dół, zaczął wkładać ją do wiadra, formując z niej zwoje.

Kiedy na czubku zwojów ułożył głowę, po raz kolejny zdziwiło go to, że stworzenie wygląda, jakby żyło. Wrażenie psuł tylko zgruchotany łepiek. Henry wyprostował się i pokręcił głową, zauważywszy coś dziwnego. A to co znowu? - pomyślał. Odwrócił się i wziął z toaletki plastikowy grzebień. Drżącą ręką przytrzymując żmiję tuż za czaszką, grzebieniem rozchylił jej pysk, żeby przekonać się, czy się nie pomylił. - Dziwne- wymamrotał.

Żmija nie miała zębów jadowych.

9

KREW NA WODZIE

3 GRUDNIA, 1.02 MORZE ARABSKIE

Safia stała przy relingu i patrzyła na przesuwającą się linią brzegu. Statek jęczał i skrzypiał, żagle łopotały, gdy wiatr zmieniał kierunek.

Było tak, jakby zostali przeniesieni w inny czas, kiedy świat tworzyły tylko wiatr, piasek i woda. Zapach soli i szept fal wymazały zgiełk Maskatu. Świeciły gwiazdy, ale widać było nadciągające chmury. Zanim dotrą do Salalah, zaczną padać.

Kapitan statku już przedstawił prognozę pogody. Fale miały sięgać trzech metrów.

- „Shahab” to wytrzyma - rzekł z uśmiechem. - Ale będzie trochę kołysało. Gdy zaczną padać, zejście do kabin.

Safia postanowiła skorzystać z tego, że widać było jeszcze czyste niebo. Po przeżyciach minionego dnia uznała, że w kabinie czułaby się jak w więzieniu. Tym bardziej, że leki uspokajające przestawały działać.

Patrzyła, jak ciemna linia brzegu coraz bardziej się oddala, tak cicho, tak gładko. Ostatnia oaza światła, kompleks przemysłowy na samym skraju Maskatu, zaczął niknąć za wzniesieniami lądu.

- Oto niknie ostatni ślad cywilizacji takiej, jaką znamy - powiedział ktoś za jej plecami.

Clay Bishop podszedł do relingu, oparł na nim rękę, a drugą uniósł papierosa do ust. Nadal miał na sobie lewisy i czarny T-shirt z napisem „Mam mleko”. Przez dwa lata, kiedy był magistrantem nigdy nie nosił niczego innego poza T-shirtami, zwykle reklamującymi w jaskrawych kolorach różne kapele rockowe. Ten czarno-biały stanowił ewidentnie jego strój wieczorowy.

Nieco zirytowana, że jej przeszkadza, Safia odezwała się sucho, jak nauczycielka:

- Te światła - skinieniem głowy wskazała niknący kompleks - to ważna przemysłowa część miasta. Panie Bishop, potrafi pan powiedzieć, co to jest?

Clay wzruszył ramionami i po chwili wahania odrzekł:

- Rafineria ropy?

Spodziewała się takiej odpowiedzi, ale była ona błędna.

- Nie, to odsalarnia zapewniająca miastu świeżą wodę.

- Wodę?

- Ropa może być źródłem bogactwa Arabii, ale woda to jej krew.

Pozwoliła, żeby student się nad tym zastanowił. Niewielu ludzi na Zachodzie zdawało sobie sprawę z wagi projektów związanych z odsalaniem wody dla Arabii. Prawa wodne i źródła świeżej wody już zastępowały ropę jako punkt zapalny na Środkowym Wschodzie i w północnej Afryce. Najgorętsze konflikty między Izraelem i jego sąsiadami - Libanem, Jordanią i Syrią - nie dotyczyły ideologii, ale panowania nad zasobami wodnymi doliny Jordanu.

Wreszcie Clay przemówił:

- Whisky do picia, woda do bicia. - Safia zmarszczyła brwi.

- Mark Twain - wyjaśnił.

Po raz kolejny zaskoczył ją swoją intuicją. Pokiwała głową.

- Bardzo dobrze.

Za tymi grubymi czarnymi okularami kryła się przenikliwa inteligencja. Stanowiła jeden z powodów, dla których Safia zgodziła się na udział Claya w ekspedycji. Pewnego dnia zostanie wybitnym badaczem. Chłopak znów uniósł papierosa do ust. Przyglądając mu się, zauważyła, że zapalony koniec drga lekko, a kostki jego ręki trzymającej reling pobieleły.

- Dobrze się pan czuje?

- Nie jestem fanem otwartego morza. Gdyby Bóg chciał, żeby człowiek żeglował, nie przerobiłby dinozaurów na paliwo do odrzutowców.

Poklepała go po dłoni.

- Proszę iść do łóżka, panie Bishop.

Odsalarnia wreszcie zniknęła za skrawkiem lądu. Wszystko pociemniało, tylko światła statku odbijały się w wodzie.

Za Safią pojedyncze latarnie i snopy światła rozjaśniały pokłady pomagając członkom załogi w pracy przy linach i żaglach przygotowujących statek do sztormu. W skład załogi wchodził głównie praktykanci, młodzi ludzie z Królewskiej Marynarki Omanu odbywający krótkie rejsy wzdłuż wybrzeża. „Shahab” miał za dwa miesiące wziąć udział w regatach o Puchar Prezydenta.

Rozmowy młodych ludzi przerwał krzyk. Posypały się arabskie przekleństwa. Rozległ się trzask. Safia odwróciła się i zobaczyła, jak pokrywa środkowej ładowni pokładowej gwałtownie odskakuje, uderzając młodego marynarza. Ze środka wyskoczył inny, z impetem padając na bok.

Po chwili wszystko się wyjaśniło. O pokład zaczęły walić końskie kopyta. Po pochylni wbiegł biały ogier. Zarzucając grzywą, stanął, srebrny w blasku księżyca, o oczach czarnych jak węgiel. Teraz krzyczeli już wszyscy.

- Jezu! - wrzasnął Clay.

Koń cofnął się, zarżał groźnie, a kopyta zatańczyły na deskach. Był uwiązany, ale linka się urwała.

Ludzie biegali dookoła, machali rękami, starając się zagonić ogiera do luku. Zwierzę nie chciało tam wejść, wierzgało, rzucało łbem i próbowało gryźć.

Safia wiedziała, że koń jest jednym z czterech rumaków przewożonych pod pokładem - dwa ogiery, dwie klacze - do królewskich stajni w pobliżu Salalah. Ktoś musiał niestaranie zabezpieczyć zwierzęta.

Zamarła przy relingu, obserwowała zmagania. Ktoś znalazł kawałek linki i zrobił z niej lasso. Chcąc zarzucić pętlę, zwichnął nogę i odskoczył z krzykiem.

Ogier wyrwał się i wierzgał w płataninie lin. O pokład uderzył kabel elektryczny, żarówki rozbiły się w drobny mak.

W rękę jednego z marynarzy pojawił się karabin. Szaleństwo konia zagrażało życiu ludzi i bezpieczeństwu statku.

- La! Nie!

Uwagę Safii przyciągnął błysk nagiej skóry. Roztrącając marynarzy na pokład wybiegła półnaga postać. Tylko w bokserkach, Painter wyglądał jak barbarzyńca. Włosy miał potargane, jakby właśnie wstał. Krzyki i łomot na pokładzie wyciągnęły go z kabiny. Zerwał płachtę ze zwoju lin i krzyknął po arabsku: - Wa-ral. Cofnąć się!

Minąwszy krąg marynarzy, Painter machnął płachtą. Ruch przyciągnął uwagę ogiera. Cofnął się, zatupał tylnymi kopytami, nie oderwał jednak oczu ani od płachty, ani od człowieka. Byk i matador.

- Ye-ahh! - wrzasnął Painter i machnął ręką. Ogier cofnął się o krok i opuścił łeb.

Amerikanin zrobił krok do przodu, lecz nie w kierunku konia, tylko nieco w bok. Szybkim ruchem zarzucił płachtę na koński łeb. Ogier potrząsnął głową, ale płachta okazała się za duża, żeby zwierzę było w stanie się od niej uwolnić. Koń stał nieruchomo, niepewny. Drżał, w świetle księżyca na jego grzbiecie błyszczał pot.

Painter stał o krok od zwierzęcia. Przemówił do niego, lecz za cicho, by Safia mogła coś usłyszeć. Rozpoznała jednak ton. Słyszała go w samolocie. Pocieszenie.

Wreszcie podszedł i położył dłoń na boku ciężko oddychającego ogiera. Ten zarżał i znów zarzucił głową, jednak nieco łagodniej.

Painter poklepał konia po karku, nadal coś szepcząc. Drugą ręką sięgnął do zerwanej linki umocowanej do kantara. Powoli poprowadził konia po okręgu.

Nic nie widząc, koń odpowiadał na znajome sygnały, musząc zaufać człowiekowi trzymającemu linkę.

Safia patrzyła na Paintera. Jego skóra błyszczała jak boki konia. Wolną ręką przeczesał włosy. Czyżby ta ręka zadrżała?

Powiedział coś do jednego z członków załogi, ten skinął głową i poprowadził Amerykanina do ładowni. Koń szedł za nimi.

- Super - mruknął Clay z podziwem i wyrzucił papierosa do wody.

Zamieszanie się skończyło i załoga powoli wracała do swoich obowiązków. Safia rozejrzała się i stwierdziła, że na pokładzie są prawie wszyscy: partnerka Paintera w szlafroku, Danny w T-shircie i szortach. Kara i Omaha jeszcze się nie przebrali. Zapewne wciąż zajmowali się tymi wszystkimi sprawami, które wyskoczyć w ostatniej chwili. Przy nich stało czterech wysokich, groźnie wyglądających mężczyzn w polowych mundurach. Safia nie wiedziała, kim są.

Painter wrócił z luku, zwijając płachtę.

Rozległo się kilka pełnych uznania okrzyków, kilka par dłoni zaczęło klaskać. Crowe skrzywił się i skromnie przesunął ręką po włosach.

Safia podeszła do niego.

- Świetna robota - pochwaliła. - Jeśli musieliby zabić konia...

- Nie mogłem na to pozwolić. On się po prostu wystraszył.

Pojawiła się Kara z rękami skrzyżowanymi na piersi. Jej twarz nie wyrażała niczego, ale nie była przynajmniej ponura.

- To był ogier sultana, zwycięzca. To, co się tutaj stało, dotrze do uszu władzy. Właśnie zyskał pan dobrego przyjaciela.

Painter wzruszył ramionami.

- Zrobiłem to dla konia.

Omaha stał obok Kary, a jego twarz poczerwieniała z irytacji.

- Tonto, gdzie się tego nauczyłeś?

- Omaha... - ostrzegła go Safia. Painter zignorował afront.

- Stajnie Claremont w Nowym Jorku. Sprzątałem w nich, kiedy byłem chłopcem.

Zerknął w dół i stwierdził, że nie jest ubrany.

- Powiniennem wrócić do kabiny.

- Doktorze Crowe - odezwała się Kara oficjalnym tonem - zanim pan odejdzie, byłabym rada, gdyby wstąpił pan do mojej kabiny. Chciałabym, żebyśmy sprawdzili plan podróży, kiedy już dobijemy do portu.

Oczy Crowe'a rozszerzyły się ze zdumienia.

- Oczywiście.

To była pierwsza oznaka, że Kara chce współpracować. Safii to nie zaskoczyło. Wiedziała, że Kara bardzo kocha konie, tak czule, jak żadnego mężczyznę. Była mistrzynią w ujeżdżeniu. To, co zrobił Painter, zyskało mu także jej przyjaźń.

Skinął głową Safii, a w jego oczach odbijało się światło latarni. Złapała się na tym, że oddech uwiązał jej w gardle, zanim zdołała wykrztusić „dobranoc”. Painter odszedł, przepchnąwszy się między mężczyznami stojącymi za Karą. Pozostali także powoli rozeszli się do swoich kabin.

Omaha został z Safią.

Kara odezwała się po arabsku do jednego z żołnierzy, wysokiego, czarnowłosego mężczyzny mającego na głowie omański shmag. Beduin. Wszyscy byli tak ubrani. Safia zauważyła pistolety w kaburach przy pasie. Mężczyzna, do którego zwróciła się Kara, nosił ponadto wygięty sztylet zatknięty za pas. Nie był to nóż ceremonialny, lecz okrutna broń wyglądająca na często używaną. Najwyraźniej to przywódca. Od reszty odróżniała go blada, sznurowata blizna na szyi. Skinął głową, po czym wszyscy odmaszerowali.

- Kto to był? - zapytała Safia.

- Kapitan al-Haffi, z omańskiego patrolu granicznego.

- Pustynne Duchy - mruknął Omaha, używając potocznej nazwy.

Duchy należały do sił specjalnych Omanu. Prowadzili nieustanną walkę z przemytnikami zwykłymi i narkotykowymi w głębi pustyni, gdzie spędzali całe lata. Na świecie nie było ludzi twardszych od nich. Brytyjskie i amerykańskie siły specjalne uczyły się od nich prowadzenia wojny i przetrwania na pustyni.

- On i jego drużyna zgłosili się na ochotnika, żeby ochraniać ekspedycję. Za zgodą sułtana Qaboosa - wyjaśniła Kara.

Omaha przeciągnął się i ziewnął.

- Idę, żeby złapać kilka godzin snu przed świtem. - Zerknął na Safię. Jego oczy kryły się pod ściągniętymi brwiami. - Też powinnaś się przespać. Przed nami ciężki dzień.

Safia wzruszyła obojętnie ramionami. Nie lubiła zgadzać się z nim nawet w tak błahych sprawach.

Przestał na nią patrzeć. Safia po raz pierwszy zauważyła na jego twarzy upływ czasu - głębsze zmarszczki w kącikach oczu, pochmurne cienie. Przybyło mu blizn. Nie mogła zaprzeczyć, że podoba jej się jego szorstka uroda. Piaskowoblond włosy, twarde rysy,

czaroniebieskie oczy. Znikł jednak chłopięcy urok. Teraz wyglądał na zmęczonego i jakby wypłowiałego... kiedy odwrócił wzrok, coś w niej drgnęło, dawny, znajomy, ciepły. Kiedy się odwrócił, poczuła zapach piżma, wspomnienie mężczyzny, który kiedyś sypiał obok niej w namiocie pochrapując. Musiała walczyć, by nie zatrzymać go na dłużej. Co by to jednak dało? Już nie było między nimi słów, tylko niezręczne milczenie.

Odszedł.

Odwróciła się i zauważyła, że Kara jej się przygląda.

Przyjaciółka pokręciła głową.

- Niech zmarli spoczywają w spokoju.

1.38

Monitor pokazywał zespół nurków. Cassandra pochylała się nad ekranem, jakby chciała usłyszeć coś więcej oprócz jęku silników wodolotu. Obraz pochodził z „Argusa”, oddalonego o pięć mil i zanurzonego na dwadzieścia sążni.

W „Argusie” znajdowały się dwa pomieszczenia. W rufowym było stanowisko pilota i drugiego pilota. W drugim, teraz pełnym morskiej wody, byli dwaj nurkowie. Kiedy woda ich zalała, wyrównując ciśnienie wewnętrzne i zewnętrzne, kłapa za sterem otworzyła się jak muszla. Nurkowie płynęli pod wodą oświetleni reflektorami łodzi. Do pasów mieli przypięte odrzutowe propulsory manewrowe. Wykonane przez DARPA urządzenie mogło nadać nurkom zdumiewającą prędkość. Z tyłu mieli kieszenie z arsenałem materiałów i urządzeń wybuchowych.

W słuchawkach Cassandry odezwał się metaliczny głos:

- Kontakt sonarowy ustawiony na celu - zameldował pilot „Argusa”. - Grupa uderzeniowa w drodze. Przewidywany kontakt za siedem minut.

- Bardzo dobrze - odpowiedziała po cichu. Potem, wyczuwszy, że ktoś stoi obok, odwróciła się. John Kane. Uniosła rękę.

- Ja zajmę pozycję o drugiej zero zero - zakończył pilot,

- Przyjęte - powiedziała Cassandra, powtórzyła czas i rozłączyła się.

Wyprostowała się w fotelu.

Kane trzymał w ręku telefon satelitarny.

- Linia kodowana. Tylko do pani.

Cassandra wzięła telefon. „Tylko do pani”. To mogło oznaczać, że dzwoni któryś ze zwierzchników. Do tej pory powinni otrzymać raport o porażce w Maskacie. Nie podała szczegółów na temat tajemniczej Beduinki, która zniknęła. Raport i tak był paskudny, po raz drugi zawiodła i nie przejęła serca.

Odezwał się mechaniczny głos, przetworzony, by zachować anonimowość. Choć wymowa i barwa zostały zmienione, wiedziała, kto mówi. Szef Gildii, zwany Ministrem. Wydawało się to głupim zabezpieczeniem, jak z filmu rysunkowego, ale Gildia wzorowała się na komórkach terrorystów. Informacje przepływały na zasadzie „tylko to, co musisz wiedzieć”, a każda komórka miała niezależnego dowódcę odpowiadającego jedynie przed wyższą szarżą. Cassandra nigdy nie poznała Ministra, znały go jedynie trzy osoby - trzech poruczników obsługujących biuro nadzorcy. Miała nadzieję, że kiedyś awansuje na jedno z tych stanowisk.

- Szary Dowódco - rzekł budzący strach zsyntetyzowany głos, używając kryptonimu, jakim posługiwała się na użytek tej operacji. - Parametry misji zostały zmienione.

Cassandra zeszywniała. Miała harmonogram czasowy niemal wytatuowany w mózgu. Nic nie mogło zawieść. Diesle „Shahaba” wylecą w powietrze, co będzie znakiem dla skuterów, by mogły otworzyć ogień. Za nimi podąży grupa szturmowa, odcinając komunikację i kontrolując sytuację na pokładzie. Kiedy już będą mieli żelazne serce, statek zostanie wysadzony w powietrze, a jego szczątki zatopione.

- Sir? Zajmujemy pozycje. Wszystko działa.

- Improwizuj - nakazał mechaniczny głos. - Musisz zabezpieczyć kustoszkę razem z artefaktem. Zrozumiano?

Cassandra nie dała po sobie poznać, że jest zaskoczona. Był to niezwykle rozkaz. Cel pierwotnego planu - zdobycie żelaznego serca - nie wymagał zachowywania kogokolwiek przy życiu. Według tego planu miało to być brutalne „złap-i-wiej”, szybko, żwawo i bez problemów. Już zaczęła w myślach analizować kolejne punkty.

- Mogę zapytać, do czego potrzebujemy tej kobiety?

- Może się przydać podczas drugiego etapu. Nasz ekspert od egipskich starożytności okazał... niechęć do współpracy. A wiedza jest głównym warunkiem sukcesu, jeśli mamy nadzieję odkryć i zabezpieczyć źródło tej mocy. Opóźnienie oznacza porażkę. Musimy wykorzystać fachowca, którego mamy w zasięgu ręki

- Tak jest, sir.

- Melduj wykonanie zadania. - W tych słowach pobrzmiwał ton groźby. Telefon zamilkł.

John Kane czekał w pobliżu.

- Zmiana planów - oznajmiła Cassandra. - Powiadom ludzi. Najpierw wchodzimy my.

- Popatrzyła przez okno mostka wodolotu. W oddali obwieszony latarniami żaglowiec błyszczał, jakby ktoś rzucił na ciemne morze garść klejnotów.

- Kiedy ruszamy?

- Natychmiast.

1.42

Painter zapukał do drzwi kabiny. To był apartament prezydencki, zarezerwowany dla magnatów przemysłowych, teraz zajmowany przez lady Karę Kensington. Tuż po zaokrętowaniu Painter załadował do laptopa plany statku „Shahab Oman”.

Lepiej znać teren, nawet jeśli jest to morze.

Steward otworzył drzwi. Starszy człowiek zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu zachowywał się z godnością o wiele wyższego mężczyzny. Ubrany był na białe, od małej czapeczki bez rona po sandały.

- Doktorze Crowe - powitał go nieznacznym pochYLENIEM głowy. - Lady Kensington oczekuje pana.

Odwrócił się od drzwi, gestem polecając Painterowi, by szedł za nim. Przemierzywszy przedpokój, weszli do salonu. Duży pokój urządzone z prostotą, acz

elegancko. Stało tam wielkie, antyczne, marokańskie biurko i regały z książkami. Środek zajmowały dwie ogromne sofy z granatowym obiciem, fotele o wysokich oparciach; wysłane poduszkami w pasy czerwone, zielone i białe, kolory flagi Omanu. W pokoju spotkały się elementy brytyjskie i omańskie, co było dowodem wspólnej historii.

Najbardziej efektownym elementem wnętrza były szerokie okno wychodzące na mroczny ocean.

Kara stała w obramowaniu okna na tle gwiaździstego nieba i księżycowego światła odbijającego się w wodzie. Przebrała się w gruby bawełniany szlafrok. Była boso. Kiedy weszli, odwróciła się widząc ich odbicia w szybie.

- To byłoby wszystko, Yanni - odprawiła stewarda.

Kiedy wyszedł, skinęła ręką w stronę sofy.

- Zaproponowałabym drinka przed snem, ale ta cholerna łajba jest sucha jak cała Arabia.

Painter usiadł, a Kara zajęła jeden z foteli.

- Nie ma problemu. Ja nie piję.

- AA?

- Osobista preferencja - odrzekł, zmarszczywszy czoło. Wyglądało na to, że stereotyp pijanego Indianina nadal się utrzymuje, nawet w Wielkiej Brytanii - nie, żeby nie tkwiło w nim ziarno prawdy. Jego ojciec znajdował większe pocieszenie w butelce Jacka Danielsa niż w towarzystwie rodziny i przyjaciół.

Kara wzruszyła ramionami. Painter odchrząknął.

- Wspomniała pani o zaktualizowaniu mojej wiedzy na temat szczegółów wyprawy...

- Wszystko zostanie wydrukowane i znajdzie się pod pańskimi drzwiami przed wschodem słońca.

Przymrużył jedno oko.

- No to po co to nocne spotkanie? - Stwierdził, że przygląda się jej nagim kostkom, kiedy skrzyżowała nogi. Czyżby zaprosiła go z bardziej osobistych powodów? Pamiętał, że Kara zmienia mężczyzn równie często jak fryzury.

- Safia - rzekła krótko. - Painter zamrugnął zdziwiony.

- Widzę, jak na pana patrzy. - Długa przerwa. - Jest bardziej mocna, niż się wydaje.

I twardsza, niż wszyscy myślicie, dodał w duchu Crowe.

- Jeśli pan ją wykorzysta, to lepiej niech pan sobie znajdzie jakiś zapadły kąt na końcu świata. Jeśli chodzi tylko o seks, to lepiej niech pan trzyma rozporek zapięty, bo zabraknie panu istotnego elementu anatomicznego. Jak to z panem jest?

Painter pokręcił głową. W ciągu kilku godzin po raz drugi pytano go o jego uczucia wobec Safii: najpierw jego partnerka, teraz ta kobieta.

- To nic, o czym pani myśli - odrzekł ostrzej, niż zamierzał

- Więc o co chodzi?

Nie mógł zbyć Kary, jak uczynił to wcześniej z Coral. Przy współpracy Kary łatwiej mógłby wykonać swoje zadanie, niż mając w niej wroga. Nadal jednak milczał. Nie umiał wymyślić wiarygodnego kłamstwa. Najlepsze kłamstwa to te, które ocierają się o prawdę. Ale jaka ta prawda jest? Co naprawdę czuje do Safii?

Po raz pierwszy głębiej się nad tym zastanowił. Bez wątplenia jest atrakcyjna: szmaragdowe oczy, gładka skóra koloru kawy, sposób w jaki nawet nieśmiały uśmiech rozjaśnia jej twarz. Spotkał jednak w życiu wiele pięknych kobiet. Cóż więc było w tej właśnie kobiecie? Safia jest bystra, zorganizowana i na pewno ma w sobie siłę, której inni zdają się nie dostrzegać, granitowy rdzeń nie do złamania.

Jednak kiedy patrzył w przeszłość, widział, że Cassandra także była silna, pomysłowa i piękna, a i tak zajęło mu kilka lat, zanim zaczął odpowiadać na jej sygnały. Co więc takiego jest w Safii, że zareagował tak szybko?

Miał pewne podejrzenie, ale... sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać.

Patrząc w okna apartamentu, Painter przypomniał sobie oczy Safii, jej ramiona otaczające go, kiedy opuszczono ją z dachu muzeum, szeptał ulgi, łzy. Nawet wtedy było w niej coś, co pragnęło bliskości, co budziło w nim mężczyznę. Nie tak jak Cassandra. Safia nie jest tylko granitem. Jest pełna siły, a jednocześnie podatna na zranienie, twarda i miękka zarazem.

W głębi duszy wiedział, że ta właśnie sprzeczność fascynuje go bardziej niż cokolwiek innego.

- Zatem? - ponagliła go Kara, gdy jego milczenie się przedłużało.

Pierwszy wybuch sprawił, że nie musiał udzielać odpowiedzi.

1.55

Omaha obudził się z hukiem w uszach. Usiadł zaszokowany czując w trzewiach wibracje, słyszał łomotanie małego lufcika. Wiedział, że kierują się ku szkwałowi. Sprawdził czas. Minęło mniej niż dziesięć minut. Za wcześnie na sztorm...

Danny zeskoczył z górnej koi, zachwiał się, jedną ręką przytrzymał się łóżka, drugą podciągnął bokserki.

- Cholera! Co to było?

Nad ich głowami rozległ się grzechot strzałów z broni maszynowej i krzyki.

Omaha odrzucił przykrycie. Fakt, żeglują ku sztormowi... tyle że nie takim, o jakim mówiła prognoza.

- Atakują nas!

Danny wyjął okulary z górnej szuflady niewielkiego biurka.

- Kto atakuje? Dlaczego?

- A skąd, do cholery, mam wiedzieć?

Omaha podniósł się, włożył koszulę przez głowę i poczuł się mniej nagi. Przeklinał siebie, że spakował strzelbę i pistolety do torby schowanej w ładowni. Przecież wiedział, jak bardzo zdradzieckie bywają arabskie morza nawiedzane przez piratów i paramilitarne frakcje związane z organizacjami terrorystycznymi. Wyglądało na to, że morza wręcz roją się od chętnych do rabunku. Nie spodziewał się jednak, że ktoś odważy się napaść na flagowy statek omańskiej marynarki.

Uchylił odrobinę drzwi i wyjrzał na mroczny korytarz. Pojedynczy kinkiet rzucał plamę jasności tuż koło schodów prowadzących na dwa wyższe poziomy i otwarty pokład. Kara, jak zwykle, przeznaczyła dla Omahy i Danny'ego najgorsze miejsca, o jeden poziom nad zęzą, kabinę dla załogi zamiast bardziej luksusowych pomieszczeń pasażerskich. Naprzeciwno uchyliły się inne drzwi.

Omaha i jego brat nie byli jedynymi, którym zagwarantowano najniższy standard. - Crowe! - zawołał.

Drzwi otworzyły się szerzej i ukazała się partnerka Crowe'a. Była bez butów, w spodniach od dresu i sportowym biustonoszu. Machnęła ręką, żeby byli cicho. W prawej ręce trzymała nóż o długim ostrzu z wypolerowanej stali i czarnej rękojeści. Wzór wojskowy. Trzymała go nisko, nieruchomo, mimo serii strzałów ponad ich głowami.

- Gdzie Crowe? - syknął Omaha. Pokazała kciukiem w górę. - Dwadzieścia minut temu poszedł spotkać się z Karą.

Gdzie koncentruje się ogień? - pomyślał Omaha. Safia i jej student mieli kabiny poniżej apartamentu Kary, obie blisko miejsca strzelaniny. Serce kurczyło mu się przy każdej serii strzałów. Musi do niej iść. Ruszył w kierunku schodów.

Rozległa się kolejna wymiana strzałów, jakby na szczycie schodów.

Łomot kroków słychać było coraz bliżej.

- Broń? - wyszeptała Coral.

Omaha pokazał puste ręce. Przed zaokrętowaniem musieli oddać całą broń osobistą. Wykrzywiła się i pospieszyła ku wąskim schodom. Rękojeścią noża rozbiła żarówkę kinkietu. Zapadła ciemność.

Kroki się zbliżały, lecz najpierw pojawił się cień.

Coral rozstawiła szerzej nogi i opuściła ramię.

Ciemna postać potknęła się na ostatnim stopniu.

Coral kopnęła przeciwnika w kolano. Padł jak długi, krzycząc z bólu. Okazało się, że to członek załogi, kuk z mesy dla personelu. Jęczał, leżąc nieruchomo, ogłuszony i oszołomiony.

Coral pochyliła się nad nim z nożem w ręku.

Serie strzałów rozlegały się teraz rzadziej, brzmiać jednak groźniej, jakby celowano w kogoś konkretnego.

Omaha przepchnął się do przodu i spojrział na schody.

- Musimy dołączyć do innych - stwierdził. Do Safii.

Coral wstała i przytrzymała go wolną ręką.

- Potrzebujemy broni.

Nad nimi wystrzelił karabin.

Cofnęli się o krok.

Coral skrzyżowała spojrzenie z Omahą. Wpatrywał się w nią, rozdarty między potrzebą pognania do Safii a koniecznością ostrożnego działania. Ostrożność nie należała do jego najmocniejszych stron. Jednak ta kobieta miała rację. Pięści przeciwko pociskom nie są najlepszym pomysłem.

Odwrócił się.

- W bagażach są karabiny i amunicja. - Wskazał klapę w podłodze zakrywającą właz do żęzy. - Powinno nam się udać przebrnąć przez żęzę i dotrzeć do głównej ładowni.

Coral mocniej ścisnęła nóż i skinęła głową. Podeszli do klapy, otworzyli ją i zeszli po krótkiej drabince do niskiej żęzy. Pachniało w niej algami i solą oraz żywicą. Omaha szedł na końcu.

Rozległa się kolejna wymiana strzałów, kontrapunktowana krzykiem. Krzyczał mężczyzna. Omaha modlił się, by Safia dobrze się ukryła.

Nienawidząc samego siebie, zamknął klapę. Ogarnęła ich ciemność. Oślepiiony, spadł z drabiny i wylądował z cichym pluskiem w wodzie żęzy.

- Ktoś ma latarkę? - zapytał. Nikt nie odpowiedział.

- Świetnie - mruknął. - Po prostu świetnie.

1.58

Painter wychylił się przez okno. Dwuosobowy skuter wodny brzęczał, sunąc pod wysuniętym forkasztem. Minął statek z ledwie słyszalnym jękiem silnika, zostawiając za sobą kilwater. Painter, mimo ciemności, rozpoznał model. Projekt DARPA, eksperymentalny prototyp do tajnych akcji.

Kierowca kulił się za osłoną. Pasażer siedział wyżej i obsługiwał karabin maszynowy zamontowany na stabilizowanym żyroskopowo obrotowym uchwycie z tyłu. Obaj mieli gogle noktowizyjne.

Patrol przejechał. Na razie Painter naliczył czterech ludzi. Prawdopodobnie dookoła krążą jeszcze inni. Na otwartym morzu nie widział żadnego statku, który niewątpliwie dowiózł grupę szturmowaną miejsce. Najprawdopodobniej przybił do burty statku, Po czym wycofał się na bezpieczną odległość, by wrócić po grupę po wykonaniu zadania.

Zamknął okno.

Kara skuliła się za oparciem sofa. Wyglądała bardziej na rozgniewaną niż przestraszoną.

Gdy statkiem zakołysała pierwsza eksplozja, Painter sprawdził obezpośrednie otoczenie kabiny. W wejściu na pokład dostrzegł kłęb dymu i złowrobną karmazynową łunę z tyłu statku.

Granat zapalający.

Nawet ten krótki rzut oka mógł kosztować go życie. W przejściu, ledwie kilka kroków od Paintera, pojawił się człowiek w czarnym kombinezonie. Painter schował się w kajucie, kiedy tamten omiótł serią korytarz. Gdyby nie metalowe wzmocnienia drzwi prezydenckiego apartamentu, kule przecięłyby go na pół. Po zablokowaniu drzwi poinformował Karę:

- Przejeli radio.
- Kto?
- Nie wiem... jacyś uzbrojeni ludzie.

Kucnął obok Kary. Dobrze wiedział, kto jest dowódcą. Cassandra. Skutery ukradziono z DARPA. Ona sama musi gdzieś tam być. Może na pokładzie, dowodząc grupą uderzeniową. Przypomnił sobie błysk determinacji w jej oczach, dwie kreski między brwiami, kiedy się koncentrowała. Odepchnął te myśli, zaskoczony tym, co poczuł - coś między wściekłością a poczuciem straty.

- Co zrobimy? - spytała Kara. - Pani tu zostaje... na razie.

Zabarykadowanym w prezydenckim apartamencie na razie nic nie groziło, ale pozostali byli narażeni na niebezpieczeństwo. Omańscy marynarze byli dobrze wyszkoleni i szybko odpowiedzieli ostrym ogniem, byli jednak młodzi i źle uzbrojeni. Cassandra to wiedziała. Statek wkrótce będzie jej.

Ale o co jej chodzi?

Painter zamknął oczy i odetchnął głęboko. Musi się skupić. Ojciec, zwykle zionąc tequilą i piwem, nauczył go kilku zakłęb Pequotów, próbując zapoznać syna z plemienną tradycją. Niemniej Painter nauczył się tych zakłęb, szeptał je w ciemności, gdy rodzice kłócili się w pokoju obok. W ich powtarzaniu znajdował pocieszenie i skupienie, choć nie rozumiał treści - ani wtedy, ani teraz.

Jego usta poruszały się powoli. Odciał się od dźwięku wystrzałów.

Ponownie wyobraził sobie Cassandrę. Mógł odgadnąć cel jej ataku - chciała zdobyć żelazne serce. Jedyne solidny trop prowadzący do rozwiązania tajemnicy wybuchu antymaterii. Nadal leżało w kabinie Safii. Przebiegał w umyśle różne scenariusze ataku, parametry misji...

Olśniło go w połowie zakłęcia.

Zerwał się na równe nogi.

Od samego początku dziwiła go opieszałość tego ataku. Po co niszczyć radio i przedwcześnie ostrzegać załogę? Gdyby to była banda zwykłych najemników, mógłby brak planowania i precyzji położyć na karb braku doświadczenia, ale skoro stała za tym Cassandra...

Miał wrażenie, że się zapada.

Strzały na zewnątrz nagle ucichły i zapadła śmiertelna cisza. Przerwał ją odległy, nierzeczywisty jęk.

Crowe podszedł do okna i wystawił głowę.

Z ciemności wyłoniły się cztery skutery wodne, ale na każdym siedział tylko kierowca. Żadnych pasażerów.

- Cholera... - zaklął.
- Co się dzieje? - spytała Kara, a w jej głosie slychać było strach.
- Za późno.

Wiedział już, że wybuch granatu zapalającego oznaczał nie początek akcji, ale jej koniec.

Przeklął swoją głupotę. Koniec gry. A on nawet nie zaczął grać. Zaskoczyli go. Pozwolił sobie na moment gniewu, za późno skupił się na sytuacji.

Koniec gry nie oznaczał końca w ogóle.

Patrzył, jak skutery kierują się ku łodzi, by zabrać ostatnich członków grupy uderzeniowej, tylną straż, zespół od wybuchów do zniszczenia radiostacji. Ktoś z omańskiej załogi musiał się na nich natknąć i dlatego doszło do strzelaniny.

Gdzieś dalej koło steru, jakby bardziej zdecydowanie, ponownie rozległy się strzały. Wycofują się.

Przez okno Painter widział, jak ostatni skuter kołuje daleko, ostrożnie ze względu na ostrzał. Inne skutery, te z karabinami maszynowymi, zniknęły. Nie było ich także słychać. Gdzie się podziały? Painter wyobraził sobie, że dołączyły do głównej grupy. Wraz z tym, po co przybyły.

Gdzie one są?

Znów przepatrzył wody w poszukiwaniu statku. Musi gdzieś tam być. Widział jednak tylko ciemne morze. Burzowe chmury zasłoniły gwiazdy i księżyc, nasycając świat czernią. Crowe ścisnął palce na ramie okna.

Nagle kątem oka dostrzegł błysk światła, ale nie daleko, na wodzie. Niżej, pod wodą.

Wychylił się i wpatrzył w głębinę.

Spod statku wysuwała się łuna. Z wolna minęła sterburtę i oddalała się. Painter zmarszczył czoło. Wiedział, co to jest. Łódź podwodna. Co ona tu robi?

Odpowiedź pojawiła się natychmiast.

Zadanie zostało zakończone, więc grupa szturmowa się zmywa. Jedyne, co trzeba, to posprzątać. Żadnych świadków.

- Zaminowali statek - powiedział głośno. Liczył szybko, kiedy łódź opuści strefę wybuchu.

Kara powiedziała coś, ale jej nie usłyszał.

Odkoczył od okna i pospieszył do drzwi. Wymiana ognia osłabła. Słychać było tylko pojedyncze strzały. Nasłuchiwał przez chwilę. Nikt nie strzelał blisko nich. Odsunął zasuwę.

- Co pan robi? - zapytała Kara, stojąc tuż za nim, najwyraźniej wściekła na siebie, że się boi.

- Musimy uciec ze statku.

Uchylił drzwi. Kilka metrów dalej było wyjście na środkową część pokładu. Wiatr przybierał na sile, w miarę jak statek zbliżał się do strefy sztormu. Łopot żagli przypominał strzelanie z bata. Liny uderzały o maszty.

Painter obserwował pokład, analizował jak szachownicę.

Załoga nie miała szans na zrefowanie i zabezpieczenie głównych żagli. Omańscy żeglarze kryli się przed ogniem dwóch - nie, trzech - napastników kryjących się za stertą beczek na przeciwległym krańcu środkowego pokładu. Mogli stamtąd kontrolować sytuację w dziobowej części statku. Jeden z nich wycelował broń w ster, osłaniając tyły.

Czwarty napastnik leżał bliżej, rozciągnięty na pokładzie, a wokół jego głowy widać było kałużę krwi.

Painter w sekundę ogarnął sytuację. Podobnie jak napastnicy ukryci za beczkami, tyle że po tej stronie środkowego pokładu, czterech omańskich pograniczników kryło się i miało na nich oko. To zapewne Duchy Pustyni przyłapały tylną straż napastników i przyszpiliły, zapobiegając ucieczce.

- Chodźmy - powiedział Painter, złapał Karę za łokieć i pociągnął schodami w dół.

- Dokąd idziemy? - spytała. - Mieliliśmy opuścić statek.

Nie odpowiedział. Już się spóźnił, ale musi się jeszcze upewnić.

Zszedł na niższy poziom. Krótki korytarzyk prowadził do kwater gości.

Na podłodze, skąpane w świetle jedynej wiszącej lampy, leżało ciało. Twarzą w dół. Nie był to żaden z napastników.

Miał na sobie bokserki i biały T-shirt. Na jego plecach widać było małą czarną plamkę. Strzelono do niego od tyłu, gdy próbował uciekać.

- To Clay... - wymamrotała zszokowana Kara, podążając za Painterem.

Uklękła przy ciele chłopaka, ale Painter przeszedł nad nim. Nie miał czasu na żałobę. Zmierzał do drzwi, do których kierował się student w poszukiwaniu schronienia lub żeby ostrzec innych. Za późno.

Wszyscy się spóźnili.

Painter zatrzymał się przed drzwiami. Były uchylone. Ze środka biło światło. Nasłuchiwał. Cisza. Zmobilizował się przed tym, co go czeka.

Kara, wiedząc, czego się boi, krzyknęła:

- Safia?!

2.02

Statek się zakolysał. Ciemność zęzy pozbawiła Omahę równowagi. Woda przelewała się nad butami, mroząc kostki u nóg.

Usłyszał za sobą łupnięcie... i przekleństwo. Danny'emu nie szło się lepiej.

- Wiesz, dokąd idziemy? - zapytała Coral Omahę, a jej lodowaty głos odbił się echem w wilgotnej ciemności zęzy.

- Tak - skłamał. Przesuwał lewą dłoń po pochyłej ścianie, podłąc się, żeby znaleźć drabinę prowadzącą na górę, do głównej ładowni pod środkowym pokładem. Szli w ciszy.

Szczury piszczały, a ich pisk brzmiał w ciemności, jakby były duże niczym buldogi. Omaha słyszał, jak ich ciała pluskają w wodzie przed nimi. Kiedyś, w jakiejś uliczce w Kalkucie,

widział zwłoki pogryzione przez szczury. Brakowało oczu, genitaliów, pożarte zostały wszystkie miękkie części. Nie lubił szczurów.

Jednak lęk o Safię gnał go naprzód, a niepokój wzrastał wskutek ciemności i odgłosów strzelaniny. Przed jego oczami przewijały się krwawe obrazy. Dlaczego przestał jej mówić, co do niej czuje? Chętnie padłby przed nią na kolana, choćby teraz, byle tylko była cała i zdrowa.

Jego ręka natrafiła na coś twardego. Wymacał szczeble i główki gwoździ. Drabina.

- Tutaj jest - powiedział. Nie obchodziło go, czy ma rację czy nie, ani dokąd, u licha, ta drabina prowadzi. Po prostu po niej wejdzie.

Kiedy Danny i Coral podeszli bliżej, postawił nogę na pierwszym szczeblu.

- Bądź ostrożny - poprosił Danny.

Z góry dobiegały odgłosy strzelaniny. Z bliska. Trzeba uważać.

Po wejściu na najwyższy szczebel Omaha wymacał wewnętrzną klamkę pokrywy. Błagając w myślach, by nie była zamknięta na klucz albo przywalona ładunkiem, pchnął.

Pokrywa łatwo ustąpiła i huknęła o drewniany wspornik.

Coral syknęła.

Omahę zalało błogosławione światło, oślepiająco jasne po ciemnościach zęzy. Zapach także wydawał się świeży po woni soli i pleśni.

Po prawej poruszył się wielki biały kształt.

Omaha odwrócił się i stwierdził, że patrzy na pochylającego się nad nim konia. Był to ten sam ogier, który wcześniej zerwał się z uwięzi. Zarzucił głową i dyszał. Oczy miał zbielełe z przerażenia. Uniósł ostrzegawczo kopyto, gotów stratować intruza, który wtargnął do jego stajni.

Omaha schylił się, przeklinając swojego pecha. To wyjście prowadziło do stajni. W dalszych boksach stały pozostałe konie.

Skupił uwagę na ogierze. Koń miotał się przy klapie, nie pozwalając mu wyjść. Przestraszone zwierzę okazało się lepsze od strażnika. Oni jednak muszą wyjść i dostać się do broni.

Strach o Safię rozpałił mu krew. Skoro doszedł tak daleko...

Ufając, że liny utrzymają konia, wyskoczył z luku, przetoczył się po deskach pod kratą zamykającą boks.

Wstał i otrzepał się z kurzu.

- Szybko tam! - krzyknął.

Znalazł derkę i machał nią, żeby odwrócić uwagę konia i utrzymać go z dala od klapy, by pozostali mogli wyjść. Koń rżał, ale zamiast się denerwować, szarpał liny, bardziej zainteresowany derką.

Omaha uświadomił sobie, że zwierzę musiało rozpoznać swoją derkę pod siodło, obietnicę, że pojedzie, że wydostanie się ze stajni.

Z żalem opuścił derkę i odwiesił na ogrodzenie, gdy tylko panny i Coral stanęły u jego boku. Oczy ogiera, wielkie i przestraszone, pragnęły pocieszenia i zapewnienia, że wszystko będzie dobrze.

- Gdzie broń? - zapytała Coral. Omaha odwrócił się w jej stronę.

- Powinna być tam. - Wskazał wzdłuż rampy wiodącej na wyższy poziom. Przy tylnej ścianie stały skrzynie. Na każdej widniał herb Kensingtonów.

Kiedy Omaha prowadził ich przez ładownię, schylał głowę za każdym razem, gdy rozlegał się odgłos strzałów. Były tak dobrze słyszalne, że można było odnieść wrażenie, iż śmiertelny pojedynek rozgrywa się tuż za podwójnymi drzwiami u szczytu rampy.

Przypomniał sobie pytanie Danny'ego: Kto ich zaatakował? To nie zwykła banda piratów. Byli zbyt konsekwentni, zbyt dobrze zorganizowani, zbyt zuchwali.

Gdy doszedł do skrzyń, sięgnął po spis ich zawartości. Ponieważ sam je pakował, wiedział, gdzie powinna być broń. Znalazł właściwą skrzynię i otworzył ją łomem.

Danny wziął strzelbę.

- Co robimy?

- Ty siedzisz cicho - uciął Omaha, biorąc pistolet Desert Eagle.

- A ty?

Omaha nasłuchiwał odgłosów walki i ładował pistolet.

- Muszę iść po resztę. Upewnić się, że są bezpieczni.

Naprawdę jednak widział tylko Safię, uśmiechającą się, młodszą. Wtedy ją zawiódł - teraz tego nie robi.

Po przeszukaniu skrzyni z bronią Coral wybrała wreszcie pistolet. Szybko załadowała magazynek nabojami kaliber 3.57. Uzbrojona, wyglądała na bardziej rozluźnioną, jak lwica wypuszczona na polowanie.

Spojrzała na Omahę.

- Powinniśmy wrócić zębą.

Zza podwójnych drzwi znów dobiegły odgłosy strzałów.

- Stracimy za dużo czasu. - Omaha zerknął na rampę wic prosto w ogień walki. - Może jest inny sposób.

Coral zmarszczyła czoło, kiedy naszkicował swój plan.

- Chyba żartujesz - mruknął Danny.

Kiedy jednak Omaha skończył, Coral pokiwała głową.

- Warto spróbować - uznała.

- No to ruszajmy, zanim będzie za późno.

10

BURZA

3 GRUDNIA 2.07 MORZE ARABSKIE

Było za późno.

Painter zbliżył się do drzwi apartamentu Safii. W środku paliła się lampa. Mimo pewności, że statek jest zaminowany, wahał się przez moment.

Kara została przy ciele Claya. Painter obawiał się, że i Safia będzie martwa. Wiedział jednak, że musi stawić czoło sytuacji. Ta kobieta mu ufała. Te śmierci to jego wina. Nie był wystarczająco czujny.

Stojąc z boku, pchnięciem szerzej otworzył drzwi. Zlustrował kabinę. Pusta.

Z niedowierzaniem wszedł do środka. Poczul zapach jaśminu. Tylko to zostało po kobiecie, która tu mieszkała. Nie było śladów walki. Ani metalowej walizeczki zawierającej serce.

Stał przez chwilę jak sparaliżowany, rozdarty między obawą o Safię i zdumieniem.

Za plecami usłyszał jęk.

Odwrócił się.

- On żyje! - zawołała Kara z korytarza.

Painter chwiejnie wyszedł z kabiny.

Kara klęczała obok Claya. Trzymała coś w palcach. Znalazłam to w jego plecach.

Painter zauważył, że pierś chłopaka podnosi się i opada. Jak mógł to przeoczyć? Znał odpowiedź. Za bardzo się spieszył, przekonany, że wszystko zawałił.

Kara podała mu małą zakrwawioną strzałkę.

- Środek uspokajający - stwierdził.

Zerknął na otwarte wejście. Narkotyk. Chcieli, żeby Safia żyła A więc to porwanie. Pokręcił głową i stłumił śmiech, doceniając Cassandrę za spryt, i jednocześnie czując ulgę.

Safia żyje. Na razie.

- Nie możemy go tak zostawić - rzekła Kara.

Skinął głową, wyobrażając sobie łódź podwodną w ciemnych wodach. Ile mają czasu?

- Zostań z nim.

- Jesteśmy...

Bez słowa pospieszył na niższy pokład i przeszukał kabiny pozostałych członków ekspedycji: braci Dunn i Coral. Podobnie jak pokój Safii, były puste. Czyżby porwano wszystkich?

Gdy zszedł niżej, znalazł członka załogi z zakrwawionym nosem. Starał się go nakłonić, żeby poszedł z nim, ale mężczyzna był sparaliżowany ze strachu.

Painter nie miał czasu, żeby go przekonywać, i pobiegł z powrotem na górę.

Kara pomogła Clayowi usiąść. Był oszołomiony, bredził.

- Rusz się. - Painter złapał go pod ramię i ponownie postawił na nogi, co bardziej przypominało manewrowanie workiem cementu. I to wilgotnego.

Kara podniosła okulary Claya.

- Dokąd idziemy?

- Musimy wydostać się ze statku.

- A co z innymi?

- Zniknęli. Razem z Safią.

Zaczęli wchodzić po schodach. Kiedy dotarli do ostatniego podestu, pojawiła się przed nimi jakaś postać. Odezwała się po arabsku, ale mówiła tak szybko, że Painter niczego nie zrozumiał.

- Kapitan al-Haffi - wyjaśniła Kara.

Painter zrobił wywiad na jego temat. Dowódca Duchów Pustyni.

- Potrzebujemy amunicji z ładowni - powiedział szybko kapitan. - Wy musicie się ukryć.

Painter zastąpił mu drogę.

- Ile czasu wytrzymacie z tym, co macie?

- Kilka minut. - Wojskowy wzruszył ramionami.

- Musicie ich zatrzymać. Nie mogą opuścić statku.

Painter myślał intensywnie. Założył, że jedynym powodem, dla którego „Shahab Oman” nie wyleciał jeszcze w powietrze, jest obecność na pokładzie tylnej straży. Kiedy tylko opuszczą pokład, nic nie powstrzyma Cassandry przed zdetonowaniem ładunków.

Painter dostrzegł przy drzwiach zwłoki. Jeden z napastników, ten, który przedtem leżał na pokładzie. Posadził Claya na podłodze i ostrożnie podszedł do ciała. Może uda się znaleźć coś przydatnego. Radio?

Dołączył do niego kapitan al-Haffi.

- Przyciągnąłem go tutaj, bo miałem nadzieję, że ma jakąś amunicję lub granat.

Jeden granat rozwiązałby problemy na pokładzie.

Painter przeszukał zwłoki, zerwał maskę. Mężczyzna miał subwokalizujące radio. Wziął je i włożył sobie słuchawkę do ucha. Nic. Nawet szumu. Zespół zamilkł.

W kieszeni zmarłego znalazł sprzęt noktowizyjny i odkrył, że wokół piersi ma szeroki pasek. Monitor EKG.

- Cholera.

- Co? - spytała Kara.

- Dobrze, że nie znalazłeś tego granatu - rzekł. - Oni mają na sobie urządzenia kontrolujące ich stan. Kiedy tylko umrą lub uciekną, pozostali wysadzą statek.

- Wysadzą statek? - powtórzył po angielsku, zwięźając oczy, al-Haffi.

Painter szybko wyjaśnił, co zobaczył przez okno i co z tego wynika.

- Musimy wydostać się ze statku przed ich tylną strażą. Pod rufą widziałem skif z motorem.

- To gig należący do statku - potwierdził kapitan. Painter skinął głową. Aluminiowy ratunek.

- Jednak między nami i ucieczką stoją niewierni - zastanawiał się al-Haffi. - Może zdołalibyśmy przejść dołem, ale kiedy oni przestaną strzelać, tamci uciekną.

Painter przestał przeszukiwać zwłoki i wyrzwał na pokład.

Wymiana ognia stała się mniej intensywna. Oba stronom zaczynało brakować amunicji, więc liczył się każdy pocisk.

Duchy były w gorszej sytuacji. Nie mogli pozwolić na ucieczkę napastników, ale też nie mogli ich zabić.

Pat.

A może nie?

Odwrócił się, bo nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł.

Zanim zdążył się odezwać, z tylnego pokładu dobiegł huk. Painter wyrzwał na zewnątrz. Kłapa dolnej ładowni została gwałtownie wypchnięta przez trzy konie. Arabcy galopowały i miały się po pokładzie, wplątując się w olinowanie. Zapanował chaos. Pękały żarówki. Niebo nad statkiem pociemniało.

Jeden z koni, klacz, cwałował prosto na barykadę napastników. Padły strzały. Klacz zakwicziała.

Wśród zamieszania z ładowni wypadł czwarty koń, para oddechu unosiła się nad jego głową. Biały ogier arabski. Wybiegł dolną rampą na pokład, kopyta łomotały o deski.

Tym razem jednak nie szalał.

Siedział na nim Omaha z pistoletami w rękach. Wycelował w najbliższych napastników i bezlitośnie opróżnił magazynki.

Dwóch mężczyzn padło martwych.

- Nie! - krzyknął Painter, pchając drzwi, ale zagłuszył go hałas.

Zza klapy rufowej wyszła Coral i zaczęła przekradać się do stanowiska snajpera. Podniosła do ramienia karabin i wycelowała w ostatniego żywego napastnika. Ten rzucił się do relingu sterburty, zamierzając skoczyć do wody.

Wystrzałowi towarzyszył błysk.

Napastnik podskoczył, jakby kopnął go koń. Lewa strona jego głowy eksplodowała.

Painter pohamował jęk. To już koniec. Teraz nic nie powstrzyma Cassandry przed wysadzeniem statku w powietrze.

2:10

Cassandra sprawdziła godzinę, kiedy wdrapywała się z pontonu na pokład wodolotu. Czas misji przekroczony o dziesięć minut. Na pokładzie czekał jej zastępca.

John Kane warknął do dwóch ludzi, żeby pomogli mu nieść bezwładną Safię. Morze było coraz bardziej wzburzone, a wiatr coraz silniejszy, więc wdrapanie się z ciałem na pokład wymagało nie lada wysiłku. Cassandra niosła walizkę z sercem.

Mimo przeszkód wykonali zadanie.

Kane podszedł do Cassandry. Wyglądał jak cień, ubrany na czarno od stóp do głów.

- „Argus” meldował gotowość osiem minut temu. Czekają na pani rozkaz zdetonowania min.

- A co z grupą osłaniającą? - Cassandra słyszała strzelaninę na pokładzie. Kiedy gnała z powrotem, rozlegały się sporadyczne wystrzały. W ciągu ostatniej minuty wszystko umilkło.

Kane pokręcił głową.

- Wskaźniki stanu ich zdrowia właśnie zgasły.

Zginęli. Cassandra przypomniała sobie ich twarze. Najemnicy. Na pokładzie zadudniły kroki.

- Kapitan Sanchez! - wołał żołnierz obsługujący radio. Poślizgnął się na mokrym pokładzie. - Znów odbieramy sygnały. Wszystkie trzy.

- Od grupy osłaniającej? - Cassandra spojrzała na morze. Jakby zauważywszy jej zainteresowanie, „Shahab Oman” odpowiedział serią wystrzałów. Spojrzała na Kane'a, a ten wzruszył ramionami.

- Straciliśmy na krótko kontakt - meldował łącznościowiec. - Może to przez burzę. Ale teraz sygnał jest silny i wyraźny.

Cassandra nadal wpatrywała się światła statku. Zmrużyła oczy, ponownie przypominając sobie twarze tamtych. Kane stanął obok niej.

- Jakie są rozkazy?

O pokład zaczęły bębnić krople deszczu. Ledwo poczuła jego „klucia na policzku.

- Zdetonujcie ładunki.

Radiowiec wzdrygnął się, ale nie zaryzykował pytań. Spojrzał na Kane'a, a ten skinął głową. Młody człowiek zacisnął pięści i pobiegł do sterówki.

Cassandra była zirytowana, że jej rozkazy wykonywane są opóźnieniem. Zauważyła, że łącznościowiec chciał potwierdzenia Kane'a, jej zastępcy, mimo że to Cassandra została mianowana dowódcą operacji. To jednak byli ludzie Kane'a, a ona właśnie trzech z nich skazała na śmierć.

Chociaż twarz Kane'a pozostawała nieruchoma, a oczy bez wyrazu, wyjaśniła:

- Oni już nie żyją. Nowy sygnał jest fałszywy.

Kane ściągnął brwi.

- Jak może być pani tego tak...
- Bo jest tam Painter Crowe.

2.12

Skulony wraz z innymi, Painter sprawdzał pasy przecinające nagie klatki piersiowe Omaha i Danny'ego. Wyglądało na to, że monitory akcji serca zabitych napastników działają jak należy. Urządzenie na jego piersi błyskało regularnie, przekazując tętno na statek napastników.

Danny wytarł deszcz ze szkieł.

- To nas nie porazi prądem, skoro jest tak mokro?
- Nie - zapewnił Painter.

Zgromadzili się na pokładzie rufowym: Kara, bracia Dunn, Coral. Clay oprzytomniał na tyle, że mógł wstać, ale kołysanie statku sprawiało, że potrzebował oparcia. Kilka kroków dalej czterech Omańczyków z patrolu granicznego strzelało od czasu do czasu, udając, że walka nadal trwa.

Painter nie wiedział, jak długo będą mogli udawać. Miał nadzieję, że zdążą opuścić statek. Kapitan al-Haffi zwołał załogę. Szalupa z silnikiem była przygotowana.

Drugą szalupę także przygotowano do opuszczenia na wodę. Z piętnastu osób załogi zostało dziesięć. Z braku czasu zabitych trzeba było zostawić.

Painter obserwował coraz bardziej wzburzone morze wylaniające się z mroku. Fale miały już ponad trzy metry. Wiatr strzelał żaglami, a deszcz zlewał pokład. Rusztowanie utrzymujące giga, teraz wiszące swobodnie, objęło się o ster.

A przecież prawdziwy sztorm miał dopiero nadejść.

Painter dostrzegł, jak jeden ze skuterów skacze nad wysoką falą, zawisa, a potem zjeżdża po drugiej stronie. Skulił się instynktownie, ale niepotrzebnie. Kierowca skręcił w przeciwną stronę.

Painter wstał. Skuter odpływał.

Ona wie...

Odwrócił się i wrzasnął:

- Do łodzi! Już!

2.14

Safię obudził odgłos gromu. Na jej twarz padał chłodny deszcz. Leżała na wznak, przemoknięta do nitki. Usiadła. Świat wirował. Słyszała głosy i tupot nóg. Kolejny grom. Skuliła się.

Czuła kołysanie. Jestem na łodzi.

- Narkotyk przestaje działać - powiedział ktoś za jej plecami.
- Zabierz ją na dół - poleciał inny głos.

Safia odwróciła głowę, żeby spojrzeć na mówiącego. Kobieta. Patrzyła ponad falami, z dziwnym napiętym wyrazem twarzy. Ubrana na czarno, długie hebanowe włosy związała w koński ogon.

Znała ją. Pamięć zalały wspomnienia. Krzyk Claya, potem pukanie do drzwi. Clay? Nie otworzyła, wyczuwając coś złego. Zbyt wiele lat spędziła na granicy paniki, żeby nie wpaść w paranoję. Jednak to nie pomogło. Zamek został sforsowany z taką łatwością, jakby mieli klucz.

Kobieta, która teraz przed nią stała, weszła pierwsza. Coś wbiło się w szyję Safii. Przepędziła w drugi kąt kabiny, dławiała się, panika zawężyła jej pole widzenia do plamki

laserowego światła. Potem znikło nawet i to. Poczwała, że się osuwa, ale nie wychwyciła chwili, kiedy dotknęła podłogi. Świat ześlizgnął się w przepaść.

- Przynieście jej jakieś suche ubrania.

Była wstrząśnięta, gdy rozpoznała ostry głos pełen pogardy. Dach British Museum. „Podaj kombinację”. Złodziejka z Londynu.

Potrząsnęła głową. Znalazła się w koszmarze.

Zanim zdążyła zareagować, dwaj mężczyźni postawili ją na nogi. Ślizgała się na mokrym pokładzie. Kolana miała jak z waty. Nawet trzymanie prosto głowy wymagało całej siły woli. Safia popatrzyła ponad relingiem. Uderzył sztorm. Fale rosły i opadały jak grzbiety wielorybów, śliskie i gładkie. Piana na ich czubkach lśniła srebrem w nikłym świetle. Jednak tym, co przyciągnęło jej wzrok, były płonące szczątki statku.

Opadła z sił.

Statek płonął, maszty zamieniły się w pochodnie. Pałace żagle powiewały kłębiastym popiołem unoszone porywami wiatru. Kadłub rozpadł się na kawałki. Jego tłące się szczątki dekorowały fale niczym obozowe ogniska.

Znała ten statek. „Shahab Oman”.

Z jej płuc uciekło całe powietrze. Dusila się. Zaczęło ją mdlić. Zwymiotowała, brudząc buty swoich strażników.

- Jasna dupa... - zaklął jeden z nich, szarpiąc ją gwałtownie. Oczy Safii jednak nadal patrzyły ponad falami. Palilo ją w gardle. Nie znowu... nie, wszyscy, których kocham...

Lecz jakaś jej cząstka wiedziała, że zasłużyła sobie na ten ból, na tę stratę. Od czasu Tel Awiwu spodziewała się, że wszystko zostanie jej odebrane. Życie to okrucieństwo i tragedia. Nie istnieje nic trwałego ani bezpiecznego.

Po jej policzkach popłynęły gorące łzy.

Patrzyła na płonący wrak „Shahab Omana”. Jeśli miała odrobinę nadziei, że ktoś przeżył, to starły ją słowa porywaczki.

- Poślijcie ludzi z powrotem. Niech zabiją wszystko, co się rusza.

2.22

Painter starł krew z rozcięcia nad lewym okiem. Młócił nogami, żeby utrzymać się na powierzchni, która wznosiła się i opadała. Z nisko zwisających chmur lał się deszcz oświetlany błyskawicami.

Spojrzał do tyłu na przewróconego giga, który kołysał się na falach. Wokół pasa obwiązał się linką łączącą go z dziobem. Morze było czarne, jakby pływał w ropie. Dalej jednak widać było na wodzie błyski ognia i płonący kadłub statku.

Wycierając z oczu krew i deszcz, Painter rozglądał się, wypatrując niebezpieczeństwa. W jego umyśle pojawił się strach przed rekinami. Przypomnił sobie, że przyciąga je krew. Miał nadzieję, że sztorm zmusi drapieżniki do pozostania w głębinach.

Rozglądał się jednak za innymi drapieżnikami.

Nie musiał długo czekać.

Pojawił się płynący zakosami ślizgacz.

Painter włożył gogle noktowizyjne. Zanurzył się głębiej, żeby być mniej widocznym. Świat rozsypał się na zieleni i biel. Morze przybrało odcień srebrzystej akwamaryny. Skupił się na ślizgaczu. Włączył powiększenie. Na przodzie garbił się kierowca. Człowiek za nim obsługiwał karabin zdolny wystrzelić sto pocisków w minutę.

Przez gogle Painter z łatwością dostrzegł dwa inne ślizgacze przeszukujące miejsce wybuchu. Krążyły po spirali, od zewnątrz ku środkowi. Zza kadłuba poszła seria. Towarzyszył jej wrzask, ale zaraz umilkł, seria - nie. Cel tych ścierwojadów był jasny. Żadnych świadków.

Painter popłynął z powrotem do przewróconego giga unoszącego się jak korek na wzburzonym morzu. Zanurkował pod nim. Gogle były wodoodporne. Dziwne, jak jasne było morze widziane przez nie. Zobaczył dyndające nogi.

Manewrując między nimi, wynurzył się po drugiej stronie. Nawet przez gogle szczegóły się zamazywały. Rozbitkowie trwali uczeplieni burt i aluminiowych siedzisk. W sumie ośmioro. W powietrzu czuć było ich strach.

Kara i bracia Dunn pomagali utrzymać się Clayowi, który już prawie doszedł do siebie. Kapitan al-Haffi zajął miejsce za przednią szybą. Jak jego dwóch ludzi, zdjął długą koszulę i został w przepasce na biodrach. Los czwartego Ducha pozostawał nieznany.

Wybuch nastąpił niemal dokładnie w momencie, gdy łódź dotknęła powierzchni. Jego siła cisnęła gigiem, obracając go do góry dnem. Wszyscy odnieśli lekkie obrażenia. Potem Painter i Coral zgromadzili resztę pod łodzią, kiedy jeszcze spadały gęsto odłamki. Ponadto łódź pozwalała się ukryć przed wścibskimi oczami.

- Przysłała sprzętacz? - wyszeptła mu do ucha Coral. Painter skinął głową.

- Miejmy nadzieję, że sztorm skróci ich poszukiwania.

Odgłos silnika zbliżył się, słabnąc i rosnąc wraz ze wznoszeniem się i opadaniem na falach. Wreszcie stał się wyraźniejszy. Painter miał złe przeczucie.

- Wszyscy pod wodę! - krzyknął. - Trzydzieści sekund!

Zaczął, aż wszyscy wykonają polecenie. Coral znikła ostatnia, Painter wziął głęboki wdech i...

Pociski zagrzechotały ogłuszająco o aluminiową burtę giga. Kilka z nich przebiło podwójny kadłub.

Painter zanurkował. Dwa zbłąkane pociski śmignęły po wodzie. Patrzył na pozostałych, jak utrzymują się pod skifem. Miał nadzieję, że impet pocisków zostanie wystarczająco zmniejszony przez podwójny kadłub giga i wodę.

Patrzył, jak jedna z kul mija jego ramię.

Wstrzymywał oddech, dopóki hałas nie umilkł. Wynurzył się. Silnik ślizgacza słychać było bardzo blisko. Grzmot spowodował że kadłub zadzwieczał jak dzwon.

Omaha wynurzył się, potem inni, w miarę jak zaczynało im brakować powietrza. Nikt się nie odzywał. Wszyscy nasłuchiwali. Każdy przygotowywał się do ponownego zanurzenia w razie potrzeby.

Skuter uderzył o burtę giga.

Jeśli spróbują odwrócić łódź... użyją granatu...

Wielka fala uniosła giga i schowanych pod nią pasażerów. Skuter uderzył w niego mocniej, szarpnięty przez wiatr. Usłyszeli, jak ktoś głośno przeklina. Silnik zawarczał głośniejsz i ślizgacz zaczął się oddalać.

- Moglibyśmy przejąć ten skuter - szepnął Omaha do Paintera. - My dwaj. Mamy pistolety.

Painter skarcił go wzrokiem.

- A potem co? Myślisz, że nie zauważą, że jednego brakuje? Tam gdzieś jest statek, coś szybkiego. Złapią nas w sekundę.

- Nie rozumiesz - prychnął Omaha. - Nie mówiłem, żeby wiać. Pojedziemy na tym cholerstwie tam, skąd przybyło. W przebraniu. Ratować Safię.

Painter musiał przyznać, że gość ma jaja. Szkoda, że brakuje mu mózgu.

- To nie amatorzy. Mają nad nami przewagę.

- Mówimy o życiu Safii.

Painter pokręcił głową.

- Nie zbliżysz się do głównej jednostki na sto metrów. Najpóźniej wtedy cię wykryją i zdmuchną.

Omaha nie zamierzał rezygnować.

- Jeśli ty nie chcesz, zrobię to z bratem.
Painter chciał złapać go za ramię, ale Omaha odepchnął jego rękę.
- Ja jej nie zostawię. - Odwrócił się i popłynął w stronę Danny'ego.
Painter uświadomił sobie, że w głosie Omahy były ból i furia. Czuł to samo. Porwano Safię z jego winy. Jakaś jego część też pragnęła zaryzykować wszystko.
Wiedział jednak, że to nic nie da.
Omaha wyjął pistolet.
Painter nie mógł go powstrzymać, ale wiedział, kto może. Odwrócił się i chwycił tę osobę za ramię.
- Zależy mi na niej - powiedział ostro.
Kara próbowała uwolnić ramię, ale Painter mocno trzymał.
- O czym ty mówisz? - prychnęła.
- O tym, o co pytałaś wcześniej... w twojej kabinie. Zależy mi na Safii. - Trudno było się do tego przyznać, ale nie miał wyboru. Nie była to miłość... jeszcze nie... ale chciał zobaczyć, dokąd go to zaprowadzi. Zaskoczyło go to tak samo, jak zapewne zaskoczyło Karę.
- I przyprowadzę ją z powrotem, ale - skinął głową w stronę Omahy - nie tak, jak on chce to zrobić, bo to ją najprawdopodobniej zabije. Teraz jest bezpieczna. Bardziej niż my. Musimy przetrwać dla niej. O ile ma być jakakolwiek nadzieja na ratunek.
Kara słuchała. Jako szefowa korporacji szybko podjęła decyzję. Odwróciła się do Omahy.
- Odłóż tę cholerną broń, Indiana - warknęła.
Za aluminiowym kadłubem rozległ się warkot ślizgacza, coraz cichszy. Omaha zerknął w tamtym kierunku... zaklął i oddał pistolet.
- Znajdziemy ją - powiedział Painter, ale wątpił, czy Omaha to usłyszał. Może i tak. Nie wiedział, czy zdoła dotrzymać tak butnie złożonej obietnicy. Nadal był zszokowany po ataku i porażce. Okazało się, że Cassandra jest o krok przed nim.
Musi oczyścić umysł.
- Obejmę wachtę. Sprawdźę, czy naprawdę odpłynęli.
Zanurkował i wypłynął za gigiem. Wciąż myślał o zdolności Cassandry do przewidywania ich ruchów. Jak jej się to udaje? W jego głowie zrodziło się podejrzenie. Czyżby wśród nich był zdrajca?

2.45

Omaha trzymał się brzegu burty, wznosząc się i opadając z falami. Nie cierpiał czekania w ciemności. Słyszał oddechy innych. Nikt nic nie mówił. Każdy zatopił się w swoich myślach.

Mocniej zacisnął palce na burcie, kiedy gig znów wspiął się na falę i uniósł w górę ich wszystkich.

Wszystkich poza jedną osobą. Safią.

Dlaczego posłuchał Paintera? Powinien spróbować przejąć ślizgacz. Do diabła z tym, co się komu wydaje. W gardle czuł ucisk, wstrzymał oddech, niepewny, czy gdyby wypuścił powietrze, byłby to szloch czy wrzask. W ciemności przed jego oczami przewijała się przeszłość.

Odszedł od niej.

Po Tel Awiiwie coś w Safii umarło, zabierając z niej całą miłość. Uciekła do Londynu. Próbował z nią być, ale jego kariera, jego pasja były gdzie indziej. Za każdym razem, kiedy wracał, znikano z niej coraz więcej i więcej. Narastała w niej pustka. Uświadomił sobie, że boi się powrotów do Londynu. Czuł się zapędzony w ślepy zaułek. Wkrótce jego wizyty stały się rzadsze. Safia nie zauważała tego, nie skarżyła się. To bolało najbardziej.

Kiedy to się skończyło, kiedy miłość zamieniła się w piasek i pył?

Nie umiał powiedzieć. Musiało się to stać na długo przedtem, zanim sam przed sobą przyznał się do porażki i poprosił o zwrot babcinego pierścionka. Dokonało się to w czasie długiej chłodnej kolacji. Żadne się nie odzywało. Oboje wiedzieli. Milczenie powiedziało więcej niż jego bezładne próby wyjaśnienia.

W końcu ona skinęła głową i zdjęła pierścionek. Łatwo zszedł. Umieściła go w jego dłoni i spojrzała mu w oczy. W jej spojrzeniu nie było smutku, tylko ulga.

Painter wrócił.

- Chyba w porządku. Od dziesięciu minut ani śladu ślizgaczy.

Wszyscy westchnęli z ulgą.

- Powinniśmy ruszać do brzegu. Tutaj jesteśmy widoczni - dodał.

Omaha wychwycił leciutki akcent z Brooklynu. Nie zauważył go wcześniej. Teraz z każdym słowem był wyraźniejszy. Instrukcje Paintera brzmiały jak rozkazy. Dobrze wyszkolony wojskowy.

- W uchwytach po obu stronach są dwa wiosła. Przydadzą się do odwrócenia łodzi. - Painter precyzyjnie się między nimi, żeby pokazać, jak je wyjąć.

Omaha wziął jedno wiosło.

- Musimy podzielić się na dwie grupy. Jedna obciąży burtę, a druga wiosłami postara się podnieść sterburtę. Powinno się udać. Najpierw jednak muszę odczepić silnik. Dostał serię i przecieka.

Wszyscy zanurkowali.

Padła deszcz. Wiatr osłabł do niepewnych podmuchów. Omaha po czasie, który spędził w ciemności pod łodzią, miał wrażenie, że noc jest jaśniejsza. Między chmurami zamigotała błyskawica. Na falach nadal płonęło kilka ogni. Po statku nie został ślad.

Painter podpłynął do rufy i starał się odczepić silnik. Omaha zastanowił się, czy podpłynąć i pomóc, ale został i przyglądał się, jak Painter walczy z bolcem mocującym.

Po kilku szarpnięciach bolce puścił i silnik zatonął w morzu. Painter odnalazł wzrokiem Omahę.

- No to obróćmy łódeczkę.

Nie było tak łatwo, jak to opisywał. Trzeba było czterech prób, aż wreszcie wszyscy obciążyli jedną stronę, a Painter i Omaha, wzięwszy po wiosła, podnieśli sterburtę. Wyliczyli tak, żeby fala im pomagała. Wreszcie łódź się odwróciła. Była do połowy wypełniona wodą.

Wdrapali się na nią i zaczęli wylewać wodę. Omaha umieścił wiosła w dulkach.

- Nadal bierze wodę - stwierdziła Kara, kiedy poziom wody w łodzi zaczął się podnosić pod ich ciężarem.

- Dziury po kulach - odrzekł Danny, obmacawszy burtę.

- Wylewajcie dalej - rzekł Painter, znów nieco rozkazującym tonem. - Będziemy się zmieniali przy wiosłach i wylewaniu. Do brzegu daleko.

- Uważajcie - powiedział kapitan al-Haffi, prawie nagi, ale wcale tym niezakłopotany.

- Tutaj są zdradzieckie prądy. I jeszcze rafy i skały.

Painter skinął głową i machnął do Coral, żeby poszła na dziób.

Omaha patrzył na kilka płonących kawałków wraku, a potem przeniósł wzrok na linię brzegową, która z trudem dawała się odróżnić od odrobiny ciemniejszego skraju chmury. Światło błyskawic ukazywało, jak daleko zadryfowali.

Painter także lustrował przestrzeń dookoła łodzi. Nie przejmował się jednak rekinami czy tym, gdzie są. Gdzieś tam kręca się mordercy, ludzie, którzy porwali Safię. Czy jednak boi się o Safię, czy o własną skórę?

W głowie Omahy rozbrzmiewały słowa Paintera: „Zależy mi na niej... na Safii”.

Omaha poczuł, jak gniew rozgrzewa chłód płynący od przemoczonego ubrania. Crowe kłamał? Zacisnął dłonie na wiosłach i napiął mięśnie, zaczął wiosłować. Painter, przy sterze, popatrzył na niego przez szkło noktowizyjnych gogli. Co oni wiedzą o tym człowieku?

Mięśnie szczęk Omahy zbyt długo były napięte - teraz bolały.

„Zależy mi na niej”.

Podczas wiosłowania zastanawiał się, co go bardziej wścieka.

Kłamię czy mówi prawdę?

3.47

Godzinę później Painter przedzierał się przez sięgającą mu do pasa wodę, ciągnąc linę holowniczą. Przed nim srebrzyła się plaża obramowana potrzaskanymi skalistymi urwiskami. Reszta brzegu pozostawała ciemna poza kilkoma bladymi światełkami bardziej na północ. Dookoła nich było pusto, jednak nie tracił czujności. Noktowizyjne gogle dał Coral, żeby obserwowała teren z łodzi.

Brnąc naprzód, wbijał buty głęboko w piasek. Uda płonęły mu z wysiłku. Ramiona bolały po wiosłowaniu. Fale pomagały, popychając ku czekającemu brzegowi.

Jeszcze tylko kawałek...

Deszcz wreszcie przestał padać.

Oparł linę na ramieniu i holował łódź ku stałemu lądowi. Danny pracował wiosłami, Painter prowadził giga obok skał. Wreszcie pokazała się plaża. Była dokładnie na wprost nich.

- Dawaj, mocno! - krzyknął Painter do Danny'ego.

Danny posłuchał i lina stała się mniej naprężona. Gig skoczył do przodu wraz z pchnięciem wiosła. Painter brnął przez wodę sięgającą mu do kolan. Szarpnął w przód i w bok.

Na grzbiecie ostatniej fali gig zjechał do przodu na prawo od Paintera, który uchylił się w ostatniej chwili.

- Przepraszam! - zawołał Danny, wiosłując.

Dziób giga ze zgrzytem wbił się w piasek. Fala cofnęła się, zostawiając łódź na plaży.

Painter na czworakach wyszedł z wody i wstał.

Ośmioro mężczyzn i kobiet wyszło z łodzi. Coral pomogła Karze, a Danny, Omaha i Clay prawie wypadli z giga. Tylko trzy Duchy Pustyni, kapitan al-Haffi i jego dwóch ludzi, stali wyprostowani, lustrując plażę.

Painter chwiejnie wyszedł z wody, przemoczony, z obolałymi nogami i rękami. Minął linię przyływu widoczną na piasku. Prawie bez oddechu odwrócił się i patrzył, jak pozostali radzą sobie z gigiem. Muszą albo ukryć łódkę, albo ją zatopić.

Z tyłu pojawił się cień. Nie zdążył zauważyć uniesionej pięści. Dostał w twarz i klapnął na tyłek.

- Omaha! - krzyknęła Kara.

Teraz Painter poznał napastnika. Nad nim stał Omaha.

- Co ty... - Painter nie dokończył, bo Omaha pchnął go z powrotem w piasek, jedną ręką trzymając za gardło, drugą zamierzając się do ciosu.

- Ty cholerny sukinsynu!

Nie zdążył uderzyć, bo wiele rąk złapało go za ramiona i koszulę i odciągnęło. Walczył, wrywał się, ale Coral mocno trzymała go za kołnierz. Była silna.

Painter wykorzystał okazję i poczołgał się do tyłu. Lewe oko łzawiło mu od pierwszego ciosu.

- Puszczajcie mnie! - ryczał Omaha.

Coral rzuciła go na ziemię.

Kara podeszła z drugiej strony.
- Omaha! Co ty, u diabła, wyprawiasz?
Usiadł, czerwony na twarzy.
- Ten skurwiel wie więcej, niż nam mówi. - Wskazał kciukiem Coral. - On i ta jego kumpela amazonka. - Nawet brat starał się go uspokoić. - Omaha, to nie czas na...
Omaha padł na kolana, ciężko dyszał, z ust ciekła mu ślina
- Diabło dobry czas! Szliśmy za skubańcem aż tutaj. Ja chcę odpowiedzi, zanim zrobimy krok dalej.
Wstał z wysiłkiem, chwiejąc się lekko. Painter wstał z pomocą Coral.
Kara stanęła w środku, spoglądając na obie grupy. Podniosła rękę, jakby chciała uspokoić strony.
- Mówiłeś, że masz plan. Od tego zacznijmy - rzekła do Paintera.
Painter wziął głęboki wdech i skinął głową.
- Salalah. To tam zabiorą Safię. Tam też musimy pojechać.
- A skąd to wiesz? Coś taki pewny? Mogą ją zabrać dokądkolwiek... dla okupu, żeby sprzedać serce. Kto, do cholery, może to wiedzieć? - obruszył się Omaha.
- Ja wiem - chłodno powiedział Painter. Pozwolił, by cisza się przedłużyła, po czym dodał: - Nie zaatakowała nas żadna banda porywaczy dla okupu. Byli zdecydowani, celowi w działaniu. Wyciągnęli i złapali Safię oraz żelazne serce. Wiedzieli, po co idą i kto wie najwięcej na ten temat.
- Dlaczego? - spytała Kara, tłumiąc kolejny wybuch Omahy ruchem ręki. - Czego chcą?
Painter zrobił krok do przodu.
- Tego, czego i my. Jakichś informacji, gdzie znajdowało się miasto Ubar.
Omaha zaklął pod nosem. Pozostali w milczeniu wpatrywali się w Paintera.
Kara pokręciła głową.
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - zauważyła surowo. - Czego oni chcą? Co spodziewają się zyskać przez znalezienie Ubaru?
Painter obliznął wargi.
- To jakaś bzdura! - warknął Omaha i rzucił się w stronę Paintera.
Ten stał w miejscu, powstrzymując Coral gestem ręki. Już nie pozwolił się uderzyć.
Omaha podniósł ramię. W bladym świetle błysnął metal. Przyłożył pistolet do głowy Paintera.
- Dość już nam naszarpałeś nerwów. Odpowiadaj na pytanie tej kobiety. Co tu się, u diabła, dzieje?
- Omaha... - ostrzegła go Kara, ale w jej głosie nie było zdecydowania.
Coral przeszła kilka kroków. Painter znów zasygnalizował ręką, żeby niczego nie robiła.
Omaha mocniej ścisnął pistolet.
- Odpowiadaj! Co za cholerna gra się tu toczy? Dla kogo tak naprawdę pracujesz?
Painter nie miał wyjścia, musiał wszystko wyjaśnić. Współpraca grupy jest niezbędna. Jeśli istnieje jakakolwiek nadzieja na powstrzymanie Cassandry, na uratowanie Safii, muszą mu pomóc. Sam z Coral tego nie dokona.
- Pracuję dla amerykańskiego Ministerstwa Obrony - przyznał wreszcie. - A konkretnie dla DARPA. To departament badawczo-rozwojowy ministerstwa.
Omaha pokręcił głową.
- Świetnie, kurwa. Wojo? Co ma z nami wspólnego cokolwiek z tego, co się dzieło? Jesteśmy ekspedycją archeologiczną.
Kara odpowiedziała, uprzedzając Paintera:
- Wybuch w muzeum.

Omaha popatrzył na nią, a potem na Paintera. Crowe skinął głową.

- Ma rację. To nie był zwykły wybuch. Promieniowanie szczątkowe wskazywało na coś niezwykłego. - Wszystkie oczy wbiły się w niego, poza Coral, która pilnowała Omahy i jego pistoletu. - Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że w meteorycie, który wybuchł, znajdowała się jakaś forma antymaterii.

Omaha parsknął głośnym śmiechem, jakby przez cały czas się powstrzymywał.

- Antymateria... co za piramidalna brednia! Za kogo ty nas uważasz?

- Doktorze Dunn, on mówi prawdę - odezwała się Coral. - Sprawdziliśmy strefę wybuchu i wykryliśmy bozony Z i gluony powstające w wyniku dowolnej interakcji antymateria-materia.

Omaha zmarszczył czoło, już mniej pewny siebie.

- Wiem, że to zabawnie brzmi - wtrącił się Painter. - Jednak, jeśli opuścisz broń, wszystko wyjaśnię.

- Na razie tylko to skłania cię do gadania - nie dawał za wygraną Omaha.

Painter westchnął. Warto spróbować.

- Niech więc będzie po twojemu.

Z pistoletem przy twarzy zrobił krótki wykład o eksplozji w Rosji, w 1908 nad rzeką Tunguską, o unikalnym promieniowaniu gamma w British Museum, o cechach plazmy w wybuchu i jak dowody zasugerowały, że gdzieś na pustyniach Omanu prawdopodobnie znajduje się złożo antymaterii, z jakiegoś powodu stabilne i niereagujące na obecność materii.

- Chociaż teraz może się destabilizować - zakończył. - To może być przyczyna, dla której meteor wybuchł w muzeum. Tutaj też się to może zdarzyć. Czas jest najważniejszy. Być może to jedyna okazja, by odkryć i zachować źródło nieograniczonej energii.

Kara zmarszczyła czoło.

- A co rząd Stanów Zjednoczonych zamierza zrobić z tym nieograniczonym źródłem energii?

Painter widział podejrzliwość w jej oczach.

- Na razie zabezpieczyć. To cel bezpośredni i podstawowy. Chronić przed tymi, którzy mogliby tego nadużyć. Jeśli taka siła wpadłaby w niepowołane ręce...

Gdy skończył, zapadła cisza. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ludzi dzielą nie tyle granice, ile ideologie. Choć nikt nie mówił tego głośno, na świecie szykowała się kolejna wojna, w której fundamentalna przyzwoitość i szacunek dla praw człowieka ugięły się pod naporem nietolerancji, despotyzmu i fanatyzmu. Podczas gdy bitwy tej wojny niejednokrotnie widać było w pełnym świetle - Nowy Jork, Irak - cięższa walka toczyła się w sekrecie, a jej bohaterowie pozostawali nieznanymi, łajdacy zaś ukryci.

Chcąc nie chcąc, zebrani na tej plaży ludzie zostali w tę wojnę wciągnięci.

Wreszcie odezwała się Kara:

- A ta grupa... porywacze Safii. To ci sami, którzy włamali się do British Museum?

Painter skinął głową.

- Tak sadzę.

- Kim oni są? - Omaha nadal trzymał wycelowany pistolet.

- Nie wiem... nie na pewno.

- Bzdura!

Painter uniósł dłoń.

- Jedyne, co wiem na pewno, to kto nimi dowodzi. To moja była partnerka z DARPA, kret, którego tam umieszczono. - Był zbyt wyczerpany, żeby ukryć gniew. - Nazywa się Cassandra Sanchez. Nie udało mi się odkryć, dla kogo pracuje. Jakies inne mocarstwo? Terrorysty? Grupa czarnorynkowa? Wiem jedynie, że mają dużo pieniędzy, są dobrze zorganizowani, a ich metody bezlitosne.

- A ty i twoja partnerka to takie ciepłe kluski? - zakpił Omaha.

- Nie zabijamy niewinnych.

- Nie, wy jesteście, kurwa, gorsi! - Splunął. - Pozwalacie, żeby inni wykonywali za was brudną robotę. Wiedzieliście, że leziemy w główniany sztorm, ale trzymaliście mordy na kłódkę. Gdybyśmy wiedzieli wcześniej, moglibyśmy się lepiej przygotować. Moglibyśmy zapobiec uprowadzeniu Safii.

Painter musiał przyznać, że ten gość ma rację. Bo jego samego złapano bez przygotowania, narażając i zadanie, i ich życie.

Rozmyślając o poczuciu winy, nie zdążył zareagować. Omaha skoczył i przycisnął lufę pistoletu do jego czoła, zmuszając do cofnięcia się o krok.

- Ty sukinsynu... to wszystko twoja wina! - syknął. Crowe słyszał w głosie Omahy ból i rozdzierający żal. Ten człowiek stracił rozum. W piersi Paintera narastał gniew. Był obolały, przemarznięty i zmęczony wymachiwaniem bronią przed jego twarzą. Nie wiedział, czy powinien wreszcie Omahę uspokoić.

Coral czekała w napięciu.

Wsparcie nadeszło z nieoczekiwanej strony.

Na plaży nagle rozległ się tętent kopyt. Wszystkie oczy zwróciły się w tamtą stronę, spojrział nawet Omaha. Cofnął się i wreszcie opuścił pistolet.

- Cholera... - wymamrotał.

Plażą galopował biały ogier z rozwianą grzywą, kopytami zrzucał grudy piasku. Koń z „Shahab Omana”.

Ogier gnał ku nim, być może przyciągnięty ich podniesionymi głosami. Musiał przypłynąć do brzegu po wybuchu. Zarył kopytami na parę metrów przed nimi, wydmuchując chrapami parę w chłód. Był rozgrzany. Rzucił gwałtownie głową.

- Nie wierzę, że uszedł z życiem - wyszeptał Omaha

- Konie są świetnymi pływakami - przypomniała Kara a w jej głosie brzmiał podziw.

Jeden z Duchów Pustyni powoli zbliżył się do konia i szeptał coś po arabsku. Ogier drżał, lecz pozwolił do siebie podejść Wyczerpany, przestraszony, potrzebował wsparcia.

To niespodziewane zdarzenie rozładowało napięcie. Omaha spoglądał na pistolet, jakby nie wiedział, skąd wziął się w jego ręku.

Kara podeszła do Paintera i spojrzała mu w twarz.

- Chyba już czas, żebyśmy przestali się kłócić. Rzucić oskarżenia. Wszyscy mamy swoje powody, żeby tu być. Ukryte zamierzenia i oczekiwania. - Spojrzała na Omahę, który unikał jej wzroku. Painter mógł się tylko domyślić ukrytych zamierzeń i oczekiwań tego gościa, po sposobie, w jaki patrzył na Safię i wnioskuje z tego furiackiego wybuchu przed chwilą. Nadal ją kochał...

- Od teraz - ciągnęła Kara - musimy zająć się tym, co konieczne, by uwolnić Safię. To priorytet. - Zwróciła się do Paintera: - Co mamy robić?

Painter skinął głową. Przy tym ruchu zabolalo go lewe oko.

- Tamci, myślą, że nie żyjemy, lepiej utrzymać ich w tym przekonaniu. Wiemy, dokąd zmierzają. Musimy dotrzeć do Salalah najszybciej, jak to możliwe. To oznacza przebycie prawie pięciuset kilometrów.

Kara popatrzyła na światła odległej wioski.

- Gdybym tylko dotarła do telefonu, na pewno mogłabym skłonić sułtana do...

- Nie - uciął Painter. - Nikt nie może wiedzieć, że żyjemy. Nawet rząd Omanu. Jedno słowo, a nasza wątpliwa przewaga zniknie. Grupa Cassandry zdołała uprowadzić Safię, wykorzystując wagę zaskoczenia. Możemy ją odzyskać w ten sam sposób.

- Ale z pomocą sułtana Salalah można zamknąć i przeszukać.

- Grupa Cassandry aż za bardzo dowiodła swej cholernej pomysłowości. Dysponuje wieloma ludźmi i dobrym sprzętem. Nie byłoby to możliwe bez pomocy kogoś w rządzie.

- A jeśli wyjdziemy z ukrycia, słówko doleci do porywaczy - mamrotał Omaha. Wsadził pistolet za pasek i pocierał knykcie - chyba się uspokoił. - Porywacze znikną, zanim będzie można „odjąć jakąkolwiek akcję. Stracimy Safię.

-Dokładnie.

- To co robimy? - zapytała Kara.

- Szukamy transportu.

Kapitan al-Haffi zrobił krok w ich stronę. Painter nie miał pewności co do odczuć tego Ducha Pustyni w kwestii oszukiwania własnego rządu, utrzymywania go w niewiedzy, ale z drugiej strony, kiedy Duchy działały na pustyni, miały pełną niezależność. Kiwnął głową Painterowi.

- Poślę jednego z moich do wioski. Oni nie wzbudzą podejrzeń.

Kapitan musiał wyczytać coś z twarzy Paintera, pytanie o tak nagłe dołączenie do zespołu, i dodał:

- Oni zabili jednego z moich. Khalila. Był kuzynem mojej żony.

Painter pokiwał głową ze współczuciem.

- Niech Allah poprowadzi go do domu.

Wiedział, że nie ma większej lojalności nad tę wobec członków rodziny lub plemienia.

Lekko się skłoniwszy, kapitan skinął na wyższego ze swych ludzi, prawdziwego olbrzyma o imieniu Barak. Rozmawiali szybko po arabsku. Barak skinął głową i zaczął się oddalać.

Kara zatrzymała go.

- Jak masz zamiar kupić ciężarówkę bez pieniędzy?

Barak odpowiedział po angielsku:

- Allah pomaga tym, którzy pomagają sobie sami.

- Chcesz ukraść?

- Pożyczyć. To tradycja między naszymi plemionami pustyni. Człowiek może pożyczyć to, czego potrzebuje. Kradzież to zbrodnia.

Podarowawszy im tę odrobinę mądrości, mężczyzna ruszył ku odległym światłom wioski równomiernym truchtem, znikając w nocy jak prawdziwy duch.

- Barak nas nie zawiedzie - zapewnił kapitan al-Haffi. - Znajdzie pojazd wystarczająco duży, żeby pomieścił nas wszystkich. I konia.

Painter spojrział wzdłuż skalistego brzegu. Trzeci Duch, milczący młody mężczyzna o imieniu Sharif, prowadził ogiera na kawałku linki holowniczej.

- Po co zabierać konia? - zainteresował się. - Tutaj ma co jeść, a w końcu ktoś go znajdzie.

Kapitan al-Haffi odrzekł:

- Nie mamy dużo pieniędzy, a konia można wymienić, sprzedać. Wykorzystać jako transport, jeśli to konieczne. Poza tym to będzie przykrywką naszej podróży do Salalah. Tamtejsze stadniny są szeroko znane. Jeśli pojedziemy z ogierem, nie będzie to podejrzane. A poza tym biel przynosi szczęście. - To ostatnie zdanie wypowiedział ze śmiertelną powagą. Szczęście jest wśród ludów Arabii równie ważne jak dach nad głową.

Rozbili obóz. W czasie gdy Painter i Omaha wynosili giga za skały, żeby go tam ukryć, inni rozpalili ognisko z drewna wyrzuconego na brzeg, kryjąc je w załomie urwiska. Wszyscy potrzebowali ciepła i światła.

Czterdzieści minut później zgrzyt biegów ogłosił przybycie ich transportu. Reflektory omiotły zakręt nadbrzeżnej drogi. Był to stary international 4900, pomalowany na żółto, odrapany i zardzewiały. Platformę otaczały drewniane burty, tylna kłapa się otwierała.

Z szoferki wyskoczył Barak.

- Widzę, że udało ci się coś pożyczyć - powitała go Kara. Wzruszył ramionami.

Zgasili ognisko. Barakowi udało się także pożyczyć trochę ubrań: długich koszul i opończ. Przebrali się szybko, kryjąc swe zachodnie ubrania.

Kiedy już wszyscy byli gotowi, kapitan al-Haffi i jego ludzie zajęli kabinę, na wypadek gdyby ich zatrzymano. Pozostali wdrapali się na pakę. Ogierowi trzeba było zasłonić oczy, żeby wszedł po klapie na platformę. Przywiązali go przy kabinie. Painter i inni stłoczyli się z tyłu.

Kiedy ciężarówka wjeżdżała na nadbrzeżną drogę, Painte przyglądał się ogierowi. „Biel przynosi szczęście”. Miał taką nadzieję... potrzebują każdego łutu szczęścia.

11 OPUSZCZENI

3 GRUDNIA, 12.22 SALALAH

Safia obudziła się zupełnie zdezorientowana, czuła mdłości. Ciemne pomieszczenie wirowało i trzęsło się, kiedy poruszała głową. Jęknęła. Wysoko umieszczone zakratowane okno wpuszczało przeszywające smugi światła. Zbyt jasnego, palącego.

Wstrząsnęła nią kolejna fala mdłości.

Obróciła się na bok i pochyliła nad podłogą. Skurcz żołądka, potem następny. Nic. Nadal jednak czuła w ustach smak żółci, kiedy znów położyła się na plecach.

Oddychała głęboko i powoli ściany przestały wirować.

Uświadomiła sobie, że całe jej ciało pokrywa pot, przyklejając cienką prostą suknię do nóg i piersi. Był duszący upał. Czuła, że ma popękane wargi. Jak długo szpikowano ją narkotykami? Pamiętała mężczyznę ze strzykawką. Wysoki, ubrany na czarno. Na pokładzie zmusił ją do zmiany mokrych rzeczy na luźną sukienkę khaki.

Safia rozejrzała się ostrożnie. Kamienne ściany, podłoga z grubych desek. Cuchnęło smażoną cebulą i brudnymi nogami. Jedyne meble stanowiła prycza. Pojedyncze drzwi zrobiono z solidnego dębu. Były zamknięte. Niewątpliwie na klucz.

Przez kilka następnych minut leżała nieruchomo. Jej umysł drzemał, na pół jeszcze martwy z powodu narkotyków. Jednak wokół serca rodziła się panika. Była sama, uwięziona. Inni umarli.

Przed oczami wciąż miała obraz płomieni odbijanych przez smaganą sztormem wodę. Jej pamięć była jak flesz błyskający w ciemności. Wszystko czerwone, bolesne, zbyt jasne, żeby nie mrugnąć. Coraz trudniej jej było oddychać, czuła ucisk w gardle. Chciała płakać, ale nie mogła. Gdyby zaczęła, nie potrafiłaby przestać.

W końcu postawiła stopy na podłodze. Nie dlatego, że wreszcie poczuła determinację, ale dlatego, że miała pełny pęcherz. Potrzeba biologiczna przypomniawszy jej, że żyje. Stała się chwiejnie, przytrzymując się ściany. Kamienie były miło chłodne.

Popatrzyła na zakratowane okno. Sądząc po skwarze, kącie, pod jakim padły promienie, dochodziło południe. Ale którego dnia? Gdzie jest? Czuła zapach piasku i morza. Ciągłe w Arabii, to pewne. Przeszła przez celę. Ogień w pęcherzu stał się jeszcze ostrzejszy.

Chwiejnie podeszła do drzwi, uniosła rękę. Czy oni znów dadzą jej narkotyk? Dotknęła palcami zgięcia lewego łokcia, fioletowego siniaka - tu wbijali igłę. Nie miała jednak wyboru. Potrzeba przeważała nad ostrożnością. Załomotała w drzwi i zawołała ochryple:

- Halo! Czy ktoś mnie słyszy?! - I powtórzyła to po arabsku. Nikt nie odpowiedział.

Zapukała mocniej, aż zabolęła ją ręka. Była słaba i odwodniona. Czy oni zostawili ją tutaj, żeby umarła?

Wreszcie rozległy się kroki. Ciężka antaba zachrobotowała o drewno. Drzwi się otworzyły. Stwierdziła, że ma do czynienia z tym samym mężczyzną, który robił jej zastrzyk.

Stał, wyższy od niej o czterdzieści centymetrów, przytłaczał, odziany w czarną koszulę i czarne sprane dżinsy. Zaskoczona zauważyła, że ma ogoloną głowę. Tego nie pamiętała. Nie, wtedy nosił czarną czapkę. Nie zapomniła jednak oczu, niebieskich i zimnych, nieprzeniknionych i beznamiętnych. Jak dwa rekiny.

Drżała, kiedy na nią patrzył, w pokoju nagle zrobiło się chłodniej.

- Obudziłaś się. Chodź ze mną - powiedział. Usłyszała w jego głosie ślad australijskiego akcentu.

- Dokąd... Ja muszę skorzystać z łazienki. - Zmarszczył czoło.

- Za mną.

Zaprowadził ją do niedużej łazienki. Był w niej sedes, prysznic bez zasłony i mała brudna umywalka z ciekącym kranem. Safia weszła do środka. Wyciągnęła rękę do klamki, niepewna, czy pozwoli jej na odrobinę prywatności. - Tylko szybko - rzucił mężczyzna i pociągnął drzwi, aż się zamknęły.

Przeszukała pomieszczenie, mając nadzieję znaleźć coś, co mogłoby posłużyć za broń. Niczego nie znalazła. Jedyne okno było zakratowane. Ale przez to przynajmniej mogła wyjrzieć. Zrobiła to czym prędzej i poniżej zobaczyła małą miścinę gnieźdzącą się nad morzem - białe budynki i palmy. Bardziej na lewo tęczo trzepotały markizy i płachty nieprzemakalnych tkanin kryjących kramy, nieomylnie wskazując targowisko. W oddali zielone łąki za miastem znaczyły plantacje bananów, kokosów, trzciny cukrowej i papai. Znała to miejsce. Omańskie Miasto Ogrodów. Salalah.

Stolica prowincji Dhofar, pierwotny cel podróży statku „Shahab Oman”. Region ten był żyzny, zielony, a wodospady i rzeki nawadniały pastwiska. Tylko w tej części Omanu monsuny były błogosławieństwem, regularnie dostarczając deszcz, a także mgły, niemal nieustannie wiszące nad pobliskimi górami nadbrzeżnymi. Taki układ pogody nie występował nigdzie indziej w Zatoce i pozwalał na hodowlę rzadkich drzew, kadzidłowców, w czasach starożytnych źródła wielkich bogactw, co doprowadziło do powstania legendarnych miast Sumraham, Al-Balid, a w końcu zaginionego miasta Ubar. Dlaczego porywacze przywieźli ją tutaj?

Zrobiła siku. Umyła ręce i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Wyglądała jak własny cień, wychudzona, spięta, z zapadniętymi oczami. Ale żywa.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Gotowa?

Bez słowa otworzyła drzwi. Mężczyzna skinął głową.

- Tędy.

Ruszył bez oglądania się za siebie, tak bardzo był pewny, że panuje nad sytuacją. Safia podążyła za nim. Powłóczyła nogami.

Weszli po kilku stopniach, potem ruszyli korytarzem. W przejściach stali mężczyźni o twardym wzroku, z karabinami na ramionach. Wreszcie doszli do wysokich drzwi.

Mężczyzna zapukał i otworzył je pchnięciem.

Pokój był urządony po spartańsku: sznurkowy wypłowiwały dywan, sofa, dwa drewniane krzesła. Pod sufitem warczały dwa wentylatory. Stojący z boku stół ugiął się pod stosami broni i sprzętem elektronicznym. Stał też na nim laptop. Przewód biegi do okna obok, za którym celowała w niebo misa anteny satelitarnej wielkości dłoni.

- To wszystko, Kane - powiedziała kobieta, odchodząc od komputera.

- Pani kapitan. - Mężczyzna skinął głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Safia rozważała możliwość rzucenia się po jeden z pistoletów leżących na stole, ale zdawała sobie sprawę, że nie zrobi nawet kroku. Była za słaba, ledwo trzymała się na nogach.

Kobieta miała na sobie luźne spodnie, szary T-shirt, a na nim luźną rozpiętą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Odwróciła się do Safii.

- Siadaj - poleciła i wskazała jedno z drewnianych krzeseł. Safia poruszała się powoli, ale posłuchała.

Kobieta przechadzała się za sofą.

- Doktor al-Maaz, wygląda na to, że pani reputacja jako eksperta od historii tego regionu przyciągnęła uwagę moich zwierzchników.

Safia prawie nie rozumiała, co kobieta mówi. Uświadomiła sobie, patrząc na jej twarz i czarne włosy, że to ona próbowała ją zabić w British Museum, spowodowała śmierć Ryana Fleminga, zamordowała wszystkich jej przyjaciół. Twarze, obrazy przebiegały przez jej głowę, odwracając uwagę od słów kobiety.

- Czy pani słucha, doktor al-Maaz?

Nie mogła odpowiedzieć. Szukała zła w tej istocie, zdolności do okrucieństwa i barbarzyństwa. Jakiegoś znaku, blizny... chciała zrozumieć. Niczego takiego nie znalazła. Jak to możliwe?

Kobieta westchnęła ciężko. Przeszła przez pokój i usiadła na sofie z łokciami na kolanach.

- Painter Crowe - rzuciła. - Painter... był moim partnerem.

Szok i niewiara zatrzęsły Safią. Nie...

- Widzę, że przyciągnęłam pani uwagę. - Na ustach kobiety pojawił się lekki uśmiech satysfakcji. - Powinna pani znać prawdę. Painter Crowe wykorzystywał was. Wszystkich. Niepotrzebnie narażając was przy tym na niebezpieczeństwo. Nie mówił wam prawdy.

- Pani kłamie - wycharczała wreszcie Safia. Kobieta wyprostowała się.

- Nie mam potrzeby kłamać. W przeciwieństwie do Paintera mówię prawdę. To, co odkryliście przez przypadek, zawiera prawdopodobnie klucz do niewypowiedzianej potęgi.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

- Mówię o antymaterii.

Safia zmarszczyła czoło. To nieprawdopodobne. Kobieta kontynuowała wyjaśnienia na temat wybuchu w muzeum, siły promieniowania, poszukiwania pierwotnego złoza jakiejś stabilnej postaci antymaterii. Mimo chęci zaprzeczenia temu wszystkiemu Safia zaczynała rozumieć... Niektóre wypowiedzi Paintera, część jego wyposażenia, nacisk rządu Stanów Zjednoczonych...

- O tym kawałku meteorytu, który wybuchł w muzeum - ciągnęła kobieta - mówi się, że strzegł prawdziwego wejścia do zaginionego miasta Ubar. Zaprowadzi nas pani właśnie tam.

Safia pokręciła głową.

- To śmieszne!

Kobieta patrzyła jeszcze chwilę, wstała i przeszła przez pokój. Wyciągnęła coś spod stołu i wzięła jakiś przyrząd ze stosu na blacie. Kiedy się odwróciła, Safia rozpoznała swoją własną walizkę.

Kobieta pstryknęła zamkami i uniosła wieko. Żelazne serce leżało w gnieździe ze styropianu. W jasnym świetle słońca jarzyło się rudo.

- To artefakt, który pani odkryła. Wewnątrz posągu datowanego na dwusetny rok przed naszą erą. Z wypisaną na powierzchni nazwą Ubar.

Safia powoli skinęła głową, zaskoczona wiedzą tej kobiety. Zdawało się, że wie wszystko.

Kobieta pochyliła się i przesunęła przyrządem nad artefaktem. Przyrząd zatrzęszczał i pyknął, co brzmiało jak licznik Geigera.

- Wykazuje skrajnie niskie promieniowanie. Ledwie wykrywalne. Lecz jest dokładnie takie samo, jak meteorytu, który wybuchł. Czy Painter nie powiedział pani o tym?

Safia przypomniała sobie Paintera badającego serce takim samym przyrządem. Czyżby to była prawda? Rozpacz sprawiła, że poczuła w żołądku zimny kamień.

- Chcemy, żeby pani kontynuowała pracę, dla nas - powiedziała kobieta, zamykając walizkę. - I zaprowadziła nas do zaginionego miasta Ubar.

Safia wpatrywała się w pojemnik. Rozlew krwi, te wszystkie śmierci... wszystko to powiązane było z jej odkryciem. Znowu.

- Nie - wymamrotała.

- Zrobi to pani albo umrze.

Safia pokręciła głową i wzruszyła ramionami. Nie obchodziło jej to. Wszystko, co kochała, zostało jej odebrane. Przez tę kobietę. Nigdy jej nie pomoże.

- Będziemy działali z panią lub bez pani. Są inni eksperci w pani dziedzinie. A ja mogę sprawić, że pani ostatnie godziny będą bardzo nieprzyjemne.

To wywołało u Safii słaby śmiech. Nieprzyjemne? Po tym wszystkim, co przeszła... Podniosła głowę i po raz pierwszy spojrzała kobiecie prosto w oczy - do tej pory nie miała odwagi tego zrobić. Nie okazały się tak zimne, jak mężczyzny, który ją tutaj przyprowadził. Błyskały w nich iskierki skrywanego gniewu... ale też zmieszania. Kobieta zacisnęła usta.

- Niech pani robi, co pani chce - powiedziała Safia, uświadamiając sobie siłę swej rozpacz. Ta kobieta nie może jej tknąć, nie może jej skrzywdzić. Za dużo jej ostatnio zabrano. Nie zostało nic, co mogłoby jej zagrozić. Obie skonstatowały to w tej samej chwili.

Ona mnie potrzebuje, to Safia wiedziała na pewno. Skłamała, kiedy mówiła, że mają innych ekspertów. Nie ma skąd wziąć kogoś innego. Przez Safię przepłynęła stal, umacniając jej zdecydowanie, wypalając resztki narkotykowego zobojętnienia.

Kiedyś, przedtem, jakaś kobieta przyszła znikąd i weszła w jej życie z bombą przypiętą do piersi rozpalona religijnym żarem, kończyła ludzkie żywoty bez litości. A wszystko to wymierzone było w Safię.

Ta kobieta zginęła w wybuchu wtedy, w Tel Awiwie. Safia nigdy nie potrafiła uznać jej za odpowiedzialną. Wzięła winę na siebie. Było w tym jednak coś więcej. Safia nigdy nie zdołała pomścić śmierci złożonych u jej stóp, uwolnić się od poczucia winy.

To już nie była prawda.

Stawiła czoło tej, która ją uwięziła. Wciąż patrzyła jej prosto w oczy.

Przypomniała sobie, jak bardzo chciała powstrzymać tę kobietę w Tel Awiwie, jakoś zapobiec eksplozji. Czy antymateria naprawdę istnieje? Przypomniała sobie eksplozję w British Museum, to, co po niej zostało. Co ktoś taki, jak ta kobieta, robi z podobną potęgą? Ilu jeszcze ludzi umrze?

Nie może na to pozwolić.

- Jak się pani nazywa?

To pytanie zaskoczyło kobietę. Jej reakcja sprawiła, że Safia poczuła się lepiej.

- Powiedziała pani, że mówi prawdę.

Kobieta zmarszczyła czoło, ale odpowiedziała powoli:

- Cassandra Sanchez.

- Cóż więc miałabym zrobić, Cassandro - Safia cieszyła się widokiem irytacji spowodowanej tak nieformalnym użyciem jej imienia - gdybym się zdecydowała na współpracę?

Kobieta wstała, płonęła gniewem.

- Za godzinę wyruszamy do grobu Imrana. Tam, gdzie znaleziono posąg. Tam, gdzie zamierzaliście dotrzeć. Stamtąd zaczniemy.

Safia wstała.

- Ostatnie pytanie.

Kobieta patrzyła na nią, nie rozumiejąc.

- Dla kogo pracujesz? Powiedz, a będę współpracowała.

Zanim odpowiedziała, kobieta podeszła do drzwi, otworzyła je i kiwnięciem przywołała swojego człowieka, Kane'a, żeby zabrał Safię.

- Pracuję dla rządu Stanów Zjednoczonych - odpowiedziała, gdy Safia była już w drzwiach.

13.01

Cassandra zaczekała, aż Safia wyjdzie i drzwi zostaną zamknięte. Kosz na śmieci z palmowych liści kopnęła tak, że przeleciał na drugą stronę pokoju, rozsypując zawartość po podłodze. Puszka po pepsi potoczyła się z grzechotem aż pod sofę. Pieprzona suka...

Musi pohamować wybuchy, zabutelkować złość. Tamta wydawała się złamana. Cassandra nawet sobie nie wyobrażała, że mogła być tak przebiegła pod koniec rozmowy. Widziała zmianę, jaka zaszła w oczach Safii. Jak to się stało?

Zacisnęła dłonie w pięści, potem rozluźniła palce i potrząsnęła ramionami.

- Suka... - wymamrotała. Ale w końcu powiedziała, że będzie współpracować. To zwycięstwo powinno ją usatysfakcjonować. Minister będzie zadowolony.

Niemniej w żołądku burzyła się złość. Ta kobieta ma więcej siły wewnętrznej, niż Cassandra mogła sobie „wyobrazić”. Zaczęła rozumieć, dlaczego Painter się nią zainteresował.

Painter...

Cassandra westchnęła ciężko. Jego ciała nie odnaleziono. To ją niepokoiło. Gdyby tylko...

Te rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi. John Kane pchnął je, zanim zdążyła się odwrócić. Zirykowało ją jego hałaśliwe wtargnięcie i brak szacunku.

- Uwięzionej dano lunch. Będzie gotowa o czternastej.

Cassandra podeszła do stołu ze sprzętem elektronicznym.

- Jak działa podskórny przekaźnik?

- Doskonale. Dobry, silny sygnał.

Poprzedniej nocy, kiedy Safii podano narkotyk, wszczepili jej między łopatki podskórny mikroprzekaźnik. Taki sam Cassandra miała wszczepić Zhangowi w Stanach. Cieszyła się, że w tej misji używa tego, co zaprojektował Painter. Mikroprzekaźnik miał działać jak elektroniczna smycz, kiedy Safia wyjdzie na ulicę, będą mogli ją namierzyć w promieniu piętnastu kilometrów. Każda próba ucieczki będzie zduszona w zarodku.

- Bardzo dobrze. Sprawdź, czy twoi ludzie są gotowi.

- Są. - Kane'a zdenerwowało jej polecenie, ale on by następny w kolejce do szafotu, gdyby misja się nie powiodła.

- Jakież wieści od lokalnych władz na temat wybuchu statku tej nocy?

- CNN wini nieznaną terrorystów.

- A na temat uratowanych? Znalaziono jakieś zwłoki?

- Żadnych uratowanych. Służby ratownicze właśnie zaczęły badać przyczyny i liczyć zabitych.

Skinęła głową.

- Okay, przygotuj ludzi. Odmaszerować.

Przewracając oczami, wykonał zwrot i wyszedł. Nie domknął drzwi i Cassandra musiała przejść przez pokój i zrobić to sama. Zamek szczęknął. Tylko tak dalej, Kane, prowokuj mnie... zemsta to suka. Westchnieniami dając upust frustracji, podeszła do sofy i usiadła. Żadnych uratowanych. Wyobraziła sobie Paintera, wspominając ten pierwszy raz, kiedy uległ jej subtelnym zalotom i dał się uwieść. Ich pierwszy pocałunek. Smakował słodko, winem, które pili do kolacji. Jego ramiona wokół jej ramion. Jego usta... jego ręce powoli sunące w górę krzywizny jej bioder.

Dotknęła miejsca, gdzie spoczęła jego ręka, i odchyliła się na oparcie, już mniej zdenerwowana niż przed chwilą. Czuła bardziej złość niż satysfakcję po nocnej misji. Była

bardziej drażliwa. I wiedziała dlaczego. Dopóki nie zobaczy trupa Paintera, jego nazwiska na liście ofiar wyłowionych z morza, nie zazna spokoju.

Przesunęła ręką po biodrze. Czy sprawy między nimi mogłyby potoczyć się inaczej? Zamknęła oczy, palce zacisnęły się na brzuchu, nienawidziła siebie za samo rozważanie takiej możliwości.

Niech cię szlag, Painter...

Nieważne, co sobie wyobraża, wszystko i tak źle by się skończyło. Tego nauczyło ją życie. Najpierw ojciec... wkradał się do jej łóżka, od kiedy skończyła jedenaście lat, na crackowym hajku, obiecywał i groził. Cassandra uciekła w książki, wznosząc mur między sobą a światem. Z książek dowiedziała się, jak potas zatrzymuje akcję serca. Nie do wykrycia. W dniu jej siedemnastych urodzin znaleziono ojca martwego. Nikt nie zwrócił uwagi na jeszcze jeden znak po igle wśród tylu innych. Matka coś podejrzewała i bała się jej.

Nie mając powodu do pozostawiania w domu, w wieku osiemnastu lat zaciągnęła się do armii, znajdując przyjemność w czynieniu siebie coraz twardszą, w sprawdzaniu się. Potem dostała propozycję uczestniczenia w programie szkolenia strzelców wyborowych dla sił specjalnych. Był to wielki zaszczyt, ale nie wszyscy tak uważali. W Fort Bragg jeden z rekrutów wepchnął ją w alejkę z zamiarem „naprostowania”. Przewrócił ją, rozerwał koszulę. „No co, lubisz tatusia, suko”? Błąd. Miał złamane obie nogi. Jego genitaliów nie udało się wyleczyć. Zezwolono jej na odejście ze służby, o ile będzie cicho.

W sekretach była dobra.

Potem pojawiły się z propozycjami Sigma i Gildia. Chodziło o władzę. Kolejny sposób, żeby być jeszcze twardszą.

Potem Painter... jego uśmiech, jego spokój.

Poczuła ból. Żyje czy nie?

Musi to wiedzieć. Przyjmowanie założeń nie miało sensu, mogła jednak podjąć środki ostrożności. Wstała i podeszła do stołu ze sprzętem. Laptop był otwarty. Sprawdziła sygnał mikroprzełącznika Safii i kliknęła na GPS. Pojawiła się trójwymiarowa siatka. Urządzenie szpiegowskie, oznaczone jako wirujący niebieski krąg, wskazywało celę.

Jeśli Painter gdzieś tu jest, przyjdzie po Safię.

Wpatrzyła się w ekran. Safia może sobie myśleć, że zyskała przewagę. Cassandra patrzyła na ekran.

Podskórny mikroprzełącznik Paintera został bowiem przez nią zmodyfikowany poprzez skojarzenie go z mikroprzełącznikiem projektu Gildii. Wymagał zwiększenia komórki zasilającej, ale kiedy już zostało to zrobione, modyfikacja pozwalała Cassandrze na zdetonowanie w dowolnej chwili umieszczonej tam na stałe kulki C4, która rozerwałaby kręgosłup Safii za jednym dotknięciem klawisza.

Tak więc, jeśli Painter krąży gdzieś w pobliżu, to niech przyjdzie.

Była gotowa skończyć z niepewnością.

13.32

Wszyscy padli na piasek, wykończeni. Na wąskiej nadbrzeżnej szosie za ich plecami dymiła ukradzioną ciężarówką z podniesioną maską. Pasek białego piasku ciągnął się łukiem, ograniczony z obu stron skalistymi wapiennymi urwiskami, z każdej strony opadającymi do morza. W pobliżu nie było żadnej wioski.

Painter patrzył na południe, jakby chciał zobaczyć leżące około osiemdziesięciu kilometrów dalej Salalah. Tam musi być Safia. Modlił się, żeby nie było za późno.

Za jego plecami Omaha i trójka Duchów Pustyni klócili się po arabsku nad silnikiem ciężarówką. Pozostali zaś leżeli pod skałami, wykończeni, po całej nocy jazdy po wertepach.

Stalowa podłoga platformy nie złagodziła podskoków na wybojach i koleinach. Painterowi udało się złapać chwilę snu, ale nie spał mocno i nie odpoczął.

Dotknął lewego oka, na wpół zamkniętego z powodu opuchlizny. Ból pomógł mu skupić się na sytuacji. Podróż była powolna, bo ograniczana zarówno warunkami terenowymi, jak i stanem drogi. A teraz jeszcze pękł przewód chłodniczy.

Opóźnienie mogło pokrzyżować im plany.

Zgrzyt piasku skierował jego uwagę na Coral. Miała na sobie luźną suknię, nieco za krótką, ukazującą nagie kostki. Włosy i twarz miała pobrudzone ropą z podwozia ciężarówki.

- Spóźniamy się - powiedziała. Potwierdził kiwnięciem głowy.

- Ale o ile?

Coral spojrzała na zegarek dla nurków firmy Breitling. W organizacji uważano ją za jednego z najlepszych logistyków i strategów.

- Szacuję, że zespół uderzeniowy Cassandry wylądował w Salalah nie później niż rano. Zatrzymali się tylko na tak długo, żeby upewnić się, iż nikt ich nie wiąże z wysadzeniem „Shahab Omana” i zapewnić sobie warunki odwrotu.

- Scenariusze najlepszy-najgorszy?

- Najgorszy: dotarli do grobu dwie godziny temu. Najlepszy: wyruszyli dopiero teraz.

Painter pokręcił głową. - Bardzo małe okienko.

- Fakt, małe. Z drugiej strony nie powinniśmy się oszukiwać. - Wbiła w niego wzrok.

- Zespół uderzeniowy zaprezentował motywację i koncentrację. Po zwycięstwie na morzu będą jeszcze bardziej zmotywowani. Jest jednak promyk nadziei.

- Mianowicie?

- Mimo determinacji będą działali ze zwiększoną ostrożnością.

Zmarszczył czoło. Carol wyjaśniła:

- Wspomniałeś wcześniej o elemencie zaskoczenia. Tak naprawdę nie w tym tkwi nasza siła. Z profilu kapitan Sanchez, jaki otrzymałam, wynika, że nie lubi podejmować ryzyka. Będzie działała, jakby się spodziewała pościgu.

- I to ma być naszą przewagą? Jak to?

- Kiedy ktoś ciągle ogląda się przez ramię, często się potyka.

- Novak, to brzmi jak koan zen. - Wzruszyła ramionami.

- Moja matka była buddystką.

Spojrzął na nią. Powiedziała to tak beznamiętnie, że nie potrafił stwierdzić, czy to żart, czy nie.

- Okay! - krzyknął Omaha, kiedy silnik kaszlnął i zawarczał. Bardziej nierówno niż wcześniej, ale pracował. - Włazić wszyscy!

Kiedy pozostali wstawali z piasku, rozległo się kilka niewerbalnych protestów.

Painter wdrapał się przed Karą i pomógł jej wsiąść. Zauważył, że trzęsą się jej ręce.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. Wyrwała rękę. Nie spojrzała mu w oczy.

- Świetnie. Po prostu martwię się o Safię. - Znalazła sobie zacienione miejsce z tyłu, w kącie.

Inni zrobili tak samo. Słońce rozgrzewało podłogę. Barak zatrzasnął klapę zaraz po tym, jak Omaha wskoczył na platformę. Miał ręce po łokcie ubrudzone ropą i smarem.

- Naprawiłeś - stwierdził Danny, mrużąc oczy nie tyle od słońca, ile z powodu krótkowzroczności. Okulary stracił podczas eksplozji. Dla tego młodego człowieka było to bardzo twarde powitanie w Arabii, ale wyglądało na to, że dobrze się trzyma. - Ten silnik da radę do Salalah?

Omaha wzruszył ramionami, siadając na podłodze obok brata.

- Połataliśmy na agrafki. Zakleiliśmy pęknięty przewód. Silnik może się przegrzewać, ale mamy do przejechania tylko jakieś dwieście czterdzieści kilometrów. Damy radę.

Painter chciałby podzielać jego entuzjazm. Usadowił się między Coral i Clayem. Ciężarówka szarpnęła do przodu, potrząsając wszystkimi i wywołując przestraszone rzenie ogiera. Kopyta łomotały w nierówne podłoże. Uniosły się kłęby spalin, kiedy samochód ruszył do Salalah.

Słońce odbijało się od każdej powierzchni, Painter zamknął oczy. Bez nadziei na sen uświadomił sobie, że myśli o Cassandrze. Przewijał w pamięci to, co przeżył ze swoją byłą partnerką: sesje strategiczne, spotkania biurowe, operacje polowe. We wszystkich tych dziedzinach Cassandra udawadniała, że jest mu równa. Był jednak ślepy na jej umiejętność ukrywania pewnych spraw, zachowywania zimnej krwi i wyrachowaną bezwzględność. W tych sprawach przewyższała go, okazała się lepszym agentem operacyjnym w terenie.

Rozwagał słowa Coral sprzed chwili: „Kiedy ktoś ciągle ogląda się przez ramię, często się potyka”. Czy on sam tak postępuje? Od udaremnionego napadu na British Museum za dużo rozmyślał o Cassandrze, jego ocena była zmacona, nie potrafił znaleźć równowagi między tym, co było, i tym, co jest teraz. Nawet w sercu. Czy właśnie to spowodowało, że opuścił gardę na pokładzie „Shahab Omana”? Może wierzył, że jednak jest w Cassandrze dobro? Jeśli był w niej zakochany, musiało być między nimi coś prawdziwego, szczerego.

Dostał nauczkę.

Jego uwagę przyciągnęło stęknienie protestu. Clay zakrył opończą kolana. Nie mógłby uchodzić za Araba z bladą cerą, rudymi włosami i odstającymi uszami. Podchwycił wzrok Paintera.

- Jak myślisz? Zdążymy na czas?

Painter wiedział, że musi być uczciwy.

- Nie wiem.

Safia siedziała na tylnym siedzeniu mitsubishi z napędem na cztery koła. Trzy inne takie auta jechały z tyłu. Zmierzali do grobu ojca Najświętszej Marii Panny, Nabi Imrana. Safia siedziała sztywno. Samochód pachniał nowością. Funkcjonalna elegancja i prostota tego wnętrza - grafitowa skóra, tytanowe wykończenia, niebieskie światła - wszystko to kontrastowało z wyglądem pasażerki. Jej umysł analizował rozmowę z Cassandra.

Painter...

Kim był? Jak mógł być kiedyś partnerem Cassandry? Co to oznaczało? Czowała się wewnętrznie posiniaczona, obolała, kiedy przypomniła sobie jego uśmiech, sposób, w jaki jego dłoń dotknęła lekko jej dłoni, tak pocieszająco. Jakie jeszcze ma sekrety? Safia zepchnęła te myśli głęboko, jeszcze niegotowa stawić im czoło, niepewna, dlaczego budzą w niej takie emocje. Przecież prawie się nie znają.

Skupiła się na innej informacji od Cassandry, że podobno pracuje dla rządu Stanów Zjednoczonych. Czy to możliwe? Choć Safia zdawała sobie sprawę, że czasem polityka zagraniczna USA bywa bezwzględna, nie potrafiła sobie wyobrazić amerykańskich polityków optujących za takim atakiem. Nawet ludzie pod dowództwem Cassandry roztaczali surową aurę najemników. Sama ich bliskość przyprawiała o dreszcze. Nie byli to zwykli amerykańscy żołnierze.

No i jeszcze Kane, zawsze ubrany na czarno. Rozpoznała jego akcent z Queenslandu. Australijczyk. Prowadzi samochód trochę za szybko. Zakręty bierze za ostro, jakby gniewnie. Jaka jest jego historia?

Cassandra siedziała obok Safii. Obserwowała mijany krajobraz, ręce skrzyżowała na piersi. Jak turystka. Tyle że miała trzy sztuki broni. Pokazała je Safii. Jeden pistolet pod pachą, drugi w pochwie na krzyżu, trzeci nad kostką. Safia podejrzewała, że ma jeszcze czwarty, gdzieś ukryty.

Będąc w pułapce, Safia mogła tylko siedzieć cicho.

Gdy jechali przez Salalah, obserwowała urządzenie nawigacyjne. Okrążyli dzielnicę plażową, Hiltona, potem, przez uliczny tłok, skierowali się do wewnętrznego dystryktu municypalnego zwanego Al-Quaf, gdzie czekał na nich grób Nabi Imrana.

Nie było to daleko. Salalah to małe miasto, wystarczyły minuty by przejechać je w poprzek. Główne atrakcje miasta leżały poza nim, pośród cudów natury okalającego krajobrazu: wspaniałe piaszczyste plaże Mugshal, starożytne ruiny Samhurrana, plantacje prosperujące dzięki deszczom monsunowym. W głębi lądu wznosiły się zielone góry Dhofar, w których rosły kadzidłowce, drzewa spotykane w zaledwie kilku miejscach na ziemi.

Safia patrzyła w stronę zamglonych gór, źródła tajemnicy i bogactwa tych ziem. Choć ropa zastąpiła żywicę jako główne źródło dochodów Omanu, w regionie Salalah żywica nadal dominowała. Tradycyjne targi pod gołym niebem nasycaly powietrze zapachami róży, bursztynu, drewna sandałowego i mirry. To było centrum perfumiarstwa świata. Wszyscy najlepsi perfumiarze przylatywali tu po próbki.

W przeszłości kadzidła były prawdziwym skarbem tego kraju, cenniejszym nawet od złota. Handel nimi napędzał gospodarkę Omanu, wiódł morskie dhowsy na północ, aż do Jordanu i Turcji, a na zachód do Afryki. Jednak to droga lądowa, Szlak Kadzidlany, stała się tematem legend. Jego przebieg znaczyły antyczne ruiny, ukryte i tajemnicze, a ich historia miała związek z judaizmem, chrześcijaństwem i islamem. Najślawniejszy był Ubar, miasto o tysiącu kolumn, ufundowane przez dziedziców Noego, miasto, które bogaciło się dzięki kluczowej roli, jaką grało główne miejsce zaopatrzenia w wodę na szlaku karawan.

Teraz, tysiąclecia później, Ubar znów stał się ogniskiem władzy. Przelewano krew, by odkryć jego tajemnicę i ujawnić serce.

Safia musiała zabronić sobie spoglądania się na srebrzystą walizeczkę leżącą z tyłu. Żelazne serce przybyło z Salalah, było okrucieństwem chleba, śladem wiodącym do prawdziwego bogactwa Ubaru.

Antymateria.

Czy to możliwe?

Mitsubishi zwolnił i skręcił w niebrukowaną ulicę. Minęli rząd przydrożnych kramów, schowanych pod palmami, na których leżały daktyle, kokosy i winogrona. Samochód jechał wolno. Safia zastanawiała się, czy wyskoczyć i uciec. Była jednak przypięta pasami. Najmniejszy ruch i zostanie zatrzymana.

No i jeszcze pozostałe samochody, pełne uzbrojonych ludzi. Jeden skręcił za nimi, inne jechały dalej, być może, by okrążyć i zablokować alejkę z drugiej strony. Safia zastanawiała się, dlaczego zastosowano aż takie środki ostrożności. Kane i Cassandra z pewnością poradziliby sobie z uwięzioną. Safia wiedziała, że nie ma ucieczki.

Próba równała się śmierci.

Zalała ją fala gorąca i długo tłumionego gniewu. Nie poświęci się niepotrzebnie. Zagra w ich grze, ale będzie szukała szansy. Zerknęła na Cassandrę. Zemści się... za przyjaciół, za siebie. Ta myśl towarzyszyła jej, aż samochód zahamował przed wrotami z kutego żelaza.

Wejście do grobowca Nabi Imrana.

- Niczego nie próbuj! - warknęła Cassandra, jakby czytając w jej myślach.

John Kane porozmawiał z człowiekiem obsługującym bramę, wychylony do połowy z okna. Kilka omańskich riali przeszło z ręki do ręki. Strażnik przycisnął guzik i brama się otworzyła. Kane powoli wjechał i zaparkował.

Drugi samochód stanął przy kramach.

Kane wyskoczył i podszedł otworzyć Safii drzwi. W innych warunkach byłby to dowód grzeczności, ale teraz jedynie ostrożność. Podał jej rękę.

Odmówiła i wysiadła sama.

Cassandra obeszła samochód. Niosła srebrny pojemnik.

Co teraz?

Safia rozejrzała się. Skąd zacząć?

Stali pośrodku bazaltowego dziedzińca, otoczonego murami i graniczącego z niewielkimi, dobrze utrzymanymi ogrodami. Naprzeciwko stał mały meczet. Pobelony minaret oślepił w południowym blasku, kryła go brązowożłota kopuła. Mały okrągły balkon znaczył miejsce dla muezina, z którego pięć razy dziennie wyśpiewywał adhan, muzułmańskie wezwanie do modlitwy.

Safia posłała w niebo własną modlitwę. Odpowiedzią była cisza, ale i tak jej pomogła. Na dziedzińcu dźwięki dobiegające z miasta były stłumione, przyciszone, jakby powietrze chciało zachować świętość świątyni. Kilku wiernych dyskretnie przemieszczało się po terenie, z szacunkiem dla grobowca rozciągającego się po jednej stronie. Był to długi, niski budynek otoczony łukami, pomalowany na biało i ramowany zielenią. Wewnątrz znajdował się grób Nabi Imrana, ojca Najświętszej Marii Panny.

Cassandra stanęła przed Safią. Niecierpliwość tej kobiety, jej sprężona energia, mąciła atmosferę, zostawiała za nią niema namacalny ślad.

- To skąd zaczynamy?

- Od początku - wymamrotała Safia i ruszyła do przodu. Potrzebują jej. Mimo że uwięziona, nie może być poganiana. Jej tarczą jest wiedza.

Cassandra poszła za nią.

Safia podeszła do wejścia do sanktuarium. Mężczyzna w szacie, jeden z obsługujących grób, podszedł, żeby powitać przybyłych.

- Salam alejkum - powitał ich.

- Alejkum as salam - odrzekła Safia.

- As fa - przeprosił i wskazał na głowę. - Kobietom nie wolno wchodzić z odkrytą głową.

Podał im dwa zielone szale.

- Shuk ran - podziękowała Safia szybko i założyła osłonę. Jej palce poruszały się zwinnie, myślała, że już dawno zapomniała, jak to się robi. Odczuła niemałą satysfakcję, kiedy mężczyzna musiał pomagać Cassandrze.

- Pokój z wami - powiedział strażnik i odszedł do zacienionej galerii, na swoje miejsce.

- Musimy też zdjąć obuwie - powiedziała Safia, skinieniem głowy wskazując rząd butów i sandałów przed drzwiami.

Boso weszli do grobowca.

Sanktuarium tworzyła sala ciągnąca się przez całą długość budynku. Na jednym końcu wznosił się podest z brązowego marmuru podobny do ołtarza. W dwóch misach z brązu płonęło kadzidło, napełniając pomieszczenie zapachem przypominającym woń lekarstwa. Uwagę jednak przyciągał grobowiec stojący pośrodku sali. Przykrywała go udrapowana materia z wydrukowanymi surami z Koranu. Po bokach leżały dywaniki modlitewne.

- To wielki grób - powiedział cicho Kane.

Jakiś mężczyzna wstał z dywanika, spojrzął na przybyłych i cicho wyszedł. Mieli pomieszczenie dla siebie.

Safia przemierzyła trzydziestometrową długość grobowca. Mówiono, że jego długość mierzona po jednej stronie nie jest taka sama jak po drugiej. Nigdy tego nie sprawdziła.

Cassandra szła obok niej, rozglądając się czujnie.

- Co wiesz o tym miejscu? - spytała.

Safia wzruszyła ramionami, obeszła róg grobowca i zaczęła obracać ku marmurowemu szczytowi.

- Grób czczono od czasów średniowiecza, ale te wszystkie ozdoby... - machnęła ręką - są względnie nowe. - Położyła rękę na marmurze. - To miejsce, w którym sir Reginald Remington około czterdziestu lat temu wykopał posąg z piaskowca w którym kryło się żelazne serce.

Cassandra podeszła z walizką i okrążyła ołtarz. Smugi dymu z kadzidła zawirowały, wijąc się gniewnie.

- To ojciec Maryi naprawdę jest tu pochowany? - zdziwił się Kane.

- Istnieją na ten temat kontrowersje. - Cassandra spojrzała na Safię.

- Jak to?

- Większość najważniejszych grup chrześcijańskich - katolicy, bizantyjscy, nestorianie, jakobici - wierzyli, że ojcem Maryi był mężczyzna imieniem Joachim. W Koranie utrzymuje się, że Maryja pochodziła z bardzo szanowanej rodziny Imran. To mówi wiara żydowska. Według ich opowieści Imran i jego żona pragnęli dziecka, ale żona była bezpłodna. Imran modlił się o syna, którego będzie mógł poświęcić świątyni w Jerozolimie. Jego modlitwy zostały wysłuchane, żona zaszła w ciążę, ale urodziła dziewczynkę, Maryję. Co zabawne, rodzice przeznaczili ją do życia w pobożności, żeby podziękować Bogu za cud.

- Póki anioł jej nie załatwił - mruknął Kane.

- Tak, to tutaj są tarcia między religiami.

- A co z posągiem, tym u szczytu grobu? - zapytała Cassandra. - Dlaczego go tam umieszczono?

Safia też się nad tym zastanawiała przez całą drogę z Londynu. Dlaczego ktokolwiek miałby ustawić drogowskaz do Ubaru w miejscu poświęconym Maryi, postaci czczonej przez trzy religie - judaizm, chrześcijaństwo i islam? Czy dlatego, że miał pewność, iż to miejsce będzie chronione przez wieki? Każda z religii miała interes w zachowaniu tego grobu. Nikt nie mógł przypuszczać, że sir Reginald Kensington wykopie posąg i włączy go do rodzinnych zbiorów w Anglii.

Kto jednak przyniósł posąg do świątyni i dlaczego? Czy dlatego, że Salalah oznaczało początek Szlaku Kadzidlanego. Czy był drogowskazem, pierwszym znakiem prowadzącym do serca Arabii?

Safia rozważała różne kwestie: wiek posągu, tajemnice spowijające grób, różne religie, które czciły to miejsce. Odwróciła się do Cassandry.

- Muszę zobaczyć serce.

- A to czemu?

- Bo masz rację. Posąg musiał być umieszczony tutaj z jakiegoś ważnego powodu.

Cassandra wpatrywała się w Safię przez dłuższą chwilę, po czym uklękła na jednym z dywaników i otworzyła walizkę. Żelazne serce lśniło blade na tle gumowanej wyściółki.

Safia podniosła serce. Znow zaskoczył ją jego ciężar. Wiedziała, że materiał, z którego jest zrobione, jest zbyt gęsty jak na zwykłe żelazo. Czuła ruch wewnątrz serca, jakby komory wypełniał stopiony ołów.

Zbliżyła się do ołtarza.

- Mówiono, że posąg stał tutaj. - Kiedy się obracała, z serca spadło kilka kawałków żywicy i rozsypało się po powierzchni ołtarza niczym sól.

Safia przytrzymała serce przy piersi, ustawiając je zgodnie z anatomią - komory w dół, aorta po lewej - jakby należało do jej ciała. Stała nad długim, wąskim grobem i wyobrażała sobie posąg z muzeum.

Posąg miał prawie dwa i pół metra wysokości, przedstawiał postać z zasłoniętą twarzą, unoszącą wysoko misę do palenia kadzidła.

Safia popatrzyła w dół, na ziarenka antycznego kadzidła. Czy takie samo paliło się wtedy? Ulokowała serce w zgięciu jednej ręki, drugą zebrała garść kadzidła i wrzuciła do

misy, odmawiając cichą modlitwę w intencji przyjaciół. Kadzidło zapaliło się i wniosło świeży podmuch słodczy do nieco dusznej atmosfery sanktuarium.

Zamknęła oczy i wciągnęła powietrze. Było przesycone zapachem kadzidła. Zapachem przeszłości. Przeniosła się myślami do czasów przez narodzinami Chrystusa.

Wyobraziła sobie kadzidłowiec, dawno obumarły, który dał to kadzidło. Przypominające krzak drzewko o malutkich szarozielonych listkach. Wyobrażała sobie starożytnych, jak zbierają jego owoce.

Istniały plemiona w odludnych zakrętach gór, tak stare, że ich język był starszy niż arabski. Tylko garstka takich plemion przetrwała w izolacji, z trudem zdobywając liche środki utrzymania. Słyszała ich mowę, śpiewne przypomnienie, podobne do świergotu ptaków Ci ludzie, Shakra, utrzymywali, że są ostatnimi żyjącymi spadkobiercami Ubaru, ich rodowód sięgał do fundatorów tego miasta.

Czy to oni zbierali kadzidło?

Kiedy tak podróżowała w przeszłość, z każdym wdechem coraz bardziej kręciło jej się w głowie, wszystko wirowało. Złapała się skraju ołtarza.

John Kane chwycił ją za łokieć, ten sam, pod którym trzymała serce, a ono wyslizgnęło się z jej objęć i spadło na posadzkę.

Uderzyło o ołtarz z tępym brzękiem, potoczyło się po śliskim marmurze, wirując, nieco nierówno, jako że w środku przelewał się płyn.

Cassandra rzuciła się, by je złapać.

- Nie! - krzyknęła Safia. - Zostaw je tam, gdzie jest!

Serce obróciło się ostatni raz i zatrzymało. Jeszcze trochę kołysało się, obracało lekko, wreszcie znieruchomiło.

- Nie dotykajcie go. - Safia uklękła, teraz miała oczy na poziomie skraju ołtarza. Powietrze przesycało kadzidło.

Serce spoczywało w dokładnie takiej pozycji, w jakiej chwilę wcześniej je trzymała: komory na dole, aorta po lewej.

Safia wstała. Dostosowała swoje położenie do pozycji serca, jakby tkwiło w jej piersi. Skorygowała układ stóp i uniosła ramiona, jakby celowała z karabinu - albo niosła misę z kadzidłem.

Zamarłszy w tej pozycji, spojrzała wzdłuż uniesionego ramienia. Wskazywało długą oś grobowca. Safia opuściła ramiona i wpatrzyła się w żelazne serce.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że serce samo ustawiło się w dokładnie tej pozycji? Przypomniała sobie ruch w jego wnętrzu, jak się poruszało...

Jak kompas.

Spojrzeniem powędrowała za ściany, za miasto i jeszcze dalej-dalej od wybrzeża. Dalej, ku odległym zielonym górcom.

I już wiedziała, ale musiała jeszcze się upewnić.

- Potrzebuję mapę.

- Po co?

- Bo wiem, dokąd teraz musimy pojechać.

12

BEZPIECZEŃSTWO PRZEDE WSZYSTKIM

3 GRUDNIA, 15.02 SALALAH

Omaha, na wpół drzemiąc na podłodze platformy, czuł grzechot pod siedzeniem. Cholera... Platforma wibrowała coraz bardziej. Ci, którzy drzemali, kryjąc głowy przed upałem, zerkali w górę, a na ich twarzach malowało się napięcie i zmęczenie.

Od czoła ciężarówki dobiegło kasznięcie silnika podkreślone kłębem czarnego dymu i smrodem spalonego oleju. Ciężarówka zjechała na pobocze, stuknęła w piaszczyste urwisko i stanęła.

- Koniec jazdy - stwierdził.

Ogier zatupał niezadowolony.

Ja też się nie cieszę, pomyślał Omaha. Wstał wraz z innymi, otrzepał oponę, poszedł do klapy i ją otworzył. Klapa spadła i zagrzechotała o piasek.

Kapitan al-Haffi i jego ludzie, Barak i Sharif, wysiedli z kabiny. Dym nadal wzbijał się smugą w niebo.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Kara, osłaniając oczy i patrząc w dół krętej drogi. - Jak daleko jesteśmy od Salalah?

- Najwyżej kilka kilometrów. - Omaha wzruszył ramionami. Nie miał pewności. Równie dobrze może być dwa razy dalej.

Podszedł do nich kapitan al-Haffi.

- Powinniśmy stąd iść. - Machnął ręką w stronę dymu. - ludzie przyjdą zobaczyć, co się stało.

Omaha skinął głową. Z kręcenia się przy ukradzionym samochodzie nic dobrego nie wyniknie. Nawet przy pożyczonym.

- Musimy przejść resztę drogi na piechotę - powiedział Painter. Zeskoczył z ciężarówki jako ostatni. Na linie prowadził ogiera. Na twardym gruncie rumak zadrżał i zatańczył.

Kiedy Painter go uspokajał, Omaha zauważył, że jego lewe oko zaczęło fioletować, ale opuchlizna chyba się zmniejszyła. Odwrócił wzrok, balansując między wstydem za swój wybuch i resztkami gniewu, który nadal czuł.

Nie mając bagażu, szybko ruszyli wzdłuż pobocza. Idąc dwójkami, wyglądali jak mała karawana. Na przedzie kroczył kapitan al-Haffi. Painter i Coral szli z tyłu i prowadzili konia.

Omaha usłyszał, że szepcą, omawiając strategię. Zwolnił, żeby znaleźć się obok. Nie chciał, by coś go ominęło. Kara zauważyła to i też dołączyła do rozmawiających.

- Jaki jest plan, kiedy już dojdziemy do Salalah? - zapytał Omaha.

Painter zmarszczył czoło.

- Będziemy cicho. Coral i ja pójdziemy...

- Czekaj - przerwał mu Omaha - nie zostawcie mnie. Nie będę siedział w hotelu, podczas gdy wy będziecie zdzierali buty.

Pozostali usłyszeli jego słowa.

- Nie możemy wszyscy iść do grobowca - tłumaczył Painter. - Namierzają nas. Coral i ja byliśmy szkoleni w namierzaniu i zbieraniu informacji. Musimy rozpoznać teren, poszukać Safii, ustalić, czy się pojawiła.

- A jeśli już była i pojechała? - dopytywał się Omaha.

- Dowiemy się tego. Zadamy kilka dyskretnych pytań.

- Jeśli już pojechała, to nie będziemy wiedzieli, dokąd ją zabrali - zauważyła Kara.

Painter patrzył na nią. Omaha zauważył w jego oczach smutek.

- Uważasz, że już się spóźniliśmy? - spytał Omaha.

- Nie wiemy na pewno.

Omaha wpatrzył się w dal. Na horyzoncie widać było kuka budynków. Przedmieścia.

- Ktoś musi ruszyć przodem - orzekł.

- Jak? - spytała Kara.

Nie odwracając się, Omaha wskazał kciukiem za siebie.

- Na koniu. Jedno z nas... może dwoje... mogłoby pojechać konno do miasta. Prosto do grobowca. Sprawdzić. Pozostać w ukryciu. Obserwować Safię. Śledzić ją.

Zapadła cisza.

Coral spojrzała mu w oczy.

- Painter i ja właśnie o tym mówiliśmy.

- To ja powinienem jechać - rzekł Painter.

Omaha zatrzymał się i spojrzał mu w twarz.

- A to, u licha, dlaczego? Ja znam miasto. Znam boczne uliczki.

Painter odpowiedział groźnym spojrzeniem.

- Nie masz doświadczenia w śledzeniu. To nie pora na amatorów. Namierzają cię.

Stracimy przewagę.

- Akurat. Może i nie mam za sobą formalnego szkolenia, ale przepracowałem lata w miejscach, gdzie lepiej nie być widzianym. Umiem wtopić się w tło, jeśli to konieczne.

- Ale ja jestem lepszy. To moja praca - rzekł Painter ostro.

Omaha zacisnął pięść. Słyszał pewność w głosie Paintera. Jakaś jego część chciała wybić tę pewność pięściami, ale inna część mu wierzyła. Nie ma jego doświadczenia. Jak może iść, skoro chciał biec za Safią? Sznur bólu ścisnął mu serce.

- A co zrobisz, gdy ją znajdziesz?

- Stwierdzę, jakimi siłami dysponują. Znajdę słabe punkty. Zaczekam na właściwy moment.

Kara oparła ręce na biodrach.

- A co z nami? - zapytała.

Omaha i Painter tkwili w pacie, więc odpowiedziała Coral:

- Mamy przygotowany bezpieczny dom jako zaplecze w Salalah. Zaopatrzenie i gotówka.

Jasne, że mają, pomyślał Omaha. - Broń? - zdziwiła się Kara. Coral potwierdziła skinieniem głowy.

- My pojedziemy tam pierwsi. Uzbroimy się. Ja skontaktuję się z Waszyngtonem, powiem o naszym statusie. Zorganizuję dodatkowe...

- Nie - przerwał jej Painter. - Żadnych połączeń. Skontaktuję się z tobą, gdy tylko będę mógł. Od tej pory poruszamy się bez żadnego wsparcia z zewnątrz. Żadnego.

Omaha patrzył, jak Painter i jego partnerka porozumiewają się bez słów. Wyglądało na to, że podejrzewają o przecieki nie tylko rząd Omanu, ale i własny. Ta kobieta, Cassandra Sanchez, wciąż jest krok przed nimi. Musi skądś dostawać informacje.

Painter wbił wzrok w Omahę.

- Zgadzamy się na ten plan? - zadał pytanie.

Omaha powoli skinął głową. Czuł się, jakby ktoś przywiązał mu do pleców żelazne sztaby. Painter zaczął się odwracać, ale Omaha zatrzymał go. Wyjął spod opończy pistolet i podał Parterowi.

- Gdybyś miał szansę... najmniejszą szansę...

- Dzięki. - Painter przyjął broń.

Wskoczył na ogiera. Jechał na oklep, używając linki jako wodzy.

- Spotkamy się w Salalah - rzucił i spiął konia do kłusa, potem do pełnego galopu, i skulił się na końskim grzbiecie.

- Mam nadzieję, że jest równie dobrym szpiegiem, jak jeźdźcem - westchnęła Kara.

Omaha patrzył jak Painter znika za zakrętem drogi. Potem grupa znów ruszyła, powoli, zbyt powoli, w stronę miasta.

15.42

Safia pochylała się nad mapą regionu Dhofar rozłożonej na masce samochodu. W jej centrum leżał cyfrowy kompas z plastikową linijką. Safia delikatnie poprawiła linijkę na

mapie, żeby dokładnie odzwierciedlała oś grobowca Nabi Imrana. Zanim wyszli z krypty, przez kilka minut, z pomocą kompasu, ustalała namiary.

- Co pani robi? - zapytała Cassandra chyba po raz piąty. Ciągle ją ignorując, Safia nachyliła się, niemal dotykając nosem papieru. To najlepsze, co mogę zrobić bez komputera, pomyślała. Wyciągnęła rękę.

- Coś do pisania.

Kane sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i podał jej długopis. Zerknąwszy w górę, dostrzegła pistolet w pochwie pod pachą. Ostrożnie wzięła długopis. Nie chciała patrzeć Kane'owi w oczy. Ten mężczyzna niepokoił ją bardziej niż Cassandra.

Safia skupiła się na mapie. Następny trop wiodący do tajnego serca Ubaru.

Narysowała linię wzdłuż linijki. Niebieska kreska biegła od grobu Nabi Imrana, przecinając kraj. Safia przesuwiała palcem wzdłuż linii, szukając konkretnej nazwy.

Dobrze wiedziała, co chce znaleźć.

Kiedy palec przesunął się poza Salalah, linie poziomic zaczęły się zagęszczać i mnożyć, bo pojawiły się wzgórza, a potem góry. Podążała za kreską, aż dotarła do niewielkiej kropki na szczycie stromej góry. Postukała w to miejsce.

Cassandra pochyliła się niżej i przeczytała napis pod palcem.

- Dżebel Eitteen. - Spojrzała na Safię.

- Góra Eitteen - powiedziała Safia, wpatrując się w małą czarną kropkę, która oznaczała na mapie górę. - Na jej szczycie jest kolejny grób. I, podobnie jak ten, także czczony jest przez trzy religie: żydowską, chrześcijańską i muzułmańską.

- Czyj to grób?

- Kolejnego proroka, Ayoubu. A po angielsku, Hioba.

Cassandra zmarszczyła czoło.

Safia wyjaśniła:

- Hiob pojawia się zarówno w Biblii, jak i w Koranie. Był bogaty i miał liczną rodzinę, żarliwie wierzył w Boga i mu służył. Bóg, wystawiając go na próbę, pozbawił go wszystkiego: bogactwa, dzieci, nawet zdrowia. Tak wielkie były jego nieszczęścia, że go wygnano i musiał żyć w odosobnieniu. - Postukała w mapę. - Na górze Eitteen. Mimo nieszczęść Hiob nadal był pobożny. Za tę lojalność Bóg kazał mu uderzyć ziemię stopą. Trysnęło źródło, z którego Hiob napił się i w którym się wykąpał. Jego choroby zostały wyleczone, a on znów był młody. Resztę życia przeżył na górze Eitteen i tam został pochowany.

- I uważasz, że to kolejny przystanek na drodze do Ubaru? Skoro pierwszy drogowskaz wzniesiono na tym grobie, to naturalną kolejną rzeczą następny powinien być podobnie zlokalizowany. Kolejne miejsce pochówku świętej osoby szanowanej przez wszystkie religie.

A więc to tam musimy teraz pojechać?

Cassandra sięgnęła po mapę, a Safia położyła na niej rękę.

- Nie mogę być absolutnie pewna, co tam znajdziemy. O ile znajdziemy cokolwiek. Już kiedyś byłam przy grobie Hioba. Nie zauważyłam niczego, co mogłoby prowadzić do Ubaru. I nie mamy żadnego tropu, gdzie zacząć szukać. - Przypomniała sobie, jak serce kołysało się na marmurowym oltarzu, ustawiając się niczym kompas. - Znalezienie następnego kawałka układanki może zająć lata.

- Właśnie po to tu jesteś - rzekła Cassandra i złożyła mapę, pokazując Kane'owi, żeby zabrał Safię do samochodu. - By rozwiązać tę zagadkę - dodała.

Safia pokręciła głową. To wyglądało na zadanie nie do rozwiązania. Albo chciała, żeby Cassandra tak myślała. Przeczynała, jak postępować, ale nie wiedziała, jak obrócić to przeczucie na swoją korzyść.

Wsiedli do samochodu. Uliczni sprzedawcy pakowali już towary. Bezpański pies, sama skóra i kości, włóczył się między straganami, paskami piasku i wozami. Podniósł nos, kiedy kramy mijał koń dosiadany przez mężczyznę od stóp do głów zakutanego w beduińską opończę.

Samochód jechał dalej uliczką, kierując się do kolejnego mitsubishi parkującego przy jej końcu.

Safia popatrzyła na GPS na desce rozdzielczej. Ulice rozchodziły się promieniście. Interior czekał.

I kolejny grób.

Miała nadzieję, że nie jej.

16.42

GÓRA EITTEEN

Cholerne skorpiony...

Doktor Jacques Bertrand zmiądzzył obcasem opancerzonego intruza, zanim rozłożył dywanik osłaniający jego miejsce pracy. Nie było go tylko kilka minut, bo poszedł po wodę do land-rovera, a skorpiony już wzięły w posiadanie jego zacieniony kawałek pod urwiskiem. W tym surowym krajobrazie suchorostów, ciemnych krzewów i kamieni nic się nie marnowało. Nawet miejsce w cieniu.

Jacques położył się w niszy na plecach. Inskrypcja w piśmie południowoarabskim była wykuta na suficie niszy starożytnej krypty pogrzebowej. Wokół pełno było takich nisz, wszystkie w cieniu grobu Hioba na szczycie góry. Cały region stał się cmentarzem. Ta krypta była trzecią, której dokumentację dzisiaj robił. Ostatnia w tym długim, niekończącym się gorącym dniu.

Marzył o pokoju w Hiltonie w Salalah, o wskoczeniu do basenu, o kieliszku chardonnay...

Z tą myślą dodającą mu otuchy poświęcił się swemu zadaniu. Przesuwając szczotkę z wielbłądziej sierści po inskrypcji, dokładnie ją oczyścił. Jako archeolog specjalizujący się w językach starożytnych Jacques otrzymał grant na sporządzenie mapy wczesnosemickich pism, śledząc ich rozwój od głębokiej przeszłości do czasów dzisiejszych. Aramejskie, elymajskie, palmyreńskie, nabatejskie, samarytańskie, hebrajskie... Miejsca pochówku były wspaniałym źródłem słowa pisanego, unieśmiertelniających modlitw, pochwał i epitafiów.

Z zimnym dreszczem Jacques opuścił szczotkę. Miał nieodparte wrażenie, że ktoś go obserwuje. Przeszywało go pierwotne poczucie zagrożenia.

Uniósłszy się na łokciu, popatrzył przed siebie. W tym regionie roiło się od bandytów i złodziei, lecz w cieniu grobu Hioba, najświętszej świątyni, nikt nie ośmieliłby się popełnić zbrodni. To równałoby się wyrokowi śmierci. Wiedząc o tym, zostawił karabin w samochodzie.

Wpatrzył się w jasność.

Nic.

Mimo to wciągnął stopę w głąb niszy. Jeśli ktoś tam jest i ma ochotę go skrzywdzić, lepiej pozostać w ukryciu.

Tik-tik. Po lewej zagrzechotał spadający ze zbocza kamyk. Jacques nastawił uszu. Czuł się złapany w pułapkę.

Wtem przed wejściem do krypty pojawił się jakiś kształt.

Przesunął się, leniwie, spokojnie, pewny swej siły. Czerwonawa sierść, cętkowana w cieniu, zlewała się z czerwonymi skałami.

Jacques wstrzymał oddech, balansując między zgrozą i niewiarą.

Słyszał opowieści, ostrzegano go o ich obecności w dziczy Dhofaru. Pantherapardus nimr. Lampart arabski. Niemal wymarły, ale, jak widać, nie całkiem.

Wielki kot znalazł się poza zasięgiem wzroku archeologa.

Ale nie był sam.

Pojawił się drugi lampart, szedł szybciej, był młodszy, bardziej podniecony. Potem trzeci. Samiec. Wielkie, rozplaszczające się łapy, żółte pazury.

Stado.

Jacques wstrzymywał oddech, modlił się, prawie nie myślał, jak jaskiniowiec, który schronił się przed niebezpieczeństwem.

W zasięg jego wzroku weszła jakaś postać.

Nie był to kot.

Nagie nogi, nagie stopy, poruszające się z kocią gracją.

Kobieta.

Nie widział nic powyżej ud.

Zignorowała go z taką samą pewnością, jak lamparty, idąc dalej, kierując się w górę.

Jacques wyslizgnął się z krypty jak Łazarz ze swego grobu. Nie mógł się powstrzymać. Wystawił głowę. Kobieta wspinała się po zboczu, idąc ścieżką widoczną tylko dla niej. Jej skóra miała kolor kawy, proste czarne włosy sięgały do pasa, była naga, bezwstydna.

Zdawało się, że wie, iż Jacques na nią patrzy, choć się nie odwróciła. Poczuł, że znowu jest obserwowany. Bał się, ale nie mógł odwrócić wzroku.

Kroczyła między lampartami, ciągle w górę, ku grobowi na szczycie. Jej postać zdawała się drzeć niczym spowodowany skwarem miraż.

Odgłos drapania skłonił go do zerknięcia na swoje ręce i kolana.

Przy jego palcach kręciła się para skorpionów. Nie były jadowite, ale miały paskudne żądła. Zachłysnął się, kiedy wysypywało się ich coraz więcej i więcej ze szczelin w skałach. Wdrapywały się po ścianach, spadały z sufitu. Setki. Gniazdo. Jacques wyczołgał się z krypty. Czuł ich żądła, iskry ognia na plecach, kostkach, szyi, rękach.

Potoczył się po twardym gruncie. Kolejne uządlenia paliły, jakby przypalano go papierosem. Wrzeszczał, oszalały z bólu.

Wstał z trudem, potrząsał kończynami, zdjął kurtkę, przeczesywał palcami włosy. Tupnął i potoczył się w dół stoku. Przy wejściu do niszy nadal kłębiły się skorpiony.

Spojrzał wyżej, nagle bojąc się, że mógł przyciągnąć uwagę lampartów. Ale zbocze było puste.

Kobieta i koty zniknęły.

Niemożliwe. Ogień ukąszeń wypalił jednak z niego wszelką ciekawość. Rzucił się do land-rovera, choć nie mógł się powstrzymać od patrzenia w górę.

Tam, gdzie czekał grób Hioba.

Otworzył drzwiczki i wsiadł. Ostrzeżono go. Wiedział to z przerażającą pewnością.

Tam, w górze, ma się zdarzyć coś strasznego.

16.45 SALALAH

- Safia żyje - oznajmił Painter, gdy tylko wszedł do „bezpiecznego domu”. Nie był to właściwie dom, tylko dwupokojowe mieszkanie nad sklepem import-eksport przy granicy suku al-Haffa. Przy takim sąsiedztwie nikogo nie dziwiło, że do domu wchodzi i wychodzi ludzie. Hałas dobiegający z sąsiedniego targu był mieszaniną języków i głosów. Pokoje pachniały curry i starymi materacami.

Painter przepchnął się obok Coral, która otworzyła drzwi. Zdążył zauważyć dwóch Duchów Pustyni dyskretnie pilnujących okolicy.

Pozostali zgromadzili się we frontowym pokoju, zmęczeni drogą. Z łazienki dobiegał odgłos płynącej wody. Painter zauważył, że brakuje Kary. Danny, Omaha i Clay mieli mokre włosy. Wszyscy po kolei brali prysznic, żeby spłukać brud i kurz drogi. Kapitan al-Haffi znalazł sobie szatę, ale była za ciasna w ramionach.

Kiedy Painter wszedł, Omaha wstał.

- Gdzie ona jest?

- Safia z innymi właśnie wyjeżdżali z terenu grobowca, kiedy się tam znalazłem. Dwa samochody. Uzbrojeni. - Painter przeszedł przez pokój do małej kuchenki. Pochylił się nad zlewem, odkręcił kurek i włożył głowę pod kran.

Omaha stanął za nim.

- To dlaczego ich nie śledziłeś?

Painter wyprostował się, odgarniając z twarzy mokre włosy. Strumyki wody ciekły mu po karku i plecach.

- Śledziłem. - Omaha popatrzył na niego twardo, po czym minął go i podszedł do Coral.

- Jakie mamy wyposażenie?

Skinęła głową w stronę drugiego pokoju.

- Myślałam, że lepiej będzie poczekać na ciebie. Ten elektroniczny zamek jest bardziej skomplikowany, niż myślałam.

- Pokaż.

Poprowadziła go do drzwi. Mieszkanie było „bezpiecznym domem” CIA, stale doposażanym, jednym z wielu utrzymywanych na całym świecie.

Painter dostrzegł elektroniczny zamek ukryty za fałdą zasłony. Coral odsunęła ją. Na podłodze leżał dziwny zestaw narzędzi: cążki do paznokci, żyletki, pinceta, pilniczek do paznokci.

- Z łazienki - wyjaśniła.

Painter uklęknął przed zamkiem i przyjrzał mu się. Coral nachyliła się nad nim, wskazując kilka złączonych przewodów, czerwonych i niebieskich.

- Wyłączyłam cichy alarm. Ty powinieneś otworzyć bezpiecznie szafkę ze sprzętem. Wołałam jednak, żebyś nadzorował moją pracę. To ty jesteś ekspertem.

Painter skinął głową. Takie szafki miały wysyłać cichy alarm, informując CIA, że ktoś korzysta z „bezpiecznego domu”. Painter nie chciał, żeby taka informacja została przekazana. Jeszcze nie. W centrali myślą, że wszyscy nie żyją... i miał zamiar ten stan rzeczy utrzymać tak długo, jak się da.

Przebiegał oczami obwody, podążając za zasilaniem, za fałszywymi przewodami i tymi, którymi płynął prąd. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Coral zdołała odciąć zasilanie linii telefonicznej bez naruszenia zasilania zamka. Jako fizyk okazała się bardzo dobrym inżynierem elektrykiem.

- Wygląda dobrze - mruknął Painter.

- A więc możemy wejść.

Podczas odprawy przed misją Painter zapamiętał kod „bezpiecznego domu”. Wstukał pierwszą cyfrę z dziesięciocyfrowego kodu. Miał tylko jedną szansę na poprawne wprowadzenie. Gdyby wprowadził zły kod, klawiatura uległaby samozniszczeniu, a zamek się zablokował.

- Masz dziewięćdziesiąt sekund - przypomniała Coral.

Kolejne zabezpieczenie. Dziesięciocyfrowy kod należało wprowadzić w określonym przedziale czasu. Przyciskał starannie każdą cyfrę. Kiedy miał wstukać siódmą cyfrę - dziewiątkę - zawahał się. Podświetlony klawisz wydawał się ciemniejszy niż sąsiednie. Czy popada w paranoję? Podskakuje na widok cienia?

- Coś nie tak? - niepokoiła się Coral. Dołączyli do nich Omaha i Danny.

Painter usiadł na piętach i zastanawiał się, zaciskając i prostując palce. Przyglądał się dziewiątce. Na pewno nie...

- Painter - wyszeptała Coral.

Jeśli będzie zwlekał, system się zablokuje. Nie ma czasu do stracenia, ale coś jest nie tak. Czuł to.

Omaha pochylał się nad nim, jeszcze bardziej uświadamiając mu upływ czasu. Jeśli Painter ma uratować Safię, potrzebuje tego, co jest za drzwiami.

Zignorowawszy klawiaturę, Painter wziął pincetę i pilniczek. Ze sprawnością chirurga ostrożnie podniósł klawisz z dziewiątką. Wypadł. Za łatwo. Nachylił się, zmrużył oczy.

Cholera...

Pod klawiszem był mały kwadratowy czip z czujnikiem naciskowym w środku. Został owinięty cienką metalową folią. Mikro-przełącznik. Gdyby nacisnął, uruchomiłby go. Sądząc po niechlujnym wykonaniu, nie było to wyposażenie fabryczne.

Cassandra tu była.

Po czole Paintera spływał pot.

Coral spojrzała mu przez ramię.

- Niech to szlag.

- Zabierz stąd wszystkich - polecił Painter.

- Co się dzieje? - spytał Omaha.

- Pułapka - odrzekł Painter, a gniew rozpałał mu głos. - Wynocha! Już!

- Zawołaj Karę! - rozkazała Coral, kierując Omahę do łazienki. Pozostali już zmierzali do drzwi.

Painter wciąż kuczał przed klawiaturą. W jego głowie przewijała się cała litania przekleństw, jak ulubiona piosenka. Tę melodię śpiewa za długo. Cassandra wciąż jest o krok przed nim.

- Trzydzieści sekund! - ostrzegła go Coral, kiedy zatrzasnęła drzwi mieszkania. Ma pół minuty, zanim automat zablokuje drzwi.

Tylko ty i ja, Cassandro.

Odłożył pilniczek i wziął cążki. Żałując, że nie ma swojego zestawu narzędzi, zabrał się do usuwania mikroprzełącznika. Oddychał głęboko, starał się zachować spokój. Dotknął folii, żeby usunąć wszelkie elektrostatyczne pozostałości, po czym wziął się do roboty. Ostrożnie oddzielił przewód zasilający od uziemienia, następnie równie ostrożnie zdjął plastik izolacji przewodu zasilającego, bez przerywania samego przewodu. Kiedy uziemienie zostało obnażone, złapał je i zetknął z przewodem zasilającym. Błysnęło i bzyknęło. Znad klawiatury uniósł się smród palonego plastiku.

Przełącznik się usmażył.

Osiem sekund...

Odciął zepsuty przełącznik i wyjął go. Zacisnął wokół niego palce, czując, jak ostre krawędzie wpijają się w skórę.

Pierdol się, Cassandro.

Painter wstukał trzy ostatnie cyfry.

Odetchnął z ulgą. Zasuwy ustąpiły.

Wyprostowawszy się, sprawdził framugę, zanim nacisnął klamkę. Wszystko wyglądało na nietknięte. Cassandra liczyła na przełącznik.

Nacisnął klamkę. Drzwi były ciężkie, wzmocnione stalą. Szybko się pomodlił i pociągnął.

Zajrzał do środka.

U sufitu wisiała naga żarówka.

Cholera...

Pokój wypełniały stalowe regały i półki od podłogi do sufitu. Wszystkie puste.

Cassandra nie zaryzykowała, nie zostawiła niczego poza swoją wizytówką: funt C4 z elektronicznym detonatorem. Gdyby nacisnął dziewiątkę, cały budynek wyleciałby w powietrze. Podeszedł i wyjął detonator.

Frustracja powodowała bolesny ucisk w piersiach. Chciało mu się wyć. Zamiast tego jednak wrócił do wejścia do mieszkania i krzyknął, że wszystko jest w porządku.

Oczy Coral jaśniały, kiedy wchodziła po schodach.

- Wyczyściła nas - poinformował ją.

Omaha zmarszczył czoło, następując Coral na pięty.

- Kto?

- Cassandra Sanchez. Ta, która porwała Safię.

- A skąd ona mogła wiedzieć o tym domu?

Painter pokręcił głową. No właśnie, skąd? Zaprowadził ich do pustego magazynu i zbliżył się do bomby.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał Omaha.

- Ratuję materiał wybuchowy. Możemy go potrzebować.

Kiedy Painter pracował, Omaha wszedł do magazynu, a za nim Kara. Jej wilgotne włosy były splecione i mokre, a zamiast ubrania miała na sobie ręcznik.

- A co z Safią? Powiedziałeś, że możesz ją wytropić.

Painter skończył usuwanie ładunku i skierował ich ruchem ręki do wyjścia.

- Tak powiedziałem. Teraz mamy kłopot. Tutaj powinien być komputer z łączem satelitarnym. Dzięki niemu miałbym dostęp do serwera Ministerstwa Obrony.

- Nie rozumiem - powiedziała Kara cicho. Jej ciało lśniło bladożółto w świetle jarzeniówek. Wyglądała na przemęczoną. Painter zaczął podejrzewać, że to nie prochy ją wykończają, ale ich brak.

Zaprowadził ich do frontowego pokoju, to rewidując swój plan, to przeklinając Cassandrę. Wiedziała o „bezpiecznym domu”, znała kod dostępu i zastawiła pułapkę. Skąd wie o każdym ich ruchu? Powiódł spojrzeniem po grupie.

- Gdzie Clay?

- Kończy papierosa na schodach - odpowiedział Danny. - Znalazł w kuchni paczkę.

Jak na rozkaz Clay pojawił się w drzwiach. Wszyscy na niego spojrzeli.

- No co? - zapytał.

Kara zwróciła się do Paintera:

- Jaki jest nasz następny krok?

Painter spojrzął na kapitana al-Haffiego.

- Konia zostawiłem na dole z Sharifem. Czy mógłby pan go sprzedać i szybko wykombinować trochę broni oraz jakiś samochód?

Kapitan skinął głową.

- Mam tu dyskretne kontakty.

- Ma pan pół godziny.

- A co z Safią? - naciskał Omaha. - Tracimy czas.

- W tej chwili Safia jest bezpieczna. Cassandra nadal jej potrzebuje, inaczej już dzieliłaby grób z ojcem Maryi. Zabrali ją z jakiegoś powodu. Jeśli mamy mieć nadzieję na uratowanie jej, noc może być naszym sprzymierzeńcem. Mamy trochę czasu.

- Skąd wiesz, dokąd ją wywieźli? - chciała wiedzieć Kara.

Painter przyjrzał się zebranym, niepewny, czy może swobodnie mówić.

- No? - naciskał Omaha. - Jak, u licha, chcesz ją odnaleźć?

Painter podeszedł do drzwi.

- Znajdując najlepszą kawę w mieście.

Omaha i Painter szli przez suk al-Haffa. Pozostali mieli odpocząć i poczekać w domu na powrót kapitana al-Haffiego. Omaha miał nadzieję, że dowiedzą się, dokąd powinni pojechać.

Z każdym krokiem przeszywał go tępy gniew. Painter widział Safię, był od niej o kilka metrów... i pozwolił porywaczom z nią odjechać. Pewność Paintera co do możliwości odnalezienia Safii zachwiała się. Omaha widział to w jego oczach. Troskę.

Ten sukinsyn powinien spróbować ją uratować, kiedy miał szansę. Do diabła z prawdopodobieństwem. Ta niezdolna ostrożność zabije Safię. I wszystkie ich wysiłki pójdą na marne.

Omaha kroczył między budkami i straganami targowiska, głuchy na gwar rozmów, krzyki sokolników, odgłosy targowania się, gęganie zamkniętych w klatkach gęsi, porykiwanie osła. Wszystko mieszało się w biały szum.

Słońce chyliło się ku zachodowi, cienie były coraz dłuższe. Zaczęła wiać wieczorna bryza. Stukały okiennice, tumany piasku tańczyły między stertami odpadków, powietrze pachniało solą, przyprawami i obietnicą deszczu.

Minęła już pora monsunów, ale prognoza ostrzegła przed grudniową burzą, której front przesunął się w głąb lądu. Szkwał z zeszłej nocy był zaledwie pierwszym z serii sztormów. Mówiono, że ten układ pogodowy przejdzie nad górami i zderzy się z piaskową burzą kierującą się na południe. Rozpęta się piekło.

Omaha miał jednak większe powody do zmartwienia niż zła pogoda.

Spieszyli przez suk. Ich cel leżał po przeciwnej stronie targowiska, gdzie zbudowano ciąg nowoczesnych sklepów, łącznie z Pizza Hut i małym supermarketem. Omaha ominął ostatnie stragany, przechodząc obok sklepów sprzedających perfumy, kadzielnice, banany, tytoń, ręcznie wyrabianą biżuterię, tradycyjne suknie dhofar z aksamitu, wyszywane i ozdobione cekinami.

Wreszcie dotarli do ulicy oddzielającej suk od nowoczesnej galerii handlowej.

- To tam. Ale, jakim cudem to miejsce pomoże nam znaleźć Safię? - spytał Omaha.

Painter ruszył.

- Pokażę ci - rzucił Painter.

Omaha popatrzył na szyld: SALALAH INTERNET CAFE. Specjalizowali się w wyrafinowanych rodzajach kawy, proponowali herbaty z całego świata, cappuccino i espresso. Tego typu instytucje można było spotkać nawet w zapadłych dziurach. Potrzebna była tylko linia telefoniczna i w odległym od cywilizacji zakątku można było surfować po sieci.

Painter wszedł i skierował się do stojącego za kontuarem blondyna Anglika o imieniu Axe mającego na sobie T-shirt z napisem FREE WIN ONA, podał mu numer karty kredytowej i datę jej wygaśnięcia.

- Zapamiętałeś? - zapytał Omaha.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy napadną cię piraci.

Kiedy obsługujący wprowadzał numer, Omaha spytał:

- Myślałem, że chcesz to załatwić po cichu. Użycie karty może zdradzić, że żyjesz, prawda?

- Nie wydaje mi się, żeby to było teraz ważne.

Elektroniczny czytnik kart zadzwonił. Anglik pokazał uniesiony kciuk.

- Ile czasu pan potrzebuje?

- To szybkie połączenie?

- DSL, chłopie. Najlepsze do surfowania.

- Trzydzieści minut powinno wystarczyć.

- Świetnie. Ta maszynka w rogu jest wolna.

Painter zaprowadził Omahę do komputera Gateway Pentium 4. Usiadł, wszedł do Internetu i wstukał długi adres IP.

- Wchodzę do serwera Ministerstwa Obrony - wyjaśnił.

- Jak to może pomóc znaleźć Safię?

Painter wystukiwał coś na klawiaturze, błyskały okna, odświeżał, zamykał, zmieniał.

- Przez Ministerstwo Obrony mogę zyskać dostęp do najbardziej strzeżonych systemów w karcie bezpieczeństwa narodowego. Proszę bardzo.

Na ekranie pojawiło się logo Mitsubishi.

- Kupujesz samochód? - zdziwił się Omaha.

Za pomocą myszki Painter manewrował po ekranie. Wyglądało na to, że ma pełny dostęp, ponieważ przechodził przez okna chronione kodami.

- Grupa Cassandry podróżuje mitsubishi z napędem na cztery koła. Niespecjalnie dbali o ukrycie tych pojazdów. Bez wysiłku zbliżyłem się na tyle, żeby odczytać numer identyfikacyjny jednego z nich.

- Numer identyfikacyjny?

Painter pokiwał głową.

- Wszystkie pojazdy wyposażone w GPS są przez cały czas w kontakcie z satelitami na orbicie, utrzymują zapis bieżącej lokalizacji, dając kierowcy wiedzę o tym, gdzie się znajduje przez cały czas.

Omaha zaczął rozumieć.

- A skoro masz numer identyfikacyjny, możesz dostać się do danych samochodu. Dowiedzieć się, gdzie są.

- Na to liczę.

Pojawiło się okno z żądaniem podania numeru identyfikacyjnego. Painter wstukał go, nie patrząc na klawiaturę. Nacisnął enter i odchylił się. Jego ręka lekko drżała. Zacisnął pięść, żeby to ukryć.

Omaha czytał w jego myślach. Czy dobrze zapamiętał numer? A co, jeśli porywacze usunęli GPS? Tyle rzeczy mogło pójść źle.

Po długiej chwili pojawiła się cyfrowa mapa Omanu, dzięki sygnałom z pary geosynchronicznych satelitów. W małym okienku ukazał się ciąg współrzędnych - długość i szerokość geograficzna. Zmieniająca się lokalizacja mitsubishi.

Painter westchnął z ulgą. Omaha też.

- Gdybyśmy mogli zgadnąć, gdzie przetrzymują Safię...

Painter kliknął na zoom i wyzerował na mapie. Pojawiło się miasto Salalah, ale małe niebieskie strzałki pokazujące pozycję samochodu wskazywała miejsce poza granicami miasta i kierowała się w głąb lądu.

Painter przysunął twarz do ekranu.

- Nie...

- Cholera, wyjeżdżają z miasta!

- Musieli coś znaleźć w tym grobie.

Omaha odwrócił się.

- Musimy jechać. Już!

- Nie wiemy, dokąd jadą - zauważył Painter, nie ruszając się z miejsca. - Muszę ich śledzić, póki się nie zatrzymają.

- Tam jest tylko jedna droga. Ta, którą jadą. Możemy ich dogonić.

- Nie wiemy, czy nie wjadą na bezdroża. Mają napęd na cztery koła.

Omaha był rozdarty. Ma posłuchać pragmatycznych rad Paintera, czy ukraść pierwszy lepszy wóz i pognać za Safię. A co będzie, kiedy już ją dogoni? Jak zdoła jej pomóc?

Painter złapał go za rękę. Omaha drugą zacisnął w pięść.

Painter spojrział na niego twardo.

- Doktorze Dunn, niech się pan zastanowi. Dlaczego wyjeżdżają z miasta? Dokąd jadą?

- Skąd, do cholery, mam...

Painter ścisnął jego ramię.

- Pan jest takim samym ekspertem od tego regionu jak Safia. Wie pan, jaką wybrali drogę, wie pan, co napotkają. Czy jest tam coś, na co ten grób w Salalah może wskazywać?

Omaha pokręcił głową, odmawiając odpowiedzi. Tracąc czas.

- Cholera, Omaha! Raz w życiu przestań reagować, a zacznij myśleć!

Omaha wyrwał rękę.

- Pierdol się! - warknął, ale nie wyszedł.

- Co tam jest? Dokąd jadą?

Omaha popatrzył na ekran, niezdolny do spojrzenia Painterowi w twarz, obawiając się, że podbije mu drugie oko. Śledził niebieską strzałkę - przesuwała się coraz dalej od miasta, ku góróm.

Co Safia odkryła? Dokąd oni jadą?

Przebiegał w myślach wszystkie stanowiska archeologiczne rozrzucone w pobliżu drogi: świątynie, cmentarze, ruiny, jaskinie, pieczary wypłukane w wapieniu przez wodę. Za dużo tego. Tutaj wystarczy odwrócić kamień i odkrywasz kawał historii.

Nagle jednak zaświtał mu pewien pomysł. Zaledwie kilka kilometrów od drogi znajduje się ważny grobowiec.

Omaha spojrział na monitor. Obserwował niebieską strzałkę przesuwaną się po szosie.

- Za mniej więcej osiemnaście kilometrów będzie zjazd z drogi. Jeśli w niego wjadą, to wiem, dokąd się kierują.

- To znaczy, że musimy trochę poczekać - stwierdził Painter. Omaha skulił się przy komputerze.

- Chyba nie mamy wyboru.

17.32

Painter usiadł przy innym komputerze. Zostawił Omahę przy monitorowaniu postępów grupy Cassandry. Gdyby wiedzieli, dokąd jadą porywacze, zyskaliby przewagę. Niewielka to jednak pociecha.

Znów uzyskał dostęp do serwera Ministerstwa Obrony. Już nie było powodu fingowania własnej śmierci. Zostawił za dużo śladów elektronicznych. Poza tym, biorąc pod uwagę wyrafinowaną pułapkę w „bezpiecznym domu”, Cassandra wie, że on żyje... a przynajmniej tak sprawia wrażenie.

To był jeden z powodów, dla których musi mieć dostęp do tego serwera.

Wprowadził osobisty kod i wszedł do poczty. Wstukał adres swojego zwierzchnika, doktora Seana McKnighta, szefa Sigmy. Jeśli komukolwiek ufał, to właśnie jemu. Musi go zapoznać z wydarzeniami, podać stan misji.

Okienko listu otworzyło się i zaczął szybko pisać, z grubsza szkicując przebieg wypadków. Podkreślił rolę Cassandry, wskazał na możliwość istnienia kreta w organizacji. Nie było innego sposobu, żeby Cassandra dowiedziała się o „bezpiecznym domu”, o kodzie dostępu, gdyby nie miała informacji z wewnątrz.

Zakończył:

Zdecydowanie podkreślam konieczność zbadania spraw od pańskiej strony. Sukces tej misji zależy od zatkania przecieku. Proszę nikomu nie ufać. Spróbujemy uwolnić dr al-

Maaz dziś wieczorem. Uważamy, że wiemy, dokąd grupa Cassandry ją zabiera. Najwyraźniej kierują się do

Painter przerwał, wziął głęboki wdech, po czym pisał dalej:

granicy z Jemenem. Właśnie tam ruszamy, żeby zapobiec przekroczeniu granicy.

Painter patrzył na list. Mdlilo go na myśl o tym, co może się stać.

Omaha machnął ręką od sąsiedniego komputera.

- Skręcili w ten zjazd!

Painter nacisnął „wyślij”. List znikł, ale poczucie winy nie.

- Chodźmy. - Omaha ruszył do wyjścia. - Zmniejszymy dystans.

Painter poszedł za nim. Przy drzwiach zerknął po raz ostatni na komputer, którego używał. Miał nadzieję, że się mylił.

13 ŚLADY PROROKA

3 GRUDNIA, 17.55 GÓRY DHOFAR

Safia wyglądała przez okno, kiedy samochód jechał serpentynami w góry. Od kiedy zjechali z szosy, pod kołami trzeszczał żwir, potem była droga pełna czerwonego pyłu i kolein. Jechali powoli, świadomi przepaści, jaka otwierała po lewej stronie.

Dolina poniżej kapłała się w bujnej zieleni, znikając w cieniach przy dnie w miarę, jak słońce chyliło się ku zachodowi. Zbocze nakrapiały nieliczne baobaby. Były to monstrualne drzewa o krętych, splątanych pniach, wyglądające jak prehistoryczne zabytki. Między dwoma odległymi wzgórzami lśnił wodospad.

Gdyby zmrużyła oczy, mogłaby sobie wyobrazić, że jest w Anglii.

Zieleń zawdzięczała swą bujność okresowym wiatrom monsunowym khareef, omywającym podnóża gór, i mżawce padającej od czerwca do września. Nawet teraz, kiedy zachodziło słońce, zaczął wiać wiatr, uderzając w samochód z boku. Niebo pociemniało do łupkowej szarości, pokryło się strzępiastymi chmurami, które ocierały się o co wyższe szczyty.

Podczas jazdy radio było nastawione na kanał lokalnych wiadomości. Cassandra słuchała sprawozdania z przeszukiwania miejsca katastrofy „Shahab Omana”. Nadal nie znaleziono żadnych rozbitków, morze zaś znów robiło się niespokojne, bo nadchodził kolejny front burzowy. Prognozy były jednak zdominowane przez doniesienia o gwałtownej burzy piaskowej, sunącej na południe przez Arabię Saudyjską, kierującej się ku Omanowi jak pociąg towarowy, zostawiającej za sobą szlak zniszczenia.

Paskudna pogoda pasowała do nastroju Safii: mroczna, groźna, nieprzewidywalna. Czowała, jak narasta w niej siła. Była napięta i drżąca. Przypominało to wcześniejsze ataki paniki, teraz jednak nie czuła strachu, tylko determinację. Nie miała nic, więc nic nie mogła stracić. Przypomniła sobie lata w Londynie. Było tak samo. Szukała spokoju, znikając, odcinając się, izolując. Udało się dopiero teraz. Była pusta, miała tylko jeden cel: powstrzymać Cassandrę. I to wystarczy.

Cassandra siedziała zatopiona w myślach, tylko od czasu do czasu pochylała się do przodu, żeby zamienić kilka słów z Johnem Kane'em. Kilka minut temu zadzwoniła jej komórka. Odpowiadała sucho, odwróciła się, mówiła szeptem. Safia dosłyszała nazwisko Paintera. Starła się podsłuchiwać, ale Cassandra mówiła za cicho, a w dodatku zagłuszało ją radio. Rozłączyła się, wykonała dwa telefony i pogrążyła się w milczeniu. Emanował z niej gniew.

Safia skupiła się na krajobrazie, szukając miejsc, w których mogłaby się ukryć, rysowała w myślach mapę, tak na wszelki wypadek.

Po upływie kolejnych dziesięciu minut niespiesznej jazdy pojawiło się większe wzgórze, którego szczyt nadal kapał się w świetle. W słońcu połyskiwał złoty dzwon niewielkiej wieży. Safia wyprostowała się. Grób Hioba.

- To tutaj? - spytała Cassandra, mrużąc oczy. Safia potwierdziła skinieniem głowy, czując, że nie jest to dobry moment na prowokowanie porywaczki.

Pojazd zjechał z ostatniej serpentyny, okrążył podstawę wzgórza i rozpoczął mozolną wspinaczkę na szczyt. Gdy zbliżyli się do wierzchołka, minęli stadko wielbłądów odpoczywających przy drodze. Kilku mężczyzn siedziało w cieniu baobabu - członkowie górskiego plemienia. Oczy wielbłądów i ludzi śledziły auta.

Gdy pokonali ostatnią serpentynę, pojawił się otoczony murem kompleks grobowca. Składały się na niego niewielki beżowy budynek, malutki pobielany meczet i ładny ogrodowy dziedziniec. Jako parking służył pas pylistego pobocza przed grobem, teraz pusty ze względu na późną porę.

Jak poprzednio Kane zahamował i obszedł samochód, żeby otworzyć Safii drzwi. Wysiadła i przeciągnęła się, usuwając skurcz w karku. Cassandra wysiadła dopiero, kiedy pozostałe dwa pojazdy zahamowały. Wszyscy byli ubrani po cywilnemu: spodnie khaki lub lewisy, koszule z krótkimi rękawami. Wszyscy jednak nosili kurtki z logo Sunseeker Tours, o rozmiar za duże, by ukryć broń w kaburach. Sprawnie ustawili się w luźny kordon blisko drogi, udając zainteresowanie ogrodem lub murem. Dwóch miało lornetki i obserwowali przez nie okolicę.

Poza drogą, którą przybyli, inne podejścia były strome, niemal pionowe. Trudno będzie uciec.

John Kane obszedł swoich ludzi, kiwając głową podczas wydawania ostatnich poleceń, po czym zapytał Safię:

- Dokąd najpierw?

Safia wskazała meczet i kryptę. Od jednego grobu do drugiego. Poprowadziła ich przez wejście w murze.

- To miejsce wygląda na opustoszałe - zauważył Kane.

- Gdzieś musi być dozorca - odrzekła Safia i wskazała stalowy łańcuch leżący luźno za wejściem.

Cassandra zwróciła się do dwóch ludzi:

- Przeszukać teren.

Cassandra ruszyła, a Safia za nią z Kane'em u boku. Weszli na mały dziedziniec między kryptą i meczetem. Obok grobowca, z tyłu, stały małe ruiny. Starożytny dom modlitwy, zapewne dawny dom Hioba.

Drzwi do grobowca były otwarte podobnie jak brama.

Safia popatrzyła na Cassandrę.

- To może trochę potrwać, nie mam pojęcia, skąd zacząć.

- Jeśli ma to potrwać nawet całą noc, niech trwa.

- Zostajemy tutaj? - Safia nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Tyle, ile będzie trzeba - odrzekła Cassandra twardo. Safia omiotła spojrzeniem podwórzec. Modliła się, żeby dozorca był niesumienny, zamknął wszystko i poszedł do domu. Bała się, że usłyszy wystrzał oznaczający jego śmierć. A co, jeśli pojawią się jacyś pielgrzymi? Ilu jeszcze ludzi będzie musiało zginąć?

Była rozdarta. Im prędzej Cassandra dostanie to, czego chce, tym mniejsze szanse, że zginie ktoś niewinny. To jednak oznaczało, że Safia będzie musiała jej pomagać.

Nie mając wyboru, przeszła do krypty. Wiedziała, co powinna znaleźć, ale nie miała pojęcia, gdzie tego szukać.

Stała przez chwilę w wejściu. Ta krypta była mniejsza niż Nabi Imrana, tworzyła idealny kwadrat. Ściany pomalowano na biało, a podłogę na zielono. Dwa czerwone dywaniki

modlitewne leżały po obu stronach podestu, który także był okryty jedwabiem z wydrukowanymi wersetami z Koranu. Pod całunem była zwykła ziemia, pod którą, jak mówiono, pochowano Hioba.

Safia powoli okrążyła mogiłę. Nie było żadnych marmurów, kamieni nagrobnych, jak w przypadku grobu Nabi Imrana, tylko gdzieś tam ustawiono gliniane kadzielnice, pokryte sadzą od częstego używania, a także tacka na datki. Poza tym w pomieszczeniu nie było żadnych ozdób poza tablicą na ścianie wymieniającą proroków: Mojżesza, Abrahama, Hioba, Jezusa i Mahometa. Safia miała nadzieję, że nie będzie trzeba szukać grobów ich wszystkich w całej Arabii, żeby dotrzeć do Ubaru. Stała przy wejściu. Nie czuła się ani trochę mądrzejsza.

- A co z żelaznym sercem? Możemy je tutaj wykorzystać? - spytała Cassandra. Jak poprzednim razem przyniosła srebrną walizkę i postawiła ją przed drzwiami.

Safia pokręciła głową, czując, że tutaj serce na nic się nie przyda. Wyszła z pomieszczenia, prześlizgując się między Cassandra i Kane'em.

Kiedy znalazła się na zewnątrz, uświadomiła sobie, że weszła do grobowca w butach. Włosy także miała niezakryte. Zmarszczyła czoło.

Gdzie jest dozorca albo strażnik?

Rozejrzała się w obawie o bezpieczeństwo tego człowieka, znów mając nadzieję, że poszedł do domu. Zrywał się wiatr. Miejsce zdawało się opuszczone, zawieszona w czasie.

Safia jednak coś wyczuła... coś, czego nie potrafiła nazwać, jakby oczekiwanie na coś. Może to światło powodowało, że wszystkie szczegóły otoczenia - sąsiedni meczet, krawędź muru, nawet twardo ubity żwir ogrodowej alejki - jawiły się wyraźnie jak srebrny negatyw na tle jasnego światła. Czuła, że jeśli poczeka wystarczająco długo, wszystko ukaże się w pełni barw, ostre i czyste.

Nie miała jednak czasu.

- Co teraz? - spytała Cassandra, ciągnąc ją za rękę. Safia odwróciła się. Obok wejścia w ziemi umocowana była mała metalowa kłapa. Schyliła się, wiedząc, co pod nią znajdzie.

- Co pani robi? - zapytała Cassandra.

- To co trzeba. - Safia pozwoliła, by w jej głosie zabrzmiała pogarda. Była zbyt zmęczona, żeby się przejmować, czy prowokuje porywaczkę. Podniosła kłapę.

Pod nią znajdował się płytki otwór głęboki na sześć centymetrów, wykuty w kamieniu. Na dnie widać było dwa skamieniałe odciski - bosa stopa wielkiego człowieka i końskie kopyto.

- Co to jest? - chciał wiedzieć Kane.

- Jeśli pamiętacie historię Hioba, został zarażony chorobą, Bóg kazał mu tupnąć i trysnęło uzdrawiające źródło. - Wskazała odciski. - Prawdopodobnie to odcisk stopy Hioba w miejscu, gdzie tupnął. Wskazała dziurę w ziemi. - A stąd prawdopodobnie trysnęło źródło, zasilane z zasobów u stóp wzgórza.

- Woda szła do góry? - zdziwił się Kane.

- Inaczej nie byłoby cudu.

Cassandra spoglądała w dół.

- A co ma do cudu odcisk kopyta?

Safia zmarszczyła czoło.

- Z tym nie wiąże się żadna opowieść - wymamrotała. Coś jednak świtało jej w głowie.

Skamieniałe odciski człowieka i konia...

Dlaczego to brzmi znajomo?

W całym regionie krążyły opowieści o ludziach lub zwierzętach zamienionych w kamień. Niektóre kojarzono z Ubarem. Przewijała w myślach to, co pamiętała. W Baśniach z tysiąca i jednej nocy były dwie takie historie: O skamieniałym mieście i Mosiężne miasto,

związane z odkryciem zagubionych na pustyni miast, miejsc tak pełnych zła, że zostały przeklęte wraz z mieszkańcami za ich grzechy. Ludzie skamieniali lub zamienili się w mosiądz, zależnie od opowieści. To bezpośrednie odniesienie do Ubaru. Jednak w tej drugiej opowieści łowcy skarbów nie natykają się na miasto przypadkiem, mają tropy, znaki.

Safia przywołała w pamięci najważniejszy drogowskaz z tej historii: posąg z mosiądzu. Przedstawiał jeźdźca na koniu trzymającego w górze włócznię z nabitą głową. Na głowie wyryto inskrypcję. Znała na pamięć każdą linijkę, od kiedy prowadziła dla Kary intensywne studia nad arabskimi tajemnicami:

O, ty, który do mnie przychodzisz, jeśli nie znasz drogi wiodącej do Miasta z Mosiądzu, potrzyj dłoń jeźdźca, a ów się odwróci, a potem zatrzyma, a w którą by stronę się obrócił, tam podążaj, albowiem doprowadzi cię do Miasta z Mosiądzu.

Do Ubaru.

Safia zastanowiła się nad tą frazą. Metalowa rzeźba, która obraca się po dotknięciu i wskazuje drogę do następnego znaku. Przypomniała sobie żelazne serce ustawiające się na wzór kompasu i pokazujące drogę. Nieprzypadkowe podobieństwo.

A teraz to.

Patrzyła na dziurę.

Człowiek i koń. Skamieniali.

Zauważyła, że i stopa, i kopyto zwrócone są w tę samą stronę, jakby człowiek prowadził swego wierzchowca. Czy taki jest kierunek? Zmarszczyła czoło, czując, że odpowiedź jest zbyt prosta, zbyt oczywista...

Opuściła klapę i wstała.

Cassandra stanęła przy niej.

- Wpadłaś na coś?

Safia pokręciła głową. Zagubiła się. Przeszła kilka kroków w stronę wskazywaną przez odciski, w którą dawno zmarły prorok kierował się, prowadząc wierzchowca. Przystanęła przy wejściu do niewielkiego stanowiska archeologicznego, ulokowanego obok głównej krypty, oddzielonego od niej wąską alejką. Ruiny te tworzyły bezkształtną strukturę czterech walących się ścian, bez dachu, obramowujących niewielką powierzchnię o boku trzech metrów. Zdawało się, że kiedyś była to część większego domu, którego dawno już nie ma. Safia weszła między mury.

Cassandra podążyła za nią, a John Kane pilnował wejścia.

- Co to za miejsce? - spytała Cassandra.

- Pomieszczenie do modlitwy. - Safia popatrzyła na niebo ciemniejące w miarę jak zachodziło słońce, po czym przeszła nad kłęcznikiem.

Podeszła do miejsca, gdzie w dwóch ścianach były niewielkie nisze, by ułatwić modlącym się znalezienie kierunku, w jakim należy się zwrócić podczas modlitwy. Wiedziała, że nowsza wskazuje Mekkę. Podeszła do starszej.

- Tutaj modlił się prorok Hiob - szepnęła bardziej do siebie niż do Cassandry. - Zawsze w stronę Jerozolimy.

Na północny zachód.

Weszła do niszy i spojrzała za siebie, wzdłuż drogi, którą przyszła. W mroku dostrzegła pokrywę. Ślady prowadziły tutaj.

Starannie zbadała niszę. Mur był z solidnego piaskowca, wydobytego gdzieś w okolicy. Niszę tworzyła sterta pokruszonych ze starości bloków. Dotknęła wewnętrznej ściany.

Piaskowiec... jak rzeźba z żelaznym sercem.

Cassandra stanęła obok.

- Czego mi nie mówisz?

Safia poczuła pod żebrami lufę pistoletu. Nawet nie zauważyła, kiedy Cassandra go wyciągnęła.

Trzymając dłoń na ścianie, Safia obróciła się do Cassandry. To nie pistolet spowodował, że się odezwała, ale ciekawość.

- Potrzebuję wykrywacza metalu.

18.40

Zapadał zmrok, kiedy Painter skręcił w zjazd z autostrady w żwirową drogę. Zielony znak oznajmiał: JEBAL EITTEEN 9 KM. Ciężarówka podskoczyła, zjeżdżając z asfaltu na żwir, ale Painter nie zwolnił, wzbijając fontannę kamyków. Stukały o błotniki, co brzmiało trochę jak serie z automatu. To jeszcze zwiększało jego niepokój.

Omaha siedział na miejscu pasażera, do połowy odsunął okno.

Danny siedział za bratem na tylnym siedzeniu.

- Pamiętaj, że ten rzęch nie ma napędu na cztery koła - przypomniał, szcękając zębami.

- Nie mogę ryzykować, że zwolnię! - odrzyknął Painter. - Kiedy się zbliżymy, będę ostrożniejszy. Bez świateł. Teraz jednak trzeba się spieszyć.

Omaha chrząknięciem wyraził aprobatę.

Kiedy zaczęli wjeżdżać pod górę, Painter nacisnął gaz. Zarzuciło pojazdem, ale nie puścił kierownicy. Ta ciężarówka nie była przeznaczona do jazdy w terenie, ale nie mieli wyboru.

Po powrocie z kafejki internetowej Painter znalazł kapitana al-Haffiego czekającego obok volkswagena eurovana z 1988. Coral oglądała inne nabytki: trzy kałasznikowy i dwa pistolety dziewięciomilimetrowe marki Heckler & Koch. Wszystko wymienione za sultańskiego ogiera. O ile broń była dobra, z mnóstwem zapasowej amunicji, o tyle furgonetka nie była faworytką Paintera. Kapitan nie wiedział, że będą wyjeżdżali z miasta. Jednak czas uciekał i nie mogli szukać innego środka transportu.

Niemniej furgonetka mogła ich wszystkich dowieźć na miejsce. Danny, Coral i dwóch Duchów Pustyni siedzieli słoczeni na tylnym siedzeniu, a Kara, Clay i kapitan w dodatkowym trzecim rzędzie. Painter próbował im wyperswadować wspólną jazdę, ale wszyscy chcieli jechać i, na nieszczęście, za dużo wiedzieli. Salalah już nie było dla nich bezpieczne. Cassandra w każdej chwili mogła wysłać zabójców, żeby ich uciszyli. Nie wiadomo, kto jest jej wtyczką, a Painter nie miał pojęcia, komu może zaufać. Tak więc trzymali się razem.

Wziął ciasny zakręt. Światła oślepiły wielbłąda stojącego na drodze. Gapił się, kiedy Painter wciskał hamulce. Zarzuciło ich i stanęli.

Wielbłąd spojrział na samochód, oczy błyszczały mu czerwono, i powoli przeszedł na drugą stronę. Painter musiał zjechać na pobocze, żeby go ominąć.

Minąwszy zwierzę, przyspieszył tylko po to, żeby po przejechaniu półtora metra znów hamować. Kolejne wielbłądy, z tuzin, wyszły na drogę, kołysząc się z gracją.

- Zatrąb - poradził Omaha.

- I ostrzeż Cassandrę, że ktoś jedzie? - zadrwił Painter. - Ktoś będzie musiał wyjść i je rozgonić.

- Znam wielbłądy - powiedział Barak i wyskoczył z samochodu.

Gdy tylko jego stopy dotknęły żwiru, zza murków i krzewów wyłoniła się grupka mężczyzn z karabinami wycelowanymi w samochód. Painter dostrzegł ruch we wstecznym lusterku. Z tyłu było jeszcze trzech. Mieli na sobie zakurzone koszule do kostek a na głowach ciemne zawoje.

- Bandyce - sapnął Omaha i sięgnął po pistolet.

Barak stał obok otwartych drzwi furgonetki. Podniósł do góry rękę.

- To nie bandyci - wyszeptał. - To są Bait Kathir.

Beduini potrafili z dużej odległości rozpoznać członków poszczególnych plemion: po sposobie wiązania zawojów, kolorach szat, siodłach, sposobie trzymania broni. Nie mając tej umiejętności, Painter jednak czytał o lokalnych plemionach południa Arabii: Mahra, Rashid, Awamir, Dam, Saar. Znał również Bait Kathir, plemię z gór i pustyni, żyjące w izolacji. Ci ludzie mogli poczuć się obrażeni z najbliższego powodu. Sprowokowani bywali niebezpieczni, a wielbłądów pilnowali lepiej niż swoich żon.

Do przodu wystąpił mężczyzna wysuszony przez piasek i słońce.

- Salam alaikum - powiedział. Pokój z wami. Dziwnie brzmiały te słowa w ustach człowieka trzymającego karabin.

- Alaikum as salam - odpowiedział Barak. I z wami pokój. - Jakie wieści?

Beduin opuścił nieco lufę. „Jakie wieści?” to tradycyjne pytanie zadawane podczas spotkania plemion na pustyni. Nie wolno zostawić go bez odpowiedzi. Między Barakiem i Beduinem popłynęło mnóstwo słów: informacje o pogodzie, o piaskowej burzy, która zagraża pustyni, o przewidywanej megaburzy, o wielu Beduinach uciekających z ar-rimal, piasków, o trudnościach w podróżowaniu, o zaginionych wielbłądach...

Barak przedstawił kapitana. Wszystkie ludy pustyni znały Duchy. Wśród pozostałych członków plemienia rozszedł się pomruk. Strzelby wreszcie opuszczono.

Painter wysiadł z furgonetki i stanął z boku. Czekał, aż rytuał prezentacji i dzielenia wieściami dobiegnie końca. Wydawało się, o ile dobrze zrozumiał rozmowę, że prababka Sharifa pracowała przy filmie Lawrence z Arabii wspólnie z dziadkiem przywódcy grupki. Painter przysunął się do kapitana.

- Zapytaj ich, czy widzieli pojazdy - poprosił.

Kapitan powiedział coś z powagą. Odpowiedziały mu twierdzące skinienia. Przywódca, szejek Emir ibn Ravi, powiedział, że czterdzieści minut temu przejechały trzy wozy.

- Wracali? - spytał Painter po arabsku. Może to kolor jego skóry sprawił, że Beduini nie potraktowali go jak obcego.

- Nie - odrzekł szejek, machając ręką w stronę wierzchołka pobliskiej góry. - Są przy grobie Nabi Ayoub.

Painter popatrzył w górę ciemnej drogi. A więc wciąż tam są. Omaha stał przy drzwiach od strony pasażera i słyszał całą rozmowę.

- Wystarczy - ponaglił. - Ruszajmy.

Bait Kathir zaczęli zaganiać wielbłądy i usuwać je z drogi. Zwierzęta charczały gniewnie.

- Czekajcie - powiedział Painter i zwrócił się do kapitana: - Ile pieniędzy zostało po sprzedaży ogiera?

Ten wzruszył ramionami.

- Garść riali.

- Wystarczy, żeby kupić lub wypożyczyć kilka wielbłądów?

Kapitan zmrużył oczy.

- Chcesz wielbłądy? Po co? Przykrywka?

- Żeby podejść do grobowca. W małej grupce.

Kapitan pokiwał głową i zwrócił się do Emira. Mówili szybko. Konferencja przywódców. Omaha podszedł do Paintera.

- Furgonetką szybciej.

- Na tych drogach niewiele szybciej. Na wielbłądach będziemy mogli podjechać blisko grobowca bez alarmowania grupy Cassandry. Jestem pewny, że widziała po drodze tych ludzi. Ich obecność nie jest podejrzana. Są po prostu częścią krajobrazu.

- A co zrobimy po wejściu na górę?
 Painter miał plan. Podał jego ogólny zarys. Kiedy skończył, kapitan doszedł do porozumienia z szejkiem.

- Pożyczmy nam wielbłądy.
- Ile?
- Wszystkie. - Kapitan widział, że Painter jest zaskoczony. - Dla Beduinów odmowa prośbie gościa jest nie do pomyślenia. Ale jest jeden warunek.
- Jaki?
- Powiedziałem im, że chcemy uwolnić porwaną kobietę z rąk grupy przy grobowcu. Zaproponowali, że pomogą. To będzie dla nich zaszczyt.
- Ponadto lubią sobie postrzelać - dodał Barak.

Painter nie chciał narażać tych ludzi na niebezpieczeństwo. Omaha nie podzielał jego opinii.

- Mają broń. Jeśli twój plan ma wypalić, to im więcej będziemy mieli broni, tym lepiej.

Z tym Painter musiał się zgodzić.

Po otrzymaniu zgody Paintera szejek uśmiechnął się szeroko i pogonił swoich ludzi. Osiedlano wielbłądy, kazano im przykłęknąć, żeby łatwiej było wsiąść, amunicję rozdawano jak słodycze na przyjęciu.

Painter zebrał swą grupkę w świetle reflektorów furgonetki.

- Karo, chcę żeby pani została przy wozie.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować. Po jej twarzy spływał pot, mimo wiatru i chłodu zapadającej nocy. Painter nie dał jej dojść do słowa.

- Ktoś musi ukryć furgonetkę, potem przyprowadzić ją na mój znak. Zostaną z panią Clay i Danny, z karabinem i pistoletem. Jeśli nam się nie uda i Cassandra ucieknie z Safią, będziecie jedynymi, którzy będą mogli ją odszukać.

Kara zmarszczyła czoło, ale skinęła głową.

- Lepiej, żeby wam się udało - powiedziała żarliwie, choć nawet to ją zmęczyło.

Z boku Danny klócił się z bratem, także chcąc iść. Omaha był nieugięty.

- Nie masz swoich cholernych okularów - tłumaczył. - Skończy się tak, że odstrzelisz mi tyłek. - Położył rękę na jego ramieniu. - Liczę na ciebie tutaj. Jesteś ostatnią linią obrony. Nie mogę ryzykować, że znów ją stracę.

Danny skinął głową i wycofał się.

Clay nie miał nic przeciwko temu, żeby zostać. Stał z boku i palił papierosa. Patrzył w pustkę niewidzącymi oczami. Był na granicy wytrzymałości.

Skoro wszystko zostało postanowione, Painter podszedł do wielbłądów.

- Wsiadać! - krzyknął.
- Jechałeś kiedyś na wielbłądzie? - zainteresował się Omaha.
- Nie.

Po raz pierwszy od wczoraj Omaha rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

- Będzie niezła zabawa.

19.05

Skąpana w świetle dwóch reflektorów Cassandra obserwowała, jak jeden z ludzi Kane'a bada wykrywaczem metalu tylną ścianę niszy. Nagle rozległo się buczenie.

- Wiedziałaś, że tam coś będzie. Skąd? - zwróciła się do Safii. Safia wzruszyła ramionami.

- Żelazne serce umieszczono w grobie Imrana, ukryte w posągu z piaskowca. Wskazywało tutaj. Na góry. To z kolei sugerowało, że następny znak będzie usytuowany podobnie. Kolejny kawałek żelaza, jak serce. Jediną zagadką było gdzie.

Cassandra patrzyła na ścianę. Mimo niechęci, jaką do niej czuła, Safia dowodziła swej wartości.

- Co teraz?

Safia pokręciła głową.

- Trzeba to wydobyć. Wyjąć z kamienia. Jak serce. - Spojrzała na Cassandrę. - Musimy postępować ostrożnie. Jeden błąd i ukryty przedmiot może zostać uszkodzony. Wyjęcie go potrwa parę dni.

- Może nie. - Cassandra odwróciła się i odeszła, zostawiając Safię pod nadzorem Kane'a. Wyszędłszy z domu modlitwy, przeszła zwirową alejką przez ciemny ogród. Kiedy przechodziła przez wejście, jej wzrok przyciągnął jakiś ruch w cieniu.

Przykłęka na jedno kolano, wyciągając pistolet, kierowana odruchem i ostrożnością. Celowała w wejście. Wiatr szeptał w kępach krzaków. Nastawiła uszu, nasłuchiwała.

Nic. Żadnego ruchu od strony grobowca.

Wstała, nie opuszczając broni. Przesunęła się ku wejściu, zszedłszy ze ścieżki na nagą ziemię, żeby uniknąć zgrzytu żwiru. Doszła do drzwi, sprawdziła jedną stronę pomieszczenia, wślizgnęła się i sprawdziła drugą. Przez tylne okna wpadało odbite światło reflektorów.

Grobowiec był pusty.

Wyszła i schowała pistolet do kabury. Miraż światła i cienia. Może ktoś po prostu przeszedł przed reflektorem.

Rozejrzała się po raz ostatni i wróciła na ścieżkę. Zdecydowanym krokiem ruszyła do samochodów i cicho skarciła się za swoją strachliwość.

Z drugiej strony miała powody do zdenerwowania.

Odsunęła te myśli, gdy dotarła do samochodów. Wiozły nie tylko ludzi Kane'a, ale także zestaw wyposażenia archeologicznego. Wiedząc, że będzie to poszukiwanie skarbów, Gildia zaopatrzyła ją w łopaty, kilofy, podnośniki, szczotki, parawany, młoty... Ponadto dali jej GPR* i przenośny system łączności z układem satelitarnym LANDSAT. Ten ostatni mógł sporządzić szczegółową mapę topograficzną sięgającą dwudziestu metrów w głąb piasku.

Cassandra podeszła do samochodu, z którego wyładowano część sprzętu, żeby dostać się do wykrywacza metalu. Wiedziała, jakiego urządzenia teraz potrzebuje.

Za pomocą łomu otworzyła właściwą skrzynię. Jej wnętrze wyłożono styropianem i słomą, żeby zabezpieczyć urządzenie, projekt Gildii bazujący na pomysle DARPA. Wyglądało jak strzelba, ale koniec lufy miało zaokrąglony. Ceramiczna kolba była na tyle pojemna, żeby pomieścić zestaw ogniów wystarczających do zasilania urządzenia.

Przekopawszy skrzynię, znalazła zestaw zasilający i umieściła go na miejscu. Urządzenie było ciężkie. Oparła je na ramieniu i poszła z powrotem do sali modlitw.

Rozproszeni po całym terenie ludzie Kane'a zachowywali czujność. Nie było mowy o dekoncentracji i żartach. Dobrze ich wyszkolił.

* GPR - Ground Penetrating Radar.

Kiedy Cassandra weszła i Kane zobaczył, co przyniosła, błysnęły mu oczy.

Safia odwróciła się od ściany, przy której kuciała. Narysowała kredą prostokąt, u góry szeroki na trzydzieści centymetrów i na półtora metra wysoki.

- Odczyty dostajemy z całej tej powierzchni - powiedziała, wstając. Zmarszczyła czoło na widok urządzenia trzymanego przez Cassandrę.

- To laser wykorzystywany do przebijania się przez skały - wyjaśniła Cassandra.

- Ale...

- Cofnij się. - Cassandra podniosła urządzenie do ramienia i wycelowała zaokrągloną końcówkę w ścianę.

Safia odstała o krok.

Cassandra nacisnęła guzik w miejscu, gdzie zwykle jest bezpiecznik. Trysnęły cieniutkie snopy karmazynowego światła. Każdy z nich był promieniem laserowym skoncentrowanym przez poukładane na przemian kryształy aleksandrytu i erbu. Cassandra skupiła promienie na zaznaczonej kredą części ściany. Małutkie kropki lasera tworzyły doskonały okrąg.

Nacisnęła spust. Urządzenie zawibrowało, kiedy układ maleńkich laserów zaczął wirować coraz szybciej i szybciej. Dźwięk poza progiem słyszalności sprawiał, że rozboleła ją uszy. Skupiła się i patrzyła wzdłuż lufy.

Tam, gdzie trafiał promień, kamień rozpadał się na pył i krzemionkę. Od dziesięcioleci dentyści używali ultradźwięków do usuwania osadu z zębów. Tutaj zasada była ta sama, tyle że zintensyfikowana przez użycie laserów. Piaskowiec rozpadał się.

Cassandra powoli przesuwiała promień tam i z powrotem po ścianie, usuwając piaskowiec warstwa po warstwie. Laser ULS* działał tylko na materiale zagregowanym, takim jak piaskowiec. Twardsze skały, takie jak granit, nie poddawały mu się. Nawet dla ludzkiego ciała nie stanowił zagrożenia. Najgorsze, co mógł zrobić, to spowodować przykre oparzenie.

Salę modlitw wypełniły piasek i pył, ale dzięki wiatrowi, który wiał na przestrzał, było względnie czysto. Po trzech minutach Cassandra wciągnęła się w ścianę na centymetr.

- Stop! - krzyknęła Safia.

Cassandra zwołała spust i podniosła lufę do góry. Safia odpędziła piasek sprzed twarzy i podeszła do ściany. Cassandra i Kane dołączyli do niej. Kane zaśwyczał latarką w wyciętą szparę. W głębi błysnął czerwono metal.

- Żelazo - powiedziała Safia, a w jej głosie brzmiał podziw zmieszany z dumą i niedowierzaniem. - Jak serce.

Cassandra cofnęła się i opuściła laser.

- No to sprawdźmy, jaka nagroda czeka na nas w tym pieprzonym pudełku.

Nacisnęła spust, tym razem skupiając się wokół żelaznego przedmiotu.

Wirujący laser znowu zamieniał piaskowiec w pył, zdzierając kolejne warstwy. Z kamienia zaczęły wyłaniać się szczegóły: nos, ciężkie czoło, oko, kącik ust, oświetlone karmazynowa poświata.

- To twarz - stwierdziła Safia.

Cassandra usuwała kamień, jakby to było błoto. Wydawało się, że twarz chce się wydostać spod kamienia.

- Mój Boże... - mruknął Kane, ustawiając latarkę tak, żeby lepiej widzieć całość. Podobieństwo było zbyt duże, żeby było dziełem przypadku.

Kane popatrzył na Safię.

- To ty!

* ULS - Universal Laser System.

19.43

Painter siedział na wielbłądzie i patrzył ponad ciemną alejką oddzielającą grupę od góry Eitteen. Na jej szczycie grobowiec jaśniał na tle bezkłęskowego nieba. Ową jasność wzmocniały jeszcze gogle noktowizyjne, zmieniając grób w reflektor latarni morskiej.

Crowe badał teren. Dogodny do obrony. Dojście było tylko jedno: droga wijąca się po południowym zboczu. Powiększył obraz. Naliczył czternastu przeciwników, ale ani śladu Safii. Musi być w obrębie kompleksu grobowca.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Na pewno żyje. Inna możliwość była nie do pomyślenia

Ściągnął gogle i spróbował zająć wygodniejszą pozycję na grzbiecie wielbłąda. Nie udało mu się to.

Kapitan al-Haffi siedział na wielbłądzie po jego prawej stronie, Omaha po lewej. Obaj wyglądali na zrelaksowanych, jakby siedzieli w fotelach. Siodła, podwójne drewniane ramy na palmowej macie, były umieszczone przed garbem. Według Paintera stanowiły narzędzie tortur wymyślone przez sadystycznego Araba. Po zaledwie półgodzinie czuł się, jakby przecięto go na pół. Skrzywiony pokazał w dół zbocza.

- Zjedziemy w dolinę. Potem będę potrzebował dziesięciu minut, żeby zająć pozycję. Po tym czasie wszyscy powoli wjadą drogą do grobowca. Róbcie dużo hałasu. Kiedy dojdziecie do ostatniej serpentyny, zatrzymajcie się i rozbijcie obóz, jakbyście chcieli spędzić tam noc. Rozpalcie ognisko. To oślepi ich noktowizory. Wielbłądy niech się pasą. Ruch powinien ułatwić wam zajęcie stanowisk strzeleckich. Potem czekajcie na mój sygnał.

Kapitan al-Haffi skinął głową i przekazał instrukcje, przesuwał się wzdłuż linii grupy.

Coral zajęła miejsce kapitana u boku Paintera. Pochyliła się do przodu w siodle, twarz miała ściągniętą. Wyglądało na to, że na wielbłądzie nie czuje się ani trochę lepiej niż Painter.

Skrzyżowała ręce na kuli siodła.

- Może to ja powinnam dowodzić tą operacją? W infiltracji mam więcej doświadczenia od ciebie. - Ściszyła głos. - I jestem mniej osobiście zaangażowana.

- Moje uczucia wobec Safii nie wpłyną na moją ocenę - odrzekł zimno Painter.

- Miałam na myśli Cassandrę, twoją byłą partnerkę. - Uniosła brew. - Chcesz coś udowodnić? Czy właśnie to cię napędza?

Painter popatrzył na jaśniejący wierzchołek wzgórza. Kiedy lustrował kompleks, zapamiętując teren i ludzi, jakaś jego część szukała śladu Cassandry. To ona zaaranżowała wszystko w British Museum. Musi jeszcze raz zobaczyć jej twarz. Jak zareaguje? Zdradzała, mordowała, porywała. A wszystko to w imię czego? Co spowodowało, że zwróciła się przeciwko Sigmie... przeciwko niemu? Forsa? A może coś więcej?

Nie znał odpowiedzi.

Patrzył na światła. Czy to część jego motywacji? Zobaczyć ją osobiście? Spojrzeć jej w oczy?

Z zamyślenia wyrwała go Coral.

- Nie dawaj jej szansy. Żadnej litości, żadnego wahania. Rozegraj to na zimno, bo inaczej przegrasz.

Milczał, a wielbłądy kontynuowały powoli marsz w dolinę. Im niżej, tym roślinność była bujniejsza. Wielkie baobaby tworzyły baldachim, a okazałe tamaryszki, ciężkie od żółtych kwiatów, górowały na nimi niczym strażnicy. Liany wplątywały się w krzaki jaśminu.

Stanęli i zsiadli z wielbłądów.

Jeden z Bait Kathir zbliżył się do wielbłąda Paintera i pomógł mu zsiąść.

- Farha, krr, krr... - powiedział, stanąwszy przed zwierzęciem. Farha było imieniem, oznaczało „radość”. Dla Paintera nic nie mogło być dalsze od prawdy. Jedyłą radością, jaką mógł sobie wyobrazić, było zejście z garbu tego zwierzęcia.

Wielbłąd opadł na kolana, zakołysał się i spoczął na tylnych nogach. Painter trzymał się mocno. Wreszcie wielbłądzica zgłębiła przednie nogi i usiadła.

Painter w końcu mógł stanąć na ziemi. Nogi miał jak z gumy, w udach czuł skurcze. Chwiejnie przeszedł kilka kroków, a Beduin uspokajał zwierzę, całując je w nos, zyskując

cichy gulgot podzięki. Mówiono, że Bait Kathir kochają swoje wielbłądy bardziej niż żony. Ten gość na pewno.

Kręcąc głową, Painter podszedł do pozostałych. Kapitan al-Haffi siedział na piętach obok szejka Emira, rysując coś w pyłe. Oświetlał latarką rysunek przedstawiający najlepszy sposób rozstawienia ludzi. Sharif i Barak obserwowali, jak Coral i Omaha przygotowują kałasznikowy. Każde z nich jako broń zapasową miało pistolet Desert Eagle.

Painter wykorzystał tę chwilę, żeby skontrolować własną broń, dwa h&k. W ciemności wysunął i sprawdził magazynki z dziewięciomilimetrowymi pociskami, po siedem w każdym. Miał jeszcze dwa dodatkowe, załadowane i gotowe w kaburach przy pasie.

Omaha i Coral podeszli, kiedy mocował na brzuchu małą torbę. Nie sprawdził jej zawartości, bo zrobił to już w Salalah.

- Od kiedy liczymy te dziesięć minut? - zapytał Omaha, patrząc na zegarek i naciskając guzik, żeby oświetlić tarczę.

Painter zsynchronizował swój zegarek z breitlingiem Coral.

- Już.

Coral spojrzała mu w oczy.

- Komandorze, na zimno.

- Lodowato - wyszeptał.

Kiedy Painter skierował się na drogę do grobowca na wierzchołku, Omaha zastąpił mu drogę.

- Nie wracaj bez niej. - Była to bardziej prośba niż groźba.

Painter skinął głową i odszedł. Dziesięć minut.

20.05

Za pomocą dłutka i szczotki, w świetle dwóch reflektorów, Safia uwalniała rzeźbę z kamiennych objęć. Powiewy wiatru podrywały piasek i pył, złapane w pułapkę ścian pozbawionej dachu sali modlitw. Safia czuła się tu wmurowana, jak żywy posąg w piaskowcu.

Z nadejściem nocy temperatura szybko spadła. Na południu migały błyskawice, zbliżały się, a towarzyszyły im od czasu do czasu basowe grzmoty, wyraźna obietnica deszczu.

Safia, w rękawiczkach, zmiatała szczoteczką pył ze znaleziska. Popiersie kobiety połyskiwało w ostrym świetle, otwarte oczy patrzyły na Safię. Bała się tego spojrzenia, więc skupiała się na pracy.

Z tyłu Cassandra rozmawiała szeptem z Kane'em. Chciała laserem dokończyć wyjmowanie popiersia, ale Safia sprzeciwiła się temu w obawie, że zostanie zniszczone. Bała się, że laser może naruszyć metal i wymazać szczegóły.

Usunęła resztę kamienia. Starła się nie patrzeć na twarz, ale uświadomiła sobie, że zerka kącikiem oka. Twarz istotnie wyglądała jak młodsza wersja jej oblicza. Może w wieku osiemnastu lat. To jednak było niemożliwe. To tylko zbieg okoliczności. Rzeźba przedstawiała kobietę z południa Arabii, a Safia, jako urodzona w tym regionie miała podobne rysy, nawet mimo dziedzictwa mieszanej krwi.

Niemniej niepokoiło ją to. Czuła się, jakby patrzyła na własną maskę pośmiertną.

Tym bardziej że popiersie tkwiło na żelaznej włóczni półtorametrowej długości.

Safia odchyliła się. Przedmiot zajmował środek kredowego prostokąta nakreślonego na ścianie niszy. Czerwona żelazna włócznia stała prosto, a popiersie tkwiło na jej wierzchołku. Choć ten widok ją niepokoił, nie dziwiła się zbytnio. Miał pewien historyczny sens.

- Jeśli to potrwa jeszcze chwilę, to znów wyciągnę ten cholerny laser - warknęła Cassandra.

Safia sprawdziła, jak mocno skała trzyma rzeźbę. Poruszyła się pod jej dotykiem.

- Jeszcze minutę. - Zabrała się do pracy.

Kane poruszył się, a jego cień zatańczył na ścianie.

- Musimy to wyjmować? Może już patrzy we właściwą stronę?

- Patrzy na południowy wschód - odpowiedziała Safia. - Na wybrzeże. To bez sensu.

Trzeba rozwiązać następną zagadkę.

Na te słowa rzeźba wypadła ze ściany. Safia złapała ją w ostatniej chwili.

- W samą porę - mruknęła Cassandra.

Safia trzymała trzon włóczni w obu rękach. Był bardzo ciężki. Mając żelazną głowę przy uchu, usłyszała cichy plusk dobiegający z jej wnętrza. Jak w sercu. Płynny ciężar.

Kane wziął rzeźbę z jej rąk, podnosząc ją, jakby to była kolba kukurydzy na łodydze.

- To co z tym robimy?

Cassandra wskazała latarkę.

- Z powrotem do grobu, jak w Salalah.

- Nie - sprzeciwiła się Safia. - Nie tym razem.

Prześlizgnęła się obok Cassandry. Zastanawiała się, jak przeciągnąć poszukiwania. Usłyszała dzwonki wielbłądów odbijające się echem w dolinie. Niedaleko było obozowisko Beduinów. Gdyby któryś z nich zawędrował tutaj...

Szybko podeszła do metalowych drzwiczek, ukłękła i otworzyła je. Cassandra poświeciła do środka, ukazując kamienne odciski. Safia przypomniała sobie opowieść, za którą podążyła: baśń o mosiężnym jeźdźcu niosącym włócznię z głową na grocie.

Spojrzała ponad ramieniem Cassandry na Kane'a i rzeźbę. Po niezliczonych wiekach znalazła tę włócznię.

- Co teraz? - zapytała Cassandra.

Tylko jedno mogłoby stanowić wskazówkę: otwór w dziurze. Zarówno według Biblii, jak i Koranu, to przez niego właśnie trysnęła woda z magicznego źródła. Safia modliła się o cud.

Wskazała dziurę.

- Umieść to tutaj.

Kane umieścił włócznię w otworze.

- Z trudem weszła.

Włócznia stała pewnie. Popiersie na czubku patrzyło ponad doliną.

Safia obeszła włócznię. Kiedy ją oglądała, z pociemniałego nieba spadł deszcz, bębniąc w ubity pył i kamienie.

- No, nieźle - mruknął Kane. Wyciągnął baseballówkę i założył na ogoloną głowę.

Po kilku chwilach deszcz się wzmógł. Safia okrążyła włócznię, marszcząc czoło. Cassandra także była przejęta.

- Nic się nie dzieje - stwierdziła.

- Po prostu czegoś brakuje. Dajcie latarkę. - Safia zdjęła brudne rękawiczki i wyciągnęła rękę. Cassandra niechętnie podała jej latarkę.

Safia przesunęła snop światła wzdłuż trzonu włóczni. Zobaczyła znaki umieszczone w regularnych odstępach. Dekoracja czy coś więcej? Kane tak umieścił twarz, że patrzyła w stronę wybrzeża. Żle.

Skierowała spojrzenie na popiersie. Przyjrzawszy się tyłowi głowy, dostrzegła niewielki napis u podstawy czaszki zaciemiony przez linię włosów. Poświeciła na niego. Inskrypcja była brudna od pyłu, ale deszcz go spłukiwał. Pojawiły się cztery znaki.

Cassandra spostrzegła, na co patrzy Safia.

- Co to znaczy?

Safia przetłumaczyła:

- To imię kobiece. Biliqis.
- Czy ta rzeźba właśnie ją przedstawia?

Safia nie odpowiedziała, była zbyt zdumiona. Czy to możliwe? Obeszła rzeźbę i spojrzała z przodu, analizując twarz.

- Jeśli to prawda, to znalezisko to ma fenomenalne znaczenie. Biliqis była kobietą szanowaną przez wszystkie religie. Kobietą zagubioną w mitach i tajemnicach. Mówiono, że była pół człowiekiem, pół duchem pustyni.

- Nigdy o niej nie słyszałam.

Safia odchrząknęła.

- Biliqis jest lepiej znana jako królowa Saby.
- Ta z historii o królu Salomonie?
- Między niezliczonymi innymi historiami.

Deszcz padał, po twarzy rzeźby popłynęły strumyczki, sprawiając wrażenie, jakby płakała.

Safia wyciągnęła rękę i wytarła łzy z policzków królowej.

Pod jej dotknięciem popiersie poruszyło się, umykając spod jej palców. Wykonało pełny obrót, po czym zatrzymało się, spoglądając w przeciwnym kierunku.

Północny wschód.

Safia spojrzała na Cassandrę.

- Mapa - rzuciła Cassandra do Kane'a. - Przynieś mapę.

14

RABUŚ GROBÓW

3 GRUDNIA, 20.07 GÓRA EITTEEN

Painter spojrział na zegarek. Jeszcze tylko minuta.

Leżał na brzuchu pod figowcem schowany za krzakami akacji. Deszcz bębnił o kryjące go liście. Usadowił się na prawo od drogi, starannie wybierając ścieżkę na stromym urwisku, żeby znaleźć tę kryjówkę. Miał doskonały widok na parking przed kompleksem.

Za pomocą gogli noktowizyjnych z łatwością namierzył wartowników. Wszyscy byli w niebieskich wiatrówkach, teraz z naciągniętymi na głowy kapturami. Większość stała przy wjeździe jedynej drogi, ale kilku zataczało powolne kręgi.

Painter oddychał równomiernie, przygotowując się do akcji. Do najbliższego pojazdu miał trzydzieści metrów. Ułożył plan, wizualizował, cyzelował szczegóły. Kiedy się zacznie, nie będzie miał czasu na myślenie, tylko na działanie.

Zerknął na zegarek. Już czas.

Powoli podniósł się, starając się być jak najmniej widocznym. Wyteżył słuch. Nic. Ponownie zerknął na zegarek. Minęło dziesięć minut. Gdzie się po...

Wtem usłyszał. Nad doliną unosiła się pieśń śpiewana przez kilka głosów. Spojrział przez ramię. Przez noktowizyjne soczewki świat był zielony, ale poniżej kwitły ostre strzępy blasku. Pochodnie i latarki. Obserwował, jak Bait Kathir rozpoczynają powolną wspinaczkę ku grobowcowi.

Popatrzył na grobowiec.

Strażnicy zauważyli plemię i wolno zmieniali pozycje, skupiając się na drodze. Dwóch z nich weszło w krzaki flankujące drogę i podążyło w dół, do zakrętu.

Skoro wartowników nie było przy samochodach, Painter wychynął z kryjówki i przebiegł trzydzieści metrów dzielące go od najbliższego pojazdu. Podczas biegu wstrzymywał oddech i unikał kałuż. Nie odezwał się żaden alarm.

Dobiegłszy do pierwszego auta, skrył się za nim i otworzył torbę. Wyjął zawinięte w celofan paczuszki C4. Jedną z nich umieścił blisko baku.

Podziękował w myśli Cassandrze za zaopatrzenie go w materiał wybuchowy. Tak powinno być - Painter zwraca to, co do niej należy.

Pochylony nisko przemknął do drugiego pojazdu i umieścił drugą paczuszkę. Trzeci samochód zostawił nietknięty, sprawdził tylko, czy kluczyki tkwią w stacyjce. Podczas operacji polowych taka ostrożność jest rzeczą normalną. Kiedy gównem trafia w wentylator, nie chcesz tracić czasu na szukanie kierowcy z kluczykami.

Usatysfakcjonowany sprawdził, czy wartownicy skoncentrowali się na nadchodzących koczownikach i wielbłędach.

Pognał ku niskiemu murkowi okalającemu kompleks grobowca. Za sobą słyszał krzyki... po arabsku... rubaszne przekomarzanie się. Śpiew zamarł. Dwa wielbłądy skarżyły się przy dźwięku dzwonek uprząży. Beduini byli w połowie drogi.

Musi się pospieszyć.

Przeskoczył półtorametrowy murek. Wybrał kryjówkę za meczetem. Wylądował głośniejszy, niż chciał, ale hałas zagłuszył odległy grzmot.

Znieruchomiał. Dwie ściany meczetu oblewało światło padające z dziedzińca przed budynkiem. Jaśniało oślepiająco w noktowizyjnych goglach. Słyszał gwar głosów, ale szum deszczu uniemożliwił rozróżnienie słów. Nie miał pojęcia, ile jest tam osób.

Skuliwszy się za murkiem, pobiegł wzdłuż ściany meczetu, trzymając się w cieniu. Sprawdził tylne drzwi. Zamknięte. Mógł je sforsować, ale narobiłoby za dużo hałasu. Szedł dalej, szukając okna lub jakiejś innej drogi do środka. Byłby za bardzo widoczny, gdyby spróbował wejść na główny dziedziniec z boku meczetu. Żadnej kryjówki i za dużo światła. Musi znaleźć przejście przez meczet, żeby zmniejszyć dystans. Żeby porwać Safię sprzed nosa Cassandry.

Dotarł do przeciwległej ściany meczetu. Żadnych okien. Kto tak buduje? Stał na skraju ogródka warzywnego. Pochylały się nad nim dwie palmy daktylowe.

Painter popatrzył w górę. Jedna z nich zwieszała się nad płaskim dachem meczetu. Gdyby wdrapał się na nią... przeszedł na dach... Patrzył na kiście daktyli. Nie będzie łatwo, ale musi zaryzykować. Wziąwszy głęboki wdech, podskoczył najwyżej, jak umiał, oplatając ręce i nogi wokół pnia. Zjechał na dół, lądując na plecach w błocie.

Kiedy się podnosił, spostrzegł za żywoplotem dwie rzeczy: aluminiową drabinę... i czyjaś bladą dłoń. Zamarł.

Ręka ani drgnęła.

Poczołgał się przez krzaki. Drabina opierała się o ścianę, obok niej leżał sekator. Jasne, powinien był się domyślić, że jakoś trzeba te daktyle zbierać. Powinien rozejrzeć się za drabiną wcześniej. Zbliżył się do postaci rozciągniętej na ziemi. Był to starszy Arab odziany w dishdasha, koszulę obramowaną złotym haftem. Najprawdopodobniej członek obsługi grobowca, może dozorca. Leżał nieruchomo. Painter przyłożył palce do jego szyi. Ciepła. Wyczuł powolny puls. Nieprzytomny.

Wyprostował się. Czy to Cassandra strzeliła do niego pociskiem usypiającym, jak do Claya? Ale po co było odciągać go aż tutaj? Nie miało to sensu, ale nie było czasu na rozwiązywanie tej zagadki. Sprawdził, czy nadal pozostaje poza zasięgiem wzroku strażników, i oparł drabinę o tylną ścianę meczetu. Sięgnęła tuż pod dach. Wystarczy.

Wspiął się szybko, oglądając się przez ramię. Widział, że ludzie Cassandry ruszyli, by zablokować drogę. Nieco niżej widział pochodnie i latarki Bait Kathir. Zatrzymali się i rozbijali obóz. Słyszał ich podniesione głosy, kiedy przygotowywali się do nocnego odpoczynku.

Wszedł po drabinie, złapał się krawędzi dachu i się podciągnął. Pobiegł ku frontowi budynku, koło minaretu. Kilkadziesiąt centymetrów nad dachem znajdował się balkon

okalający wieżyczkę, z którego muezin wzywał do modlitwy. Złapał się barierki i przeskoczył przez nią.

Teraz miał widok na dziedziniec jak z bocianiego gniazda. Było za jasno na gogle, więc je zdjął.

Naprzeciwko niewielkie ruiny jarzyły się światłem reflektorów.

Obok wejścia do krypty leżała porzucona latarka. Jej promień oświetlał metalowy pręt wetknięty w ziemię. Wydawało się, że na jego czubku jest jakaś rzeźba, rodzaj popiersia.

Z dołu dobiegały głosy... Drzwi grobowca były otwarte. Ze środka sączyło się światło.

Usłyszał znajomy głos:

- Pokaż na mapie.

Cassandra. Ścisnął mu się żołądek. Poczł głuchą determinację. Safia odpowiedziała:

- To nie ma sensu. To może być wszędzie.

Painter skulił się jeszcze bardziej. Dzięki Bogu, ona jeszcze żyje. Co za ulga. Ilu ludzi z nią jest? Kilka minut spędził na liczeniu cieni w oknach. Trudno stwierdzić, ale chyba nie więcej niż czworo. Przepatrzył dziedziniec w poszukiwaniu dodatkowych wartowników. Nic. Wszyscy weszli do budynku, kryjąc się przed deszczem.

Jeśli będzie dość szybki...

Nagle w drzwiach pojawiła się jakaś postać - wysoki, muskularny mężczyzna ubrany na czarno. Painter zamarł w obawie, że zostanie dostrzeżony.

Mężczyzna naciągnął baseballówkę na czoło i ruszył w deszcz. Uklęknął przy pręcie.

Painter patrzył, jak sięgnął do podstawy pręta i wolno przebiegał palcami w górę. Co on, u licha, robi? Gdy skończył, wstał i pospieszył z powrotem do grobowca, strząsając krople z czapki.

- Sześćdziesiąt dziewięć - powiedział, znikając we wnętrzu.

- Na pewno? - Znów Cassandra.

- Tak, jestem cholernie pewny.

Painter nie czekał dłużej. Przez łukowate wejście wszedł do minaretu i obiegł wzrokiem dół meczetu. Nasunął gogle i sprawdził schody.

Nikogo na nich nie było.

Wyjął pistolet i odbezpieczył.

Uważając na wartowników, przesunął się przy murze z pistoletem wycelowanym przed siebie, lustrując wnętrze. Było puste, dywaniki modlitewne leżały ułożone w stosik. Wyszedł z wieżyczki i skierował się ku frontowemu wejściu.

Drzwi były otwarte. Odsunął gogle i podszedł z boku do wejścia. Skulił się. Front był zadaszony. Na wprost trzy schodki prowadziły w dół, na dziedziniec. Po obu stronach krótki murek ze stiuku okalał zwieńczony łukowato ganek.

Painter czekał, sprawdzał bezpośrednio otoczenie.

Dziedziniec pozostawał pusty. Z przeciwka dobiegały głosy.

Gdyby tak sprintem ruszył przez dziedziniec do krypty i ukrył się za drzwiami...

Najważniejsza jest szybkość. Wyprostował się, wciąż trzymając pistolet gotowy do strzału.

Cichy dźwięk spowodował, że zamarł.

Przeszył go dreszcz strachu.

Nie był sam.

Obrócił się, kucając, celując do wnętrza meczetu. Z mroku wyszły dwa cienie, ich oczy jarzyły się w świetle płynącym z dziedzińca. Głodne i groźne.

Lamparty.

Zbliżały się, ciche jak noc.

20.18

- Pokaż mi na mapie - zażądała Cassandra.

Safia uklękła na ziemi. Rozłożyła tę samą mapę co poprzednio. Prosta niebieska linia biegła od wybrzeża do tej góry. Teraz druga linia, czerwona, odbijała w kierunku północno-wschodnim, przecinając góry i wiodąc na pustynię Rub'al-Khali.

Safia pokręciła głową, przesuwając palcem wzdłuż czerwonej linii.

- To nie ma sensu. To może być gdziekolwiek.

Cassandra przez kilka sekund patrzyła na mapę. Szukali miasta zagubionego na pustyni. Musi być gdzieś przy tej linii, ale gdzie? Linia przecinała rozległe pustkowia. Mogło być wszędzie.

- Nadal czegoś nie dostrzegamy - powiedziała Safia, odchylając się do tyłu. Potarła skronie.

Przerwało im bzyczenie radia Kane'a.

- Ilu? - rzucił. Nastąpiła długa pauza. - Okay, miejcie ich na oku. Trzymajcie się z daleka. Informujcie, gdyby coś się zmieniło.

Cassandra spojrzała pytająco. Wzruszył ramionami.

- Te pustynne szczury, widzieliśmy je po drodze. Wróciły. Rozbijają obóz tam, gdzie ich spotkaliśmy.

Cassandra zauważyła przejęcie na twarzy Safii. Ta kobieta boi się o swoich współplemieńców. Dobrze.

- Każ swoim, żeby strzelali do każdego, kto się zbliży. Safia zamarła na te słowa.

Cassandra wskazała mapę.

- Im prędzej rozwiążemy tę zagadkę, tym prędzej stąd odjedziemy. - To powinno zmobilizować Safię.

Ta ponuro patrzyła na mapę.

- Musi być jakiś znacznik odległości wbudowany w rzeźbę. Coś, czego nie zauważyliśmy. Sposób na określenie, jak daleko mamy jechać wzdłuż tej czerwonej linii.

Zamknęła oczy, kołysząc się lekko. Nagle znieruchomiała.

- Co jest? - zapytała Cassandra.

- Włócznie - odpowiedziała Safia, patrząc na drzwi. - Zauważyłam, że na trzonie są nacięcia, znaki. Myślałam, że to tylko dekoracja, ale w antyku odległości często zapisywano nacięciami na kiju.

- Uważasz, że liczba nacięć oznacza odległość?

Safia skinęła głową.

- Muszę je policzyć.

Cassandra jej nie wierzyła. Łatwo byłoby zełgać i zwieść ich na manowce.

Potrzebowała dokładności.

- Kane, idź i policz te nacięcia.

Skrzywił się, ale usłuchał.

Kiedy wyszedł, Cassandra kucnęła nad mapą.

- To musi być już ostateczna lokalizacja. Najpierw wybrzeże, potem ta góra, teraz pustynia.

Safia wzruszyła ramionami.

- Zapewne masz rację. Liczba trzy miała dla starożytnych wielkie znaczenie. Czy to jako trójca w chrześcijaństwie - Ojciec, Syn i Duch Święty, czy to jako antyczna trójca niebieska - księżyc, słońce i gwiazda poranna.

W drzwiach pojawił się Kane, strząsając deszcz z czapki.

- Sześćdziesiąt dziewięć.

- Na pewno?

Spojrzał niechętnie.

- Tak, jestem cholernie pewny.

- Sześćdziesiąt dziewięć - mruknęła Safia. - Tak musi być.

- Dlaczego? - zapytała Cassandra, ponownie skupiając uwagę na kustoszcze.

- Sześć i dziewięć - wyjaśniła Safia, patrząc na mapę. - Wielokrotności trójki.

Właśnie o tym mówiliśmy. Magiczna liczba.

- A ja zawsze myślałem, że sześćdziesiąt dziewięć znaczy coś innego - rzekł Kane.

Najwyraźniej nie słysząc go, Safia kontynuowała pracę, mierząc kątomierzem i licząc na kalkulatorze. Cassandra obserwowała ją uważnie.

- Sześćdziesiąt dziewięć mil wzdłuż czerwonej linii wypada tutaj. - Safia zakreśliła to miejsce. - Kończy się na pustyni.

Cassandra uklękła, wzięła kątomierz i sprawdziła pomiar Safii. Wpatrzyła się w czerwone kółko, zapamiętując długość i szerokość geograficzną.

- A więc to może być lokalizacja zaginionego miasta?

Safia skinęła głową. Nadal patrzyła na mapę.

- Na ile jestem w stanie wyliczyć.

Cassandra zmarszczyła czoło, czując, że Safia coś ukrywa. Niemal widziała, jak Safia oblicza coś w głowie. Złapała ją za przegub.

- Co ty ukrywasz... - syknęła.

W pobliżu rozległ się strzał.

Mógł to być przypadkowy wystrzał. Mógł strzelić na wiwat któryś z Beduinów. Cassandra jednak wiedziała. Obróciła się szybko.

- Painter...

20.32

Pierwszy strzał Paintera poszedł na marne, bo strzelił, gdy wypadał z meczetu na ganek. Róg ściany sypnął deszczem gipsu. Wewnątrz lamparty rozdzieliły się, znikając w cieniach.

Painter rzucił się w bok, kryjąc za ścianką ganku. Głupio. Nie powinien strzelać. Zareagował instynktownie, w obronie własnej. To do niego niepodobne. Ale lamparty obudziły w nim jakiś pierwotny strach.

I stracił element zaskoczenia.

- Painter! - Krzyk dobiegł od strony grobowca. Cassandra.

Ani drgnął. Lamparty wewnątrz, Cassandra na zewnątrz. Dama czy lampart? W tym przypadku obie możliwości oznaczały śmierć.

- Wiem, że przyszedłeś po kobietę! - krzyknęła Cassandra w deszcz, a jej słowa podkreślił grzmot.

Painter milczał. Cassandra nie mogła być pewna, skąd strzelano. W tych górach dźwięk podąża dziwnymi ścieżkami. Wyobraził sobie, jak ona kryje się w grobowcu i woła zza drzwi. Nie odważy się wyjść na otwartą przestrzeń. Wie, że Painter jest uzbrojony, ale nie wie, gdzie jest.

Jak może to wykorzystać?

- Jeśli nie pokażesz się w ciągu dziesięciu sekund, z rękami w górze, zastrzeleż zakładniczkę.

Musi szybko coś wymyślić. Ujawnienie się oznaczałoby jego śmierć. I Safii.

- Wiedziałam, że przyjdiesz, Crowe! Naprawdę myślałeś, że uwierzę w tę jazdę do granicy z Jemenem?

Wzdrygnął się. Zaledwie kilka godzin temu wysłał e-maila z fałszywą informacją do swego szefa na zabezpieczony serwer. Jako balon próbny. Jak się obawiał, wszystko dotarło

do Cassandry. Ogarnęła go rozpacz. To oznaczało tylko jedno - zdradę w Sigmie na najwyższym szczeblu.

Sean McKnight... jego szef...

Czy to dlatego przydzielił mu Cassandrę jako partnerkę?

Wydawało się to niemożliwe.

Painter zamknął oczy i wziął głęboki wdech, czując się rozpaczliwie samotny.

Nie miał z kim się kontaktować, nie miał komu zaufać. Dziwnie, ale ta myśl w końcu pomogła mu się zmobilizować. Poczł się wolny. Musi polegać na sobie i na tym, czym dysponuje.

To będzie musiało wystarczyć.

Sięgnął do torby i namacał przekaźnik.

Deszcz się wzmógł.

- Pięć sekund, Crowe!

Cały czas świata...

Nacisnął guzik przekaźnika i przetoczył się w stronę schodów.

20.34

Znajdujący się dwadzieścia metrów dalej Omaha wzdrygnął się, gdy podwójna eksplozja posłała samochody w powietrze z jasnością błyskawicy. Fala dźwięku sprawiła, że o mało nie pękły mu bębenki w uszach.

Sygnal od Paintera. Safia jest bezpieczna.

Chwilę wcześniej usłyszał pojedynczy wystrzał, który go przeraził. Teraz na parking spadały płomienie i deszcz szczątków. Ludzie leżeli na ziemi. Dwóch się paliło.

Pora ruszać.

- Już! - wrzasnął, ale w jego własnych uszach zabrzmiało to bardzo cicho.

Po obu jego stronach rozległy się strzały z karabinów. Na dodatek kilka błysków z luf pary beduińskich snajperów ukazało się nad wysokim skrzydłem ponad parkingiem.

Wyżej, przy grobowcu, dwóch strażników wstawało z ziemi. Nagle drgnęli i upadli. Ktoś ich zastrzelił.

Inni wartownicy szukali osłony, reagowali z dobrze wytrenowaną sprawnością. Nie byli amatorami. Wycofali się za mur.

Omaha podniósł lornetkę do oczu.

Na szczycie, na parkingu, płonące samochody oświetlały teren.

Trzeci wóz pod wpływem wybuchu przesunął się o kilka metrów. Kałuże płonącej benzyny nakrapiały grunt i maskę, parując w deszczu. Painter ma pewnie użyć tego auta do ucieczki z Safią. Powinien więc już tam być.

Ale gdzie jest? Na co czeka?

Z prawej strony Omahy rozbrzmiał wibrujący krzyk. Dzwoniły dzwonki. Tuzin wielbłądów gnał pod górę. Między nimi biegli koczownicy. Zza linii drzew sypał się ogień osłonowy.

Rozległo się kilka wystrzałów. Jeden z wielbłądów zaryczał, opadając na kolana i ześlizgując się po stoku. Po lewej coś wybuchło. Posypały się gałęzie, liście, ziemia.

Granat.

A potem nowy dźwięk.

Nadleciał z prawej strony.

A niech to szlag...

Pojawiło się pięć małych helikopterów, zwinnych jak komary. Jednoosobowe. Śmigło, silnik i pilot. Wyglądały jak latające sanki. Reflektory przeczesywały grunt, zasypując go ogniem z broni automatycznej.

Wielbłądy i ludzie rozbiegli się na wszystkie strony.

Omaha zacisnął pięść. Ta suka się ich spodziewała. Skąd wiedziała?

Obok niego pojawili się Coral i Barak.

- Painter będzie potrzebował pomocy - syknęła Coral. - Teraz nie dotrze do auta. Za bardzo by się wystawił.

Omaha spojrzął na parking, teraz skąpany we krwi ludzi i wielbłądów. Z lasu strzelano do helikopterów, co spowodowało, że wzniosły się wyżej. Ale i tak kontynuowały zygzakowaty lot nad parkingiem.

Cały plan legł w gruzach.

Ale Safia jest na górze. Teraz Omaha jej nie zostawi.

Coral wyjęła pistolet.

- Wchodzę.

Omaha złapał ją za ramię. Jej mięśnie przypominały stalowe sznury. Trzymał mocno, ucinając wszelkie spory.

- Tym razem wchodzimy wszyscy.

20.35

Kara patrzyła na trzymanego w rękach kałasznikowa. Nie mogła opanować drżenia palców, nie mogła się skoncentrować. Miała też wrażenie, że oczy rozsada jej głowę, żołądek skręcały mdłości.

Marzyła o małej pomarańczowej pigułce.

Clay starał się zapalić silnik. Spróbował znów, bez skutku. Danny siedział z tyłu, trzymając pistolet.

Wybuch rozświetlił góry niczym wschód słońca. Sygnał od Paintera. W łączących się dolinach odbijało się echo, strzały brzmiały jak sztuczne ognie.

- Jasna dupa - zaklął Clay i uderzył ręką w kierownicę.

- Zalałeś go - stwierdził ponuro Danny.

Kara wyglądała przez okno od strony pasażera. Na północy płonęła czerwona luna. Zaczęło się. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, pozostali przyjadą tutaj zdobyczym samochodem. Inni z grupy mieli rozsypać się po górach. Bait Kathir znali wiele ukrytych ścieżek.

Czuła jednak, że coś poszło źle.

Może to tylko ten denerwujący grzechot w jej głowie. Stawał się coraz ostrzejszy, z każdym oddechem. Ból kłuł za oczami. Nawet oświetlenie deski rozdzielczej zdawało się boleśnie jasne.

- Rozładujesz akumulator - ostrzegł Danny, kiedy Clay znów włączył starter. - Niech odpocznie. Minimum pięć minut.

Czaszkę Kary wypełniło brzęczenie, jakby jej ciało stało się anteną nastrojoną na szum elektrostatyczny. Musi się ruszyć. Nie potrafiła usiedzieć spokojnie. Pchnęła drzwi i na wpół wypadła z auta.

- Co robisz? - krzyknął przestraszony Clay.

Nie odpowiedziała. Wyszła na drogę. Furgonetkę zaparkowano pod tamaryszkiem. Wyszła na otwarty teren i przeszła kawałek w górę drogi.

Strzelanina trwała.

Kara zignorowała to, skupiając uwagę czymś znacznie bliższym.

Na drodze stała staruszka, jakby na nią czekała. Miała na sobie długą opończę, twarz ukryła pod czarnym woalem. W kościstej ręce trzymała powykręcany kostur, wyglądający przez lata i błyszczący.

Karze dudniło w głowie. Wtem szum wreszcie jakby dostroił się do właściwej stacji. Ból i mdłości minęły. Nagle poczuła się lekka.

Staruszka patrzyła na nią w milczeniu.

Karę wypełnił bezwład. Nie walczyła z tym. Broń wypadła jej z ręki.

- Będzie cię potrzebować - powiedziała w końcu staruszka i odwróciła się.

Kara poszła za nią jak we śnie. Usłyszała odgłos silnika. Zeszła z drogi i skierowała się do zalesionej doliny. Nie stawiała oporu, nie zrobiłaby tego nawet, gdyby była w stanie. Wiedziała, komu będzie potrzebna.

20.36

Safia została zmuszona do ukłęknięcia z rękami na głowie. Cassandra kuliła się obok, jeden pistolet wycelowała w podstawę czaszki Safii, drugi mierzył w wejście. Obie patrzyły na drzwi. Grób znajdował się między nimi i wejściem.

Po wybuchu Cassandra zgasła reflektory i posłała Kane'a za tylne okno, żeby zapolował na Paintera.

Safia zacisnęła palce. Czy to może być prawda? Czy Painter żyje, jest gdzieś tam, na zewnątrz? A skoro tak, to czy inni też przeżyli? Po jej twarzy popłynęły łzy. Nie jest sama. Painter musi gdzieś tam być.

Zza kompleksu stale dobiegały odgłosy strzelaniny.

Pożary zabarwiły noc karmazynem.

Usłyszała helikoptery i serie z broni automatycznej.

- Pozwól nam po prostu odejść - błagała. - Już wiesz, gdzie jest Ubar.

Cassandra milczała skupiona na wejściu i oknach. Safia nie miała pojęcia, czy w ogóle usłyszała jej prośbę.

Zza drzwi dobiegło szuranie.

Ktoś nadchodził. Painter czy Kane?

Mignął wielki cień przez chwilę oświetlony pojedynczą latarką zostawioną na dziedzińcu.

Wielbłąd.

Co za surrealistyczny widok: idący spokojnie zmoknięty wielbłąd. Za nim w obramowaniu wejścia pojawiła się naga kobieta. W łunie pożarów zdawała się błyszczeć.

- To ty! - zachłysnęła się Cassandra.

W jednej ręce trzymała srebrną walizkę z żelaznym sercem.

- Nie rusz tego, suko! - Cassandra strzeliła dwa razy tuż koło lewego ucha Safii.

Safia, krzycząc z bólu, upadła na dywanik modlitewny i potoczyła się w stronę grobu.

Cassandra za nią, ciągle strzelając w drzwi.

Safia skuliła się, w głowie jej dzwoniło. Wejście było puste. Spojrzała na Cassandrze, która mierzyła z obu pistoletów w otwarte drzwi.

Safia dostrzegła swoją szansę. Złapała skraj dywanika, dzielonego z Cassandra, i płynnym ruchem podniosła się, pociągając dywanik.

Zaskoczona Cassandra upadła.

Pistolet wypalił.

Z sufitu posypał się gips.

Kiedy Cassandra padała na plecy, Safia zanurkowała za garb grobu i potoczyła się ku drzwiom. Już przy wejściu rzuciła się przez próg.

Kolejny wystrzał.

Safia poczuła uderzenie w ramię, obróciło ją. Poślizgnęła się w błocie. Jej ramię płonęło. Została postrzelona. Spanikowana, instynktownie przetoczyła się w bok, z dala od wejścia.

Poczuła na twarzy krople deszczu.

Przezołgała się za róg, przedarła przez żywopłot do wąskiej alejki między grobowcem i ruinami sali modlitw.

Nagle z ciemności wyłoniła się ręka i zatkała jej usta, raniąc je do krwi.

20.39

Painter mocno trzymał Safię.

- Bądź cicho - wyszeptał jej do ucha, opierając się o mur.

Krył się tutaj przez ostatnie kilka minut i obserwował dziedziniec, starając się znaleźć jakiś sposób na wywabienie Cassandry na zewnątrz. Jego dawna partnerka zdawała jednak się być cierpliwa, pozwalała swoim ludziom wykonywać robotę, podczas gdy ona pilnowała nagrody. Reflektory helikopterów myszkowały po terenie, więc Painter nie mógł się ruszyć. Cassandra znów go przechytrzyła, ukrywając, że ma helikoptery, prawdopodobnie przysłane tutaj już wcześniej.

Sytuacja wydawała się beznadziejna.

Chwilę temu obserwował wielbłąda kroczącego przez deszcz, nieprzejmującego się strzelaniną, poruszającego się ze stateczną determinacją, mijającego jego kryjówkę i niknącego przed frontem grobowca. Potem rozległy się strzały i Safia wypadła na zewnątrz.

- Musimy dotrzeć na tyły kompleksu - wyszeptał, wskazując w dół alejki. Od frontu dobiegały odgłosy strzelaniny. Musieli zaryzykować bieg po stromym zboczu, znaleźć jakąś osłonę. Rozluźnił uścisk, ale Safia nadal się do niego przytulała.

- Trzymaj się za mną - szepnął.

Odwróciwszy się, Painter ruszył, nisko pochylony. Teraz cienie były gęstsze. Patrzył przez gogle, czujny i napięty. Nic się nie poruszało. Świat tonął w zieleni. Gdyby udało im się dotrzeć do tylnej części muru okalającego kompleks...

Przy następnym kroku zobaczył, jak alejkę zalewa światło. Zerwał gogle.

- Nie ruszać się - usłyszał.

Zamarł. Na murze leżał płasko mężczyzna. W jednej ręce trzymał latarkę, w drugiej pistolet.

- Nawet nie mrugaj - ostrzegł.

- Kane - jęknęła Safia.

Painter zaklął w duchu. Ten człowiek leżał na murze i czekał, aż wejdą mu na muszkę.

- Rzuć broń.

Painter nie miał wyboru. Gdyby odmówił, tamten zastrzeliłby go na miejscu. Za jego plecami rozległ się ostry głos:

- Po prostu go zastrzel. - Cassandra.

20.40

Omaha kucał obok Coral, kiedy ta kończyła przeszukiwanie ciała leżącego na ziemi. Oślaniał ich Barak. Kryli się na skraju parkingu, czekali na możliwości przebiegnięcia przez otwarty teren.

Ściskając swego desert eagle'a, Omaha starał się nie dopuścić, aby serce wybiło mu dziurę w piersi. Miał wrażenie, że nie może oddychać. Minutę wcześniej słyszał wystrzały z pistoletu dobiegające z kompleksu.

Safia...

Przed nim parking wciąż oświetlała płonąca benzyna. Dwa helikoptery krążyły nad ich głowami, punktowymi reflektorami przeczesując teren. Tylko od czasu do czasu serie wystrzałów przerywały ciszę.

- Ruszajmy - powiedziała Coral, wstając. Popatrzyła w górę. Obserwowała kolejne dwa helikoptery przelatujące nad ich głowami. - Przygotujcie się do biegu.

Omaha ściągnął brwi, ale nagle zobaczył w jej ręku granat zabrany martwemu strażnikowi.

Wyciągnęła zawleczkę i wyszła na otwarty teren, wciąż wpatrując się w niebo. Wzięła zamach jak baseballista, opierając się na jednej nodze. Na sekundę zamarła w tej pozycji.

- Co ty robisz? - zapytał Omaha.

- Fizyka - odparła. - Analiza wektorów, wyliczenie czasu, kąta wznoszenia. - Cisnęła granatem.

Omaha natychmiast stracił go z oczu.

- Bieg! - Coral zanurkowała przed siebie, wykorzystując pęd zyskany podczas rzutu.

Zanim Omaha zdążył się poruszyć, nad ich głowami granat wybuchł brylantowym błyskiem, podpalając spód śmigłowca. Reflektor zakołysał się gwałtownie. Odłamek rozdarł spód. Kawałek musiał trafić w zbiornik paliwa. Śmigłowiec zakwitł ognistym kwiatem.

- Bieg! - znów krzyknęła Coral. Barak już deptał jej po piętach.

Omaha ruszył. Kawał wirnika uderzył w ziemię z głębokim brzękiem. Potem płonący kadłub rozbił się o linię drzew, śląc w górę ogień i czarny dym.

Biegł przez parking. Inne śmigłowce rozproszyły się po niebie jak stado spłoszonych wron.

Coral dotarła do ocalałego samochodu i wskoczyła na siedzenie kierowcy. Barak otworzył tylne drzwi, zostawiając przednie siedzenie dla Omahy.

Gdy tylko Omaha dotknęła klamki, silnik ożył. Coral wrzuciła bieg i nacisnęła gaz. Omaha wskoczył w ostatniej chwili.

Opadł na siedzenie, kiedy rozległ się strzał z karabinu.

Omaha zrobił unik, ale to nie wróg strzelał.

Z tylnego siedzenia Barak odstrzelił szyberdach. Łokciem usunął resztki szkła, po czym wysunął się przez otwór i natychmiast zaczął strzelać. Coral walczyła z kierownicą, ponieważ wóz buksował w błocie.

Kiedy ostro skręciła ku bramie kompleksu, wpadła w poślizg.

W zasięgu ich wzroku pojawił się kolejny helikopter. Ogień błyskał z dziobu, grzechocąc i ryjąc ziemię koło auta tkwiącego w błocie. Zaraz przetnie ich na pół.

Coral wrzuciła wsteczny bieg i wcisnęła gaz. Wóz złapał przyczepność, wyrwał do tyłu, a pociski przeszły centymetry przed przednim zderzakiem.

Zanurkował ku nim drugi helikopter.

Barak otworzył ogień. Strzaskał reflektor, ale śmigłowiec nadal leciał w ich stronę.

Nadal na wstecznym biegu Coral zakręciła kierownicą. Wozem zarzuciło.

- Omaha, twoja lewa!

Kiedy Barak zajmował się helikopterem, jeden z wartowników postanowił wykorzystać jego nieuwagę. Wstał z karabinem przy ramieniu. Omaha odchylił się, a wóz obrócił się przodem do strzelca. Nie mając wyboru, Omaha wypalił z desert eagle'a przez przednią szybę. Szyba wytrzymała, ale pokryła się pajęczą siecią pęknięć.

Strażnik się schował.

Samochód wreszcie złapał przyczepność i pognął przez parking, wciąż na wstecznym biegu. Wychylając się przez okno, Coral manewrowała sprawnie, mierząc w bramę kompleksu, gnając do tyłu ścigana przez helikoptery.

- Trzymać się!

20.44

Safia stała między Painterem i Cassandra. Kane mierzył do niej z pistoletu. Kiedy eksplodował helikopter, wszyscy na sekundę zamarli.

- Zastrzel go - powtórzyła Cassandra.

- Nie! - Safia spróbowała obejść Paintera, żeby go zasłonić. Każdy ruch wywoływał płomień bólu w jej ramieniu. Pocięła krew. - Jeśli go zabijesz, nie pomogę wam! Nigdy nie odnajdziecie Ubaru!

Painter przytrzymał ją za sobą, chroniąc przed Kane'em. Cassandra przedarła się przez żywopłot.

- Kane, to był rozkaz - warknęła.

Safia patrzyła raz na jedno, raz na drugie. Dostrzegła ruch w cieniu. Coś weszło na mur. Oczy lśniły groźną czerwienią.

Z gardłowym pomrukiem lampart skoczył na Kane'a, jego pistolet wypalił. Pocisk świsnął przy uchu Safii i wbił się w błoto. Człowiek i kot spadli z muru do sali modlitewnej.

Painter zrobił unik, złapał Safię za ramię i ustawił za sobą. Kiedy odwrócił się do Cassandry, w ręku miał drugi pistolet.

Strzelił.

Cassandra rzuciła się w tył, łamiąc krzaki. Pocisk chybił, trafił w róg grobu.

Z boku dobiegały odgłosy walki. Odróżnienie człowieka od bestii było niemożliwe.

Kiedy Cassandra, trzymając się nisko, zaczęła strzelać zza krzaków, pociski rykoszetowały od piaskowca. Painter przycisnął Safię do ściany grobowca, żeby nie znalazła się na linii ognia...

- Idź do zewnętrznego muru. - Popchnął ją w dół alejki.

- A ty?

- Ona pójdzie za nami. Stok jest zbyt odsłonięty. - Chciał zatrzymać Cassandrę na miejscu.

- Ale ty...

- Cholera, idź! - Popchnął ją mocniej.

Safia pokuśtykała w głąb alejki. Im szybciej dotrze do względnie bezpiecznego miejsca, tym szybciej Painter będzie mógł uciec, tłumaczyła sobie. Jednak wiedziała, że walczy o życie. Ramię pulsowało bólem przy każdym kroku. Nie zatrzymała się jednak.

Wymiana ognia trwała.

W sali modlitw zapadła śmiertelna cisza. Nie wiadomo, co się stało z Kane'em. Z parkingu dobiegł odgłos kolejnych wystrzałów. Nad głową pojawił się helikopter, tnąc deszcz wirnikiem.

Doszedłszy do końca alejki, Safia rzuciła się przez mokry ogród ku murowi. Miał tylko półtora metra wysokości, ale nie była pewna, czy zdoła przez niego przejść ze zranionym ramieniem. Krew przesiąkała przez koszulę.

Spod baobabu wyszedł wielbłąd i ruszył w stronę Safii. Wydawało się, że to ten sam, który wcześniej pojawił przed wejściem do grobowca. Towarzyszyła mu, jak wtedy, naga kobieta.

Tyle że teraz na nim jechała.

Safia nie miała pojęcia, czy zaufać obcej, ale skoro Cassandra do niej strzelała, to chyba kobieta jest po jej stronie. Wróg mojego wroga...

Obca wyciągnęła do Safii rękę i przemówiła. Nie był to arabski ani angielski, jednak Safia wszystko rozumiała, nie dlatego, że uczyła się tego języka, ale dlatego, że zdawało się, iż ten język sam tłumaczy się w jej głowie.

- Witaj, siostrze - powiedziała obca po aramejsku, w martwym języku tej krainy. - Pokój z tobą.

Safia podała kobiecie rękę. Jej palce były szczupłe i silne. Safia poczuła, że bez wysiłku została podciągnięta. Przeszył ją ból rannego ramienia. Z jej ust wyrwał się krzyk. Ciemność zwięzła widzenie do punktu.

- Pokój - miękko powtórzyła kobieta.

Safia czuła, jak to słowo opływają, przenika przez nią, zabierając ból i świat. Zemdląca.

20.47

Painter odsunął okiennicę w bok od swej głowy. Oparty plecami o ścianę grobowca wypalił dwa razy, zatrzymując Cassandrę w rogu.

Otworzył okno. Zerknął w dół alejki i zobaczył Safię znikającą za węglem.

Opadłszy na kolano, strzelił jeszcze raz.

Cassandra też strzeliła. Pocisk trafił w ścianę obok jego nogi.

Gdzie są te cholerne lamparty, kiedy ich potrzeba?

Strzelił po raz ostatni i schował broń do kabury. Nie oglądając się wstał, wyskoczył przez okno i ciężko spadł na posadzkę grobowca.

Wstał. Oczy odróżniły pokryty całunami grób pośrodku. Idąc pod ścianą, okrążył grobowiec, mierząc pistoletem w wejście. Mijając tylne okno, poczuł wilgotny powiew.

To tędy ten sukinsyn na mnie wyskoczył.

Zerknął przez okno i zauważył na zewnątrz jakiś ruch.

Za murem wielbłąd odwracał się, idąc w dół stoku. Naga kobieta dosiadała go po męsku, najwyraźniej kierując nim naciskiem nóg. W ramionach trzymała inną kobietę. Bezwładną.

Safia...

Wielbłąd zniknął z pola widzenia. Dwa inne wyskoczyły z mrocznego ogrodu, przeskoczyły przez mur i podążyły za pierwszym.

Zanim postanowił, czy pójść za nimi, usłyszał szelest przy drzwiach. Przykucnął. Przed wejściem rysował się cień.

- To nie koniec, Crowe! - krzyknęła Cassandra. Painter wycelował pistolet.

Do jego uszu doleciał kolejny ryk. Samochód.

Rozległy się strzały. Rozpoznał dźwięk kałasznikowa. To strzelał ktoś z jego grupy. Cień Cassandry zniknął.

Painter pospieszył ku drzwiom z bronią gotową do strzału. Spostrzegł na podłodze podartą mapę. Podniósł ją.

Na dziedzińcu mitsubishi przedzierało się przez ogród. Przez szyberdach wystawała lufa skierowana ku niebu. To strzelał Barak.

Painter zlustrował dziedziniec. Wydawał się pusty. Cassandra wycofała się do kryjówki. Wyszedł z grobowca i pomachał zmiętą mapą.

Dostrzegłszy go, kierowca mitsubishi skręcił ostro. Tylny zderzak celował w Paintera, który wpadł do środka, żeby nie zostać potraconym. Wóz zahamował.

Za kierownicą siedziała Coral.

- Właż! - krzyknął Barak.

Painter zerknął przez tylne okno. Safia...

Ktokolwiek ją zabrał, przynajmniej oddała się od bezpośredniego zagrożenia. Na razie to wystarczy.

Odwrócił się, zanurkował do auta i zatrzęsął drzwiami.

- Jedź! - wysapał.

Coral zmieniła bieg i wystartowała.

Dwa helikoptery ruszyły za nimi w pogoń. Barak wciąż je ostrzeliwał. Mitsubishi gnał ku bramie. Coral pochyliła się, żeby widzieć przez popękana szybę.

Wyjechali z kompleksu, podskoczyli na błotnistej muldzie, wylądowali twardo. Koła zabuksowały, złapały przyczepność, i wóz pognął ku drodze, pod osłonę drzew.

Z przedniego siedzenia Omaha spojrział na Paintera zagubionym wzrokiem.

- Gdzie Safia?

- Odjechała. - Painter pokręcił głową. - Odjechała.

15

WYPRAWA W GÓRY

4 GRUDNIA, 00.18 GÓRY DHOFAR

Safia ocknęła się z drzemki - spadała. Rozrzuciła ręce na boki, ogarnęła ją panika, znajoma jak oddech. Ramię bolało straszliwie.

- Uspokój się, sestro - powiedział ktoś koło jej ucha. - Trzymam cię.

Świat wrócił na miejsce. Była przypięta do klęczącego wielbłąda przezuwającego obojętnie zawartość swego wola. Pochylała się nad nią kobieta i trzymając za zdrowe ramię, pomagała jej wstać.

- Gdzie...? - wymamrotała Safia, ale jej wargi zdawały się być sklezione. Chciała odnaleźć swoje nogi, lecz jej się to nie udało. Powoli wracała pamięć. Walka w grobowcu. Strzelanina wciąż rozbrzmiewała w jej głowie. Przebłyski obrazów. Twarz. Painter. Zadrzała w ramionach kobiety. Co się stało? Gdzie jest?

W końcu znalazła dość siły, żeby wstać, ciężko opierając się o wielbłąda. Zauważyła, że ranne ramię zostało starannie opatrzone i obandażowane, jednak bolało przy każdym ruchu.

Kobieta, w mroku przypominająca cień, była chyba tą, która ją uratowała, teraz jednak miała na sobie długą koszulę.

- Pomoc nadchodzi - wyszeptwała.

- Kim jesteś? - Safia zmusiła się do wypowiedzenia pytania, nagle zauważając, jak zimna jest noc. Deszcz ustał, ale z koron drzew nadal spadały duże krople. Dookoła rosły palmy i tamaryszki. Liany i jaśmin zwieszały się wszędzie, nasycając powietrze cudownym aromatem.

Kobieta milczała. Wyciągnęła rękę.

Przez dżunglę przebijała się plamka ognistego światła, jarząc się jasno między pnączami. Nadchodził ktoś niosący pochodnie albo lampę.

Safia chciała uciekać, ale ciało odmówiło posłuszeństwa.

Ramię, które otaczało Safię, uściśnęło ją, jakby kobieta odczytała jej myśli, ale nie był to uścisk wiążący, ale dodający otuchy.

Po kilku chwilach oczy Safii przyzwyczyły się do mroku na tyle, że poznała, iż dżungla pod gąszczem pnączy, porostów i małych krzaczków kryje skaliste wapienne urwisko. Światło pochodziło z tunelu w zboczu. Takie pieczary i korytarze dziurawiły góry Dhofar, a uformowały je ciekły wodne pochodzące z monsunowych deszczów, które wypłukiwały sobie drogę.

Kiedy światło dotarło do wylotu tunelu, Safia dostrzegła trzy postacie: staruszkę, dziecko w wieku dwunastu lat, i drugą młodą kobietę mogącą być bliźniaczką tej, która stała obok Safii. Wszystkie miały na sobie identyczne długie opończe z kapturami.

Każda miała też rubinowy tatuaż pod zewnętrznym kącikiem lewego oka. Pojedynczą łzę.

Nawet dziecko niosące szklaną lampkę oliwną.

- Ta, która była zagubiona - zaintonowała kobieta stojąca obok Safii.

- Przybyła do domu - dodała starszka, opierając się na kosturze. Włosy miała siwe, zaplecione w warkocz, ale jej twarz, mimo zmarszczek, emanowała żywotnością.

Safia stwierdziła, że trudno patrzeć w jej oczy, ale że odwrócenie wzroku jest niemożliwe.

- Bądź pozdrowiona - powiedziała po angielsku starsza kobieta i odsunęła się na bok.

Safia weszła do tunelu. Dziecko szło na przędzie z wysoko uniesioną lampą. Starsza kobieta trzymała się z tyłu, głucho stukając kosturem. Trzecia wyszła z tunelu i podeszła do klęczącego wielbłąda.

Przez kilka kroków nikt nic nie mówił.

Safia, w której głowie kłębiły się pytania, nie mogła utrzymać języka za zębami.

- Kim jesteście? Co chcecie ze mną zrobić?

- Pozostawaj w pokoju - wyszeptała starszka. - Jesteś bezpieczna.

Teraz tak, pomyślała Safia. Zauważyła długi sztylet przy pasie jednej z kobiet.

- Wszystkie odpowiedzi będą ci dane przez naszą hodja. Safia była wstrząśnięta. Hodja to plemienny szaman, zawsze kobieta. To ona zachowywała wiedzę, uzdrawiała i przekazywała wolę bogów. Co to za lud? Idąc dalej, zauważyła, że nie opuszcza ich woń jaśminu. Ten aromat koił, przypominał o domu, matce, bezpieczeństwie...

Ból ramienia przywrócił ją do rzeczywistości. Rana znowu zaczęła krwawić - krew przesiąkła przez opatrunek i ciekła wzdłuż ręki.

Za plecami usłyszała dyszenie. Spojrzała do tyłu. Wróciła trzecia kobieta. W jednej ręce trzymała srebrną walizkę, teraz podrapaną i poobijaną, z żelaznym sercem w środku. Na ramieniu niosła żelazną włócznię z popiersiem królowej Saby na czubku. Ukradły to wszystko Cassandrze. Serce Safii zabiło mocniej.

Złodziejki? Uratowały ją, czy znów została porwana? Tunel biegł w głąb góry. Mijały odgałęzienia i pieczary, skręcając to tu, to tam. Dokąd ją prowadzą?

Wreszcie powietrze wydało się świeższe, a aromat jaśminu silniejszy. Poczowała powiew wiatru.

Kiedy minęły zakręt, tunel przeszedł w wielką jaskinię.

Właściwie nie była to jaskinia, ale amfiteatr, którego dach, wysoko nad ich głowami, miał niewielki otwór, przez który widać było niebo i lała się woda, znikając w niewielkiej sadzawce na dnie jaskini. Sadzawkę otaczało pięć malutkich ognisk, jak czubki ramion gwiazdy. Oświetlały kwitnące pnącza i liany zwieszające się długimi splotami z dachu. Niektóre z nich sięgały aż do ziemi.

Safia rozpoznała tę formę geologiczną - była to jedna z niezliczonych w tym regionie pieczar wymytych przez wodę. Te najgłębsze odkryto w Omanie.

Pojawiło się więcej postaci w długich szatach. Spacerowały lub siedziały w różnych miejscach jaskini. Kiedy Safia weszła, wszystkie twarze zwróciły się ku niej. Oświetlona jaskinia przypominała zbójcką jaskinię z opowieści o Ali Babie.

Tyle że tutaj czterdziestu rozbójników było kobietami. Kobietami w różnym wieku.

Safia potknęła się, nagle osłabła po wędrówce, a krew gorącym strumieniem ciekła po jej ręce.

Od jednego z ognisk wstała jakaś postać.

- Safia?

Skupiła wzrok na mówiącej. Ta kobieta nie była odziana jak pozostałe. Safia nie mogła pojąć sensu jej przebywania tutaj.

- Kara?

1.02

BAZA LOTNICZA TUMRAIT, OMAN

Cassandra pochylała się nad mapą w biurze kapitana. Posiłkując się satelitarną mapą regionu, odtworzyła mapę Safii. Niebieskim markerem kreśliła linię od Salalah do góry Eitteen, a czerwonym linię od grobowca Hioba na otwartą pustynię. Miejsce przeznaczenia otoczyła czerwonym kółkiem - Ubar.

Baza lotnicza Tumrait znajdowała się zaledwie czterdzieści kilometrów od zaginionego miasta.

- Jak szybko może pan przygotować zaopatrzenie? - zapytała.

Młody kapitan oblizał wargi. Dowodził oddziałem Harvest Falcon, który w amerykańskich siłach powietrznych zajmował się dostarczaniem zaopatrzenia do baz i oddziałów w całym regionie. Trzymał kartkę, na której odznaczał pozycje na liście.

- Namioty, sprzęt, racje żywnościowe, paliwo, woda, środki medyczne i generatory już są ładowane do helikopterów transportowych. Wszystko to będzie na miejscu o siódmej zero zero, zgodnie z rozkazem.

Cassandra skinęła głową.

Mężczyzna nadal marszczył brwi, zastanawiając się nad miejscem rozładunku.

- To środek pustyni. Do bazy co godzinę docierają uchodźcy. Nie rozumiem, po co zakładać bazę tam.

Poryw wiatru zagrzechotał okruchami asfaltu o budynek.

- Otrzymał pan rozkazy, kapitanie Garrison.

- Tak jest. - Jednak jego oczy nie wskazywały na to, że się choć trochę uspokoił, tym bardziej kiedy spojrział przez okno na setkę mężczyzn siedzących na skrzyniach, sprawdzających broń, ubranych w maskujące stroje pustynne.

Cassandra pozostawiła go z wątpliwościami i skierowała się do drzwi. Kapitan dostał rozkazy przekazane z Waszyngtonu. Miał jej pomóc przygotować oddział. Dowództwo Gildii zaaranżowało legendę. Zespół Cassandry miał być jednostką poszukiwawczo-ratunkową wysłaną na pomoc tym, którzy uciekali przed nadchodzącą burzą piaskową, i pomagać w akcjach ratunkowych w czasie burzy. Dysponowali pięcioma ciężarówkami przeznaczonymi do jazdy w dowolnych warunkach terenowych, wyposażonych w gigantyczne opony umożliwiające jazdę po piasku, osiemnastotonowy szybki ciągnik pustynny M4, dwa śmigłowce transportowe Huey i sześć jednoosobowych VTOL, śmigłowców, z których każdy już został złożony i przymocowany do otwartych platform ciężarówek z napędem na cztery koła. Zespół lądowy, wraz z Cassandra, miał wyruszyć za pół godziny.

Wychodząc z dowództwa działu zaopatrzenia, Cassandra sprawdziła czas. Burza piaskowa miała uderzyć w tym rejonie za mniej więcej osiem godzin. Informowano o wiatrach wiejących w porywach z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Tutaj, gdzie góry spotykały się z pustynią, wiatr już nabierał mocy.

A oni jechali w samą paszczę burzy. Nie mieli wyboru. Z dowództwa Gildii nadeszła informacja, że źródło antimaterii może ulec destabilizacji i zniszczyć samo siebie, zanim zostanie odnalezione. Nie wolno do tego dopuścić.

Cassandra przyjrzała się mrocznemu lotnisku. Z daleka obserwowała ciężko i niezgrabnie lądujący brytyjski samolot - tankowiec VC10 - oświetlony reflektorami wyznaczającymi pas. Dowództwo Gildii przysłało ludzi i dodatkowy sprzęt wczoraj. Minister ustalił to z nią osobiście po strzelaninie. Miała cholerne szczęście, że zanim straciła Safię, poznała lokalizację zaginionego miasta, Minister okazał umiarkowane zadowolenie z jej poczynań. Ona sama nie była zadowolona.

Przypomniała sobie Paintera, jak kucał w alejce między ruinami i grobowcem. Ostry wzrok, zmarszczki koncentracji, sposób, w jaki się poruszał, piruet na jednej nodze połączony z wyjęciem broni. Powinna strzelić mu w plecy, kiedy miała okazję. Ryzykowała co prawda trafienie Safii, ale przecież straciła ją i tak. Niemniej nie strzeliła. Nawet kiedy Painter się obracał, straciła ułamek sekundy, cofając się, zamiast przeć do przodu.

Zacisnęła pięść. Przeklinała samą siebie, tak jak przeklinała Paintera. Drugi raz nie popełni tego błędu.

Ale czy jeszcze go spotka?

Podczas ucieczki ukradł mapę i jej samochód, który znaleźli porzucony i pozbawiony wyposażenia, zagrzebany w gąszczu kilka kilometrów dalej.

Painter ma mapę. Na pewno się spotkają.

Tyle że nie wcześniej, aż ona będzie gotowa. Ma tylu ludzi i tak dużo broni, że może zatrzymać armię.

Drugi raz się nie zawaha.

Z małej przybudówki tymczasowego centrum dowodzenia wyłoniła się postać. John Kane kroczył z lewą nogą usztywnioną szyną. Stapał ciężko, marszczył brwi. Lewą stronę jego twarzy pokrywał klej chirurgiczny, nadając jego rysom błękitny odcień. Pod klejem widać było ślady pazurów przecinające policzek i szyję poczerniałą od jodiny. W świetle lamp sodowych jego oczy błyszczały bardziej niż zwykle. Zasnuwała je morfinowa mgiełka.

- Sprzątanie skończono godzinę temu - oznajmił, mocując laryngofon radia. - Całość gotowa i sprawdzona.

Skinęła głową. Wszystkie dowody ich uczestnictwa w strzelaninie przy grobowcu zostały usunięte: zwłoki, broń, nawet szczątki jednoosobowego śmigłowca.

- Jakaś wiadomość o grupie Paintera?

- Zniknęli w górach. Rozproszyli się. Tam są boczne drogi i szlaki wielbłądzie przez góry. No i gęste lasy we wszystkich głębszych dolinach. On i te jego pustynne szczury podwinęli ogony i pochowali się.

Tego się spodziewała. W strzelaninie zginęło kilku jej ludzi, nie mogli więc rozpocząć poszukiwań i pościgu. Musieli zająć się rannymi i oczyścić miejsce, zanim lokalne władze zareagują. Ona ewakuowała się pierwszym lotem, informując przez radio dowództwo Gildii o operacji, bagatelizując chaos, podkreślając odkrycie prawdziwej lokalizacji Ubaru.

Ta informacja kupiła jej życie.

I wiedziała, komu to zawdzięcza.

- Co z kustoszką?

- Posłałem ludzi w góry. Na razie niczego nie znaleźli.

Cassandra zmarszczyła brwi. Mikroprzełącznik, który wszczepiła Safii, miał zasięg dwunastu kilometrów. Jak to możliwe, że nie mogą złapać tego sygnału? Może to wina interferencji od zboczy górskich? Może układ burzowy? Nieważne, w końcu zostanie odnaleziona.

Cassandra wyobraziła sobie małą kulkę C4 wmontowaną w przełącznik. Safia mogła uciec... ale już nie żyła.

- Ruszajmy - powiedziała.

1.32

GÓRY DHOFAR

- Świetnie, Safio - szepnął Omaha.

Painter poruszył się niespokojnie. Co tamten odkrył? Patrzył przez noktowizor na pylistą nawierzchnię drogi. Eurovan stał zaparkowany pod kępą drzew. Omaha i inni zebrali

się z tyłu auta, przy uchylonych tylnych drzwiach. Omaha i Danny pochylali się nad mapą ukradzioną z grobowca. Obok nich Coral przeglądała rzeczy zabrane z wozu Cassandry.

Kiedy po walce w grobowcu pognali w dół stoku, natknęli się na Claya i Danny'ego zdenerwowanych zniknięciem Kary. Znaleźli jej broń, ale ona sama zniknęła. Mając na ogonie Cassandrę, a nad głową helikoptery, nie mogli zbyt długo czekać. Kiedy Painter i Omaha szukali Kary, reszta przeniosła zapasy z ukradzionego samochodu do eurovana, a potem zaprowadzili wóz na stromy stok. Painter obawiał się, że Cassandra będzie mogła ich wytropić tak samo, jak uczynił to on, dzięki GPS-owi.

Na dodatek nie wiedziała o eurovanie. Nie była to wielka przewaga, ale zawsze coś.

Odjechali więc, mając nadzieję, że Kara nie da się złapać.

Painter zastanawiał się, dokąd poszła? Czy jej zniknięcie ma coś wspólnego z brakiem prochów? Wziął głęboki wdech. Może tak jest lepiej. Sama będzie miała większe szanse przeżycia.

Na boku Barak i Clay palili papierosy. Różnili się posturą i filozofią, ale łączył ich nałóg. Barak znał góry, wiódł ich szeregiem zrytych koleinami, dobrze ukrytych dróg. Jechali bez świateł tak szybko, na ile było to bezpieczne, zatrzymując się, kiedy zbliżał się dźwięk helikopterów.

Teraz było ich sześcioro: Painter i Coral, Omaha i Danny, Barak i Clay. Los kapitana al-Haffiego i Sharifa pozostawał niezmany, rozwiali się jak duchy, kiedy Bait Kathir uciekli.

Po trzech godzinach jazdy zatrzymali się, by odpocząć i zaplanować kolejne kroki. Ich zadaniem było dostanie się do miejsca zaznaczonego na mapie.

Omaha, siedząc w furgonetce, rozprostował kręgosłup z trzaskiem, który słyszeć było aż na drodze.

- Ona oszukała tę dziwkę - powiedział nagle.

W ciszy i mroku górskiej doliny Painter podszedł do furgonetki.

- O czym ty mówisz?

- Chodź. Spójrz na to.

Wreszcie agresja Omaha wobec Paintera zmaląła. Painter po drodze opowiedział mu o lampartach, strzelaninie i interwencji dziwnej kobiety. Omaha zgodził się, że skoro Safia przebywa z dala od Cassandry, to sytuacja jest zdecydowanie lepsza.

Teraz wskazał mapę.

- Popatrz na te linie. Niebieska wyraźnie prowadzi od grobowca w Salalah do grobowca Hioba, tutaj w górach. Safia musiała znaleźć w pierwszym grobowcu coś, co skierowało ją do drugiego.

Painter skinął głową.

- Okay, a czerwona linia?

- Safia znalazła coś także tutaj.

- Dzidę z popiersiem?

- Tak sądzę. Ale to już nie ma znaczenia. Popatrz tu. Zrobiła kółko na tej linii. Daleko na pustyni. Jakby to był następny cel.

- Ubar. - Paintera ogarnęło mdlące poczucie utraty. Jeśli Cassandra już wie, gdzie to jest...

- Nie, to nie jest Ubar - powiedział Danny. Omaha przytaknął skinieniem głowy.

- Zmierzyłem. Kółko jest sześćdziesiąt dziewięć mil od grobowca Hioba wzdłuż tej linii.

Wtedy, po drodze, Painter poinformował ich o wszystkich szczegółach, łącznie z tym, że wysoki facet zawołał: „sześćdziesiąt dziewięć” po zmierzeniu czegoś na pręcie.

- To odpowiada temu, co słyszałem - przytaknął Painter.

- Ale oni liczyli mile - powiedział Omaha. - Nasze mile.

- Więc?

Omaha spojrzął, jakby to było oczywiste.

- Jeśli rzeźba znaleziona w grobowcu Hioba był datowana tak samo jak żelazne serce - a dlaczego nie? - to pochodzi z dwusetnego roku przed naszą erą.
- No tak - mruknął Painter.
- A wtedy długość mili określali Rzymianie. Jako milę przyjmowano pięć tysięcy rzymskich stóp. Rzymska stopa zaś liczyła jednaście i pół cala. Safia musiała to wiedzieć! Pozwoliła Cassandrze wierzyć, że chodzi o współczesne mile. Posłała dziwkę szukać wiatru w polu.
- Więc jaka jest prawdziwa odległość? - Painter pochylił się nad mapą.

Omaha gryzł czubek kciuka, najwyraźniej licząc coś w pamięci. Po chwili odezwał się:

- Sześćdziesiąt dziewięć mil rzymskich to mniej więcej trochę ponad sześćdziesiąt trzy mile współczesne.
- Ma rację - rzekła Coral, która też dokonała obliczeń.
- Więc Safia wysłała Cassandrę ponad sześć mil poza właściwą lokalizację. - Painter zmarszczył brwi. - Niezbyt daleko.
- Na pustyni sześć mil to tak jak sześćset - zaznaczył Omaha. Painter nie zamierzał gasić dumy Omahy z osiągnięcia Safii, ale wiedział, że ta sztuczka Cassandrę zwiedzie nie na długo. Skoro tylko uświadomi sobie, że nic tam nie ma, zacznie konsultacje. Ktoś tę tajemnicę rozwiąże. Szacował, że sztuczka Safii da im dzień, góra dwa przewagi.
- To gdzie naprawdę leży Ubar? - zapytał Painter. Omaha kiwał głową podniecony.
- Dowiedzmy się. - Szybko i sprawnie zmienił układ szpilek i nitek na mapie, mierząc i sprawdzając. Na jego czole zarysowały się zmarszczki. - To nie ma sensu. - Wbił szpilkę w mapę.

Painter pochylił się nad jego ramieniem i przeczytał nazwę pod szpilką.

- Shisur.

Omaha pokręcił głową, a w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie.

- To szukanie wiatru w polu.
- Jak to?

Omaha nadal pochylał się niezadowolony nad mapą, jakby to ona była winna.

- Shisur to miejsce, gdzie odkryto stare ruiny Ubaru - wyjaśnił Danny. - Jeszcze w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim Nicolas Clapp i inni. - Zerknął na Paintera. - Tam nic nie ma. To wszystko po prostu doprowadziło nas do miejsca już odkrytego i zbadanego.

Painter nie mógł się z tym pogodzić.

- Coś musi tam być.

Omaha uderzył pięścią w mapę.

- Byłem tam. To ślepy zaułek. Wszystkie te niebezpieczeństwa, cały ten rozlew krwi... na darmo!
- Musi być coś, co wszyscy przeoczyli - upierał się Painter. - Wszyscy uważali, że dwa grobowce, w których byliśmy, są dokładnie zbadane, ale w ciągu tych dni dokonano nowych odkryć.
- Dokonała ich Safia - sprecyzował ponuro Omaha. Przez długą chwilę nikt się nie odzywał.

Painter skupił się na słowach Omahy. Coś zaświtało mu w głowie.

- Ona tam pójdzie - powiedział. Omaha odwrócił się do niego.
- O czym ty mówisz?
- O Safii. Skłamała Cassandrze, żeby ta nie dotarła do Ubaru. Ale, tak jak my, ona wie, dokąd prowadzi trop.
- Do Shisuru. Do tych starych ruin.

- Właśnie.
Omaha zmarszczył czoło.
- Ale, jak mówiliśmy, tam nic nie ma.
- I, jak mówiłeś, to Safia odkryła tropy tam, gdzie nikt ich przedtem nie znalazł. Ona uważa, że tego samego dokona w Shisurze. Pojedź tam, choćby dlatego, żeby to, co tam jest, utrzymać poza zasięgiem Cassandry.
Omaha westchnął.
- Masz rację.
- To znaczy o tyle, o ile będzie mogła tam pojechać. - Powiedziała Coral. - Jest jeszcze ta kobieta, która ją zabrała. Ta z lampartami.
Odpowiedział jej Barak, a w jego głosie słychać było napięcie.
- Słyszałem historie o takich kobietach, opowiadane przy ogniskach na pustyni. To wojowniczkami pustyni. Bardziej dzinn niż z ludzkiego ciała. Potrafiące rozmawiać ze zwierzętami. Mogą zniknąć, kiedy chcą.
- Tak, jasne - mruknął Omaha.
- W tej kobiecie faktycznie było coś dziwnego - przyznał Painter. - Nie sądzę, że natknęliśmy się na nią po raz pierwszy.
- Co masz na myśli?
Painter skinął głową w stronę Omahy.
- Porywacze w Maskacie. Ta kobieta na targu.
- Co? Uważasz, że to ta sama?
Painter wzruszył ramionami.
- Albo któraś z tej grupy. W całej tej awanturze bierze udział jeszcze trzecia strona. Nie wiem, czy to te kobiety, wojowniczkami od Baraka, czy po prostu jakaś paczka, która chce zarobić parę groszy. W każdym razie z jakiegoś powodu zabrały Safię. Właściwie mogły chcieć porwać ciebie ze względu na to, co czuje do ciebie Safia. Żeby użyć cię jako karty przetargowej.
- Ale po co?
- Po to, żeby Safia im pomogła. Na grzbiecie wielbłąda zauważyłem też srebrną walizkę. Po co zabierałyby serce, gdyby nie miały dobrego powodu? Wszystko, co mamy, wskazuje na Ubar.
Omaha rozważał te słowa, kiwając głową.
- No to tam pojedźmy. Skoro ta dziwka na razie ma kłopoty, my poczekamy, aż Safia się pokaże.
- I w tym czasie przeszukamy teren - dodała Coral. Skinieniem głowy wskazała zgromadzony sprzęt. - Mamy tu GPR. Mamy też skrzynkę granatów i dodatkowe karabiny. I jeszcze coś... nie wiem, co to jest. - Podniosła przedmiot, który wyglądał jak strzelba o lufie z zaokrąglonym końcem. Sądząc po błysku w jej oczach, aż się paliła, żeby to wypróbować.
Wszyscy popatrzyli na Paintera, jakby czekając na jego zgodę.
- Oczywiście, że jedziemy - powiedział.
Omaha klepnął go w ramię. - Wreszcie się zgadzamy.

1.55

Safia uścisnęła Karę.
- Co ty tutaj robisz?
- Nie jestem pewna. - Kara drżała, a jej skóra była lepka od potu.
- A inni? Widziałam Paintera... co z Omahą, z jego bratem?
- O ile wiem, wszystko w porządku. Ale gdy walczyli, mnie już nie było.

Safia musiała usiąść, kolana miała jak z waty. Jaskinia wokół niej wirowała. Plusk wodospadu brzmiał w jej uszach jak srebrne dzwoneczki. Blask ognisk raził oczy.

Usiadła na kocu przy ognisku. Nie czuła ciepła płomieni.

Kara usiadła obok.

- Twoje ramię! Ty krwawisz! - wykrzyknęła.

Strzał. Safia nie miała pojęcia, czy to pomyślała, czy powiedziała na głos.

Podeszły do nich trzy kobiety, niosąc parującą misę, ubrania, metalową tacę z pokrywą i, dziwnie nie na miejscu, apteczkę pierwszej pomocy z czerwonym krzyżem. Staruszka, inna niż ta, która przyprowadziła Safię, szła za nimi z wielkim kosturem lśniącem w blasku ognisk. Była wiekowa, miała pochylone ramiona, włosy białe, gładko uczesane i zaplecione za uszami, ozdobione rubinami pasującymi do wytatuowanej łyzy na twarzy.

- Połóż się, córko - poleciała po angielsku. - Zobaczmy twoje rany.

Safia nie miała siły się opierać, ale Kara jej pilnowała. Wierzyła, że przyjaciółka będzie ją chroniła, jeśli zajdzie potrzeba.

Zdjęto Safii koszulę. Przesiąknięty krwią bandaż został nasączony parującą miksturą z aloesu i mięty i powoli odwinęty. Miała wrażenie, że zdzierają skórę z jej ramienia. Zachłysnęła się, pociemniało jej w oczach.

- To ją boli - syknęła Kara.

Jedna z trzech kobiet uklękła i otworzyła apteczkę.

- Mam ampułkę morfiny, hodja.

- Niech zobaczę ranę. - Stara kobieta pochyliła się wsparta na kosturze. - Pocisk przeszedł na wylot. Płytko. Dobrze. Nie musimy operować. Słodka herbata z mirrą złagodzi ból. Poza tym dwie tabletki tylenolu z kodeiną. Do zdrowej ręki podłączcie kroplówkę. Dajcie jej litr podgrzanego płynu fizjologicznego.

- Co z raną? - zapytała inna kobieta.

- Kauteryzujemy, opatrzymy i obandażujemy ramię, założymy temblak.

- Tak, hodja.

Posadzono Safię. Trzecia kobieta napełniła kubek gorącą herbatą i podała Karze.

- Pomóż jej to wypić. To da jej siłę.

Kara wzięła kubek.

- Ty też się napij - powiedziała stara kobieta do Kary. - To rozjaśni ci w głowie.

- Wątpię, czy jest dość mocna.

- Wątpliwości na nic się nie zdadzą.

Kara upiła łyk herbaty, skrzywiła się, po czym podsunęła kubek Safii.

- Powinnaś się napić. Paskudnie wyglądasz.

Safia pozwoliła wlać sobie do ust odrobinę płynu. Ciepło spłynęło do lodowatej dziury, która była jej żołądkiem. Wypiła więcej. Podano jej dwie tabletki.

- Na ból - szepnęła najmłodsza z trzech kobiet. Wszystkie wyglądały jak siostry, różniły się tylko wiekiem.

- Połknij je, Safio - ponagliła Kara.

Safia otworzyła usta, połknęła lekarstwo i popiła herbatą.

- Teraz się połóż, a my zajmiemy się twoimi ranami - powiedziała hodja.

Safia opadła na koce. Było jej trochę cieplej. Hodja powoli uklękła na kocu obok niej z gracją, która przeczyła jej wiekowi. Kostur położyła sobie na kolanach.

- Odpoczywaj, córko. Pokój z tobą. - Przykryła dłonią dłoń Safii.

Safia poczuła, że opada na nią mgła, ból zniknął, miała wrażenie, że pływa. Czuła jaśmin, który wieńczył jaskinię.

- Kim... kim jesteście? - wyszeptała.

- Jesteśmy twoją matką, kochanie.

Drgnęła, poczuła się urażona. Jej matka przecież nie żyje. Ta kobieta jest za stara. To była metafora. Zanim zdołała coś powiedzieć, wszystko się rozwiało. Usłyszała tylko: - Wszystkie. Jesteśmy twoją matką.

Kara patrzyła, jak kobiety zajmują się Safią, jak opatulają ją kocami. W żyłę prawej ręki wkłuto jej igłę i podłączono torebkę z podgrzanym płynem fizjologicznym. Jedna z kobiet trzymała torebkę nad Safią, pozostałe dwie przemyły ranę, posmarowały maścią, przykryły gazą i fachowo obandażowały.

Safia zadrżała lekko, ale nadal spała.

- Zadbajcie, żeby trzymała rękę na temblaku - powiedziała starsza kobieta, obserwując pracę pozostałych. - Kiedy się obudzi, niech wypije herbatę.

Hodja podniosła kostur i opierając się na nim, wstała. Stała twarzą do Kary.

- Chodź. Niech moje córki zajmą się siostrą.

- Nie zostawię jej. - Kara przysunęła się bliżej Safii.

- Zadbają o nią. Chodź. Czas, żebyś znalazła to, czego szukasz.

- O czym mówisz?

- O odpowiedziach twojego życia. Chodź lub zostań. Mnie jest to obojętne. Nie będę się z tobą spierała.

Kara popatrzyła na Safię, a potem na staruszkę. „Odpowiedzi twego życia”. Powoli wstała.

- Jeśli coś jej się stanie... - Ale nie wiedziała, komu grozi. Kobiety wydawały się niezwykle troskliwe.

Pokręciwszy głową, ruszyła za hodja.

- Dokąd idziemy?

Hodja zignorowała pytanie i szła dalej. Minęły wodospad i ogniska, weszły w głębszy mrok na skraju jaskini.

Kara rozglądała się ciekawie. Ledwo pamiętała, jak się tu znalazła. Czowała, jakby szła w przyjemnej mgielce. Po opuszczeniu furgonetki szły dobrze ponad godzinę przez las pełen cieni do starożytnej studni dostępnej przez wąski parów w skale. Spiralną pochylnią schodziły przez jakiś czas w głąb góry. Kiedy dotarły do jaskini, Karę zostawiono przy ognisku, kazano czekać, a mgła zaczęła się rozwiewać, powracał ból głowy, drzenie i mdłości. Czowała się niezdolna do ruchu, a już tym bardziej do odnalezienia drogi. Pytania, które zadawała, ignorowano.

A miała ich wiele.

Patrzyła na plecy idącej przed nią staruszki. Kim są te kobiety? Czego chcą od niej i od Safii?

Doszły do wejścia do tunelu. Czekają przy nim dziecko ze srebrną lampą oliwną podobną do tych, które pociera się, by wywołać dzina. U dzióbka lampy pełgał płomyczek. Dziewczynka w wieku nie więcej niż ośmiu lat miała na sobie szatę, jakby za dużą, jej skraj plątał się koło stóp. Na widok Kary wytrzeszczyła oczy, jakby zobaczyła przybysza z innego świata. Nie było w nich jednak lęku, tylko ciekawość.

Hodja ruchem głowy kazała dziewczynce iść przodem.

- Idź, Yaqut.

Dziewczynka odwróciła się i ruszyła, szurając w głąb tunelu. Yaqut to po arabsku „rubin”. Kara po raz pierwszy usłyszała, że wymówiono tutaj czyjeś imię.

Spojrzała na staruszkę.

- Jak się nazywasz? - spytała.

Kobieta wreszcie na nią spojrzała. Jej zielone oczy błyszczały jasno w świetle lampy.

- Nazywa się mnie wieloma imionami, ale nadano mi imię Lu'lu. Zdaje się, że w twoim języku znaczy to „perła”.

Kara potwierdziła skinieniem głowy.

- Czy wszystkie wasze kobiety noszą imiona klejnotów?

Podczas dalszego marszu za dziewczynką z lampą nie było odpowiedzi, lecz w tej ciszy Kara wyczuła potwierdzenie. W tradycji arabskiej takie imiona nadawano tylko jednej grupie ludzi.

Niewolnikom.

Dlaczego te kobiety tak się nazywają? Z całą pewnością wyglądały na znacznie bardziej wolne od znakomitej większości arabskich kobiet.

Dziewczynka skręciła do komnaty wykutej w skale. Była zimna, miała wilgotne ściany lśniące w świetle płomyka. Na podściółce ze słomy leżał dywan modlitewny. Obok stał niski ołtarz z czarnego kamienia.

Karę przebiegł dreszcz lodowatego strachu. Dlaczego ją tu przyprowadzono?

Yaqut podeszła do ołtarza, okrążyła go i schyliła się, znikając z pola widzenia.

Nagle za kamieniem płomienie zaświeciły jaśniej. Dziewczynka za pomocą lampy podpaliła stosik drewna. Kara wyczuła w tym ogniu kadzidło i naftę, którymi nasączono szczapy, żeby się lepiej paliły. Nafta wypaliła się szybko, został tylko słodki zapach kadzidła.

Kiedy płomienie sięgnęły wyżej, Kara dostrzegła swoją pomyłkę. Ciemny ołtarz nie był zwykłą, nieprzezroczystą skałą, ale raczej kryształem podobnym do czarnego obsydianu, lecz bardziej przejrzystym. Płomienie przeświecały przez kamień.

- Podejdz - poleciała Lu'lu i podprowadziła Karę do dywanu. - Klękni.

Ta zaś, wyczerpana brakiem snu i trzęsąc się wskutek wypalenia adrenaliny zarówno naturalnie, jak i sztucznie wzbudzonej, z wdzięcznością osunęła się na miękki dywan.

Hodja stanęła obok.

- Oto, po co przybyłaś z tak daleka i czego tak długo szukałaś. - Wskazała kosturem ołtarz.

Kara spojrzała na przejrzysty kamień. Oczy jej się rozszerzyły. To nie nieprzezroczysty kamień... to surowe szkło.

Płomienie oświetliły wnętrze, rozjaśniając serce szklanego bloku. W jego środku, niczym mucha w bursztynie, spoczywała ludzka postać. Poczerniała, z nogami podwiniętymi jak u embriona i rękami rozpostartymi w agonii. Kara już widziała podobne postacie - w ruinach Pompejów. Człowiek spalony i spetryfikowany przez gorący popiół Wezuwiusza. Taka sama śmierć w męczarniach.

Najgorsze jednak, że Kara wiedziała, dlaczego przyprowadzono ją tutaj i to pokazano.

Oparła się na rękach, jakby jej ciało stało się za ciężkie. Zaczęła płakać. Już wiedziała, kto leży pochowany w sercu szklanego bloku, skamieniały w agonii.

Płacz wyrwał się z niej, odbierając siłę, wzrok, nadzieję, chęć do życia... Pozostawiając pustkę.

- Tatusiu...

3.12

Safia obudziła się, słysząc muzykę i czując ciepło. Leżała na miękkim kocu, przytomna, lecz bez sił. Słuchała lutni, której towarzyszyły delikatne dźwięki trzcinowego fletu. Blask ognisk tańczył na sklepieniu jaskini nad jej głową, rysując pnącza i kwiaty. Pluskająca woda stanowiła kontrapunkt dla muzyki.

Wiedziała, gdzie jest. Żadnego powolnego powrotu do teraźniejszości, tylko zawrót głowy po zażytej kodeinie. Słyszała ciche rozmowy, wybuchy śmiechu, odgłosy dziecięcej zabawy.

Usiadła powoli, czując ból w zranionym ramieniu. Ból jednak był tępy, raczej głęboki niż ostro szarpiący. Była wypoczęta. Spojrzała na zegarek. Spała nieco ponad godzinę, ale czuła się tak, jakby spała całe dnie.

Podeszła do niej młoda kobieta, uklękła z kubkiem grzejącym obejmujące go dłonie.

- Hodja życzy sobie, żebyś to wypila.

Safia wzięła kubek zdrową ręką. Druga, na temblaku, spoczywała na brzuchu. Z wdzięcznością upiła łyk i zauważyła, że nie ma przy niej Kary.

- Kiedy wypijesz herbatę, mam zaprowadzić cię do hodja. Wraz z twoją siostrą czeka na ciebie.

Safia skinęła głową. Wypiła gorący napar tak szybko, jak pozwalała jej na to jego temperatura. Postawiła kubek na ziemi i z trudem wstała.

Kobieta zaproponowała pomoc, ale Safia odmówiła.

- Tędy.

Została zaprowadzona do przeciwległej ściany jaskini i dalej tunelem. Z latarnią w jednej ręce jej przewodniczka prowadziła pewnie przez labirynt korytarzy.

- Kim wy wszystkie jesteście? - zapytała Safia.

- Jesteśmy Rahim - odpowiedziała kobieta.

Rahim po arabsku oznacza „macica”, „łono”. Czyżby tworzyły beduińskie plemię kobiet, amazońskich pustyni? Zastanowiła się nad tą nazwą. Tkwiło w niej również odniesienie do boskości, odrodzenia i ciągłości.

Kim one są?

Przed nimi pojawiło się światło padające z bocznej pieczary.

Przewodniczka zatrzymała się i skinieniem głowy kazała Safii iść.

Safia szła więc, po raz pierwszy od obudzenia się, czując drgnienie niepokoju. Miała wrażenie, że powietrze gęstnieje, oddychanie staje się trudniejsze. Skupiła się na wdychaniu i wydychaniu, starając się opanować niepokój. Kiedy podeszła bliżej, usłyszała szlochanie.

Kara...

Safia zapomniała o lęku i pospieszyła do pieczary. Kara leżała na dywanie. Starsza hodja klęczała u jej boku i obejmowała ją. Zielone oczy starej kobiety spojrzały w oczy Safii.

- Karo, co się stało?

Kara uniosła twarz, oczy miała zapuchnięte, policzki zalane łzami. Nie mogła mówić. Wskazała wielki kamień, za którym płonęło ognisko. Safia rozpoznała stwardniały, stopiony piasek. Znajdowała takie okazy wokół miejsc, w które uderzały pioruny. Starożytni ludy ceniły je, używały do wyrobu biżuterii, świętych przedmiotów, kamieni modlitewnych.

Nie rozumiała, o co chodzi przyjaciółce, póki nie zobaczyła postaci zatopionej w szkle.

- Nie...

- To... to mój ojciec - wychrypiała Kara.

- Och, Karo... - Z oczu Safii popłynęły łzy. Uklękła obok przyjaciółki. Dla Safii Reginald Kensington był jak ojciec. Rozumiała rozpacz Kary.

- Jak? Dlaczego? - wyszeptwała.

Kara spojrzała na starą kobietę, zbyt załamaną, by mówić. Hodja poklepała Karę po dłoni.

- Jak już wyjaśniłam twojej przyjaciółce, lord Kensington nie jest nieznanym naszym ludowi. Ta historia sięga tak daleko jak historia was obu. W dniu swej śmierci wszedł na zakazane piaski. Był ostrzegany, ale ostrzeżenia nie posłuchał. I to nie przypadek zawiódł go na te piaski. Poszukiwał Ubaru jak jego córka. Wiedział, że te piaski znajdują się w pobliżu serca miasta i nie potrafił się trzymać z daleka od nich.

- Co mu się stało?

- Chodzenie po piaskach koło Ubaru oznacza ryzyko obudzenia gniewu potęgi ukrytej przez tysiąclecia. Potęgi i miejsca, którego my, kobiety, strzeżemy. On usłyszał o tym miejscu, ciągnęło go tam. To sprowadziło na niego zagładę.

Kara usiadła, najwyraźniej słyszała to już wcześniej.

- Co to za potęga? - spytała Safia. Hodja pokręciła głową.

- Tego nie wiemy. Bramy Ubaru były przez tysiąclecia zamknięte. Wiedza o tym, co się za nimi znajduje, została zapomniana. My jesteśmy Rahim, ostatnie strażniczki. Wiedza przechodzi z ust do uszu, z pokolenia na pokolenie, ale o dwóch sprawach od upadku Ubaru nie mówiono nigdy: gdzie ukryto klucze do bram i jaka potęga leży pod piaskami, w sercu Ubaru. Te tajemnice znała królowa ocalała z zagłady. Gdy umarła, tajemnice umarły wraz z nią.

Każde słowo wypowiedziane przez starą kobietę rodziło tysiące pytań w umyśle Safii. Bramy Ubaru. Ostatnie strażniczki. Serce zaginionego miasta. Ukryte klucze.

- Klucze... - szepnęła. - Żelazne serce.

Hodja skinęła głową.

- Żeby doprowadzić do serca Ubaru.

- I włóczęga z popiersiem Biliqis, królowej Saby.

Kobieta skłoniła głowę.

- Tej, która była matką nas wszystkich. Pierwsza z królewskiego domu Ubaru. Właśnie jej podobizna zdobi drugi klucz.

Safia przebiegła w myśli historię Ubaru. Miasto zostało założone około 900 roku p.n.e., w tym samym okresie, kiedy żyła historyczna królowa Saby. Ubaru prosperował aż do czasu, kiedy zapadnięcie się w pieczarę wypłukaną przez wodę w wapieniu zniszczyło miasto około 300 roku n.e. Istnienie domu panującego było dobrze udokumentowane.

- Myślałam, że to król Szaddad był pierwszym władcą Ubaru jako prawnuk Noego - rzekła Safia. - Istniało nawet plemię beduińskie, Shakra, które uważało się za jego potomków w prostej linii.

Staruszka pokręciła głową.

- Linia Szaddada to jedynie administratorzy. Linia Biliqis to linia prawdziwych władców, tajemnica skrywana przed wszystkimi, poza najbardziej zaufanymi. Ubaru dawał moc królowej, pozwalał jej na rodzenie potomków. Ta linia sięga dnia dzisiejszego.

Safia przypomniała sobie twarz popiersia. Młode kobiety tutaj uderzająco ją przypominały. Czy taka linia mogła pozostać czysta przez tysiąclecia?

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Chcesz powiedzieć, że wasze plemię może prześledzić swą genealogię aż do królowej Saby?

Hodja skłoniła głowę.

- To coś więcej... o wiele więcej. - Podniosła wzrok. - My jesteśmy królową Saby.

3.28

Kara czuła się chora, mdliło ją, ale nie z powodu odstawienia narkotyków. Właściwie od przybycia do tych jaskiń czuła się mniej rozdartą, drżenie stopniowo słabło, jakby zrobiono coś z jej głową. Teraz jednak cierpienia były tysiąckrotnie dotkliwsze od braku amfetaminy. Czuła się zdruzgotana, bolało ją serce, była wyczerpana, sponiewierana. Wszystkie te rozmowy o zaginionych miastach, tajemniczych mocach, starożytnych rodach nic dla niej nie znaczyły. Wpatrywała się w szczątki ojca - jego usta zamarły w grymasie agonii.

Słowa wypowiedziane przez hodja tkwiły w jej głowie.

„Poszukiwał Ubaru jak jego córka”.

Kara przypomniała sobie dzień śmierci ojca, polowanie w jej szesnaste urodziny. Zawsze zastanawiała się, dlaczego jechali cały dzień do tej akurat części pustyni. Tereny polowań były także znacznie bliżej Maskatu, po co lecieć do Tumraitu, bazy lotniczej, potem

tluc się terenówkami po pustyni, by wreszcie na quadach gonić zwierzynę. Czy ojciec skorzystał z pretekstu jej szesnastych urodzin, żeby wyprawić się na te tereny?

W Karze narastał gniew, gorzał jak płomień za szklanym blokiem. Nie miał się jednak na czym skupić. Była zła na te kobiety, które tak długo trzymały to w tajemnicy, na ojca, że poświęcił życie, szukając miasta Ubaru, na siebie, że poszła w jego ślady... nawet na Safię, za to, że nigdy jej nie powstrzymała, nawet wtedy, gdy poszukiwania zaczęły ją wykańczać. Ogień furii wypalił do szczętu pozostałości choroby.

Kara usiadła i zwróciła się do starej kobiety:

- Dlaczego mój ojciec szukał Ubaru?
- Karo... - odezwała się Safia - to chyba może poczekać.
- Nie. Chcę wiedzieć teraz, już.

Hodja pozostała nieporuszona, uginając się przed furją Kary jak trzcina na wietrze.

- Masz prawo pytać. To dlatego jesteście tu obie.

Kara się skrzywiła.

Kobieta spoglądała to na nią, to na Safię.

- Co pustynia zabiera, pustynia oddaje.
- A co to ma niby znaczyć? - prychnęła Kara.

Hodja westchnęła.

- Pustynia zabrała ci ojca. - Wskazała szklany kamień. - Ale dała ci siostrę. - Kiwnęła głową w stronę Safii.

- Safia zawsze była moją najdroższą przyjaciółką. - Mimo gniewu głos Kary przepełniało uczucie. Prawda i głębia tych słów uderzyła w jej zranione serce z siłą większą, niż była w stanie sobie wyobrazić.

- Jest więcej niż przyjaciółką. Jest twoją siostrą tak duchowo... jak i cieleśnie. - Hodja podniosła kostur i wskazała ciało pogrzebane w szkle. - Tu leży ojciec twój... i Safii.

Hodja spojrzała na twarze oszołomionych kobiet.

- Jesteście siostrami.

3.33

- Niemożliwe - wyszeptała Kara. - Moja matka zmarła, gdy mnie rodziła.

- Macie tego samego ojca, nie matkę - wyjaśniła kobieta. - Safię urodziła kobieta z naszego ludu.

Safia pokręciła głową. Są przyrodnimi siostrami! Spokój, którego doświadczyła zaraz po obudzeniu się kilka chwil temu, przysł. Nie wiedziała nic o swojej matce, tylko tyle, że zginęła w wypadku w autobusie, kiedy Safia miała cztery lata. O ojcu nie wiedziała nic. Nawet w mglistych wspomnieniach z pobytu w sierocińcu nie było mężczyzny, ojca. Wszystko, co dostała po matce, to nazwisko al-Maaz.

- Uspokójcie się. - Staruszka uniosła ręce. - To dar, nie klątwa.

Te słowa uspokoiły nieco dziko bijące serce Safii, jak dłoń przyłożona do wibrującego kamertonu. Niemniej nie była w stanie spojrzeć na Karę, zbyt zawstydzona, jakby sama jej obecność w jakiś sposób kalala pamięć lorda Kensingtona. Wróciła pamięcią do dnia, kiedy zabrano ją z sierocińca, dnia jednocześnie przerażającego i pełnego nadziei. Reginald Kensington wybrał ją, o mieszanej krwi, zabrał do domu, dał jej pokój. Kara i Safia od razu do siebie przylgnęły. Czyżby już w tak młodym wieku poczuły, że są ze sobą związane? Czemu Reginald Kensington nigdy nie powiedział im, że są siostrami?

- Gdybym tylko wiedziała... - odezwała się Kara, wyciągając rękę do Safii.

Safia podniosła wzrok. W oczach przyjaciółki nie wyczytała oskarżenia, gniew znikł. Jedyne, co widziała, to ulga, nadzieja i miłość.

- Może i wiedziałyśmy... - szepnęła Safia i pochyliła się, żeby objąć siostrę. - Może zawsze, gdzieś w głębi duszy, wiedziałyśmy.

Popłynęły łzy. Przestały być przyjaciółkami, stały się rodziną. Obejmowały się przez długą chwilę, a gdy się od siebie odsunęły, Kara wciąż trzymała Safię za rękę. Wreszcie odezwała się hodja:

- Wasza wspólna historia sięga odkrycia przez lorda Kensingtona posągu w grobowcu Nabi Imrana. To odkrycie było ważne i dla nas. Posąg datowany jest na czasy założenia Ubaru, obok grobu powiązany z cudowną kobietą.

- Maryją Dziewicą? - spytała Safia. Kobieta skinęła głową.

- Jesteśmy strażniczkami i jedna z nas musiała znaleźć się bliżej, żeby zbadać grób. Było powiedziane, że klucze do bram Ubaru ujawnią się, gdy nadejdzie właściwy czas. Posłaliśmy więc Almaaz.

- Al-Maaz - poprawiła kobietę Safia.

- Almaaz - powtórzyła staruszka.

Kara ścisnęła dłoń Safii.

- Tutaj wszystkie kobiety noszą imiona klejnotów. Hodja nazywa się Lu'lu, czyli perła.

Safia szerzej otworzyła oczy.

- Almaaz. Moja mama nazywała się Diament. W sierocińcu myśleli, że to nazwisko rodowe, al-Maaz. Więc co się z nią stało?

Staruszka pokręciła ze znużeniem głową.

- Jak wiele naszych kobiet twoja matka się zakochała. Podczas badania grobu pozwoliła sobie za bardzo zbliżyć się do lorda Kensingtona... a jemu do siebie. Zakochali się w sobie. I po kilku miesiącach w jej łonie rosło dziecko zasiane w sposób naturalny dla wszystkich kobiet.

Safię zdziwił ten szczególny dobór słów, ale milczała.

- Twoja matka wpadła w panikę. Każdą z nas obowiązuje zakaz posiadania dziecka z łądzwi mężczyzny. Uciekła od lorda Kensingtona. Z powrotem do nas. Troszczyłyśmy się o nią do porodu. Potem jednak, gdy się urodziłaś, musiała odejść. A ty, dziecko mieszanej krwi, nie byłaś czystą Rahim. - Kobieta dotknęła swego tatuażu w kształcie łzy, rubinowego symbolu plemienia. Safia tatuażu nie miała. - Twoja matka wychowywała cię najlepiej, jak umiała, w Khaluf, na omańskim wybrzeżu, niedaleko Maskatu. Ale wypadek uczynił cię sierotą. W ciągu całego tego czasu lord Kensington nigdy nie zaprzestał poszukiwań twojej mamy... i dziecka. Przeczesał Oman, wydał fortunę, ale kiedy jedna z naszych kobiet życzy sobie być niewidzialną, nie można jej odnaleźć. Krew Biliqis błogosławi nas na różne sposoby. - Staruszka popatrzyła na swój kostur. - Kiedy dowiedziałyśmy się, że zostałaś sierotą, nie mogłyśmy cię opuścić. Dowiedziałyśmy się, dokąd cię zabrano, i przekazałyśmy informację lordowi Kensingtonowi. Jego serce nadal tęskniło za wieściami o Almaaz, ale pustynia zabiera, pustynia daje. Jemu dała córkę. Zabrał cię z sierocińca i uczynił członkiem rodziny. Przypuszczam, że czekał, aż będziecie na tyle dorosłe, by zrozumieć sprawy sercowe, zanim wyjawi wam, że jesteście jednej krwi.

Kara poruszyła się niespokojnie.

- O poranku w dniu polowania... mój ojciec powiedział mi, że ma mi coś ważnego do powiedzenia. Coś na szesnaste urodziny, że już jestem dorosła i mogę to usłyszeć... - Z trudem przełknęła ślinę, głos jej się łamał. - Myślałam, że to coś na temat szkoły czy uniwersytetu. Nie... nie...

Safia ścisnęła jej dłoń.

- Już dobrze. Teraz wiemy. Kara podniosła wzrok.

- Ale dlaczego on nadal szukał Ubaru? Nie rozumiem.

Hodja westchnęła.

- To jeden z powodów, dla którego mężczyźni są dla nas zakazani. Może to był szept w nocy, jakaś historia dzielona przez kochanków. W każdym razie wasz ojciec dowiedział się o Ubarze. Poszukiwał zaginionego miasta. Może był to sposób, żeby znaleźć się bliżej kobiety, którą kochał. Ale Ubar jest groźny. Ciężar strzeżenia go jest wielki.

- A co będzie z nami? - spytała Safia, wstając wraz z Karą.

- Powiem wam po drodze. Przed nami długa wędrówka.

- Dokąd?

- Jesteś jedną z nas, Safio. Przyniosłaś nam klucze - odrzekła kobieta.

- Serce i włócznię?

Skinęła głową i odwróciła się.

- Po dwóch tysiącach idziemy otworzyć bramy Ubaru.

16

SKRZYŻOWANIE DRÓG

4 GRUDNIA, 5.55 GÓRY DHOFAR

Kiedy niebo rozjaśniało się na wschodzie, Omaha zwolnił na najwyższym położonym punkcie przełęczy. Droga wiodła na drugą stronę gór... o ile ten wyboisty, zryty koleinami i pełen kamieni kawałek ziemi można było nazwać drogą. Krzyż bolał go od nieustannego podskakiwania i wibracji.

Zahamował. Właśnie mijali ostatnią przełęcz. Przed nimi wyżyny opadały ku solnym połaciom i równinom. We wstecznym lusterku widać było zielone zarośla i łąki, na których pasło się bydło.

Po obu stronach furgonetki rozciągał się księżycowy krajobraz czerwonych skał, przerywany jedynie łatami strzępiastych drzew o czerwonej korze, pogiętych przez pustynne wiatry. *Boswellia sacra*. Rzadkie i cenne drzewo - kadzidłowiec. W dawnych czasach źródło bogactwa.

Kiedy Omaha zahamował, Painter ocknął się z płytkiej drzemki.

- Co jest? - zapytał sennym głosem. Jego ręka spoczywała na kolbie pistoletu.

Omaha wskazał przed siebie. Droga wiodła korytem wyschniętej rzeki, wadi. Szlak był skalisty, zdradziecki, dobry tylko dla czterokołowców.

- To tam w dole - pokazał Omaha.

- Znam to miejsce - odezwał się Barak z tyłu. Wydawało się, że ten człowiek nigdy nie śpi, przez cały czas, kiedy jechali przez góry, szeptał wskazówki w ucho Omahy. - To jest Wadi Dhikur, Dolina Pamięci. Urwiska po obu stronach to starożytne cmentarze.

Omaha wrzucił bieg.

- Miejmy nadzieję, że nie nasze.

- Dlaczego jedziemy tą drogą? - zainteresował się Painter. Z tyłu wozu Danny i Coral do tej pory drzemali, opierając się o siebie nawzajem. Teraz, obudziwszy się, wierzili się, żeby usiąść prosto. Clay, siedzący obok Baraka, z głową odchyłoną do tyłu, chrapał, stracony dla świata.

Barak odpowiedział na pytanie Paintera:

- Tylko miejscowe plemiona Shakra znają tę drogę z gór na pustynię. Oni wciąż zbierają żywicę z okolicznych drzew tradycyjnym sposobem.

Omaha nigdy nie spotkał nikogo z klanu Shakra. Tworzyli izolowaną grupę, ich życie trwało w epoce kamienia, zamrożone w tradycji. Od dawna studiowano ich język. Nie przypominał żadnego ze współczesnych dialektów arabskich, był to niemal ptasi świergot, który na dodatek zawierał osiem sylab fonetycznych. W miarę upływu czasu większość

języków traci dźwięki, staje się bardziej wyrafinowana. Przez te dodatkowe sylaby język Shakra jest uważany za jeden z, najstarszych języków w całej Arabii.

Co jeszcze bardziej szczególne, Shakra nazywali siebie ludem 'Ad, od króla Szaddada, pierwszego władcy Ubaru. Zgodnie z ustnym przekazem pochodzili oni od pierwszych mieszkańców Ubaru, którzy uszli przed zagładą w 300 roku naszej ery. Właściwie to możliwe, że Barak prowadzi ich dokładnie tą samą drogą, którą lud 'Ad uciekał kiedyś przed katastrofą.

- Od końca wadi jest tylko trzydzieści kilometrów do Shisur. Niedaleko - dodał Barak.

Omaha rozpoczął zjazd na najniższym biegu, wlokąc się dziesięć kilometrów na godzinę. Szybsza jazda groziła ześlizgnięciem się na glinę i piargi. Mimo zachowania ostrożności furgonetka zbyt często zjeżdżała na boki, jakby jechała po lodzie. Zanim minęło pół godziny, ręce Omahy były mokre od potu i ślizgały się na kierownicy.

Wzeszło słońce. Wyglądało jak zakurzona róża.

Omaha rozpoznał ten odcień. Nadchodzi burza. Za kilka godzin uderzy w rejon, na którym się znajdują. Już teraz wiatr z pustyni wiał w górę wadi, uderzając w niezupełnie aerodynamiczną furgonetkę.

Kiedy Omaha minął ślepe odgałęzienie koryta wyschniętej rzeki, pojawiły się przed nimi dwa wielbłądy i dwóch koczowników. Omaha za mocno nacisnął hamulec, zarzuciło go i uderzył bokiem o stertę kamieni ułożonych przy drodze. Metal trzasnął. Sterta się zwała.

Zaskoczony Clay obudził się, parskając.

- Tak oto szlag trafił naszą kaucję - poskarżył się Danny.

Kiedy wielbłądy z tobołkami i kozami przechodziły obok furgonetki, prychały, rzucając głowami. Wyglądało na to, że niosą na sobie całe gospodarstwo.

- Uchodźcy - powiedział Painter, skinieniem głowy wskazując na inne, podobnie obładowane wielbłądy, muły i konie maszerujące w górę wyschniętego koryta. - Uciekają przed burzą.

- Wszyscy zdrowi? - zapytał Omaha, walcząc z dźwignią zmiany biegów, waląc w nią pięścią. Furgonetką szarpnęło, zakotyła się, i wreszcie ruszyła.

- W co myśmy właściwie uderzyli? - spytała Coral, patrząc na rozsypane kamienie.

Danny wskazał inne kamienne sterty rozproszone po cmentarzu.

- To trylity. Starożytne kamienie modlitewne.

Każda sterta składała się z trzech kamieni opierających się o siebie, tworzących rodzaj małej piramidy.

Omaha jechał dalej, uważając na kamienie. Było to coraz trudniejsze, jako że im bardziej zjeżdżali w dół, „ruch” na drodze stawał się intensywniejszy.

Ludzie tłumnie uciekali z pustyni.

- Myślałem, że o tych tylnych drzwiach w góry nie wie nikt - zwrócił się Painter do Baraka.

Arab wzruszył ramionami.

- Kiedy stajesz przed matką wszystkich burz, uciekasz wyżej. Dokądkolwiek. Założę się, że koryto każdej rzeki jest tak samo zatłoczone. A główne drogi na pewno jeszcze bardziej.

Słuchali raportów w radiu, o ile udawało się złapać zasięg. Piaskowa burza rozrastała się, ogarniając całe wschodnie wybrzeże, siekąc wiatrami pędzącymi sto kilometrów na godzinę i niosącymi piasek. Wiatry przesuwają wydmy tak łatwo, jakby to była piana na morskich falach.

Ale nie to było najgorsze. Front wysokiego ciśnienia znad wybrzeża zaczął przesuwać się w głąb lądu. Dwa fronty burzowe miały się spotkać nad pustynią, co było rzadką kombinacją mogącą spowodować powstanie burzy, jakiej nie widziano od wieków.

Mimo iż słońce już weszło, horyzont na wschodzie zasnuwał pył. Kiedy zjeżdżali z gór, burza przed nimi narastała jak fala przyływu.

Wreszcie znaleźli się na dole. Urwiska zostały za nimi, rozplywając się w solne piaszczyste równiny.

- Witajcie na Rub'al-Khali - ogłosił Omaha.

Przed nimi rozciągała się połać szarego żwiru przecinana liniami niebieskobiałych pól solnych. Za równiną był czerwony skraj ciągnącego się w nieskończoność morza wydm. Ziemia widziana z miejsca, w którym się znajdowali, mieniła się różem, brązem, purpurą i karmazynem.

Omaha wpatrywał się we wskaźnik paliwa. Przy odrobinie szczęścia wystarczy do Shisuru. Na styk. Zerknął przez ramię na Ducha Pustyni, jedyne przewodnika, jakiego mieli.

- Trzydzieści kilometrów, tak?

Barak wzruszył ramionami.

- Mniej więcej..

Kręcąc głową, Omaha ruszył przez równinę. Uchodźcy nie interesowali się furgonetką kierującą się ku burzy.

W furgonetce nikt się nie odzywał, wszyscy wbili wzrok w burzę. Jedynym dźwiękiem było zgrzytanie żwiru i piasku pod oponami. Na względnie twardym gruncie Omaha pozwolił sobie przyspieszyć do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Na nieszczęście wiatr zdawał się przybierać na sile z każdym przebytym kilometrem, siekąc piaskiem zgarniętym z wydm. Jeśli będą mieli szczęście, w Shisurze zostanie im jeszcze trochę lakieru na samochodzie.

Wreszcie odezwał się Danny:

- Trudno uwierzyć, że kiedyś była to rozległa sawanna.

Clay ziewnął.

- O czym ty mówisz?

Danny przesunął się do przodu.

- Nie zawsze była tutaj pustynia. Zdjęcia satelitarne pokazują koryta dawnych rzek, jezior i strumieni, teraz zasypanych piaskiem, co sugeruje, że dawno temu Arabię pokrywały sawanny i lasy pełne hipopotamów, bawołów wodnych i gazeli. Prawdziwy raj.

Clay popatrzył za okno.

- Kiedy to było?

- Jakies dwadzieścia tysięcy lat temu. Nadal można znaleźć neolityczne artefakty z tego okresu: krzemienne toporki, grotty strzał. - Danny wskazał głową jałową ziemię. - Potem nastąpił okres susz, który zmienił Arabię w pustynię.

- Dlaczego? Co spowodowało taką zmianę?

- Nie wiem.

- Zmianę klimatyczną wywołało wymuszenie Milankovicza - podpowiedziała Coral.

Wszyscy na nią spojrzeli.

- Ziemia okresowo chwieje się na orbicie wokół Słońca. Te zachwiania lub „wymuszenia orbitalne” są przyczyną ogromnych zmian klimatycznych, takich jak pustynnienie Arabii i części Indii, Afryki i Australii - wyjaśniła.

- A co powoduje, że Ziemia się chwieje na orbicie? - dopytywał się Clay.

- To mogła być po prostu precesja - naturalna okresowa zmiana orbity. Albo coś bardziej dramatycznego: nagły skok polaryzacji magnetycznej Ziemi, coś, co pojawiało się w geologicznej historii planety tysiąc razy. A może zakłócenie w wirowym ruchu nikłowego rdzenia Ziemi? Nikt nie może tego określić z całą pewnością.

- Jakkolwiek to się stało, oto efekt - podsumował Danny. Przed nimi wydmy urosły do masywnych garbów czerwonego piasku, niektóre sięgały sześciuset stóp. Między nimi

utrzymywał się żwir tworzący kręte, chaotyczne drogi zwane „wydmowymi ulicami”. Łatwo było się zgubić w labiryncie tych ulic, ale droga na wprost mogła pochłonąć nawet największy pojazd. Na co nie mogli sobie pozwolić.

Omaha wskazał przed siebie, kierując pytanie do Baraka, patrząc mu w oczy w lusterku wstecznym.

- Ty znasz drogę przez wydmy, prawda?

Wielki Arab znów wzruszył ramionami, co było jego zwyczajową odpowiedzią.

Omaha popatrzył na górujące nad nimi wydmy... i poza nie, na ścianę kłębiącego się ciemnego piasku wznoszącego się nad horyzont jak dymny skraj pożaru stepu, który gnał ku nim. Nie mieli czasu na błędzenie.

7.14

Safia szła obok Kary kolejnym tunelem. Klan Rahim wędrował przed i za nimi. Wędrowały w grupach, niosąc lampy oliwne. Maszerowały tak od trzech godzin, co jakiś czas zatrzymując się, by się napić lub odpocząć. Safię zaczęło boleć ramię, ale nie skarżyła się.

Matka opiekunka szła kilka kroków przed nimi w towarzystwie sześciorga dzieci w wieku od sześciu do jedenastu lat. Starsze dziewczynki trzymały mniejsze za rączki. Tak jak wszystkie Rahim dzieci miały na sobie opończe z kapturami.

Safia przyglądała się najmłodszym, a one ukradkowo spoglądały na nią przez ramię. Wszystkie wyglądały jak siostry. Zielone oczy, czarne włosy, połyskująca skóra. Nawet wstydlive uśmiechy miały podobny czar dołeczeków w policzkach.

I mimo że kobiety różniły się od siebie - jedne żyłaste, inne mocniej zbudowane, niektóre długowłose, inne z włosami obciętymi na krótko - rysy twarzy miały uderzająco podobne.

Lu'lu, hodja plemienia, dotrzymywała im kroku. To ona zorganizowała wymarsz klanu. Jako odwieczne strażniczki Ubaru musiały pójść wszystkie, żadna nie mogła zostać pominięta.

Kiedy wyruszyły, Lu'lu zamilkła, dając Karze i Safii mnóstwo czasu na przedyskutowanie tego, czego się właśnie dowiedziały. Nadal wydawało im się to nierealne.

- Gdzie są wszyscy wasi mężczyźni? Ojcowie waszych dzieci? Dołączą do nas po drodze? - spytała Kara.

Lu'lu zmarszczyła brwi, spoglądając na nią z przyganą.

- To jest zakazane.

Safia przypomniała sobie jej wcześniejsze słowa. O tym, że przyście na świat Safii było zakazane. Czy musiało być wydane zezwolenie? Dlaczego one wszystkie wyglądają tak samo? Czy to jakaś próba eugeniki, żeby zachować czystość krwi?

- A więc są tu same kobiety? - dociekała Kara.

- Rahim niegdyś były setki - spokojnie odpowiedziała Lu'lu. - Teraz jest nas trzydzieści sześć. Dary zostawione nam przez Biliqis, królową Saby, osłabły, stały się bardziej kruche. Mamy dużo martwo urodzonych. Inne tracą dary. Świat stał się dla nas trujący. W zeszłym tygodniu Mara, jedna z naszych starszych, straciła swe błogosławieństwo, kiedy poszła do szpitala w Maskacie. Nie wiemy dlaczego.

Safia zmarszczyła czoło.

- Co to za dary, o których ciągle mówisz?

Lu'lu westchnęła.

- Powiem ci to, bo jesteś jedną z nas. Zostałaś poddana próbie i odkryto znaki, że masz nieco z błogosławieństw Ubaru.

- Próbie? - zdziwiła Kara, spoglądając na Safię.

Lu'lu skinęła głową.

- W pewnym momencie poddajemy próbom wszystkie dzieci półkrwi. Almaaz nie była pierwszą, która opuściła Rahim, żeby lec z mężczyzną, która porzuciła swą genealogię dla miłości. Rodziły się już takie dzieci. Kilka miało dar. - Dotknęła łokcia Safii. - Kiedy usłyszałyśmy o twoim cudownym ocaleniu podczas terrorystycznego zamachu w Tel Awiwie, zaczęłyśmy podejrzewać, że może twoja krew niesie nieco mocy.

Na wzmiankę o Tel Awiwie Safia się potknęła. Przypomniała sobie publikacje prasowe mówiące o cudownej naturze jej ocalenia.

- Wyjechałaś jednak, zanim mogłyśmy cię sprawdzić. Myślałyśmy, że jesteś dla nas stracona. Potem usłyszałyśmy o odkryciu klucza. W Anglii. W muzeum, w którym pracowałaś. To musiał być znak! - W głosie hodja pobrzmiwała nuta nadziei.

- Kiedy tu wróciłaś, odszukałyśmy cię. - Lu'lu popatrzyła wzdłuż tunelu i ściszyła głos. - Z początku spróbowałyśmy zabrać twojego mężczyznę, żeby przez niego przyciągnąć cię do nas.

- To wy próbowaliście go porwać! - wykrzyknęła Kara.

- On nie jest pozbawiony pewnych talentów - przyznała stara kobieta, lekko się uśmiechając. - Rozumiem, dlaczego oddałaś mu swe serce.

Safia poczuła się zażenowana.

- Po tym, jak nie udało wam się go porwać, co zrobiliście?

- Skoro nie udało nam się ściągnąć cię, postanowiliśmy do ciebie przyjść. Sprawdziłyśmy cię starym sposobem. - Spojrzała na Safię. - Za pomocą węża.

Safia stanęła, przypominając sobie incydent w łazience w rezydencji Kary.

- Nasłaliście na mnie żmiję dywanową?

Lu'lu i Kara także przystały. Kilka kobiet minęło je.

- Takie proste stworzenia rozpoznają te z darem, te pobłogosławione przez Ubar. Nie skrzywdzą takiej kobiety, ale znajdują spokój.

Safia nadal czuła węża usadowionego na jej nagich piersiach, jakby grzał się w słońcu, leżąc na skale. Potem weszła pokojówka i krzyknęła, pobudzając go do ataku.

- Mogłyście kogoś zabić.

Lu'lu machnięciem ręki ponagliła je do dalszego marszu.

- Nonsens. Nie jesteśmy głupie. W tej kwestii nie trzymamy się tradycji. Usunęliśmy żmii kły. Nic ci nie groziło.

Safia szła powoli tunelem, zbyt oszołomiona, żeby mówić.

- Czy to o to chodzi z tym darem? Co niby ten wąż miał wyczuć w Safii? - drażyła Kara.

- Te z błogosławieństwem Ubaru mają zdolność narzucania swej woli innym umysłom. Dzikie zwierzęta są szczególnie podatne, spełniają nasze życzenia, są posłuszne. Im prostsze zwierzę, tym łatwiej nad nim zapanować. Chodź, zobacz.

Lu'lu podeszła do ściany, gdzie w podłodze otwierała się niewielka dziura. Rozległo się łagodne bzyczenie. Z dziury wyłoniła się ryjówka, ślepa, z ruchliwymi wąsikami. Wspięła się, posłuszna jak kociątko, na dłoń Lu'lu. Ta pogłaskała ją palcem i puściła wolno. Gryzoń wskoczył szybko do norki.

- Na takie proste stworzenia łatwo wpływać. - Lu'lu skinęła głową w stronę Kary, kiedy znów szły tunelem. - Jak i na zmęczone umysły. Kara obejrzała się.

- Jednak na trzeźwy umysł człowieka mamy niewielki wpływ. Możemy najwyżej zamglić i stępić jego percepcję, kiedy jesteśmy w bezpośredniej bliskości. Ukryć na krótko naszą obecność... Nawet ubranie trudno jest schować. Najlepiej robić to nago i w cieniu.

Kara i Safia popatrzyły na siebie, zbyt zdumione, żeby mówić. To była jakaś forma telepatii, porozumienie umysłów. Lu Tu poprawiła swą szatę.

- No i, oczywiście, dar można skierować na siebie, skupić wolę do wewnątrz. To nasze największe błogosławieństwo zapewniające ciągłość linii od królowej Biliqis, naszej pierwszej i ostatniej.

Biliais Safia przypomniała sobie legendy o królowej Saby, opowieści snute w całej Arabii, Etiopii i Izraelu. W wielu występowały zabawne upiększenia: latające dywany, mówiące ptaki, a nawet teleportacja. O najbardziej znaczącym mężczyźnie w jej życiu, królu Salomonie, mówiono, że potrafił rozmawiać ze zwierzętami, jak mówiła hodja. Safia przypomniała sobie lamparta, który zaatakował Johna Kane'a. Czy tamta kobieta naprawdę miała to zwierzę pod kontrolą? Czy to ten talent stanowił źródło najdziwniejszych opowieści o królowej Saby?

Ciszę przerwała Kara:

- Co się dzieje, kiedy kierujecie swój dar do wewnątrz?

- Największe błogosławieństwo - powtórzyła Lu Tu ze smutkiem. - Poczynamy dziecko. Dziecko bez mężczyzny.

Kara i Safia spojrzały na siebie z niedowierzaniem.

- Dziewica rodzi dziecko... - wyszeptała Kara.

- Jak Maryja Dziewica. - Safia zastanawiała się nad tą rewelacją. - Czy to dlatego pierwszy klucz, żelazne serce, ukryto w grobowcu jej ojca?

Lu'lu ciągnęła:

- Ale nasze porody to nie są zwykłe porody. Dziecko z naszego ciała jest naszym ciałem, nowo urodzonym dla kontynuacji linii.

Safia pokręciła głową.

- Co masz na myśli?

Lu'lu uniosła kostur i zatoczyła nim krąg, jakby obejmowała cały klan.

- Wszystkie jesteśmy tą samą kobietą. Używając współczesnej terminologii, jesteśmy genetycznie identyczne. Nasze największe błogosławieństwo dano nam po to, by zachować czystość linii, by tworzyć nowe pokolenie z naszego własnego łona.

- Klony - stwierdziła Kara.

- Nie. - Safia rozumiała, o czym mówi hodja. Był to proces reprodukcji spotykany u pewnych gatunków owadów i zwierząt, najbardziej zauważalny u pszczoł.

- Partenogeneza, dzieworództwo - powiedziała Safia, na głos.

Kara wyglądała na zmieszaną.

- To forma reprodukcji, w której samica potrafi wytworzyć jajo z jądrem pełnym zawierającym cały jej kod genetyczny, a nie połowę. Jajo potem rośnie i rodzi się jako duplikat swej matki.

Safia popatrzyła w głąb tunelu. Wszystkie te kobiety...

W jakiś sposób ich talent telepatyczny pozwolił im się rozmnażać z zachowaniem genetycznej pełni. Rozmnażanie bezpłciowe. Przypomniała sobie jednego z profesorów biologii w Oksfordzie, jak mówił, że płciowe rozmnażanie jest dla naszych organizmów względnie obce. Normalnie komórka somatyczna dzieli się, żeby wytworzyć dokładny duplikat samej siebie. Tylko komórki rozrodcze w jajnikach lub jądrach dzielą się w taki sposób, że wytwarzają komórki z połową pierwotnego kodu genetycznego - jajeczka u samic, plemniki u samców - co pozwala na mieszanie się materiału genetycznego. Jeśli jednak kobieta mogłaby jakoś, czystym aktem woli, wstrzymać proces podziału komórkowego w niezapłodnionym jajeczku, potomek będący tego wynikiem byłby dokładnym duplikatem matki.

Matka...

Safia nie mogła oddychać. Zatrzymała się i popatrzyła na otaczające ją twarze. Jeśli to, co powiedziała Lu'lu, jest prawdą, jeśli jej matka pochodziła z tego klanu, to wszędzie stoi jej matka. Widzi ją we wszystkich możliwych wcieleniach: od niedawno urodzonego

niemowlęcia, które jeszcze ssie pierś matki, od młodej dziewczyny idącej za rękę ze starszą siostrą, po tę najstarszą. Wszystkie to jej matka.

Safia zrozumiała tajemnicze słowa staruszki.

„Wszystkie jesteście moją matką”.

To nie była przenośnia. To był fakt.

Zanim Safia mogła poruszyć się lub odezwać, wyprzedziły ją dwie kobiety. Jedna niosła srebrną walizkę z żelaznym sercem, druga trzymała włócznię z popiersiem królowej Saby. Safia pamiętała oblicze posągu. Twarz królowej. Twarz tych kobiet.

Nagły przeblask zrozumienia przeszył Safię, niemal ją oslepiając. Musiała oprzeć się o ścianę tunelu.

- Biliqis...

Lu'lu potwierdziła skinieniem głowy.

- Ona jest pierwsza i ostatnia. Ona jest każdą z nas.

Wcześniejsza wymiana zdań ze starą kobietą wróciła w jej umyśle echem: My jesteśmy królową Saby.

Safia patrzyła na przechodzące obok kobiety. Bezpłciowo reprodukowały siebie już od dawien dawna, wywodząc swój kod genetyczny od jednej kobiety, pierwszej, która w ten sposób wytworzyła dziecko, która odtworzyła siebie.

Biliqis, królowa Saby.

Safia wpatrywała się w twarz Lu'lu, w zielone oczy dawno zmarłej królowej. Przeszłość żyjąca w teraźniejszości. Pierwsza i ostatnia.

Jak to możliwe?

Gdzieś na przedzie podniósł się krzyk.

- Przeszliśmy przez góry - rzekła hodja. - Chodźcie, bramy Ubaru czekają.

7.33

Painter osłonił oczy i patrzył na stojącą furgonetkę, wschodzące słońce, i na otaczające ich ściany piasku. Nie było to dobre miejsce, żeby utknąć, kiedy zbliża się uderzenie burzy. Wyobraził sobie wydmy, jak sypią się na nich, niczym morskie fale na skały.

Muszą jechać dalej.

Kilka minut temu furgonetka sunęła solną płaszczyzną wzdłuż skraju wydm, jakby była deską surfingową. Żwirowe „ulice”, którymi podążali, w końcu zniknęły, zmuszając ich do jazdy po twardo ubitym piasku.

Tyle że nie w każdym miejscu piasek był twardy.

- Tutaj tarzają się wielbłądy - wyjaśnił Barak, patrząc na tył furgonetki. Przednie i tylne koła zaryły się po osie. - Piasek tutaj jest bardzo luźny. I głęboki. Jak w ruchomych piaskach. Wielbłądy tarzają się w nim, żeby się umyć.

- Możemy go wykopać? - zapytał Omaha.

- Nie ma czasu - rzekł Painter.

- Im głębiej kopiesz, tym głębiej zapada się furgonetka - wyjaśnił Barak.

- No to musimy wyładować co się da i iść pieszo.

Danny jęknął.

- Naprawdę powinniśmy być bardziej wybredni przy wyborze środków transportu. Najpierw tamta ciężarówka, a teraz ten rzech.

Painter kręcił się niespokojnie.

- Wejdę na tę wydnię. Zobaczę, czy uda się namierzyć Shisur. Nie może być dalej niż półtora kilometra stąd. Wy w tym czasie wyczyścicie wóz, broń, sprzęt, wszystko - powiedział.

Ruszył na wydnię. Omaha gramolił się za nim.

- Sam potrafię sprawdzić. - Painter odgonił go machnięciem ręki.

Omaha szedł jednak dalej, wbijając głęboko nogi, jakby chciał ukarać piasek. Painter nie zamierzał się z nim spierać, tak więc na szczyt wydmy wdrapali się obaj. Ta wspinaczka okazała się gorsza, niż Painter wyobrażał sobie na dole.

Omaha podszedł do niego.

- Przepraszam... - wysapał. Painter, zmieszany, zmarszczył brwi.

- Za samochód. Powinienem był zauważyć to miejsce.

- Nie przejmuj się. Ja też bym w to wpadł.

- Chciałem tylko powiedzieć „przepraszam”.

Painter wyczuł, że w tych przeprosinach chodzi o coś więcej niż tylko o zakopany wóz.

Wreszcie dotarli do ostrego jak nóż grzbietu wydmy. Osypywał się pod ich stopami. Po zboczu popłynęły strumyki piasku.

Na pustyni panował doskonały, krystaliczny spokój. Żadnego świergotu ptaków, żadnego chrobotu ani bzyczenia owadów. Nawet wiatr na chwilę zamarł. Cisza przed burzą.

Painter wpatrywał się w horyzont. Wydmy ciągnęły się jak okiem sięgnąć. To jednak, co przyciągało jego uwagę, to kłębiąca się ściana na północy - burza piaskowa. Ciemne chmury przypominały chmury burzowe. Dostrzegł nawet kilka niebieskawych błysków. Wyładowania elektrostatyczne.

Muszą znaleźć schronienie.

- Tam. - Omaha wskazał ręką. - Ta kępa palm.

Painter wypatrywał malutką plamkę zieleni, jakiś kilometr dalej, schowaną między wydmi, łatwą do przeoczenia.

- To oaza Shisur - powiedział Omaha.

Nie byli daleko. Kiedy się odwracał, kątem oka dostrzegł ruch na wschodzie. W ich stronę leciała czarna kreszczka, obrysowana porannym słońcem. Włożył gogle, wyłączając noktowizję i włączając powiększenie.

- Co to jest?

- Helikopter transportowy. Siły powietrzne Stanów Zjednoczonych. Prawdopodobnie z bazy w Tumraicie. Krąży, bo chce gdzieś wylądować.

- Misja ratunkowa z powodu burzy?

- Nie, to Cassandra. - Painter słyszał w umyśle jej głos. „Myślałeś, że uwierzę, że jedziecie do granicy z Jemenem?”. Oto kolejne potwierdzenie, jak wysoko grupa Cassandry miała dojścia w Waszyngtonie. Jak Painter mógł się łudzić, że cokolwiek ugra? Miał pięcioro ludzi, nie wszyscy byli wyszkoleni.

- Jesteś pewny, że to ona?

Painter przyglądał się, jak helikopter, krążąc, zniża się ku piaskom i znika między wydmi.

- Tak. To jest tamto miejsce na mapie. Osiem kilometrów stąd.

Painter opuścił gogle. Cassandra znajdowała się za blisko, żeby mógł się czuć dobrze.

- Musimy ruszać.

Painter zafiksował namiary i skierował się w dół. Coraz szybciej ześlizgiwali się po zboczu. Kiedy już byli u stóp wydmy, Painter zobaczył poukładany sprzęt. Sporo tego. Nie odważyli się jednak zostawić niczego, czego mogliby potrzebować.

- Jak daleko? - zapytała Coral.

- Kilometr - odrzekł Painter.

Na twarzach wszystkich odmalowała się ulga.

Coral podeszła do niego, wyczuwając, że jest spięty.

- Cassandra już tu jest - powiedział. - Dalej na wschód.

Coral wzruszyła ramionami.

- To dobrze. Kiedy uderzy burza, będzie uziemiona. To może dać nam dzień, może dwa. Szczególnie jeśli ten układ wysokiego ciśnienia znad morza łupnie nad nami.

Painter skinął głową, biorąc głęboki wdech. Coral ma rację. Nadal może im się udać.

- Dzięki - mruknął do niej.

- Proszę bardzo, szefie.

Szybko podzielili zapasy. Największa skrzynka zawierała GPR. Painter i Omaha nieśli ją razem. Była potwornie ciężka, ale jeśli mają w ruinach szukać zakopanego skarbu, takiego narzędzia będą potrzebowali.

Wyruszyli więc, omijając wydmę, której wysokość przewyższała dwukrotna długość boiska do futbolu, potem, przechodząc górą, pokonywali mniejsze. Słońce kontynuowało swą podróż ku zenitowi, rozgrzewając powietrze i piasek. Wkrótce ich tempo było ślimacze, krok przypominał pełzanie, a wraz z wypaleniem się adrenaliny poczuli zmęczenie.

W końcu jednak weszli na niską wydmę i zobaczyli skupisko budynków z pustaków, budowle drewniane i mały meczet w dalszej dolince. Wieś Shisur.

W dolinie, nieco dalej, nieskończoną czerwień pustyni Rub'al-Khali przerywała zieleń. Krzewy akacji rosły wzdłuż budynków, połacie żółtego kwiecica rozciągały się na piasku wraz z gęstwinami palmetto. Większe, podobne do mimozy drzewa rozpościerały strzępiaste liście nad kępami kwiatów, tworząc cieniste zagajniki. Wysoko strzelały wszechobecne palmy daktylowe.

Podczas wędrówki po pustyni jedynymi roślinami, jakie widzieli, było kilka solnych krzewów i rzadkie ciągi wydmowej trawy przypominającej popruty haft, więc oaza Shisur jawiła się jako raj.

We wsi nie stwierdzili żadnego ruchu. Zdawała się być opustoszała. Wiatr zaczął wiać mocniej. Śmiecie wirowały w pustynnych diabłach. Firanki i zasłony furkotały w otwartych oknach.

- Tam nikogo nie ma - stwierdził Clay.

Omaha zrobił kilka kroków do przodu i przyjrzał się maleńkiemu miasteczku.

- Ewakuowane. Ponadto po sezonie miasteczko prawie całkiem pustoszeje. Shisur to głównie przystanek na trasie wędrówek koczowniczego plemienia Bait Muson. Przychodzą i odchodzą. Wraz z odkryciem ruin tuż za miasteczkiem zaczął się ruch turystyczny, jednak nawet w tej sytuacji jest raczej sezonowym osiedlem.

- To gdzie są te ruiny? - chciał wiedzieć Painter. Omaha wskazał na północ. Z piaszczystej równiny sterczała wieża, nadzarta zębem czasu.

Painter wziął ją za naturalną formację geologiczną, wystający kawałek wapienia, mesy z płaskimi wierzchołkami, jakich wiele na pustyniach. Dopiero teraz zauważył kamienie tworzące konstrukcję. Wyglądała trochę jak wieża strażnicza.

- Cytadela Ubaru - powiedział Omaha. - Najwyższy punkt. Większość ruin kryje się niżej, teraz ich nie widzimy. - Ruszył w stronę wioski.

Pozostali podjęli trud dotarcia do schronienia, pochylając się pod uderzeniami upartego wiatru, chroniąc twarze przed piaskiem ciskanym przez gwałtowne podmuchy.

Painter został jeszcze chwilę. Wreszcie dotarli do Ubaru. Ale co tam znajdują? Spojrzał na zagrożenie nadciągające od północy. Burza piaskowa wypełniała horyzont, wymazywała krajobraz. Kiedy patrzył, pożerała kolejny kawał pustyni.

Trzaski wyładowań elektrostatycznych znowu tańczyły tam, gdzie burza spotykała się z pustynią. Obserwował, jak szczególnie duże wyładowanie toczy się po zboczu wydmy, niczym balon ciśnięty na ostry wiatr. Po kilku chwilach zniknęło, jakby wsiąkało w piasek. Painter wstrzymał oddech. Wiedział, czego właśnie był świadkiem.

Piorun kulisty.

Taki sam zdetonował meteor w British Museum.

Zatoczyli pełny krąg.

Za jego plecami odezwał się głos:

- Niebieski dżin pustyni - powiedział Barak. - Burze zawsze przyprowadzają ze sobą dżiny.

Painter popatrzył na niego, zastanawiając się, czy ten naprawdę wierzy, że to złe duchy, czy tylko przedstawia opowieść mającą wyjaśnić to zjawisko.

Barak jakby usłyszał to pytanie.

- Czymkolwiek są, nigdy nie przynoszą niczego dobrego - rzekł i ruszył w dół za innymi.

Painter jeszcze przez chwilę przyglądał się burzy, oczy piekły od piasku.

Kiedy szedł w dół stoku, skierował wzrok ku wschodowi. Nic, żadnego ruchu. Przesuwanie się wydm kryło wszystko. Ale Cassandra i jej grupa czaili się gdzieś tam.

Rekiny... krążą i krążą...

8.02

Safia nie spodziewała się takiego środka transportu, nie u klanu, którego genealogia sięga królowej Saby. Na zbocze wydmy pustynny wspinał się quad. Przeciął grzbiet, przeleciał w powietrzu i twardo wylądował na stoku. Opony i resory zamortyzowały uderzenie.

Safia zdrowym ramieniem wczepiła się w rurkę przed sobą, jakby jechała rollercoasterem. Kara też trzymała się rurki, aż zbielały jej kostki palców. Obie miały na sobie długie opończe z naciągniętymi na głowy kapturami i chusty zasłaniające dolną część twarzy. Miały także spolaryzowane przeciwsłoneczne gogle zsunięte na czoło.

Obok kierowcy siedziała Lu'lu, a prowadziła szesnastolatka imieniem Jehd. Zaciskała z determinacją usta, choć w oczach błyskało dziewczęce podniecenie.

Inne quady jechały za nimi, w każdym po pięć Rahim. Jechały zygzakiem, żeby uniknąć pyłu wzbijanego przez poprzedzające pojazdy. Po obu stronach quadów jechało dwanaście motorów pustynnych na balonowych oponach, pozerając ślady większych pojazdów, skacząc wysoko przez grzbiety wydm.

Tak duża prędkość podyktowana była koniecznością.

Od północy nadciągała burza.

Po opuszczeniu podziemnej płataniny tuneli zastały czekające pojazdy. Kara nie kryła zdziwienia, bo uważała, że na pustyni łatwiej poruszać się na wielbłądach. Lu'lu wyjaśniła: „Możemy śledzić nasz rodowód daleko w przeszłość, ale żyjemy dzisiaj”. Rahim nie przeżywały całego swego życia na pustyni, ale, podobnie jak królowa Saby, wędrowały, kształciły się, a nawet prowadziły interesy. Miały konta bankowe, portfele akcji, posiadały nieruchomości, dokonywały transakcji na rynku ropy.

Teraz gnały do Shisuru, chcąc zdążyć przed burzą.

Safia nie wiedziała, na jak długo zmyliła Cassandrę. Jeśli mają znaleźć skarb, potrzebują każdej sprzyjającej okoliczności.

Lu'lu i reszta Rahim liczyły, że wskaże im drogę. Mówiąc słowami starej kobiety: „Klucze objawiły się tobie. Bramy uczynią tak”. Safia modliła się, by miała rację. Zaprowadziła je tak daleko dzięki intuicji i wiedzy. Żywiła nadzieję, że odnajdzie resztę drogi.

Na przednim siedzeniu Lu'lu podniosła walkie-talkie Motorola i słuchała przez chwilę, po czym powiedziała kilka słów. Wszystkie ginęły w ryku silników i wyciu wiatru. Kiedy skończyła, odwróciła się do tyłu.

- Mogą być kłopoty! - zawołała. - Zwiadowczynie wysłane wcześniej mówią o niewielkiej grupie uzbrojonych obcych, którzy wkraczają do Shisuru.

Serce podskoczyło Safii do gardła. Cassandra...

- Może tylko szukają schronienia przed burzą?

Zwiadowczynie znalazły pojazd. Starą furgonetkę, która utknęła tam, gdzie tarzają się wielbłądy.

Kara pochyliła się do przodu.

- Furgonetka? Czy to był niebieski volkswagen?

- Czemu pytasz?

- Bo to mogą być nasi przyjaciele. Ci, którzy nam pomagali.

Kara popatrzyła na Safię z nadzieją.

Lu'lu podniosła walkie-talkie i przeprowadziła krótką rozmowę.

- Tak, to był niebieski eurovan.

- To oni! - wykrzyknęła Kara. - Skąd wiedzieli, że nas tu znajdą?

Safia pokręciła głową. Wydawało się to nieprawdopodobne.

- Mimo to musimy być ostrożne. Możliwe, że Cassandra i jej ludzie złapali ich i trzymają na muszce.

W sercu Safii zaległa się obawa. Kto z nich przetrwał? Painter próbował ją ocalić, zaryzykował życie, został z tyłu, żeby osłonić jej ucieczkę. Wymiana ognia, którą słyszała, gdy wybiegła z grobowca, nadal dźwięczała jej w uszach.

Wszystkie odpowiedzi są w Shisurze.

Po kolejnych dziesięciu minutach zza wydmy wyłoniła się wioska. Malutki minaret meczetu sterczał ponad stłoczonymi barakami i domami z pustaków. Wszystkie quady zatrzymały się, a kilka kobiet wspięło się na okoliczne wydmy. Położyły się na brzuchach, a ich ubrania zlały się z barwą piasku. Miały karabiny snajperskie.

W obawie przed strzelaniną Safia wysiadła z quada. Kara zrobiła to samo, i na czworakach podpełzła na wierzchołek wydmy.

W wiosce nie dostrzegła żadnego ruchu. Czyżby mieszkańcy usłyszeli ryk silników i schowali się w obawie przed obcymi?

Safia rozejrzała się po okolicy.

Na północy piętnaście akrów zajmowały ruiny otoczone zrekonstruowanym kruszącym się murem. W regularnych odstępach mur przerywały wieżyczki strażnicze. Były to kamienne kręgi bez dachów, wysokie na jedną kondygnację. Jednak najbardziej dramatyczne wrażenie robiła główna cytadela będąca trzypiętrową budowlą z kamienia. Sterczała na wierzchołku niskiego wzgórza, u którego stóp ziało głębokie i postrzępione rozdarcie w ziemi obejmujące większość terenu otoczonego murem. Jego dno ginęło w cieniu.

Safia wiedziała, że ruiny cytadeli stanowią jedynie połowę budowli. Druga leżała na dnie rozpadliny. Zniszczona w chwili, gdy teren się zapadł i gdy do dziury wpadły mury i połowa zamku. Tłumaczono to nieustannym opadaniem lustra wody, bo pod miastem znajdowała się naturalna wapienna cysterna. Kiedy poziom znajdującej się w niej wody obniżył się wskutek wysychania i nadmiernego zużycia, zostawił pod ziemią wielką pustą pieczarę, która w końcu zapadła się, pochłaniając pół miasta.

Wzrok Safii przyciągnął ruch we wsi.

W drzwiach jednego z domów pojawiła się postać w sukni dishdasha, z głową okrytą na tradycyjny omański sposób. W rękę trzymała kubek.

- Właśnie zoparzyłem świeżą kawę. Jeśli chcesz się napić, to rusz tyłek tutaj, na dół.

Safia wstała. Rozpoznała tę ironię w głosie.

Omaha...

Poczuła ulgę. Zanim pomyślała, już biegła po stoku z oczami zamglonymi przez łzy i zdziwiona, że zareagowała tak gwałtownie.

Nagle potknęła się.

- Stój, gdzie stoisz - ostrzegł Omaha i cofnął się o krok. W oknach i drzwiach błysnęły lufy karabinów. Pułapka...

Safia zatrzymała się. Zanim zdążyła zareagować, jakaś postać wyslizgnęła się z niskiego murku, złapała ją, obróciła i szarpnęła za włosy, wyginając do tyłu i obnażając szyję. Coś zimnego dotknęło jej gardła.

Błysnął długi nóż.

- Porwaliście naszą przyjaciółkę - szepnęła napastnik z lodowatą złością.

Omaha podszedł z boku.

- Widzieliśmy, że się zbliżacie. Nie mógłbym zapomnieć twarzy kogoś, kto chciał mnie porwać.

- Coście zrobili doktor al-Maaz? - wysyczał głos przy jej uchu, a nóż nacisnął mocniej.

Safia uświadomiła sobie, że twarz wciąż ma zakrytą chustą, a na oczach gogle. Sądzą, że jest jedną z porywaczek. Wstrzymując oddech, zerwała chustę i gogle.

Omaha najpierw wbił oczy w jej twarz, a potem rzucił się ku niej i odepchnął rękę mężczyzny, który ją trzymał.

- Mój Boże, Safia... - Objął ją i mocno uściskał. W jej ramieniu zapłonął ogień.

- Omaha, moje ramię...

Cofnął się. W oknach i drzwiach pojawili się pozostali członkowie grupy.

Safia zerknęła za siebie. Stał tam mężczyzna z nożem. Painter. Nie poznała jego głosu. Nie potrafiła pogodzić jego wizerunku, jaki zapamiętała, z zachowaniem sprzed chwili. Nadal czuła ostrze na szyi, rękę trzymającą włosy.

Painter cofnął się o krok. Na jego twarzy malowała się ulga, ale niebieskie oczy patrzyły przenikliwie. Spojrzał za siebie, na sąsiednie zbocze.

Skutery i quady stanęły w linii na grzbiecie z włączonymi silnikami. Rahim zamierzały ruszyć Safii na pomoc. Zza budynków wyłoniły się kobiety ubrane tak jak Safia. Każda miała broń.

Kara kroczyła w dół stoku z rękami uniesionymi do góry.

- Cofnąć się, wszyscy! - krzyknęła. - To nieporozumienie!

Omaha pokręcił głową.

- Ta kobieta nie musi odsłaniać twarzy. Ten wrzask rozpoznam zawsze.

- Kara... - wyszeptał oszołomiony Painter. - Jakim cudem...?

Omaha zwrócił się do Safii:

- Wszystko z tobą w porządku?

- Czuję się dobrze.

Kara zdjęła chustę.

- Zostawcie ją. - Odgoniła ich machnięciem ręki. - Przecież ona nie ma czym oddychać.

Omaha cofnął się szybko i kiwnął głową w stronę stoku. Rahim ostrożnie zaczęły schodzić.

- Kim są wasi przyjaciele?

Kara wzruszyła ramionami.

- To wymaga pewnych wyjaśnień.

8.22 PUSTYNIA

Cassandra podeszła do namiotu, specjalnej wersji przeznaczonej do życia na pustyni, zdolnego wytrzymać wiatry do stu kilometrów na godzinę.

Jej zespół dysponował podobnym sprzętem. Większe ciężarówki transportowe tworzyły dodatkową osłonę przed wiatrem i piaskiem.

W namiocie Cassandra strzepnęła piasek z polowego munduru. Nosiła kapelusz z szerokim rondem, zawiązywany pod brodą, a na twarzy chustę. Wiatr był porywisty, szarpał linkami namiotu. Piaskowa burza dudniła niczym pociąg towarowy.

Właśnie wróciła z inspekcji miejsca postoju, upewniła się, czy wszystkie helikoptery zostały dobrze zabezpieczone. Jej ludzie już zamontowali GPS, żeby skorelować ich pozycję ze stacjonarnymi satelitami. Dane powinny napływać do skomputeryzowanego systemu mapowania.

Cassandra miała parę godzin do chwili, gdy elektrostatyka piaskowej burzy zagrozi elektronice, powodując konieczność wyłączenia jej. Będzie mnóstwo czasu na przechwycenie danych z satelity LANDSAT, gdy skupi się na GPS-ie. Radar satelity miał możliwość „zajrzenia” dwadzieścia metrów pod piasek. To dałoby wskazówkę, gdzie zacząć kopać. Skoro tylko burza minie, jej ludzie uruchomią spychacze i koparki. Zanim ktoś zorientuje się, co robią, ich już nie będzie.

Taki był plan.

Cassandra weszła do namiotu. Stało w nim tylko łóżko polowe przykryte grubą wełnianą kapą. Resztę przestrzeni zajmował system łączności satelitarnej. Pozostały sprzęt elektroniczny był spakowany.

Wzięła laptopa i usiadła na łóżku. Podłączyła się do JPL w Houston i wprowadziła kod autoryzacji, żeby zyskać dostęp do danych LANDSAT. Przekaz powinien nastąpić za pięć minut. Dane czekają. Postukała w klawisze i zaczęła ładowanie.

Gdy skończyła, usiadła prosto i patrzyła, jak ekran powoli wypełnia się obrazem pustyni. Widziała ciężarówkę, namioty, nawet wykopaną latrynę. Pierwsza warstwa, powierzchniowa. Świetnie wycelowane.

Wolno rysował się drugi obraz. Głębszy skan.

Cassandra zbliżyła twarz do ekranu.

Teraz widać było różne warstwy skalnego podłoża. Były to skamienieliły zachowane w wapieniu. Dostrzegła wyschnięte koryto rzeki. Wpływała do starożytnego jeziora pogrzebanego gdzieś pod nimi.

Cassandra analizowała ten krajobraz, migawkę z dawnych czasów.

Nie zauważyła niczego znaczącego. Żadnego krateru po meteorycie, nic, co mogłoby zaintrygować.

Odchyliła się. Przekaze to dwóm geologom opłacanym przez. Gildię. Może oni zobaczą więcej.

Hałas przy wejściu do namiotu oderwał jej uwagę od laptopa.

Wszedł John Kane.

- Złapaliśmy sygnał doktor al-Maaz.

Cassandra obróciła się gwałtownie.

- Kiedy? Gdzie?

- Osiem minut temu. Kilka minut zajęło ustalenie współrzędnych. Jej sygnał pojawił się piętnaście kilometrów stąd na zachód. Kiedy ustalaliśmy dane, przestał się przesuwac. Zatrzymała się około ośmiu kilometrów od nas.

Podszedł do mapy leżącej na stole i postukał w nią palcem.

- O, tutaj.

Cassandra nachyliła się i przeczytała nazwę:

- Shisur. Co tam jest?

- Pytałem jednego technika w Tumraitu. Mówi, że to tam, gdzie kiedyś odkryto ruiny Ubaru. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych.

Cassandra wpatrywała się w mapę. Linie, niebieska i czerwona, nadal wyglądały świeżo. Czerwony krąg oznaczał miejsce ich obozu. Położyła palec na tym kręgu i poprowadziła go wstecz wzdłuż linii.

Trafił na Shisur.

Zamknęła oczy. Ponownie odtworzyła w pamięci wyraz twarzy kustoszki, kiedy Cassandra rysowała kółko. Safia wyglądała na nieobecna, obliczała coś w myślach.

- Cholerna suka... - Zacisnęła pięść nad mapą. Zapłonęła w niej złość. Czuła też jednak respekt.

John Kane stał ze ściągniętymi brwiami.

Cassandra popatrzyła jeszcze raz na obraz z LANDSAT.

- Tu nic nie ma. Załatwiła nas. Jesteśmy w złym miejscu.

- Pani kapitan?

Odwróciła się do Kane'a.

- Zbierz ludzi. Wyjeżdżamy. Ciężarówki mają ruszać za dziesięć minut.

- Ale burza piaskowa...

- Pieprzyć. Mamy czas na styk. Nie możemy dać się tu przyszpilić. - Pogoniła Kane'a do wyjścia. - Zostawcie sprzęt, namioty, zapasy. Weźcie tylko broń.

Odwróciła się do jednego z pojemników. Otworzyła go i wyjęła ręczny cyfrowy przekaznik radiowy. Włączyła, ustawiła właściwą częstotliwość i kanał, żeby zgrać się z sygnałem nadajnika Sofii.

Zatrzymała palec nad przyciskiem nadawania. Jeden dotyk i pigułka C4 wybuchnie, rozrywając kręgosłup i zabijając na miejscu. Czuła przemożną chęć, by to zrobić. Zamiast tego jednak wyłączyła urządzenie.

To nie współczucie powstrzymało jej rękę. Safia dowiodła swej zdolności do rozwiązywania zagadek. Taka umiejętność może wciąż być przydatna. Co więcej, Cassandra nie miała pewności, czy u boku tej kobiety jest Painter.

To ważne.

Chciała, żeby Painter widział, jak Safia ginie.

17

OTWIERANIE ZAMKA

4 GRUDNIA, 9.07 SHISUR

Safia zapięła gogle.

- Czy wszyscy mają sprzęt?

- Wygląda, jakby zapadała noc - powiedział Clay. Weszli przez okno do budynku z pustaków. Wybrali go, bo miał solidne drzwi. Poza tym wychodziły na południe, a więc nie na stronę, z której miała uderzyć burza. Poranne niebo zasłaniał wirujący wysoko piasek pogrążający świat w niesamowitym mroku. Strumyki wirującego piasku opływały obie strony budynku, kręcąc się przed drzwiami. Forpoczta burzy. Dalej, serce piaskowego sztormu ryczało i jęczało niczym zgłodniała bestia pożerająca pustynię.

Nie mieli zbyt dużo czasu.

Safia stanęła przed ludźmi zgromadzonymi w pustym pomieszczeniu. Większość budynków w Shisurze była pusta i niezamknięta. Okresowi mieszkańcy po prostu zabrali cały swój dobytek, zostawiając kilka skorup naczyń, brudne popękane talerze w zlewie i bladezielone skorpiony. Zabrano nawet zasłony i firanki.

- Każdy ma wyznaczone miejsce do przeszukania - rzekła Safia. Do ściany przypięła mapę, podzieliła rejon na pięć sekcji, po jednej na każdy wykrywacz metalu, które ukradli z szopy na narzędzia przy ruinach. Mieli radia Motoroli, mogli więc utrzymywać ze sobą kontakt. Wszystkim, poza najmłodszymi dziećmi, dano kilofy i szpadle.

- Jeśli coś wykryjecie, zaznaczcie. Niech inni to wykopią. No, do roboty.

Wszyscy poszukiwacze włożyli czerwonawobrazowe długie koszule dostarczone przez Lu'lu. Twarze zasłonięto chustami. Oczy zakryto goglami. Wyglądali tak, jakby zamierzali nurkować.

- Jeśli znajdziecie coś znaczącego, dajcie znać przez radio. Przyjdę i sprawdzę. I pamiętajcie... - postukała palcem w zegarek na ręku - po czterdziestu pięciu minutach wszyscy wracamy tutaj. Burza uderzy z pełną siłą za niecałą godzinę. Przeczekamy najgorszą burzę tutaj, badając znaleziska, a gdy osłabnie, ruszymy znowu. Jakież pytania?

Nikt nie podniósł ręki.

- No to do roboty.

Trzydziestka poszukiwaczy ruszyła w burzę. Skoro cytadela zdawała się najbardziej prawdopodobnym miejscem dla bram Ubaru, Safia skierowała tam większość członków zespołu. Painter i Clay ciągnęli sanie z GPR-em. Barak niósł wykrywacz metalu na ramieniu jak karabin. Za nim Coral i Kara szły z łopatami i kilofami. Na końcu kroczyły Lu'lu i kobieta, która prowadziła quada. Pozostałe Rahim utworzyły zespoły poszukiwawcze.

Safia wyszła zza rogu budynku, lecz natychmiast cofnęła się pod silnym uderzeniem wiatru. Czuła, jakby pchnęła ją ręka Boga, szorstka i twarda. Pochyliła się i ruszyła w kierunku ruin.

Zauważyła, że Painter przygląda się hodja. Po spotkaniu wymienili się opowieściami o tym, co się z nimi działo. Opowieść Safii była naturalnie najbardziej wstrząsająca i nieprawdopodobna: tajemnicze plemię składające się z samych kobiet, wywodzących się w prostej linii od królowej Saby, co dawało im dziwne siły mentalne, których źródłem było miasto Ubar. Choć twarz Paintera była skryta pod goglami i chustą, jego postawa wyrażała niewiarę i wątpliwości.

Przecięli wieś i przez wrota weszli do ruin. Grupy udały się do wyznaczonych sekcji. Omaha i Danny zasalutowali, zbliżając się do dziury przy cytadeli. Zapadlisko stanowiło kolejne prawdopodobne miejsce znalezienia czegoś wartościowego, skoro róg fortecy zapadł się właśnie tam.

Omaha jednak nie czuł się zbyt szczęśliwy, że przydzielono mu takie zadanie. Od pojawienia się Safii śledził każdy jej krok, siadał obok niej i wciąż się w nią wpatrywał. Ona zaś czuła ten przyływ uwagi sprawiający, że była trochę zażenowana, a trochę zirytowana. Rozumiała jednak ulgę, jaką odczuł po odnalezieniu jej żywej i całej, więc nie dyskutowała z nim.

Painter natomiast trzymał się od niej z daleka, beznamiętny i sprawny w działaniu. Stale czymś się zajmował, słuchał opowieści Safii, nie okazując żadnych emocji. Coś między nimi się zmieniło, czuli się w swoim towarzystwie niezręcznie. Wiedziała dlaczego. Zmusiła się, żeby nie podnieść ręki do szyi i nie pomasować miejsca, którego dotknęło ostrze jego sztyletu. Pokazał inną twarz. Żadne nie wiedziało, jak się zachować. Ona była wstrząśnięta i niespokojna. On zamknął się w sobie.

Safia prowadziła swój zespół ku fortecy na wierzchołku. W miarę jak znajdowali się coraz wyżej, otwierał się przed nimi układ ruin. Minęło dziesięć lat, od kiedy Safia na nie patrzyła. Wcześniej była tu tylko zrujnowana cytadela, po prostu góra kamieni i krótki odcinek muru. Teraz wszystkie mury otaczające kompleks zostały odkopane z piasku i częściowo odbudowane przez archeologów.

Odkopano nawet zapadlisko głębokie na ponad metr.

Większość uwagi poświęcono jednak cytadeli. Kamienie ze stert dopasowano do siebie jak w puzzlach. Zamek był zbudowany na planie kwadratu o boku trzydziestu metrów, zwieńczony okrągłą wieżą.

Safia wyobraziła sobie strażników spacerujących po murach, wypatrujących intruzów, obserwujących nadciągające karawany. Poniżej żyło gwarne miasteczko: kupcy zachwalali naczynia, barwne tkaniny, wełniane dywany, oliwę, piwo palmowe, wino z

daktyli. Kamieniarze pracowali przy podwyższaniu wałów, w całym mieście czekały psy, ryczały wielbłądy, a dzieciaki biegały między kramami, śmiejąc się beztrudnie. Za murami zieleniły się nawadniane pola sorgo, bawełny, pszenicy i jęczmienia. Była to oaza handlu i życia.

I nagle, pewnego dnia, wszystko się skończyło. Miasto zostało zniszczone, ludzie uciekli. Ubar zniknął pod zwałami piasku i lat.

To jednak znajdowało się na powierzchni. Opowieści o Ubarze sięgały głębiej, mówiły o magicznych mocach, królach, tyranach, bezcennych skarbach, o mieście o tysiącu kolumn.

Safia zerknęła na kobiety, jedną starą, jedną młodą, podobne do siebie jak bliźniaczki. Jak łączą się dwie opowieści o Ubarze, ta mistyczna i ta realna? Tkwią ukryte w ziemi. Była tego pewna.

Doszła do wejścia do cytadeli i podniosła wzrok na fortecę.

Painter zapalił latarkę i skierował jasny snop światła do wnętrza budowli.

- Powinniśmy zaczynać.

Przeszła przez próg. Wiatr ucichł, a odległy ryk burzy zamienił się w pomruk.

Dołączyła do niej Lu'lu.

Barak wszedł za nimi, włączając wykrywacz metalu. Zaczął przesuwac nim za Safią, jakby zacierał jej ślady.

Siedem kroków w dół otworzyło się pomieszczenie bez okien, jaskinia zbudowana przez człowieka.

Tylną jego ścianę stanowiła sterta kamieni.

- Przeszukaj izbę - poleciła Safia Barakowi. Wysoki Arab skinął głową i rozpoczął pracę. Painter i Clay ustawili GPR-y według jej instrukcji.

Safia przesunęła snopem światła latarki po suficie i ścianach. Nie były niczym ozdobione. Ktoś kiedyś palił tu ognisko. Sadza poczerńiła sufit.

Safia chodziła po izbie, szukając jakiegoś tropu. Barak maszerował tam i z powrotem i przesunął wykrywaczem po ścianach i podłodze. Izba była niewielka, więc nie zajęło mu to dużo czasu. Ani jednego sygnału.

Safia stała pośrodku izby, która była jedynym ocalałym pomieszczeniem sanktuarium. Wieża zawałiła się do wnętrza, niszcząc wszystkie pomieszczenia znajdujące się pod nią.

Painter włączył GPR, pstryknął włącznikiem przenośnego monitora. Safia podeszła i analizowała skan bardziej zaznajomiona z odczytami. Jeśli istniały jakiegokolwiek podziemne pomieszczenia, GPR je pokaże.

Ekran pozostawał ciemny. Nic. Lita skała. Wapień.

Wyprostowała się. Jeśli istniało jakieś sekretne serce Ubaru, musi tkwić pod ziemią. Tylko gdzie?

Może Omaha i jego zespół będą mieli więcej szczęścia.

Safia uniosła radio.

- Omaha, słyszysz mnie?

Krótką pauza.

- Taa, co jest? Znaleźliście coś?

- Nie. Macie może coś tam na dole?

- Właśnie kończymy przeczesywanie detektorem, ale na razie nic.

Safia zmarszczyła brwi. Dwa najbardziej prawdopodobne miejsca okazały się puste. To tutaj mieściło się duchowe centrum Ubaru, królewski dom. Antyczna królowa zapewne chciała mieć bezpośredni dostęp do sekretnego serca miasta. Wejście musi być blisko.

Safia zwróciła się do Lu'lu:

- Wspominałaś, że po tej tragedii królowa zamknęła Ubar i ukryła klucze.

Lu'lu potwierdziła skinieniem głowy.

- Dopóki czas nie dojrzeje, by ich ponownie użyć.
- Więc brama nie została zniszczona, kiedy otworzyło się zapadlisko? - Zastanowiła się nad tym, wyczuwając trop.
- Może powinniśmy przynieść klucze tutaj? - podsunął Painter.
- Nie. - Safia odrzuciła tę możliwość. Klucze będą ważne dopiero wtedy, gdy zostanie znaleziona brama. Ale gdzie, jeśli nie w cytadeli?

Painter westchnął i skrzyżował ramiona na piersi.

- A może zmienimy kalibrację radaru, zwiększymy intensywność, poszukamy głębiej?

Safia pokręciła głową.

- Nie, nie, zabieramy się do tego od złej strony. Za dużo technologii. To nie rozwiąże tej łamigłówki.

Painter wyglądał na urażonego. Technologia była jego konikiem.

- Myślimy zbyt nowocześnie - tłumaczyła Safia. - Wykrywacze metalu, radar, siatki, mapowanie... To już robiono. Brama, żeby przetrwać tak długo, musi być wtopiona w krajobraz. Inaczej już by ją znaleziono. Musimy przestać dać się prowadzić narzędziom, a zacząć myśleć.

Zauważyła, że stara kobieta patrzy na nią. Miała twarz królowej, która zamknęła Ubar. Czy jednak miały tę samą naturę?

Safia wyobraziła sobie Reginalda Kensingtona zastygłego na wieki w szkłe niczym symbol cierpienia. Stara kobieta milczała przez tyle lat. Musiała wykopać ciało i dobrze je ukryć. Dopiero odkrycie kluczy do Ubaru przełamało jej milczenie i mogła ujawnić swe sekrety. W tym wszystkim tkwiła bezlitosna determinacja.

Jeśli antyczna królowa przypominała hodja, to była równie bezlitośnie zdeterminowana, by chronić Ubar. Musiała być bezwzględna.

Safia czuła, jak lodowacieje, gdy przypominała sobie pytanie: Jak brama mogła przetrwać zapadnięcie się miasta? Znała odpowiedź. Zamknęła oczy. Czuła podziw i lęk. Złe na to wszystko patrzyła. Wróć. Wszystko ma jakiś chory sens.

Painter musiał wyczuć jej lęk.

- Safio?
- Wiem, jak zamknięto bramę.

9.32

Painter wracał pospiesznie do domu, w którym została reszta sprzętu. Safia posłała go po skaner Rad-X, odpowiednik licznika Geigera, ale bardziej czuły. Stanowił część ekwipunku zabranego z mitsubishi Cassandry. Cassandra pokazała Safii, że żelazne serce wykazuje śladowe promieniowanie produktów rozpadu antymaterii, żeby przekonać ją do prawdziwych powodów tych poszukiwań.

Wraz ze skanerem Painter odkrył całą skrzynkę sprzętu pomiarowego, bardziej wyrafinowanego niż cokolwiek, co znał. Coral popatrzyła na wszystko łakomie, ale jedyny jej komentarz brzmiał:

- Fajne zabawki.

Painter wziął całą skrzynkę. Safia na coś wpadła.

Burza atakowała go, kiedy przechodził przez drewniane wrota w głąb ruin. Piasek kłuł każdy odsłonięty kawałek skóry, wiatr szarpał chustę i oponczę. Pochylił się nisko. Ranek stał się zmierzchem. A to przecież dopiero początek burzy.

Na północy świat zamykała ściana ciemności przecinana pajęczymi błyskami błękitnego ognia. Wyładowania elektrostatyczne. NASA wykonała badania dla projektowanej

podróży na Marsa, by ocenić, jaki sprzęt i jacy ludzie mogliby przetrzymać takie piaskowe burze. Okazało się, że to nie piasek i pył najbardziej zagrażają elektronicznemu wyposażeniu, ale silne wyładowania elektrostatyczne będące wynikiem połączenia suchego powietrza i energii kinetycznej. Wystarczające, by usmażyć obwody w sekundy, by spalić skórę. I właśnie teraz burza mieszała w gigantycznym kotle elektrostatyki.

Painter szedł w stronę niskiego wzgórza, po czym skierował się w dół zamiast w górę, podążając stromym szlakiem opadającym do dna zapadliska. Dłuższa oś dziury ciągnęła się ze wschodu na zachód. Nad zachodnim końcem górowała cytadela.

Safia z zespołem kulili się na przeciwległym krańcu. Teraz już i Rahim zebrali się wokół skraju zapadliska. Większość leżała płasko na brzuchach, żeby nie wystawiać się na uderzenia wiatru.

Painter zsuwał się w dół. Osiągnąwszy dno, przyspieszył.

Safia, Omaha i Kara pochylali się nad monitorem GPR. Safia stuknęła palcem w ekran.

- Właśnie tutaj. Patrzcie na tę kieszeń. Tylko metr od powierzchni - mówiła.

Omaha się odchylił.

- Clay, przeciągnij radar pół metra do tyłu. Tak, tutaj.

Painter dołączył do nich.

- Coście znaleźli? - zainteresował się.

- Komnatę - odpowiedziała Safia. Omaha zmarszczył brwi.

- To tylko pozostałość po dawnej studni. Dawno wyschłej. Jestem pewny, że już została opisana przez innych badaczy.

Painter podszedł bliżej, kiedy Omaha kliknął przyciskiem na monitorze. Na ekranie pojawił się rozmazany trójwymiarowy przekrój terenu. Miał stożkowaty kształt.

- W najszerszym miejscu mierzy tylko trzy metry - rzekł Omaha. - Po prostu część pierwotnej cysterny, która się nie zapadła.

- Wygląda jak ślepa kieszeń - zgodziła się Kara.

Safia wyprostowała się.

- Nie, nie jest ślepa. - Popatrzyła na Paintera. - Przyniosłeś detektor promieniowania?

Podniósł skrzynkę.

- Tak.

- Włącz.

Otworzył skrzynkę, ustawił odpowiednio pręt wykrywacza i włączył. Podczas kalibrowania czerwona wskazówka kiwała się w obie strony. Mrugające zielone światelko jarzyło się jednolitą barwą.

- Gotowe.

Powoli obrócił się po okręgu. Czego Safia się spodziewa? Czerwona wskazówka tkwiła na zerze,

- Nic! - zawołał.

- Mówiłem ci... - zaczął Omaha.

- Teraz sprawdź lico urwiska - przerwała mu i Safia wskazała na skalną ścianę. - Podejdź bliżej.

Painter postąpił według instrukcji, trzymając detektor przed sobą niczym drążek sterowy. Piasek wirował po wnętrzu zapadliska kręcony przez wichry wiejące w górę. Nachylił się nad skanerem, kiedy podszedł do skały.

Wskazówka zatańczyła.

Przytrzymał skaner, osłaniając go własnym ciałem od wiatru. Wskazówka zatrzymała się. Odczyt był bardzo słaby, ale pozytywny.

- Mam tu coś! - krzyknął przez ramię.

Safia machnęła ręką.

- Musimy kopać tu, metr w dół. Otworzymy kieszeń.

Omaha sprawdził godzinę.

- Mamy jeszcze tylko dwadzieścia minut.

- Zdamy. To tylko ubity piasek i małe skałki. Jeśli kilka osób zacznie kopać...

Painter zgodził się, poczuł przypływ podniecenia.

- Do roboty.

W mniej niż minutą kopiący zabrali się do pracy. Safia stała z boku z ręką na temblaku.

- Potrafisz to wytłumaczyć? - spytał Omaha.

- Muszę być pewna. Zabraliśmy się do tego wszystkiego ze złej strony. Wszyscy wiedzieliśmy, że zapadlisko otworzyło się pod miasteczkiem przy Ubarze i zniszczyło połowę, wyganiając resztę ludzi w zabobonnym lęku przed gniewem Boga. Po tej tragedii ostatnia królowa zamknęła Ubar, żeby chronić jego tajemnice.

- Więc? - zapytała Kara, stając obok hodja.

- Nie uderzyło was, że brama była tak położona, że uniknęła zniszczenia? Że kiedy mieszkańcy miasteczka uciekali, królowa została i zapieczętowała bramę tak, by nigdy nie została odkryta, wykuła i ukryła klucze w świętych miejscach?

- Tak, to dziwne - przyznała Kara.

- Wiem, do czego zmierzasz. - Omaha spojrział na kopiących, potem znów na Safię, i złapał ją za zdrową rękę. - Patrzyliśmy od dupy strony.

- Czy może ktoś przetłumaczyłby to nam, laikom? - spytał Painter zirytowany, że Omaha wie to, czego on jeszcze nie wie.

Omaha wyjaśnił:

- Chronologia musiała być zła. Problem kura-jajko. Uważaliśmy, że to zapadlisko stanowiło przyczynę zaniknięcia Ubaru.

- Teraz widzę to w innym świetle - dodała Safia. - Postawcie się na miejscu królowej. Co taka katastrofa znaczyła dla domu królewskiego? Prawdziwe bogactwo Ubaru, źródło jego siły, rozciągało się dookoła. Królowa mogła to wszystko po prostu odbudować. Miała i bogactwo, i potęgę.

Omaha wpadł Safii w słowo, przecież już razem pracowali i doskonale się rozumieli.

- Miasto nie było ważne. To tylko fasada skrywająca prawdziwy Ubar. Narzędzie.

- Sposób na ukrycie bramy - sprecyzowała Safia.

Kara pokręciła głową równie zdezorientowana jak Painter. Omaha westchnął.

- Co królową przestraszyło tak bardzo, że zrezygnowała z bogactw i potęgi Ubaru, co zmusiło ją i jej następczynię do koczowniczego życia na obrzeżach cywilizacji? Czy naprawdę myślicie, że tym czymś było zwykłe zapadnięcie się gruntu?

- Chyba nie - mruknął Painter. Zauważył, że Omaha i Safia są w swoim żywiole. On znalazł się poza nawiasem. Zapłonęła w nim zazdrość.

Safia podjęła wątek:

- Coś przeraziło rodzinę królewską tak bardzo, że postanowili odciąć Ubar od świata. Nie wiem, co to było, ale królowa nie działała w pośpiechu. Zwróćcie uwagę, jak metodycznie wszystko zaplanowała. Przygotowała klucze, ukryła w miejscach świętych dla ludu. Czy to wygląda na działanie irracjonalne? To było zaplanowane, pierwszy krok do zapieczętowania Ubaru.

Safia spojrzała na Omahę.

On zaś wypełnił ostatnie puste pole:

- Królowa celowo spowodowała zapadnięcie się miasta.

Zapadła pełna zdumienia cisza.

- Zniszczyła własne miasto? - spytała w końcu Kara. - Dlaczego?

- Miasto było tylko środkiem do celu. Królowa znalazła dla niego ostateczne zastosowanie. Pogrzebanie bramy Ubaru - wyjaśniła Safia.

Omaha rozejrzył się dookoła.

- Ten czyn miał także inny cel. Psychologiczny. Odstępował ludzi, budził strach przed zbliżeniem się do tego miejsca. Założę się, że królowa sama puściła w obieg parę historyjek o gniewie Boga. Czy istnieje na tych terenach lepsza wersja tekstu „wstęp wzbroniony”?

- Jak na to wpadliście? - chciał wiedzieć Painter.

- Zgadliśmy - odrzekła Safia. - Musiałam to sprawdzić. Jeśli zapadlisko powstało, by coś pogrzebać, to coś musiało tutaj być. Skoro zaś wykrywacze metalu nie znalazły niczego, to obiekt albo znajdował się za głęboko, albo było to jakieś pomieszczenie.

Painter spojrzął na kopiące kobiety. Safia ciągnęła:

- Co do grobowców to królowa ukryła tropy pod mitami i symbolami. Nawet pierwszy klucz, żelazne serce, symbolizuje serce Ubaru. A w większości miast sercem jest studnia. Tak więc ukryła bramę Ubaru w studni, zakopała w piasku, jak żelazne serce było ukryte w piaskowcu, a potem spowodowała zapadnięcie.

- Wyganiając ludzi - dodał Painter, po czym odchrząknął i spytał: - A co z natężeniem promieniowania?

- Do zawalenia wypłukanej jaskini potrzebny był dynamit - odrzekł Omaha.

Safia skinęła głową.

- Albo jakiegoś rodzaju eksplozja antimaterii.

Painter spojrzął na Lu'lu. Hodja przez cały czas stała bez ruchu. Czy jej przodkinie dysponowały taką potęgą?

Kobieta chyba zauważyła jego zainteresowanie i poruszyła się niespokojnie. Oczy miała skryte za goglami.

- Nie. To oszczerstwo - rzekła. - Królowa nie zabiłaby tak wielu niewinnych tylko po to, żeby ukryć sekret Ubaru.

Safia podeszła do niej.

- Ani wewnątrz, ani wokół zapadliska nigdy nie odnaleziono żadnych ludzkich szczątków. Musiała znaleźć sposób na ewakuację ludzi. Jakąś uroczystość czy coś w tym rodzaju. Potem spowodowała katastrofę. Wątpię, czy ktokolwiek tu zginął.

Kobieta nie wyglądała jednak na przekonaną.

- Coś tu mamy! - krzyknął nagle Danny. Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

- Chodźcie zobaczyć, zanim zaczniemy dalej kopać.

Painter i reszta podeszli. Coral i Clay odsunęli się, robiąc im miejsce. Danny wskazywał coś szpadlem.

Pośrodku wykopu ciemnoczerwony piasek zmienił się w śnieg.

- Co to jest? - zapytała Kara.

Safia zeskoczyła do wykopu, uklękła i przesunęła ręką po powierzchni.

- To nie piasek. - Podniosła głowę. - To żywica.

- Co? - zdziwił się Painter.

- Srebrna żywica - sprecyzowała Safia i wstała. - Taka sama, jaką znalazłam na żelaznym sercu jako zatyczkę. Kosztowny rodzaj cementu. Zamyka szczyt ukrytej komnaty jak korek w butelce.

- A co jest pod nim? - zapytał Painter.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

9.45

Cassandra mocniej przytrzymała laptopa, kiedy szybki ciągnik M4 przekraczał kolejną niewielką wydmy. Ten pojazd transportowy wyglądał jak brązowa przyczepa mieszkalna, balansująca na czołgowych gaśnienicach, i mimo osiemnastu ton wagi pożerał krajobraz ze sprawnością bmw na autostradzie.

Utrzymywała rozsądną prędkość, z respektem dla terenu i aury. Widoczność była kiepska, zaledwie na kilka metrów. Wzbijany przez wiatr piasek unosił się dookoła, tworząc na wierzchołkach wydm pióropusze. Niebo pociemniało, a słońce stało się zamglonym księżycem. Nie ważyła się ryzykować, że ciągnik zabuksuje. Nigdy nie udałoby się go wyciągnąć. Poruszali się więc bardzo ostrożnie.

Pięć ciężarówek terenowych jechało po śladach większego od nich ciągnika. Z tyłu podążały platformy z jednoosobowymi helikopterami.

Spojrzała na zegar w rogu ekranu laptopa. Za dwadzieścia minut będą w Shisurze.

Nie odrywała wzroku od ekranu. Miała na nim dwa okna podglądu. Na jednym był przekaz w czasie rzeczywistym z satelity NOAA, który śledził drogę burzy. Nie wątpiła, że dotrą do schronienia w oazie, zanim burza uderzy z pełną siłą. Bardziej przejmowała się tym, że układ wysokiego ciśnienia znad wybrzeża przesuwa się w głąb lądu i w ciągu kilku godzin zderzy się z burzą pustynną.

Drugi podgląd wyświetlał inną mapę rejonu, topograficzny schemat tego kawałka pustyni. Był na nim zaznaczony każdy budynek i konstrukcja w Shisurze, łącznie z ruinami. W ich centrum jarzył się mały, błękitny i wirujący krążek rozmiaru gumki przy ołówku.

Doktor Safia al-Maaz.

Cassandra wpatrywała się w niebieską poświatę. Co masz zamiar zrobić? Ta kobieta sprowadziła ją na manowce, daleko od spodziewanej nagrody. Myśli, że ukradnie ją Cassandrze sprzed nosa pod osłoną burzy. Spryciula. Tyle że inteligencja zaprowadziła cię tylko do tego miejsca. Siła też jest konieczna. Tego nauczyła się w Sigmie, która łączyła siłę i umysł. „Suma wszystkich ludzi” - motto Sigmy.

Teraz Cassandra nauczy tego panią doktor al-Maaz.

Ty możesz być mądra, ale ja mam siłę.

Zerknęła w boczne lusterko na karawanę pojazdów. Jechała w nich setka mężczyzn, z wojska i z Gildii, wyposażonych w ostatnie osiągnięcia techniki militarnej. Bezpośrednio za nią, w przedziale transportowym ciągnika, siedział John Kane ze swymi ludźmi. Karabiny szczękały, kiedy dokonywali śmiertelniegroźnego sakramentu ostatniego sprawdzenia broni. Byli najlepsi z najlepszych, stanowili jej gwardię pretoriańską.

Cassandra starała się przebić wzrokiem mroczny i omiatany wiatrem pejzaż.

Doktor al-Maaz może właśnie odkrywa tam skarb.

W końcu jednak to Cassandra go dostanie.

Znowu spojrzała na ekran laptopa. Burza pożerała mapę regionu, połykając wszystko, co napotkała na swej drodze. W drugim oknie jarzył się plan miasteczka i ruin.

Nagle Cassandra zadrżała. Niebieski krążek zniknął z mapy.

Doktor al-Maaz zniknęła.

9.53

Safia stała na drabinie schodzącej do nowo odkrytego pomieszczenia. Patrzyła w górę na Paintera, choć oślepiało ją światło jego latarki. Błysnął jej w pamięci moment w muzeum, kiedy zwisła ze szklanego dachu, a on dodawał jej otuchy, gdy czekali na ochronę. Teraz role się odwróciły. On był na górze, ona na dole.

- Jeszcze tylko kilka szczebli - powiedział, a chusta łopotała na wietrze wokół jego szyi.

Popatrzyła na Omahę na dole. Mocno trzymał drabinę.

- Nic się nie bój - rzucił.

U jego stóp leżały okruchy żywicy, a powietrze przesycił ich zapach. Kiedy się przebili, Omaha opuścił w dół świeczkę po to, by sprawdzić, jakie jest powietrze, i po to, by oświetlić wnętrze. Zszedł po składanej drabinie, żeby obejrzeć komnatę. Dopiero gdy

usatysfakcjonowało go to, co zobaczył, pozwolił, żeby zeszła Safia. Z lewą ręką na temblaku musiała trzymać się tylko prawą ręką.

Z trudem zeszła po ostatnich szczeblach. Ramię Omahy odnalazło talię Safii, a ona z wdzięcznością się na nim oparła. Pomógł jej stanąć na ziemi.

- Nic mi nie jest - powiedziała, kiedy nadal trzymał ją za łokieć.

Puścił ją.

Tu nie dochodziło wycie wiatru i Safia miała wrażenie, jakby ogłuchła.

Painter też wszedł na drabinę i po chwili był na dole. Wkrótce wnętrze oświetlały trzy latarki.

- To jak być w środku piramidy - orzekł Painter.

Safia pokiwała głową. Trzy szorstkie ściany łączyły się, tworząc na górze otwór.

Omaha uklęknął na ziemi i zaczął przesuwac po niej ręką.

- Piaskowiec - powiedziała Safia. - Wszystkie trzy ściany i podłoga.

- Czy to istotne? - zapytał Painter.

- Nie jest naturalne. Ściany i podłoga to wycięte bloki piaskowca. To konstrukcja stworzona przez człowieka. Przypuszczam, że zbudowana na podłożu wapiennym. Potem wokół nasypało piasku, zatkało dziurę na górze i pokryto kolejną warstwą.

Omaha popatrzył w górę.

- Żeby się upewnić, że nikt tego nie znajdzie, zasypali jaskinię i straszili ludzi opowieściami o duchach.

- Ale po co to wszystko? - zastanawiał się Painter. - Co to niby ma być?

- Czy to nie oczywiste? - skrzywił się Omaha.

Safia stwierdziła, że wygląda niesamowicie: gogle miał pod brodą, odrzucił chustę i kaptur. Nie golił się od paru dni i na policzkach i brodzie widać było brązowy zarost. Włosy sterczały mu na wszystkie strony. Zapomniała, jak wygląda w terenie. Na wpół dziki, nieoswojony. Był w swoim żywiole, lew w buszu.

Kochał to wszystko, ona kiedyś też. Była dzika i nieposkromiona, była jego towarzyszką, kochanką, przyjaciółką, koleżanką. A potem Tel Awiw...

- Co jest oczywiste? - drażył Painter. Omaha machnął ręką.

- Ta konstrukcja. Widziałeś już taką dzisiaj.

Painter zmarszczył brwi.

Safia wiedziała, że Omaha się z nim drażni. Nie ze złości, ale dlatego, że to zabawne.

- Walnęliśmy w taki jeden, znacznie mniejszy, kiedy zjeżdżaliśmy z gór.

Oczy Paintera rozszerzyły się, omiół wzrokiem pomieszczenie.

- Te kamienie modlitewne...

- Trylity - poprawił go Omaha. - Stoimy wewnątrz olbrzymiego trylitu.

Safia podejrzewała, że Omaha ma ochotę skakać z radości i, szczerze mówiąc, jego podniecenie było zaraźliwe. Też nie mogła ustać w miejscu.

- Musimy przynieść tu klucze - powiedziała.

- A co z burzą? - ostrzegł Painter.

- Pieprzyć ją - prychnął Omaha. - Ty i pozostali możecie iść do miasteczka i przeczekać. Ja zostaję tutaj. - Jego wzrok spoczął na Safii.

Skinęła głową.

- To dobre schronienie. Gdyby ktoś opuścił tutaj serce i klucze, wodę i trochę jedzenia, to może udałoby nam się rozwiązać zagadkę w czasie, gdy przyjdzie najgorsze uderzenie burzy. Inaczej stracimy cały dzień.

Painter westchnął.

- Ja też powinienem zostać.

Omaha machnął lekceważąco ręką.

- Crowe, tutaj nie ma z ciebie żadnego pożytku. Mówiąc twoimi słowami: to tutaj to moja dziedzina, a broń, operacje wojskowe... są twoje. Tutaj tylko zajmujesz miejsce.

W błękitnych czach Paintera zaczęły zbierać się burzowe chmury.

Safia położyła dłoń na jego ramieniu.

- Omaha ma rację. Mamy radio, gdybyśmy czegoś potrzebowali. Ktoś musi zadbać o bezpieczeństwo wszystkich, kiedy uderzy burza.

Z widoczną niechęcią Painter podszedł do drabiny. Spojrzał na Safię, potem zerknął na Omahę i się odwrócił.

- Dajcie znać przez radio, czego wam potrzeba! - krzyknął, gdy znalazł się na górze.

Safia zdała sobie sprawę, że jest z Omahą sam na sam. To, co chwilę temu jawiło się jako naturalne, teraz stało się krępujące, jakby powietrze nagle nabrało gorzkiego smaku. Pomieszczenie stało się ciasne, zbyt ciasne, klaustrofobiczne. Może to nie był najlepszy pomysł?

- Skąd zaczniemy? - spytał Omaha odwrócony do Safii plecami.

- Szukamy tropów.

Omaha oświetlił latarką ściany. Wydawały się identyczne.

Jedynym znacznikiem był mały kwadrat, dziurka wycięta w połowie jednej ze ścian, może dla zawieszenia lampy olejnej.

Omaha podniósł z ziemi wykrywacz metalu.

Safia machnęła ręką, żeby go odłożył.

- Wątpię, żeby...

Skoro tylko Omaha włączył zasilanie, detektor zrobił „ping”. Omaha uniósł brwi.

- Pogadajmy o szczęściu początkującego.

Kiedy jednak uniósł urządzenie, nadal wydawało dźwięk, jakby wszędzie wokół był metal. Zbliżył je do ściany. To samo.

- Okay - poddał się. - Zaczynam naprawę nienawidzić tej królowej.

- Ukryła igłę w stogu siana.

- To wszystko musi być za głęboko dla detektorów powierzchniowych. Pora na niższą technologię. - Omaha wyciągnął notes i ołówek. Z kompasem w ręku zaczął sporządzać mapę trylitu. - Ale co z tymi kluczami? - zastanawiał się.

- Jak to co?

- Jeśli pochodzą z czasów upadku Ubaru, to jak mogły się znaleźć w posągu z dwusetnego roku przed naszą erą? Albo w grobowcu Hioba? Ubar upadł w trzysetnym roku naszej ery.

- Rozejrzyj się - odrzekła Safia. - To byli świetni fachowcy, rzeźbiarze piaskowca. Musieli znaleźć te święte miejsca, zrównoważyć źródło energii w kluczach, jakiegokolwiek by ono było. Antymateria czy nie. I umieścić przedmioty w elementach już istniejących konstrukcji w grobowcach: posąg w Salalah, ściana modlitewna w grobowcu Hioba. Potem zamaskowali wszystko piaskowcem tak umiejętnie, że nie pozostawili śladu swej roboty.

Omaha kiwał głową, nie przerywając szkicowania. Warknięcie radia spowodowało, że oboje drgnęli. To Painter.

- Safio, mam serce i klucze. Przyjdę z wodą i jedzeniem. Czego jeszcze potrzebujecie? Wiatr się wzmaga.

Safia zastanowiła się, patrząc na otaczające ją ściany, nagle uświadamiając sobie, co jeszcze może im się przydać. Powiedziała to Pointerowi.

- W porządku, przyniosę.

Kiedy się rozłączyła, stwierdziła, że Omaha uważnie jej się przygląda. Za szybko spuścił oczy na notatki.

- Naszkicowałem najlepiej, jak umiałem - wymamrotał i pokazał jej diagram.

- Jakies pomysły? - zapytała.

- Cóż, tradycyjnie te trzy kamienie trylitu symbolizują trójcę niebieską: Sada, Hird i Haba.

- Księżyc, słońce i gwiazda poranna - przetłumaczyła Sa-fia. - Trójca czczona przez wczesne religie tego regionu. Królowa znowu pokazała, że nie faworyzuje żadnej religii.

- Ale który kamień reprezentuje które ciało niebieskie?

- Skąd zaczynamy?

- Powiedziałbym, że rano. Gwiazda poranna pojawia się na niebie na południowym wschodzie. - Omaha poklepał stosowną ścianę. - To się wydaje dość oczywiste.

- Zostają dwie ściany - Safia przejęła pałeczkę. - Północną ścianę ustawiono wzdłuż osi wschód-zachód.

- To droga przebywana przez słońce w ciągu dnia.

Safia się rozpromieniła.

- Nawet ta mała dziurka w północnej ścianie mogłaby przedstawiać okienko wpuszczające słońce do środka.

- To zostawia ostatnią ścianę dla księżyca. - Omaha podszedł do południowo-zachodniej ściany. - Nie wiem, dlaczego ta przedstawia księżyc, ale Sada dominowała nad trójcą w pojęciu pustynnych plemion Arabii. Musi więc być istotna.

Safia zgodziła się z nim. W większości kultur słońce odgrywało rolę boskiej dominanty, jako największe, życiodajne i ogrzewające. Jednak na pustyniach było śmiertcionośne i bezlitosne. Dlatego to Sada, księżycowi, oddawano największą cześć, jako dawcy chłodu. To księżyc zsyłał deszcz. Przedstawiany był jako byk o rogach w kształcie półksiężyca. Każdą kwadrę zwano Ilah, co przez wieki przekształciło się w nazwę boga. Po hebrajsku El lub Elohim. Po arabsku Allah. Księżyc dominował.

- Niemniej ściana wydaje się ślepa - zauważył Omaha.

- Coś musi tu być. - Safia dotknęła ściany. Była szorstka, miejscami podziurawiona.

Chrzęst piasku obwieścił nadejście Paintera.

Omaha wspiął się do połowy drabiny i przekazywał Safii zapasy.

- Jak wam idzie?! - zawołał Painter, opuszczając galon wody w plastikowym kanistrze.

- Powoli - odrzekła Safia.

- Ale robimy postępy - dodał Omaha.

Painter zgiął się wpół pod uderzeniem wiatru. Pozbył się obciążenia i wydawało się, że kolejny poryw zmieni go w latawiec. Omaha zszedł na dół. W ślad za nim posypało się trochę piasku.

- Lepiej się schowaj! - krzyknęła Safia. Painter zsalutował i zniknął w piaskowej zamieci.

- Na czym stanęliśmy? - zapytał Omaha.

10.18

Painter przedzierał się przez burzę. Pył zakrył słońce, pogrążając świat w karmazynie. Widoczność spadła do pół metra. Nawet przez noktowizor widać było na metr. Kiedy przechodził przez wrota, ledwo je widział.

Między budynkami wioski gnany wiatrem piasek płynął pod nogami, sprawiając wrażenie, jakby szedł korytem rzeczki. Jego ubranie trzaskało iskrami wyładowań. W ustach czuł posmak kredy, wargi miał spierzchnięte i suche.

Wreszcie skrył się za budynkiem. Poza bezpośrednim zasięgiem burzy mógł swobodnie oddychać. Piasek kłębił się nad dachem. Painter szedł, opierając się o ścianę domu.

Pół metra przed nim wyłoniła się z ciemności jakaś postać, niczym materializujący się duch. Duch ze strzelbą. Była to jedna ze zwiadowczyń Rahim. Painter nie widział jej, póki o mało się z nianie zderzył. Kiwnął jej głową, kiedy ją mijał. Bez odpowiedzi. Doszedł do drzwi.

Zatrzymawszy się, zerknął za siebie. Zniknęła.

Czy to burza, czy to ich zdolność do wtapienia się w otoczenie? Painter stał w drzwiach. Słyszał opowieść Safii, ale wydawała mu się zbyt nieprawdopodobna. By zademonstrować swe mentalne zdolności, hodja umieściła bladozielonego skorpiona na podłodze i kazała mu powtarzać ósemki, najwyraźniej mając nad nim kontrolę. A może to sztuczka? Jak zaklinanie węża?

Kiedy sięgał do klamki, wiatr lekko zmienił dźwięk. Ryczał nieprzerwanie i Painter właściwie go nie słyszał. Przez chwilę jednak pojawiło się głębsze dudnienie, odgłos raczej przyniesiony wiatrem niż przez wiatr wydawany. Zamarł, nasłuchując, starał się przebić wzrokiem przez zasłonę wirującego piasku. Burza nadal huczała. Dudnienie się nie powtórzyło.

Czy to tylko burza? Popatrzył na wschód. Miał pewność, że dźwięk dobiegł właśnie stamtąd. Szarpnął drzwi i wcisnął się do domu popychany przez wiatr.

Dom był pełen ludzi. Słyszał płacz dziecka na piętrze. Bez trudu znalazł Coral między kobietami, była jak góra lodowa na ciemnym morzu. Czyściła pistolety.

Na jego widok wstała i podeszła szybkim krokiem.

- Co się dzieje? - spytała.

10.22

Wszystkie ciężarówki stały pod osłoną wydmy jedna za drugą, jakby przygotowały się do parady. Mężczyźni garbili się za pojazdami, ale szczegóły rozplywały się w półmroku. Znajdowali się pół kilometra od Shisuru.

Cassandra z Kane'em szła wzdłuż szeregu. Założyła gogle, spodnie khaki i kurtkę z kapturem.

Kane maszerował, jedną ręką osłaniając słuchawkę w uchu i słuchał raportu. Dwudziestoosobowy oddział odmaszerował dwadzieścia minut temu.

- Przyjąłem. Czekajcie na dalsze rozkazy. - Opuścił rękę i nachylił się do Cassandry. - Zespół dotarł do skrajnego miasta.

- Niech otoczą rejon. Miasto i ruiny. Wybrać pozycje dla snajperów. Nie chcę, żeby ktokolwiek czy cokolwiek opuścił to miejsce.

- Aye, pani kapitan. - Wrócił do rozmowy przez laryngofon, przekazał rozkazy.

Dochodzili do sześciu platform ze śmigłowcami. Były przykryte plandekami i przywiązane linami. Doszli do ostatnich dwóch. Mężczyźni ściągali liny mocujące. Plandeka uleciała wysoko, porwana przez wiatr.

Cassandra zmarszczyła brwi.

- To są pańscy najlepsi piloci? - zapytała Kane'a, kiedy ten skończył rozmawiać przez radio.

- Lepiej dla tych sukinsynów, żeby się tacy okazali. - Oczy Kane'a utkwione były w horyzoncie.

Życie Cassandry, jak i Kane'a zależało od powodzenia tej misji. Porażka przy grobowcu postawiła ich w kiepskim świetle. Musieli dowieść swej wartości dowództwu Gildii. Co więcej, Cassandra zauważyła, że jej zastępca się zmienił. Stał się dziki, bez poczucia humoru, wściekły. Został pobity, okaleczony, pogryziony. Dotychczas nikt czegoś takiego Kane'owi i nie zrobił. A jeśli tak, to już dawno nie żył.

Dotarli na miejsce.

Okazało się, że piloci już czekają. Podeszła do nich. Trzymali hełmy pod pachami. Latanie w taką pogodę mogło się odbywać jedynie na podstawie przyrządów. Widoczność była zerowa.

Wyprostowali się, kiedy ją rozpoznali, co było trudne, bo każdy ubrany był w kurtkę z kapturem.

Cassandra zmierzyła ich wzrokiem od stóp do głów.

- Gordon, Fowler, twierdzicie, że zdołacie podnieść wasze ptaszki w powietrze. W takiej burzy?

- Tak jest - odrzekł Gordon, a Fowler skinął głową. - Podłączyliśmy elektrostatyczne filtry piaskowe do silnikowych wlotów powietrza i załadowaliśmy oprogramowanie burzy piaskowej do elektroniki i radaru. Jesteśmy gotowi.

Cassandra nie zauważyła strachu na ich twarzach. Drżeli z podniecenia, jak surferzy gotowi zmierzyć się z wielką falą.

- Macie stale utrzymywać ze mną kontakt - poleciła. - Wiecie, na którym kanale.

Skinęli głowami.

- Jeden niech zrobi zwiad nad miastem, drugi w ruinach. Kane ma uzupełnienie, które załadujecie do oprogramowania pokładowych komputerów. Pozwoli wam to na przechwycenie sygnału obiektu podstawowego. Nie wolno, powtarzam: nie wolno, dopuścić, żeby stało się jej coś złego.

- Zrozumiano - wymamrotał Gordon.

- Do wszystkich innych wrogów strzelać natychmiast po wykryciu - powiedziała Cassandra, a odwracając się, dodała: - No, to zabierajcie wasze ptaszki w powietrze.

10.25

Omaha patrzył, jak Safia na kolanach odgarnia ręką piach z posadzki. Stwierdził, że ma trudności z koncentracją. Zapomniał, jak cudowna była praca z nią. Zauważył małe kropelki potu na jej czole, jak mruży lekko lewe oko, kiedy coś ją zaintryguje, plamę błota na policzku. Oto Safia, jaką zawsze znał... przed Tel Awiwem.

Czy jest dla nich jakaś nadzieja?

Zerknęła na niego.

Poruszył się i odchrząknął.

- Co robisz? Pokojówka jutro sprzątnie - mruknął. Safia usiadła na piętach i poklepała ścianę nad głową.

- To strona południowo-wschodnia. Ten kawałek trylitu symbolizuje gwiazdę poranną wstającą co rano na południowo-wschodnie niebo.

- Zgadza się, sam ci to powiedziałem. Co z tego?

Przez ostatnie dziesięć minut Safia pracowała w milczeniu, układając zaopatrzenie dostarczone przez Paintera, metodycznie jak zwykle. Większość czasu spędziła na przyglądaniu się kluczom. Kiedy Omaha chciał zadać pytanie, uciszała go gestem ręki.

- Określiliśmy już, która ściana odpowiada któremu ciału niebieskiemu - Księżyc, Słońce, Gwiazda Poranna - ale teraz musimy określić, który klucz odpowiada któremu ciału.

Omaha zgodził się z nią.

- Dobra, ale na co liczysz?

- Musimy myśleć w kontekście starożytności. Coś, do czego Cassandra nie jest zdolna, bo, na przykład, przyjęła mile współczesne zamiast rzymskich. Odpowiedź tkwi właśnie w tym. - Safia popatrzyła uważnie na Omahę, sprawdzała go.

Spojrzał na ścianę zdecydowany rozwiązać zagadkę.

- Gwiazda Poranna właściwie nie jest gwiazdą. To planeta. Wenus - przypomniał. - Zidentyfikowana i nazwana przez Rzymian.

Omaha wyprostował się, spojrzął na rzeźbę i serce.

- Wenus była rzymską boginią miłości i piękna. - Ukłękł i dotknął żelaznej włóczni z popiersiem królowej Saby. - I oto skończona piękność.

- Tak właśnie pomyślałam. A więc tak jak w grobowcu Hioba, tutaj też musi być miejsce, żeby wetknąć włócznię. Dziura w ziemi. - Safia kontynuowała poszukiwania.

Omaha szukał w innym miejscu.

- Źle to wykombinowałeś. To ściany mają znaczenie, nie podłoga. - Przesunął dłonią po ścianie i ciągnął, ciesząc się tym pojedynkiem umysłów: - To ta płyta przedstawia Gwiazdę Poranną, więc to w niej znajdziesz...

Głos mu zamarł, gdy namacał głęboką dziurę na wysokości pasa. Wyglądała, jakby powstała w sposób naturalny, łatwa do przeoczenia w półcieniu i półmroku. Wskazujący palec Omahy wszedł cały do środka. Archeolog kucnął.

Safia po chwili była przy nim.

- Znalazłeś?

- Przynies włócznię.

Safia zrobiła to, co poprosił. Omaha wyjął palec i pomógł wetknąć koniec włóczni w otwór. Nie było to łatwe, ponieważ płyta była pochyła. Wreszcie cała włócznia weszła do środka, wystawało tylko popiersie i wyglądało jak myśliwskie trofeum.

- Popatrz, jak ściana nachyla się w tę stronę. Pasuje do jej kości policzkowej. - Safia obróciła popiersie i popchnęła je.

- Pasuje doskonale - przyznał Omaha.

- Jak klucz do zamka.

- Zauważ, gdzie teraz patrzy królowa.

Safia powiodła wzrokiem.

- Na ścianę księżycy.

- To teraz serce - rzekł Omaha. - Należy do słońca czy do księżycy?

- Zgaduję, że do słońca. Księżyc dominuje jako bóg w tym regionie. Jego łagodne światło sprowadza chłodne wiatry i poranną rosę. Uważam, że czegokolwiek będziemy szukali potem, będzie skojarzone z tą ścianą.

Omaha podszedł do ściany północnej. A więc serce należy do tej ściany. Słońce. Okrutna bogini. Safia popatrzyła na serce.

- Bogini o żelaznym sercu.

Omaha uniósł serce. Istniało tylko jedno miejsce, w którym można je było umieścić. W małym okienku wyciętym w północnej płycie. Zanim jednak je tam włożył, przesunął dłonią po wnętrzu niszy. Musiał stanąć na palcach, żeby dosięgnąć jej spodu.

- Tu są nierówności, jak na ścianie - zauważył.

- Kołyska dla serca.

- Zamek i klucz.

Trochę czasu zajęło ustawienie serca tak, żeby dopasować je do nierówności w piaskowcu. Wreszcie jednak spoczęło jak należy. Prosto. Koniec zaklejony żywicą wskazywał ścianę księżycy.

- Okay, powiedziałbym, że to ważna płyta - podsumował Omaha. - Co teraz?

Safia przesunęła rękami po ostatniej ścianie.

- Tu nic nie ma.

Omaha obrócił się powoli.

- Nic, co moglibyśmy zobaczyć po ciemku.

Safia spojrzała na niego i rzekła:

- Światło. Wszystkie ciała niebieskie świecą. Słońce świeci. Gwiazda poranna świeci.

Omaha zmrużył oczy.

- A co oświetlają?

Safia cofnęła się. Znow zauważyła nierówność powierzchni ściany, podziobany krajobraz księżycowy.

- Latarki - szepnęła.

Oboje podnieśli latarki z podłogi. Safia stanęła przy popiersiu, Omaha podszedł do serca w okienku.

- Niech się stanie światło. - Trzymając latarkę nad głową, tak kierował snopem światła, jakby to słońce słało swoje promienie przez okno pod takim kątem, żeby pasował do końca włóczni. - Słońce świeci przez wysokie okno.

- A gwiazda poranna świeci nisko nad horyzontem - dodała Safia, klękając przy popiersiu i celując snopem światła latarki tam, gdzie patrzyła królowa.

Omaha spojrział na ścianę księżycy oświetloną przez obie latarki pod różnymi kątami. Nierówności ściany tworzyły cienie i plamy światła. Światłocień tworzył obraz.

Omaha zmrużył oczy.

- Wygląda jak łeb wielbłąda. Albo może krowy.

- To byk! - Safia popatrzyła na Omahę jaśniejącym jantarem oczu. - Sada, bóg księżycy, jest przedstawiany jako byk z powodu półksiężycy rogów.

Omaha analizował cienie.

- No, ale gdzie są te jego rogi?

Zwierzę na ścianie nie miało nic między uszami.

- Daj mi to, a ja przytrzymam latarkę. - Safia wskazała sprzęt leżący w kącie.

Omaha ustawił latarkę w oknie, oparłszy ją o żelazne serce. Wziął urządzenie, które wyglądało jak strzelba, tyle że lufę miało zakończoną czymś na kształt talerza satelitarnego.

Podał Safii urządzenie, zajmując jej miejsce przy latarce.

Safia przeszła na środek pomieszczenia i wycelowała laserowe wiertło. Na ścianie pojawił się krąg czerwonego światła. Ustawiła go nad postacią z cieni, między uszami.

Nacisnęła spust urządzenia. Czerwone światełka wirowały, a piaskowiec natychmiast zaczął się kruszyć, gdy energia lasera naruszała strukturę kryształów. Zawirował pył, piasek i jakieś błyszczące kawałki. Metalowe wióry. Czerwone.

Skrawki żelaza. Omaha uświadomił to sobie, zrozumiał wreszcie, dlaczego wykrywacz metalu ciągle buczał. Twórcy łamigłówek wymieszali wióry żelaza z piaskiem w skale.

Promień działał jak tornado, wcinając się w piaskowiec, jakby to było miękkie błoto. Omaha trzymał promień nieporuszenie. Pod laserem powoli pojawił się jaśniejszy błysk.

Żelazo.

Safia kontynuowała pracę, przesuwając promieniem w górę i w dół. Po kilku minutach pojawił się łuk rogów umieszczony na szczycie cieniowego obrazu.

- Byk, zdecydowanie - zgodził się Omaha.

- Sada - szepnęła Safia, opuszczając laser. - Księżyc.

Dotknęła skraju wpuszczonych w skałę rogów, jakby chcąc się upewnić, że są prawdziwe. Pod jej dotknięciem sychnął się deszcz błękitnych iskier.

- Auć!

- Nic ci nie jest?

- Nic - odrzekła, strzepując palce. - To tylko elektrostatyka.

Ale cofnęła się o krok i patrzyła na rogi wmontowane w skałę. Rzeczywiście wyglądały jak cienki sierp wystający ze ściany.

Piasek i pył powstałe przy wydobywaniu ich na zewnątrz wirowały w podmuchach wiatru wiejącego na górze, który przybrał teraz na sile i zdawał się wpadać prosto w górny otwór pomieszczenia.

Omaha spojrzął do góry. Ponad zapadliskiem niebo pociemniało, ale coś jeszcze ciemniejszego zakręciło powietrzem, pchając je w dół. Nagle z tego czegoś wystrzelił snop światła.

Och, nie...

10.47

Safia poczuła, że coś łapie ją za pas i odciąga w bok. Omaha wciągnął ją w cień pod pochyłymi płytami.

- Co ty wy...

Zanim zdążyła dokończyć, przez dziurę w dachu trysnął snop światła, filar blasku oświetlił wnętrze trylitu.

- Helikopter! - wrzasnął jej Omaha do ucha.

Safia dopiero teraz usłyszała odległy hałas rotorów na tle tępego ryku burzy. Omaha trzymał ją mocno.

To Cassandra.

Światło zgasło, lecz łomot silnika nie ucichł.

Safia uklękła obok Omahy. Kiedy snop światła zniknął, pomieszczenie wydało się mroczniejsze.

- Muszę ostrzec Paintera - powiedziała.

Podpełzła do radia. Kiedy po nie sięgała, trzasnęło kolejne wyładowanie, kłując jak osa. Szarpnęła rękę. Dopiero teraz uświadomiła sobie wzrost elektrostatyki, czuła ją na skórze, jakby chodziły po niej mrówki. Włosy trzaskały iskrami. Spojrzała na Omahę.

- Safio, cofnij się tutaj.

Oczy Omahy rozszerzyły się. Okrążył pomieszczenie, idąc przy ścianie, żeby dotrzeć do Safii. Uwagę skupił nie na helikopterze, ale na środku izby.

Safia dołączyła do niego. Wziął ją za rękę. Przebiegł między nimi prąd, wstrząsając obojgiem.

Pośrodku pomieszczenia, gdzie przed chwilą padał promień reflektora, jarzyła się niebieskawa poświata. Migotała, toczyła się w powietrzu, kołysała upiornie. Powoli skupiała się, wirując ku środkowi.

- Elektrostatyka - rzekł Omaha. - Patrz na klucze. Trzy żelazne przedmioty - serce, popiersie i rogi - emanowały mglistą czerwoną poświatą.

- Wyciągają elektryczność z powietrza. Działają trochę jak piorunochrony dla ładunków elektrostatycznych z burzy na górze i ładują moc w klucze.

Niebieska poświata rozrastała się w migającą chmurę pośrodku izby. Wirowała, kręciła się w miejscu. Klucze świeciły coraz jaśniej. Powietrze trzaskało. Kreski wyładowań tryskały z każdej fałdy ich ubrań.

Safia wpatrywała się w to jak zaczarowana. Piaskowiec stanowił świetny izolator. Uwolnienie rogów z kamienia musiało zamknąć jakiś obwód między tymi trzema składnikami, pomieszczenie zaś działało jak pułapka na energię.

- Musimy się stąd wydostać - wysapał Omaha. Zauroczona Safia nie mogła oderwać oczu od widowiska.

Obserwują coś zaprojektowanego tysiąclecia temu! Jak mogą teraz wyjść?

Omaha złapał ją za łokieć.

- Saff, klucze! One są jak ten żelazny wielbłąd w muzeum! I teraz mamy jeszcze kulisty piorun, który właśnie powstaje.

Przez głowę Safii przemknęło wspomnienie nagrania z British Museum. Czerwonawa poświata meteorytu, niebieski poblask pioruna kulistego... Omaha ma rację.

- Chyba właśnie uaktywniliśmy bombę - rzekł Omaha, popychając Safię w stronę drabiny. - A ona ma zaraz wybuchnąć.

Kiedy postawiła stopę na pierwszym szczeblu, świat rozbłysnął oślepiająco. Skuliła się, zamarła w miejscu jak jeleń złapany w światła reflektorów samochodu.

Helikopter wrócił i teraz unosił się nad ich głowami.

Na górze czaiła się śmierć... Na dole też.

18

W KRÓLICZEJ NORZE

4 GRUDNIA, 11.02 SHISUR

Painter leżał płasko na dachu budynku. Szczelnie owinął się kurtką, a końce chusty dobrze zabezpieczył. Nie chciał żadnego zdradliwego łopotania mogącego zdradzić, gdzie jest.

Czekał, aż helikopter po raz kolejny przeleci nad miasteczkiem. Będzie miał jeden strzał. Musiał założyć, że helikopter jest wyposażony w noktowizor. Błysk z lufy zdradzi jego pozycję. Czekał, snajperski karabin Galii trzymał przy policzku. Była to broń izraelska, pożyczona od jednej z Rahim, zdolna trafić człowieka w głowę z odległości trzystu metrów. Ale nie w tej burzy. Musi pozwolić, by helikopter podleciał bardzo blisko.

Leżał i czekał.

Helikopter krążył i szukał. Jeden ruch i otworzy ogień z podwójnego działka.

Painter zauważył poświatę bijącą od strony ruin. Drugi helikopter. Modlił się, żeby Safia i Omaha pozostali w ukryciu. Już wcześniej próbował połączyć się z nimi przez radio, kiedy wyczuł niebezpieczeństwo, ale coś blokowało sygnał. Może interferencja elektrostatyki burzy. Spróbował do nich dotrzeć, ale nadleciały śmigłowce celujące we wszystko, co się rusza.

Skoro latają, to znaczy, że w okolicy znajduje się spora grupa zwiadowcza. Cassandra już wie, że się pomyliła i przybyła z dużymi siłami.

Trzeszcząc elektrostatycznymi zakłóceniami, słuchawka w uchu Paintera odezwała się szeptem na otwartym ciągle kanale. Z białego szumu wyłoniły się słowa:

- Komandorze. - To Coral. - Jak pan przypuszczał, nieprzyjaciel nadciąga ze wszystkich stron, przeszukują dom po domu.

- Dzieci i starsze kobiety?

- Gotowe. Barak czeka na sygnał.

Painter przepatrzył niebo. Gdzie się podział ten helikopter? Musi go zdjąć, jeśli chcą mieć jakąkolwiek szansę przerwania pętli wokół miasta. Zamierzali wyrwać się na zachód od ruin, zabierając po drodze Safię i Omahę. Choć burza nasilała się z każdą minutą, liczyli, że ukryje ich ucieczkę. Gdyby zostawili ruiny za sobą, to może Cassandra zadowoliliby się możliwością przeszukania i w pogoń za nimi wysłałby tylko połowę ludzi. A gdyby udało im się dotrzeć w góry...

Painter czuł, jak narasta w nim furia. Nienawidził odwrotów ani pozwalania Cassandrze, by zwyciężyła. Szczególnie teraz, gdy odkryli tajną komorę w zapadlisku. Cassandra z pewnością zabrała ciężki sprzęt wydobywczy. Tam pod spodem coś jest. Rahim stanowiły żywy dowód na istnienie czegoś nadzwyczajnego. Jego jedyną nadzieją było ukrycie się z Safią, opóźniając Cassandrę na tyle, żeby ostrzec w Waszyngtonie kogoś, komu ufa.

I z całą pewnością nie będą to dowódcze struktury Sigmy.

Gniew narastał w nim, rozpalając ogień w trzewiach.

Wystawiono go. Wystawiono wszystkich.

Nagle pomyślał o Safii. Nadal wyczuwał jej tętno bijące pod ostrzem, które przystawił jej do gardła. Widział wyraz jej oczu, patrzyła na niego, jakby był obcym człowiekiem. Czego się spodziewała? To jego praca.

Czasami musiał dokonywać wyborów i podejmować nawet bardziej brutalne działania.

Jak teraz.

Z raportu Coral o siłach zmierzających do miasta wiedział, że zostaną okrążeni w ciągu kilku minut. Nie może czekać, aż helikopter znowu się pokaże.

- Novak, czy królik jest gotowy do biegu?

- Rób swoje, komandorze.

- Gazu!

Painter czekał z policzkiem przy kolbie, jednym okiem wpatrując się w teleskopowe soczewki, drugim przeszukując niebo. Zza wrót do ruin jasność buchnęła ku miastu. Szczegóły zamazały się, ale noktowizor sprawił, że światło jaśniało niczym klejnot. Silnik warczał i jęczał jednocześnie.

- Niech rusza - polecił Painter.

- Królik biegnie.

Z budynku wyprysnął quad. Jego droga widoczna była jedynie dzięki temu, że jarzył się piasek wbity w powietrze podczas jazdy między budynkami. Painter patrzył na niebo i na boki.

Pojawił się jak jastrząb. Nagle. Nurkował.

Zagrzmiały działka helikoptera, błyski w burzy.

Painter wycelował, namierzył źródło dźwięku i pociągnął za spust. Odrzut odczuł jak kopnięcie muła. Nie czekał. Strzelił jeszcze trzy razy, aż dzwoniło mu w uszach.

Dostrzegł rozbłysk płomienia. Po sekundzie burzę rozjaśnił wybuch. Ognisty wrak pluł szczątkami na wszystkie strony, ale kadłub spadał prosto na ziemię. Uderzył w jakiś dom, rozbłysnął, a potem potoczył się na szosę.

- Ruszajcie! - wrzasnął Painter.

Sturlał się z dachu i wylądował na miękkim piasku. Dookoła kaszlały, burzały i jęczały zapalane silniki. Zabłyły reflektory. Skutery i quady wyprysnęły z alejek, przybudówek i sieni. Jeden ze skuterów przemknął obok Paintera. Kobieta pochylała się nad kierownicą, druga siedziała za nią z karabinem na ramieniu. Miały za zadanie przeczesać teren przed nimi i pilnować tyłów.

W drzwiach pojawiła się Kara z dzieckiem na rękach. Za nią dwie następne kobiety wspierające się nawzajem. Clay i Danny też nieśli na rękach dzieci. Nikt się nie skarżył, nawet Clay.

- Za mną - polecił Painter i ruszył.

Karabin niósł na ramieniu, w ręku trzymał pistolet. Kiedy wyszedł zza rogu budynku, od strony ruin dobiegł łomot strzelaniny. W mroku rozbłysnął reflektor. Drugi helikopter.

- O Boże... -jęknęła Kara za jego plecami, wiedząc, co to oznacza.

Znaleziono Safię i Omahę.

11.12

- Uciekaj! - wrzasnął Omaha, kiedy biegli przez dno zapadliska, ale nie słyszał własnych słów. Grzechot działek zagłuszał wszystko. Popychał Safię przed sobą. Biegli oślepieni wirującym piaskiem gonieni przez bliźniacze linie pożerające grunt.

Dokładnie na wprost wyrastało zachodnie urwisko zapadliska ocienione ruinami cytadeli. Ściana wyginała się lekko. Gdyby udało się im dostać pod nawis, zeszliby z linii ostrzału i mogli się ukryć.

Safia biegła długimi krokami, spowolniana nieco przez temblak, wiatr owijał szatę wokół nóg. Piasek oślepił. Nie mieli czasu, by założyć gogle.

Kilka chwil wcześniej uznali, że helikopter to mniejsze zło. Pylna baryłka powstająca wewnątrz trylitu oznaczała pewną śmierć. Podjęli ryzyko ucieczki.

Łoskot działek narastał, kiedy helikopter omiatał teren za nimi.

Udało im się przetrwać tak długo tylko dlatego, że szalała burza. Pilot walczył z wiatrem, helikopter chwiał się i zataczał jak koliber w zamieci, tracił cel.

Biegli na oślep, by się ukryć.

Omaha czekał na pociski, które go przeszyją. Ostatnim ruchem pchnie Safię do kryjówki, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Nagle jednak pociski przestały ich gonić, jakby strzelcowi zabrakło amunicji. Nagła cisza odwróciła uwagę Omahy, który spojrzał przez ramię. Ciągle dzwoniło mu w uszach. Helikopter odleciał.

Nie patrzył pod nogi, potknął się i upadł.

- Omaha!...

Safia chciała mu pomóc, ale machnął ręką, żeby uciekała.

- Schowaj się!

Pokuśtykał za nią. Jego kostka płonęła bólem, skręcona albo stłuczona, na szczęście niezłamana. Przeklinał swoją głupotę.

Helikopter wycofał się na drugą stronę zapadliska. Miał ich na widelcu. Nie powinno im się udać. Czemu się wycofał?

Co się, do licha, dzieje?

11.13

- Orzeł Jeden, nie waż się trafić w ten cholerny cel! - wrzeszczała Cassandra przez radio, waląc pięścią w oparcie fotela w opancerzonym ciągniku M4. Na ekranie laptopa widziała niebieskie kółko oznaczające przekaźnik Safii. Pojawił się zaledwie moment wcześniej.

Ogień działek wyгнаł Safię na otwarty teren. Orzeł Jeden odpowiedział:

- Wstrzymałem ogień. Tam jest dwoje. Nie wiem, które jest które.

Cassandra odezwała się w porę. Wyobraziła sobie Safię przeciętą serią na pół. Kustoszka stanowiła jej jedyną możliwość szybkiego poznania tutejszych sekretów i wycofania się z nagrodą. A ten durny pilot o mało jej nie wykończył.

- Zostaw oboje. Pilnuj dziury, z której wyjdą.

W jakiegokolwiek jaskini znikła kustoszka, ta dziura jest ważna.

Cassandra pochyliła się nad laptopem i patrzyła na niebieski punkt. Safia nadal przebywała w wielkim zapadlisku. Nie mogła nigdzie uciec. Nawet gdyby zniknęła w kolejnej jaskini, Cassandra będzie widziała, gdzie jest do niej wejście.

Zwróciła się do Johna Kane'a, który kierował ciągnikiem.

- Zabierz nas tam.

Silnik pracował, więc Kane popchnął dźwignię zmiany biegów. Ciągnik szarpnął i pobrnął w górę wydmy.

Kiedy dotarli do wierzchołka, przód ciągnika zadarł się mocno w górę, a potem opadł w dół zbocza. Nie było widać dalej niż kilka metrów przed reflektorami ciągnika. Resztę pochłonęła burza.

Wszystko spowijała ciemność poza łunami znaczącymi miasto. Strzelanina między jej siłami i jakąś nieznaną grupą trwała.

Dowódca wysuniętych oddziałów przekazał przez radio swą ocenę: „To chyba same kobiety”.

To nie ma sensu. Niemniej Cassandra pamiętała kobietę, którą goniła po uliczkach Maskatu. Tę, która zniknęła na jej oczach. Czy istniał między tymi wydarzeniami jakiś związek?

Cassandra potrząsnęła głową. To już nie ma znaczenia. Gra się kończyła, więc nie będzie tolerowała żadnych przeszkód.

Obserwując grę świateł w mroku, wzięła radio i odezwała się do dowódcy artylerii:

- Bateria czołowa, zajęliście pozycję?

- Tak jest. Gotowi zapalić świece na rozkaz.

Cassandra sprawdziła laptopa. Niebieski krążek tkwił w zapadlisku. Nic więcej się nie liczyło. Czegokolwiek szukają, jest w dziurze, tam, gdzie Safia.

Podniósłszy wzrok, Cassandra popatrzyła na migoczące światełka miasteczka Shisur. Wezwała przez radio straż przednią, każąc im się wycofać. Przełączyła na dowódcę artylerii.

- Zrównać miasto z ziemią.

11.15

Kiedy Painter wyprowadzał ludzi z miasteczka przez wrota ruin, usłyszał wizz, który przebił się przez ryk burzy.

Kiedy pierwszy pocisk uderzył w budynki, Painter odwrócił się gwałtownie. Ognista kula wzbijała się w niebo, na chwilę oświetlając burzę i kawałek miasta. Grzmot wstrząsnął jego wnętrznościami. Wokół rozległy się kolejne wybuchy.

Rakiety i moździerze.

Nie podejrzewał nawet, że Cassandra może dysponować taką siłą ognia.

- Coral! Zaciemnij! - krzyknął przez radio. Jakąkolwiek by mieli przewagę wynikającą z zaskoczenia, teraz ją stracili. Czas na ewakuację.

Za miastem światła pojazdów pogasły. Pod osłoną mroku kobiety miały wycofać się do ruin. Uderzyły kolejne rakiety, zakwitły dzikimi spiralami ognia smaganymi przez wiatr.

- Coral! - wrzasnął Painter.

Żadnej odpowiedzi.

Barak złapał go za ramię.

- Wiedzą, gdzie mamy się spotkać.

Painter odwrócił się. Jego wnętrznościami wstrząsnęły kolejne wybuchy. Nad zapadliskiem odgłos strzałów z helikoptera umilkł. Co się dzieje?

11.17

Safia i Omaha kulili się pod nawisem. Bomby sypały deszczem kamyków z cytadeli na skraju dziury nad ich głowami.

Na południu ciemne niebo jarzyło się czerwonymi łunami pożarów. Przez wycie burzy przebiło się kolejne „bum”. Miasto zostało niszczone. Czy pozostali mieli czas na ucieczkę? Safia i Omaha zostawili radia w izbie trylitu. Nie można było dowiedzieć się, jak im się wiedzie.

Painterowi, Karze...

Omaha większość ciężaru ciała opierał na prawej nodze. Widziała, że robił to już podczas biegu pod nawis. Skręcił kostkę.

Omaha wymamrotał przez chustę:

- Nadal możesz uciec.

Była zmęczona, bolało ją ramię.

- Ten helikopter...

Ciągle wisiał nad zapadliskiem. Zgasił reflektor, ale nadal go słyszała. Krążył nad nimi powoli, trzymając ich w miejscu.

- Pilot przerwał ostrzał. Zapewne oślepiła go burza. Jeśli będziesz się trzymała przy ścianie, pobiegiesz szybko... Ja mogę trochę postrzelać.

Omaha nadal miał pistolet.

- Bez ciebie nigdzie nie idę - wyszeptała Safia. Nie chodziło tu o altruizm. Ścisnęła mu dłoń, potrzebowała jego wsparcia.

Spróbował uwolnić rękę.

- Daj spokój. Ja cię tylko spowolnię.

Wzmocniła uścisk.

- Nie... Nie mogę cię zostawić.

Nagle zrozumiał głębsze znaczenie jej słów. Bała się. Przytulił ją. Potrzebowała jego siły, więc ją jej dał.

Helikopter przeleciał nad ich głowami, warkot silnika nagle stał się głośniejszy. Przesunął się bliżej środka zapadliska.

Safia oparła się o ramię Omahy. Zapomniała, jak szerokie ma barki, jak dobrze do nich pasuje. Ponad jego ramieniem zauważyła migotanie błękitu nad zapadliskiem, taniec błyskawicy.

- Boże...

Ścisnęła mocniej Omahę.

- Saff- wyszeptał z ustami przy jej uchu - po Tel Awiwie...

Wybuch zdmuchnął dalsze słowa. Ściana gorącego powietrza przycisnęła ich do skały, rzuciła na kolana. Brylantowy błysk, a potem nic.

Wokół sypał się deszcz skał. Powyżej rozległ się potężny trzask. Wielki odłam skały uderzył w nawis i zadudnił na piasku. Leciały kolejne kamienie, istna ulewa skał. Na pół oślepiona Safia czuła, że ziemia się trzęsie.

Cytadela ruszyła w dół.

11.21

Painter dotarł na skraj zapadliska w chwili, gdy nastąpił wybuch. Jedynym ostrzeżeniem było błękitne migotanie głęboko w dziurze. Potem kolumna niebieskiego błękitu ognia wytrysnęła z otworu komnaty trylitu, oświetlając każdy kąt, odpychając burzę zarówno jasnością, jak i siłą swego gorącego oddechu.

Ziemia zadrżała.

Poczuł gorąco na twarzy, strumień bil prosto w górę kierowany pionowymi ścianami zapadliska, niemniej podmuch boczny i tak go odepchnął.

Zewsząd dobiegały krzyki.

Kolumna ognia uderzyła ostatni helikopter prosto w spód, cisnęła go w górę i zakręciła nim. Bak z paliwem wybuchł czerwonym płomieniem kontrastującym ostro z błękitem. Helikopter rozpadł się, ale nie na kawałki, lecz na krople płynnego ognia. Stopił się w kąpiel kobaltowego płomienia.

Painter patrzył, jak ruiny cytadeli, pochylone niebezpiecznie nad zachodnim skrajem, powoli zaczynają zsuwać się do dziury. Na jej dnie zaś, oświetlone, gdy biegły przez płomienie, kuśtykały dwie sylwetki, a dookoła nich osuwały się skały.

Safia i Omaha.

11.22

Oszołomiony Omaha wspierał się na Safii. Podtrzymywała go w pasie. Brnęli przez piasek. Oczy Omahy łzawiły, ale powoli wracała mu zdolność widzenia. Najpierw ukształtowała się poświata, niejasna, niebieskawa. Potem dostrzegł ciemne cienie padające dokoła niego, dudniące o piasek, niektóre odbijające się. Deszcz skał. Biblijna kłątwa.

- Musimy wyjść na zewnątrz! - krzyknęła Safia, a jej głos brzmiał, jakby dochodził spod wody.

Coś uderzyło go w zdrową nogę. Cisnęło oboje na piasek. Za i nad nimi rozległ się głęboki grzmot, jakby przemawiał rozzłoszczony bóg.

- To nadchodzi!

11.23

Painter biegł szaleńczo w dół zapadliska.

Po jego lewej stronie tylna część cytadeli rozpływała się od wstrząsu. Jęczała i dudniła. Wlewała piasek i skały w ten kraniec zapadliska. Painter widział kiedyś, jak błoto spływa po gwałtownym opadzie deszczu, całe zbocze zmieniło się w ciecz. Teraz było tak samo. Tyle że wszystko działo się nieco wolniej. Skały okazały się bardziej odporne.

W przeblyskach dostrzegł Safie i Omahę - uciekali przed lawiną płynącą ku nim powoli. Upadli, kiedy kamień trafił Omahę w bark.

Painter ich nie dogoni.

Za jego plecami rozległ się ostry wizg i wrzask:

- Z drogi!

Painter się odwrócił. Mignęło światło, promień oślepił go, ale dostrzegł tyle, że w ułamku sekundy zanurkował w bok.

Quad przemknął obok w dół stoku, przyskajac piaskiem i kamykami. Wylądował trzy metry od dna rozpadliny, uderzył o grunt, odbił się, skręcił, posłał w powietrze ścianę piasku i pognął prosto.

Painter podjął bieg.

Namierzył jeźdźca nachylonego nad kierownicą. Była to Coral Novak, w kurtce, z odrzuconym kapturem i goglach.

Patrzył, jak skuter gna wzdłuż lawiny. Przedni reflektor błyskał na prawo i lewo, kiedy Coral omijała przeszkody. Dotarła do pary naukowców i zahamowała z poślizgiem. Usłyszał jej krzyk:

- Łapcie mocno!

I znów gnała, uciekając przed spadającymi kamieniami, wioząc Safię i Omahę, którzy kurczowo trzymali się tylnego siedzenia.

Uciekli przed lawiną.

Painter dobiegł do dna zapadliska, daleko od piaskowo-kamiennego tumultu. Kiedy tam dotarł, wszystko się skończyło. Strome urwisko stało się łagodnym zboczem.

Omijając szeroką deltę piasku i gruzu, Painter pospieszył do quada stojącego na jałowym biegu. Safia już zsiadła, a Omaha opierała rękę na siedzeniu. Coral siedziała bokiem.

Wszyscy wpatrywali się w dziurę, która się przed nimi otwierała. Parowała i dymiła niczym wejście do piekiel. Była tam, gdzie kiedyś wejście do trylitu. Teraz jednak miała cztery metry średnicy, rozszerzona wybuchem.

I bulgotała w niej woda.

Przedni reflektor oświetlał parującą powierzchnię.

Nagle woda zaczęła znikać, jakby wyparowała.

To, co ukazało się ich oczom, sprawiło, że zastygli w milczeniu.

11.23

Cassandra patrzyła przez przednią szybę ciągnika M4, prawie nie mrugając. Minutę temu obserwowali błękitny błysk ognia strzelający w niebo. Wprost przed nimi.

Od strony ruin.

- Co to, u diabła, było? - zapytał Kane.

Zatrzymali ciągnik sto metrów od zapadliska. Po lewej miasto migotało pożarami. Na wprost ruiny znów pociemniały.

- To nie był żaden z naszych cholernych moździerzy - stwierdził Kane.

Na pewno nie, cholera. Cassandra zerknęła na laptopa. Krążek oznaczający Safię jarzył się nadal, choć teraz migał. Co tam się dzieje?

Spróbowała połączyć się z jedyną osobą, która mogła mieć o tym jakiegokolwiek pojęcie.

- Orzeł Jeden, słyszysz mnie?

Brak odpowiedzi.

Kane pokręcił głową.

- Oba ptaszki spadły.

- Rozkaż wystartować dwóm następnym. Chcę mieć info z góry.

Kane się zawahał. Cassandra rozumiała jego przejęcie. Burza nadal się rozbudowywała. Z pełną siłą miała dopiero uderzyć, a z południa nadciągał układ pogodowy, obiecując pogorszenie pogody, kiedy oba fronty się zderzą. Cassandra miała tylko sześć helikopterów i wysłanie kolejnych dwóch groziło zmniejszeniem o połowę stanu posiadanej floty powietrznej.

Kane jednak rozumiał, że jest to konieczne. Nie mogą dbać o zasoby. To jest „wszystko, albo nic”. Przekazał przez radio rozkazy Cassandry, po czym spojrzął na nią pytająco.

Skinęła głową.

- Wchodzimy.

- Nie poczekamy, aż ptaszki będą w powietrzu?

- Nie, mamy pancierz. - Zerknęła przez ramię na ludzi na tylnym siedzeniu, członków zespołu Kane'a. - Tam się coś dzieje. Czuję to.

Kane zmienił bieg i ruszył.

11.26

Safia uklękła na jedno kolano, wyciągnęła rękę nad otwór, by sprawdzić temperaturę. Piasek wirował w podmuchach wiatru, ale już nie tak ostro. Burza nieco osłabła, jakby eksplozja wyssała z niej trochę mocy.

- Ostrożnie - upomniał ją Omaha.

Safia patrzyła w dziurę pod nogami. Woda opadała. To wydawało się niemożliwe. W miarę, jak wody cofały się gdzieś w głąb, pojawiała się szklista spiralna rampa. Jaskinia trylitu znikła. Jedyne, co zostało, to szkło spływające korkociągiem w dół.

Wejście do Ubaru.

Safia opuściła dłoń ku brzegowi rampy i powoli zaczęła przysuwać ją do szkła. Nadal połyskiwało kroplami wody lśniącymi na ciemnym tle dzięki odbiciu reflektora quada.

Nie czuła żaru.

Odwążyła się dotknąć palcem czarnego szkła. Nadal było ciepłe, bardzo ciepłe, ale nie parzyło. Położyła płasko dłoń.

- Jest zwarte - powiedziała. - Nadal stygnie, ale powierzchnia stwardniała. - Postukała lekko.

Wstała i postawiła nogę na rampie. Wytrzymała jej ciężar.

- Woda musiała schłodzić je na tyle, że stwardniało - dodała.

Painter podszedł do niej.

- Musimy się stąd wynosić.

- Komandorze, wszystkie Rahim już się zebrały. Możemy ruszać na pański rozkaz - odezwała się Coral wciąż siedząca bokiem na skuterze.

Safia odwróciła się ku górnemu skrajowi, ale ten ginął w mroku. Spojrzała w gardziel szklanej spirali.

- To tego musimy się dowiedzieć.

- Jeśli zaraz nie wyruszymy, Cassandra nas dopadnie.

- Dokąd jedziemy? - spytał Omaha. Painter pokazał na zachód.

- Na pustynię. Użyjemy burzy jako osłony.

- Zwariowałaś? Uderzenie ledwo się zaczęło. Najgorsze dopiero przed nami. I co z tą megaburzą? Mamy przeżyć ją na pustyni? - Omaha pokręcił głową. - Ja już raczej zaryzykuję z tą suką.

Safia wyobraziła sobie Cassandrę, jej chłód, bezlitosne spojrzenie. Wykorzysta każdą tajemnicę, jaką kryje głębia. Ona i jej mocodawca. Safia nie może na to pozwolić.

- Schodzę na dół - ucięła dyskusję.

- Idę z tobą - oświadczył Omaha. - Tam przynajmniej nie ma burzy.

Nagle znów wybuchła strzelanina.

- Wygląda na to, że decyzja została podjęta za nas - mruknął Omaha.

Coral powiedziała coś do swojego radia, a Painter do swojego. Wzdłuż brzegu zapadliska zapaliły się reflektory i przednie światła. Zawyły silniki. Pojazdy zaczęły zjazd do dziury.

- Co oni robią? - zdziwił się Omaha.

Painter z ponurym wyrazem twarzy schował radio do kieszeni.

- Ktoś na górze namierzył tunel. Jedna z kobiet.

Hodja, domyśliła się Safia. Skoro Ubar został otwarty, Rahim nie uciekną. Będą broniły go nawet za cenę życia. Lu'lu wiodła całe plemię na dół. Quady gnały nawet po zwałonych skałach.

Zbliżały się.

Strzelanina zamarła.

- Zwiadowcy wroga podeszli na odległość strzału. W jednej z wież. Zostali usunięci - wyjaśniła Coral, trzymając radio przy uchu.

Safia usłyszała szacunek w jej głosie. Rahim w tej utarczce dowiodły swych umiejętności.

Po chwili quady i skutery zahamowały w piasku. Pierwszy przywiózł Karę, Danny'ego i Claya. Tuż za nimi jechał Barak.

Kara zsiadła, prowadząc pozostałych. Wiatr znów się wzmagął, szarpał chusty i szaty. Kara trzymała w ręku pistolet.

- Zobaczyliśmy zbliżające się światła. - Wskazała w innym kierunku, na wschód. - Całe mnóstwo. Ciężarówki, wielkie. I poderwał się co najmniej jeden helikopter. Przez moment widziałam jego szperacza.

Painter zacisnął pięść.

- Cassandra wykonuje swój finalny ruch.

Hodja przepchnęła się przez tłum.

- Ubar jest otwarty. Ochroni nas.

Omaha ponownie spojrzał w gardziel spirali.

- Wszystko jedno, i tak wezmę pistolet.
Painter patrzył na wschód.
- Nie mamy wyboru. Sprawdź wszystkich na dół. Trzymajcie się razem. Zabierzcie ze sobą, ile zdołacie. Broń, amunicję, światło.
Hodja skinęła głową w stronę Safii.
- Ty nas poprowadzisz.
Safia popatrzyła w dół szklanej spirali, nagle mniej pewna swej decyzji. Czowała ucisk w gardle. Gdyby chodziło o jej tylko życie, ryzyko było do przyjęcia. Teraz jednak miała pod opieką innych ludzi.
Zatrzymała wzrok na dwójce dzieci trzymających Claya za ręce. Wyglądały na równie przerażone jak młodzieniec między nimi. Ale Clay jakoś się trzymał.
Safia pozwoliła, by serce dudniło jej w uszach, ale uspokoiła oddech.
Nagle wdarł się nowy hałas przyniesiony przez wiatr. Głębokie, basowe dudnienie silnika, czegoś sporego. Wschodni skraj zapadliska pojaśniał.
Cassandra była tuż-tuż.
- Jazda! - wrzasnął Painter. Napotkał wzrok Safii. - Weź ich na dół. Szybko!
Kiwając głową, Safia odwróciła się i zaczęła schodzić. Usłyszała, jak Painter mówi do Coral:
- Potrzebuję twojego quada.

11.44

Cassandra obserwowała, jak niebieski wirujący krążek miga i znika. Zaciśnięła pięść. Safia znowu ucieka.
- Jedziemy tam - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Już.
- Jesteśmy na miejscu - odrzekł Kane.
Z mroku wyłoniła się skalna ściana, krusząca się, wyszlifowana przez piasek, bardziej kontur niż solidna skała, oświetlona reflektorami.
Dojechali do ruin.
Kane spojrzął na Cassandrę.
- Rozkazy?
Wskazała otwór w murze obok zrujnowanej wieży.
- Ludzie na ziemię. Zamknąć ruiny. Nikt nie wychodzi - rzuciła.
Kane zwolnił na tyle, żeby jego zespół uderzeniowy mógł wysiąść bocznymi drzwiami. Dwudziestu mężczyzn, szczękając bronią, rozsypało się w burzy i zniknęło w wyrwie w murze.
Ciągnik jechał bardzo powoli.
Zmiażdżył resztki starożytnego muru i wjechał do Ubaru. Przednie światła przebijały się nie dalej niż na kilka metrów, a burza jęczała i ciskała tumanami piasku.
Zapadlisko rozpościerało się przed nimi, ciemne i ciche.
Pora to skończyć.
Ciągnik zahamował.
Ludzie padali płasko na samym skraju, znajdując schronienie za muldami i kupami gruzu. Cassandra zaczęła, aż wszyscy znajdą osłonę. Słuchała ich rozmów przez radio.
- Na pozycji, kwadrant trzy...
- Mangusta cztery, na wieży...
- RPG-i ustawione i załadowane...
Cassandra stuknęła w „command Q” na klawiaturze i dwadzieścia jeden czerwonych krążków zakwitło schematem na mapie. Każdy z komandosów miał nadajnik przyczepiony do munduru. Na ekranie widziała, jak zajmują pozycje, bez wahania, sprawnie, szybko.

Kane dowodził ludźmi z ciągnika. Palce trzymał na konsoli, pochylał się, patrząc przez przednią szybę.

- Wszyscy na stanowiskach. Poniżej nie zauważono żadnego ruchu. Ciemno.

Cassandra wiedziała, że Safia tam jest. Pod ziemią.

- Oświetl to.

Kane wydał rozkaz.

Dookoła brzegów zapadliska zapłonął tuzin potężnych reflektorów przyniesionych przez żołnierzy.

Kane trzymał rękę przy słuchawce w uchu. Słuchał przez chwilę, po czym powiedział:

- Nadal ani śladu przeciwnika. W dole quady i skutery.

- Widzą jakąś jaskinię?

Kane potwierdził skinieniem głowy.

- Tam, gdzie zaparkowano pojazdy. Czarna dziura. Zaraz dostaniemy przekaz wideo.

Kanał trzeci.

Cassandra otworzyła kolejne okno na ekranie laptopa. Transmisja wideo w czasie rzeczywistym. Obraz skakał, wibrował i pokazywał czworokątne pikseli. Interferencja elektrostatyczna. Migotanie wyładowań elektrycznych tańczyło wzdłuż anteny na pancerzu ciągnika.

Burza przybierała na sile.

Cassandra widziała na ekranie podłoże zapadliska. Skutery z wielkimi oponami. Kilka quadów, sidewinder. Wszystkie porzucone. Gdzie podzieli się ci ludzie? Obraz przesunął się, skupił na ciemnej dziurze szerokiej na cztery metry. Wyglądała na świeżo wykopaną, błyszczała, odbijając światło reflektorów.

Wejście do tunelu.

I wszystkie króliki uciekły właśnie do tej dziury.

Obraz rozmył się, pojawił ponownie, a potem znów zniknął.

Cassandra zmęła przekleństwo. Chciała to zobaczyć. Zamknęła okienko na ekranie i spojrzała na rozlokowanie ludzi Kane'a na mapie. Obszar został dokładnie zamknięty. Odpięła pasy.

- Idę zobaczyć. Trzymaj fort.

Przepchnęła się do tylnego przedziału i otworzyła boczne drzwi. Wiatr wepchnął ją z powrotem, uderzając prosto w twarz. Skrzywiona, pochyliła się, zasłoniła usta i nos chustą i wydostała się na zewnątrz.

Przeszła do przodu ciągnika, opierając się o niego. Wiatr ją smagał. Nabrała respektu do ludzi Kane'a. Kiedy z bezpiecznego i zacisznego wnętrza wozu dowodzenia patrzyła na ich poczynania, działali szybko, sprawnie, bez wahania.

Cassandra przeszła na czoło ciągnika i ruszyła między snopami światła reflektorów. Podążyła do dziury wyznaczoną przez nie trasą. To tylko kilka kroków, ale kiedy je zrobiła i stanęła na skraju zapadliska, dudnienie silnika stało się ledwie słyszalne w wyciu burzy.

- I jak to wygląda, pani kapitan? - usłyszała w słuchawce głos Kane'a.

Uklękła i spojrzała w dół. Przed nią rozciągało się zapadlisko. Naprzeciwko niej całe zbocze osunęło się, nadal toczyły się po nim małe kamyczki. Świeża lawina. Co tam, u diabła, się stało? Przeniosła wzrok na zbocze, nad którym szła.

Spojrzało na nią błyszczące oko. Wejście do tunelu.

Szkło.

Jej puls przyspieszył. To musi być droga do skarbów, jakiegokolwiek by one były. Popatrzyła na zaparkowane pojazdy. Nie może pozwolić, by tamci uciekli ze zdobyczą.

Dotknęła laryngofonu.

- Kane, chcę mieć cały zespół gotowy do wejścia do tunelu w ciągu pięciu minut.

Brak odpowiedzi.

- Kane! - krzyknęła głośniejsze i odwróciła się.

Oślepiły ją przednie światła ciągnika.

Odkroczyła w bok. Zaczęła coś podejrzewać.

Ruszyła przed siebie. Dopiero teraz zauważyła oparty o załom muru porzucony skuter, częściowo przysypany przez piasek.

Tylko jedna osoba była na tyle sprytna, by tak go ukryć.

11.52

Nóż wbijał się w jego twarz. Tocząc się po ziemi, Painter uniknął ciosu w oko. Nóż minął je, tnąc policzek i kość jarzmową.

Wściekłość i rozpacz dodały Painterowi siły. Mimo upływu krwi trzymał w kluczu nogi przeciwnika, a prawe ramię zaciskało się wokół jego szyi.

Ten skubaniec był silny jak byk.

Painter przycisnął go do ziemi, wykręcając ramię z nożem.

Kiedy wspiął się do bocznych drzwi, jakże wygodnie przez Cassandré niedomkniętych, poznał tego człowieka.

Painter krył się zakopany pod naniesionym wiatrem piaskiem usypanym przy skruszonym murze. Pięć minut wcześniej jechał skuterem z karkołomną prędkością pod górę, żeby wydostać się z zapadliska, a potem gnał ku wyrwie we wschodnim murze. Wiedział, że siły Cassandry będą musiały z niej skorzystać, skoro używają pojazdów.

Nie spodziewał się ciągnika, potwora o wadze dwudziestu ton. Autobus na gąsienicach.

Wyczołgał się z ukrycia, kiedy ciągnik zatrzymał się na jałowym biegu. Schował się między tylnymi gąsienicami. Zgodnie z jego oczekiwaniem cała uwaga Cassandry skupiła się na zapadlisku.

Potem Cassandra wysiadła z pojazdu. Mając otwarte drzwi, Painter wślizgnął się do tylnego przedziału z pistoletem w rękę.

Na nieszczęście partner w zapasach musiał dostrzec jego oblicze w szybie. Obrócił się na usztywnionej nodze, drugą wykopując pistolet z dłoni Paintera.

Teraz turlali się po podłodze.

Painter trzymał Kane'a za szyję. Kane próbował uderzyć tyłem głowy w nos Paintera, lecz ten się uchylił. Painter wygiął jego głowę jeszcze bardziej i uderzył nią o metalową podłogę.

Jęk.

Zrobił to jeszcze trzy razy. Tamten zwiotczał. Painter nadal ścisnął przedramieniem jego szyję. Dopiero teraz zauważył plamy krwi na szarym metalu. Złamany nos.

Czas uciekał, Painter musiał iść. Wstał chwiejnie. Gdyby lampart nie naruszył wpierw tego skubańca, Painter nie wyszedłby cało z tych zapasów.

Wepchnął się na siedzenie kierowcy, stuknął w starter i dodał gazu. Kołyszący się gigant, miażdżąc gruz, ruszył do przodu, zaskakująco żwawy. Painter sprawdził znaki w terenie i skierował ciągnik na właściwy tor, prosto w zapadlisko.

Nagle bok pojazdu zasypał grad pocisków. Broń automatyczna. Odkryto jego obecność. Hałas go ogłuszał.

Painter nie przejmował się tym i jechał dalej. Ciągnik miał pancerz, a on zamknął i zablokował boczne drzwi. Tuż przed nim pojawił się brzeg zapadliska. Pociski nadal leciały, ale były jak kamyki walące w blaszaną puszkę.

Przód ciągnika minął skraj zapadliska. Painterowi to wystarczyło. Zsunął się z siedzenia. Ciągnik zwolnił, ale pełził dalej skrajem dziury.

Painter przeciskał się do tylnych drzwi, chcąc wyskoczyć, zanim ciągnik wpadnie do dziury, ale jakaś ręka pociągnęła go za nogę. Upadek wycisnął z niego powietrze.

Kane ciągnął Paintera, był nieprawdopodobnie silny. Podłoga przechylała się. Painter kopnął mocno, trafiając Kane'a w złamany nos. Uwolnił nogę.

Poczołgał się i doskoczył do stalowej podłogi i popęzł w górę. Spadały na niego wyposażenie i sprzęt. Grawitacja złapała ciągnik. Gąsienice darły kamień. Pojazd zaczął spadać.

Painter złapał uchwyt włazu tylnego wejścia. Na nieszczęście otwierał się na zewnątrz. Stanąwszy na palcach, zdołał uchylić właz na kilka centymetrów. Resztę zrobił wiatr. Otworzył właz na oścież. Painter przecisnął się na zewnątrz. Ciągnik zanurkował w zapadlisko.

Painter żabim skokiem odbił się od karoserii i sięgnął do skraju urwiska.

Udało się, ledwo, ledwo. Uderzył brzuchem w brzeg. Jego nogi dyndały nad przepaścią. Palce poszukały chwytu. Pod nim rozległ się rozdzierający zgrzyt i trzask. Zauważył, że podkradają się do niego jakieś postacie.

Nie dotrą do niego. ;

Zeslizgnął się w tył. Nie miał się czego złapać. Gąsienice ciągnika starły brzeg dziury na pył. Przez chwilę walczył, aż wymacał kawałek skały.

Wisiał na jednej ręce i patrzył w dół.

Piętnaście metrów pod nim ciągnik uderzył przodem w szklaną dziurę. Stał się dwudziestotonowym korkiem tunelu.

Wystarczy.

Chwyt puścił. Painter spadał, leciał w głąb dziury.

W oddali usłyszał głos wołający jego imię.

Jego ramię uderzyło o wystającą skałę, odbił się, a na jego spotkanie ruszyła ziemia pokryta kamieniami i odłamkami metalu.

19

W CZASIE BURZY DOBRY KAŻDY PORT

4 GRUDNIA, 12.02 POD ZIEMIĄ

Safia biegła w dół spiralną rampą, a za nią pozostali. Hałas dobiegający z góry wywołał panikę. Sypał się gruz, szkło, kamienie, nawet kawałki metalu.

Nagle hałas u góry ucichł, zostało tylko echo.

- Co się stało? - zapytała Safia.

Omaha pokręcił głową.

- To chyba Painter.

Kara podeszła z drugiej strony.

- Barak i Coral znów zawrócili, żeby sprawdzić.

Za nimi maszerowali Danny i Clay, na plecach dźwigali sprzęt. Obaj mieli latarki - Clay trzymał swoją oburącz, jakby to była lina ratunkowa. Safia wątpiła, czy chłopak jeszcze kiedykolwiek zgłosi się na ochotnika do wykopalisk.

Za nimi maszerowały Rahim, także objuczone zapasami i bronią. Między nimi jarzyło się tylko kilka latarek. Lu'lu, rozmawiając z inną starą kobietą, prowadziła plemię. Podczas walki i ostrzału straciły sześć kobiet. Safia widziała głęboki smutek w oczach członkiń plemienia. Jakieś dziecko z tyłu cicho płakało. Przy takiej izolacji jak u Rahim nawet śmierć jednej osoby jest ogromną stratą. Ich liczebność spadła do trzydziestu, z czego czwartą część stanowiły dzieci i starszki.

Nagle podłoże pod stopami zmieniło się ze szkła w kamień. Safia spojrzała w dół.

- Piaskowiec - stwierdził Omaha. - Doszliśmy do końca zasięgu wybuchu.
Kara poświeciła latarką do tyłu, potem przed siebie.

- To wszystko to skutek eksplozji?

- To była jakaś forma ładunku kierunkowego - rzekł Omaha, na którym ten widok nie wywarł wrażenia. - Większość tej spiralnej rampy prawdopodobnie już tu była. Trylit stanowił jej korek. Bomba po prostu go zdmuchnęła.

Safia miała świadomość, że Omaha upraszcza sprawę. Szła naprzód. Skoro minęli przejście między szkłem i piaskowcem, to wyjście musi być blisko. Piaskowiec pod stopami zachował wilgoć. A co, jeśli się okaże, że znaleźli jedynie zalane przejście? Będą musieli wrócić... stanąć oko w oko z Cassandra.

Jej uwagę przyciągnęło jakieś zamieszanie. W ich stronę pędzili Coral i Barak.
Coral wskazała za siebie.

- Painterowi się udało. Zrzucił ciężarówkę na wejście.

- Wielką ciężarówkę - sprecyzował Barak.

- A co z nim? - zapytała Safia.

Coral oblizwała wargi, jej oczy zwięzły się z przejęcia.

- Ani śladu.

Safia spojrzała ponad jej ramieniem.

- To jednak nie zatrzyma Cassandry na długo. Już słyszałam kopiających. - Coral machnęła w kierunku, z którego przyszła. - Painter kupił nam czas, wykorzystajmy go.

Safia westchnęła z drżeniem. Coral ma rację. Odwróciła się i pomaszerowała dalej. Przez następny obieg spirali nikt się nie odezwał.

- Jak głęboko zeszliśmy? - zapytała Kara.

- Powiedziałbym, że na ponad osiemdziesiąt metrów - odrzekł Omaha.

Za następnym zakrętem otworzyła się przed nimi jaskinia o wielkości podwójnego garażu. Światła latarek odbiły się od wody w studni pośrodku. Jej powierzchnia drżała pod smugami mgły. Ze sklepienia kapiała woda.

- Źródło wypływu wody - orzekł Omaha. - Ładunek kierunkowy musiał wysać ją w górę jak mleko przez słomkę.

Wszyscy weszli do jaskini. Studnię okalało naturalne skalne wybrzuszenie.

- Popatrzcie. - Kara wskazała drzwi w przeciwległej ścianie.

Przeszli dookoła studni. Omaha dotknął drzwi.

- Znów żelazo. Mieszkańcy z pewnością uwielbiali kowalstwo.

W drzwiach była klamka, ale też antaba umocowana we framudze.

- To po to, żeby komnata była zabezpieczona przed zmianami ciśnienia - powiedziała zza ich pleców Coral. - Przed próżnią powstającą podczas wybuchu. - Kiwnęła głową w stronę studni.

Z wysoka dobiegło echo gwałtownego upadku. Omaha złapał za antabę i pociągnął. Nie drgnęła.

- Cholera, zaciśnięta. - Wytarł ręce w kurtkę. - I cała w smarze.

- Po to, żeby nie rdzewiała - powiedział Danny. Starał się pomóc, ale nawet we dwóch nie dali rady. - Potrzebujemy łomu albo czegoś podobnego.

- Nie - powiedziała hodja za ich plecami. Kosturem odepchnęła ludzi i zatrzymała się przy Safii. - Zamki bram Ubaru mogą być otwarte jedynie przez jedną z Rahim.

Omaha ponownie wytarł ręce.

- Szanowna pani, bardzo proszę.

Lu'lu postukała kosturem w antabę.

- Trzeba kogoś błogosławionego przez Ubar, mającego w żyłach krew pierwszej królowej, żeby zdołał wpłynąć na te święte przedmioty. - Zwróciła się do Safii: - Kogoś, kto ma dary Rahim.

- Ja? - zdziwiła się Safia.
- Zostałaś poddana próbom - przypomniała Lu'lu - i klucze ci odpowiedziały.

W głowie Safii błysnęło wspomnienie z grobowca Hioba. Przypomniała sobie, jak czekała na włócznie z popiersiem, żeby wskazała Ubar. Z początku nic się nie działo. Była w roboczych rękawicach. Kane wstawił pręt do dziury. Nie poruszył się. W pewnej chwili wytarła gołymi palcami deszcz spływający jak łzy z policzków popiersia. Dotknęła je.

Wtedy rzeźba się poruszyła.

I półksiężyc rogów byka. Nic się nie działo, dopóki nie zaczęła ich badać, wywołując iskierki wyładowań elektrostatycznych. Zdetonowała bombę jednym pociągnięciem palca.

Lu'lu kiwnięciem głowy kazała jej przystąpić do działania.

Safia zrobiła krok do przodu.

- Zaczekaj. - Coral wyciągnęła z kieszeni jakieś urządzenie.

- Co to jest? - zainteresował się Omaha.

- Sprawdzam teorię. Badałam wcześniej klucze za pomocą aparatury Cassandry. - Coral machnięciem pokazała Safii, żeby robiła swoje.

Wziąwszy głęboki wdech, Safia złapała antabę zdrową ręką. Nie poczuła niczego szczególnego, żadnej iskry. Pociągnęła sztabę. Z łatwością się poddała.

- Cholera - sapnął Omaha.

- O, to robi na tobie wrażenie - stwierdziła z lekką ironią Kara.

- Pewnie ją poluzowałem.

Coral pokręciła głową.

- To zamek magnetyczny.

- Co? - zdziwiła się Safia.

- To magnetometr. - Coral podniosła urządzenie. - Pokazuje ładunek magnetyczny. Polaryzacja tej sztaby zmieniła się, kiedy jej dotknęłaś.

Safia patrzyła na antabę.

- Jak...?

- Żelazo jest dobrym przewodnikiem i poddaje się magnetyczności. Potrzymaj igłę magnesem, a nadasz jej ładunek magnetyczny. Te przedmioty w jakiś sposób odpowiadają na twoją obecność, energię, którą emitujesz.

Safia przypomniała sobie obrót żelaznego serca na marmurowym ołtarzu w grobowcu Imrana. Obracało się jak igła kompasu magnetycznego, ustawiając się wzdłuż określonej osi.

Z góry dobiegł odgłos kolejnego gwałtownego upadku.

Omaha wystąpił naprzód.

- W jakikolwiek sposób zostało to otwarte, wejdźmy tam.

Nacisnął klamkę. Nasmarowane zawiasy nie skrzypiały. Drzwi otworzyły się na ciemną klatkę schodową wyciętą w kamieniu. Po zamknięciu i zablokowaniu drzwi Omaha ruszył z latarką w rękę i Safią u boku. Reszta podążyła za nimi.

Zejsście było proste, ale strome. Po jakichś trzydziestu metrach doprowadziło do pieczary cztery razy większej niż pierwsza. Tu także była sadzawka, ciemna i szklista. Powietrze pachniało dziwnie. Wilgoć, na pewno, ale też ślad ozonu, zapach towarzyszący burzy.

Nic z tego jednak nie przyciągnęło uwagi Safii na dłużej niż chwilę.

Za stopniami wbijała się w wodę keja. Przy jej końcu stał piękny drewniany dhow, arabska łódź długa na dziesięć metrów. Jej burty błyszczały od oleju, jaśniejąc w świetle latarek. Maszty i reje były złote. Bezużyteczne żagle zostały zwinięte i zawiązane.

Rozległy się pomruki zdumienia i podziwu.

Po lewej w ciemność wchodził wodny tunel.

Na dziobie dhowa wyrastała statua kobiety z obnażonymi piersiami, dłońmi skromnie skrzyżowanymi na łonie, z twarzą wpatrzoną w ciemność zalanego tunelu.

Nawet stąd Safia rozpoznała jej rysy.

Królowa Saby.

- Żelazo - szepnął Omaha, zauważając jej zainteresowanie. Skupił światło latarki na galionie. Figura była w całości wykuta z żelaza. Ruszył ku kei. - Wygląda na to, że znów poześlujemy.

12.32

Na dnie zapadliska Cassandra patrzyła na zmaltretowane ciało. Nie wiedziała, co powinna czuć. Żal, gniew, ślad lęku. Nie miała czasu sobie tego poukładać. Jej myśli krążyły wokół kwestii, jak to spożytkować i obrócić tę śmierć na swoją korzyść.

- Wyciągnijcie go na górę i zapakujcie do worka.

Dwóch komandosów podniosło swego dowódcę z wraku ciągnika. Inni wspięli się do środka i na tył pojazdu, ratując, co się da i umieszczając ładunki wybuchowe do wysadzenia kadłuba wraku. Jeszcze inni za pomocą quadów usuwali gruzy z drogi.

Dwóch komandosów wsunęło długi przewód przez szparę we wraku.

Wszystko było w porządku.

Cassandra podeszła do quada i wsiadła. Poprawiła gogle i chustę i ruszyła w górę. Zanim ładunki zostaną umieszczone we właściwych miejscach, upłynie kolejny kwadrans. Dodała gazu i wyjechała z zapadliska.

Kiedy dotarła na jego brzeg, poczuła silne uderzenie wiatru. Niech to szlag, burza już nabrała mocy. Pognała do bazy ukrytej w jednym z budynków, które jeszcze stały. Otaczały go ciężarówki.

Zahamowała, oparła pojazd o ścianę i zeskoczyła.

Weszła do środka.

Ranni leżeli na kocach i pryczach. Wielu z nich odniosło obrażenia podczas walki z dziwnym zespołem Paintera. Słyszała raporty o bitewnych umiejętnościach tych kobiet -jak pojawiały się znikąd i równie łatwo znikwały. Nie wiedziała nawet, ile ich jest.

Ale teraz wszyscy odeszli. W dół, do dziury.

Cassandra podeszła do jednej z pryczy. Lekarz opatrywał nieprzytomnego mężczyznę, przyklejając ostatni plaster na poraniony policzek. Z wielkim guzem na czole lekarz nie mógł nic zrobić.

Painter mógł mieć dziewięć żywotów jak kot, tym razem jednak nie wylądował na czterech łapach. Uderzył o coś głową, a żył tylko dzięki temu, iż wzdłuż wewnętrznego brzegu zapadliska leżał miękki piasek, który złagodził upadek.

Ludzie Cassandry nie wiedzieli, jakie Painter miał szczęście. Wszyscy znali krwawy koniec Kane'a.

Cassandra zatrzymała się koło pryczy.

- Co z nim?

- Lekki uraz. Źrenice równe i reagują. Ten skubaniec jest tylko znokautowany.

- To go obudź. Sole trzeźwiące.

Lekarz westchnął, lecz posłuchał. Miał innych ludzi, swoich ludzi, którzy wymagali opieki, lecz to Cassandra dowodziła. I wiedziała, do czego przyda jej się Painter.

12.42

- To co robimy? - zapytał Omaha. - Powiosłujemy? Wsiądziemy i popchniemy?

Spojrzał w tył. Wszyscy weszli już na pokład. Barak pochylał się nad rudlem. Clay ukląkł i zdrapał trochę pozłoty z masztu. Danny i Coral wydawali się studiować budowę

pletwy sterowej, nachylając się nad sterem i patrząc w dół. Rahim rozproszyły się i badały detale.

Dhow z bliska robił jeszcze większe wrażenie. Złote blaszki zdobiły niemal każdą powierzchnię. Macica perłowa oblewała knagi, szekle, uchwyty, mocowania... Słupki wykonano z litego srebra. Nawet w liny wpleciono złote nici. To była królewska łódź.

Jakkolwiek by piękna była, do żeglowania się nie nadawała. Chyba że w żagle zadmie silny, równy wiatr.

Obok Omahy na dziobie stały Kara i Safia, otaczając żelazną figurę. Hodja opierała się na kosturze.

- Dotknij - ponagliła Kara, a hodja ją poparła.

Safia uniosła zdrową rękę, a na jej twarzy malowała się troska.

- Nie wiemy, co się wtedy stanie.

W jej oczach Omaha dostrzegł błysk wybuchu trylitu. Safia spojrzała na nową załogę dhowa. Bała się narazić ich na niebezpieczeństwo.

Omaha podszedł i położył dłoń na jej ramieniu.

- Saff, Cassandra zamierza przyjść tutaj, grzejąc z wszystkich luf. Ja osobiście wolę zaryzykować z tą żelazną damą niż tą suką o stalowym sercu.

Safia westchnęła. Czowała, że rozluźnia się pod jego dotykiem, że się poddaje.

- Trzymajcie się - wyszeptwała. Dotknęła ramienia żelaznego posągu tak samo, jak Omaha dotykał jej ramienia. Kiedy jej dłoń zetknęła się z galionem, Omaha poczuł lekki elektryczny wstrząs. Safia zdawała się tego nie zauważać.

Nic się nie stało.

- Nie wydaje mi się, żebym to ja...

- Cicho bądź - uciał Omaha. - Trzymaj mocno.

Poczuł pod stopami lekkie drżenie, jakby woda pod kadłubem zaczęła wrzeć. Powolotku łódź ruszyła naprzód. Obrócił się.

- Zwolnić liny! - krzyknął.

Rahim zadziałały sprawnie, odczepiając cumy i rozwiązując węzły.

- Co się dzieje? - zapytała Safia, wciąż trzymając dłoń na galionie.

- Barak, trzymasz rudel?

Mężczyzna przy sterze potwierdził machnięciem ręki.

Coral i Danny pospieszyli na dziób. Coral niosła wielką skrzynię.

Szybkość łodzi powoli wzrastała. Barak sterował ku wlotowi tunelu. Omaha uniosł latarkę, snop światła zginął w mroku.

Dowiedzieć się można tylko w jeden sposób.

Safia drżała. Omaha podszedł bliżej, teraz stali ciało przy ciele. Nie sprzeciwiła się, oparła się lekko o niego. Czytał jej w myślach. Łódź nie wybuchła. Wszyscy czuli się dobrze.

Coral i Danny znów przechylali się przez burtę z zapalonymi latarkami.

- Czujesz ozon? - spytała Coral.

- Taaa.

- Patrz, jak woda paruje na styku z żelazem.

- Czym wy się tu bawicie, dzieciaki? - zainteresował się Omaha.

Danny odsunął się od relingu nieco zarumieniony.

- Badania.

Omaha przewrócił oczami. Jego brat zawsze miał świra na punkcie nauki.

Coral wyprostowała się.

- W wodzie zachodzi jakaś reakcja katalityczna. Sądzę, że zapoczątkowała ją ta żelazna dziewczica. Wytwarza jakąś siłę odrzutową. - Znów przechyliła się przez burtę. - Chciałabym zbadać tę wodę.

Danny skinął głową jak szczeniak machający ogonem.

- Przyniosę wiadro.
Omaha zostawił ich z naukowym projektem. Teraz obchodziło go jedynie, dokąd popłyną. Zauważył, że Kara patrzy na niego... nie, na niego i Safię.
Przylapana odwróciła wzrok i spojrzała w głąb mrocznego tunelu.
Omaha zauważył, że hodja czyni to samo.
- Czy wiesz, dokąd płyniemy? - zapytał ją.
Wzruszyła ramionami.
- Do prawdziwego serca Ubaru.
Na łodzi zapadła cisza. Płynęli długim, ciemnym tunelem. Omaha popatrzył w górę, trochę spodziewając się zobaczyć nocne niebo. Lecz nie tutaj.
Żeglowali dziesiątki metrów pod piaskiem.

12.45

Painter obudził się, zachłystując się i dławiąc, piekły go oczy.
Spróbował usiąść, ale popchnięto go na posłanie. Dzwoniło mu w uszach. Światło paliło lodowato. Wszystko się trzęsło. Przetoczył się na bok i zwymiotował. Jego żołądek wciąż kurczył się i kurczył.
- Obudziłeś się.
Ten głos zmroził gorączkowy ból ciała.
- Cassandra...
Miała na sobie piaskowe khaki i długą do kolan kurtkę przepasaną w talii. Kapelusz wisiał na sznurku na plecach, szyję owinęła chustą. Jej skóra jaśniała w świetle, a oczy jarzyły się gorączkowym blaskiem.
Walczył, żeby usiąść. Dwóch żołnierzy trzymało go za ramiona.
Cassandra odesłała ich machnięciem ręki.
Painter usiadł powoli. Widział wymierzone w siebie lufy.
- Mamy do obgadania pewien interes - zaczęła Cassandra. - Ten twój mały wyczyn kaskaderski kosztował mnie większość sprzętu elektronicznego. Chociaż trochę uratowaliśmy na przykład mojego laptopa. - Wskazała komputer spoczywający na składanym krześle. Wyświetlał mapę satelitarną regionu, przekazując na żywo przesuwanie się burzy piaskowej.
Painter zauważył przewijające się dane pogodowe. Układ wysokiego ciśnienia z wybrzeża Morza Arabskiego wreszcie przekroczył góry. Zmierzał ku zderzeniu z piaskową burzą w ciągu najbliższych dwóch godzin. Megastarcie morza i pustyni.
Teraz jednak nie miało to znaczenia.
- Nie ma mowy, żebym ci cokolwiek powiedział - wychrypiał.
- Nie przypominam sobie, żebym cię o cokolwiek pytała.
Popatrzył na nią z pogardą. Nawet to bolało.
Przesunęła laptopa i dotknęła kilku klawiszy. Na ekranie pojawiła się mapa okolicy: miasto, ruiny, pustynia. Była monochromatyczna, poza jednym niebieskim krążkiem wirującym wolno, mającym kilka milimetrów średnicy. Pod nim były współrzędne X, Y, Z, które się zmieniały. Przekaz w czasie rzeczywistym. Wiedział, na co patrzy - na sygnał z mikroprzełącznika, system wynaleziony przez niego samego.
- Coś ty zrobiła?
- Wszczepiliśmy to doktor al-Maaz. Nie chcieliśmy stracić jej z oczu.
- Przekaz... pod ziemią... - Trudno mu było zmusić się do mówienia.
- We wraku była szczelina wystarczająco duża, żeby opuścić obciążony przewód antenowy. Wygląda na to, że kiedy rozwinęliśmy go na odpowiednią długość, dostaliśmy sygnał. Wydaje się, że tam, w dole, jest niezła akustyka. Opuściliśmy wzmocnione przełączniki. Możemy wysledzić ją wszędzie.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?
Cassandra wróciła do jego łóżka. W rękę trzymała mały przekaźnik.
- Żeby cię poinformować o niewielkiej modyfikacji twego projektu. Wygląda na to, że przy nieco większej baterii da się zdetonować pigułkę C-cztery. Mogę pokazać ci schemat.
Painter czuł, że chłód ogarnia całe jego ciało.
- Cassandro, coś ty zrobiła? - Przypomniawszy sobie twarz Safii, jej nieśmiały uśmiech.
- Tam jest dość ładunku wybuchowego, żeby rozwalić czyjś kręgosłup.
- Nie zrobiłaś...
Podniosła jedną brew, co kiedyś tak go podniecało i przyspieszało tętno. Teraz był przerażony. Painter zacisnął pięści na prześcieradle.
- Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.
- Jakże chętny do współpracy. Ale nadal nie przypominam sobie, żebyś zadawała ci jakieś pytania. - Podniosła przekaźnik i spojrzała na ekran. - Pora, żeby cię ukarać za ten kaskaderski wyczyn.
Nacisnęła guzik.
- Nie!
Jego wrzask zginął w głośniejszej eksplozji. Miał wrażenie, że serce mu eksplodowało.
Cassandra uśmiechnęła się zachwycona. Żołnierze wybuchnęli pełnym grozy śmiechem. Podniosła urządzenie.
- Przepraszam, chyba wzięłam nie ten przekaźnik. Ten kontrolował ładunki rozmieszczone w szczątkach ciągnika. Moi pirotechnicy obiecali, że ładunki utorują nam drogę do tunelu. Trzeba tylko trochę posprzątać. Ruszamy za pół godziny.
Painterowi dudniło w głowie. Cassandra wyjęła drugi przekaźnik.
- Ten jest właściwy. Nastrojony na przekaźnik Safii. Spróbujemy?
Painter spuścił głowę. Ona to robi. Ubar został otwarty. Cassandra nie potrzebuje już wiedzy Safii.
- Teraz, skoro mam już twoją pełną uwagę, może trochę pogawędzimy?

13.52

Safia opierała się jedną ręką o galion biodrem o reling. Jak to możliwe, że jednocześnie jest tak przerażona i tak zmęczona? Minęło pół godziny, od kiedy usłyszeli wybuch od strony spiralnego tunelu.
- Brzmi, jakby Cassandra szła i pukała - mruknął Omaha.
W tym czasie odpłynęli daleko w głąb tunelu. Napięcie rosło. Wiele laterek oświetlało tunel za nimi. Nic się nie zbliżało. Safia mogła sobie tylko wyobrażać frustrację Cassandry, gdy ta zorientuje się, że zniknęli, i stanie przed zalany tunelem.
Długo będą musieli płynąć, jeśli Cassandra i jej zespół obiorą tę drogę.
Chociaż prędkość dhowa była tylko trochę większa od szybkiego marszu, płynęli od ponad godziny. Musieli pokonać co najmniej sześć, siedem mil, w tym powolnym, ale królewskim tempie ucieczki.
Stopniowo każdy się odprężył. A kto ma powiedzieć reszcie, że Cassandrze udało się usunąć wrak z wejścia do tunelu?
Safia nadal nie mogła pozbyć się innego jeszcze lęku, bliższego jej sercu.
Painter.
Jaki los go spotkał? Zabity, złapany, zagubiony w burzy? Zdawało się, że nie istnieje żadna możliwość dająca jakąkolwiek nadzieję.
Za Safią kilka Rahim cicho śpiewało smutno po aramejsku, żałując zabitych. Serce Safii też pogrążyło się w żałobie.
Lu'lu wierciła się, wyczuwając zainteresowanie Safii.

- Nasz stary język, język ostatniej królowej, teraz martwy, ale między sobą nadal go używamy.

Safia słuchała, jakby przeniosła się w czasie.

W pobliżu Kara i Omaha siedzieli na pokładzie i spali z opuszczonymi głowami.

Barak stał przy sterze, pilnując kursu, ponieważ kanał meandrował. Możliwe, że to przejście kiedyś stanowiło część starożytnego układu rzeczno-jeziornego.

Kilka metrów dalej Coral siedziała ze skrzyżowanymi nogami pochylona nad zestawem sprzętu zasilanego z baterii. Jej twarz oświetlała poświata z wyświetlaczy i skali. Danny pomagał jej, klęczał obok, mając twarz blisko jej twarzy.

Obok nich Safia dostrzegła ostatniego członka ich zespołu.

Clay opierał się o reling sterburty i patrzył przed siebie. Wypalili wspólnie z Barakiem papierosa, jednego z ostatnich w paczce Araba. Clay wyglądał, jakby potrzebował następnego.

Zauważył jej spojrzenie i podszedł.

- Jak się trzymasz? - zapytała.

- Jedyne, co mogę rzec to tyle, że lepiej, żebym dostał dobrą ocenę. - Jego uśmiech był szczery, choć trochę niepewny.

- No, nie wiem - drażniła się z nim. - Zawsze można się poprawić.

- Pięknie. Ostatni raz znoszę te twoje docinki - westchnął, patrząc w mrok. - Tu, w dole, jest od cholery wody.

Przypomniała sobie jego lęk przed morzem, błysnęło wspomnienie podobnej rozmowy przy relingu „Shahab Omana”. Teraz wydawało się, że było to cały świat temu.

Danny wstał i przeciągnął się.

- Coral i ja to przedyskutowaliśmy - kwestię ilości wody tutaj, na dole. Jest jej więcej niż to, co można przypisać miejscowym deszczom albo poziomowi lustra wody.

Omaha wiercił się i mówił ze spuszczoną głową. Nie spał, tylko odpoczywał.

- No to dawaj tę historię, gorąco głowy - powiedział.

- Tę wodę wytwarza Ziemia - wyjaśniła Coral.

Omaha uniósł głowę.

- Powtórz.

- Od lat pięćdziesiątych dwudziestego stulecia wiadomo, że w Ziemi jest więcej wody, niż wynikałoby to z bilansu powierzchniowego cyklu hydrologicznego parowania i opadów. Było wiele przypadków znajdowania wielkich źródeł świeżej wody w głębinach Ziemi. Wielkie akwenty.

- Coral... doktor Novak mówiła mi o pewnym źródle znalezionym podczas kopania fundamentów dla szpitala Harlem w Nowym Jorku - wtrącił się Danny. - Biła z niego woda z prędkością dwu tysięcy galonów na minutę. Trzeba było wielu ton betonu, żeby je zakorkować.

- Ale, u diabła, skąd się ta cała woda bierze?

Danny machnął ręką w stronę Coral.

- Coral wie lepiej.

Westchnęła, najwyraźniej zirytowana tym wtrętem.

- Inżynier i geolog Stephen Reiss zaproponował, żeby uznać, iż taka nowa woda jest regularnie wytwarzana wewnątrz Ziemi przez żywiołowe łączenie się wodoru z tlenem, które z kolei są wytwarzane przez magmę. Że kilometr sześcienny granitu poddany właściwemu ciśnieniu i temperaturze ma zdolność wyprodukowania ośmiu miliardów galonów wody. No i takie rezerwuary magmowo lub geogenicznie wytwarzanej wody są częste pod skorupą, połączone w wielki wodonośny układ oplatający cały glob.

- Nawet pod pustyniami Arabii? - zapytał Omaha na pół drwiąco.

- Z pewnością. Reiss, aż do swej śmierci w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym, przez ponad pięćdziesiąt lat z powodzeniem znajdował wodę w miejscach, które inni geolodzy uznawali za pozbawione wody. Łącznie ze studiami w Ej Facie w Izraelu, które dają nadal dość wody dla stutysięcznego miasta. To samo robił w Arabii Saudyjskiej i w Egipcie.

- Więc według ciebie cała ta woda może być częścią tego układu?

- Możliwe. - Coral otworzyła niewielkie drzwiczki w jednym ze swoich urządzeń. Safia zauważyła, że uniosła się przy tym smuga pary. Jakiś typ chłodziarki. Coral szczypcami wyjęła małą probówkę i zakręciła nią. Cokolwiek dostrzegła, zmarszczki na jej czole się pogłębiły.

- Coś nie w porządku? - zapytał Danny, zauważywszy jej reakcję.

- Z tą wodą jest coś nie tak.

- Co masz na myśli?

Podniosła probówkę.

- Chciałam ją zamrozić.

- No i?

Uniosła wyżej probówkę.

- W chłodziarce azotowej obniżyłam temperaturę do minus trzydziestu stopni Celsjusza, a próbka nie zamarzła.

- Jak to? - Omaha przysunął się bliżej.

- To nie ma sensu. W chłodziarce woda oddaje ciepło i zestala się. No a ten materiał nadal oddaje energię i nie zamarza. Wygląda na to, że ta woda ma w sobie jakieś nieprzebrane zapasy zmagazynowanej energii.

Safia patrzyła ponad relingiem. Nadal czuła ozon. Pamiętała lekkie parowanie wody wokół żelaza.

- Masz jeszcze ten skaner rentgenowski?

Coral potwierdziła skinieniem głowy, oczy jej się rozszerzyły.

- Oczywiście.

Złożyła bazę i pręt pomiarowy w jedno urządzenie. Przesunęła nim nad probówką. Zanim zdążyła coś powiedzieć, jej oczy zdradziły, że coś odkryła.

- Anihilacja antymaterii.

Wstała i przytrzymała skaner nad relingiem, przesuwając go od śródokręcia ku Safii na dziobie.

- Wzrasta z każdym krokiem.

- A to co, u licha, znaczy? - zdziwił się Omaha.

- Magnetyzm żelaza wyzwała nieco anihilacji antymaterii.

- Antymaterii? Gdzie?

Coral popatrzyła dookoła.

- Płyniemy przez nią.

- To niemożliwe. Antymateria anihiluje się przy dowolnym kontakcie z materią. Nie może znajdować się w wodzie. Zniknęłyby wraz z wodą już dawno temu.

- Masz rację - przyznała Coral. - Ale nie mogę nie brać pod uwagę odczytów. Ta woda w jakiś sposób jest wzbogacona antymaterią.

- I to napędza łódź? - zdziwiła się Safia.

- Możliwe. W jakiś sposób magnetyzm żelaza uaktywnił zlokalizowaną anihilację antymaterii w wodzie, przekształcając energię w siłę napędową, która nas pcha.

- A co z kwestią destabilizacji? - zapytał Omaha.

Safia przypomniała sobie wyjaśnienia Paintera, jak promieniowanie rozpadu izotopów uranu mogło być przyczyną wybuchu w muzeum. Wspomniała dymiące kości strażnika.

Coral patrzyła w skaner.

- Nie mam odczytów ani promieniowania alfa, ani beta, ale nie na pewno. - Wróciła do swojego warsztatu pracy. - Muszę zrobić więcej badań.

- Tunel się kończy - odezwała się nagle hodja. Wszystkie oczy spojrzały w tym samym kierunku. Nawet Coral wstała.

Przed nimi tańczyło małe migotanie światła, rosnąc i malejąc. Było na tyle silne, by stwierdzić, że za dziesięć metrów tunel się kończy. Na ostatnim metrze sklepienie stało się poszarpane jak paszcza rekina.

Nikt się nie odzywał.

Statek wpłynął do rozległej podziemnej komnaty.

- Matko Boska! - szepnęła Omaha.

14.04

Cassandra przyciskała słuchawkę telefonu satelitarnego do lewego ucha i zakrywała prawe, żeby nie słyszeć wycia burzy. Znajdowała się na piętrze budynku, gdzie mieściło się dowództwo misji. Burza przebijała się przez popioły miasta. Piasek uderzał w zabite okna.

Słuchała, chodząc po pokoju. Głos, cyfrowo zmieniony, trudno było zrozumieć. Głowa Gildii upierała się przy zachowaniu anonimowości.

- Dowódco Szary - ciągnął Minister - prośba o tak szczególne traktowanie podczas tej burzy powoduje ryzyko ujawnienia tej operacji. Nie mówiąc o samej Gildii.

- Wiem, że to brzmi przesadnie, ale znaleźliśmy cel. Jesteśmy kilka kroków od zwycięstwa. Możemy zniknąć z Shisuru jeszcze przed końcem burzy. O ile dostaniemy wsparcie z Tumraitu.

- A jaką dostanę gwarancję, że akcja się powiedzie?

- Stawiam moje życie.

- Dowódco Szary, twoje życie zawsze było w puli. Dowództwo Gildii analizowało twoje ostatnie porażki. Rozczarowanie tobą zmusi nas do ponownego rozważenia, czy potrzebujemy twoich usług.

Skurwiel, zakłęła w duchu Cassandra. Sam ukrywa się za pseudonimem, siedzi za jakimś cholernym biurkiem i ma czelność kwestionować jej kompetencje. Ale Cassandra wiedziała, jak naprawić szkody. Dzięki Painterowi.

- Ministrze, jestem pewna zwycięstwa, ale muszę żądać, żeby później móc oczyścić moje nazwisko. Wyznaczono dowódcę zespołu. Nie był to mój wybór. Narzucono mi go. John Kane źle wykonywał rozkazy i podważał mój autorytet. To jego brak czujności spowodował zarówno opóźnienie, jak i jego śmierć. Ja, z drugiej strony, zdołałam pokonać i pojmać sabotażystę. Kluczowego żołnierza sił Sigma z DARPA.

- Masz Paintera Crowe'a?

Cassandra zmarszczyła czoło na tę familiarność w głosie.

- Tak jest, Ministrze.

- Bardzo dobrze, Dowódco Szary. Może jednak nie popełniłem błędu, ufając twej kompetencji. Dostaniesz wsparcie. Cztery ciągniki opancerzone prowadzone przez kierowców Gildii już są w drodze.

Cassandra ugryzła się w język. A więc cała ta gadanina była tylko na pokaz.

- Dziękuję, sir - udało się jej powiedzieć, ale wysiłek poszedł na marne. Minister już przerwał połączenie. Odłożyła telefon, ale przeszła się jeszcze po pokoju w tę i z powrotem, oddychając głęboko.

Tak bardzo była pewna zwycięstwa, kiedy udało się wysadzić ciągnik u wlotu rampy. Cieszyło ją torturowanie Paintera, łamanie go, aż zgodził się mówić. Teraz już wiedziała, że

pozostali nie stanowią żadnego realnego zagrożenia. Kilku doświadczonych wojowników, owszem, ale też mnóstwo cywilów, dzieci i starych kobiet.

Kiedy wrak został uprzątnięty, Cassandra poszła w głąb dziury, gotowa na wygraną, jedynie po to, by odkryć podziemną rzekę. Była i kamienna keja, więc tamci musieli jakoś odpłynąć.

Musi polegać na Ministrze, ale mimo frustracji to wyzwanie nie mogło zadziałać lepiej. Znalazła kozła ofiarnego i wkrótce będzie miała wszystko, czego potrzebuje, żeby zapewnić sobie zwycięstwo pod piaskiem.

Już spokojna skierowała się do schodów. Chciała zobaczyć ostatnie przygotowania. Zeszła, tupiąc po drewnianych stopniach do prowizorycznego szpitala. Podeszła do dyżurnego i skinęła głową.

- Dostanie pan wszystko, czego pan potrzebuje. Ciężarówka już jada, będą za dwie godziny.

Na twarzy lekarza odmalowała się ulga.

Cassandra zerknęła na Paintera, który, oszołomiony, na wpół siedział w łóżku. Obok stał jej laptop. Niebieskie światełko oznaczające Safię jarzyło się na ekranie.

Upomnienie.

Cassandra nosiła przekaźnik w kieszeni jako gwarancję współpracy ze strony Paintera.

Spojrzała na zegarek. Niedługo to wszystko się skończy.

14.06

Kara stała na dziobie obok Safii. Trzymała siostrę za rękę, kiedy Safia w jakiś niepojęty sposób napędzała dotykiem łódź. Udało im się, znalazły to, czego ich ojciec szukał przez tak wiele lat.

Ubar.

Dhow wpłynął do rozległej pieczary sklepionej łukowo jakieś trzydzieści piętér wyżej i rozciągającej się na półtora kilometra. Wypełniało ją wielkie jezioro o nieznaną głębokości.

Płynąc przez nie, przebijali mrok włócznie promieni latarek, jednakże to dodatkowe oświetlenie nie było potrzebne. Na sklepieniu biegły błyskami kobaltowe wyładowania elektryczne, poszarpanymi kształtami goniąc gazowe chmury o zamazanych brzegach i wewnętrznym ogniu, jak duchy, drżące i płynne.

Schwytane w pułapkę ładunki elektrostatyczne. Zapewne ściągnięte przez burzę.

Ognisty pokaz był najmniejszym z powodów ich podziwu i zdumienia. Łuna oślepiła i odbijała się od każdej powierzchni: jeziora, sklepienia, ścian.

- To wszystko to szkło - stwierdziła Safia, patrząc w górę i na boki.

Cała jaskinia okazała się gigantycznym szklanym bąblem, zakopany pod piaskami. Dostrzegła także szklane stalaktyty zwisające ze sklepienia. Niebieskie łuki przesuwały się wzdłuż nich, w górę i w dół, niczym elektryczne pająki.

- Szklany żużel - dodał Omaha. - Stwardniały, stopiony piasek. Tak jak rampa.

- Jak to wszystko powstało? - zapytał Clay.

Nikt nawet nie ryzykował zgadywania, a dhow płynął dalej. Coral patrzyła na jezioro.

- Cała ta woda... - zaczęła.

- Ona musi być wytwarzana przez Ziemię - dokończył Danny. - Albo została wytworzona kiedyś.

Coral zdawała się go nie słyszeć.

- Jeśli cała jest wzbogacona antymaterią...

Te słowa sprawiły, że wszyscy zamilkli. Po prostu obserwowali grę energii na sklepieniu odbijaną przez spokojną powierzchnię jeziora.

Wreszcie Safia przerwała ciszę - zachłysnęła się, i zakryła ręką usta.

- Safio, co...

Kara także to dostrzegła. Z ciemności wyłonił się brzeg. Wyrastał z wód i sięgał ściany. Szeregi kolumn z czarnego szkła biegły od podłoża do sklepienia, setki, wszelkich rozmiarów. Potężne kolumny, cienkie szpikulce i nieziemsko skręcone spirale.

- Tysiąc kolumn Ubaru - wyszeptała Safia. Znajdowali się już na tyle blisko, że ukazały się szczegóły.

Z ciemności wyłoniło się miasto, jarząc się, lśniąc, połyskując.

- Samo szkło - stwierdził Clay.

Cudowne miasto pięło się od brzegu i ciągnęło aż do ściany, rozrzucone między kolumnami. Karze przypominało nadbrzeżne miasteczka wzdłuż wybrzeża Amalii wyglądające jak dziecinne klocki rozsypane na stoku.

- Ubar - powiedziała hodja.

Kara zerknęła w tył, Rahim klęczały na pokładzie. Po dwóch tysiącleciach wrócili do domu. Wyjechała jedna królowa, dziś wróciło królowych trzydzieści.

Dhow zatrzymał się, kiedy Safia cofnęła rękę, i dryfował siłą rozpędu.

Omaha podszedł do niej i otoczył ją ramieniem.

- Bliżej.

Sięgnęła ponownie do żelaznego ramienia. Łódź znów popłynęła i łagodnie zbliżyła się do zaginionego starożytnego miasta. Barak zawołał od steru:

- Kolejna keja! Sprawdź, czy uda mi się nas wprowadzić! Dhow skręcił ku kamiennej włóczni.

Kara patrzyła na zbliżające się miasto. Snopy światła z latarek dawały dodatkowe oświetlenie. Szczegóły stawały się wyraźniejsze.

Domy, choć ze szkła, ozdobione były złotem, srebrem, kością słoniową i płytkami ceramicznymi. Na jednym z pałaców stojących niedaleko linii brzegowej widniała mozaika, która zdawała się być wykonana ze szmaragdów i rubinów - ptak z płomiennym czubem i brązoworóżowym upierzeniem. Pełnił ważną funkcję w wielu opowieściach o królowej Saby.

Wszyscy byli przejęci.

- Zwolnij! - krzyknął Barak, gdy zbliżali się do kei. Safia przestała dotykać żelaznego posągu. Prędkość dhowa nagle spadła. Barak płynnie ustawił statek wzdłuż kei.

- Zacumujcie - polecił.

Rahim wstały, przeskoczyły na kamienną keję i przywiązały cumy do srebrnych pacholek.

- Jesteśmy w domu - rzekła Lu'lu. Jej oczy wypełniły się łzami.

Kara pomogła staruszce wrócić na śródokręcie, skąd mogła dać krok ze statku na keję. Będąc już na stałym gruncie, hodja machnięciem ręki przywołała Safię.

- Powinnaś nas prowadzić. Przywróciłaś nam Ubar.

Safia cofnęła się, ale Kara ją szturchnęła.

- Wyświadczyć starszej damie tę przysługę.

Wziawszy głęboki wdech, Safia wysiadła i poprowadziła grupę na szklany brzeg Ubaru. Kara maszerowała za nią i Lu'lu. To była ich chwila. Nawet Omaha powstrzymał się przed ruszeniem naprzód, choć rozglądał się podniecony.

Dotarli do brzegu.

Kara popatrzyła w górę i wpadła na Safię, ponieważ ona i Lu'lu nagle się zatrzymały.

- O Boże... - jęknęła Safia. Hodja padła na kolana.

Omaha skulił się. Kara cofnęła się o krok.

Kilka metrów przed sobą ujrzeli zmumifikowane ciało, którego dolna część tkwiła w szkle. Omaha poświecił wzdłuż ulicy. Ukazało się więcej takich zwłok, na wpół

pogrzebanych w podłożu. Kara zauważyła pojedynczą, wyschniętą rękę sterczącą ze szkła, jakby tonęła w czarnym morzu. Zdawało się, że to ręka dziecka.

Wszyscy utonęli w szkłe.

Omaha podszedł bliżej i nagle skoczył w bok. Skierował promień światła w dół, tam, gdzie stał przed momentem. Światło przeniknęło szkło, ujawniając ludzki kształt, spalony do kości, skulony.

Kara nie była w stanie nawet mrugnąć. Ten człowiek wyglądał jak jej ojciec.

Zakryła dłońmi twarz i odwróciła się.

- Chyba właśnie odkryliśmy prawdziwą tragedię, która spowodowała, że ostatnia królowa Ubaru uszła z miasta, zamykając to miejsce i przeklinając je - odezwał się Omaha. - To nie jest miasto. To grób.

20

BITWA POD PIASKIEM

4 GRUDNIA, 15.13 SHISUR

Painter patrzył na zaimprovizowany szpital. Środek uspokajający nadal utrzymywał jego umysł w stanie oszołomienia, ale był już zdolny myśleć jaśniej. Nie pokazał tego jednak po sobie.

Obserwował Cassandrę, kiedy wchodziła. Za nią wpadł tuman piasku. Z trudem zamknęła drzwi.

Painter usłyszał wcześniej dosyć, żeby wiedzieć, że jej próba ruszenia w pościg skończyła się SWNWS, czyli „sytuacja w normie, wszystko spaprane”. Nie znał jednak szczegółów. Niemniej jednak po pewności jej kroków, po tym, że morale zespołu było wysokie, poznał, iż nie wszystko stracone. Jak zwykle Cassandra miała plan awaryjny.

Zauważyła jego zamglony wzrok, podeszła do niego i przysiadła na sąsiedniej pryczy. Jego strażnik, siedzący za nim, wyprostował się na widok dowódcy. Cassandra wyjęła z kabury pistolet.

Czy to koniec?

Kącikiem oka Painter zauważył mały niebieski krążek na ekranie laptopa. Przynajmniej Safia wciąż żyje. Była już dość daleko za Shisurem, na północ od nich. Współrzędne na osi Z wskazywały, że nadal jest głęboko pod ziemią. Ponad sto metrów.

Machnięciem ręki Cassandra odesłała strażnika.

- Może zapalisz? Ja go popilnuję.

- Tak jest, pani kapitan. Dziękuję. - Odszedł, zanim zdążyła zmienić zdanie. Painter usłyszał lęk w jego głosie. Wiedział, w jaki sposób Cassandra dowodzi. Żelazna pięść i strach.

Cassandra przeciągnęła się.

- No to, Crowe...

Painter zacisnął pięść. Nic nie mógł zrobić. Jego noga została przykuta do pryczy.

- Czego chcesz, Sanchez? Przyszłaś sobie ze mnie żartować?

- Nie. Chciałam ci tylko powiedzieć, że chyba przyciągnęłaś uwagę moich zwierzchników. Właściwie to złapanie ciebie dodało mi kilka punktów.

Painter wpatrzył się w nią. Nie przyszła z niego żartować, przyszła się chwalić.

- Gildia? A więc to oni podpisują twoje czeki?

- Co mogę powiedzieć? Dobrze płacą. - Wzruszyła ramionami. - Lepszy pakiet świadczeń dodatkowych. Równowartość czterystu jeden tysięcy. Własny pluton egzekucyjny. Czego tu nie lubić?

Painter słyszał w jej głosie mieszaninę pewności siebie i drwiny. Niezbyt dobrze to wróżyło. Na pewno ma plan, jak wygrać.

- Czemu zdecydowałaś się na Gildię? - zapytał. Spojrzała na niego

- Prawdziwą władzę można znaleźć jedynie wśród tych, którzy chcą złamać wszelkie zasady, żeby osiągnąć swe cele - odrzekła powoli. - Prawa i regulacje to nic innego jak ograniczenie i mydlenie oczu. Ja wiem, co to znaczy być bezsilnym. - Jej wzrok powędrował daleko, gdzieś w przeszłość. Painter wyczuł żal kryjący się za jej słowami. W jej głosie pojawił się lód. - Wreszcie wyrwałam się dzięki temu, że przekroczyłam granice, które niewielu odważyło się przekroczyć. Poza tymi granicami znalazłam władzę. I nigdy stamtąd nie wrócę... nawet dla ciebie.

Painter zrozumiał, że nie ma sensu z nią dyskutować.

- Próbowałam cię ostrzec, żebyś się wycofał - ciągnęła. - Wkurzyłeś Gildię zbyt wiele razy, więc chcą się odgryźć. Bardzo się tobą interesują.

Painter słyszał o Gildii, organizacji, która ukształtowała się w komórkach terrorystycznych, luźnym stowarzyszeniu z tajnym dowództwem. Operowali na arenie międzynarodowej bez żadnej przynależności do konkretnego państwa czy narodu, choć mówiło się, iż powstała z popiołów po dawnym Związku Radzieckim, że to połączenie rosyjskich gangsterów i byłych agentów KGB. Nic więcej nie było wiadomo. Poza tym, że są bezwzględni i żądni krwi. Cele mieli proste: pieniądze, władza, wpływy. Gdyby zyskali dostęp do źródła antymaterii, mogliby szantażować całe państwa, sprzedawać próbki władzom lub terrorystom. Gildia stałaby się czymś nie do powstrzymania, nietykalna.

Crowe patrzył uważnie na Cassandrę. Jak głęboko sięgają wpływy Gildii w Waszyngtonie? Przypomniał sobie swój sprawdzający e-mail. Znał co najmniej jedną osobę będącą na ich liście płac. Wspomniał Seana McKnighta. Wystawiono ich. Zacisnął mocniej pięść.

Cassandra pochyliła się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

- Kiedy to się skończy, zapakuję cię, przewiążę wstążką i dostarczę dowództwu Gildii.

Painter pokręcił głową, ale nie był pewien, czemu zaprzecza.

- Widziałam ich metody przesłuchiwania na własne oczy - ciągnęła. - Robią wrażenie. Był taki gość, agent MI5, który próbował przeniknąć do komórki Gildii w Indiach. Facet został złamany tak bardzo, że jedyne, co mu zostało, to ciche łkanie, skomlenie pobitego szczeniaka. Zresztą nie widziałam wcześniej nigdy oskałpowanego człowieka z elektrodami wwierconymi w czaszkę. Fascynujące. Ale, ale, dlaczego ja ci to wszystko opowiadam? Przecież sam się przekonasz na własnej skórze.

Painter nawet sobie nie wyobrażał głębi deprawacji i przebiegłości tej kobiety. Jak mógł nie zauważyć tej otchłani okrucieństwa? Jak mógł oddać jej swe serce? Znał odpowiedź. Jaki ojciec, taki syn. Jego ojciec poślubił kobietę, która w końcu zadźgała go na śmierć. Dlaczego ojciec nie zobaczył duszy morderczynie w kobiecie, której ślubował wierność, z którą spał co noc w jednym łóżku, z którą miał dziecko? Czy to genetycznie uwarunkowana ślepotą przechodząca z pokolenia na pokolenie?

Jego wzrok powędrował ku niebieskiemu krążkowi na ekranie. Safia. Ciepło zalało jego serce. Nie była to miłość, przynajmniej jeszcze nie, nie po tak krótkim czasie. Było to jednak coś głębszego niż szacunek i przyjaźń. Uczepił się tej możliwości, tego wewnętrznego potencjału. Istnieją dobre kobiety mające serca tak szczerze jak jego własne. I może je kochać.

Znów popatrzył na Cassandrę. Uszła z niego cała złość.

Musiała dostrzec coś w jego twarzy. Spodziewała się zobaczyć porażkę, zamiast niej widziała jednak zdecydowanie i spokój. W jej oczach pojawiło się zmieszanie, a Painter dostrzegł błysk czegoś jeszcze.

Ból i strach.

Ale był to tylko błysk.

W mgnieniu oka furia wypaliła wszystko inne. Cassandra zerwała się, unosząc pistolet. Painter patrzył na nią w milczeniu. A niech go zastrzeli. To lepsze, niż gdyby go przekazała swoim szefom.

Cassandra wydała dźwięk pośredni między śmiechem i drwiną.

- Zostawię cię Ministrowi. Ale może przyjdę popatrzeć.

- Ministrowi?

- To będzie ostatnia twarz, którą zobaczysz. Odwróciła się i odeszła.

Painter w tym ostatnim zdaniu usłyszał lęk. Lęk przez zwierchnikiem, kimś bezwzględny i o żelaznej pięści.

Painter był już całkiem przytomny. Minister. Zamknął oczy. Teraz już wiedział, kto przewodzi Gildii albo przynajmniej prowadzi Cassandrę.

Było gorzej, niż sobie wyobrażał.

16.04

- To musi być pałac królowej - orzekł Omaha.

Ze skrajów dziedzińca z czarnego szkła Safia spoglądała na wielką budowlę, a Omaha przesuwając światłem latarki po jej powierzchni. Podstawa była kwadratowa, ale wyżej nadbudowano okrągłą, czteropiętrową wieżę z krenelażami na szczycie. Zdobiły ją łuki stopionego szkła, otwierając się na balkony, a te spoglądały na miasto. Bariery i ściany zdobiły szafiry, diamenty i rubiny. Dachy ze złota i srebra błyszcząły w błękitnych iskrach wyładowań migających na sklepieniu jaskini.

Safia jednak patrzyła na to wszystko krytycznym okiem.

- To duplikat cytadeli z góry. Patrzcie na wymiary, strukturę podstawy. Pasują.

- Mój Boże, Saff, masz rację.

Omaha wkroczył na dziedziniec.

Przestrzeń z obu stron ograniczały mury, stronę frontową wieńczył łuk nad wejściem.

Safia spojrzała za siebie. Pałac - niewątpliwie pałac królowej - stał wysoko pod ścianą jaskini, reszta Ubaru rozciągała się wzdłuż krętych ulic, schodzących w dół tarasami, schodami, rampami. Kolumny wznosiły się wszędzie.

- Zajrzyjmy do środka - zaproponował Omaha. Ruszył naprzód, a za nim Clay.

Kara pomogła Lu'lu. Hodja wróciła już do siebie po początkowym wstrząsie.

Jednak kiedy szli na górę, przechodzili nad lub obok zmumifikowanych zwłok. Wszędzie, przy każdym zakręcie, ze szkła wystawały postacie wykręcone w agonii, makabryczne szkielety drzew z wyschniętych, zmumifikowanych kończyn. Postacie mówiły o niewyobrażalnym dramacie. Jakaś kobieta zamarła przy szklanej ścianie, niemal w nią wsiąkała, chroniła swe dziecko do końca, trzymała je jak najwyżej, jakby ofiarując je Bogu. Nie wysłuchano jej modlitwy. Dziecko leżało w szkle nad jej głową. Takie dramaty widać było wszędzie.

W Ubarze musiało kiedyś mieszkać ponad tysiąc ludzi. Elita miasta żyła na górze - rodzina królewska, duchowni, rzemieślnicy, ci, którzy zasłużyli na łaskę królowej. Ale i tak wszyscy zginęli.

Mimo że królowa zamknęła miasto i nigdy o tym nie mówiła, jakieś wieści musiały przeniknąć. Safia wspomniła dwie opowieści z Baśni z tysiąca i jednej nocy: Mosiężne miasto i Skamieniały gród. Obie mówiły o miastach, których ludność zastygła w czasie, zmieniona w kamień lub mosiądz. Tyle że rzeczywistość okazała się o wiele straszniejsza.

Omaha ruszył ku wejściu do pałacu.

- Możemy spędzić całe dziesięciolecia na badaniu tego wszystkiego. Popatrz tylko, jak to zostało wykonane.

- Ubar rządził przez tysiąc lat - odezwała się Kara. - Miał pod ręką źródło mocy niepodobne do żadnego z dotychczas widzianych... Teraz też je ma. Ludzka inwencja znajdzie zastosowanie dla takiej potęgi. To nie może przejść niezauważone. Całe to miasto to wyraz ludzkiej pomysłowości.

Safia z trudem zmusiła się do dzielenia entuzjazmu Kary. To miasto to nekropolia. Gród umarłych, a nie świadectwo pomysłowości. To świadectwo zgrozy i agonii.

Przez ostatnie dwie godziny krążyli po mieście, starając się zrozumieć, jak doszło do tragedii.

Coral wciąż badała wodę w jeziorze. Danny asystował jej, odkrywając nagle nową pasję, fizykę... a może raczej namiętność do tej wysokiej blond pani fizyk. Coral chyba coś znalazła. Zanim Safia i inni ruszyli na poszukiwania, poprosiła o coś dziwnego: kilka kropel krwi od niej i kilka od kilku Rahim. Safia zgodziła się, choć Coral odmówiła wszelkich wyjaśnień.

W tymże czasie Barak i pozostałe Rahim rozproszyły się po mieście, żeby znaleźć sposób wydostania się z tego grobowca.

Omaha poprowadził grupkę do pałacu.

Pośrodku otwartej przestrzeni, w kołysce z czarnego szkła wyrzeźbionej w kształt dłoni, spoczywała wielka żelazna kula o średnicy półtora metra. Safia okrążyła ją, przypatrując się jej uważnie. Najwyraźniej stanowiła źródło tutejszej mocy.

Safia zauważyła, że Lu'lu także przygląda się kuli. Już nie z takim podziwem jak przedtem. W jej oczach jarzyła się groza.

- Patrzcie na to. - Omaha pospieszył do przodu. Podeszedł do kolejnej rzeźby, tym razem z piaskowca, stojącej na szklanym postumencie obok łukowato zwieńczonego wejścia do pałacu. Safia patrzyła na postać w pelerynie trzymającą lampę w wysoko uniesionej ręce. Bliźniak rzeźby, w której kiedyś kryło się żelazne serce. Tyle że jej szczegóły nie uległy zatarciu przez czas. Oszałamiające były precyzyjne fałdy odzienia, z czubka lampy wystawał malutki płomyk z piaskowca, miękkie rysy twarzy młodej kobiety. Safia poczuła nowy przypływ entuzjazmu.

Popatrzyła na drugą stronę wejścia. Tam także stał postument, ale bez posągu.

- Królowa go stąd zabrała - rzekła Safia. - Własny posąg... żeby ukryć pierwszy klucz.

Omaha zgodził się z nią.

- I umieściła w grobowcu Nabi Imrana.

Kara i Lu'lu stały przy łukowatym wejściu. Kara włączyła latarkę i poświeciła do wnętrza.

- Hej, powinniście to zobaczyć.

Za wejściem otwierał się krótki korytarz. Kara przesunęła światłem po ścianach. Połyskiwały bogatymi odcieniami: żółto-brązowym, kremowym, różowym, umbrą. Gdzieś tam widniały plamy indygo i turkusowe.

- To piasek - stwierdziła Kara. - Zmieszany ze szkłem.

Safia już widziała malowidła wykonywane różnokolorowym piaskiem, zakonserwowane pod szkłem... tyle że w tym przypadku dzieło sztuki tkwiło w szkłe. Pokrywało ściany, sufit i podłogę, a przedstawiało oazę na pustyni. Świeciło słońce o promieniach ze złotego piasku, przeplatanego błękitem i bielą obrazującymi niebo. Po obu stronach chwiały się palmy daktylowe, a w dali widać było szafir stawu. Jedną ścianę pokrywały czerwone wydmy. Wykonano je z taką subtelną odcieni i półtonów, że zdawały się zapraszać na spacer. Pod stopami piasek i kamień - prawdziwy piasek i kamień wtopiony w szkło.

Musieli tam wejść. Po zgrozie niższego miasta piękno tego miejsca było jak balsam na ich serca. Sień wejściowa po kilku zaledwie krokach otwierała się na większą komnatę, z której dłuższe, sklepione łukami korytarze wiodły w głąb budowli. Po prawej wyginały się schody wiodące na wyższe poziomy.

W tej komnacie piasek wszędzie wypełniał szkło, tworząc panoramy krajobrazów pustyni, morza i gór.

- Czy tak właśnie była ozdobiona ta pierwotna cytadela? - zdziwił się Omaha. - Czy królowa chciała odtworzyć kamienną rezydencję? Zmieniając szkło w kamień?

- To mogła być także kwestia prywatności - odrzekła Safia. - Światło wewnątrz ujawniałoby wszelkie ruchy królowej.

Przemierzali komnatę, znajdując w niej mnóstwo interesujących szczegółów. Safia badała jeden z obrazów, ten na ścianie naprzeciwko wejścia. Właśnie tę część dekoracji zauważyła jako pierwszą.

Pejzaż przedstawiał pustynię, słońce zachodziło, cienie wydłużały się, niebo przybrało barwę ciemnego indygo. Kontur budowli o płaskim dachu zdawał się znajomy. Zbliżyła się do postaci w pelerynie z wysoko uniesioną lampą. Ze szczytu budowli tryskał brylantowy piasek, promienie światła. Kwarc i krzemiany piasku błyszczały niczym diamenty.

- Odkrycie Ubaru - odezwała się Lu'lu. - To obraz przekazywany z pokolenia na pokolenie. Królowa Saby, jako dziewczynka, zgubiła się na pustyni i znalazła schronienie i błogosławieństwo piasków.

Omaha stanął obok Safii.

- Ta budowla z promieniami też wygląda jak cytadela.

Safia uświadomiła sobie nagle, dlaczego kontur wydawał jej się znajomy. W porównaniu ze szczegółami innych dzieł to zdawało się tylko szkicem. Może zostało wykonane o wiele wcześniej niż pozostałe? Po obu stronach na ścianach przedstawiono Ubar z góry i Ubar spod ziemi. Pałac i cytadela dominowały. Safia przeszła między nimi.

Zatrzymała się przed obrazem podziemnego Ubaru wykonanego z indygo i ciemnego piasku, oszałamiającym precyzją szczegółów. Mogła odróżnić nawet oba posągi flankujące wejście. Jedyнным odmiennym szczegółem była postać dziewczyny w pelerynie. Królowa Ubaru. Dotknęła jej, starając się zrozumieć osobę, która była jej matką.

Tyle tutaj tajemnic. Wiele z nich nigdy nie zostanie poznanych.

- Powinniśmy wracać do bazy - powiedziała w końcu Kara.

Safia skinęła głową. Niechętnie wyszli i skierowali się w dół.

Kręta droga wiodła od jeziora do pałacu. Safia szła obok hodja. Kara pomagała starej kobiecie, szczególnie na schodach. Drogę oświetlały bezgłośnie rozbłyśki błękitu. Tylko Omaha miał włączoną latarkę. Nikt nie chciał oglądać grozy, jaka ich otaczała.

Ciężyła im cisza, czuli tchnienie wieczności, zwykle zarezerwowane dla kościołów, mauzoleów i głębokich jaskiń. Powietrze pachniało wilgocią z domieszką ozonu. Safia mijala kiedyś miejsce wypadku drogowego - przewód wysokiego napięcia został zerwany i leżał w kałuży. Drut pluł iskrami i skręcał się. Powietrze tutaj pachniało jak wtedy. Safię drążył niepokój, przypominając o syrenach, krwi i tragedii.

Co się teraz stanie?

16.25

Omaha przyglądał się Safii, kiedy kroczyła obok Lu'lu. Wyglądała jak blady cień samej siebie. Chciał podejść i pocieszyć ją, ale obawiał się, że jego troska nie zostanie mile powitana. Znał ten wyraz jej oczu. Po Tel Awiwie. Chęć zwinięcia się w kłębek i odcięcia od

świata. Wtedy nie umiał jej pocieszyć. Teraz też nie. Podeszła do niego Kara. Była wyczerpana. Pokręciła głową i powiedziała cicho:

- Ona nadal cię kocha.

Omaha potknął się, światło latarki zatańczyło. Kara ciągnęła:

- Jedyne, co masz zrobić, to ją przeprosić.

Omaha otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

- Życie jest ciężkie. Miłość nie musi taka być - mówiła Kara. - Po prostu raz w życiu, Indiana, zachowaj się jak mężczyzna.

Omaha zatrzymał się. Był zbyt oszołomiony, żeby iść. W końcu znowu ruszył, ale przez resztę drogi nie odezwał się słowem.

Wreszcie pojawiło się przed nimi jezioro. Omaha rad był z towarzystwa. Baraka nadal nie było. Większość Rahim jednak wróciła. Niewiele potrafiło znieść grozę nekropolii. Widok dawnego domu sprawił, że ogarnął je smutek.

Danny dostrzegł Omahę i pospieszył do niego.

- Coral dokonała kilku ciekawych odkryć. Chodź, zobacz.

Grupka Omahy poszła za nim na keję. Coral urządziła tam prowizoryczne laboratorium. Spojrzała na nich trochę nieprzytomnie. Jeden z elementów sprzętu był stopiony. Jeszcze dymił i pachniał jak spalona guma.

- Co się stało? - zapytała Safia.

Coral pokręciła głową.

- Wypadek.

- Czego się dowiedziałas? - zainteresował się Omaha.

Coral odwróciła ciekłokrystaliczny wyświetlacz w ich stronę. Z boku przewijały się dane. Główne okno otwarte na ekranie zawierało kilka schematycznych rysunków. Pierwsze słowa Coral od razu przyciągnęły uwagę wszystkich.

- Dowód na istnienie Boga można znaleźć w wodzie.

Omaha uniósł brew.

- Mogłabyś to wyjaśnić? Do tego właśnie doszłaś? Filozofia z chińskich ciasteczek z wróżbami.

- Nie filozofia, ale fakt. Zacznijmy od początku.

- Niech się stanie światło.

- Nie aż tak daleko, doktorze Dunn. To podstawy chemii. Woda składa się z dwóch atomów wodoru i atomu tlenu.

- H₂O - rzekła Kara.

- To, co jest dziwne w cząsteczce wody to fakt, że jest wygięta. - Coral wskazała pierwszy szkic na ekranie.

- To jest właśnie owo wygięcie, które daje w wyniku niewielką polaryzację. Ładunek ujemny po stronie atomu tlenu, dodatni po stronie wodoru. To wygięcie pozwala wodzie także na przyjmowanie niezwykłych kształtów. Przykładowo lód.

- Lód jest dziwny? - zapytał Omaha.

- Jeśli będziesz mi przerywał... - skarciła go Coral.

- Indiana, daj jej skończyć - syknęła Kafa.

Coral podziękowała jej spojrzeniem.

- Kiedy materia przechodzi ze stanu gazowego w ciekły i stały, robi się bardziej ściśła, za każdym razem zajmuje mniej miejsca, staje się gęstsza. Jednakże nie woda. Woda osiąga maksymalną gęstość przy czterech stopniach Celsjusza. Zanim zamarznie. Kiedy woda zamarza, ta dziwnie wygięta cząsteczka tworzy niezwykle kształty kryształu, zamykając wewnątrz wiele przestrzeni.

- Lód - szepnęła Safia.

- Lód jest mniej gęsty od wody, o wiele mniej gęsty. Dlatego pływa po jej powierzchni. Gdyby nie to, na Ziemi nie zaistniałoby życie. Lód powstający na powierzchni jezior i oceanów nieustannie opadałby na dno, niszcząc wszelkie życie, nie dając szans wczesnym jego formom na rozwój. Pływający lód stanowi także warstwę izolacyjną dla wodnych przestrzeni, raczej chroniąc życie, niż je niszcząc.

- Ale jak to się ma do antymaterii? - spytał Omaha.

- Właśnie do tego zmierzam. Musiałam wskazać i podkreślić szczególne właściwości molekuly wody i jej dążenie do tworzenia dziwnych konfiguracji. A to dlatego, że istnieje inny sposób, w jaki woda może się ustawić. W zwykłej wodzie zdarza się to stale, ale trwa jedynie kilka nanosekund. Na Ziemi jest to zbyt niestabilne. W kosmosie jednak woda tworzy i utrzymuje ten oto niezwykle kształt.

Coral wskazała drugi rysunek.

- To dwuwymiarowe przedstawienie dwudziestu cząsteczek wody, które tworzą taką właśnie złożoną konfigurację. Nazywa się to dodekahedron pentagonalny.

- Ale lepiej wizualizować to w trzech wymiarach. - Coral postukała w trzeci rysunek.

- To wygląda jak wielka, pusta kula - zauważył Omaha.

- I jest. Dodekahedron jest bardziej znany jako buckyball („piłka Buky'ego”), od nazwiska Buckminstera Fullera.

- A więc w kosmosie znajdują się te buckyballe - rzekła Safia. - Tyle że tutaj istnieją one bardzo krótko.

- To problem stabilności.

- No to dlaczego nam o tym mówisz? - zapytała Kara.

Danny kołysał się w przód i w tył. Wskazał jezioro.

- Woda w tym tutaj jest pełna buckyballi, stabilnych i niezmiennych.

- Spora część tej wody - zgodziła się Coral.

- Jak to możliwe? - dopytywała się Safia. - Co utrzymuje tę stabilność?

- To, czego szukamy - odrzekła Coral, wpatrując się w wodę. - Antymateria.

Omaha przysunął się bliżej. Coral stuknęła w kilka klawiszy.

- Antymateria i materia, jako przeciwieństwa, przyciągają się i właśnie dlatego nie można znaleźć antymaterii leżącej byle gdzie na Ziemi. Materia jest wszędzie. W Szwajcarii w laboratoriach CERN naukowcy wytworzyli cząstki antymaterii i przez pewien czas utrzymywali je w próżni, w polu magnetycznym, w specjalnych komorach. Buckyballe działają na tej samej zasadzie.

- Jak? - Omaha pochylił się nad ramieniem Coral, kiedy ta wyświetlała kolejny rysunek.

- Ponieważ buckyballe mają zdolność działania jak mikroskopijne komory magnetyczne. W centrum tych sfer jest próżnia. Wewnątrz antymateria może przetrwać. - Wskazała literę „A” pośrodku kuli na diagramie. - Antymateria z kolei zasila buckyballe. Przyciąganie cząstek wody ściąga sferę ciaśniej, na tyle, by ustabilizować buckyballa. Z kolei będąc dokładnie otoczony cząsteczkami wody, atom antymaterii jest zawieszony w samym centrum, niezdolny dotknąć materii.

Coral popatrzyła na otaczających ją ludzi.

- Ustabilizowana antymateria - rzekł Omaha.

Coral westchnęła.

- Stabilna, dopóki nie dostanie silnego uderzenia elektrycznego albo zbliży się za bardzo do silnego magnesu lub silnego promieniowania. W każdym takim przypadku zostaje zachwiana równowaga. Wtedy buckyball zapada się, antymateria styka się z cząsteczką wody i anihiluje się, wyzwalając eksponencjalną ilość energii. - Zerknęła na okopcone szczątki urządzenia. - To odpowiedź na nieograniczoną energię.

Przez chwilę panowała cisza.

- A skąd się tutaj wzięła antymateria? - zapytała w końcu Kara.

Danny skinął głową.

- Rozmawialiśmy o tym tuż przed waszym przyjściem. Staraliśmy się poskładać fragmenty, żeby wpaść na jakiś pomysł. Pamiętasz, Omaha, wtedy, w furgonetce, kiedy gadaliśmy o zachwianiu osi Ziemi, które spowodowało przemianę tego regionu z żyznej sawanny w pustynię?

- Dwadzieścia tysięcy lat temu - odrzekł Omaha. Danny ciągnął:

- Doktor Novak postuluje, że może meteor z antymaterii, wystarczająco duży, żeby przetrwać przejście przez atmosferę, uderzył w Półwysep Arabski, wybuchł i pogrzebał się w porowatym skalnym podłożu z piaskowca, tworząc ten krystaliczny bąbel głęboko pod ziemią.

Kiedy wszyscy zaczęli rozglądać się po jaskini, odezwała się Coral:

- Wybuch musiał przebić się do układu wody generowanej przez ziemię, kaskadowo przekazując skutki przez kanały głęboko w ziemi. Dosłownie - wstrząsając światem. Na tyle, by wpłynąć na polaryzację Ziemi albo może potrząsnąć jej rdzeniem magnetycznym. Jakkolwiek się to stało, nastąpiła zmiana klimatu, przekształcając raj w pustynię.

- A kiedy doszło do tego kataklizmu, ukształtował się bąbel ze szkła - podjął wątek Danny. - Wybuch i gorąco zderzenia wyzwoliły gwałtownie powstające mgły i wyrzuciły atomy antymaterii i antymaterijne cząstki subatomowe. Kiedy to miejsce stygło, zamykało się i zasklepiało, wokół antymaterii kondensowała się woda i formowała ochronne, ustabilizowane buckyballe. I tak to miejsce pozostawało nietknięte przez dziesiątki tysięcy lat.

- Dopóki ktoś nie znalazł tego cholernego pomieszczenia - dodał Omaha.

Wyobraził sobie koczownicze plemię, które się na to natknęło, być może w poszukiwaniu wody. Musieli szybko dowiedzieć się o dziwnych właściwościach tutejszej wody, źródła energii w czasach starożytnych. Zapewne ukryli je, strzegli i - jak powiedziała wcześniej Kara - znaleźli sposób, żeby zaprząć je do pracy. Omaha przypomniał sobie opowieści z Arabii: latające dywany, magowie i czarodzieje posiadający niewiarygodną moc, zaczarowane przedmioty wszelkich kształtów i rozmiarów, dziny przynoszące cudowne dary. Czyżby to wszystko, choć bardzo pośrednio, wskazywało na tę tajemnicę?

- A co z kluczami i innymi przedmiotami? - zapytał. - Wspomniałaś coś o magnetyzmie.

- Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jaki poziom techniki zdołali osiągnąć ci starożytni - rzekła Coral. - Mieli dostęp do źródła energii, na zrozumienie którego potrzeba dziesiątek lat. Oni jednak rozumieli wystarczająco dużo. Popatrzcie na te wyroby ze szkła, na robotę kamieniarską, na stworzenie trudnych do pojęcia kluczy magnetycznych.

Kara patrzyła na miasto.

- Mieli tysiąc lat na doskonalenie swego kunsztu - stwierdziła.

Coral wzruszyła ramionami.

- Zakładam, że ciecz wewnątrz kluczy pochodzi z tego jeziora. Buckyballe posiadają nieznaczny ładunek. Jeśli ładunek każdego z nich może zostać ustawiony w jednym kierunku, to żelazny pojemnik się namagnesuje. A kiedy buckyballe wewnątrz są ustawione w jednym kierunku, wzdłuż pola magnetycznego, pozostają stabilne i nie anihilują się w tym polu.

- A co z żelaznym wielbłądem w muzeum? - zapytała Safia. - Wybuchł.

- Reakcja łańcuchowa wskutek nagłego dopływu surowej energii - wyjaśnił Danny. - Piorun kulisty musiał być przyciągnięty przez pole magnetyczne żelaza i dziwną polaryzację wodnej zawartości serca. Może nawet ściągnięty. Popatrz na to sklepienie, jak łapie elektryczność z burzy.

Omaha zerknął w górę, gdzie elektryczny pokaz błyskał z większą niż zwykle intensywnością. Danny dokończył:

- Tak więc piorun przekazał elektryczność żelazu w jednym uderzeniu. Za dużo naraz. Skutek okazał się dramatyczny i niekontrolowany, prowadzący do eksplozji.

Coral zadrżała.

- Zakładam nawet, że doszło do eksplozji, bo roztwór antymaterii już był lekko zdestabilizowany wskutek promieniowania uranu zawartego w żelazie. Promieniowanie naruszyło struktury i zwiększyło kruchość buckyballi.

- A co z tym jeziorem? - Omaha popatrzył na wodę.

Coral ściągnęła brwi.

- Moje instrumenty są za mało czułe. Nie wykryłam żadnego promieniowania, ale to nie znaczy, że go nie ma. Może gdzieś dalej w jeziorze. Musimy ściągnąć tu więcej zespołów, jeśli będzie ku temu okazja.

Po raz pierwszy odezwał się Clay. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- To właściwie co się stało wtedy, w trzechsetnym roku naszej ery? Dlaczego te wszystkie ciała są zanurzone w szkle? Czy to była jedna z tych eksplozji?

Coral pokręciła głową.

- Nie wiem, ale nie ma dowodów, że miał miejsce wybuch. Może jakiś wypadek? Eksperyment, który się nie udał? W tym zbiorniku jest niewiarygodna potęga. - Popatrzyła na miasto, potem znów na Safię. - Ale jest jedna rzecz, o której muszę ci powiedzieć.

Safia znów skierowała uwagę na Coral.

- Dotyczy to twojej krwi.

Zanim Coral zdążyła wyjaśnić, wzrok wszystkich przyciągnął hałas na jeziorze. Cichy pomruk. Zamarli. Hałas narastał, coraz ostrzejszy, gwałtowniejszy, szybszy.

Skutery wodne.

Po przeciwnej stronie jeziora wysoko w górę strzeliła flara, oświetlając karmazyn wody, odbijając się od ścian i sklepienia. Druga flara poleciała łukiem w górę.

Nie, to nie flara. Spadała na miasto... na nich.

- Rakiet! - wrzasnął Omaha. - Kryj się!

16.42

Painter czekał na szansę.

Budynek trząsał się, kiedy uderzenia piaskowej burzy waliły w drzwi, zabite deskami okna i świetliki w dachu. Brzmiało to tak, jakby zgłodniałe zwierzę chciało się dostać do środka, oszalałe z żądzły krwi. Frustrację wyrażało wyciem i rykiem.

Wewnątrz ktoś miał włączone radio. Dixie Chicks. Muzyka jednak brzmiała cicho na tle wycia burzy.

Przez szczelinę pod drzwiami piasek wpadał ze świstem, wił się i płynął po podłodze niby wąż. Przez szpary w oknach wpadał i przeciskał się pylnymi puknięciami, teraz niemal bez przerwy.

Powietrze w pomieszczeniu pachniało krwią i jodyną.

Jedynymi, którzy zostali, byli ranni, lekarz i dwóch strażników. Pół godziny temu Cassandra zebrała najemników, by dokonali podziemnego ataku.

Painter spojrział na laptop. Pokazywał wirujący krążek znaczący Safię. Znajdowała się osiem kilometrów na północ, głęboko pod piaskami. Miał nadzieję, że światełko oznacza, iż jeszcze żyje. Ale przekaźnik nie przestałby działać wraz z jej śmiercią. Jego ciągłe błyskanie nie zapewniało niczego. Niemniej, sądząc po ciągle przewijających się danych o współrzędnych, Safia była w ruchu. Musiał wierzyć, że żyje.

Ale jak długo jeszcze?

Upływ czasu ciążył mu niemal namacalnie. Słyszał odgłos czterech ciągników M4 z bazy powietrznej w Tumraicie przywożących zapasy i broń. Karawana przybyła wraz z

najgorszym uderzeniem burzy, niemniej tej grupie udało się prześcignąć przewidywaną megaburzę.

Jako dodatek do zaopatrzenia przybyło trzydziestu ludzi. Mieli twarde wzrok, byli wypoczęci, obładowani sprzętem. Wkroczyli, jakby to miejsce należało do nich. Kolejni przedstawiciele elity Gildii. Zdjęli mundury khaki i włożyli czarne kombinezony.

Painter obserwował to z łóżka.

Rzucono mu kilka spojrzeń. Już się dowiedzieli o śmierci Kane'a. Wyglądali na gotowych urwać mu łeb. Wyszli szybko, znów w środek burzy. Przez uchylone drzwi Painter dostrzegł skutery wodne.

Kombinezony nurków i skutery wodne. Co Cassandra znalazła tam, w dole?

Był ubrany tylko w bokserki, przykuty za nogę do ramy łóżka. Miał tylko jedną broń: igłę osiemnastkę. Kilka minut temu, kiedy uwagę strażników odwróciło otwarcie drzwi przez poryw wiatru, Painter zdołał wziąć igłę ze stosu sprzętu medycznego.

Szybko ukrył ją w dłoni.

Usiadł i sięgnął do stopy.

Strażnik, wyciągnięty na sąsiedniej pryczy, podniósł pistolet.

- Kładź się.

Painter posłuchał.

- Swędzi.

- To, kurwa, kiepsko.

Painter westchnął. Czekał, aż czujność strażnika osłabnie. Przysunął wolną nogę do tej przykutej. Udało mu się umieścić igłę między palcami. Teraz starał się włożyć ją w zamek kajdanek. Było to trudne, bo nic nie widział i używał palców stóp.

Ale dla chcącego nie ma nic trudnego.

Zamknawszy oczy, starał się wykonywać ledwo zauważalne ruchy.

Wreszcie poczuł, że kajdanki ześlizgują się z jego stopy. Był wolny. Leżał spokojnie i zerkał na strażnika.

Co teraz?

16.45

Cassandra kuliła się na dziobie zodiaka. Silnik mruczał na jałowym biegu. Gogle noktowizyjne wycelowała w przeciwległy brzeg. Trzy flary wisiały wysoko nad szklanym miastem, jasno je oświetlając. Cassandra nie umiała powstrzymać okrzyku zdumienia i zachwyty.

Z przeciwnej strony dobiegał brzęk tłuczonego szkła.

Z jednego ze skuterów wyleciał kolejny granat. Trafił w miasto, błyskając oślepiająco. Cassandra zdjęła gogle. Flary rzucały na miasto cienie karmazynu i ognia. Dym wisiał w nieruchomym powietrzu. Powyżej iskrzyła energia, nabrzmiewając, pękając, wijąc się w wielkim niebiańskim wirze.

Tyle piękna w takim zniszczeniu.

Terkot karabinu maszynowego skierował jej uwagę ku brzegowi. Drugi zodiak sunął równoległe do miasta, kryjąc teren ogniem ciągłym.

Kolejne granaty leciały nad wodą i uderzały w miasto. Kolumny ze szkła padały jak ścinane sekwoje.

To było naprawdę piękne.

Cassandra wyjęła z kieszeni kurtki przenośne urządzenie namierzające. Popatrzyła na wyświetlacz. Niebieski krążek jarzył się, oddalał od jej pozycji w poszukiwaniu wyżej położonego miejsca.

Ogień już niedługo ich zmiękczy.

Uciekaj, jeśli możesz. Zabawa właśnie się zaczyna.

16.47

Safia wspinała się wraz z innymi po krętych schodach. Wszędzie rozbrzmiewało echo wybuchów, wzmacniane przez szklany bąbel. Dym wypełniał powietrze. Biegli w mroku, z wyłączonymi latarkami.

Omaha biegł u jej boku, pomagając Lu'lu. Safia trzymała za rączkę dziewczynkę, choć nie dodawało to małej zbyt wiele otuchy. Przy każdym wybuchu Safia pochylała się, spodziewając się, że szklany bąbel zaraz się zawali.

Kara pomagała kolejnej starszej kobiecie. Danny, Clay i Coral podążali za nimi, prowadząc następne dzieci. Kilka Rahim zajęło pozycje snajperskie. Inne osłaniały tyły.

Safia patrzyła, jak jakaś kobieta robi kilka kroków w dół mrocznej ulicy i znikają jej z oczu. Może to sztuczka szkła i cieni... albo może demonstracja daru, o którym opowiadała Safii Lu'lu. Wpływ na postrzeganie i umiejętność znikania.

Doszli do szczytu schodów. Safia spojrzała za siebie. Miała widok na dolne miasto i linię brzegową. Flary oświetlały wszystko, kąpiąc miasto w czerwieni.

Królewska barka stała się dymiącym stosem desek. Kamienna keja została rozbita, szklany brzeg potrzaskany.

- Przestali bombardować - zauważył Omaha.

Safia uświadomiła sobie, że ma rację, jednak w jej głowie nadal dźwięczały wybuchy.

Na jeziorze atakowały siły Cassandry. Skutery i pontony zakosami zbliżały się do brzegu niczym zespół akrobacji lotniczych. Blżej, wzdłuż linii brzegu, mniejsze skutery zmierzały ku miastu.

Safia skrzywiła się, dostrzegając ludzi w kombinezonach nurków na deskach z silnikami. Uderzyli w brzeg, wyjechali wysoko, stoczyli się, skuleni, broń już trzymali w rękach. Inni biegiem wdarli się w ulice i alejki.

Wybuchła wymiana ognia na niskich poziomach - strzelali ludzie Cassandry i kilka Rahim. Kolejny granat rzucono z jednego ze skuterów, uderzył tam, gdzie trwała strzelanina. Szkło roztrzaskało się na iskrzące brylanty.

Safia modliła się, żeby Rahim zdążyły uciec. Żeby strzeliły i uciekły. To ich jedyna szansa. Było ich o wiele za mało i miały mniej broni, na dodatek gorszej. Dokąd jednak miały uciekać? Bąbel stanowił pułapkę. Nawet dhow został zniszczony.

Safia patrzyła, jak skutery i pontony dobijają do brzegu i wyskakują z nich kolejni najemnicy. Będą polowali i wybijali sobie drogę przez miasto.

Nad głową flary powoli ciemniały i gasły, wsiąkały w strzaskane miasto. Wraz z ich znikaniem Ubar mroczniał, oświetlany teraz przez błękitne prysznice ognia lecące z góry, barwiąc miasto odcieniami indygo.

Safia spojrzała na łukowate sklepienie. Trzaski energii i wirowanie chmur gazów stało się bardziej intensywne, toczyły się, jakby rozłoszczone zniszczeniem

Wybuchła kolejna strzelanina, zagrzechotała w innej części miasta.

- Musimy się ruszyć - ponaglił Safię Omaha.

- Dokąd? - spytała, odwracając się ku niemu.

Ich oczy się spotkały. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

16.52

Burza nieustannie uderzała w budynek. Piasek, pył i żwir pokrywał wszystko, wdzierając się przez szpary i szczeliny.

Raporty przekazywane z dołu przez radio o tym, jak przebiega walka, też nie pomagały. Najwyraźniej trwało starcie. Najlepsze siły Cassandry przeczesywały teren, napotykały niewielki opór i cieszyły się z zamieszania, jakiego narobiły.

- Wyłącz te pieprzone Dixie Chiks! - wrzasnął strażnik.

- Pieprz się, Pearson! - odkrzyknął lekarz poprawiający przesiąkający krwią opatrunek.

Pearson odwrócił się.

- Słuchaj, ty gówniany...

Drugi strażnik wrócił z plastikowym kanistrem z wodą i przechylał go, chcąc napelnić papierowy kubek.

Painter zdał sobie sprawę, że nie będzie miał lepszej okazji.

Stoczył się z łóżka bez skrzypnięcia, odebrał strażnikowi pistolet, wykręcając mu nadgarstek. W jego pierś włożył dwa pociski.

Impet cisnął najemnika na łóżko.

Painter wycelował w drugiego strażnika i strzelił trzykrotnie. Wszystkie strzały w głowę. Dwa pociski trafiły. Strażnik padł, krew i mózg trysnęły na ścianę.

Painter odskoczył. Miał nadzieję, że ryk burzy stłumił odgłos wystrzałów. Omiótł wzrokiem pomieszczenie.

Skupił wzrok na lekarzu. Pearson leżał na pryczy, jęczał i krwawił.

Painter odezwał się do lekarza.

- Rusz się po broń, a zginiesz. Tego człowieka można uratować. Twój wybór. - Cofnął się do laptopa, sięgnął po niego na ślepo, zatrzasnął i wetknął go sobie pod ramię.

Lekarz trzymał ręce w górze.

Painter nie tracił czujności. Przesunął się ku drzwiom, sięgnął za siebie do klamki i otworzył je. Wiatr niemal wrzucił go z powrotem do środka. Z trudem wydostał się na zewnątrz. Nie kłopotał się zamknięciem drzwi.

Kierował się w stronę, z której słyszał silniki ciągników, brnąc pod wiatr boso, w samych bokserkach. Piasek kaleczył go jak stalowe wiórki. Szedł z zamkniętymi oczami. Piasek dławił go za każdym oddechem.

Pistolet trzymał przed sobą. W drugiej ręce ścisnął laptopa. Były tam dane, których potrzebował: o Gildii i Safii.

Broń stuknęła o metal.

Pierwszy ciągnik. Mimo że bardzo chciał nim pojechać, ruszył dalej. Silnik pracował na jałowym biegu, żeby ładować akumulatory, słyszał go. Miał nadzieję, że pozostałe pojazdy też mają uruchomione silniki.

Podążał wzdłuż liny, najszybciej jak mógł.

Za sobą słyszał stłumione krzyki.

Przyspieszył, dotykając gąsienic każdego ciągnika po kolei. Doszedł do ostatniego w linii. Silnik był włączony.

Prześlizgując się wzdłuż boku pojazdu, Painter znalazł drzwi i - walcząc z wiatrem - otworzył je. Wetknął pistolet za gumkę bokserek, a jego ciężar ściągnął mu je niemal do kolan. Położył laptopa na gąsienicy i wreszcie udało mu się otworzyć drzwi na tyle, że mógł przecisnąć się do środka.

Zatrzasnął drzwi i zablokował je. Opierając się o właz, wypluł piasek i przetarł oczy, oczyszczając brwi i rzęsy z błota.

O pancerz ciągnika zagrzecotał ogień z broni maszynowej. Painter odepchnął się od ściany. Tutaj zabawy nigdy dosyć.

Pospieszył do kabiny kierowcy i wślizgnął się na siedzenie. Obok położył laptopa. Burza wirowała przed przednią szybą, wciąż było ciemno. Włączył światła. Widoczność sięgała aż dwóch metrów. Nieźle.

Wrzucił wsteczny bieg i skierował się ku wyjazdowi z tego Dodge City.

Jechał prosto. Jeśli coś tam było, ufał, że ten pancerny potwór po prostu jakoś się przepchnie.

Gonił go ogień, jakby dzieciaki ciskały kamieniami.

Uciekł, zauważył, że minął ruiny Shisuru. Uciekał na pustynię, wciąż na wstecznym biegu. W końcu pomyślał, że można by już pojechać do przodu.

Kiedy spojrzął przez przednią szybę, zauważył dwie bliźniacze łuny w mroku, poza miastem.

Pościg.

17.00

Kiedy pozostali zażywali krótkiego odpoczynku, Omaha patrzył na pałac królowej. Budowli udało się uniknąć początkowego bombardowania. Może mogliby tu zostać, zając wieżę?

Pokręcił głową.

Ciekawe, ale niepraktyczne. Jediną nadzieją dla nich było pozostawanie w ruchu. Ale wychodzili poza miasto. Było tu kilka ulic i niskich budynków.

Popatrzył na miasto poniżej. Od czasu do czasu wybuchała tam strzelanina, ale rzadziej, choć bliżej. Obrona Rahim słabła.

Omaha zdawał sobie sprawę, że są skazani. Nigdy nie uważał siebie za pesymistę, tylko za pragmatyka. Patrzył na Safię. Będzie dbał o jej bezpieczeństwo do ostatniego oddechu. Kara podeszła do niego.

- Omaho...

Spojrzał na nią. Nigdy dotąd nie nazywała go po imieniu. Na jej twarzy malował się wyczerpanie i strach, miała zapadnięte oczy. Podobnie jak on przeczuwała, że to koniec.

Skinęła głową w stronę Safii. Jej głos brzmiał jak westchnienie.

- Na co, do cholery, czekasz? Chryste Panie... - Podeszła do ściany dziedzińca i usiadła.

Omaha przypomniał sobie jej wcześniejsze słowa: „Ona nadal cię kocha”.

Z odległości kilku kroków przyglądał się Safii. Klęczała obok dziecka, trzymając obie rączki dziewczynki w swoich dłoniach. W poświęcie padającej z góry jej twarz jaśniała. Madonna z dzieciątkiem.

Przysunął się bliżej... jeszcze trochę. W głowie dźwięczały mu słowa Kary: „Życie jest ciężkie. Miłość nie musi”.

Safia nie podniosła wzroku, ale odezwała się:

- To dłonie mojej matki - powiedziała spokojnie, po prostu określając sytuację. Patrzyła na dziecko. - Wszystkie te kobiety... Moja matka wciąż żyje, w nich. Całe życie. Od niemowlęcia po staruszkę. Pełne życie. Niczego nie brakuje.

Omaha opadł na kolana. Patrzył na jej twarz tak samo, jak ona wpatrywała się w dziecko. Zaparło mu dech w piersiach.

- Safio - powiedział miękko.

Obróciła ku niemu twarz, jej oczy błyszczały.

- Wyjdź za mnie.

Zamrugwała.

- Co?

- Kocham cię. Zawsze kochałem.

Odwróciła się.

- Omaho, to nie jest takie proste...

Delikatnie dotknął palcem jej brody i skierował jej twarz ku swojej. Czekał, aż jej oczy spotkają się z jego oczami.

- Tak to jest. Tak jest.

Spróbowała się uwolnić.

Tym razem nie mógł pozwolić jej uciec. Nachylił się niżej.

- Przepraszam.

Jej oczy załśniły odrobinę jaśniej, nie ze szczęścia, lecz od łez.

- Zostawiłeś mnie.

- Wiem. Nie wiedziałem, co robić. Ale zostawił cię chłopiec. - Opuścił rękę, łagodnie ujmując jej dłoń. - Teraz klęczy przed tobą mężczyzna.

Patrzyła mu w oczy niepewna.

Jego wzrok przyciągnęło poruszenie ponad jej ramieniem. Z mroku wyłaniały się sylwetki. Mężczyźni. Z tuzin.

Omaha poderwał się na nogi, starając się zasłonić sobą Safię. Z cieni wyłoniła się znajoma postać.

- Barak... - Omaha niczego nie rozumiał. Olbrzymi Arab zniknął jeszcze przed atakiem.

Za nim wyszli kolejni mężczyźni odziani w pustynne szaty. Prowadził ich człowiek opierający się na kuli.

Kapitan al-Haffi.

Dowódca Duchów Pustyni machnięciem przywołał idących za nim. Był między nimi Sharif, równie zdrowy i silny, jak wtedy, gdy Omaha widział go po raz ostatni przy grobowcu Hioba. Przetrwał strzelaninę bez draśnięcia. Sharif i żołnierze rozproszyli się po ulicach, z karabinami, granatami i wyrzutniami RPG.

Omaha wpatrywał się w nich z niedowierzaniem.

Nie wiedział, co się dzieje, ale Cassandrę czekała niespodzianka.

17.05

Pozostało jedynie posprzątać.

Cassandra opierała nogę o zodiaka, którym przypląnęła i na otwartym kanale słuchała, jak poszczególne zespoły przeszukują miasto podzielone na kwadraty, usuwając punkty oporu. Ścisłała urządzenie namiarowe. Wiedziała dokładnie, gdzie jest Safia.

Pozwoliła jej uciekać jak myszy, podczas gdy jej ekipa podążała za nią, tłumiąc wszelki opór. Nadal chciała dostać tę sukę żywą. Tym bardziej że Painter uciekł.

Musiała się zmobilizować, żeby nie wyrzeszczeć swojej frustracji.

Urwie jaja każdemu facetowi na górze, jeśli Painterowi się uda.

Wzięła głęboki wdech. Tu, na dole, nic nie może zrobić. Musi zabezpieczyć to miejsce, wydobyć tajemnice, co oznacza, że Safię trzeba pojmać żywą. Mając zaś Safię w rękę, będzie miała kartę przeciw Painterowi. Asa w rękawie.

Jej uwagę zwrócił jakiś wybuch. Zaskoczyło ją, że jej ludzie musieli użyć jeszcze jednego granatu. Obserwowała łuk RPG w powietrzu.

Mrugnęła, widząc jego trajektorię.

O kurwa...

Zeskoczyła z podestu i pognała wzdłuż brzegu. Gumowe podeszwy jej butów dawały dobrą przyczepność na szorstkim szkło. Zanurkowała za stos gruzu, kiedy granat trafił w zodiaka.

Wybuch ogłuszył ją, uszy bolały, oczy piekły. Szkło i woda prysnęły wysoko. Przetoczyła się wyżej i dalej, a wokoło sypało się strzaskane szkło. Zasłoniła głowę rękami. Poszarpane kawałki spadały, tańczyły, cięły skórę i ubranie, żądliły jak ognisty deszcz.

Kiedy śmiercionośny prysznic się skończył, spojrzała w górę, na miasto. Czyżby ktoś przejął jeden z jej granatników? Nadlatywały dwa kolejne RPG.

Zabrział ogień maszynowy z różnych stron.

Co się tu, u licha, dzieje?

17.07

Kiedy echa wybuchów umilkły, a zagrzechotał ogień maszynowy, Safia patrzyła, jak kapitan al-Haffi kuśtyka, opierając się na kuli. Szok spowodowany jego przybyciem nadal nie pozwalał im mówić.

Oczy kapitana spoczęły na Lu'lu. Odrzucił kulę i padł na kolano. Odezwał się po arabsku, ale w dialekcie, który znało niewielu. Safia wytężyła słuch, żeby rozpoznać słowa śpiewnej mowy.

- Wasza Wysokość, proszę wybaczyć swemu słudze, że przybył tak późno.

Sklonił głowę.

Hodja była równie zdezorientowana, jak wszyscy inni, zarówno jego przybyciem, jak i zachowaniem. Omaha podszedł do Safii.

- On mówi w języku Shahra.

Umysł Safii zawirował. Shahra byli klanem górskim, który wiódł swe pochodzenie od króla Szaddada, pierwszego władcy Ubaru... a raczej księcia małżonka jego pierwszej królowej.

Przemówił Barak, który usłyszał słowa Omaha:

- My wszyscy należymy do klanu Shahra.

Kapitan wstał. Jeden z jego ludzi podał mu kulę.

Safia uświadomiła sobie, czego właśnie była świadkiem: uznanie linii króla wobec królowej.

Kapitan al-Haffi ponaglił ich, by szli za nim, znów mówiąc po angielsku:

- Myślałem, że uda mi się was wyciągnąć, ale jedyne, co mogę zaoferować, to schronienie. Musimy mieć nadzieję, że moi mężczyźni i wasze kobiety zdołają utrzymać wroga z daleka. Chodźcie.

Prowadził ich na tyły pałacu. Omaha siedł obok Baraka.

- Jesteś Shahra? - zapytał.

Skinienie głową.

- To dlatego wiedziałeś o tych tajnych przejściach gdzieś w górach, przez ten cmentarz. Mówiłeś, że tylko Shahra je zna.

- Dolina Przypomnienia - odrzekł Barak. - Groby naszych przodków, jeszcze od czasu wyjścia z Ubaru.

Kapitan siedł, kulejąc, obok Lu'lu. Z drugiej strony Kara podtrzymywała ją i kontynuowali rozmowę.

- Czy to dlatego wszystkie na ochotnika ruszyliście do tego zadania? Ze względu na związek z Ubarem?

Kapitan skłonił głowę.

- Przepraszam za niedopowiedzenie, lady Kensington. Shahra nie zdradzają swych sekretów obcym. To nie po naszymu. My jesteśmy strażnikami tego miejsca tak samo jak Rahim. Obarczyła nas tym zadaniem królowa Ubaru, tuż przed tym, jak drogi naszych linii rozdzieliły się. Kiedy rozdzieliła klucze, rozdzieliła też linie królewskie, a każda zachowywała własne tajemnice.

Safia przyglądała się obojgu: oba domy Ubaru znów złączone.

- A jaką tajemnicę zostawiono wam? - zapytał Omaha.

- Starą drogę do Ubaru. Tą, którą chodziła pierwsza królowa. Zakazano nam ją otwierać, chyba że Ubar byłby zagrożony.

- Tyle drzwi - mruknął Omaha.

Safia powinna o tym pomyśleć. Królowa, która zamknęła miasto po straszliwej tragedii, była zbyt drobiazgowa. Miała plany awaryjne w planach awaryjnych i rozdzieliła je na obie linie.

- To znaczy, że jest jakaś droga na zewnątrz? - upewnił się Omaha.

- Tak, na powierzchni. Jednak teraz nie można nią uciekać. Burza szaleje i przejście po kopule Ubaru jest bardzo niebezpieczne. Dlatego tyle czasu zajęło nam dostanie się tutaj, gdy dowiedzieliśmy się od Baraka, że wrota zostały otwarte.

- Cóż, lepiej późno niż wcale - odezwał się z tyłu Danny.

- Tak, ale teraz nowa burza uderza w ten rejon, z południa. Marsz po piasku oznacza śmierć.

- A więc nadal jesteśmy w pułapce - stwierdził Omaha.

- Dopóki burza nie ucichnie. Po prostu musimy wytrzymać.

Przeszli w milczeniu kilka kolejnych ulic, docierając wreszcie do tylnej ściany jaskini. Wydawała się solidna, ale kapitan parł dalej. Wtedy Safia to zauważyła - proste pęknięcie w szkłe ściany. Zaginało się do wewnątrz, przez co było trudniejsze do zauważenia.

Kapitan prowadził właśnie do niego.

- Powierzchnia jest sto pięćdziesiąt stopni wyżej. Przejście może służyć jako schronienie dla dzieci i kobiet.

- Albo stać się pułapką, jeśli nie uda nam się powstrzymać Cassandry. Ona nadal ma więcej ludzi i więcej broni.

Kapitan al-Haffi przyjrzał się grupie.

- Moi ludzie przyjmą pomoc. Od każdego, kto potrafi utrzymać karabin.

Safia patrzyła, jak Danny i Coral biorą broń ze stosu w szczelinie. Nawet Clay wyciągnął rękę.

Podchwycił jej zaskoczone spojrzenie.

- Naprawdę chcę dostać tę „szóstkę” - powiedział tylko. W oczach miał grozę, ale nie cofnął się.

Ostatni podszedł Omaha.

- Ja już mam pistolet. Ale chętnie wezmę drugi.

Kapitan podał mu automat M16.

- To musi wystarczyć.

Safia podeszła do niego, kiedy odchodził od stosu.

- Omaha... - Nie przyznała się, że usłyszała jego słowa wtedy, w pałacu. Czy było to wyznanie w obliczu śmierci, bo są skazani?

Uśmiechnął się do niej.

- Nie musisz nic mówić. Powiedziałem ci, co czuję. Jeszcze nie zasłużyłem na twoją odpowiedź. Ale mam nadzieję, że pozwolisz mi spróbować.

Safia objęła go za szyję i mocno uścisnęła, szepcząc mu do ucha:

- Naprawdę cię kocham... Ja tylko nie wiem... - Nie mogła dokończyć zdania. Zawisło między nimi.

Odwzajemnił uścisk.

- Wiem. I zaczekam, aż ty będziesz wiedziała.

Odsunęli się od siebie, bo usłyszeli kłótnię.

- Nie pozwolę pani walczyć, lady Kensington - upierał się kapitan.

- Umiem strzelać.

- Proszę więc wziąć broń. Może się przydać.

Kara nadąsała się, ale posłuchała. Ostatnia linia obrony mogła być przecież na schodach.

Kapitan al-Haffi położył rękę na jej ramieniu.

- Jestem coś winien pani rodzinie. Proszę mi pozwolić dzisiaj spłacić ten dług.

- O czym pan mówi? - zdziwiła się Kara. Opuścił głowę.

- To nie pierwszy raz, kiedy ofiaruję moje usługi pani rodzinie. Kiedy byłem bardzo młody, właściwie jeszcze jako chłopiec, zgłosiłem się, żeby pomóc pani i pani ojcu.

Kara zmarszczyła czoło. Kapitan spojrzał jej w twarz.

- Mam na imię Habib.

Kara zachłysnęła się i cofnęła o krok.

- Przewodnik podczas tamtego polowania. To był pan...

- Miałem być przy pani ojcu ze względu na jego zainteresowanie Ubarem. Ale zawiodłem. Strach powstrzymał mnie tego dnia od podążania za wami na zakazane piaski. Dopiero kiedy zobaczyłem, że chcecie wejść do nisnasów, ruszyłem za wami, ale było za późno. Zabrałem więc panią z piasków z powrotem do Tumraitu. Nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić.

Kara osłupiała. Safia patrzyła na nich zdumiona. Wszystko zatoczyło pełny krąg... powrót do tych samych piasków.

- Proszę więc pozwolić mi się chronić... jak nie uczyniłem tego w przeszłości.

Kara mogła tylko skinąć głową. Kapitan odszedł. Kara zawołała za nim:

- Był pan przecież chłopcem!

- Teraz jestem mężczyzną. - Odwrócił się i podążył za swymi ludźmi z powrotem do miasta.

Hodja patrzyła na tych, którzy jeszcze pozostali.

- To się jeszcze nie skończyło. - Z tymi tajemniczymi słowami odwróciła się i ruszyła ku szczelinie. - Musimy pójść drogą starej królowej.

21

WACHTA PODCZAS BURZY

4 GRUDNIA, 17.30 SHISUR

Wciąż siedzieli mu na ogonie.

Painter, mimo burzy, widział łunę ścigających go świateł. Jechał, wyciskając z maszyny, ile się dało, co oznaczało mniej więcej prędkość czterdziestu kilometrów na godzinę. Jednak w takich warunkach był to naprawdę szybki pościg.

Spojrzał na oba boczne lusterka. Złapał chwilowe mgnienie obrazu myśliwych: załadowane ciężarówki platformy. Mimo ładunku rozwijały dużą prędkość, ale one także musiały zwracać uwagę na teren. Z drugiej strony on, mając dwudziestotonowy ciągnik, ustalił kierunek i pokonywał wszystko na swej drodze, wjeżdżał na wydmy i zjeżdżał bez problemu.

Tumany piasku zasłaniały widoczność. Gdyby to była zamieć, można by ją opisać jako „wybielenie”.

Painter ustawił automatycznego pilota. Sprawdził inne opcje. Miał radar, ale nie wiedział, jak się nim posługiwać. Znalazł radio. Początkowo chciał jechać do bazy lotniczej w Tumraicie, żeby nawiązać kontakt z Królewskimi Siłami Powietrznymi Omanu. Ktoś jednak może podsłuchiwać. Jeśli miałby mieć jakąkolwiek nadzieję na uratowanie pozostałych, musiałby zrzucić przykrywkę i zaalarmować tutejszy rząd.

Ciężarówki jednak wymusiły na nim kurs w inną stronę, w burzę. Nie może zawrócić. Ciężarówki są za szybkie.

Kiedy wspinał się na monstrualną wydnię, po lewej zagrział wybuch. Szrapnel i fala pisku trzasnęły w bok, niczym policzek od samego Boga.

RPG. Granat napędzany raketowo.

Przez chwilę gąsienice głośno na czymś zachrobotwały.

Painter skrzywił się, ale ciągnik przejechał, zmiażdżwszy to, co zagrażało mu drogę. Piał się dalej po długim zboczu wydmy.

Rozległ się kolejny wybuch, tym razem dokładnie za nim. Hałas był ogłuszający, ale pojazdowi nic się nie stało. Niech nadal pułują. Wiatr i burza z pewnością znacznie utrudnią trafienie, a pancierz zrobi resztę.

Wtem poczuł mdlący wstrząs.

Gąsienice ciągnika nadal się kręciły, ale prędkość znacznie spadła. M4 zaczął się ześlizgiwać. Painter uświadomił sobie nagle, co jest intencją ścigających - nie, żeby trafić dwudziestotonowy ciągnik, ale zmiękczyć podłoże pod nim.

Bombardowali zbocze, powodując lawinę. Wszystko zsuwało się wraz z ciągnikiem. Wyłączył autopilota, przełączył na ręczne sterowanie i wrzucił niższy bieg. Wcisnął gaz do dechy, starając się odzyskać przyczepność na śliskim stoku.

Bez powodzenia. Tylko wkopał się w luźny piasek. Painter zahamował, tył wpadł w poślizg, więc wrzucił wsteczny bieg. Uciekał teraz z piaskiem, płynąc z falą lawiny. Obracał ciągnik, aż ten ustawił się równoległe do stoku i zaczął się groźnie trząść. Musi uważać, żeby się nie toczyć.

Wrzucił na luz, zahamował i wrzucił jedynekę. Ciągnik znów zaczął jechać do przodu, tym razem ślizgając się w dół stoku, jadąc po jego skraju, zyskując przyczepność i szybkość. Ciężarówki ścigały go, ale wjechały w luźny piasek i musiały zwolnić. Painter dotarł do końca wydmy i ściał zakręt. Udało mu się uciec przed tymi skurwielami. Ustawił ciągnik na jazdę prosto i zresetował pilota. Puścił kierownicę, upewnił się, że ciągnik utrzymuje kurs, po czym szybko przeszedł na tył. Odszukał granatnik. Załadował RPG, umieścił rurę na ramieniu i podszedł do tylnego włazu.

Otworzył go kopnięciem. Do wnętrza wdarł się piasek. Rozejrzał się. Zaczekał, aż pojawią się poświaty reflektorów pojazdu okrążającego wydnię, który znów się do niego zbliżał.

- No, chodź do taty - wyszeptał Painter i wycelował. Ustawił krzyżyk i nacisnął spust. Granatnik eksplodował z głośnym „hhuuuszszzsz”. Poczul uderzenie ciepła rozgrzanego powietrza, kiedy granat wystartował.

Patrzył na czerwony ogień jego śladu, strzelającej gwiazdy. Myśliwi także to spostrzegli. Painter widział, jak skręcają w przeciwnie strony. Za późno. Przynajmniej dla jednego z nich. Granat eksplodował. Painter ucieszył się na widok poświaty wylatującej wysoko w powietrze i wybuchającej w ognistej kuli jaśniejącej w ciemnościach.

Druga ciężarówka zniknęła. Oby, w pośpiechu, utknęła, zabuksowawszy między wydmami. Nie miałby nic przeciwko temu. Wrócił na siedzenie i spojrzął w lusterka. Ciemność. Mając chwilę na oddech, Painter otworzył laptopa. Ekran powoli rozjarzał się obrazem. Modlił się, żeby baterie wytrzymały. Pojawiła się mapa rejonu.

Boże, nie ma niebieskiego krążka!

Uklucie paniki, lecz po chwili pojawiło się znajome wirujące niebieskie kółeczko. Dodatkową minutę zajęło ustabilizowanie przekazu bezprzewodowego. Safia nadal nadawała. Sprawdził przewijające się współrzędne. Zmieniały się, co oznaczało, że Safia się przemieszcza. Żywa. Miał nadzieję, że to oznacza, iż inni także mają się dobrze.

Musi się do niej dostać... Do nich. Chociaż nie można było usunąć wszczepionego przekaźnika - zabezpieczono go tak, żeby wybuchł, gdy ktoś się do niego dobierze, chyba żeby został wyłączony - mógł zabrać Safię poza zasięg Cassandry i przekazać w ręce lekarza i eksperta pirotechnika.

Nagle zauważył, że zmieniają się tylko współrzędne osi Z. Ta oś określała przesunięcie w górę lub w dół. Ujemne liczby malały, zbliżały się do zera.

Safia wspinała się do góry. Była już niemal na powierzchni. Musiała znaleźć tylne wyjście z jaskini. Mądra dziewczyna.

Obserwował ekran i marszczył czoło. Współrzędne osi Z minęły zero i zaczęły rosnąć. Safia nie tylko wyszła na powierzchnię. Wspinała się wyżej. Co to, u licha? Sprawdził jej pozycję. Znajdowała się osiem kilometrów od niego. Ponieważ jechał w mniej więcej dobrym kierunku, musiał tylko trochę skorygować kurs, żeby zmierzać prosto na nią.

Zwiększył prędkość o kolejne dziesięć kilometrów na godzinę. Karkołomna szybkość jak na te warunki.

Skoro Safia znalazła tylne wyjście, Cassandra także je znajdzie. Musi dotrzeć do Safii i pozostałych najszybciej, jak to tylko możliwe. Znowu popatrzył na niebieski krążek. Wiedział, że jeszcze co najmniej jedna osoba ogląda tę transmisję.

Cassandra... nadal będąca w posiadaniu przenośnego detonatora.

17.45

Safia maszerowała mrocznymi, długimi schodami, pozostali szli za nią dwójkami, dzieci i stare lub ranne kobiety. Kara niosła jedyną latarkę, jaką mieli, skierowaną w górę pasażu, rzucając cień Safii pod jej stopy. Starali się jak najbardziej oddalić od walki poniżej. Nadal dobiegały do nich echa strzelaniny. Nieustanny ogień maszynowy.

Safia usilnie starała się usunąć ten dźwięk z głowy. Macała ręką ścianę. Piaskowiec. Stopnie pod nogami wyszlifowały niezliczone sandały i bosc stopy. Jak wielu ludzi chodziło tą drogą? Wyobraziła sobie królową Saby, jak wspina się lub schodzi po tych stopniach.

Safia miała wrażenie zapętlenia się czasu, pomieszania i połączenia przeszłości z teraźniejszością. W Arabii, bardziej niż gdzie indziej, te różnice się zacierały. Historia nie była martwa i pogrzebana pod drapaczami chmur i asfaltem ani nawet schwytana w pułapkę ścian muzeów. Tutaj żyła, bezpośrednio związana z ziemią, łącząc kamień i opowieść.

Opuściła rękę.

Doszła do niej Lu Mu.

- Słyszałam twoją rozmowę z ukochanym.

Safia nie chciała o tym mówić.

- On nie jest... to było kiedyś...

- Oboje kochacie tę ziemię - ciągnęła hodja, ignorując protest Safii. - Macie między sobą za dużo piasku. Ale można go wymieść.

- To nie takie proste.

Safia popatrzyła na swą dłoń, na której kiedyś nosiła pierścionek. Zniknął, jak składane kiedyś obietnice. Jak mogła ufać, że Omaha będzie przy niej, kiedy będzie go potrzebowała? „Zostawił cię chłopiec. Teraz klęczy przed tobą mężczyzna”. Czy może w to uwierzyć? Dla kontrastu przypomniała sobie inną twarz. Painter. Sposób, w jaki trzymał jej dłoń, szacunek i ciepło, a nawet agonálny ból, kiedy ją przestraszył.

Lu'lu odezwała się, jakby czytając w jej myślach:

- Wielu jest mężczyzn o szlachetnych sercach. Niektórym zajmuje więcej czasu, żeby dorosnąć.

Safia czuła łzy w oczach.

- Potrzebuję więcej czasu... żeby wszystko przemyśleć.

- Miałś czas. Podobnie jak my, spędziłaś zbyt wiele lat w samotności. Wybory muszą być dokonane... dopóki jest co wybierać.

Niczym potwierdzenie, z góry dobiegł jęk wichru dobiegający przez otwór na szczycie.

Safia czuła na twarzy oddech burzy. Przyciągała ją. Po tak długim czasie pod ziemią pragnęła wolności. Bodaj na chwilę. By oczyścić umysł.

- Pójdę sprawdzić, czy burza ustaje - wymamrotała.

- Idę z tobą - powiedziała Kara.

- Ja też - dodała Lu'lu. - Na własne oczy zobaczę, co widziała pierwsza królowa. Zobaczę pierwsze wejście do Ubaru.

Wiatr się nasilał, piasek wirował nad nimi. Naciągnęły kaptury, zasłoniły twarze chustami i nasunęły na oczy gogle.

Safia wspięła się na wierzchołek. Otwór znajdował się o szczelinę dalej. Kara wyłączyła latarkę. W burzy było jaśniej niż w mrocznym korytarzu.

Wyjście znajdowało się metr od nich. Safia zauważyła sztabę opartą obok. Za progiem leżał wielki płaski kamień częściowo blokujący drogę.

- Ten głaz musiał ukrywać wejście - stwierdziła Kara. Safia zgodziła się z nią skinieniem głowy. Ludzie kapitana al-Haffiego użyli sztaby, żeby odepchnąć głaz na tyle, by mogli się precyzyjnie. Być może, jeśli udałoby się im przecześć burzę, mogliby uciec wszyscy, zasunąć głaz i uwięzić Cassandrę.

Świeży powiew napełnił Safię otuchą i nadzieją.

Stąd burza wydawała się nie tak straszna, jak pamiętała ją z Shisuru. Może główne uderzenie już się kończyło?

Safia wychyliła się przez szczelinę, ale nadal chroniła się za głazem. Piasek zakrywał słońce, ale ta noc stała się ponownie zmierzchem. Widziała słońce jako zamglony burzą księżyc.

- Burza chyba już nie jest taka gwałtowna - rzekła Kara, potwierdzając ocenę Safii.

Lu'lu nie zgodziła się z nimi:

- Nie dajcie się zwieść. Piaski wokół Ubaru oszukują. Istnieje naprawdę dobry powód, dla którego plemiona unikają tego terenu, nazywając go przeklętym, nawiedzonym, piaskami dzinów i diabłów.

Hodja powiodła je dalej, za wyjście.

Safia poszła za nią, wiatr szarpał jej kurtkę i chustę. Rozejrzała się. Uświadomiła sobie, że sana wierzchołku mesy, jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów powyżej poziomu pustyni. Była to jedna z niezliczonych skalnych wysp sterczących między wydrami. „Statki piasków”, jak nazywały je plemiona koczownicze.

Wyszła na zewnątrz i przyjrzała się ich ścieżce. Rozpoznała kształty mesy. Wyglądała tak samo jak ta przedstawiona na piaskowym malowidle w pałacu. Tutaj znajdowało się pierwsze wejście do Ubaru odkryte prawie trzy tysiące lat temu. Popatrzyła dookoła. Zarówno cytadela, jak i pałac królowej wzięły wzór z tej mesy. Najcenniejszego ze statków pustyni.

Wzrok Safii przyciągnęła burza za mesą. Kłębiące się chmury przybierały dziwne kształty. Półtora kilometra od nich burza tworzyła pasy otaczające płaskowyż. Słychać było wycie odległych wichrów.

- Tu jest tak, jakbyśmy byli w oku cyklonu - powiedziała Kara.

- Tu jest Ubar - odrzekła Lu'lu. - Przyciąga moc burzy do siebie.

Safia przypomniała sobie, jak krótki czas po tym, gdy klucze wybuchły i otworzyły bramę, burza zdawała się tracić na sile. Kara ostrożnie podeszła do krawędzi mesy. Safię to zdenerwowało.

- Wracaj - ostrzegła, bojąc się, że poryw wiatru może zrzucić przyjaciółkę.

- Tam jest ścieżka w dół zbocza. Bardziej kozia niż ludzka, ale może udałoby się nią zejść. Widzę niżej trzy ciężarówki, jakieś czterdzieści metrów stąd. Transport kapitana al-Haffiego.

Safia podeszła bliżej. Nie umiała sobie wyobrazić próby trawersowania ścieżki w zboczu urwiska przy takim wietrze. Jego porywy były nieprzewidywalne.

Lu'lu zgodziła się z Safią.

- Próbować tych piasków to śmierć.

Kara spojrzała na hodja. Na jej twarzy malował się sprzeciw. Pozostanie tutaj jest równie niebezpiecznie. Najwyraźniej Kara chciała zaryzykować zejście.

Lu'lu zrozumiała.

- Twój ojciec nie słuchał ostrzeżeń dotyczących tych piasków, wiesz o tym.

Jej słowa tylko rozgniewały Karę.

- A czego tu się bać? Lu'lu zatoczyła ręką krąg.

- To piaski nisnasów.

Kara i Safia znały tę nazwę. Czarne Duchy Pustyni. To właśnie one były oskarżone o zabicie Reginalda Kensingtona.

Lu'lu wskazała na południowy zachód. Mały wir kręcił się, kłębił, małe piaskowe tornado. Błyskał w ciemności rozjarzony ładunkiem elektrostatycznym. Na moment rozbłysnął, a potem znikł.

- Widziałam pylnego diabła dokładnie takiego jak ten - rzekła Kara.

Lu'lu potwierdziła skinieniem głowy.

- Nisnasy niosą płonąca śmierć.

Safia zobaczyła umęczone ciało Reginalda Kensingtona zamknięte w szkle. Przypominało jej o z mumifikowanych mieszkańców Ubaru pod ziemią. Co łączyło oba te przypadki?

Na wschodzie pojawił się kolejny diabeł. Inny na południu. Wydawało się, że zrywają się wiry z piasku i wędrują do nieba. Safia widziała tysiące takich powietrznych wirów, ale żadnego tak jasnego.

Kara odwróciła wzrok.

- Nadal nie rozumiem...

Dokładnie przed nimi ściana piasku buchnęła w górę nad brzegiem mesy. Wszystkie padły na ziemię.

- Nisnas! - zachłysnęła się Lu'lu.

Powietrzny wir uformował się tuż przy mesie niczym wirująca kolumna. Zarówno Kara, jak i hodja wycofały się do korytarza. Safia została, patrząc jak zahipnotyzowana.

Fale ładunków elektrostatycznych goniły od piasku do nieba. Jej kurtka łopotała, tym razem jednak nie od wiatru, ale od gry elektryczności w atmosferze, tej elektryczności, która trzaskała iskrami na skórze, ubraniu i włosach. Robiło to bolesne, ale i niesamowite wrażenie. Jakby ciało było zimne, a skóra gorąca.

Nie zdawała sobie sprawy, że prawie przestała oddychać.

Zrobiła krok naprzód, na tyle, żeby zobaczyć całą szerokość węzowego wiru. Widziała, jak diabeł koncentruje się wokół jednej z ciężarówek.

Podskoczyła, kiedy coś dotknęło jej łokcia. Kara. Widać zmobilizowała się, żeby nadal obserwować. Ucisnęła dłoń Safii. Ta zaś wyczuła, że siostra przeżywa ponownie dawnykoszmar.

Piasek pod ciężarówką zaczął ciemnieć. Ich nosy podrażnił odór spalenizny. Dłoń Kary ścisnęła dłoń Safii. Poznała ten zapach.

Piasek poczerniał. Stopiony. Zamieniony w szkło.

Nisnas.

Energia w wirze smagała dziko, jarząc się w całej kolumnie. Ze swojej grędy kobiety widziały, jak ciężarówka tonie w stopionym stawie, z początku powoli. Gumowe opony topiły się i pękały, a potem było potężne „hhhuszsz” elektrostatycznej energii, diabeł się zapadł, i w ułamku sekundy wszystko znikło. Safia widziała, jak szkło przechodzi w czerń próżni. Ciężarówka wpadła jak w dziurę. Czarna dziura topiła się głębiej w pustyni, a poddmuchy wiatru zasypały świeżym piaskiem to miejsce, zacierając wszelkie ślady.

Duchy przychodzą i odchodzą.
Chwilę później zabulgotał cichy wybuch. Piasek się wyrzucił.
- Bak z paliwem - stwierdziła Kara.
Obie podniosły wzrok. Dookoła pojawiało się coraz więcej śmiercionośnych diabłów.
W tej chwili musiało ich być z tuzin.
- Co się tu dzieje? - zapytała Kara.
Safia pokręciła głową. Otaczająca je ściana burzy poczerniała, kurcząc się, zbliżając się ze wszystkich stron.
Lu'lu patrzyła, zdjęta zgrozą.
- To drugi układ burzowy z wybrzeża. Nadszedł, a obie burze karmią się nawzajem i stają się czymś jeszcze gorszym.
- Megaburza - powiedziała Safia. - Formuje się wokół nas.
Trąby powietrzne pojawiały się coraz częściej i częściej, wirując wśród piasków. Ich łuny były jak płomienie pustyni. Piekielny krajobraz. Burza czerniała i dziczała. Przejście przez te piaski równało się nieuniknionej śmierci.
Safia usłyszała blisko jakiś dźwięk. Głos z radia. Poszukała go w kieszeni. Omaha prosił, żeby zostawiła je włączone na wypadek, gdyby musiał się z nią skontaktować.
Wyjęła je i podeszła do korytarza w skale.
Przez trzaski dobiegł głos:
- Safio... jeśli... mnie słyszysz...
Kara nachyliła się ku niej.
- Kto to?
Safia przycisnęła radio do ucha i nasłuchiwała.
- ...Ja ... jadę ... Safio, słyszysz...
- Kto? - dopytywała się Kara.
Oczy Safii rozszerzyło zdumienie.
- Painter. Żyje.
Jakaś luka w polu elektrostatycznym pozwoliła jej przez chwilę wyraźnie słyszeć głos Paintera.
- Jestem trzy kilometry od twojej pozycji. Trzymaj się. Już jadę.
Ponowne szumy zagłuszyły dalszy odbiór.
Safia nacisnęła guzik nadawania i przysunęła radio do ust.
- Painter, jeśli mnie słyszysz, nie przyjeżdżaj! Nie przyjeżdżaj! Słyszysz mnie?
Zwolniła przycisk. Szum. Nie usłyszał. Patrzyła na świat burzy, ognia i wiatru.
Poruszanie się w tym piekle to pewna śmierć... A Painter tutaj właśnie jechał.

18.05

Cassandra kuciała obok dwóch swoich ludzi. Dookoła pluł i grzechotał ogień z karabinów maszynowych. Po wybuchu pierwszego RPG, który ją zaskoczył, Cassandra włączyła się do walki, wchodząc w ruiny miasta.

Walka trwała, ale to jej zespół czynił postępy.

Patrzyła przez lunetę karabinu i czekała. Przed nią leżała grupka klockowych budynków, w noktowizorze widziana w odcieniach zieleni i bieli. Mając jednocześnie włączoną podczerwień, obserwowała czerwoną plamę, jak porusza się za szklanym murem. Wróg.

Jej cel dźwigał na ramieniu rurę, jarzącą się jak małe słońce. Wyrzutnia. Sama zaleciła swoim ludziom zwracać uwagę na takie cele. Musieli wyeliminować zdolność przeciwnika do ognia dalekiego zasięgu.

Pod ścianą cel poruszył się, wyszedł na otwarty teren i zaczął ustawiać wyrzutnię.

Cassandra umieściła krzyżyk celownika na najgorętszej części ciała przeciwnika - głowie. Nacisnęła spust. Tylko raz. Więcej nie potrzebowała.

Czysty strzał.

Jednak coś, jakiś odruch, odpalił wyrzutnię.

Cassandra patrzyła, jak RPG wybucha oślepiająco. Przetoczyła się na plecy. Granat przeleciał wysoko, mijając cel.

Kiedy granat leciał w górę, Cassandra śledziła jego lot, ale straciła go z oczu na tle elektrostatycznych wyładowań szalejących pod sklepieniem. Odsunęła podczerwone nakładki i wyłączyła noktowizję. Obserwowane przez zwykłe soczewki nadal błyszczało. Małe łuki wyładowań przesywały powietrze jak błyskawice.

RPG wybuchł po drugiej stronie jeziora. Trafił w ścianę naprzeciwko miasta. Skupiła powiększenie.

Kurwa... Ani chwili przerwy.

Granat uderzył w ścianę nad tunelem prowadzącym do jaskini. Patrzyła, jak kawał szklanej ściany odrywa się od skalnego podłoża. Spadł, blokując tunel.

Przetoczyła się na brzuch. Zespół z powierzchni po prostu będzie musiał ich odkopać. Teraz najważniejsze jest zabezpieczenie miasta, złapanie Safii i wydostanie zdobywczy. Nasunęła nakładki do widzenia w podczerwieni.

Czas podjąć polowanie.

Jej dwóch ludzi już poszło przodem przeszukać ciało i odzyskać sprzęt.

Cassandra przystanęła na chwilę, żeby sprawdzić urządzenie namierzające.

Safia znajdowała się niedaleko. Czerwone trójkąty wskazujące pozycje jej ludzi zbliżały się do Safii ze wszystkich stron.

Usatysfakcjonowana, już niemal schowała urządzenie do kieszeni, kiedy zaalarmował ją odczyt wskaźnika wysokości przy niebieskim krążku. Zamarła. To nie ma sensu.

Cassandra znów spojrzała na rozjarzone sklepienie. Jeśli odczyty mówią prawdę, to Safia wyszła na powierzchnię. Czyżby istniało inne wejście?

Uruchomiła dotknięciem laryngofon i przesłała ogólny alarm na otwartym kanale, żeby dotrzeć do każdego.

- Zbliźcie się do celu! Biegiem! Nie zostawiać nikogo przy życiu!

Wstała i dołączyła do swoich ludzi.

- Kończmy z tym.

18.12

Painter podskoczył na siedzeniu, kiedy dwudziestotonowy ciągnik przeleciał nad niewielką wydumą. Nic nie widział. Widoczność spadła z kilku metrów. Prowadził na ślepo. Mógł radośnie kierować się na skraj urwiska i nigdy się o tym nie dowiedzieć.

Kilka minut temu burza nagle zaatakowała ze zdwojoną siłą. Porywy wiatru uderzające w pojazd brzmiały jakby to były pięści olbrzyma. Paintera rozboleła od tego głowa.

Jedynym jego przewodnikiem było migające niebieskie światełko na ekranie laptopa.

Safia.

Nie miał pojęcia, czy słyszała jego przekaz, ale od tego czasu nie ruszyła się z miejsca. Nadal znajdowała się ponad ziemią... dokładnie dwadzieścia metrów nad pustynią. Przed zapewne jest jakaś góra. Gdy się zbliży, będzie musiał zwolnić.

Jego wzrok przyciągnął blask odbicia w bocznym lusterku. Drugi ścigający. Myśliwy musiał być równie ślepy jak on, jechać po jego śladach, trzymając się trasy przez niego przetartej, co pozwala na uniknięcie przeszkód.

Wiódł ślepy ślepego.

Painter jechał dalej. Wiatr nagle dmuchnął gwałtowniej. Przez chwilę ciągnik gibał się na jednej gąsienicy, po czym opadł ciężko. Chryste...

Z jakiegoś powodu Painter się zaśmiał. Rozbawienie przeklętych.

Nagle wiatr ustał, jakby ktoś wyłączył wentylator.

Ciągnik wyjechał na otwarte piaski. Niebo pojaśniało z ciemnej nocy do zaledwie zmierzchu. Piasek nadal wirował, a wiatr nadal wiał, ale z jedną dziesiątą prędkości, którą miał poprzednio.

Painter spojrzął we wsteczne lusterko. Widok zasłaniała ściana ciemności. Musi przez nią przejechać i znaleźć się po drugiej stronie.

Nie dostrzegł żadnego śladu goniącego go pojazdu, jego światła zagubiły się w mroku. Może ten ostatni poryw wiatru wywrócił skubańca?

Skupił się na drodze przed sobą.

Teraz widział na dobre pół kilometra. Z oddali wyłoniła się ciemna skała. Pustynna mesa. Zerknął na laptopa. Niebieski krążek jarzył się na wprost niego.

- Więc to tutaj jesteś... - Nacisnął gaz.

Zastanawiał się, czy Safia go widzi. Wziął radio. Jednym okiem patrzył na drogę. Na całym obszarze tornada w wersji mini uderzały i wiły się, łącząc niebo i pustynię. Jarzyły się kobaltowym blaskiem. Trzaski wyładowań wirowały w górę. Painter znajdował się na tyle blisko by zobaczyć, jak jedno z wyładowań zbiega po zboczach wydmy, a piasek pryska wzdłuż toru jego przejścia. Za sobą zostawiło czarne pasmo, pofalowany podpis, maźnięcie pióra jakiegoś boga burzy.

Painter zmarszczył czoło. Nigdy się z czymś takim nie spotkał.

Ale to go nie dotyczyło.

Miał większe problemy. Podniósł radio do ust.

- Safio, jeśli mnie słyszysz, daj znać. Powinnaś już mnie widzieć.

Czekał na odpowiedź. Nie wiedział, czy Safia nadal ma radio. Nagle ze słuchawki buchnął hałas:

- ...ainter! Jedź! Zawracaj!

To ona! Jej głos brzmiał tak, jakby działo się coś złego. Nacisnął guzik nadawania.

- Nie zawracam. Mam...

Elektryczny łuk przeskoczył z radia do jego ucha. Wrzasnął i upuścił odbiornik. Poczł swąd spalonych włosów.

Czuł też gwałtowny przepływ ładunku elektrycznego w całym pojeździe. Każda powierzchnia częstowała wstrząsem. Trzymał ręce na ogumowanej kierownicy. Laptop zabzyczał, po czym wydał głośnie „pop” i ekran zgasł.

Dobiegł go dźwięk syreny mgielnej. Nie, nie syreny... to klakson ciężarówki. Spojrzął w boczne lusterko. Z czarnej ściany burzy wyłoniła się ścigająca go ciężarówka. Ostatni podmuch szarpnął jej tyłem. Rama zachybotła.

Pojazd uderzył w piaski, najpierw opony z jednego boku, potem z drugiego. Podskoczył, poślizgnął się i obrócił o trzysta sześćdziesiąt stopni. Ale wydostał się z burzy. Painter zaklął.

Kierowca ciężarówki musiał być równie zaskoczony tym, że przeżył, jak Painter był zaskoczony jego widokiem. Platforma stała na jałowym biegu. Wyglądała okropnie; jedna opona sflaczała, zderzak wygiął się w stalowym uśmiechu, plandeka na ładunku została zdmuchnięta na jedną stronę i zgnieciona między linami. Przypomnił sobie bombardowanie RPG. Chciał nieco odetchnąć, zanim zabierze się do tej ciężarówki.

W bocznym lusterku zobaczył, że ciężarówka podąża za nim. Painter przygotował się do walki, ustawiając autopilota. Przed nim pustynia stała się lasem wirujących piaszkowych diabłów jaśniejących w mroku zmierzchu. Wydawało się, że wszystko jest w ruchu.

Zmarszczył czoło. A potem to poczuł. Znajomy ruch piasku. Tak jak wtedy, gdy granaty spowodowały lawinę, ruch piasku pod gąsienicami.

Teraz jednak teren był płaski.

Wszędzie dookoła tańczyły diabły, iskrzyła elektrostatyka, a piasek pod nim stawał się luźny. Ciągnik zaczynał tonąć jak w bagnie. Zwolnił. Painter czuł, że tył zarzuca. Ciągnik obracał się, poruszany nieznanymi siłami. Nagle jakby wpadł w pułapkę, zatrzymał się.

Boczne okno skierowane teraz było na ścigającą go ciężarówkę. Zbliżała się na szerokich oponach. Wtem piasek pod nią zmienił się w pył. Zapadła się po felgi... po osie.

Zabuksowała.

I myśliwy, i zdobywcza wpadli w pułapkę, zatopieni jak muchy w bursztynie.

Tyle że ten bursztyn wciąż płynął.

18.15

Safia odpuściła radio. Mogła tylko patrzeć ze zgrozą, wraz z Karą i Lu'lu. To był krajobraz jak z koszmaru, malowidło Salvadora Dalego.

Patrzyła ponad wirami piachu, widziała mordercze wyładowania, sadzawki czarnego piasku, pasma rzeźbione przez skaczące diabły. Chmury pyłu na niebie jarzyły się porcjami energii, która do nich napływała, karmiona piaskowymi kolumnami.

Nie to jednak było najgorsze.

Bo, o ile widziała, cała pustynia stawała się gigantycznym wirem obracającym się wokół zakopanego bąbla Ubaru. Pustynna mesa była skałą w nurcie. Widziała też mniejsze punkty: ciągnik Paintera i jakaś ciężarówka tonące w piasku.

Tornada zbliżały się do pojazdów, grawerując pustynię stopionym piachem.

Po lewej trzask odbił się echem. Kawał mesy oderwał się od płaskowyżu, jak i fragment lodu odrywającego się od lodowca.

- Nie możemy tu zostać - powiedziała Kara. - Ta burza rozerwie naszą wysepkę na strzępy.

- Painter... - odezwała się Safia. Jej ubranie iskrzyło, trzeszczało wyładowaniami, kiedy podchodziła do skraju mesy. Przybył im na ratunek, zmierzając ku zgubie. - Muszę coś zrobić.

- Musi ratować się sam - stwierdziła Kara. - Nie możemy mu pomóc.

Z radia w jej rękę nagle dobiegły trzaski. Zapomniała, że je trzyma. Painter...

- Safio, słyszysz mnie? - To Omaha.

Podniosła radio.

- Jestem.

Jego głos brzmiał, jakby dochodził z innej planety.

- Tu, na dole, dzieje się coś dziwnego. Elektrostatyczne łuki są wszędzie. Rysują szkło. Miejscami topią. To znów ten sam kataklizm! Trzymaj się z daleka!

- Możecie wyjść na schody?

- Nie. Danny, Clay, Coral i ja trzymamy pałac.

Jej wzrok przyciągnął ruch przy wylocie tunelu. Wyszedł Sharif. Kara podeszła do niego. Wskazał tunel.

- Wycofaliśmy się na schody - powiedział zdyszany. - Kapitan al-Haffi spróbuje trzymać nieprzyjaciela z daleka. Wy powinniście... - Głos mu się załamał, kiedy uświadomił sobie, co widzi na pustyni. Oczy mu się rozszerzyły.

Rozległ się kolejny trzask pękającej skały. Posypały się kamienie. Brzeg mesy skruszył się.

- Allahu, zachowaj nas - szepnął Sharif.

Kara machnęła ręką.

- Lepiej, żeby tak zrobił. Bo, do jasnej cholery, nie mamy jak stąd uciec.

18.16

Cassandra po raz pierwszy od wieków poczuła prawdziwą zgrozę. Ostatnim razem, kiedy czuła ten strach sięgający trzewi, była dzieckiem, nasłuchującym kroków ojca przed jej sypialnią o północy. Teraz było tak samo. Strach, który zmieniał wnętrze w galaretę i mroził kości do szpiku. Oddychanie okazało się dawno zapomnianą umiejętnością.

Przestraszona kuliła się w malutkim szklanym budyneczku, bardziej kaplicy, wystarczającym dla jednej klęczącej osoby. Jedyne wejście stanowiły niskie drzwi - aby przez nie wejść, należało się schylić. Żadnych okien. Za drzwiami rozciągało się niższe miasto.

Patrzyła na błyskawice wyładowań. Niektóre uderzały w wodę, nabierały mocy i były znów w sklepieniu, wsysane, jaśniejsze, jakby burza nad górą karmiła się mocą z jeziora.

Ale w chwili, gdy wyładowanie trafiało w szkło, to nie było już prawdą. Każda powierzchnia, która pochłaniała tę dziwną energię, stawała się plamą cieczy, ale tylko na moment, kiedy trwała błyskawica. Potem ponownie twardniała.

Cassandra obserwowała, jak jeden z jej ludzi przyjmuje takie wyładowanie. Krył się za murem, opierał o niego i wtem błyskawica uderzyła. Człowiek padł, gdy jego oparcie nagle zniknęło. Potem mur na powrót stwardniał. Część ciała była po jednej, część po drugiej stronie. A część pomiędzy nimi spaliła się do kości. Paliło się nawet jego ubranie, ludzka pochodnia po obu stronach szkła.

W całym mieście walki ustały. Ludzie szukali schronienia.

Widzieli zmumifikowane ciała. Wiedzieli, co się dzieje. W jaskini zapadła śmiertelna cisza, poza sporadyczną wymianą ognia pod tylną ścianą, gdzie przeciwnik znalazł jakieś przejście. Każdy, kto podszedł, ginął od kuli.

Cassandra ścisnęła urządzenie namierzające. Patrzyła na rozkład czerwonych trójkątów. Jej ludzie. A raczej ci nieliczni, którzy zostali. Policzyła. Z pięćdziesięciu ludzi w oddziale uderzeniowym zostało dwunastu. Patrzyła, jak znika kolejny. Przez miasto przebiegł rozdzierający wrzask.

Śmierć podkradała się po jej ludzi.

Wiedziała, że nawet tak zamknięte schronienie nie jest bezpieczne. Widziała zmumifikowane ciała we wnętrzu kilku domostw.

To ruch zdawał się być kluczem. Może natężenie ładunku elektrostatycznego w pomieszczeniu jest takie, że żadne zawirowania nie przyciągają błyskawic?

Siedziała więc cicho i spokojnie, jak niegdyś w dzieciennym łóżku. Wtedy nie pomogło. Wątpiła, czy pomoże teraz. Była w pułapce.

18.17

Omaha leżał płasko przy wejściu do pałacu. Cisza mu ciążyła. Za dziedzińcem narastała ognista burza. Wyładowania trzaskały, rozwidlając się malowniczo. Kopuła jaśniała jak korona niebiesko-białego słońca.

Omaha wiedział, że śmierć jest blisko.

Ale przynajmniej powiedział Safii, że ja kocha. Uczynił ten krok. To musi mu wystarczyć. Zerknął w górę. Modlił się o bezpieczeństwo Safii. Przekazała przez radio kolejną krótką wiadomość o chaosie panującym na górze.

Śmierć na górze, śmierć na dole.

Wybieraj.

Coral leżała obok, obserwując burzę.

- Jesteśmy wewnątrz największego transformatora na ziemi - stwierdziła.

- Co masz na myśli?

Rozmawiali szeptem, jakby bali się obudzić śpiącego olbrzyma.

- Szklana jaskinia z pełnym energii roztworem antymaterii działa niczym potężny izolowany nadprzewodnik. Ściąga energię do siebie, jak żelazny wielbłąd w muzeum. W tym wypadku zbiera energię elektrostatyczną z każdej przechodzącej burzy piaskowej, wsysając ją na dół. Kiedy jednak energia rośnie w komorze i przekracza pewien próg, jej nadmiar musi zniknąć, jak w piorunach w czasie burzy. Tyle że tym razem celuje od piasku w niebo, wystrzeliwując w górę ogromne wyładowania, tworząc przy tym wiry powietrzne na powierzchni pustyni.

- Jakby rozładowywało akumulator - rzekł Omaha. - Ale co tutaj zachodzi?

- Burza w butelce. Megaburza przekazuje tutaj, na dół, za dużo energii. Bąbel nie nadaża z rozładowaniem nadmiaru, więc część wraca.

- Sam się napędza.

- Redystrybuuje ładunki - sprostowała Coral. - Szkło jest dobrym przewodnikiem. Ono tylko zabiera nadmiar energii, której nie udało się rozładować na powierzchni, i przekazuje na dół. Tutaj szkło łapie energię i rozprasza ją. Cykl polegający na utrzymaniu energii raczej równomiernie rozproszonej po całym bąblu, a nie tylko na kopule. To właśnie ta równowaga energetyczna utrzymuje stabilność jeziora antymaterii podczas burzy. Równowaga ładunków.

- A co z kieszeniami ze stopionego szkła?

- Nie uważam, żeby to było stopione szkło. Przynajmniej niezupełnie.

Omaha spojrzał na Coral pytająco.

- Co to znaczy?

- Szkło zawsze znajduje się w stanie ciekłym. Widziałeś kiedyś szkło starożytne? Płynne nacieki psujące czystość? Grawitacja wpływa na szkło jak na ciecz, powoli ściągając je strumykami w dół.

- Co to jednak ma wspólnego z tym, co się dzieje tutaj?

- Uderzenia energii nie topią szkła tak po prostu. One zmieniają jego stan skupienia, natychmiastowo zrywając wszystkie wiązania, upłynniając szkło do punktu granicznego ze stanem gazowym. Kiedy energia się rozprasza, szkło ponownie się zestala. Przez moment jednak znajduje się w stanie pomiędzy cieczą i gazem. To dlatego nie płynie. Zachowuje podstawowy kształt.

Omaha miał nadzieję, że ta rozmowa doprowadzi do jakiegoś rozwiązania.

- Jest coś, co możemy z tym zrobić? Coral pokręciła głową.

- Nie, doktorze Dunn, obawiam się, że wpadliśmy po uszy.

18.19

Ognisty wybuch przyciągnął uwagę Paintera do mesy.

Cieżarówka zaparkowana niedaleko piaskowcowego wzniesienia wyskoczyła w górę, rozlewając płonące paliwo. Jeden z piaskowych diabłów nadal podążał jej śladem. Zostawiał za sobą szlak poczerniałego piasku.

Stopione szkło.

Te złowróżbne kolumny ładunków elektrostatycznych w jakiś sposób rozładowywały ogromne ilości energii, wypalając sobie drogę przez pustynny pejzaż.

Painter pamiętał słowa Safii, jakie usłyszał przez radio, zanim spaliło się w krótkim spięciu. Próbowwała go ostrzec, a on nie posłuchał.

Teraz znalazł się w ciągniku, pułapce, która powoli krążyła w wielkiej piaskowej centryfudze. Przez ostatnie pięć minut unosiła się szerokim łukiem, jednocześnie wolno obracając w miejscu. Był planetą orbitującą wokół słońca.

I wszędzie wokoło tańczyła śmierć. Na każdą piaskową trąbę, która wybuchała w rozładowaniu ładunku elektrostatycznego, powstawały trzy nowe.

To, że wreszcie przetnie drogę któremuś z diabłów albo - co gorsza - któryś powstanie pod nim, pozostawało jedynie kwestią czasu. Podczas obrotu widział ciężarówkę. Wcale się jej lepiej nie wiodło. Inna planeta, mniejsza, może księżyc.

Painter patrzył na rozdzielające ich piaski. Nagle dostrzegł szansę.

Szaleńczą, ale to lepsze, niż siedzieć i czekać, aż zapuka śmierć. Jeśli ma umrzeć, to na posterunku. Popatrzył na swoje nagie ciało. Wciąż miał na sobie tylko bokserki. Okay, goło ale wesoło. Przeszedł na tył pojazdu. Zabrał tylko jeden pistolet... i nóż.

Tak wyposażony doszedł do tylnego wjazdu. Musi działać szybko. Przez chwilę oddychał głęboko. Otworzył tylne drzwi.

Na całej metry wokoło rozpostarła się nagle czysta przestrzeń pustyni. Zawirował diabeł. Paintera omiół powiew ładunku. Włosy stanęły mu dęba i trzaskały. Miał nadzieję, że się nie zapali. Potykając się, podbiegł od tylnego wjazdu. Czas uciekał. Rzucił się do bocznych drzwi, otworzył je pchnięciem i skoczył. Zapadł się po łydki. Cholernie sypki piasek. Spojrzał przez ramię. Diabeł pochylał się nad ciągnikiem, tryskając energią. Pachniało ozonem. Potwór pulsował gorącem. Gnaj szybko, Chyża Stopo.

Było to zdanie, jakie wypowiadał jego ojciec, gdy przyłapał go na objaniu się. Nie, tatau... tutaj nie ma objania się.

Painter uwolnił stopy z piasku i pognął dookoła przodu ciągnika. Wir wciągał go ku granicy ruchomych piasków.

Spostrzegł ciężarówkę pięćdziesiąt metrów dalej - połowa boiska do amerykańskiego futbolu. Pognął po punkty. Gnaj szybko, Chyża Stopo. Pędził, powtarzając w głowie te słowa jak mantrę. Trzasnęły otwierane drzwi kabiny ciężarówki. Żołnierz stanął na platformie i wycelował karabin.

Na szczęście Painter już miał w ręku pistolet. Strzelał i strzelał. Oszczędzanie pocisków nie miało sensu.

Kierowca przewrócił się na plecy z rozrzuconymi rękami.

Eksplozja za plecami cisnęła Paintera twarzą w piach. Paliła go fala ognia. Wypluwając piasek, skoczył do przodu i w bok.

Spojrzał za siebie i zobaczył ciągnik leżący na boku, płonący. Wybuchł bak, kiedy diabeł go dosięgnął. Painter uciekał. Płonące paliwo spadało deszczem, pluskając o piach.

Biegł zgięty w pół.

Dopadł do ciężarówki, ominął drzwi do kabiny, wykorzystał ciało żołnierza jako stopień i wdrapał się na pojazd od tyłu. Plandeka nadal była zgnieciona w linach. Nożem odciął mocowania. Były napięte jak struny gitary. Kopnął plandekę i liny na bok.

Zobaczył, co kryje się pod spodem. Jednoosobowy helikopter. Ta Chyża Stopa znalazła skrzydła.

Safia usłyszała staccato wystrzałów z pistoletu. Painter...

Kuliła się tuż przy wejściu na schody. Kara i Lu'lu trzymały straż wraz z nią. Zastanawiała się nad jakimś sposobem uniknięcia grożącej im tutaj zguby. Czuła, że odpowiedź jest tuż-tuż, zaraz poza zasięgiem. Brakowało jej klucza, co powodowało, że przechodziły ją dreszcze strachu. Strach zaś był jej starym towarzyszem. Oddychała głęboko, wdychając spokój, wydychając napięcie.

Myślała o tajemnicy.

Przypominała sobie myśli, jakie snuła, idąc tutaj. Jak przeszłość i teraźniejszość mieszają się ze sobą na wiele różnych sposobów. Zamknęła oczy. Czuła niemal, jak odpowiedź rośnie w niej niczym pęcherzyk w wodzie.

Nagle rozległy się strzały. A po nich wybuch.

Taki jak ten, który zabrzmiał kilka minut temu, gdy eksplodował jeden z pojazdów kapitana.

Safia rzuciła się na mesę. Ognista kula leciała w górę szarpana wiatrem. Przewrócony ciągnik leżał na boku.

O Boże... Painter...

Zauważyła nagą postać biegnącą do mniejszej ciężarówki.

Kara dołączyła do Safii.

- To Crowe.

Safia uczepliła się tej nadziei.

- Jesteś pewna?

- Naprawdę powinien obciąć włosy.

Postać wspięła się na ciężarówkę. Potem Safia zobaczyła, jak płaty wirnika rozkładają się. Usłyszała odległy jęk silnika. Helikopter.

Kara westchnęła.

- Trzeba przyznać, że ten człowiek jest bardzo pomysłowy.

Safia zauważyła malutką trąbę powietrzną, która szerokim łukiem zmierzała w stronę ciężarówki i helikoptera. Czy Painter też ją zauważył?

18.23

Painter leżał płasko na brzuchu w kabinie. Kontrolki miał pod ręką, po jednej na każdą. Zwiększył prędkość wirnika. Latał helikopterem podczas szkolenia w siłach specjalnych, ale nigdy takim jak ten. Ale jak bardzo różni się od innych?

Ruszył prawą przepustnicę. Nic się nie stało. Pociągnął za lewą. Też nic. No dobra, trochę się różni.

Pociągnął za obie i śmigłowiec wznosił się w powietrze. Ruszył w górę chwiejnym łukiem, obracany porywami wiatru. Łup-łup-łup wirnika pasowało do rytmu serca Paintera, szybkiego i wściekłego.

Kiedy śmigłowiec się obracał, dostrzegł za sobą błysk tornada. Jarzył się i pluł ogniem, jak demon prosto z piekła.

Pomajstrował przy kontrolkach, przechylając się na prawo, na lewo, a potem do przodu.

Do przodu było okay.

Przyspieszył, opadając zbyt nisko, jakby zjeżdżając po śnieżnym stoku. Spróbował podnieść dziób, zanim wkopie się w piach. Przetoczył się w lewo, zrównoważył i wreszcie znalazł sposób na podniesienie dzioba.

Teraz celował prosto w potwornie wielkie tornado.

Wzniósł się wyżej i w prawo i z powodzeniem zdołał obrócić się w miejscu, podczas gdy nadal leciał w stronę wielkiego diabła. Poczuł, że żołądek mu się ściska. Pociągnął lewą przepustnicę, zatrzymał obrót i ledwie udało mu się minąć diabła.

Jednak na pożegnanie tornado splunęło elektrycznym łukiem. Painter poczuł wstrząs od czubków palców u stóp po brwi.

Śmigłowiec także.

Cała moc znikła. Instrumenty wariowały. Spadał, a wirnik kręcił się bezużytecznie. Wyłączył wszystkie systemy, potem znów włączył. Restart. Odpowiedział mu cichy jęk, silnik zakaszłał. I nic.

Mesa była na wprost. Mierzył w nią najlepiej, jak umiał... trafiał w ścianę urwiska.

Restartował ponownie. Tym razem silnik zaskoczył. Pomogły zapewne obracające się płaty. Pociągnął obie przepustnice. Śmigłowiec się wznosił. Urwisko spieszyło mu naprzeciw.

- No, już... - mamrotał przez zaciśnięte zęby.

Kiedy dolatywał do mesy, mignął mu jej wierzchołek. Pragnął, żeby śmigłowiec wznosił się jeszcze o kilka centymetrów. Płozy zaszurały, złapały coś, przechylając helikopter na bok. Śmigła darły kamień.

Rozleciały się.

Kabina helikoptera wyskoczyła wysoko i wylądowała do góry nogami na wierzchołku płaskowyżu. Painter uderzył się w głowę, ale żył.

Wypchnął boczny właz i wypadł. Leżąc na kamieniach, dyszał, zaskoczony, że żyje. A to niespodzianka. Podbiegła do niego Safia. Za nią Kara. Patrzyła na niego, krzyżując ręce na piersi.

- Dobra robota, ale czy kiedyś słyszałeś powiedzenie: „Z deszczu pod rynnę”?

Usiadł.

- Co się, u licha, tutaj dzieje?

- Musimy znaleźć jakieś schronienie - odpowiedziała Safia, pomagając mu wstać.

- Gdzie? - zapytała Kara, biorąc go za drugie ramię. - Burza piaskowa rozdziera pustynię, a Ubar stoi teraz w ogniu.

Safia wyprostowała się.

- Wiem, dokąd możemy pójść.

22

OGNISTA BURZA

4 GRUDNIA, 18.45 UBAR

Safia stała z kapitanem al-Haffim u stóp schodów. Patrzyła na lazurowe wylądowania szalejące nad łukowo sklepioną jaskinią. Oślepiały. Uderzenia niebieskiej energii były jak lance, widelce i włócznie w całej komorze jaskini. Najbardziej niepokojąca była cisza. Żadnego grzmotu.

- Jak daleko stąd do pałacu? - zapytała kapitana.

- Czterdzieści metrów.

Spojrzała w górę schodów. Liczebność Rahim spadła do czternastu dorosłych kobiet. Wszystkie dzieci ocalały. Kapitanowi z tuzina ludzi zostało ośmiu. Nikt z nich nie wyglądał, jakby miał ochotę wejść do Ubaru.

Stali jednak, gotowi pójść za Safią.

- Jesteś tego pewna? - zapytała Kara zza jej pleców.

Obok niej stali Lu'lu i Painter.

- Na tyle, na ile potrafię - westchnęła Safia.

Painter pożyczyl kurtkę od jednego z Shahra, ale był boso. Zaciskał wargi.

Daleko z tyłu, niosąc się echem po schodach, dobiegł ich dźwięk spadających kamieni. Górna część schodów była już zawałona.

- Bezgranicznie ufasz starej królowej - zauważył Painter.

- Ona przeżyła podobny kataklizm. Królewska linia przetrwała. Podczas ostatniej katastrofy linia królewska była chroniona. One były jedyne. Jak to się stało?

Safia odwróciła się i wytrzepała zwiniętą kurtkę niesioną w ręku. Wysypał się z niej piasek, pokrywając szkło przed jej stopami. Sturlał się w dół ścieżki.

- Piasek to świetny izolator. Pałac królewski w Ubarze pokrywają piaskowe malowidła, na podłogach, ścianach i sufitych. Tak dużo piasku w szkłe musi zabezpieczać budowlę przed wylądowaniami elektrostacyjnymi, chroniąc tych, którzy będą w środku. - Poklepała radio. - Tak jak do tej pory Omahę, Coral, Claya i Danny'ego.

Painter zgodził się z nią skinieniem głowy. W jego oczach widziała szacunek i zaufanie. Z jego niewzruszonej wiary w nią czerpała swą siłę. Był skałą, na której mogła się oprzeć.

Safia odwróciła się i popatrzyła na długą linię ludzi. Każdy niósł piasek. Porobili worki z kurtek, koszul, nawet dzieci niosły skarpety pełne piasku. Plan przewidywał wysypywanie piaskiem drogi aż stąd do pałacu, gdzie schronią się przed burzą.

Podniosła radio.

- Omaha?

- Jestem, Saff.

- Ruszamy.

- Uważajcie na siebie.

Wkroczyła na szkło pokryte piaskiem. To ona ich poprowadzi. Butem rozprowadzała piasek tak, żeby warstwa nadal stanowiła izolację. Kiedy doszła do końca, Painter podał jej swój worek z piaskiem. Odwróciła się i rozrzuciła nowy piasek na ścieżkę, przedłużając szlak.

Nad ich głowami sklepienie jarzyło się kobaltowym ogniem.

Nadal żyli. Działo.

Safia szła ostrożnie piaskową ścieżką. Za nią piasek podawany był z rąk do rąk.

- Patrzcie pod nogi - ostrzegła. - Pilnujcie, żeby piasek zawsze był pod waszymi stopami. Nie dotykajcie ścian. Pilnujcie dzieci.

Wysypała kolejną porcję piasku. Szlak wił się od tylnej ściany, omijał rogi, biegł schodami i wzdłuż ramp.

Safia patrzyła na pałac. Zbliżali się do niego w ślimaczym tempie.

Wyładowania strzelały w nich teraz niemal bez przerwy, naruszając każde pole elektromagnetyczne, które stabilizowało to miejsce. Ale szkło po obu stronach zawsze odciągało ładunki niczym piorunochron. Ich ścieżka pozostawała bezpieczna.

Safia, wysypując piasek, usłyszała krzyk za plecami.

Sharif ześlizgnął się kilka metrów na jednym ze stopni posypanych piaskiem. Złapał równowagę, chwytając się sąsiedniej ściany.

- Nie! - krzyknęła Safia. Za późno.

Błyskawica skoczyła na niego. Twarda ściana poddała się. Sharif wpadł głową w szkło, a ono zestaliło się wokół jego ramion. Ciało zadrgało, twarz znalazła się w pułapce ze szkła. Umarł natychmiast. Brzegi jego kurtki dymyły.

Dzieci rozplakały się, tuląc się do siebie.

Barak pobiegł w górę, prześlizgując się obok innych, a jego twarz zamieniła się w maskę bólu. Safia skinęła głową do kobiet i dzieci.

- Uspokójcie je - powiedziała. - Niech idą.

Wzięła następną torbę. Ręce jej się trzęsły. Painter stanął obok niej i zabrał torbę.

- Pozwól, że ja to zrobię.

Odsunęła się za niego. Kara znalazła się obok niej.

- To nie twoja wina. To był wypadek.

Safia rozumiała to umysłem, ale nie sercem. Nie pozwoliła jednak, żeby to ją sparaliżowało. Szła za Painterem, podając mu kolejne worki.

Wreszcie obeszli mur okalający dziedziniec. Przed nimi jaśniało wejście na pałacowe podwórze. Omaha stał pod łukiem bramy z latarką w ręku.

- Zapaliłem dla was latarnie na ganku. - Machaniem zapraszał ich do środka.

Safia musiała oprzeć się nagłej chęci pobiegnięcia naprzód. Jeszcze nie są bezpieczni. Szli dalej tym samym powolnym krokiem, okrążyli żelazną kulę spoczywającą w kołysce. Wreszcie dotarli do wejścia.

Pozwolono Safii wejść pierwszej. Natychmiast rzuciła się w ramiona Omahy. Wziął ją na ręce i zaniósł do głównej komnaty.

Nie protestowała. Byli bezpieczni.

19.07

Cassandra obserwowała procesję, w bezruchu, ledwo oddychając. Zdawała sobie sprawę, że ruch oznacza śmierć. Safia i Painter przeszli kilka metrów od jej małej alkowy.

Pojawienie się Paintera zaskoczyło ją. Jakim cudem ocalał?

Nie zareagowała jednak. Utrzymała równy oddech. Stała się posągiem. Wiele lat szkolenia w siłach specjalnych i operacje w terenie nauczyły ją sposobów trwania cicho, nieruchomo.

Cassandra wiedziała, że Safia nadchodzi. Patrzyła na czynione przez nią postępy, poruszając jedynie oczami, i obserwowała, jak znika ostatni czerwony trójkąt. Została tylko ona. Ale to nie koniec.

Patrzyła z podziwem i zdumieniem, jak Safia wraca do jaskini, i przechodzi tak blisko.

Piaskowy szlak.

Safia dostrzegła jedyne bezpieczne miejsce w jaskini: wielki, górujący nad miastem budynek stojący pięćdziesiąt metrów od niej. Cassandra słyszała uradowane głosy, kiedy weszli do sanktuarium.

Pozostała doskonale nieruchoma.

Piaskowy szlak ciągnął się zaledwie o dwa metry od niej. Dwa duże kroki. Czekala, napinając mięśnie, przygotowując się.

Wtem trzy metry od niej uderzył piorun.

Cassandra wyskoczyła ze swego więzienia, ufając staremu powiedzeniu, że piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce. Nie miała nic innego, na czym mogła się oprzeć.

Jedna jej stopa dotknęła szkła na tyle tylko, żeby się odbić do skoku. Druga wylądowała na piasku. Cassandra znalazła się na ścieżce.

Bezpieczna.

Oddychała głęboko, na wpół szlochając z ulgi. Pozwoliła sobie na ten moment słabości. Przed następnym krokiem musi być jak ze stali. Zaczekała, aż serce przestanie dudnić, aż przestanie się trząść.

W końcu organizm się uspokoił. Przeciągnęła się jak kot.

Wzięła głęboki wdech, powoli wypuściła powietrze. No, to pora na interesy.

Wstała i wyjęła bezprzewodowy detonator. Sprawdziła, czy nie został uszkodzony lub czy nie usmażyła się elektronika. Wszystko wydawało się w porządku. Podniosła klapkę, nacisnęła czerwony guzik, i zamknęła klapkę.

Detonator martwej ręki.

Zamiast nacisnąć przycisk, żeby wysadzić ładunek w karku Safii, wystarczyło, że podniesie palec.

Tak przygotowana wyjęła pistolet z kabury.

19.09

Siedząc na podłodze, Painter patrzył na zatłoczoną komnatę. Coral już zdążyła zdać mu raport i pokrótce poinformować o wszystkim, co zaszło, opowiedzieć o swoich teoriach i o tym, co ją martwi. Teraz siedziała obok niego i sprawdzała broń.

Naprzeciwko Safia stała ze swoją grupą. Uśmiechali się. Stali się nową rodziną. Safia znalazła siostrę w Karze, a matkę w Lu'lu. Lecz co z Omahą? Stał u jej boku, nie dotykając jej. Painter widział, jak Safia pochyła się w jego stronę.

Coral niewzruszenie czyściła broń.

- Czasami po prostu musisz się ruszyć - powiedziała. Zanim Crowe zdążył odpowiedzieć, po jego prawej poruszył się cień.

Zobaczył, jak Cassandra wchodzi do komnaty. Pistolet w ręku, spokojna, nieprzejmująca się niczym, jakby właśnie wróciła ze spaceru po parku.

- Proszę, czyż to nie urocze - rzekła.

Wszyscy się wzdrgnęli. Złapano za broń.

Cassandra nie zareagowała. Nadal trzymała pistolet wycelowany w sufit i wyciągnęła przed siebie znajome urządzenie.

- Czy jest lepszy sposób na powitanie sąsiada?

- Nie strzelać! - ryknął Painter, zrywając się na równe nogi. - Niech nikt nie strzela!

Przesunął się, żeby stanąć przed Cassandra, zasłaniając ją.

- Jak widzę, rozpoznajesz detonator martwej ręki - powiedziała zza jego pleców. - Jeśli umrę, nieszczęsna doktor al-Maaz straci swą śliczną główkę.

Omaha usłyszał te słowa i też stanął przed Safią.

- O czym ta suka gada?

- Może mu wyjaśnisz, Crowe? Ten przekaźnik to przecież twój wynalazek.

Obrócił się twarzą do niej.

- Przekaznik tak... ale nie bomba.

- Jaka bomba? - zapytał Omaha, a w jego oczach malowały się jednocześnie strach i gniew.

Painter wyjaśnił:

- Kiedy Cassandra uwięziła Safię, wszczepiła jej małe urządzenie śledzące. Zmodyfikowała je, dodając niewielką ilość C-cztery. Ona sama zaś trzyma detonator. Jeśli puści spust, nastąpi wybuch.

- Dlaczego nie powiedziałeś nam tego wcześniej? - zapytał Omaha. - Moglibyśmy go usunąć.

- Spróbuj, to też wybuchnie - rzekła Cassandra. - Chyba że wcześniej go zdezaktywuję.

Painter popatrzył na nią, a potem na Safię.

- Miałem nadzieję zabrać cię tam, gdzie będzie bezpiecznie, a potem zebrać zespół chirurgiczny i pirotechniczny, żeby usunąć urządzenie.

Jego wyjaśnienia niewiele dały, nie stłumiły zgrozy w oczach Safii.

- Więc skoro teraz jesteśmy przyjaciółmi - ciągnęła Cassandra - poproszę was o rzucenie całej broni tam, na dziedziniec. Z całą pewnością doktor Crowe zatroszczy się o to, żeby istotnie była to cała broń. Jedna pomyłka i mogę podnieść palec i kogoś skarcić. Nie chcielibyśmy, żeby tak się stało, prawda?

Painter nie miał wyboru. Postąpił według instrukcji Cassandry. Karabiny, pistolety, noże i dwa granatniki ułożono w stos na dziedzińcu.

Kiedy Coral odłożyła swój na wpół złożony pistolet, pozostała przy wejściu. Oczy skierowała na jaskinię. Painter podążył za jej spojrzeniem.

- O co chodzi? - spytał.

- O burzę. Narasta od twojego przyjścia. Jest znacznie gwałtowniejsza. - Wskazała dach. - Energia nie jest wystarczająco szybko rozładowywana. Destabilizuje się.

- Co to oznacza?

- Że tutaj tworzy się beczka prochu. - Odwróciła się do Paintera. - To miejsce wybuchnie.

19.22

Z balkonu drugiego piętra pałacu Safia wraz z innymi patrzyła na wielki wir. Sklepienia jaskini już nie było widać. Klębiące się chmury ładunków elektrostatycznych zaczęły powolne krążenie wokół kopuły. W centrum tego wiru dało się zauważyć występowanie skierowany w dół, który w widoczny sposób opuszczał się jak stożkowa chmura tornada. Celował w jezioro antymaterii.

- Novak ma rację - powiedziała Cassandra. Obserwowała to zjawisko przez gogle noktowizyjne. - Cała kopuła się wypełnia.

- To przez tę megaburzę - rzekła Coral. - Musi być silniejsza niż ta starożytna, która zapoczątkowała kataklizm przed dwoma tysiącami lat. Ona przekracza tutejszą pojemność. I nie umiem powstrzymać się od myśli, że zapewne sporo wody w jeziorze ulegnie destabilizacji, jak zawartość żelaznego wielbłąda.

- Co wtedy? - spytała Safia. Coral wyjaśniła:

- Czy zdarzyło ci się widzieć wybuch przeładowanego transformatora? Może zabrać ze sobą całe pole siłowe. Teraz wyobraź sobie rozmiary tej jaskini. Jaskini z rdzeniem ze skoncentrowanej antymaterii. Może wysadzić w powietrze cały Półwysep Arabski.

Ta trzeźwa uwaga spowodowała, że wszyscy zamilkli. Safia patrzyła, jak kręci się wir energii. Występowanie w centrum obniżał się powoli. Przeszył ją pierwotny strach.

- To co możemy zrobić? - Pytanie padło z niespodziewanej strony. Zadała je Cassandra. Podniosła gogle na czoło. - Musimy to powstrzymać.

Omaha prychnął.

- A jak ty chcesz w tym pomóc?

- Nie chcę umrzeć. Nie zwariowałam.

- Po prostu jesteś tchórzem - mruknął Omaha.

- Wolę określenie „oportunistka”. - Ponownie zwróciła się do Coral: - Więc?

Coral pokręciła głową.

- Uziemimy to - powiedział Painter. - Jeśli szklany bąbel jest izolatorem, to musimy znaleźć sposób strzaskania jego spodu, uziemienia elektrycznej burzy, skierowania jej energii do wnętrza Ziemi.

- Komandorze, to całkiem niezła koncepcja - pochwaliła Coral. - Szczególnie, o ile uda się strzaskać szkło pod samym jeziorem i pozwolić antymateryjnej wodzie wsiąknąć w pierwotny układ wód wytwarzanych przez Ziemię, skąd niegdyś przybyła. To nie tylko rozproszy tutejszą energię, ale i zmniejszy ryzyko antymateryjnej reakcji łańcuchowej. Wzbogacone wody po prostu mieszają się ze zwykłymi, aż po granicę rozpuszczenia i utratę śmiertelnych stężeń.

Safia dostrzegła promyczek nadziei. Nie przetrwał następnych słów Coral.

- Tyle że wprowadzenie tego pomysłu w życie nastrecza spore problemy. Nie mamy wystarczająco dużej bomby, żeby rozbić dno jeziora.

Przez kilka następnych chwil Safia słuchała dyskusji o możliwych urządzeniach wybuchowych, jednocześnie zdając sobie sprawę z tego, co wszczepiono jej w nasadę szyi, co stało się wtedy w Tel Awiwie, co zdarzyło się w British Museum. Punkty zwrotne w jej życiu były znaczone bombami. Takie zagrożenie powinno ją przerazić, ale znalazła się poza strachem.

Zamknęła oczy.

Na wpół rejestrowała różnorodne pomysły wykrzykiwane głośno, od RPG do kawałka C4 w jej karku.

- Nie ma tutaj niczego wystarczająco silnego - stwierdziła Coral.

- Ależ jest. - Safia otworzyła oczy. Przypomniała sobie wybuch w British Museum. Wskazała dziedziniec. - To nie wielbłąd, ale wystarczy.

Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku.

Gigantyczna żelazna kula spoczywająca w szklanej dłoni.

- Zatopimy ją w jeziorze - powiedziała.

- Największa na świecie bomba głębinowa - dodał Danny.

- Ale skąd wiesz, że wybuchnie jak wielbłąd? - zapytała Coral. - Może po prostu psyknie jak żelazna dziewica. Te żelazne artefakty nie wszystkie działają tak samo.

- Pokażę ci - odrzekła Safia.

Odwróciła się i zeszła po schodach. Kiedy ona i Coral znalazły się w głównej komnacie, machnięciem ręki wskazała otaczające ściany i piaskowe malowidła.

- Naprzeciwko wejścia znajduje się obraz pierwszego Ubaru, przypominający jego odkrycie. Tam jest obraz Ubaru na górze. Twarz pokazywana światu. Na tej zaś widnieje obraz prawdziwego serca Ubaru, szklanego miasta kolumn. - Dotknęła wizerunku pałacu. - Jego szczegółowość zdumiewa, są tam nawet posągi z piaskowca strzegące wejścia. Na tym obrazie są jednak oba posągi.

- Bo jeden został wykorzystany jako schowek dla pierwszego klucza - powiedział Omaha, który poszedł za nimi.

Safia zgodziła się z nim skinieniem głowy.

- Te wizerunki najwyraźniej zostały wykonane przed zniszczeniem. Zauważcie jednak, czego brakuje. Nie ma żelaznej kuli. Nie ma szklanej dłoni. W centrum obrazu stoi królowa Ubaru. W miejscu ważnym i znaczącym. „X” oznacza skarb, jeśli można tak powiedzieć.

- Co masz na myśli? - zapytała Cassandra.

Safia musiała stłumić szyderstwo. Jej wysiłki, by uratować przyjaciół i Arabię przyniosą również ratunek Cassandrze. Ciągnęła więc, nie patrząc jej w oczy:

- W przeszłości symetria była niezmiernie istotna. Równowaga we wszystkim. Nowy obiekt umieszczono w miejscu, które odpowiada miejscu królowej na obrazie. Miejsce centralne. Musi być ważne.

Omaha odwrócił się i patrzył na żelazną sferę przez otwór wejścia.

- Nawet sposób ułożenia dłoni. Jeśli wyprostujesz przegub, spuścisz sferę do jeziora.

Safia stanęła twarzą do wszystkich.

- To ostatni klucz królowej. Ostateczne zabezpieczenie. Bomba zostawiona, by zniszczyć jezioro, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Jak możesz być tego pewna? - zdziwił się Painter.

- A co nam szkodzi spróbować? - skontrował Omaha. - Albo zadziała, albo nie.

Coral podeszła do wejścia.

- Jeśli mamy tego użyć, to trzeba się pośpieszyć.

Safia i pozostali stłoczyli się przy wejściu.

W centrum jaskini jarzący się stożek chmury wirował i drgał. Pod nim jezioro antymaterii zaczęło się kręcić, odpowiednio do wiru u sklepienia.

- Co robimy najpierw? - zapytał Painter.

- Muszę położyć ręce na sferze - powiedziała Safia. - Aktywować ją, jak inne klucze.

- No to kulnijmy tę piłkę - rzekł Omaha.

19.35

Omaha stał na piaskowej ścieżce za dziedzińcem. W minutę zamieciono piasek tak, żeby sięgał kuli w objęciu. Safia stała przed dwunastometrowej średnicy globusem z czerwonego żelaza.

Nad nią szalało niebo.

Zbliżyła się do sfery. Potarła dłonie i między szklanymi palcami rzeźby sięgnęła do kuli.

Omaha widział, jak wzdrygnęły się jej ramiona, zabolą rana po kuli. Chciał pospieszyć ku niej, odciągnąć ją, ale ona zagryzła dolną wargę i położyła na kuli obie dłonie.

Kiedy skóra dotknęła metalu, po powierzchni żelaza przemknęła trzaskająca błękitna iskra. Safia odskoczyła z ostrym krzykiem.

Omaha złapał ją w ramiona i pomógł stanąć na piasku.

- Dzięki.

- Jasne, mała. - Obejmując ją jednym ramieniem, pomógł jej wrócić do pałacu. Opierała się o niego. Dobrze się z tym czuła.

- Ten granat jest nastawiony na dwie minuty - powiedział Painter. - Schowajcie się. - Umieścił u podstawy rzeźby ładunek, by uwolnić kulę.

Grawitacja miała zrobić resztę. Od pałacu wiodła aleja prosto do jeziora. Celowo - pomyślała Safia. Uwolniona kula miała potoczyć się do jeziora własnym napędem.

Omaha pomógł Safii wejść do głównej komnaty. Za nimi pojawił się oślepiająco jasny błysk, wypalając ich cienie na przeciwległej ścianie komnaty. Omaha zachłysnął się w obawie, że to granat.

Szarpnął Safię na bok, ale wybuch nie nastąpił.

- To jedno z wyładowań elektrostatycznych - wyjaśniła Coral, przecierając oczy. - Uderzył w sferę. Safia i Omaha odwrócili się. Powierzchnia żelaza migotała błękitną energią.

Patrzyli, jak szklana rzeźba powoli topnieje i chwieje się. Niewidzialna ręka upuściła sferę na dziedziniec, a ta podskoczyła i poturlała się ku zwieńczonemu łukiem wejściu.

Minęła je i potoczyła się dalej.

Coral westchnęła:

- Piękne.

Omaha w życiu nie słyszał tyle szacunku w jednym słowie.

Skinął głową.

- Ta królowa byłaby świetnym graczem w kręgle.

- Padnij! - krzyknął Painter.

Wybuch był ogłuszający. Z dziedzińca do komnaty sypało się szkło. To wybuchł granat Paintera.

Kiedy umilkło echo, Omaha spojrzał mu w oczy.

- Dobra robota. - Poklepał Paintera po ramieniu. - Dobra robota.

- Nadal się toczy! - krzyknął z góry Danny. Wszyscy pospieszyli po schodach na górny balkon. Omaha z Safią przepchnął się naprzód.

Drogę żelaznej kuli łatwo było śledzić. Jej ruch przyciągał pioruny ze sklepienia, trafiały w nią raz za razem. Powierzchnia jarzyła się niebiańską aurą. Podskakiwała, toczyła się i znajdowała drogę w dół królewskiej alei.

Rozwidlona błyskawica trafiła i oślepiła - ale sfera nadal toczyła się do jeziora.

- Ona się sama napędza - zauważyła Coral. - Wciąga energię.

- Stając się bombą głębinową - dodał Danny.

- A co, jeśli wybuchnie zaraz po dotknięciu tafli jeziora? - zapytał Clay, cofając się, gotów odskoczyć i schować się na pierwszy znak zagrożenia.

Coral pokręciła głową.

- Dopóki będzie opadać, poruszając się w wodzie, zostawi tylko ślad anihilacji. Ta jednak skończy się, skoro tylko kula przesunie się dalej.

- Ale kiedy się zatrzyma, spocznie na dnie... - rzekł Danny.

Coral dokończyła:

- Wtedy ciężar całej wody nad nią, napierając na nieruchomy obiekt, wyzwoli umiejscowioną reakcję. Wystarczającą, żeby zdetonować naszą bombę głębinową.

- A potem „bum” - rzekł Danny.

- Istotnie, „bum” - zgodziła się Coral.

Wszystkie oczy były utkwione w jarzącej się kuli. Wszystkie oczy widziały, jak kula osiąga półmetek, toczy się po rampie, trafia na kupę gruzu powstałego po zbombardowaniu miasta przez Cassandrę... i zatrzymuje się.

- Cholera - wymamrotał Danny.

- Właśnie, cholera - zgodziła się Coral.

19.43

Safia stała na balkonie z resztą ludzi, tak samo jak oni rozczarowana. Wokół niej rozgorzały spory.

- A może użyć RPG? - zasugerowała Cassandra, patrząc przez gogle.

- Wystrzelić granat w naładowaną bombę z antymaterii? - kpił Omaha. - Taa, zróbmy to.

- A jeśli chybisz - dodał Painter - rozwalisz następny mur i jeszcze bardziej zablokujesz drogę. Teraz to tylko mała przeszkoda. Wystarczyłoby przetoczyć kulę kilka metrów w bok...

Cassandra westchnęła. Safia zauważyła, że ciągle trzyma palec na przekaźniku i dba, żeby nie znalazł się w zasięgu żadnego z nich. Cassandra zdecydowanie potrafiła się skoncentrować. Przy tym wszystkim, co się działo, przy całym niebezpieczeństwie, nie pozwalała sobie na utratę karty atutowej, utrzymując ją w grze, ewidentnie zamierzając jej użyć, jeśli wszystko się uda. Uparty przeciwnik.

Podobnie jak Safia.

Clay trzymał ręce skrzyżowane na piersi.

- Trzeba, żeby ktoś tam poszedł i porządnie ją popchnął - orzekł.

- Proszę bardzo, możesz już ruszać - prychnęła z pogardą Cassandra. - Jeden ruch i wykąpiesz się w stopionym szkle.

Coral drgnęła, do tej pory pogrążona w głębokim zamyśleniu.

- Jasne. To ruch przyciąga wyładowania jak tocząca się kula.

- Albo moi ludzie - dodała Cassandra.

- Wyładowania muszą być przyciągane przez zmiany w polu elektromagnetycznym, gigantycznym polu wykrywającym ruch. - Coral popatrzyła w dół. - A co, jeśli ktoś mógłby przez to pole przejść niewidzialny?

- Jak? - zapytał Painter.

Coral popatrzyła na hodja i pozostałe Rahim.

- One potrafią być niewidzialne, kiedy chcą.

- Ale to nie jest fizyczne - sprostował Painter. - To jakiś sposób wpływania na umysł patrzącego, zakłócanie percepcji.

- Tak, ale jak one to robią?

Nikt nie odpowiedział.

Coral popatrzyła dookoła, po czym się wyprostowała.

- Och, nie zdążyłam ci powiedzieć.

- To ty wiesz? - spytał Painter.

Coral potwierdziła skinieniem głowy i spojrzała na Safię, a potem w dal.

- Badałam ich krew.

Safia przypomniała sobie, że Coral miała powiedzieć coś na ten temat, kiedy Cassandra zaatakowała. Coral wskazała jaskinię.

- Podobnie jak w jeziorze woda w komórkach krwi Rahim, we wszystkich ich komórkach i płynach ustrojowych, jak sądzę, zawiera mnóstwo buckyballi.

- I tam też jest antimateria? - upewnił się Omaha.

- Nie, oczywiście, że nie. Chodzi o to, że ich płyny ustrojowe mają zdolność zachowywania wody w konfiguracji buckyballi. Przyjmuję, że ta zdolność bierze się z jakiejś mutacji w ich mitochondrialnym DNA.

W piersi Safii narastała groza.

- Co?!

Painter dotknął jej łokcia.

- Wolniej troszkę - poprosił Coral, a ta westchnęła.

- Komandorze, pamiętasz odprawę na temat eksplozji meteorytu tunguskiego w Rosji? Wśród flory i fauny tego rejonu powstały mutacje. Miejscowe plemiona Ewenków miały genetyczne anomalie w krwi, szczególnie jeśli chodzi o czynnik Rh. Wszystkie spowodowane promieniowaniem gamma powstałym podczas anihilacji antimaterii. - Machnięciem wskazała wściekle szalejącą burzę. - To samo dzieje się tutaj. Przez nie wiadomo ile pokoleń mieszkająca tutaj populacja była wystawiona na promieniowanie gamma. Potem, przez przypadek, jakaś kobieta zmutowała, nie w jej własnym DNA, ale w DNA znajdującym się w jej komórkowych mitochondriach.

- Mitochondriach? - powtórzyła Safia, starając się sobie przypomnieć podstawy biologii.

- To niewielkie organelle wewnątrz wszystkich komórek, pływają w cytoplazmie, małe silniczki produkujące energię komórkową. To takie komórkowe akumulatory, żeby użyć przenośni. Mają one jednak własne DNA, niezależne od kodu genetycznego osobnika. Uważa się, że mitochondria kiedyś były jakimś typem bakterii zaabsorbowanym przez komórki ssaków drogą ewolucji. Ten kawałek DNA pozostał po poprzednim, niezależnym życiu mitochondriów. A skoro mitochondria są znajdowane jedynie w cytoplazmie komórek, to znaczy, że pochodzą od komórek z jajeczka matki, które to mitochondria stają się mitochondriami dziecka. To dlatego tę zdolność dziedziczy się jedynie w linii królewskiej.

Coral omiotła ręką Rahim.

- I to te mitochondria zmutowały wskutek promieniowania gamma? - zapytał Omaha.

- Tak. Zaszła pomniejsza mutacja. Mitochondria nadal wytwarzają energię dla komórki, ale też wytwarzają odrobinę więcej dla czynnego utrzymania konfiguracji buckyballi. Przyjmuję, że ten efekt ma coś wspólnego z polami siłowymi działającymi w tym pomieszczeniu. Mitochondria są zgrane z nimi, ustawiając zasilanie buckyballi odpowiednio do energii tutaj.

- I te naładowane buckyballi dają tym kobietom jakieś siły mentalne? - spytał Painter z niedowierzaniem.

- Mózg składa się w dziewięćdziesięciu procentach z wody - odrzekła Coral. - Naładuj ten układ buckyballami i wszystko może się zdarzyć. Widzieliśmy zdolność tych kobiet do wpływania na pola magnetyczne. To przenoszenie sił magnetycznych kierowane przez ludzką wolę i myśl wydaje się także zdolne do wpływania na wodę w mózgach niższych stworzeń i nieco na nas samych. Wpływanie na naszą wolę lub percepcję.

Coral zerknęła na Rahim.

- A jeśli Rahim skupi się na wnętrzu, potrafi powstrzymać mejozę we własnych jajeczkach i wytworzyć samozapłodnione jajo. Rozmnażanie bezpłciowe.

- Partenogeneza - wyszeptła Safia.

- Okay - rzekł Painter. - Nawet jeśli zgódzę się z tym wszystkim, jak cokolwiek z tego może nam pomóc wydostać się z kłopotów?

- Nie słuchałeś? - prychnęła Coral, zerkając przez ramię na wir burzy na górze sięgający teraz ku jezioru, które już wirowało. Zostały minuty. - Jeśli jedna z Rahim skupi się,

może zgrać się ze swoją energią, zmienić swą magnetyczną siłę, żeby zgrała się z tym elektromagnetycznym polem wykrywającym. Powinny być w stanie bezpiecznie przejść.

- Jak niby miałyby się to udać?

- Poprzez wolę bycia niewidzialnymi.

- Kto zechce tak ryzykować? - zapytał Omaha.

- Ja spróbuję. Czuję prawdę w jej słowach - rzekła hodja.

Coral wzięła głęboki wdech, oblizała wargi i odezwała się:

- Obawiam się, że pani jest za słaba. Nie mówię, że fizycznie... no, przynajmniej niezupełnie.

Lu'lu zmarszczyła czoło. Coral wytłumaczyła:

- Kiedy szaleje burza, te siły stają się bardziej intensywne. Do tego trzeba więcej niż tylko doświadczenia. To wymaga kogoś o krwi bardzo bogatej w buckyballe.

Obróciwszy się, Coral spotkała się wzrokiem z Safią.

- Jak wiesz, sprawdziłam kilka Rahim, łącznie ze starszymi. Mają zaledwie jedną dziesiątą ilości buckyballi, która znajduje się w twoich komórkach.

Safia zmarszczyła czoło.

- Jak to możliwe? Przecież jestem tylko w połowie Rahim.

- Ale tej właściwej. Twoja matka była Rahim. To jej mitochondria przeszły do twoich komórek. W przyrodzie istnieje zjawisko zwane „wigor hybrydy”, mieszańca, kiedy to dwie linie krzyżują się i tworzą latorośl silniejszą niż powtarzana wciąż i wciąż ta sama linia.

Danny skinął głową w bok.

- Mutanty zwykle są silniejsze...

- Tak więc jesteś świeżą krwią - ciągnęła Coral. - Mitochondriom zaś się to podoba.

Omaha stanął u boku Safii.

- Chcesz, żeby to ona podeszła do kuli? Przez całą tę elektryczną burzę.

Coral potwierdziła skinieniem głowy.

- Uważam, że jest jedyną, która może to zrobić.

- Pieprzyć to - prychnął Omaha.

Safia ścisnęła go za łokieć.

- Zrobię to.

20.07

Omaha patrzył, jak Safia staje na piaskowej ścieżce na dziedzińcu. Nie pozwoliła mu iść z sobą. Była sama z hodja. Omaha czekał więc w wejściu. Painter czujnie stał obok. Żaden z nich nie wyglądał na zadowolonego z decyzji Safii. W tej kwestii akurat się zgadzali.

Lecz wybór należał do Safii.

Jej argument był prosty i nie do odrzucenia: albo zginę, albo i tak umrzemy.

Więc mężczyźni czekali.

Safia słuchała.

- To nie jest trudne - mówiła hodja. - Żeby stać się niewidzialną, nie trzeba koncentracji woli. To uwolnienie woli.

Safia zmarszczyła czoło. Słowa starej kobiety współgrały ze słowami Coral. Mitochondria tworzyły naładowane buckyballe według sygnatury linii sił pola w pomieszczeniu. Jedyne, co musiała zrobić, to pozwolić im przyjąć naturalne ustawienie.

Hodja wysunęła rękę.

- Przede wszystkim musisz zdjąć ubranie.

Safia spojrzała na nią ostro.

- Ubranie wpływa na twoją zdolność stania się niewidzialną. Jeśli ta kobieta naukowiec miała rację z tym swoim bełkotem, to twoje ubranie może interferować z polem, które generujemy w naszych ciałach. Bezpieczeństwo musi wziąć górę nad wstydem.

Safia zdjęła kurtkę, zrzuciła buty, ściągnęła bluzę i spodnie. W biustonoszu i majtkach odwróciła się do Lu'lu.

- Lycra i jedwab. Zostawię je.

Lu'lu wzruszyła ramionami.

- Teraz się odpreż. Znajdź miejsce spokoju i wygody.

Safia oddychała głęboko. Po latach ataków paniki nauczyła się koncentracji, choć jej metody wydawały się za słabe, pozałowania godne wobec nacisku, jakiemu podlegała.

- Musisz wierzyć - tłumaczyła hodja. - W siebie. W swoją krew.

Safia odetchnęła głęboko. Zerknęła na pałac, na Omahę i Paintera. W ich oczach widziała chęć pomocy. Lecz to jest jej droga. Musi iść sama. Wiedziała to. Ta wiedza tkwiła w miejscach między uderzeniami serca.

Przestraszona, lecz zdecydowana, odwróciła się. W Tel Awiwie... w muzeum... na długiej drodze do tego miejsca. Przyprowadziła tutaj tych wszystkich ludzi. Nie może się dłużej ukrywać. Musi tą drogą pójść.

Safia zamknęła oczy i pozwoliła odpłynąć wszystkim wątpliwościom.

To jest jej droga.

Wyrównała oddech, pozwalając, by kontrolę przejął rytm bardziej naturalny.

- Bardzo dobrze, dziecko. Teraz weź mnie za rękę.

Safia złapała dłoń starej kobiety wdzięczna i zaskoczona siłą uścisku. Palce ścisnęły ją, dodając otuchy. Poznała ten dotyk, tak dawno go nie czuła. To matka. Jej dłoń. Przepłynęło przez nią ciepło. Nabrzmiwało w niej.

- Idź naprzód, dziecko - szepnęła stara kobieta. - Zaufaj mi.

To był głos matki. Spokojny, dodający pewności siebie. Safia posłuchała. Boso przeszła z piasku na szkło. Najpierw jedna stopa, potem druga. Kroczyła po ścieżce, trzymając matkę za rękę.

- Otwórz oczy.

Tak uczyniła, oddychając równo, zachowując matczyne ciepło głęboko w sobie. W końcu musiała puścić rękę hodja. Zrobiła następny krok. Ciepło pozostało. Matka odeszła, ale jej miłość trwała, w niej, w jej krwi, w jej sercu.

Ruszyła w burzę szalejącą płomieniami i szkłem.

I przynoszącą spokój.

Omaha klęczał. Nawet nie wiedział, kiedy opadł na kolana. Patrzył, jak Safia odchodzi, migocąc, nadal obecna, ale eteryczna. Kiedy przeszła przez cienie pod łukiem wejścia, na chwilę w ogóle znikła z oczu.

Wstrzymał oddech.

Później, poza pałacem, pojawiła się ponownie, szczuplutka, idąca powoli w dół, oświetlona burzą.

Łzy napłynęły mu do oczu.

Jej twarz zdawała się szczęśliwa. Gdyby miał szansę, resztę życia poświęciłby temu, żeby zawsze taka pozostała.

Painter cofnął się, cichy jak grób.

Wspiął się po schodach na drugi poziom, zostawiając Omahę samego. Doszedł do grupy. Wszyscy patrzyli na Safię idącą w dół niżej położonej części miasta.

Coral patrzyła na niego zaniepokojona.

I miała po temu powód.

Wir ładunków zbliżał się do tafli wody. Pod nim jezioro nadal wirowało we własnym tempie, a w środku, oświetlone przez ogień z góry, wodny stożek rósł w górę. Energie z góry i z dołu wyciągały się, żeby się zetknąć.

Gdyby się zetknęły, nastąpiłby koniec wszystkiego: ich samych, Arabii, a możliwe, że i świata.

Skupił się na kobiecie ducha, kroczącej spokojnie oświetlonymi przez burzę ulicami, jakby należał do niej cały czas świata. W cieniach niknęła zupełnie. Chciał, żeby była bezpieczna, ale jednocześnie, żeby szła szybciej. Jego spojrzenie przerzucało się z burzy na kobietę i z powrotem.

Nadszedł Omaha, bo stracił Safię z oczu. Jego spojrzenie, pełne było nadziei, zgrozy i - jakże bardzo Painter nie chciał tego widzieć - miłości.

Painter znów skupił uwagę na jaskini. Safia już niemal dotarła do kuli. - No, już... - szepnął Omaha.

Safia spokojnie szła schodami. Musiała kroczyć ostrożnie, bo przejście do żelaznej kuli znaczyło potrzaskane szkło zasypujące stopnie. Bolały ją pokaleczone palce u stóp i pięty.

Zignorowała ból, zachowywała spokój, oddychała równo. Pojawiła się żelazna kula. Jej powierzchnia jarzyła się niebieską poświatą. Safia podeszła i przyjrzała się przeszkodzie. Zwalony kawał ściany. Trzeba przesunąć kulę metr w lewo i będzie mogła kontynuować marsz. Stąd do jeziora wiedzie prosta droga. Nie było już żadnych stosów gruzu na drodze. Jedyne, co musiała zrobić, to przesunąć kulę. Mimo że ciężka, miała doskonały kształt. Jedno pchnięcie i potoczy się sama.

Podeszła z boku do kuli, uniosła dłonie, wzięła jeszcze jeden oczyszczający wdech i pchnęła.

Wstrząs elektryczny przeszył ją, wygiął ciało w łuk, uciekł palcami u nóg. Poczula skurcz, szyja wygięła się do tyłu, w kościach buzował ogień. Jej siła i konwulsyjny wstrząs pchnęły kulę, która potoczyła się dalej.

Kiedy jednak ciało Safii straciło kontakt z metalem, ostatnie wyładowanie smagnęło ją jak biczem. Poleciała do tyłu. Głową uderzyła w mur. Świat ogarnął mrok, a ona wpadła w nicość.

Safia...!

Omaha nie mógł oddychać. Widział brylantowy łuk wyładowania i patrzył, jak Safia została ciśnięta na ścianę niczym lalka z gałganków. Leżała na stercie gruzu, już nie eteryczna, lecz uziemiona. Nie ruszała się.

Nieprzytomna, oszołomiona elektrycznością czy martwa?

O Boże...

Odwrócił się.

Painter złapał go za ramię.

- Dokąd się, u diabła, wybierasz?

- Muszę po nią iść.

Palce zacisnęły się na jego ramieniu.

- Burza zabije cię, zanim zrobisz dwa kroki.

Podeszła Kara.

- Omaha... Painter ma rację.

Cassandra stała przy barierce, obserwując wszystko przez te cholerne gogle.

- Tak długo, jak się nie rusza, nie przyciąga błyskawic. Nie jestem jednak pewna, czy to najlepsze miejsce, kiedy kula trafi do jeziora.

Omaha widział, że sfera jest już blisko jeziora. Tornado ładunków zniżało się, żeby dotknąć wznoszącego się stożka wody. A kula toczyła się w tamtą stronę. Błyskawice ścigały ją i w nią były.

- Muszę spróbować! - krzyknął Omaha i wyrwał się Painterowi. Pobiegł po schodach. Painter deptał mu po piętach.

- Cholera jasna, Omaha! Nie ryzykuj!

- To moje życie!

Omaha prześlizgnął się do wejścia i padł na tyłek. Zrzucił buty. Lewa kostka, skręcona, zaprotestowała przeciw tak ostremu traktowaniu.

Painter zmarszczył czoło na widok tych działań.

- To nie tylko twoje życie. Safia cię kocha. Jeśli i ty ją kochasz, nie rób tego.

Omaha zdjął skarpetki.

- Nie ryzykuję! - Na kolanach poczołgał się dalej i zaczął wsypywać garściami piasek do skarpetek.

- Co ty wyczyniasz?

- Robię piaskowe buty. - Omaha odchylił się do tyłu i wepchnął stopy w skarpetki, ściskając je w środku i ugniatając piasek, żeby równo rozłożył się na spodzie.

Painter przyglądał się temu.

- Czemu... Safia nie musiałaby...

- Dopiero teraz o tym pomyślałem. Potrzeba jest matką wynalazków.

- Idę z tobą.

- Nie ma czasu. - Omaha wskazał bose stopy Paintera. - Nie masz skarpetek.

Pognał sprintem, ślizgając się na piasku ścieżki. Dotarł do gołego szkła i nadal biegł. Wcale nie był taki pewny swego, jak udawał przed Painterem. Błyskawice oślepiały go, bijąc obok. Panika dodawała mu szybkości. Piasek ranił stopy. Kostka płonęła przy każdym kroku.

Jednak nie przestawał biec.

Cassandra musiała oddać sprawiedliwość tym ludziom. Mieli stalowe jaja. Śledziła szalony bieg Omahy przez ulice. Czy ją kiedykolwiek jakiś mężczyzna kochał tak bardzo?

Zauważyła, że Painter wrócił, ale nie patrzyła na niego.

Obserwowała kulę, jak podskakuje ostatnich kilka razy. Teraz toczyła się w stronę jeziora, otoczona kobaltową poświatą. Musi skończyć swoją robotę. Analizowała każdą z możliwości, ważąc prawdopodobieństwo przetrwania następnej minuty. Wciąż trzymała palec na przycisku.

Widziała, jak Painter patrzy na Safię, kiedy Omaha do niej dotarł.

Oboje, ona i Painter, przegrali.

Na brzegu sfera wykonała ostatni skok, odbiła się i z pluskiem wylądowała w wodzie.

Omaha dotarł do Safii. Nie ruszała się. Błyskawice były jak ognisty deszcz. Jej pierś unosiła się i opadała. Żyje.

Od strony jeziora dobiegł głośny plusk.

Bomba głębinowa uderzyła w taflę wody.

Nie ma czasu. Potrzebują schronienia.

Omaha wziął Safię na ręce i odwrócił się. Musi trzymać ją z daleka od jakiegokolwiek powierzchni. Trzymając jej drobne ciało z głową spoczywającą na jego ramieniu, ruszył ku drzwiom nietkniętego domostwa i schylił się, by wejść. To może nie ochroni go przez śmiertelnymi błyskawicami, ale nie miał pojęcia, co się stanie, kiedy kula wpadnie do jeziora. Dach nad głową wydawał się więc dobrym pomysłem.

Ruch spowodował, że Safia zadrżała.

- Omaha... - jęknęła.

- Jestem, małeńka... - Kucnął, układając ją na swoich kolanach, balansując w piaskowych „butach”. - Jestem tutaj.

Kiedy Omaha i Safia zniknęli w budynku, Painter patrzył, jak strumień wody tryska w górę niczym gejzer po tym, jak sfera uderzyła w wodę. Wyglądało to tak, jakby ktoś rzucił piłkę ze szczytu Empire State Building. Kolumna wody wystrzeliła ku sklepieniu, opadała kaskadą, a krople wody detonowały w zetknięciu z odpryskami burzy i spadały jako płynny ogień.

Anihilacja antymaterii.

Wir w jeziorze kręcił się i drżał. Wodny stożek chwiał się.

Jednak wir ładunków elektrostatycznych nadal złowroźnie się obniżał.

Painter skupił się na jeziorze.

Wir już uspokoił swój ruch, obrotami odrzucając fale wzbudzone wpadnięciem kuli.

Nic się nie stało.

Ogień ze stożka elektrycznego wiru uderzył w jezioro, podpalił plamy, które szybko zgasły, odnawiając stan równowagi. Natura kocha równowagę.

- Kula nadal musi się toczyć - powiedziała Coral - dążąc do najniżej położonego punktu na dnie. Im głębsza woda, tym lepiej. Podwyższone ciśnienie pomoże zapoczątkować ograniczoną reakcję łańcuchową i skierować jej siłę w głąb.

Painter odwrócił się do niej.

- Czy twój umysł kiedykolwiek przestaje liczyć? Wzruszyła ramionami.

- Nie, bo co?

Danny stanął obok niej.

- A jeśli sfera osiągnie najniższy punkt, to jednocześnie znajdzie się w najlepszym miejscu do przerwania szkła nad dowolną cysterną wody wytworzonej przez Ziemię, czyli do osuszenia jeziora.

Painter pokręcił głową. Tych dwoje dobrało się jak w korcu maku.

Cassandra przy Karze. Ich piątka była ostatnia na balkonie. Lu'lu poprowadziła Rahim do tylnych pokoi niżej. Kapitan al-Haffi i Barak poprowadzili garstkę ludzi Shahra.

- Coś się dzieje - zauważyła Cassandra.

Na czarnej wodzie jeziora pojawiła się plama jarząca się rdzawo i karmazynowo. Nie było to odbicie. Poświata pochodziła z głębi. Ogień pod jeziorem. W pół sekundy - tyle zajęło dostrzeżenie go - karmazyn prysnął na wszystkie strony.

Rozległo się głębokie, basowe „hump”.

Całe jezioro uniosło się na kilka metrów i opadło.

Na środku powstały fale. Stożek zniknął.

- Kryć się! - wrzasnął Painter.

Za późno.

Jakaś siła - ani wiatr, ani wstrząs - uderzyła na zewnątrz, spłaszczyła jezioro, omiatała wszystkie strony, pchała przed sobą ścianę rozgrzanego powietrza.

Uderzyła.

Painter, na wpół schowany za rogiem budynku, dostał w bark oślepiająco bolesny cios. Odrzuciło go, cisnęło przez całe pomieszczenie, niosło na skrzydłach ognia. Inni przyjęli całą siłę uderzenia i rzuciło nimi w tył, na przeciwległą ścianę. Painter trzymał oczy mocno zaciśnięte. Jego płuca płonęły tym jednym wdechem, jaki złapał.

Potem się to skończyło.

Skwar znikł.

Painter wstał.

- Schronienie - wycharczał, na próżno machając rękami.

Potem przyszedł wstrząs.

Bez ostrzeżenia.

Z rozdzierającym uszy, ogłuszającym klaskiem ziemia jakby pękła na pół. Potem pałac podskoczył kilka metrów w górę i opadł. Wszyscy padli płasko na ziemię.

Grzechot narastał. Wieża się trzęsła, przechyliła w jedną stronę, potem w drugą. Szkło pękało. Górna część wieży spadła i rozbiła się. Kolumny łamały się i przewracały, padając i na miasto, i do jeziora.

Przez cały ten czas Painter leżał na ziemi.

Przy jego uchu wybuchło głośnie „pop” pęknięcia. Odwrócił głowę i zobaczył, że cały balkon obok wejścia odrywa się i odchyła na zewnątrz. Dojrzał jakąś postać.

Cassandra. Nie została wdmuchnięta przez wejście, jak pozostali, ale przyciśnięta do zewnętrznego muru pałacu.

Spadła wraz z balkonem. W rękę nadal trzymała detonator. Painter podczołgał się do niej.

Leżała rozciągnięta na stercie strzaskanego szkła. Nie spadła z wysoka. Leżała na plecach, przyciskając detonator do piersi.

- Nadal go mam! - wycharczała. Wstała.

- Trzymaj się - powiedział - zaraz zejść.

- Nie...

Błyskawica wbiła się tam, gdzie stała Cassandra, trafiając w jej palce u stóp. Szkło pod nią stopiło się, a ona wpadła w dziurę po uda, zanim szkło ponownie się zestaliło.

Nie krzyknęła, chociaż całe jej ciało wyginało się konwulsyjnie z bólu. Jej kurtka stanęła w ogniu. Nadal trzymała detonator w pięści przyciśniętej do szyi. Wreszcie gwałtownie wypuściła powietrze.

- Painter...!

Dostrzegł plamę piasku na dziedzińcu niedaleko. Skoczył, wylądował twardo, skręcił kostkę, poślizgnął się. To nic. Stał i kopnięciami przesuwiał piasek, tworząc wątlą ścieżkę wiodącą do Cassandry.

Opadł obok, kolanami na piasku. Czuł zapach jej palonego ciała.

- Cassandro... O Boże!

Trzymała przekaźnik, każdy rys jej twarzy wyrażał ból agonii.

- Nie utrzymam. Ściśnij... - Złapał jej pięść.

Rozluźniła chwyt, ufając, że przytrzyma jej palec naciskający klapkę. Krew lała się z miejsc, gdzie jej ciało stykało się z potłuczonym szkłem, intensywnie czerwona, tętnicza.

- Dlaczego? - zapytał.

Z zamkniętymi oczami potrząsnęła tylko głową.

- ...łam ci winna.

- Co?

Otworzyła oczy i napotkała jego wzrok. Jej wargi poruszyły się; szeptała:

- Chciałam, żebyś mnie uratował.

Wiedział, że nie chodziło jej o to, co stało się chwilę temu... ale o to, co miało miejsce, kiedy byli partnerami. Jej oczy się zamknęły. Głowa opadła na jego ramię.

Trzymał ją. Odeszła.

Safia ocknęła się w ramionach Omahy. Czuła pot na jego karku, czuła drżenie mięśni jego ramion. Przytulał ją mocno. Kucał, balansował na stopach, kołysał ją w objęciach.

Skąd wziął się tutaj Omaha? Gdzie ja jestem?

Pamięć wróciła błyskawicznie.

Sfera... jezioro...

Spróbowała się uwolnić. Jej ruch wystraszył Omahę.

- Saff, nie ruszaj się.

- Co się stało?
- Niewiele. Ale chodźmy zobaczyć, czy uratowałaś Arabię. - Wstał, z nią w ramionach, i pochylił się, by wyjść z domostwa.
Safia rozpoznała to miejsce. Tutaj utknęła kula. Oboje spojrzeli na jezioro. Jego powierzchnia nadal falowała i wirowała. Sklepienie nad głową jarzyło się i trzaskało.
Serce Safii zamarło.
- Nic się nie zmieniło - szepnęła.
- Kochana, przespałaś tornado i potężne trzęsienie ziemi.
Jakby na potwierdzenie tych słów, zagrzecotał kolejny wstrząs wtórny. Omaha cofnął się o krok, ale wstrząs ustał. Znowu spojrzął na jezioro.
- Popatrz na linię brzegową.
Safia odwróciła głowę. Poziom wody obniżył się o blisko dwadzieścia metrów, zostawiając kreskę, jak w wannie po kąpieli.
- Poziom wody się obniża.
Uścisnął ją mocniej.
- Udało ci się! Jezioro musi teraz ściekać do jednej z tych cystern, o których plotła Coral.
Safia popatrzyła na burzę elektryczną na sklepieniu. Ona też powoli słabła, wsiąkała w skałę. Spojrzała na rozciągające się, ciemniejące miasto, to wyższe, i to niższe. Tyle zniszczenia. Ale była nadzieja.
- Nie ma błyskawic - stwierdziła. - Burza ognista chyba się skończyła.
- Nie będę ryzykował. Idziemy.
Pomaszerował po zboczu do pałacu.
Safia nie protestowała, ale szybko zauważyła, że Omaha krzywi się przy każdym kroku.
- Co się dzieje? - zapytała, obejmując go za szyję.
- Nic. Mam tylko trochę piasku w butach.

Painter patrzył, jak się zbliżają.
Safia w ramionach Ohamy.
Painter zawołał do nich, kiedy doszli do dziedzińca:
- Omaha, te wyładowania elektryczne już się skończyły. Możesz postawić Safię na ziemi.
Omaha minął go.
- Tylko przez próg.
Nie udało mu się to. Shahra i Rahim, wszyscy zebrali się wokół pary na dziedzińcu, gratulowali im i dziękowali. Danny ścisnął brata. Musiał powiedzieć coś o Cassandrze, bo Omaha zerknął na ciało.
Painter zakrył je kurtką. Już dezaktywował detonator i wyłączył przekaźnik. Safia była bezpieczna.
Patrzyła na grupę. Oprócz mnóstwa siniaków, zadrapań i poparzeń wszyscy dobrze znieśli burzę.
Coral wyprostowała się. Trzymała granatnik i przyłożyła sprzączkę pasa do jego boku. Przyłgnęła.
- Namagnesowany - powiedziała i odłożyła granatnik. - Jakiś rodzaj drgań magnetycznych. Intrygujące.
Zanim Painter zdążył odpowiedzieć, pałacem zakotłosał kolejny wstrząs wtórny, silny na tyle, że strzaskał kolumnę osłabioną już wstrząsem pierwotnym. Spadła na miasto z rezonującym trzaskiem.

To wszystkich otrzeźwiło, przypominając o ciągle grożącym niebezpieczeństwie.
Nie są tutaj bezpieczni.

Z głębi nadciągał grzmot, wprawiając w drżenie szkło pod ich stopami. Towarzyszył temu niski dźwięk, jakby pod ziemią przejeżdżało metro.

Nikt się nie ruszał. Wszyscy wstrzymali oddech. Wtedy nadeszło.

W jeziorze, sycząc, wybuchł gejzer, trysnął w górę na trzy piętra, gruby jak dwustuletnia sekwoja.

Zanim to nastąpiło, jezioro zmalało do małej sadzawki, do ćwierci pierwotnego rozmiaru. Całe dno rysowały monstrualne pęknięcia, wyglądało jak wnętrze potłuczonej skorupki jajka.

Teraz woda wlewała się z powrotem.

Wszyscy wpatrywali się w to jak zaczarowani.

- Wstrząsy wtórne musiały przedrzeć się do pierwotnych źródeł wody wytwarzanej przez Ziemię - rzekł Danny. - Do jednego z globalnych rezerwuarów wodnych.

Jezioro szybko się wypełniało.

- Zaraz będzie tu powódź - ostrzegł Painter. - Musimy się stąd wynosić.

- Z ognia w wodę - narzekał Omaha. - Coraz lepiej.

Safia pomogła zebrać dzieci, które uciekły z pałacu. Młodszy Shakra pomagali starszym Rahim. Kiedy doszli do podnóża schodów, jezioro przekroczyło już pierwotny poziom i zalewało niższe miasto. Gejzer nadal tryskał.

Latarki chwiały się, najsilniejsi mężczyźni torowali drogę. W niektórych miejscach przejście blokowały zwały skał. Mężczyźni przekopywali między nimi ścieżkę.

Reszta grupy czekała i podążała za nimi w miarę możliwości. Wspinali się najszybciej, jak to możliwe, przelazili przez przeszkody, silniejsi pomagali słabszym.

Potem nadleciał z góry krzyk. Krzyk radości.

- Hurr-raaa!

Safii ulżyło, gdy go usłyszała.

Wolność!

Grupa pobiegła po schodach. Painter czekał u szczytu. Pomógł Safii wyjść. Pomógł też idącej za nią Karze.

Safia z trudem rozpoznała mesę. Teraz była to wielka sterta gruzu. Rozejrzała się. Wiatr wiał mocno, ale burza minęła, jej energię wyssała i pochłonęła ognista burza poniżej. Nad ich głowami świecił księżyc, malując świat srebrem.

Kapitan al-Haffi machnął do niej latarką, wskazując ścieżkę w dół, robiąc miejsce innym. Exodus z góry trwał.

Maszerowali z gór w piaski. Wcześniejszy wir w piasku odsłonił całe kilometry zbocza. Minęli poszarpane wraki ciągnika i ciężarówek. Krajobraz był porysowany kreskami stopionego piachu, nadal parującego w nocnym powietrzu.

Painter rzucił się do przewróconego ciągnika. Wspiął się do niego, zniknął na chwilę, po czym wrócił, trzymając laptopa. Wyglądał na popsuty, a obudowa była podrapana.

Safia uniosła brew na widok tego, co uratował, ale on niczego nie wyjaśnił.

Szli dalej w pustynię. Za nimi z ruin mesy tryskała woda i powoli wypełniała zagłębienie.

Safia trzymała Omahę za rękę. Ludzie rozmawiali szeptem. Safia dostrzegła idącego samotnie Paintera.

- Daj mi sekundę - powiedziała do Omahy, ściskając jego dłoń.

Podeszła do Paintera i dostosowała się do jego tempa. Spojrzał na nią, a w oczach miał pytanie i zaskoczenie.

- Painterze, ja... ja chciałam ci podziękować

Uśmiechnął się lekko.

- Nie musisz mi dziękować. To moja praca.
Szła obok niego, wiedząc, że ukrywa całą studnię uczuć. Jarzyły się one w jego oczach i sposobie, w jaki unikał kontaktu wzrokowego.
Zerknęła na Omahę, a potem znów na Paintera.
- Ja... my... - Westchnął.
- Safio, ja to rozumiem.
- Ale...
Spojrzał na nią, a jego błękitne oczy były surowe, lecz pewne.
- Rozumiem. Naprawdę. - Kiwnął głową w stronę Omahy. - To dobry człowiek.
Było tysiąc rzeczy, które chciała mu powiedzieć.
- Idź - mruknął z miękkim, bolesnym uśmiechem.
Nie powiedziawszy ani słowa, Safia wróciła do Omahy.
- O co chodziło? - zapytał, starając się, by zabrzmiało to uprzejmie, choć zawałił sprawę.
Znów wzięła go za rękę.
- Żegnałam się.
Grupa weszła na grzbiet piaszczystej niecki. Za nimi powstało jezioro, a skruszona mesa została zalana.
- Czy musimy się martwić tą całą wodą z antymateria? - zapytał Danny, kiedy zatrzymali się na grzbiecie.
Coral pokręciła głową.
- Kompleksy antymateria-buckyballe są cięższe niż zwykła woda. Wraz z przelaniem się wody do tego jeziora buckyballe będą tonęły. Po pewnym czasie rozproszą się w rozległym podziemnym systemie wodnym i powoli się anihilują. Żadnych szkód.
- A więc wszystko skończone - podsumował Omaha.
- Jak nasza moc - dodała Lu'lu, stając między Karą i Safią.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - wzdrygnęła się Safia.
- Nasze błogosławieństwo odeszło. - Nie był to smutek, tylko spokojna akceptacja.
- Jesteś pewna?
Lu'lu potwierdziła skinieniem głowy.
- To już się zdarzało. Innym. Już ci mówiłam. To delikatny dar, łatwo go uszkodzić. Coś się stało podczas tej katastrofy. Czulałam to. Powiew wiatru w moim ciele.
Inne Rahim pokiwały głowami. Safia była wtedy nieprzytomna.
- Magnetyczne drgania - wyjaśniła Coral. - Tak intensywna siła mogła mieć zdolność zdestabilizowania buckyballi i spowodowania ich rozpadu. - Coral skinęła głową w stronę Lu'lu. - Czy kiedy jedna z Rahim traci dar, ten do niej kiedyś wraca?
Hodja pokręciła głową.
- Interesujące - mruknęła Coral. - Więc mitochondria produkujące buckyballe w komórkach muszą mieć kilka takich na wzór, jako zasiew, podobnie jak te, znajdowane niegdyś w zapłodnionym jajeczku. Ale jeśli wymazać je wszystkie, to mitochondria same nie są zdolne wytworzyć ich od nowa.
- A więc moc naprawdę odeszła - stwierdziła Safia rozczarowana. Popatrzyła na swoje dłonie, przypominając sobie ciepło i spokój. Odeszła...
Hodja ujęła jej dłoń i uściśnęła. Safia wyczuła czas, jaki upłynął od przestraszonej dziewczynki zagubionej na pustyni, szukającej schronienia wśród kamieni, do starszej kobiety, stojącej teraz przy niej.
Nie, może magia nie całkiem odeszła.
Ciepło i spokój, jakiego doświadczała przedtem, nie miało nic wspólnego z darami czy błogosławieństwami. To był dotyk, ludzki dotyk. Ciepło rodziny, spokój i pewność. To błogosławieństwo wystarczające każdemu.

Hodja dotknęła rubinowej łzy przy lewym oku i odezwała się miękko:

- My, Rahim, nazywamy to Smutkiem. Nosimy to dla upamiętnienia ostatniej łzy uronionej przez królową, kiedy opuszczała Ubar, uronionej dla umarłych, dla siebie, dla tych, którzy podążą za nią i poniosą ten ciężar. - Lu'lu opuściła rękę. - Tej nocy zmienimy temu nazwę, pod księżycem. Nazwiemy go po prostu Farah.

Safia przetłumaczyła.

- Radość...

- Pierwsza łza uroniona ze szczęścia, z radości z nowego życia. Nasz ciężar wreszcie zniknął. Możemy opuścić cienie i znów chodzić w słońcu. Czas ukrywania się dobiegł końca.

Na twarzy Safii nadal musiał się malować ślad rozczarowania. Hodja obróciła ją łagodnie.

- Pamiętaj, dziecko, życie nie toczy się po linii prostej. Zatacza kręgi. Pustynia zabiera, ale pustynia daje. - Wskazała nowe jezioro nabrzmiewające za nimi. - Ubar odszedł, ale wrócił Eden.

Safia patrzyła na wody oświetlone księżycem.

Wyobraziła sobie Arabię zagubioną w przeszłości, przed Ubarem, przed uderzeniem meteorytu, kraj sawann, bujnych lasów, meandrujących rzek i różnorodnego życia. Patrzyła na wody płynące przez spieczone piaski jej domu, połączone przeszłość i teraźniejszość.

Czy to możliwe?

Ogród Edenu... odrodzony.

Omaha objął ją od tyłu.

- Witaj w domu - wyszeptał jej do ucha.

EPILOG

8 KWIETNIA, 14.45 KWATERA GŁÓWNA DARPA ARLINGTON, VIRGINIA

Painter Crowe stał przed drzwiami biura.

Patrzył, jak woźny odczepia tabliczkę z drzwi z napisem DYREKTOR SEAN MCKNIGHT.

Tabliczka odpadła od drzwi z trzaskiem. Ta tabliczka tkwiła na nich od założenia Sigmy.

Woźny mocował nową czarnosrebrną tabliczkę.

Wrzały w uczucia: pewność, duma i satysfakcja, ale także złość. Nie chciał zdobyć tego stanowiska w tak okropnych okolicznościach.

Jak zdoła usiąść za tym biurkiem?

To co stało się w Omanie wstrząsnęło całą DARPA.

Painter przywiózł z Omanu zarówno podejrzenia, jak dowód.

Przywódca Gildii był członkiem szefem DARPA.

Ekspertom udało się odzyskać dane z twardego dysku laptopa Cassandry.

To potwierdziło słowa Paintera.

Minister został ujawniony.

Jego plan skorumpowania Sigmy - udaremniony.

Na nieszczęście zdążył się zastrzelić, zanim wzięto go pod klucz. Z pewnością był to cios dla Gildii, ale oni byli jak mityczna Hydra. Odetnij jedną głowę, a wyrośnie nowa.

Painter będzie na to przygotowany.

Jego uwagę zwrócił skrzyp butów. Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę.

- Co pan robi tutaj, na dole, sir?

Sean McKnight ujął jego rękę.

- Stare nawyki ciężko wypłenić. Chciałem się po prostu upewnić, że się tu zdomowiłeś.

- Jest świetnie, sir.

Pokiwał głową, poklepał Paintera po ramieniu.

- Zostawiam Sigmę w dobrych rękach..

- Dziękuję, sir.

Sean zrobił krok do przodu, zauważył w koszu swoją starą tabliczkę i schylił się, żeby ją podnieść i schować do kieszeni marynarki. Twarz Paintera zapłonęła ze wstydu. Ale Sean tylko się uśmiechnął i poklepał po kieszeni.

- Na pamiątkę dawnych czasów. Zobaczymy się na ceremonii zaprzysiężenia.

Obaj mieli dziś składać przysięgę.

Painter zajmował stanowisko Seana, a Sean zajmie wakat w dyrekcji, stanowisko, które opuścił wiceadmirał Tony „Tygrys” Rector. Minister.

Ten skubaniec był tak prózny, że jako nazwy kodowej używał derywatu własnego nazwiska. Rektor - członek protestanckiego duchowieństwa. Tak samo jak minister.

W Omanie Painter niemal napiętnował Seana jako zdrajcę. Kiedy jednak usłyszał, jak Cassandra zwraca się do Ministra, uświadomił sobie swój błąd. Na tę misję wysłało go dwóch ludzi: Sean McKnight oraz admirał Tony Rector. Naturalnie Sean przekazywał informacje od Paintera Rectorowi, swemu szefowi, ale to Rector przekazywał je Cassandrze.

Dane z laptopa to potwierdziły.

Rector starał się podporządkować Sigmę bezpośrednio sobie. Cassandra była jego pierwszym kretem. Nawet wtedy, w Foxwoods, dostała polecenie zorganizowania i przekazania tajemnic wojskowych Chińczykom poprzez Xin Zhanga. Celem było wywołanie zamieszania w dowództwie DARPA. Ta porażka miała stanowić dźwignię do wysadzenia Seana McKnighta z urzędu, żeby Rector mógł tam posadzić kogoś lojalnego wobec Gildii.

Ale to się nie udało.

Patrzył na zamknięte drzwi. Otwierał się nowy rozdział w jego życiu.

Powrócił w myślach na długą drogę, która go tutaj zaprowadziła. List nadal tkwił w kieszeni marynarki. Wyjął go. Przejechał palcami po ostrych brzegach, powiódł kciukiem po szarobrązowej kopercie. Jego nazwisko umieszczono elegancko na środku. Otrzymał go w zeszłym tygodniu. Gdyby nie był dość odważny, żeby stawić mu czoło, nigdy nie mógłby przejść przez te drzwi.

Rozciął kopertę i wyjął zawartość. Przezroczysty welin, karta z fakturowanej bawełny, ręcznie przycinane brzegi. Miło.

Bądź tam... ..Kara

Pokręciwszy lekko głową i uśmiechnąwszy się, otworzył zaproszenie i przeczytał. Czerwcowy ślub. Będzie miał miejsce na brzegu jeziora Eden, nowego, śródlądowego, słodkowodnego jeziora w Omanie. Doktorzy Omaha Dunn i Safia al-Maaz. Westchnął. Nie bolało tak bardzo, jak się spodziewał. Pomyślał o wszystkich innych, którzy przywieźli go do tych drzwi. Coral miała już kolejne zlecenie w Indiach. Danny i Clay, najlepsi kumple, wyjechali na wykopaliska... do Indii. Wybór miejsc wykopalisk musiał należeć do Danny'ego. Shakra i Rahim zjednoczyli klany. Nowy „Shahab Oman” był w budowie, a Kara nadzorowała tę budowę, jednocześnie finansując remont w British Museum. Czytał w magazynie „People”, że związała się z młodym lekarzem, którego poznała podczas kuracji odwykowej. Popatrzył na jej notkę. „Bądź tam...”. Może i mógłby.

Najpierw jednak musi przejść przez te drzwi. Położył rękę na klamce, wzięł głęboki wdech i nacisnął. Do następnej wielkiej przygody.

NOTA AUTORA

Jak robiłem to poprzednio, pomyślałem, że powinienem podzielić się kilkoma przemyśleniami na temat faktów i fikcji, które składają się na tę książkę. Mam nadzieję, że czyniąc to, skłonię może kogoś do zgłębienia niektórych poruszonych w niej tematów.

Po pierwsze - sama koncepcja antymaterii. Czy to wymysł science fiction? Już nie. Laboratoria CERN w Szwajcarii naprawdę wytworzyły cząstki antymaterii i były w stanie utrzymać je stabilnie przez krótki czas. NASA i Państwowe Laboratoria im. Fermiego również badały kwestię silników na antymaterię, łącznie z budową elektromagnetycznych Pułapek Penninga do przechowywania i transportu antymaterii.

Co do meteorytów z antymaterii, to postuluje się ich istnienie w kosmosie, ale to jeszcze teoria. Teoria zaś, że meteoryt tunguski i jego wybuch w Rosji był związany z antymaterią, to jedna z dyskutowanych koncepcji wyjaśnienia tego fenomenu. Jednakże opisane skutki - niezwykła natura wybuchu, drgania elektromagnetyczne, mutacje flory i fauny - są jak najbardziej prawdziwe.

Odnosnie do kwestii związanych z wodą: wszystkie cechy chemiczne opisane w powieści są autentyczne, wraz z niesamowitą konfiguracją cząsteczek wody w buckyballu. Temat magmowego czy też generowanego przez Ziemię wytwarzania wody jest również oparty na pracy geologa Stephena Reissa i wielu innych.

Przechodząc do Arabii, to geologia tego regionu jest niezwykła. Dwadzieścia tysięcy lat temu pustynie Omanu naprawdę były bujnymi sawannami pełnymi rzek, jezior i strumieni. Dzika przyroda była bogata, a neolityczni myśliwi polowali po tych terenach. Pustynnienie regionu naprawdę przypisuje się naturalnym warunkom zwanym „zmianą orbitalną” lub „wymuszeniem Milankowicza”. W zasadzie chodzi o „zachwianie” w ruchu obrotowym Ziemi, które pojawia się okresowo.

Większość szczegółów archeologicznych i historycznych dotyczących Omanu jest prawdziwa, łącznie z grobowcem Nabi Imrana w Salalah, grobowcem Hioba w górach i, oczywiście, ruinami Ubaru w Shisurze. Fotografie tych miejsc można znaleźć na linkach na mojej stronie internetowej (www.jamesrollins.com). Ponadto rekomenduję The Road to Ubar, książkę napisaną przez Nicolasa Clappa.

Co do innych detali: po pierwsze, samotniczy lud Shakra mieszka w górach Dhofar i uważa się za spadkobierców królów Ubaru. Nadal mówią dialektem uważanym za najstarszy w Arabii. Omański statek flagowy, „Shahab Oman”, naprawdę istnieje (przepraszam, że wysadziłem go w powietrze). A skoro mówimy o wysadzaniu różnych rzeczy, to żelazny wielbłąd, który wybuchł na początku powieści, nadal rezyduje gdzieś w British Museum. Cały i zdrowy... Przynajmniej na razie.